

*Nowa powieść autora bestsellerowej*  
**ZŁODZIEJKI KSIĄŻEK**

**markus  
zusak**

**gliniany  
most**

NASZA KSIĘGARNIA

**Markus Zusak**

# **Gliniany most**

Przełożyła  
Anna Studniarek

---

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA

# Gliniany most

## Spis treści

Karta tytułowa

Zajrzyj na strony

Od autora

Dedykacja

Przed początkiem stara MP

\*\*\*

część pierwsza: miasta

portret zabójcy z czasów wieku średniego

rozgrzewka sposobem Claya

barbarzyńcy

bernborough

grecy go dopadli

ludzka kula u nogi

sygnał dymny

idioci

chusteczka magika

uśmiechnięty

mordercza muzyka

jak huragan

część druga: miasta + wody

błędna dziewczyna

the surrounds

plakała całą drogę do wiednia

siły zostają pokazane

urodzinowa dziewczyna

zabójca w jego kieszeni  
papierowe domy  
ruszający tyłek i minotaur  
zdobycze wolności  
carey i clay, i matador w piątej  
śmierć po południu  
most z claya  
ekipa przewodzkowa  
ostatnia fala

część trzecia: miasta + wody + zbrodniarze

korytarz  
morderca nie zawsze był mordercą  
chłopięca ręka  
mężczyźni i kobiety  
dom mordercy  
nocny południowy wiatr wzdłuż całego wybrzeża  
wielki sen  
zátópek  
amahnu  
galeria abbey  
pont du gard  
pięć lat i pianino, i podążanie ręka za ręką

część czwarta: miasta + wody + zbrodniarze + łuki

sterta claya  
życia, zanim mieli nas  
chłopiec o krwawiących rękach  
jak narciarze na zboczu góry  
tradycjonalista  
malarstwo przy pianinie  
chłopak, który wyszedł z piekarnika

panna młoda ze złamanym nosem

war of the roses

dom przy archer street numer 18

przemoc braci

mp, wąż i luna

część piąta: miasta + wody + zbrodniarze + łuki + opowieści

wielkie wejście

dorastanie na sposób dunbarów

peter pan

wojny o pianino

ciepłe ramiona claudii kirkby

hartnell

triumwirat

jeden papieros

główny

kobieta, która została chłopakiem dunbarów

powrót nad rzekę

kiedy chłopcy wciąż byli chłopcami

część szósta: miasta + wody + zbrodniarze + łuki + opowieści + ocalali

dziewczyna, która wyszła z radia

dłonie kata

arkansas

poszukiwacze

koń z riveriny

przetrwanie chłopaków dunbarów

fotografia

miłość w czasach chaosu

jeńcy

ręka między wydmami

carey novac w ósmej

stanowe i rocznica

część siódma: miasta + wody + zbrodniarze + łuki + opowieści + ocalali  
+ mosty

dziewczyna z gallery road

postacie w rzece

achilles o czwartej rano

dwie skrzynie skarbów

kłótnie

szyfr roweru

mistrz rozstań

dwoje frontowych drzwi

sześcioro hanleyów

prąd odpływowy

teleturniejowa dziewczyna

ostatni list

matador kontra queen of hearts

płonące łóżko

część ósma: miasta + wody + zbrodniarze + łuki + opowieści + ocalali +  
mosty + ogień

żartowniś w przedpokoju

srebrny muł

zanim pierwsze promienie uderzyły w dom

pakt z diabłem

siedem piw penny dunbar

wycieczka piesza po featherton

handlarze i oszuści

futbol w korycie rzeki

puchar świata w umieraniu

portret ojca z czasów starości

jasne tylne podwórko

godzina największej wody

po zakończeniu stara mp nowe spojrzenie

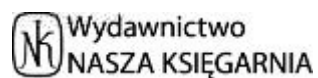
podziękowania

\*\*\*

Karta redakcyjna

**Zajrzyj na strony**

[www.nk.com.pl](http://www.nk.com.pl)



**Znajdź nas na Facebooku**

[www.facebook.com/WydawnictwoNaszaKsiegarnia](http://www.facebook.com/WydawnictwoNaszaKsiegarnia)





## Ođ autora:

Po angielsku „glinka” to *clay* – słowo o dwóch zastosowaniach. Pierwsze to skrócona forma imienia Clayton. Drugie to materiał wydobywany z ziemi, używany w budownictwie, ceramice i rzeźbie.

Oba zastosowania są ważne w *Glinianym moście*: jedno wiąże się z imieniem głównego bohatera, a drugie z naturą gliny jako materiału. Książkę można przeczytać bez tej wiedzy, ale z nią łatwiej zrozumieć Claya – historię jego i mostu.

Z serdecznymi pozdrowieniami i wyrazami szacunku – mz

Dedykowana Scout, Kid, Little Smallowi  
Cate  
i pamięci K.E.  
wielkiej miłośniczki *języka*

przed początkiem

STARA MP

NA POCZĄTKU był jeden morderca, jeden muł i jeden chłopiec, ale to jeszcze nie jest początek, jestem ja, Matthew, oto siedzę w kuchni, w nocy – w starym ujściu rzeki światła – i stukam w klawisze. Wokół mnie w domu panuje cisza.

Tak się składa, że wszyscy śpią.

Siedzę przy kuchennym stole.

Jestem ja i maszyna do pisania – ja i stara MP, jak według naszego od dawna nieobecnego ojca mawiała nasza od dawna nieobecna babcia. Właściwie ona nazywała ją „starą dobrą MP”, ale takie dziwactwa nigdy mi nie pasowały. Co do mnie, znany jestem z sińców i zdrowego rozsądku, wzrostu, muskulatury i przeklinania, a od czasu do czasu sentymentalności. Jeśli przypominacie większość ludzi, będziecie się zastanawiać, po co w ogóle składam słowa w zdania, a tym bardziej skąd znam epikę albo Greków. Czasami dobrze jest być w taki sposób niedocenianym, ale jeszcze lepiej, kiedy ktoś to dostrzega. Jeśli chodzi o mnie, miałem szczęście:

Dla mnie była Claudia Kirkby.

Był chłopiec i syn, i brat.

Tak, dla nas zawsze był brat, i to on – spośród naszej piątki – brał wszystko na swoje barki. Jak zawsze, powiedział mi cicho i powoli, i oczywiście trafił w sedno. Rzeczywiście była stara maszyna do pisania zakopana na zapomnianym podwórku zapomnianego miasteczka, ale musiałem wszystko dobrze wymierzyć, żeby nie wykopać martwego psa albo węża (zdarzyło mi się i jedno, i drugie). Pomyślałem, że jeśli pies tam był i wąż też, maszyna nie mogła leżeć daleko.

Doskonały skarb bez piratów.

Wyjechałem z miasta dzień po swoim ślubie.

Z miasta.

Prosto w noc.

Przez całe połacie pustej przestrzeni i jeszcze dalej.

Samo miasteczko było twardą, odległą krainą opowieści – dostrzegało się to z daleka. Krajobraz jak ze słomy i maratony nieba. Otaczała je dzicz niskich krzaków i eukaliptusów, a ono samo było prawdziwe, tak cholernie prawdziwe – ludzie pochylali się i garbili. Ten świat ich znużył.

Pod bankiem, obok jednego z licznych pubów, pewna kobieta wskazała mi drogę. Była najbardziej wyprostowaną kobietą w miasteczku.

– Niech pan tam skręci w lewo w Turnstile Street, tak? Później prosto jakieś dwieście metrów, a później znów w lewo.

Miała brązowe włosy i porządne ubranie – dzinsy i buty z cholewami, prostą czerwoną koszulę – i oko zmrużone w blasku słońca. Jedyne, co ją zdradzało, był odwrócony trójkąt skóry tam, u podstawy szyi – skóry zmęczonej, starej i pomiętej, jak uchwyt skórzanej skrzyni.

– Rozumie pan?

– Rozumiem.

– A którego numeru w ogóle pan szuka?

– Dwadzieścia trzy.

– A, chodzi panu o starych Merchisonów, tak?

– Jeśli mam być szczery, zupełnie nie.

Kobieta podeszła bliżej, a ja zauważyłem jej zęby, mocne, błyszczące i żółte, zupełnie jak dumne słońce. Kiedy podeszła, wyciągnąłem rękę, i oto była ona i ja, i jej zęby, i miasteczko.

– Mam na imię Matthew – powiedziałem. Ona, ta kobieta, miała na imię Daphne.

Nim znów znalazłem się przy samochodzie, odwróciła się i odeszła od bankomatu. Zostawiła w nim kartę i stała teraz z dłonią opartą na biodrze. Siadałem na miejsce kierowcy, a Daphne pokiwała głową i wiedziała. Wiedziała niemal wszystko, jak prezenterka wiadomości.

– Matthew Dunbar.

Stwierdziła, nie spytała.

Oto byłem dwanaście godzin od domu, w miasteczku, w którym przez całe trzydzieści jeden lat życia nie postawiłem stopy, a oni jakimś sposobem mnie oczekiwali.

Patrzyliśmy na siebie dłuższą chwilę, przynajmniej kilka sekund, i wszystko było szeroko otwarte. Na ulicy pojawili się ludzie.

– Co jeszcze pani wie? – spytałem. – Wie pani, że przyjechałem tu po maszynę do pisania?

Otworzyła drugie oko.

Odważyła się stawić czoło południowemu słońcu.

– Maszyna do pisania? – Całkowicie ją zdezorientowałem. – O czym pan mówi, do diabła?

Niemal jak na sygnał jakiś starszy gość zaczął wrzeszczeć, pytać, czy to jej cholerna karta powstrzymuje cholerną kolejkę do cholernego bankomatu, a ona pobiegła, żeby ją zabrać. Pewnie mógłbym wyjaśnić – że w tej historii naprawdę była stara MP, w czasach, kiedy w gabinetach lekarskich używali maszyn do pisania, a sekretarki waliły w klawisze. Nigdy się nie dowiem, czy Daphne byłaby zainteresowana. Wiem jednak, że wskazówki podała mi doskonale.

Miller Street:

Ciche zgromadzenie małych, uprzejmych domów, gotujących się w upale.

Zaparkowałem, zamknąłem drzwi samochodu i przeszedłem po starannie przyściętym trawniku.

Wtedy właśnie zacząłem żałować, że nie zabrałem ze sobą dziewczyny, którą właśnie poślubiłem – a raczej kobiety, matki moich dwóch córek – i oczywiście samych córek. Dzieciakom by się tu spodobało, chodziłyby, podskakiwały i tańczyły, śmigałyby nogi i słoneczne włosy. Robiłyby gwiazdy na trawniku, krzycząc „Tylko nie patrzcie na nasze majtki, dobrze?”.

Co za miesiąc miodowy:

Claudia była w pracy.

Dziewczynki były w szkole.

Części mnie się to podobało; dużej części mnie podobało się to bardzo.

Odetchnąłem i zapukałem do drzwi.

Wewnątrz domu było jak w piekarniku.

Meble upieczone.

Obrazki prosto z tosterka.

Mieli klimatyzację. Popsuła się.

Była herbata i ciasteczka Scotch Fingers, a słońce mocno waliło w okno. Przy stole ociekaliśmy potem. Spływał z ramion na obrus.

Jeśli chodzi o Merchisonów, byli uczciwymi, włochatymi ludźmi.

Byli mężczyzną w niebieskim podkoszulku, z ogromnymi bokobrodami, które wyglądały jak futrzane tasaki przyklepione do jego policzków, i kobietą imieniem Raelene. Ona miała perły w uszach, mocno skręcone loki i trzymała w ręku torebkę. Cały czas wybierała się do sklepu, ale została. Od chwili, kiedy wspomniałem o podwórku i że coś tam mogło zostać zakopane, nie umiała przestać się kręcić w pobliżu. Kiedy wypiliśmy herbatę, a z ciastek pozostały okruchy, spojrzałem na bokobrody. On odezwał się do mnie prosto i uczciwie:

– Chyba powinniśmy brać się do roboty.

Na zewnątrz, na długim, wysuszonym podwórku, skręciłem w prawo w stronę suszarki na pranie i zmęczonej, usychającej banksji. Obejrzałem się za siebie – mały dom, blaszany dach. Słońce wciąż go zalewało, ale już się kładło, pochylało na zachód. Kopałem łopata i rękami i oto było.

– A niech to diabli!

Pies.

Znowu.

– A niech to diabli!

Wąż.

Z obu pozostały tylko kości.

Przesialiśmy je starannie i ostrożnie.

Położyliśmy je na trawniku.

– A niech mnie!

Mężczyzna powiedział to trzy razy, ale najgłośniej, kiedy znalazłem starego stalowoszarego remingtona. Broń w ziemi, owinięta trzema warstwami sztywnej plastikowej folii, tak przezroczystej, że widziałem klawisze, najpierw Q i W, a później środkową sekcję F, G, H i J.

Przez chwilę patrzyłem na nią, tylko patrzyłem:

Te czarne klawisze, jak zęby potwora, ale przyjazne.

W końcu sięgnąłem i ją wydobyłem, ostrożnie, brudnymi rękami. Zasypałem wszystkie trzy doły. Wyjęliśmy ją z opakowania i oglądaliśmy, kucając.

– Cholerna rzecz – ocenił pan Merchison. Futrzane tasaki drżały.

– Owszem – zgodziłem się, była wspaniała.

– Nie sądziłem, że coś takiego się wydarzy, kiedy się dziś rano obudziłem.

Podniósł ją i mi podał.

– Zostaniesz na kolację, Matthew?



Starsza pani, wciąż na wpół oszołomiona. Ale oszołomienie nie mogło wygrać z kolacją.

Podniosłem wzrok, nie wstając.

– Dziękuję, pani Merchison, ale napchałem się tymi ciasteczkami. – Znowś spojrzałem z ukosa na dom. Był teraz solidnie zapakowany w cień. – Powinienem już iść. – Uścisnąłem im obojgu dłonie. – Nie wiem, jak mam państwu dziękować.

Zacząłem iść, trzymając maszynę bezpiecznie w ramionach.

Pan Merchison nie zamierzał mi na to pozwolić.

Zawołał:

– Ej!

I co miałem zrobić?

Musiał istnieć jakiś powód, dla którego wydobyłem dwoje zwierząt, więc zawróciłem spod suszarki na pranie – stara, zmęczona Hills Hoist, zupełnie jak nasza – i zaczekałem na to, co powie, a on to powiedział.

– Nie zapomniałeś o czymś, przyjacielu?

Skinął na kości psa i węża.

I tak odjechałem.

Tego dnia na tylnym siedzeniu mojego starego kombi spoczywały szkielet psa, maszyna do pisania i kręgosłup mulgi.

W połowie drogi zjechałem na parking. Znałem jedno takie miejsce – całkiem niedaleko, zapewniało łóżko i porządny odpoczynek – ale postanowiłem z niego nie skorzystać. Leżałem w samochodzie z węzem przy szyi. Zapadając w sen, myślałem, że wszędzie można znaleźć się przed początkiem – ponieważ przed i przed tak wieloma rzeczami był sobie chłopiec w tym zapomnianym miasteczku i klęczał na ziemi, kiedy wąż zabił tego psa, a pies zabił tego węża... ale to dopiero nastąpi.

Na razie macie wszystko, czego potrzebujecie:

Do domu dotarłem następnego dnia.

Dotarłem do miasta, na Archer Street, gdzie wszystko rzeczywiście się zaczęło i rozwinęło w licznych różnorodnych kierunkach. Kłótnia o to, dlaczego właściwie, do diabła, przywiozłem psa i węża, rozproszyła się przed wieloma godzinami, ci, którzy mieli sobie pójść, poszli sobie, a ci, którzy mieli zostać, zostali. Kiedy po powrocie pokłóciłem się z Rorym o to, co leżało na tylnym siedzeniu samochodu, było to jak wisienka na torcie. Akurat z Rorym. On lepiej niż ktokolwiek wie, kim, dlaczego i czym jesteśmy:

Rodziną z rozchwierutanej tragedii.

Komikсовym bum chłopców, krwi i bestii.

Zrodziliśmy się dla reliktyw takich jak te.

W czasie całej tej wymiany zdań Henry szczerzył zęby, Tommy się śmiał, a obaj mówili: „Zupełnie jak zawsze”. Czwartym z nas spał i spał przez cały czas, kiedy mnie nie było.

Jeśli chodzi o moje dwie dziewczynki, kiedy przyszły, dziwiły się kościom i spytały:

– Tatusiu, dlaczego przywiozłeś je do domu?

Bo jest idiotą.

Od razu wyłapałem, że Rory tak myśli, ale nie wypowiedział tego na głos przy moich dzieciakach.

Jeśli chodzi o Claudię Dunbar – wcześniej Claudię Kirkby – pokręciła głową, wzięła mnie za rękę szczęśliwa, tak cholernie szczęśliwa, że prawie znów się załamałem. Jestem pewien, że to dlatego, że ja byłem zadowolony.

Zadowolony.

„Zadowolony” brzmi głupio, ale zapisuję i mówię wam to wszystko dlatego, że tacy właśnie jesteśmy. Ja szczególnie dlatego, że kocham teraz tę kuchnię, całą jej wspaniałą i straszliwą historię. Muszę zrobić

to tutaj. To właściwe. Jestem zadowolony, słysząc, jak moje notatki trafiają na kartkę.

Przede mną stoi stara MP.

Pod nią podrapany drewniany blat.

Na nim solniczka i pieprzniczka nie od kompletu, kompania upartych okruchów tostów. Światło wpadające z przedpokoju jest żółte, światło tutaj jest białe. Siedzę, myślę i uderzam. Walę w klawisze. Pisanie zawsze jest trudne, ale łatwiejsze, jeśli ma się coś do powiedzenia:

Pozwólcie, że opowiem wam o naszym bracie.

O czwartym Dunbarze imieniem Clay.

Przydarzyło mu się wszystko.

Poprzez niego wszyscy się zmieniliśmy.

część pierwsza

MIASTA

## portret zabójcy z czasów wieku średniego

JEŚLI PRZED POCZĄTKIEM (przynajmniej pisania) były maszyna do pisania, pies i wąż, to przed samym początkiem – przed jedenastu laty – byli morderca, muł i Clay. Jednak nawet na początku ktoś musi iść pierwszy, a tego dnia mógł to być jedynie Morderca. W końcu to on wprowadził wszystko w ruch i sprawił, że spojrzeliśmy wstecz. A zrobił to poprzez swoje przybycie. Przybył o szóstej.

Był to, co całkiem stosowne, kolejny upalny letni wieczór. Dzień uprzylił beton, słońce wciąż wisiało wysoko, zadając ból. Takie solidne gorąco, które można pochwycić, albo też, tak naprawdę, które pochwyciło JEGO. W historii wszystkich morderców ten był z pewnością najbardziej żalony:

Mierzył metr siedemdziesiąt osiem – przeciętny wzrost.

Ważył siedemdziesiąt pięć kilo – normalna waga.

Ale nie dajcie się zwieść – wewnątrz garnituru był zmarnowany, przygięty, złamany. Wspierał się na powietrzu, jakby czekał, aż go wykończy, ale ono nie zamierzało tego zrobić, nie dziś, bo nagle okazało się, że to nie jest właściwy czas, by mordercy mogli liczyć, że ktoś im wyświadczy przysługę.

Nie, dziś to wyczuwał.

Czuł zapach.

Był nieśmiertelny.

Co dobrze wszystko podsumowywało.

Bo to przecież podobne do Mordercy: być nie do zabicia w tej właśnie chwili, kiedy lepiej by było, gdyby padł trupem.

Przez bardzo długi czas, co najmniej dziesięć minut, stał więc na początku Archer Street, czując ulgę, że w końcu mu się udało, i przerażenie, że się tam znalazł. Ulica pozostawała nieporuszona – wietrzyk był duszny, ale swobodny, a dymna woń namacalna. Samochody wyglądały bardziej na zgaszone niż zaparkowane, a linie energetyczne uginały się pod ciężarem niemych, rozpalonych i zaniepokojonych gołębi. Miasto wokół wznosiło się i wołało:

Witaj z powrotem, Morderco.

Głos taki ciepły, obok niego.

Wpadłeś w drobne tarapaty, tak to ujmę... Właściwie drobne tarapaty nie opisują twojej sytuacji – masz koszmarnie problemy.

A on o tym wiedział.

I wkrótce gorąco podeszło bliżej.

Archer Street stanęła na wysokości zadania, niemal zacierała ręce, a Morderca prawie stanął w ogniu. Czuł, jak wzrasta, gdzieś w głębi jego marynarki, a wraz z nim przyszło pytanie:

Czy mógł pójść dalej i zakończyć początek?

Czy naprawdę mógł doprowadzić to do końca?

Przez jedną ostatnią chwilę pozwolił sobie na luksus – dreszczyk bezruchu – po czym przełknął ślinę, rozmasował czaszkę porośniętą krzaczastymi włosami, podjął ponurą decyzję i ruszył pod numer osiemnasty.

Mężczyzna w płonącym garniturze.

Oczywiście, szedł tego dnia do pięciu braci.

Do nas, chłopaków Dunbarów.

Od najstarszego do najmłodszego:

Do mnie, Rory’ego, Henry’ego, Claytona, Thomasa.

Mieliśmy się zmienić na zawsze.

Jeśli mam być szczery, on też – a żeby dać wam przedsmak tego, w co wkraczał Morderca, powinienem powiedzieć wam, jacy byliśmy:

Wielu uważało nas za narwańców.

Barbarzyńców.

Przeważnie mieli rację:

Nasza matka nie żyła.

Ojciec uciekł.

Przeklinaliśmy jak łobuzy, walczyliśmy jak zawodnicy i dawaliśmy sobie łupnia w bilard, tenisa stołowego (zawsze na stołach z trzeciej czy czwartej ręki, często ustawionych na nierównej trawie na podwórku), Monopoly, strzałki, karty, w cokolwiek, na czym udało się nam położyć ręce.

Mieliśmy pianino, na którym nie grał nikt.

Telewizor odsiadywał dożywocie.

Kanapa dwadzieścia lat.

Czasami, kiedy dzwonił telefon, jeden z nas wychodził, biegł wzdłuż werandy i wpadał przez sąsiednie drzwi – to była tylko stara pani Chilman, która kupiła nową butelkę sosu pomidorowego i nie mogła otworzyć tego cholerstwa. Później ten ktoś wracał, pozwalał, by frontowe drzwi trzasnęły i życie płynęło dalej.

Tak, dla naszej piątki życie zawsze trwało:

Wiecznie toczyliśmy między sobą boje, szczególnie jeśli wszystko szło zupełnie dobrze albo zupełnie źle. Jak wtedy, kiedy wychodziliśmy na Archer Street późnym popołudniem. Szliśmy na miasto. Bloki, ulice. Drzewa wyglądające na zmartwione. Łowiliśmy głośne rozmowy wyrzucane z pubów, domów i bloków, tacy pewni, że to nasze miejsce. Jakbyśmy spodziewali się, że zbierzemy wszystko i zaniesiemy pod pachami do domu. Nieważne, że następnego dnia budziliśmy się i odkrywaliśmy, że odeszło i wyrwało się na wolność – wszystkie te budynki i jasne światła.

A, i jeszcze jedno.

Pewnie najważniejsze.

Byliśmy jedynymi wśród znanych nam ludzi, którzy pośród niedużej gromadki dysfunkcyjnych zwierząt domowych posiadali muła.

A cóż z niego był za muł.

Wspomniane zwierzę miało na imię Achilles, a historia o tym, jak wylądował na naszym podmiejskim podwórku w jednej z dzielnic wyścigów, była bardzo długa. Trzeba by opowiedzieć o porzuconych stajniach i torze do ćwiczeń za naszym domem, przestarzałym rozporządzeniu władz lokalnych i smutnym starym tłuściochu, który robił błędy ortograficzne. Ale także o naszej nieżyjącej matce, nieobecnym ojcu i najmłodszym, Tommym Dunbarze.

Kiedy do tego doszło, nie wszyscy w domu mieli okazję wyrazić swoje zdanie, jednak przybycie muła wywołało kontrowersje. Po co najmniej jednej zajadłej kłótni z Rorym...

(„Ej, Tommy, co się tu dzieje?”

„Co?”

„Co co, jaja sobie ze mnie robisz? Na podwórku jest osioł!”

„To nie osioł, tylko muł”.

„A co to za różnica?”

„Osioł to osioł, a muł to krzyżówka między...”

„Nie obchodzi mnie, czy to quarter horse skrzyżowany z cholernym kucem szetlandzkim! Co on robi pod suszarką na pranie?”

„Je trawę”.

„To widzę!”)

...jakimś sposobem go zatrzymaliśmy.

Albo, co bliższe prawdzie, muł został.

Jak to było z większością zwierząt Tommy’ego, Achilles sprawiał pewne problemy. Przede wszystkim muł miał ambicje. Ponieważ



moskitiera na tylnym wejściu rozleciała się, bywało, że wchodził do domu, gdy drzwi były uchylone, nie mówiąc już o wypadkach, gdy były szeroko otwarte. Zdarzało się to co najmniej raz w tygodniu i co najmniej raz w tygodniu puszczały mi nerwy. Brzmiało to mniej więcej: „Je-ezu CHRYSSTE!” W tamtych czasach jako bluźnierca nie hamowałem się i słyszałem z rozdzielania „Jezu” i stawiania akcentu na „Chryste”. „Skurczybyki, mówiłem wam raz, mówiłem wam przeklęte STO razy! Zamykajcie tylne drzwi!”.

I tak dalej.

I tak wracamy znów do Mordercy i skąd on mógł w ogóle wiedzieć?

Mógł się domyślać, że kiedy dotrze do domu, może nie zastać żadnego z nas. Mógł wiedzieć, że będzie musiał zdecydować, czy użyć starego klucza, czy poczekać na werandzie – by zadać jedno pytanie, by złożyć propozycję.

Spodziewał się ludzkich drwin, może nawet się o nie prosił, jasne.

Ale niczego takiego.

Co za atak:

Bolesny mały domek, napór ciszy.

I ten włamywacz, ten kieszonkowiec, ten muł.

Około kwadransa po szóstej szedł krok w krok z Archer Street, a zwierzę juczne zamrugało.

I tak to było.

Pierwsza para oczu, którą Morderca napotkał wewnątrz, należała do Achillesa, a z Achillesem nie było żartów. Achilles stał w kuchni, kilka kroków od tylnego wejścia, przed lodówką, z typową dla siebie miną „i na co się, do cholery, gapisz” na długim, krzywym pysku. Miał rozszerzone chrapy i leniwie przeżuwał. Nonszalancki. Panujący nad sytuacją. Jeśli pilnował piwa, robił to cholernie dobrze.

I co?

W tym momencie mówił tylko Achilles.

Najpierw to miasto, później ten muł.

Co w teorii miało przynajmniej ślad sensu. Jeśli jakiś przedstawiciel koniowatych mógł się pojawić gdzieś w tym mieście, to właśnie tutaj. Stajnie, tor do ćwiczeń, odległe odgłosy wyścigów.

Ale muł?

Szok był nie do opisanego, a otoczenie z pewnością nie pomagało. Ta kuchnia miała własną topografię i klimat.

Zachmurzone ściany.

Spieczona podłoga.

Linia brzegowa brudnych naczyń rozciągająca się w stronę zlewu.

I gorąco, gorąco.

Nawet czujna wojowniczość muła została stępiona na chwilę przez ten straszliwy, ciężki upał. W środku był gorszy niż na zewnątrz, a takiego osiągnięcia nie należy lekceważyć.

Mimo to Achilles wkrótce wrócił do swojego zadania, a może to Morderca miał halucynacje z odwodnienia? Spośród wszystkich kuchni na całym świecie znalazł się w tej. Przez chwilę rozważał wbicie kostek palców w oczy, by pozbyć się wizji, ale się powstrzymał.

To była prawda.

Był pewien, że to zwierzę – ten szary, łaciaty, rudy, jasnobrązowy, wyluzowany skurczybyk z rozczochraną grzywą, szerokimi oczami i grubymi chrapami – stał niezłomnie na popękanej podłodze, zwycięski, i dawał do zrozumienia, w sposób absolutnie jasny:

Morderca najpewniej powinien zrobić niejedno, ale nigdy, pod żadnym pozorem, nie powinien wracać do domu.

## rozgrzewka sposobem Claya

PO DRUGIEJ STRONIE MIASTA, w czasie, gdy Morderca spotkał muła, Clay się rozgrzewał. Prawdę mówiąc, Clay zawsze się rozgrzewał. W tej chwili przebywał w starym bloku mieszkalnym, u stóp miał schody, na plecach chłopca, a w piersi burzową chmurę. Jego krótkie ciemne włosy przylegały do głowy, a w każdym oku płonął ogień.

Obok niego, po prawej, biegł inny chłopiec – jasnowłosy, o rok starszy – z trudem dotrzymywał mu kroku, ale i tak na niego naciskał. Po lewej truchtała border collie, co oznacza, że byli tam Henry i Clay, Tommy i Eos, robiący to, co zawsze:

Jeden z nich gadał.

Jeden z nich ćwiczył.

Jeden z nich trzymał się z całych sił.

Nawet suczka dawała z siebie wszystko.

Żeby trenować w ten sposób, załatwili klucz, zapłacili znajomemu – gwarantował wejście do budynku. Dziesięć dolarów za faszzerowaną bryłę betonu. Nieźle. Biegli.

– Ty żałosna kupo – powiedział Henry (zarabiający pieniądze, ten przyjazny) do Claya. Próbując dotrzymać kroku, sadził długie susy i się śmiał. Uśmiech spłynął gwałtownie z jego twarzy; złapał go w dłoń. W takich chwilach porozumiewał się z Clayem wypróbowanymi obelgami. – Jesteś niczym. Jesteś miękkki. – Wszystko go bolało, ale musiał mówić dalej. – Jesteś miękkki jak jajko po dwóch minutach gotowania, chłopcze. Niedobrze mi się robi, kiedy patrzę, jak tak biegniesz.

Niedługo później stało się zadość kolejnej tradycji.

Tommy, najmłodszy, zbieracz zwierząt, zgubił jeden z butów.

– Cholera, Tommy, chyba ci mówiłem, że masz je mocniej wiązać. Dalej, Clay, jesteś słaby, jesteś żalosny. Może byś się tak postarał, do cholery?

Dotarli na piąte piętro, Clay zsunął Tommy'ego na bok i rzucił się na usta po prawej. Wylądowali na zatechłych płytkach, Clay uśmiechnął się lekko, dwaj pozostali się roześmiali i otrząsnęli z potu. Podczas szarpaniny Clay zacisnął ramię wokół szyi Henry'ego. Podniósł go i przeciągnął dookoła.

– Naprawdę powinieneś wziąć prysznic, stary. – Cały Henry. Zawsze powtarzaliśmy, że żeby załatwić Henry'ego, musielibyśmy dwa razy przywalić mu w usta. – To szokujące, serio.

Czuł ściętno w ramieniu Claya, które zaciskało się wokół jego szyi.

Żeby im przerwać, Tommy, dokładnie trzynastoletni, skoczył z rozbiegu i całą trójką polecieł w dół – ramiona i nogi, chłopcy i podłoga. Wokół nich Eos podskakiwała i lądowała – miała uniesiony ogon i ciało pochylone do przodu. Czarne nogi. Białe łapy. Zawarczała, ale oni wciąż się bili.

Kiedy było po wszystkim, położyli się na plecach – niedaleko okna, na najwyższym piętrze klatki schodowej, w brudnym świetle. Powietrze było ciężkie. Całe tony, wypadające z ich płuc. Henry połykał je łapczywie, ale jego usta ukazywały prawdziwe serce.

– Tommy, ty mały skurczybyku. – Popatrzył z uśmiechem w jego stronę. – Chyba właśnie uratowałeś mi życie.

– Dzięki.

– Nie, to ja dziękuję TOBIE. – I wskazał na Claya, który już podniósł się na łokciu. Drugą rękę trzymał w kieszeni. – Nie rozumiem, czemu wytrzymujemy z tym szaleńcem.

– Ja też nie.

Ale rozumieli.

Po pierwsze, był Dunbarem, a w przypadku Claya lepiej o tym wiedzieć.

Ale o co tak naprawdę chodziło?

Co należało wiedzieć, kiedy chodziło o Claytona, naszego brata?

Pytania ciągnęły się za nim od lat, na przykład dlaczego się uśmiechał, ale nigdy nie śmiał?

Dlaczego walczył, ale nigdy nie zwyciężał?

Dlaczego tak bardzo podobało mu się na dachu?

Dlaczego nie biegał dla satysfakcji, lecz dla niewygody – żeby przejść przez bramę bólu i cierpienia, i zawsze to znosił?

Jednak żadne z tych pytań nie było jego ulubionym.

To była jedynie rozgrzewka.

Nic więcej.

Przez jakiś czas leżeli na plecach, a później powtórzyli to jeszcze trzy razy. Eos zabrała po drodze zgubiony but.

– Ej, Tommy.

– Aha?

– Następnym razem zawiąż je mocniej.

– Jasne, Henry.

– Podwójne kokardki albo ci dowalę.

– W porządku, Henry.

Na dole poklepał go po ramieniu – sygnał, żeby znów wspiał się na plecy Claya – wbiegli po schodach i zjechali windą. (Oszustwo w oczach niektórych, ale w rzeczywistości utrudnienie, bo skracało czas na odzyskanie sił). Po ostatniej wspinaczce Henry, Tommy i Eos zjechali jeszcze raz na dół, ale Clay zszedł po schodach. Na zewnątrz podeszli

do żelaznej bryły samochodu Henry'ego i przerobili cały program obowiązkowy:

– Eos, wynocha z przedniego siedzenia. – Siedziała za kierownicą, jej uszy wyglądały jak doskonałe trójkąty. Wydawała się gotowa do włączenia radia. – Dalej, Tommy, zabieraj ją stamtąd, zrób nam tę przysługę.

– Mała, przestań się bawić.

Henry schował rękę do kieszeni.

Garść monet.

– Clay, masz, zobaczymy się na miejscu.

Dwaj chłopcy jechali, jeden biegł.

Przez okno:

– Ej, Clay!

Biegł dalej. Nie odwrócił się, ale słyszał. To samo, za każdym razem.

– Kup stokrotki, jeśli ci się uda, jej ulubione, pamiętasz?

Jakby nie wiedział.

Samochód wyjechał, mrugając kierunkowskazem.

– I nie daj się oszukać!

Clay pobiegł szybciej.

Wbiegł na wzgórze.

Na początku to ja z nim trenowałem, dopiero później Rory. A jeśli ja robiłem to ze staromodną głupawą uczciwością, Rory go męczył, ale nigdy nie złamał. Co się tyczy Henry'ego, miał swoją wizję – robił to dla pieniędzy, ale również dlatego, że to kochał, co zobaczymy już wkrótce.

Od samego początku sprawa była prosta, a jednak oszałamiająca.

Mogliśmy mu mówić, co miał robić.

On to robił.

Mogliśmy go dręczyć.

On to znosił.

Henry mógł wykopać go z samochodu, bo zobaczył paru kumpli idących do domu w deszczu, a Clay wysiadał i ruszał biegiem. Później, kiedy przejeżdżali obok, krzycząc przez okno: „Przestań się ociągać!”, biegł szybciej. Tommy, który czuł się winny jak jasna cholera, wyglądał przez tylną szybę, a Clay patrzył, aż samochód zniknął z oczu. Widział, jak źle ostrzyżona głowa staje się coraz mniejsza i mniejsza, a było to tak:

Mogło się wydawać, że go trenujemy.

Ale tak naprawdę nawet się do tego nie zbliżyliśmy.

W miarę upływu czasu słowa znaczyły coraz mniej, a metody coraz więcej. Wszyscy wiedzieliśmy, czego chciał, ale nie co zamierzał z tym zrobić.

Do czego, do diabła, przygotowywał się Clay Dunbar?

O szóstej trzydzieści, z tulipanami u stóp, pochylił się w stronę ogrodzenia cmentarza. To miejsce było przyjemne, wysoko, Clay je lubił. Patrzył na słońce, pasące się wśród drapaczy chmur.

Miasta.

To miasto.

Na dole ruch uliczny zaganiano do domów. Światła się zmieniały. Przybył Morderca.

– Przepraszam?

Nic. Mocniej zacisnął ręce na parkanie.

– Młody człowieku?

Odwrócił się i zobaczył starą kobietę, która pokazywała coś palcem i ssała wargi. Musiały być smaczne.

– Miałbyś coś przeciwko? – Miała bezkształtne oczy, zmęczoną sukienkę i pończochy. Upał nic dla niej nie znaczył. – Miałbyś coś przeciwko, gdybym poprosiła o jeden z tych kwiatów?

Clay spojrział w głęboką zmarszczkę nad jej oczami. Podał jej jeden z tulipanów.

– Dziękuję, dziękuję, młody człowieku. Dla mojego Williama.

Chłopak skinął głową i przeszedł za nią przez otwartą bramę, odszukał drogę wśród grobów. Kiedy dotarł na miejsce kucnął wstał, założył ręce na piersi, stanął twarzą do wieczornego słońca. Nie wiedział, ile czasu minęło, nim Henry i Tommy znaleźli się po obu stronach, i pies, z językiem wywieszonym nad epitafiami. Chłopcy stali, niedbale, a jednak sztywno, z rękami w kieszeniach. Gdyby suczka miała kieszenie, z całą pewnością też trzymałaby w nich łapy. Następnie skupili uwagę na pomniku i kwiatach, które wędły w oczach.

– Nie było stokrotek?

Clay popatrzył w jego stronę.

Henry wzruszył ramionami.

– W porządku. Tommy?

– Co?

– Podaj mu, to jego kolej.

Clay wyciągnął rękę. Wiedział, co robić.

Wziął środek czyszczący i popryśkał nim metalową płytę. Następnie rękawem szarego podkoszulka starannie przetrął pomnik.

– Kawalek ominąłeś.

– Gdzie?

– Ślepy jesteś, Tommy, tam, w rogu, PATRZ, oczu nie masz?

Słyszając to, Clay okrężnymi ruchami przetrął całość. Teraz rękaw był czarny – brudne usta miasta. Wszyscy trzej mieli na sobie koszulki bez rękawów i stare szorty. Wszyscy trzej zacisnęli zęby. Henry mrugnął do Tommy'ego.

– Dobra robota, Clay. Czas iść, co? Nie chcemy się spóźnić na główny punkt programu.



Tommy i pies ruszyli się jako pierwsi, jak zawsze.

Później Clay.

Kiedy do nich dołączył, Henry stwierdził:

– Tam dobrzy sąsiedzi, gdzie dobre cmentarze. – Naprawdę, miał mnóstwo tego towaru.

– Nienawidzę tu przychodzić, wiecie o tym, prawda? – powiedział Tommy.

A Clay?

Clay – cichy, uśmiechnięty – jedynie się odwrócił, po raz ostatni, i wpatrzył w skąpaną w słonecznym blasku dzielnicę rzeźb, krzyży i kamieni nagrobnych.

Wyglądały jak puchary dla zdobywców drugiego miejsca.

Co do jednego.

## barbarzyńcy

NA ARCHER STREET NUMER 18 w kuchni doszło do pata.

Morderca wycofał się powoli, w głąb domu. Cisza była niesamowita – ogromny plac zabaw, na którym poczucie winy mogło wywołać spustoszenie, skatować go – ale też zwodnicza. Lodówka brzęczała, muł oddychał, a w środku były też inne zwierzęta. Teraz, kiedy wycofał się do przedpokoju, wyczuwał ruch. Czy zwęszyły Mordercę i polowały na niego?

Mało prawdopodobne.

Nie, zwierzęta w najmniejszym stopniu nie stanowiły zagrożenia – najbardziej bał się dwóch najstarszych z nas.

Ja byłem tym odpowiedzialnym:

Wieloletni żywiciel rodziny.

Rory był tym niepokonanym:

Ludzka kula u nogi.

Około szóstej trzydzieści Rory stał po drugiej stronie ulicy, opierał się o słup telefoniczny, uśmiechał cierpko i tęsknie, uśmiechał tylko dla żartu. Świat był brudny i on też. Po krótkich poszukiwaniach wyjął z ust długi kosmyk dziewczęcych włosów. Kimkolwiek była, była gdzieś tam i leżała z rozłożonymi nogami w głowie Rory'ego. Dziewczyna, której nigdy nie poznamy ani nie zobaczymy.

Przed chwilą wpadł na dziewczynę, którą znaliśmy, dziewczynę imieniem Carey Novac. Zdarzyło się to tuż za jej pojazdem.

Pachniała jak koń i zawołała: „Cześć”.

Zeskoczyła ze starego roweru.

Miała zielone oczy i kasztanowe włosy – całymi milami opadały jej na plecy – i prosiła go o przekazanie wiadomości Clayowi. Chodziło o książkę, jedną z trzech ważnych w tym wszystkim.

– Powiedz mu, że wciąż uwielbiam Buonarrotiego, dobra?

Rory był zaskoczony, ale się nie poruszył. Jedynie jego usta.

– Borna... kogo?

Dziewczyna śmiała się, idąc do garażu.

– Po prostu mu powiedz, dobra? – Później jednak się zlitowała, odchyliła do tyłu, cała piegowata i pewna siebie. Miała w sobie pewną szczodrość gorąca, potu i życia. – No wiesz... Michała Anioła?

– Co takiego?

Teraz czuł się jeszcze bardziej zdezorientowany. Dziewczyna jest świrnięta, pomyślał. Urocza, ale całkiem świrnięta. Kogo obchodzi Michał Anioł?

A jednak ta myśl pozostała.

Odnalazł słup, przez chwilę opierał się o niego, po czym przeszedł na drugą stronę ulicy do domu. Rory był trochę głodny.

Jeśli chodzi o mnie, tkwiłem tam, uwięziony w korku.

Dookoła, przede mną i za mną tysiące samochodów stały w szeregach, kierując się w stronę domów. Fala gorąca wpadała przez okno mojego kombi (które wciąż do mnie należy), a na zewnątrz ciągnął się niekończący pochód billboardów, witryn sklepowych i ludzi. Z każdym ruchem miasto wdzierało się do środka, ale pozostała też charakterystyczna woń drewna, wełny i lakieru.

Wystawiłem przedramię przez okno samochodu.

Ciało miałem jak kłoda.

Moje ręce lepiły się od kleju i terpentyny i marzyłem jedynie o powrocie do domu. Mógłbym wziąć prysznic, zorganizować kolację

i może poczytać albo obejrzeć stary film.

Nie prosiłem o wiele, prawda?

Wrócić do domu i odpocząć?

Żadnych, cholera, szans.

## bernborough

W TAKIE DNI Henry miał zasady.

Po pierwsze musiało być piwo.

Po drugie musiało być zimne.

Z tych powodów zostawił Tommy'ego, Claya i Eos na cmentarzu i zamierzał spotkać się z nimi później, w Bernborough Park.

(Dla tych, którzy nie znają tej okolicy, Bernborough Park to stary stadion lekkoatletyczny. W tamtych czasach składał się z walącej się trybuny i połaci potłuczonego szkła wielkości sporego parkingu. Było to również miejsce najbardziej osławionych treningów Claya).

Zanim Henry wsiadł do samochodu, uznał za konieczne udzielenie Tommy'emu ostatnich wskazówek. Eos też słuchała.

– Jeśli się spóźnię, powiedz im, żeby wstrzymali konie, dobra?

– Jasne, Henry.

– I powiedz, żeby mieli gotowe pieniądze.

– Jasne, Henry.

– Skończyłeś z „jasne, cholerny Henry”, Tommy?

– Skończyłem.

– Jak tak dalej pójdzie, ciebie też tam wystawię przed nim. Chcesz tego?

– Nie, dzięki, Henry.

– Nie mam do ciebie pretensji, dzieciaku.

Zdawkowy uśmiech dobrze wyćwiczonego umysłu. Klepnął Tommy'ego w ucho, zamaszycie, lecz z wyczuciem, po czym złapał Claya.

– A ty... wyświadcz mi przysługę. – Złapał go obiema rękami za twarz. – Nie zostawiaj tych dwojga skurczybyków z tyłu.

W fali pyłu pozostawionej przez samochód suczka spojrzała na Tommy'ego.

Tommy spojrzał na Claya.

Clay nie patrzył na żadne z nich.

Kiedy zajrzał do kieszeni, tak wiele w nim pragnęło znów zerwać się do biegu – ale z miastem rozciągającym się przed nimi, a cmentarzem za plecami, zrobił dwa kroki w stronę Eos i wziął ją pod pachę.

Stał, a suczka się uśmiechała.

Jej oczy lśniły jak pszenica i złoto.

Śmiała się do świata poniżej.

Dotarli na Entreaty Avenue na wielkim wzgórzu, na które przed chwilą się wspiał – i wtedy w końcu ją postawił. Depcząc zgniłe plumerie, dotarli na Poseidon Road: do centrum dzielnicy wyścigów. Zardzewiała mila sklepów.

Tommy marzył o sklepie zoologicznym, ale Clay dałby głowę za inne miejsca, za ulice i pomniki – JEJ.

Lonhro, pomyślał.

Bobby's Lane.

Brukowany plac Peter Pan Square.

Miała kasztanowe włosy i zielone oczy i była uczennicą Ennisa McAndrew. Jej ulubionym koniem był Matador. Jej ulubionym wyścigiem był zawsze Cox Plate. Jej ulubionym zwycięzcą tego wyścigu był potężny Kingston, dobre trzydzieści lat wcześniej. (Najlepsze rzeczy dzieją się przed naszymi urodzinami).

Książką, którą czytała, był *Kamieniarz*.

Jedna z trzech ważnych w tym wszystkim.

W upale Poseidon Road chłopcy i pies skręcili na wschód i wkrótce ujrzeli go nad sobą. Stadion lekkoatletyczny.

Szli, aż wtopili się w niego, przechodząc przez otwór w parkanie.

Czekali na prostej, w słońcu.

W ciągu kilku minut pojawił się zwyczajowy tłum – chłopięce sępy na trupie boiska. Na bieżniach tłoczyły się chwasty. Czerwony tartan odrywał się od powierzchni. Wnętrze porastała dżungla.

– Popatrz. – Tommy pokazał palcem.

Ze wszystkich stron przybywało coraz więcej chłopców, ze wszystkich stron szczytowej chwały pokwitania. Nawet z tej odległości można było zobaczyć ich spalone słońcem uśmiechy i policzyć podmiejskie blizny. Jak również wyczuć ich odór – woń nigdy do końca mężczyzn.

Przez chwilę Clay obserwował ich z zewnętrznego toru. Pili, drapali się pod pachami. Rzucali butelkami. Kilku kopało w odleżyny bieżni. Wkrótce widział już dosyć.

Położył dłoń na ramieniu Tommy'ego i poszedł w cień trybun.

Ich ciemność go pochłonęła.

## grecy\_go\_dopadli

DLA MORDERCY było zawstydzającym pocieszeniem, że resztę zwierząt znalazł w salonie, który często nazywaliśmy gniazdem żalonych zwierzaków Tommy'ego. I oczywiście imiona. Niektórzy powiedzieliby, że dostojne, inni, że absurdalne. Najpierw zobaczył złotą rybkę.

Znów spojrzał z ukosa, w stronę okna, gdzie na stojaku spoczywało akwarium, a ryba rzuciła się do przodu i zatoczyła do tyłu, uderzając w tafłę szkła.

Jej łuski były jak pióra.

Jej ogon jak złociste widły.

AGAMEMNON.

Na dole odpadająca naklejka głosiła jego imię, wypisane zielonym markerem ściśniętym chłopięcym pismem. Morderca znał to imię.

Obok, na zerodowanej kanapie, między pilotem a brudną skarpetką, spał wielki szary kot – kocur o ogromnych czarnych łapach i ogonie jak wykrzyknik. Nosił imię Hektor.

Pod wieloma względami Hektor był najbardziej pogardzanym zwierzęciem w domu, a dzisiaj, w takim upale, leżał zwinięty jak tłuste futrzane C z ogonem wbitym w nie jak włochaty miecz. Kiedy zmieniał pozycję, zrzucał z siebie sterty sierści, ale spał dalej, nieporuszony i mruczący. Wystarczyło, by ktoś do niego podszedł, żeby uruchomić motor. Nawet morderca. Hektor nie był bardzo wymagający.

Wreszcie na regale stała długa, duża klatka dla ptaków.

Wewnątrz przebywał gołąb, czekający w surowym bezruchu, ale szczęśliwy.



Drzwiczki były otwarte na oścież.

Raz czy dwa razy, kiedy wstał i kroczył, jego fioletowa głowa podskakiwała w doskonałym rytmie, poruszał się z wielką ekonomią. To właśnie robił gołąb każdego dnia, kiedy czekał, by usiąść Tommy'emu na ramieniu.

W tamtych dniach nazywaliśmy go Telly.

Albo T.

Ale nigdy, przy żadnej okazji, jego pełnym, doprowadzającym do szału imieniem.

Telemach.

Boże, jak my nie znosiliśmy Tommy'ego za te imiona.

Ale uszło mu to na sucho, by wszyscy rozumieliśmy:

Ten dzieciak wiedział, co robi.

Postąpiwszy kilka kroków do środka, Morderca się rozejrzył.

Wydawało się, że to wszystko:

Jeden kot, jeden ptak, jedna złota rybka, jeden morderca.

I, rzecz jasna, muł w kuchni.

Niezbyt groźna gromadka.

W dziwnym świetle, w zastygłym upale i pośród innych przedmiotów w salonie – zużyty i zmaltretowany stary laptop, poplamione kawą oparcia kanapy, kurhany podręczników na dywanie – Morderca poczuł, że to wznosi się nad nim, tuż za jego plecami. Aż dziw, że nie zawołał „buu!”.

Pianino.

Pianino.

Chryste, pomyślał, pianino.

Drewniane, orzechowe i wyprostowane, stało w rogu z zamkniętą klapą i grubą warstwą kurzu na wierzchu:

Głębokie i spokojne, niesamowicie smutne.

Pianino, i tyle.

Nie dajcie się zwieść pozorom, nie było tak niewinne, na jakie wyglądało, bo oto zaczął nerwowo poruszać lewą stopą. Serce zakłuło go tak boleśnie, że był gotów wypaść przez frontowe drzwi.

Cóż za moment na pierwsze kroki na werandzie.

Był klucz, były drzwi, był Rory i ani chwili, żeby się wyprostować. Wszelkie słowa, na które mógł zdobyć się Morderca, umknęły z jego gardła, w którym nie było też dość powietrza. Jedynie pogłos bijącego serca. Tamten jedynie mu mignął, bo prześlizgnął się przez przedpokój jak błyskawica. Wstydział się, że nie umiał ocenić, kto to był. Rory czy ja?

Henry czy Clay?

Z całą pewnością nie Tommy. Za wielki.

Wyczuł jedynie poruszające się ciało, a teraz z kuchni dobiegł go radosny okrzyk.

– Achilles! Ty bezczelny skurczybyku!

Drzwi lodówki otworzyły się i zamknęły, i wtedy właśnie Hektor podniósł wzrok. Zeskoczył z łoskotem na dywan i rozciągnął tylne łapy w ten drżący koci sposób. Wszedł do kuchni z drugiej strony. Głos natychmiast się zmienił.

– Czego do cholery chcesz, Hektorze, ty tłusta kupo gówna? Jeśli dziś w nocy znów wskoczysz mi na łóżko, to będzie twój koniec, przysięgam. – Szelest toreb z chlebem, otwieranie słoików. I kolejny śmiech. – Stary dobry Achilles, co?

Oczywiście, że go nie wyrzucił. Pomyślał, że zmusi Tommy'ego, żeby to załatwił. Albo jeszcze lepiej, pozwoli, żebym to ja go później znalazł. To by była niezła zabawa – i rzeczywiście była.

Równie szybko, jak przyszedł, w przedpokoju pojawił się kolejny błysk, frontowe drzwi trzasnęły i już go nie było.

Jak możecie sobie wyobrazić, powrót do siebie zajął trochę czasu.

Wiele uderzeń serca, wiele oddechów.

Jego głowa opadła, myśli dziękowały.

Złota rybka uderzała w ścianę akwarium.

Ptak go obserwował, a później maszerował od jednego do drugiego końca, jak pułkownik, a wkrótce powrócił kot – Hektor wkroczył do salonu i usiadł, jakby zajmował miejsce na widowni. Morderca był pewien, że słyszy swój puls – jego zgiełk, tarcie. Czuł go w swoich nadgarstkach.

Pomijając wszystko inne, jedno było pewne.

Musiał usiąść.

Wkrótce zdobył przyczółek na kanapie.

Kot oblizwał się i skoczył.

Morderca obejrzał się i zobaczył go w locie – gruby szary zwał futra i pasków – i przygotował się na jego lądowanie. Przez co najmniej chwilę zastanawiał się, czy powinien pogłaskać kota. Dla Hektora nie miało to znaczenia – mrucał na jego kolanach, jakby chciał zatrząść domem w posadach. Zaczął nawet udeptywać, masakrując uda Mordercy. A teraz przybywał ktoś jeszcze.

Prawie nie mógł w to uwierzyć.

Nadchodzą.

Nadchodzą.

Chłopcy nadchodzą, a oto ja siedzę tutaj z najcięższym udomowionym kotem w historii na kolanach. Równie dobrze mógł utknąć pod kowadłem, i to mruczącym.

Tym razem był to Henry, odsunął włosy z oczu i ruszył zdecydowanym krokiem przez kuchnię. Dla niego było to o wiele mniej zabawne, ale z pewnością ani odrobinę bardziej pilne.

– Tak, dobra robota, Achillesie, dzięki za wspomnienia... Matthew na pewno znów dziś wpadnie w szal.

A jakże!

Następnie otworzył lodówkę i tym razem zachował się uprzejmie.

– Mógłbyś, stary, z łaski swojej odsunąć łeb? Dzięki.

Sięgnął w głąb, coś zabrzączało, po czym wrzucił kilka puszek piwa do przenośnej chłodziarki i wkrótce znów ruszył w drogę, do Bernborough Park, a Morderca pozostał.

Co tu się działo?

Nikt nie mógł wyczuć zabójcy?

Nie, to nie mogło być tak proste. Pozostał zdruzgotany na kanapie, by rozważyć swoją naturalną niewidzialność. Pochwycony – gdzieś między ulgą miłosierdzia a wstydem bezradności – siedział nieruchomo. Wokół niego w wieczornym blasku wirował cyklon kociej sierści. Złota rybka wróciła do wojny ze szkłem, a gołąb maszerował.

Pianino zaś obserwowało go z za pleców.

## ludzka kula u nogi

KIEDY W BERNBOROUGH PARK pojawił się ostatni z nich, ściskali sobie ręce i śmiali się radośnie. Pili w ten nastoletni sposób, chciwie i z szeroko otwartymi ustami. Mówili: „Ej!”, „Hej!” i „Gdzie się podziewałeś, tępy tłumoku?”. Byli mistrzami aliteracji i o tym nie wiedzieli.

Kiedy tylko Henry wyszedł z samochodu, najpierw upewnił się, że Clay jest w przebieralni przy trybunie. Na dole spotkał się z dzisiejszą gromadą – sześciu chłopaków, wszyscy czekali, a miało być tak:

Wyjdą z tunelu.

Każdy z tych sześciu ustawi się wokół długiej na 400 metrów bieżni.

Trzej na 100 metrach.

Dwóch na 200.

I jeden między 300 a metą.

Co najważniejsze, wszyscy będą robić wszystko, co w ich mocy, by nie pozwolić Clayowi na przebiegnięcie jednego okrążenia. Łatwiej powiedzieć, niż zrobić.

A zebrany tłum przyglądał się i próbował obstawić wynik. Każdy wykrzykiwał określony czas i wtedy właśnie do gry wkraczał Henry. Henry, bez żadnych oporów, przyjmował zakłady. Z kawałkiem kredy w rękę i szkolnym stoperem na szyi – był gotów.

Dziś natychmiast, już pod trybuną, opadło go kilkunastu chłopców. Dla Henry'ego wielu z nich nie było nawet prawdziwych – byli ksywkami, do których podczepiono chłopców. Jeśli chodzi o nas,

wszystkich poza dwoma z nich zobaczymy tutaj, opuścimy ich tutaj i na zawsze pozostaną głupcami. To całkiem miłe, jeśli się nad tym zastanowić.

– I co, Henry? – spytał Trędowaty.

Można jedynie żałować gościa z taką ksywką – na całym ciele miał strupy wszelkich kształtów, rozmiarów i kolorów. Najwyraźniej w wieku ośmiu lat zaczął robić głupie rzeczy na rowerze i nigdy nie przestał.

Henry prawie się nad nim zlitował, ale ostatecznie wybrał uśmieszek.

– Co co?

– Jak bardzo jest zmęczony?

– Nie bardzo.

– Wbiegł już po schodach Pierdoły? – Tym razem odezwał się Sapacz. Charlie Drayton. – I na cmentarz na wzgórzu?

– Posłuchajcie, jest w porządku, nic mu nie jest, jest w idealnej formie. – Henry zatarł ręce w oczekiwaniu. – Mamy tu sześciu najlepszych. Nawet Gołego.

– Goły? Ten skurczybyk wrócił, co? To jest warte co najmniej trzydziestu sekund, tak myślę.

– Daj spokój, Pstrąg, Goły tylko gada. Clay przebiegnie obok niego.

– Ile pięter ma ten blok, Pierdo?

– Pięć – odparł Henry – a ten klucz zaczyna trochę rdzewieć, staruszk. Załatw nam nowy, a może nawet pozwolę ci postawić za darmo.

Pierdoła, z kręconymi włosami i okrągłą twarzą, oblizał wydatne wargi.

– Co? Serio?

– No dobra, może połowę.

– Ej – powiedział gość zwany Widmem – jak to możliwe, że PIERDO dostaje darmowy zakład?

Henry przerwał im, zanim było cokolwiek do przerywania.

– NIESTETY, Widmo, ty biedny blady skurczybyku, Pierdo ma coś, co możemy wykorzystać, jest użyteczny. – Podszedł do niego i dodał: – Ty z kolei jesteś BEZużyteczny.

– W porządku, Henry, co powiesz na to? – Pierdoła próbował ugrać więcej. – Możesz dostać MÓJ klucz, jeśli dasz mi trzy zakłady gratis.

– GRATIS? Co ty, jesteś cholernym Francuzem?

– Wątpię, żeby Francuzi mówili GRATIS, Henry. Myślę, że to raczej niemiecki.

Gdzieś z tyłu dobiegł głos, Henry odszukał mówiącego.

– Czy to ty, Chewie, ty włochaty skurczybyku? Ostatnio nie mówiłeś po angielsku! – Zwrócił się do reszty. – Wierzycie temu koszmarnemu futowi?

Zaśmiali się.

– Niezły tekst, Henry.

– I nie myślcie, że „niezły tekst, Henry” przyniesie wam jakąś korzyść.

– Hej, Henry – znów odezwał się Pierdoła. – A co powiesz...

– JEZU!

Jego głos wybuchł wściekłością, ale Henry udawał złość, nie złościł się tak naprawdę. W wieku siedemnastu lat wytrzymał większość z tego, co mogło przynieść życie Dunbara, i zawsze wychodził z tego z uśmiechem. Miał też słabość do śród w Bernborough i chłopców, którzy przyglądali się z parkanu. Podobało mu się, że dla nich było to najważniejsze wydarzenie połowy tygodnia, a dla Claya jedynie kolejna rozgrzewka.

– Dobra, skurczybyki, kto pierwszy? Dziesięć z góry albo wypierdalać!

Skoczył na popękaną ławkę.

Zakłady były różne, od 2:17 do 3:46, do donośnego 2:32. Kawałkiem zielonej kredy Henry zapisywał imiona i czasy na betonie u ich stóp, obok zakładów z poprzednich tygodni.

– Dobra, Szpaner, dawaj, wystarczy już.

Szpaner, zwany też Vongiem, czyli Kurt Vongdara, męczył się przez dłuższą chwilę. Niewiele rzeczy traktował bardzo poważnie, ale to była najwyraźniej jedna z nich.

– Dobra. Skoro jest tam Goły, niech będzie, cholera... 5:11.

– Jezu. – Przykucnięty Henry uśmiechnął się. – I pamiętajcie, chłopaki, żadnej zmiany zdania albo zamazywania kredy...

Wtedy zobaczył coś.

Kogoś.

Minęli się o kilka minut, w domu w kuchni, ale teraz go zobaczył – twardego i charakterystycznego, z ciemnordzawymi włosami, oczami w kolorze złomu, żującego gumę. Henry był zachwycony.

– Co się dzieje? – zabrzmiało zbiorowe pytanie. – Co to? Co...

Henry skinął w górę, co zbiegło się z głosem, który osiadł wśród kredy.

– Panowie...

I przez chwilę każdy z chłopców miał na twarzy absolutnie bezcenną minę „o, cholera”, a później wszyscy rzucili się do dzieła.

Wszyscy zmienili zakłady.



## sygnał dymny.

DOBRA, koniec z tym.

Miał dosyć.

Ponury, przepełniony winą i żalem, Morderca podjął decyzję – mogliśmy nim gardzić, ale nie zignorować. Z drugiej strony, jego następne posunięcie wydawało się też podyktowane dobrymi manierami – że skoro wszedł do domu bez pozwolenia, naprawdę powinien nas ostrzec:

Zdjął Hektora z kolan.

Podszedł do pianina.

Zamiast otworzyć klapę przykrywającą klawisze (za nic nie mógł TEGO ZROBIĆ), odsłonił od góry struny, a to, co znalazł, było może nawet gorsze – gdyż tam, w środku, na starej niebieskiej wełnianej sukience leżały dwie książki w kolorze węgla. W kieszeni znajdował się jeden z guzików, a pod sukienką było to, czego szukał: paczka papierosów.

Powoli ją wyjął.

Zgiął się wpół.

Walczył, by się podnieść i wyprostować.

Z wysiłkiem znów zamknął pianino i wrócił do kuchni. Wyciągnął zapalniczkę z szuflady na sztuce i stanął przed Achillesem.

– Niech to szlag.

Po raz pierwszy odważył się odezwać. Morderca uświadomił sobie teraz, że muł nie był gotów do ataku, więc zapalił i ruszył w stronę zlewu.

– Równie dobrze mogę pozmywać naczynia.

## idioci

ŚCIANY PRZEBIERALNI pokrywało smutne graffiti – amatorska twórczość z gatunku żenujących. Clay siedział na bosaka i ignorował je. Przed nim Tommy wyciągał źdźbła trawy z sierści na brzuchu Eos, ale collie po chwili podeszła bliżej. Delikatnie zacisnął dłoń na jej pysku.

– Dunbar.

Przewidywalnie, było tam jeszcze sześciu chłopaków, każdy w swoim kącie upstrzonym graffiti. Pięciu z nich rozmawiało i żartowało ze sobą. Szósty afiszował się z dziewczyną – chłopak zwierzę zwany Gołym.

– Ej, Dunbar.

– Co?

– Nie ty, Tommy, ty cholerny półgłówku.

Clay podniósł wzrok.

– Masz.

Goły rzucił rolką taśmy malarskiej i trafił go w pierś. Kiedy upadła na podłogę, Eos podniosła ją i złapała w zęby. Clay patrzył, jak suczka szamocze się z taśmą, a Goły gadał dalej:

– Nie chcę, żebyś miał jakieś usprawiedliwienia, kiedy zrobię z tobą porządek, to wszystko. A poza tym mam wyraziste wspomnienia z czasów, kiedy byliśmy młodszy, a ty odstawiłeś ten numer z taśmą. Do tego tam jest mnóstwo potłuczonego szkła. Nie chcę, żebyś sobie pokaleczył te śliczne nóżki.

– Powiedziałeś WYRAZISTE? – spytał Tommy.

– To łobuz już nie może mieć bogatego słownictwa? Powiedziałem też PÓŁGŁÓWEK, a to doskonale pasuje do takich jak ty.

Gołemu i dziewczynie bardzo spodobał się ten tekst, a Clay nic nie mógł poradzić na to, że poczuł do niej trochę sympatii. Przyglądał się jej szmince i brudnemu uśmiechowi. Podobał mu się także pasek jej biustonosza, zsuwający się na ramię. Nie przeszkadzało mu, że tamta dwójka się dotykała i w pewien sposób ocierała – jej krocze na jego udzie, nogi po obu stronach. To była ciekawostka, nic więcej. Po pierwsze, dziewczyna nie była Carey Novac. Po drugie to nic osobistego. Dla tych na zewnątrz chłopcy w środku byli trybikami w pięknej maszynie, występłą rozrywką. Dla Claya – współpracownikami w konkretnym projekcie. Jak bardzo mogli go skrzywdzić? Jak wiele mógł przeżyć?

Wiedział, że wkrótce wyjdą, więc teraz odchylił się do tyłu, zamknął oczy i wyobraził sobie Carey obok, ciepło i światło jej ramion. Piegi na jej twarzy jak ukłucia – takie głębokie i czerwone, ale małe – jak diagram albo nawet lepiej, dziecięcy rysunek „połącz kropki”. Na kolanach trzymała książkę w jasnych okładkach, którą dzielili, z brązowym i popękany tytułem: KAMIENIARZ.

Podtytuł głosił: *Wszystko, co chcieliście wiedzieć o Michelangelo Buonarrotim – niekończący się kamieniołom wielkości*. W środku, na samym początku, znajdował się ślad po wyrwanej kartce – tej z biogramem autora. Zakładką był pasek z niedawnych zakładów:

Royal Hennessey, gonitwa 5

#2 – Matador

Zwycięstwo: \$1

Wkrótce wstała i nachyliła się w jego stronę.

Uśmiechała się w ten swój sposób zdradzający zainteresowanie, jakby stawała twarzą w twarz z całym światem. Podeszła bliżej i trzymając książkę między nimi, położyła swoją dolną wargę na jego górnej, zaczęła:

– „Wtedy właśnie zrozumiał, że to był świat, a był on jedynie wizją”.

Kiedy cytowała jego ulubioną kartkę, jej wargi dotykały jego – trzy razy, cztery razy, niech będzie pięć – a teraz cofnęły się lekko.

– Sobota?

Skinienie głową, bo w sobotni wieczór, za trzy kolejne dni, mieli się spotkać w rzeczywistości na jego drugim ulubionym zapomnianym polu. W miejscu zwanym The Surrounds. Tam, w tamtym miejscu, mieli leżeć. Jej włosy mogły go łaskotać godzinami. Ale nigdy ich nie odsunął ani nie poprawił.

– Clay. – Znikała. – ...Nadszedł czas.

Ale on nie chciał otworzyć oczu.

Tymczasem chłopak ze sterczącymi zębami, którego nazywali Fretką, wypadł, a Rory, jak zawsze, wszedł na jego miejsce. Kiedykolwiek przychodził – w imię starych dobrych czasów – tak się właśnie działo.

Przeszedł tunelem i wkroczył do przygnębiającej przebieralni, a wtedy nawet Goły przestał odstawiać swój teatrzyk z dziewczyną. Rory uniósł palec i przycisnął go do ust. Szorstkim gestem zmierzwił czuprynę Tommy’ego i stał teraz nad Clayem. Przyjrzał mu się uważnie, z uśmiechem, od niechcienia, swoimi bezcennymi oczami o barwie złomu.

– Ej, Clay. – Nie mógł się powstrzymać. – Wciąż siedzisz w tym gównie, co?

A Clay odpowiadał uśmiechem, musiał.

Uśmiechał się, ale nie podnosił wzroku.

– Gotowi, chłopcy?

Henry, ze stoperem w ręce, dał im znać.

Kiedy Clay wstał, Tommy go spytał – wszystko było jedynie częścią rytuału.

Wskazał od niechcienia jego kieszeń.

– Mam ci popilnować, Clay?

Clay się nie odezwał, ale powiedział mu.

Odpowiedź zawsze była taka sama.

Nawet nie potrząsnął głową.

Pozostawili za sobą graffiti.

Wyszli z tunelu.

Nabrali kształtu w świetle.

Po obu stronach areny znajdowało się około dwóch tuzinów idiotów, którzy ich oklaskiwali. Idioci klaszczący idiotom, coś wspaniałego. Było to coś, co ta banda umiała najlepiej.

– Dalej, chłopaki!

Ciepłe głosy. Klaszczące dłonie.

– Biegnij, Clay! Wbijaj te nogi, synu!

Za trybuną utrzymywał się żółty blask.

– Nie zabij go, Rory!

– Walnij go, Golas, ty paskudny skurczybyku!

Śmiech. Goły się zatrzymał.

– Ej. – Wskazał palcem i zacytował film: – Może poćwiczę na tobie.

„Paskudny skurczybyk” zupełnie mu nie przeszkadzał, ale nie mógł znieść „Golasa”. Obejrzał się za siebie i zobaczył, że jego dziewczyna wspina się na drewniane siedzenia trybuny. Nie chciała mieć nic wspólnego z resztą tej hołoty, jeden z pewnością wystarczył. Ruszył masywną sylwetką, żeby dogonić pozostałych.

Przez chwilę wszyscy stali na prostej, ale chłopcy z przebieralni wkrótce odeszli. W pierwszej trójce byli Rządki, Maguire i Dzwoneczek – dwaj zwinni i silni, a trzeci chłop jak dąb, żeby go zadusić.

Na dwustu metrach mieli stać Schwartz i Goły, jeden skończony dżentelmen, a drugi licencjonowane zwierzę. Problem ze Schwartzem polegał na tym, że choć był absolutnie, bezwzględnie uczciwy, w walce miazdżył. Później rozpływał się w białych uśmiechach i klepał po plecach. Ale przy siatce do rzutu dyskiem miał go walnąć jak pociąg.

Hazardziści też się ruszyli.

Przenieśli się w górę, na najwyższe siedzenia trybuny, by spojrzeć poza pole wewnętrzne.

Chłopcy na bieżni byli przygotowani:

Uderzali w mięśnie czworogłowe.

Rozciągali ramiona i klepali się po nich.

Na setnym metrze stali na sąsiednich torach. Otaczała ich wspaniała aura, ich nogi płonęły. Za nimi zachodziło słońce.

Na dwustu metrach Schwartz kręcił głową. Jasne włosy, jasne brwi, skupione oczy. Obok niego Goły splunął na bieżnię. Zarost na jego twarzy był brudny i czujnie stanął dęba na policzkach. Włosy przypominały wycieraczkę. Znow popatrzył i splunął.

– Hej. – Schwartz nie odrywał wzroku od setki. – Za chwilę możemy w tym wylądować.

– No i co?

I wreszcie na prostej, może pięćdziesiąt metrów od końca, stał Rory, całkiem swobodnie, jakby to było rozsądne – takie właśnie miało być.

## chusteczka magika

W KOŃCU hałas silnika.

Drzwi samochodu trzasnęły jak zszywacz.

Morderca próbował nad tym zapanować, ale jego puls trochę przyspieszył, czuł go na szyi. W desperacji niemal poprosił Achillesa o życzenie mu szczęścia, ale muł wydawał się dość bezbronny – parsknął i poruszył kopytem.

Kroki na werandzie.

Chrobot klucza przekręcanego w zamku.

Natychmiast poczułem dym.

W wejściu moje usta opuściła bezgłośnie długa litania przekleństw. Wstrząs i przerażenie, jak chusteczka magika, skryły mile niezdecydowania i parę bezkrwistych rąk. Co robić? Co robić, do diabła?

Jak długo tam stałem?

Jak wiele razy rozważałem odwrócenie się i wyjście?

W kuchni (o czym dowiedziałem się o wiele później) Morderca wstał cicho z miejsca. Odetchnął dusznym powietrzem. Spojrzał z wdzięcznością na muła:

Nawet nie waż się teraz mnie opuszczać.



## uśmiechnięty

...TRZY... DWA... JEDEN... start.

Stoper trzasnął, a Clay ruszył.

Ostatnio zawsze tak robili – Henry’emu podobało się, jak w telewizji wysyłano narciarzy w dół zbocza i przyjął tę samą metodę.

Jak zwykle Clay zaczął odliczanie w pewnej odległości od linii. Był niewzruszony, z obojętną miną, a jego białe stopy czuły się doskonale. Jak NA RAZIE uderzały posłusznie w linię. Dopiero kiedy zaczął biec, poczuł dwie łyzy, pogryzione i palące, wzbierające w jego oczach. Dopiero wtedy jego pięści się zacisnęły – był gotów stawić czoło tej brygadzie idiotów, temu straszliwemu nastoletniemu światu. Nigdy więcej go nie zobaczy ani nie stanie się jego częścią.

Chwasty u jego stóp kołysały się w lewo i prawo, a później usuwały mu z drogi. Wydawało się, że nawet oddech opuszcza go, by uciec. Na jego twarzy wciąż nie malowały się żadne uczucia. Jedynie dwa zakrzywione ślady łez, wysychające, gdy przebiegał pierwszy łuk, zbliżając się do Rządkiego, Maguire’a i Dzwoneczka. Clay wiedział, jak im zrobić krzywdę. Miał jedną lub dwie z większości rzeczy, ale również tysiąc łokci.

– Tutaj.

Zbliżyli się do niego pewnie.

Na torze czwartym spotkali się z nim, z jego smrodliwym potem i przedramionami, choć jego nogi wciąż przecinały na ukos powietrze. Jakimś sposobem zachował impet. Jego prawa ręka wbiła się w gumę, później w kolano. Rzucił Maguire’a za siebie, uderzył Rządkiego

w twarz. Przez chwilę widział mgłę w oczach biedaka i popchnął go na ziemię, mocno.

Wtedy Brian „Dzwoneczek” Bell, zwany również Panem Pulchnym, spadł na niego z żarłocznym łupnięciem. Ręka otaczająca szyję, obfita pierś na plecach. Szepnął, gorąco i szorstko:

– Mam cię.

Clay nie lubił, kiedy ktoś tak do niego szeptał. Niezbyt mu się też podobało „mam cię”, więc po chwili wśród chwastów leżał bardzo smutny worek. Worek z krwawiącym uchem.

– Kuźwa!

Chłopak zniknął.

Tak, Dzwoneczek został porzucony, ale dwaj pozostali wrócili, jeden ranny, drugi silny – wciąż im było mało. Clay odbił się od toru. Oddalił. Odzyskał drugą prostą.

Teraz spoglądał na pozostałych dwóch, którzy nie spodziewali się go tak szybko.

Schwartz przygotował się.

Goły znów splunął. Ten gość był cholerną fontanną. Rzygaczem!

– Dalej!

Z krtani Gołego ryknął potwór wzywający do ataku. Powinien wiedzieć, że Clay nie da się zastraszyć ani rozjuszyć. W tle pierwsi trzej chłopcy kulili się, byli teraz tylko niewyraźnymi kształtami, kiedy on skręcił w bok, a później zmienił tor. Celował bardziej w Gołego, który już nie pluł, ale się odwracał. Zareagował w ostatniej chwili, by zacześć palcem o sam skraj szortów Claya, a później oczywiście przybył Schwartz.

Zgodnie z obietnicą Schwartz walnął go jak pociąg.

Ekspres o 2:13.

Jego starannie zaczesana grzywka przekrzywiła się, kiedy go pogrzebał, w połowie na torze pierwszym, w połowie pośród chwastów, a Goły dokończył kolanami. Zarostem skrwawił policzek Claya. Uszczypnął go, kiedy kopali się i drapali pośród krwi, przepychanek i piwnego oddechu Gołego. (Boże, ta biedna dziewczyna na trybunach).

Ich pięty uderzały w tartan, jakby się dusili.

Z trybun, jak z odległości wielu mil, dobiegła ich skarga:

– Nic, do cholery, nie widzę!

Gdyby to na polu wewnętrznym potrwało dłużej, musieliby podbiec do łuku.

Wśród zarośli Bernborough Park rozegrało się dużo szarpaniny, ale Clay zawsze znajdował sposób. Dla niego po wszystkim nie było zwycięstwa ani przegranej, ani czasu, ani pieniędzy. Nieważne, jak bardzo go krzywdzili, nie mogli naprawdę go skrzywdzić. Nieważne, jak mocno go trzymali, nie mogli go utrzymać. A w każdym razie nie mogli zrobić mu WYSTARCZAJĄCO dużej krzywdy.

– Przyciśnij to kolano!

Rozsądna sugestia Schwartza, ale za późno. Wolna rzepka oznaczała wolnego Claya, udało mu się odepchnąć, przeskoczyć nad setkami kilogramów u stóp i przyspieszyć.

Rozlegały się wiwaty i gwizdy.

Stado posiadaczy ksywek zbiegło z trybun na bieżnię. Z tej odległości ich krzyki wydawały się przytłumione – brzmiały bardziej jak piosenki w jego sypialni, kiedy przychodził nocny wiatr z południa – a jednak byli tam, tak samo jak Rory.

Clay miał dla siebie sto pięćdziesiąt metrów rudoczerwonej nawierzchni. Jego serce dudniło, suche ślady po łzach popękały.

Biegł w stronę opornego światła, jego upartych, zwalistych promieni.

Wpatrzył się w swoje kroki, w elastyczną szerokość tartanu.

Biegł w stronę krzyków chłopców, którzy wołali z cienia trybun. Gdzieś tam była ta dziewczyna o czerwonych wargach i jej niedbałe, niesforne ramiączko. W tej myśli nie było seksualnego kontekstu, jedynie nuta rozbawienia. Celowo rozmyślał o niej, bo wkrótce miało się zacząć cierpienie. Nieważne, że nigdy wcześniej nie dotarł tu tak szybko. Nic. To nic nie znaczyło, ponieważ oto tam, pięćdziesiąt metrów od mety, stał teraz Rory, jak pogłoska.

Zbliżając się, Clay wiedział, że powinien być zdecydowany. Wahanie by wszystko zaprzepaściło. Płochliwość mogła go zabić. Niedługo przed ich spotkaniem, na dalekim prawym skraju pola widzenia, dostrzegł dwudziestu czterech chłopaków wydających bezładne okrzyki. Prawie zrujnowali trybuny, a przed nimi mignął mu Rory. Był jak zawsze surowy i cierpki.

A Clay?

Walczył z pokusą, by uskoczyć – w lewo lub w prawo. Prawie na niego wpadł i jakimś cudem przeszedł na drugą stronę. Czuł ciało brata – czuł jego miłość i kochaną złość. Doszło do kolizji między chłopcem a ziemią i już tylko jedna stopa była przytrzymywana. Jedna ręka zaciśnięta na kostce była jedyną barierą między Clayem a czymś od dawna uważanym za nieosiągalne. Nie dało się minąć Rory'ego. Nigdy. A jednak oto był, ciągnął go za sobą. Odchylił się do tyłu, by odepchnąć go dłonią. Jego ramię zeszywniało, ale cal albo dwa od twarzy Rory'ego niczym tytan z głębin uniosła się ręka. Uścisk dłoni z piekła rodem miażdżył palce Claya bez najmniejszego wysiłku i szarpnął go w dół.

Dziesięć metrów od mety uderzył w bieżnię. I co z tą nieważkością Rory'ego? Taka już była ironia jego przezwiska. Ludzka kula u nogi sugerowała nieznośny ciężar, ale wydawał się bardziej mgiełką. Człowiek się odwrócił i on tam był, ale nim wyciągnęło się rękę, nie

pozostawało nic. Już był gdzie indziej, zagrażając z przodu. A ciężar zdawały się mieć jedynie głębia i rdza jego włosów, i twarde spojrzenie stalowoszarych oczu.

Teraz trzymał go mocno, na czerwonej, zagrzebanej bieźni. Głosy schodziły w ich stronę, chłopców i składającego się nieba.

– Dalej, Clay. Jezu, dziesięć metrów, jesteś prawie u celu.

Tommy:

– Co by zrobiła Zola Budd, Clay? Co by zrobił Skrzydlaty Szkot?

Walcz z nim aż do mety!

Eos warknęła.

Henry:

– Naprawdę cię zaskoczył, co, Rory?

Kolejny głos nie-Dunbara, do Tommy'ego:

– Kim, do diabła, jest Zola Budd? I Fruwający Szkot, skoro o tym mowa?

– Skrzydlaty.

– Nieważne.

– Możecie się zamknąć? Tu się biją!

Często tak się działo, kiedy zaczynała się walka.

Chłopcy czekali, przyglądali się i trochę żalowali, że sami w tym nie uczestniczą, ale w istocie czuli piekielną wdzięczność, że tak jest. Rozmowa służyła jako wentyl bezpieczeństwa, bo w tej dwójce, splecionej na bieźni, z papierowymi płucami i oddechem, było coś trochę makabrycznego.

Clay się przekręcił, ale Rory tam był.

Tylko raz, po kilku minutach, prawie się uwolnił, ale znów został powstrzymany. Tym razem widział, prawie czuł metę.

– Osiem minut – powiedział Henry. – Clay, masz dosyć?

Powstał szorstki, ale pewny korytarz – umieli okazać szacunek. Gdyby któryś z chłopaków wyciągał telefon, żeby nakręcić filmik albo

zrobić zdjęcie, inni rzuciliby się na niego i spuścili mu solidne manto.

– Clay? – spytał Henry odrobinę głośniej. – Dość?

Nie.

Jak zawsze zostało to powiedziane bez wypowiedzania, bo jeszcze się nie uśmiechał.

Dziewięć minut, dziesięć, wkrótce trzynaście i Rory rozważał uduszenie go – ale wtedy, blisko piętnastej minuty, Clay w końcu się rozluźnił, odchylił do tyłu głowę i bardzo słabo uśmiechnął. Jako mglistą nagrodę, przez nogi wszystkich chłopaków, zobaczył w cieniu dziewczynę z ramiączkiem stanika i w ogóle.

– Dzięki Bogu – westchnął Rory.

Padł na bok i patrzył, jak Clay – bardzo powoli, na jednej ręce, bo drugą ciągnął za sobą – wlecze się do mety.

## mordercza muzyka

WZIAŁEM SIĘ w garść.

Zdecydowanie wszedłem do kuchni – a tam, przy lodówce, stał Achilles.

Stojąc obok góry czystych naczyń, patrzyłem to na mordercę, to na muła, i z powrotem, zastanawiając się, którym z nich zająć się najpierw.

Mniejsze zło.

– Achillesie. – W tej irytacji, w tym znużeniu, musiało być wielkie opanowanie. – Na litość boską, czy te skurczybyki znów zostawiły otwarte tylne drzwi?

Muł, w zgodzie ze swoją naturą, wytrzymał to z kamiennym pyskiem.

Obcesowo i ze znużeniem, zadał dwa zwyczajowe pytania.

Co?

Co w tym takiego niezwykłego?

Miał rację – to był czwarty czy piąty raz w tym miesiącu. Pewnie prawie rekord.

– Tutaj.

Zająłem się nim szybko, złapałem za kudłaty kark.

Przy drzwiach odezwałem się do Mordercy, nie odwracając się.

Nie odwracając się, ale beznamiętnie.

– Lepiej, żebyś wiedział, że jesteś następny.

## jak huragan

MIASTO BYŁO CIEMNE, ale ożywione.

Samochód był w środku cichy.

Wcześniej wyjęli piwo, podzielili się nim.

Rzadki, Dzwoneczek, Maguire.

Schwartz i Goły.

Wszyscy zgarnęli trochę gotówki, tak samo dzieciak zwany Trędotatym, który postawił na czternaście minut. Kiedy zaczął się przechwalać, kazali mu załatwić sobie przeszczep skóry. Henry zatrzymał resztę. Wszystko to wydarzyło się pod różowym i szarym niebem. Najlepsze graffiti w mieście.

W pewnym momencie Schwartz opowiadał im o pluciu na dwustu metrach i dziewczyna zadała pytanie. Pętała się z Gołym na parkingu.

– Co jest nie tak z tym gościem, do diabła? – W pytaniu nie było jednak pytania, miało się pojawić w ciągu paru chwil. – Tak biega. Tak walczy. – Zastanowiła się i prychnęła. – Co to w ogóle za głupia gra? Jesteście bandą debili.

– Debile – powiedział Goły – dzięki wielkie.

Objął ją, jakby to był komplement.

– Hej, kochanie!

Henry.

Dziewczyna i rzygacz się odwrócili, a Henry uśmiechnął się krzywo.

– To nie gra, to trening!

Oparła dłoń na biodrze i wiecie, jakie pytanie zadała dziewczyna z opadającym ramiączkiem, a Henry dał z siebie wszystko.



– Dalej, Clay, oświeć nas. Do czego trenujesz?

Ale Clay tym razem odwrócił się od jej ramienia. Zadrapany policzek pulsował – pozdrowienia od zarostu Gołego. Sprawną ręką przeszukał kieszeń, bez pośpiechu – i kucnął.

Należy wspomnieć, że to, do czego dokładnie trenował nasz brat, było tajemnicą również dla niego. Wiedział jedynie, że pracuje i czeka na dzień, kiedy się dowie – a tym dniem było dzisiaj. Czekają na niego w domu, w kuchni.

Carbine Street i Empire Lane, a później długi odcinek Poseidon.

Clay zawsze lubił drogę do domu.

Lubił ćmy zbierające się wysoko i ciasno na swoich stanowiskach przy latarniach. Zastanawiał się, czy noc je ekscytuje, czy koi i uspokaja – przynajmniej dawała im cel. Ćmy wiedziały, co robić.

Wkrótce dotarli do Archer Street.

Henry: prowadzi jedną ręką i się uśmiecha.

Rory: nogi na desce rozdzielczej.

Tommy: na wpół śpi przytulony do dyszącej szybko Eos.

Clay: nieświadom, że to już.

W końcu Rory nie mógł już tego dłużej wytrzymać.

– Cholera, Tommy, czy ten pies musi tak cholernie głośno dyszeć?

Trzech się roześmiało, krótko i mocno.

Clay wyglądał przez okno.

Może byłoby stosowne, gdyby Henry prowadził samochód niedbale, wparował gwałtownie na podjazd, ale tak się nie stało.

Kierunkowskaz przy domu pani Chilman, sąsiadki.

Spokojny skręt przy naszym domu – najłagodniejszy, na jaki pozwalał jego samochód.

Wyłączone światła.

Otwierające się drzwi.

Tylko odgłos zamykanego samochodu zmałował całkowity spokój. Cztery szybkie strzały z drzwi w stronę domu, i wszyscy ruszyli prosto do kuchni.

Razem przeszli przez trawnik.

– Czy ktoś z was skurczybyków wie, co jest na kolację?

– Resztki.

– Zgadza się.

Ich stopy zaorały werandę.

– Nadchodzą – powiedziałem – więc możesz przygotować się do wyjścia.

– Rozumiem.

– Niczego nie rozumiesz.

A wtedy właśnie próbowałem zrozumieć, dlaczego pozwoliłem mu zostać. Załedwie kilka minut wcześniej, kiedy wyjaśnił mi, po co przyszedł, mój głos odbił się rykoszetem od naczyń i sięgnął prosto do gardła Mordercy.

– Chcesz zrobić CO?

Może chodziło o przekonanie, że sprawy zostały już wprawione w ruch, wszystko i tak miało się wydarzyć, a jeżeli nadeszła ta chwila, niech to się stanie teraz. Poza tym mimo żalostnego stanu Mordercy wyczuwałem coś jeszcze. Determinację, i jasne, wyrzucenie go byłoby taką przyjemnością – och, chwycić go za ramię. Zmusić do wstania. Wypchnąć za drzwi. Chryste Panie, toby było cholernie piękne! Ale jednocześnie by nas odsłoniło. Morderca mógłby uderzyć ponownie, kiedy mnie nie będzie w okolicy.

Nie. Lepiej w taki sposób.

Najlepszym sposobem zapanowania nad tym byłby pokaz siły naszej piątki.

Dobra, stop.

Niech będzie czwórka i jeden zdrajca.

Tym razem zorientowali się od razu.

Henry i Rory mogli wcześniej nie wyczuć niebezpieczeństwa, ale teraz dom był go pełen. W powietrzu unosiła się kłótnia i woń wypalonego papierosa.

– Cii. – Henry cofnął rękę i szepnął: – Ostrożnie.

Szli korytarzem.

– Matthew?

– Tutaj.

Mój głos, głęboki i zdradzający namysł, potwierdzał wszystko.

Przez kilka chwil wszyscy czterej patrzyli po sobie, czujni, zdezorientowani, a każdy przeglądał jakiś wewnętrzny katalog w poszukiwaniu kolejnego stosownego posunięcia.

Znowu Henry:

– Wszystko w porządku, Matthew?

– Doskonale. Chodźcie tutaj.

Wzruszyli ramionami, otworzyli dłonie.

Nie mieli teraz powodu, by nie wejść, i jeden po drugim ruszyli w stronę kuchni, gdzie światło przypominało ujście rzeki. Zmieniało się z żółtego w białe.

Stałem wewnątrz z założonymi rękami obok zlewu. Za mną były naczynia, czyste i błyszczące, jak rzadkie muzealne eksponaty.

Po lewej, przy stole, był on.

Boże, czy to słyszysz?

Ich serca?

Kuchnia była teraz małym kontynentem, a czterej chłopcy stali na ziemi niczyjej, przed swego rodzaju grupową migracją. Kiedy dotarli do zlewu, trzymaliśmy się blisko, a Eos gdzieś między nami. To zabawne,

jacy są chłopcy – nie przeszkadzał nam dotyk, ramiona, łokcie, knykie, ręce, i wszyscy patrzyliśmy na naszego zabójcę, który siedział samotnie przy stole. Całkowity wrak człowieka.

Co można było pomyśleć?

Pięciu chłopców, skłębione myśli i Eos pokazująca zęby.

Tak, pies instynktownie też nim gardził i to ona przerwała ciszę – zawarczała i przesunęła się ostrożnie w jego stronę.

Ze złośliwym spokojem wskazałem palcem.

– Eos.

Zatrzymała się.

Morderca wkrótce otworzył usta.

Ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

Światło było białe jak aspiryna.

Wtedy kuchnia zaczęła się otwierać, przynajmniej dla Claya. Reszta domu się oderwała, a podwórko zapadło w nicość. Miasto, przedmieścia i wszystkie zapomniane pola zostały zrównane z ziemią i odrabane, w jednym apokaliptycznym ruchu – czarne. Dla Claya istniała tylko ta kuchnia, która w jeden wieczór urosła ze strefy klimatycznej do całego kontynentu, i teraz składały się na nią:

Świat stołu i toster.

Bracia i pot przy zlewie.

Przytłaczająca gorąca atmosfera, ziarnista, jak powietrze przed huraganem.

Morderca wyglądał, jakby odpłynął w zamyśleniu, ale wkrótce znów zakotwiczył w rzeczywistości. Teraz, pomyślał, musisz zrobić to teraz. I tak też zrobił, podjął się ogromnego wysiłku. Wstał, a w jego przygnębieniu było coś przerażającego. Niezliczone razy wyobrażał sobie tę chwilę, ale przybył tu wydrażony. Jak skorupa po wszystkim,

czym był. Równie dobrze mógł wypaść z szafy albo wyłonić się spod łóżka.

Potulny i pogubiony potwór.

Koszmar senny, nagle świeży.

Ale wtedy – raptownie miarka się przebrała.

Złożono bezgłośnie deklarację i ani sekundy dłużej nie mogli dalej znosić lat niezmiennego cierpienia; łańcuch popękał i został zerwany. Kuchnia doświadczyła już wszystkiego, co zdołała znieść tego dnia, czas zamarł na pięciu ciałach zwróconych ku niemu. Pięciu chłopców stojących ramię w ramię, ale teraz jeden był sam, odsłonięty – bo nie dotykał już żadnego z braci – podobało mu się to, a jednocześnie nie mógł tego znieść. Przyjmował to i opłakiwał. Nie pozostało nic innego, jak tylko podjąć ten krok, w stronę jedynej czarnej dziury w kuchni.

Sięgnął do kieszeni, a kiedy znów wyjął rękę, były w niej odłamki – trzymał je na dłoni. Ciepłe, czerwone i plastikowe – kawałki połamanej klamerki do bielizny.

A później co pozostało?

Clay się odezwał, jego głos w ciszy, z ciemności do światła.

– Cześć, tato.

część druga

miasta

+

WODY

## błędna dziewczyna

NIEGDYŚ, W ODMĘTACH PRZESZŁOŚCI Dunbarów, była sobie kobieta o wielu imionach, a cóż z niej była za kobieta.

Po pierwsze imię, z którym się urodziła: Penelopa Lesciuszko.

Później to nadane jej przy pianinie: Błędna Dziewczyna.

W drodze nazywali ją Urodzinową Dziewczyną.

Sama mówiła o sobie Panna Młoda ze Złamanym Nosem.

I wreszcie imię, z którym umarła: Penny Dunbar.

Całkiem stosownie, przybyła z miejsca, które najlepiej opisywała fraza z książek, na jakich się wychowywała.

Przybyła z mokrego pustkowia.

Przed wielu laty, jak tak wielu przed nią, przybyła z walizką i zmrużonymi oczyma.

Była zdumiona tutejszym brutalnym światłem.

Tym miastem.

Było takie gorące i szerokie, i białe.

Słońce było barbarzyńcą, wikingiem na niebie.

Kładło swoje łapy na wszystkim, od najwyższego betonowego słupa do najmniejszego czepka w wodzie.

W jej dawnym kraju, w bloku wschodnim, słońce było przede wszystkim zabawką, gadżetem. Tam, w tamtym odległym kraju, rządziły chmury i deszcze, lód i śnieg – nie tamto zabawne żółte coś, co od czasu do czasu pokazywało twarz, a jego ciepłe dni były racjonowane. Nawet w najsuchsze, najbardziej jałowe popołudnia

istniała szansa na wilgoć. Mżawka. Mokre stopy. Była to komunistyczna Europa w szczycie powoli chylącego się rozkwitu.

Na wiele sposobów ją to zdefiniowało. Ucieczka. Samodzielność.

Albo, co bardziej istotne, samotność.

Nigdy nie zapomniała lądowania w tym miejscu i czystej grozy.

Z powietrza, w kołującym samolocie, miasto wydawało się zdane na litość swojej własnej wody (tej słonej), ale na ziemi nie minęło wiele czasu, nim poczuła pełną siłę prawdziwego ciemiezcy, a jej twarz od razu pokryły krople potu. Stała w stadzie, tłumie – nie, hałastrze – równie wstrząśniętych i lepkich ludzi.

Po długim oczekiwaniu zostali otoczeni. Zapędzono ich na swego rodzaju wewnętrzny pas kołowania. Światła były jarzeniowe – wszystkie co do jednego. Powietrze od podłogi do sufitu paliło.

– Nazwisko?

Nic.

– Paszport?

– *Przepraszam?*<sup>[\*]</sup>

– Jezu. – Mężczyzna w mundurze wspiął się na palce i popatrzył ponad głowami i hordami nowych imigrantów. Cóż za banda żalonych, spoconych twarzy. Odnalazł człowieka, którego szukał. – Hej, George! Bilski! Mam tu kogoś dla ciebie.

Ale kobieta, która miała prawie dwadzieścia jeden lat, a wyglądała na szesnaście, pochwyciła wzrokiem jego twarz. Trzymała szarą książeczkę, jakby zamierzała ją zadusić.

– Paszporrt.

Uśmiech rezygnacji.

– W porządku, moja droga. – Otworzył go i zaatakował zagadkę jej nazwiska. – Leskazna- CO?

Penelopa mu pomogła, nieśmiała, lecz wyzywająca.

– Les-ciusz-ko.



Nikogo tu nie znała.

Ludzie, którzy spędzili z nią dziewięć miesięcy w obozie w górach Austrii, odeszli. Podczas gdy ich wysyłano, rodzinę po rodzinie, na zachód przez Atlantyk, Penelopę Lesciuszko czekała dłuższa podróż, a teraz była tutaj. Pozostało tylko udać się do obozu, nauczyć się lepiej angielskiego, znaleźć pracę i mieszkanie. A później, co najważniejsze, kupić regał na książki. I pianino.

Te nieliczne rzeczy były wszystkim, czego pragnęła od tego nowego świata, płonącego przed nią, i w swoim czasie dostała je wszystkie. Dostała je, zgadza się, i o wiele więcej.

Z pewnością spotkaliście na tym świecie pewnych ludzi, usłyszeliście ich historie nieszczęść i zastanawialiście się, co zrobili, by na to zasłużyć.

Nasza matka, Penny Dunbar, była taką właśnie osobą.

Rzecz w tym, że ona sama nigdy nie nazwałaby się pechową – założyłaby gęste jasne włosy za ucho i twierdziła, że niczego nie żałuje – że zyskała o wiele więcej, niż kiedykolwiek utraciła, a wielka część mnie się z tym zgadza. Inna część uświadamia sobie, że pech zawsze ją odnajdował, najczęściej przy różnych kamieniach milowych:

Jej matka umarła przy porodzie.

Złamała nos dzień przed ślubem.

A później, oczywiście, umieranie.

Jej umieranie było czymś godnym zobaczenia.

Kiedy się urodziła, wiek oraz ciśnienie przysporzyły kłopotów – jej rodzice byli dość starzy – a po wielu godzinach walki i operacji skorupa ciała jej matki pozostała zdruzgotana i martwa. Jej ojciec, Waldek Lesciuszko, pozostał zdruzgotany, lecz żywy. Wychował córkę najlepiej jak umiał. Był motorniczym tramwaju i charakteryzowało go wiele

cech i dziwactw, dzięki którym ludzie porównywali go nawet nie do samego Stalina, ale do jego pomnika. Może chodziło o wąsy. Może o coś więcej. Najpewniej chodziło o jego sztywność albo jego milczenie, bo było to milczenie wręcz przerysowane.

W jego życiu prywatnym znaczące były jednak również inne rzeczy, na przykład posiadał trzydzieści dziewięć książek, a na punkcie dwóch z nich miał obsesję. Może dlatego, że wychował się w Szczecinie, blisko Bałtyku, a może dlatego, że kochał mity greckie. Tak czy inaczej, zawsze do nich wracał – dwóch epopei, w których bohaterowie wypływali na morze. Stacjonowały w kuchni, na nieco wypaczonej, długiej półce, pod H.

*Iliada. Odyseja.*

Podczas gdy inne dzieci kładły się spać, słuchając historyjek o szczeniaczkach, kotkach i konikach, Penelopa dorastała z „szybkonogim Achillesem”, „przemysłnym Odyseuszem” i wszystkimi innymi imionami i przydomkami.

Był „Zeus chmurowładny”.

„Śmiech kochająca Afrodyta”.

„Przerażenie wzbudzający Hektor”.

Jej imienniczka, „wierna Penelopa”.

Syn Penelopy i Odyseusza, „roztropny Telemach”.

I zawsze jej ulubiony:

„Agamemnon, król mężów”.

Przez wiele nocy leżała w łóżku i unosiła się na obrazach Homera i ich licznych powtórzeniach. Raz za razem, Grecy spychali swe okręty na „morze ciemne jak wino” albo wypływali na „mokre pustkowienie”. Żeglowali w stronę „Eos różanopalcej”, a cicha dziewczyna była urzeczona, jej papierowa twarz się rozświeciła. Głos ojca nadchodził coraz mniejszymi falami, aż w końcu usypiała.

Trojanie mogli powrócić następnego dnia.

Długowłosi Achajowie mogli zepchnąć swoje okręty, by następnej nocy znów ją zabrać.

Ponadto Waldek Lesciuszko dał swojej córce jeszcze jedną życiową umiejętność – nauczył ją grać na pianinie.

Wiem, co możecie sobie myśleć:

Nasza matka była świetnie wykształcona.

Greckie dzieła do snu?

Lekcje muzyki klasycznej?

Ale nie.

To były pozostałości innego świata, innych czasów. Niewielka kolekcja książek otrzymana w spadku była właściwie jedynym dobytkiem jej rodziny.

Pianino było wygraną w karty. Ani Waldek, ani Penelopa nie wiedzieli jeszcze, że obie te rzeczy okażą się kluczowe.

Jeszcze bardziej zbliżą do niego dziewczynę.

A później oddalą na dobre.

Mieszkali na drugim piętrze.

W bloku jak wszystkie inne.

Z odległości wydawali się jednym światłem w betonowym Goliacie.

Z bliska mieszkanie było oszczędne, ale ciasne.

Przy oknie stał wyprostowany instrument – czarny i krzepki, gładki jak jedwab – i o regularnych porach, rano i wieczorem, stary mężczyzna siadał z nią, emanując aurą surowości i spokoju. Jego sparaliżowany wąs stacjonował stanowczo między nosem a ustami. Poruszał się jedynie, gdy przerzucał dla niej stronę.

Jeśli chodzi o Penelopę, grała, skupiając się na nutach, nie mrugnawszy nawet okiem. Z początku były to dziecinne piosenki,

a później, kiedy wysyłał ją na lekcje, na które nie mógł sobie pozwolić, Bach, Mozart i Chopin. Często w tym czasie ćwiczeń mrugał jedynie świat na zewnątrz. Zmieniał się z mroźnego w smagany wiatrem, rozjaśniał do ponurego. Dziewczynka uśmiechała się, kiedy zaczynała. Jej ojciec odchrząkał. Metronom tykał.

Czasami słyszała jego oddech, gdzieś wśród muzyki. Przypominał jej, że żył, nie był rzeźbą, jak żartowali ludzie. Nawet kiedy wyczuwała jego rosnącą złość z powodu jej najnowszego nawału błędów, ojciec pozostawał uwieczony, z wyrazem twarzy zastygłym między kamiennym spokojem a ogromnym wkurzeniem. Choć raz chciała zobaczyć jego wybuch – jak uderza dłonią w udo albo szarpie posiwiałą czuprynę. Nigdy tego nie zrobił. Przyniósł jedynie gałązkę świerka i oszczędnym gestem uderzał w jej knykcie za każdym razem, kiedy opadły jej ręce albo popełniła inny błąd. W pewien zimowy poranek, gdy wciąż była bladym i płochliwym dzieckiem, oberwała dwadzieścia siedem razy, za dwadzieścia siedem muzycznych błędów. A ojciec dał jej przydomek.

Pod koniec lekcji, ze śniegiem padającym na zewnątrz, przerwał jej granie i wziął ją za ręce, wysmagane, małe i ciepłe. Ścisnął je, ale łagodnie, w swoich monumentalnych palcach.

– *Już wystarczy* – powiedział – *błędna dziewczyno...*

Co ona przetłumaczyła dla nas jako:

– *Wystarczy, błędna dziewczyno.*

Wtedy miała osiem lat.

Kiedy miała lat osiemnaście, postanowił ją wydostać.

Dylematem, rzecz jasna, był komunizm.

Jeden wspaniały pomysł.

Tysiąc ograniczeń i wad.

Dorastając, Penelopa tego nie zauważała.

Bo jakie dziecko by to zrobiło?

Przez lata nie uświadamiała sobie, jak bardzo strzeżono tego miejsca i czasu. Nie dostrzegała, że choć wszyscy byli równi, tak naprawdę wcale nie byli. Nie podnosiła wzroku na betonowe balkony i nie widziała, w jaki sposób ludzie patrzą, obserwują.

Na górze mroczyła polityka, rząd zajmował się wszystkim, od pracy poprzez portfel po to, co ludzie myśleli i w co wierzyli – a w każdym razie to, co ludzie MÓWILI, że myślą i w co wierzą. Jeśli kogoś choć mgliście podejrzewano o przynależność do *Solidarności*, musiał się liczyć, że za to zapłaci. Jak mówiłem, ludzie obserwowali.

Prawda jest taka, że to zawsze był trudny kraj, i smutny. Kraj najeżdżany ze wszystkich możliwych kierunków, we wszystkich możliwych stuleciach. Gdyby jednak trzeba było wybierać, należało powiedzieć, że bardziej niezłomny niż smutny, a czasy komunizmu niczym się nie różniły. Ostatecznie wówczas człowiek przechodził od jednej długiej kolejki do drugiej, po wszystko, od leków przez papier toaletowy, po kurczące się zapasy żywności.

A co mieli zrobić ludzie?

Stali w kolejce.

Czekali.

Temperatura spadła poniżej zera. Nic się nie zmieniało.

Ludzie stali w kolejce.

Czekali.

Bo musieli.

Co sprowadza nas z powrotem do Penelopy i jej ojca.

Dla dziewczynki to wszystko nie miało większego znaczenia, a przynajmniej jeszcze nie.

Dla niej to było zwykłe dzieciństwo.

Pianino i zamrożone place zabaw, i Walt Disney w sobotnie wieczory – jedno z licznych małych ustępstw ze strony świata, który leżał daleko i na zachodzie.

Jej ojciec zaś był ostrożny.

Czujny.

Chodził ze spuszczoną głową i skrywał wszystkie idee polityczne w cieniu swoich ust, ale nawet to nie było większym pocieszeniem. Trzymanie się z dala od kłopotów, kiedy cały system wokół się załamywał, gwarantowało jedynie przeżycie trochę dłużej, ale nie przeżycie. Lody niekończącej się zimy wreszcie topniały, po czym powracały w rekordowym tempie, a człowiek znów pracował:

Nocne, przydzielone godziny.

Przyjacielski, choć nie miał przyjaciół.

I w domu:

Milczący, ale pełen namysłu.

Czy istnieje droga wyjścia?

Pojawiła się odpowiedź, została rozwinięta.

Zdecydowanie nie dla niego.

Ale może dla dziewczyny.

Jeśli chodzi o lata pomiędzy, cóż jeszcze można powiedzieć?

Penelopa dorastała.

Jej ojciec wyraźnie się starzał, jego wąsy nabrały odcienia popiołu.

Gwoli sprawiedliwości, czasem przychodziły dobre chwile, wspaniałe chwile – a choć Waldek był stary i surowy, może raz do roku zaskakiwał córkę i ścigał się z nią do tramwaju. Zwykle w drodze na jedną z tych płatnych lekcji muzyki albo na występ. W domu, na początku jej szkoły średniej, odgrywał rolę sztywnego i opanowanego partnera w sali tanecznej ich kuchni. Garnki brzęczały. Rozchwierutany taboret się przewracał. Noże i widelce uderzały

o ziemię, dziewczyna się śmiała, a i mężczyzna – w końcu – się uśmiechał. Najmniejszy parkiet taneczny na świecie.

Jednym z najwyraźniejszych wspomnień Penelopy były jej trzynaste urodziny. Wracali do domu przez plac zabaw. Czuła się zbyt dorosła na coś takiego, ale i tak usiadła na huśtawce. Wiele dziesięcioleci później przywołała to wspomnienie raz jeszcze, dla czwartego z pięciu synów – tego, który kochał opowieści. Działo się to w ostatnich miesiącach jej życia, kiedy na poły spała, a na poły odlatywała na morfinie, na kanapie.

– Od czasu do czasu – mówiła – wciąż widzę topniejący śnieg, blade, niewykończone budynki. Słyszę hałaśliwe łańcuchy. Czuję jego rękawiczki na plecach. – Jej uśmiech był wtedy wymuszony, twarz w rozsypce. – Pamiętam, jak krzyczałam ze strachu, gdy wzniosłam się zbyt wysoko. Błagałam, żeby przestał, ale tak naprawdę nie chciałam, żeby to zrobił.

I to właśnie sprawiło, że wszystko było takie trudne:

Kolorowe serce wśród całej tej szarości.

Dla niej z perspektywy czasu oznaczało to nie oswobodzenie, ale PORZUCENIE. Nie chciała pozostawić ojca jedynie z jego przyjaciółmi, greckimi marynarzami, choć bardzo ich kochał. Bo przecież do czego by się nadał Achilles szybkonogi w tej krainie lodu i śniegu? W końcu zamarzlby na śmierć. A jak Odyseusz mógł być na tyle przemyślny, by zapewnić mu towarzystwo niezbędne do utrzymania go przy życiu?

Odpowiedź była dla niej jasna.

Nie mógł.

Ale później, oczywiście, stało się.

Skończyła osiemnaście lat.

Zaczęły się przygotowania do jej ucieczki.

Zajęło mu to dwa długie lata.

Na powierzchni spraw wszystko szło dobrze – ukończyła szkołę z dobrymi wynikami i pracowała w miejscowej fabryce jako sekretarka. Sporządzała protokoły ze wszystkich zebrań i była odpowiedzialna za każde pióro. Przekładała wszystkie papiery i wiedziała, gdzie są wszystkie zszywacze. To było jej stanowisko, jej miejsce, a z pewnością było dużo o wiele gorszych.

W tamtym czasie zaczęła również działać w różnych zespołach muzycznych, towarzyszyła ludziom tu i tam, grywała też solo. Zachęcana przez Waldka wkrótce zaczęła podróżować z występami. Ograniczenia nie były już tak surowo przestrzegane, ze względu na ogólny chaos, ale również (co bardziej przerażające) na świadomość, że choć ludzie zawsze mogli wyjechać, mieli rodziny, które ZOSTAWAŁY. Tak czy inaczej, Penelopa czasami dostawała zgodę na pobyt za granicą, a raz nawet na wydostanie się poza żelazną kurtynę. Ani przez chwilę się nie zastanawiała, że jej ojciec zasiał nasiono jej ucieczki – sama w sobie była szczęśliwa.

Ale kraj upadał.

Półki w sklepach były niemal całkowicie puste.

Kolejki stały coraz dłuższe.

Wiele razy, w mrozie, a później śniegu z deszczem i deszczu, stali razem, całymi godzinami, czekając, a kiedy docierali do celu, nic już nie pozostało – i on wkrótce zrozumiał. Wiedział.

Waldek Lesciuszko.

Pomnik Stalina.

W gruncie rzeczy była to ironia losu, bo nie powiedział ani słowa. Zdecydował ZA nią, zmusił ją, by była wolna, a w każdym razie narzucił jej ten wybór.

Hołubił swój plan, dzień po dniu, a teraz nadeszła chwila.

Zamierzał wysłać ją do Austrii, do Wiednia, by zagrała na koncercie – *eisteddfod* – i postawić sprawę jasno, że ma nigdy nie wracać.



I to był właśnie nasz początek, chłopaków Dunbarów.

---

[\*] Wszystkie słowa zapisane kursywą występowały w oryginale w językach innych niż angielski, w tym w języku polskim (przyp. tłum.).

## the surrounds

OTO WIĘC BYŁA, nasza matka.

Lód i śnieg, przed tak wielu laty.

A popatrzcie tutaj, na Claya, w odległej przyszłości.

Co możemy powiedzieć o nim?

Gdzie i jak następnego dnia znów zaczęło się życie?

W rzeczywistości było to całkiem proste, ale wiele wciąż jeszcze pozostawało w ukryciu:

Obudził się w największej sypialni w mieście.

Dla Claya było doskonałym, kolejnym dziwnym, ale uświęconym miejscem – łóżko na polu, wśród ognia świtu i odległych dachów; a dokładniej stary materac, który leżał spłowiały na ziemi.

Tak naprawdę przychodził tam często (a zawsze w sobotnie wieczory), ale od wielu miesięcy nie został aż do rana, na polu za naszym domem. Mimo wszystko był to dziwnie uspokajający rytuał – ten materac przetrwał o wiele dłużej, niż powinien.

Tak więc wszystko wydawało się normalne, kiedy otworzył oczy.

Wszędzie panowała cisza, świat był nieruchomy jak obraz.

Ale wtedy wszystko zatoczyło się w jego stronę i przewróciło.

Co ja narobiłem?

Oficjalnie nazywano je The Surrounds.

Jeden tor treningowy i jedna przylegająca do niego stajnia.

Ale to było przed laty, w innym życiu.

W tamtych czasach przybywali tu wszyscy splukani właściciele, walczący o przetrwanie trenerzy i kiepscy dżokeje, by pracować i się modlić:

Jeden leniwy sprinter. Jeden naprawdę wytrzymały koń. Proszę, na miłość boską, czy choć jeden z nich mógłby się wznieść ponad tę bandę?

Tym, co dostali, był wyjątkowy prezent od Związku Dżokejów.

Zajęcie zadłużonej nieruchomości. Dewastacja.

Planowano ją sprzedać, ale proces trwał już od prawie dziesięciu lat i – co było typowe dla miasta – nic z niego jeszcze nie wyszło. Pozostała jedynie pustka – ogromny, nierówny padok i ogród rzeźb z porzuconych domowych sprzętów:

Niespokojne telewizory. Poturbowane pralki.

Katapultowane kuchenki mikrofalowe.

Jeden wytrzymały materac.

Wszystko to i więcej jeszcze stacjonowało po całej okolicy, a choć większość ludzi postrzegała je jako kolejny przykład zaniedbania, dla Claya stanowiło pamiątkę, wspomnienie. W końcu to tu Penelopa wyrzała za płot i postanowiła zamieszkać na Archer Street. To tu pewnego dnia staliśmy wszyscy razem, z zapałką płonąca na zachodnim wietrze.

Warto również zauważyć, że od czasu, gdy Surrounds zostało opuszczone, trawa zbyt nie urosła. Była przeciwieństwem tej z Bernborough Park, niska i wychudzona w niektórych miejscach, wysoka do kolan i żyłasta w innych – tu właśnie obudził się Clay.

Po wielu latach, kiedy go o to spytałem, milczał przez dłuższą chwilę. Spojrzał na mnie ponad stołem.

– Nie wiem, może po prostu była za smutna, żeby rosnąć... – Ale przerwał w tym miejscu. Poczul, że to sentymentalna przemowa. – Właściwie, zapomnij, że to w ogóle powiedziałem.

Ale nie mogę.

Nie mogę zapomnieć, bo nigdy nie pojme:  
Jednej nocy znalazł tam czyste piękno.  
I popełnił swój największy błąd.

Ale powróćmy do tamtego ranka – pierwszy dzień po przybyciu Mordercy, Clay leżał skulony, a później się wyprostował. Słońce nie tyle wzeszło, ile go uniosło, a w lewej kieszeni jego dzinsów, pod połamaną klamerką, było coś lekkiego i wąskiego. Postanowił na razie to zignorować.

Leżał na materacu.

Wydawało mu się, że ją usłyszał...

Ale jest przecież ranek, pomyślał, i czwartek.

W takich chwilach myślenie o niej bolało:

Włosy na jego szyi.

Usta.

Kości, pierś, a w końcu oddech.

– Clay. – Odrobinę głośniej: – To ja.

Ale musiał poczekać na sobotę.

## plakała całą drogę do wiednia

ZNÓW TAM JEST – w przeszłości, całkowicie nieświadoma – ponieważ Waldek Lesciuszko nie zdradził się nawet oddechem z tym, co planował.

Ten człowiek był skrupulatny.

Całkowicie uśpiony.

Koncert w Wiedniu?

Nie.

Często zastanawiałem się, jak musiał się czuć – kupował jej obowiązkowy bilet powrotny, choć wiedział, że jedzie tylko w jedną stronę. Zastanawiałem się, jak to było kłamać, skłonić ją, by złożyła wniosek o paszport, co było konieczne przed każdym wyjazdem, nawet krótkim. Penelopa to zrobiła, jak zawsze.

Jak wspominałem, już wcześniej koncertowała.

Jeździła do Krakowa. Gdańska. NRD.

Raz udała się do małego miasta o nazwie Nebenstadt, na zachód od żelaznej kurtyny, lecz nawet ono leżało o rzut beretem od wschodu. Koncerty zawsze były ważnymi imprezami, jednak nieprzesadnie ważnymi, bo była pianistką piękną i błyskotliwą, ale nie OLŚNIEWAJĄCĄ. Zwykle wyjeżdżała sama i zawsze wracała o wyznaczonej godzinie.

Aż do tej pory.

Tym razem ojciec namówił ją, żeby wzięła większą walizkę i drugą kurtkę. W nocy dołożył trochę bielizny i skarpetek. Wsunął również

kopertę do książki – czarnej książki w twardej oprawie, jednej z dwóch. W kopercie były słowa i pieniądze:

List i dolary amerykańskie.

Książki następnie owinięto szarym papierem.

Na wierzchu, szerokim pismem, napisał: *DLA BŁĘDNEJ DZIEWCZYNY, KTÓRA NAJLEPIEJ GRA CHOPINA, A W DRUGIEJ KOLEJNOŚCI MOZARTA I BACHA.*

Kiedy rano podniosła walizkę, od razu zauważyła, że jest cięższa. Chciała ją otworzyć, ale powiedział:

– Dodałem mały prezent na drogę, a tobie się spieszy. – Ponaglił ją do wyjścia. – Otworzysz w pociągu.

A ona mu uwierzyła.

Miała na sobie niebieską wełnianą sukienkę z dużymi, płaskimi guzikami.

Jasne włosy sięgały jej do połowy pleców.

Jej twarz była spokojna i łagodna.

I te jej dłonie – gładkie i chłodne i idealnie czyste.

Zupełnie nie wyglądała jak uchodźca.

Na stacji było dziwnie, bo mężczyzna, który nigdy nie okazał po sobie odrobiny emocji, nagle zadrżał i miał wilgotne oczy. Po raz pierwszy jego niezłomne wąsy wydawały się bezbronne.

– *Tato?*

– To cholerne zimno.

– Ale dziś wcale nie jest tak zimno.

Miała rację, było przyjemnie i słonecznie. Padający z wysoka blask posrebrzał miasto w całej jego wspaniałej szarości.

– Kłócisz się ze mną? Nie powinniśmy się kłócić przed wyjazdem.

– Tak, *tato*.

Kiedy pociąg wjechał na stację, ojciec się cofnął. Patrząc wstecz, wyraźnie widać, że ledwie się trzymał, od środka rozrywał kieszenie. Szarpał je, żeby odwrócić uwagę, zapanować nad uczuciami.

– *Tato, przyjechał.*

– Widzę. Jestem stary, nie ślepy.

– Mieliśmy się nie kłócić.

– A teraz znów się ze mną kłócisz!

Nigdy nie podnosił tak głosu, ani w domu, a już zwłaszcza w miejscach publicznych, to nie miało sensu.

– *Przepraszam, tato.*

Wtedy się ucałowali, w oba policzki, i po raz trzeci w prawo.

– *Do widzenia.*

– *Na razie. Do zobaczenia.*

Wcale nie.

– *Tak, tak. Na razie.*

Przez resztę życia czuła niezmierną ulgę, że kiedy wsiadła do pociągu, odwróciła się i powiedziała:

– Nie wiem, jak będę grać bez twojego karcenia gałązką.

Mówiła tak za każdym razem.

Stary mężczyzna pokiwał głową, ledwie pozwalając, by zobaczyła, jak jego twarz rozpada się i zmienia, wodnista jak Morze Bałtyckie.

Bałtyk.

Zawsze tak to sobie tłumaczyła. Twierdziła, że twarz jej ojca zmieniła się w wodę. Głębokie zmarszczki, oczy. Nawet wąsy. Wszystko to zatoneło w słonecznym blasku i zimnej, zimnej wodzie.

Przez dobrą godzinę wyglądała przez okno przedziału na mijającą ją Europę Wschodnią. Cały czas myślała o ojcu, ale dopiero kiedy zobaczyła innego mężczyznę – który trochę przypominał Lenina – przypomniała sobie o prezencie. Walizce.

Pociąg turkotał dalej.

Najpierw zauważyła bieliznę i skarpetki, później szarą paczuszkę, ale nadal nie dodała dwóch do dwóch. Zapakowanie dodatkowych ubrań mogła tłumaczyć nadgorliwością starszego mężczyzny, a kiedy przeczytała notkę o Chopinie, Bachu i Mozarcie, zalało ją szczęście.

Ale wtedy otworzyła paczkę.

Zobaczyła dwie czarne książki.

Obie miały na okładkach angielskie tytuły.

Na obu na górze napisano „Homer”, a poniżej odpowiednio *The Illiad, The Odyssey*.

Kiedy przejrzała pierwszą i znalazła kopertę, uświadomiła sobie wszystko, nagle i boleśnie. Podniosła się i szepnęła „nie” do na wpół zajętego pociągu.

*Kochana Penelopo!*

*Wyobrażam sobie, że czytasz ten list w drodze do Wiednia i od razu mówię – nie oglądaj się za siebie. Nie wracaj. Nie przyjmę Cię z otwartymi ramionami, a raczej odepchnę. Sądzę, że widzisz, że czeka Cię teraz inne życie, inny sposób bycia.*

*W tej kopercie są wszystkie dokumenty, których potrzebujesz. Kiedy przyjedziesz do Wiednia, nie jedź taksówką do obozu. Za dużo kosztuje i przybędziesz za szybko. Jest autobus, który Cię tam zawiezie. Poza tym nie mów, że chcesz wyjechać z przyczyn ekonomicznych. Mów jedynie, że boisz się represji ze strony rządu.*

*Spodziewam się, że nie będzie łatwo, ale Ci się uda. Przeżyjesz i będziesz żyła, a pewnego dnia mam nadzieję, że znów się spotkamy, a Ty przeczytasz mi te książki po angielsku – bo spodziewam się, że tym językiem będziesz mówiła. Jeśli okaże się, że nigdy nie wrócisz, proszę Cię, byś przeczytała je swoim dzieciom, jeśli to właśnie ma się tam wydarzyć, na morzu ciemnym jak wino.*



*Chcę powiedzieć jeszcze, że na całym świecie tylko jedną osobę  
uczyłem grać na pianinie, a choć robiłaś wiele błędów, była to dla mnie  
przyjemność i przywilej. To właśnie kochałem najbardziej.*

*Z poważaniem i wyrazami miłości*

*Waldemar Lesciuszko*

I co byście zrobili?

Co byście powiedzieli?

Penelopa, Błędna Dziewczyna, jeszcze przez kilka sekund stała, a później powoli osunęła się z powrotem na miejsce. Bezgłośnie drżała, z listem w rękach i dwiema czarnymi książkami na kolanach. Zaczęła cicho płakać.

W twarz mijającej ją Europy, Penelopa Lesciuszko wypłakiwała swoje zbłąkane, milczące łzy. Płakała całą drogę do Wiednia.

## siły zostają pokazane

CLAY NIGDY NIE BYŁ PIJANY, więc nigdy nie miał kaca, ale wyobrażał sobie, że to pewnie takie uczucie.

Głowa leżała obok, podniósł ją.

Siedział przez chwilę, po czym spelzł z materaca i znalazł na trawie ciężką foliową płachtę. Zdrętwiały i drżącymi rękami przykrył nią łóżko, podwinął pod spód i ruszył w stronę parkanu – obowiązkowego białego ogrodzenia pola, składającego się z samych drążków, bez słupków – i oparł twarz o drewno. Odetchnął płonącymi dachami.

Przez długi czas próbował zapomnieć:

Mężczyzna przy stole.

W tle cichy zgiełk braci i wyczuwana zdrada.

Ten jego most brał początek w wielu chwilach, ale tam, tamtego ranka na Surrounds, brał początek głównie w poprzedniej nocy.

Osiem godzin wcześniej, kiedy Morderca wyszedł, przez dziesięć minut panowała niezręczna cisza. Żeby ją przerwać, Tommy rzucił:

– Jezu, wyglądał na ledwo ciepłego.

Uniósł Hektora do serca. Kot mruczał, pręgowany kłęb.

– Zasługiwał, żeby wyglądać o wiele GORZEJ – powiedziałem mu.

– Co za garnitur. – I jeszcze: – A kogo to obchodzi, idę do pubu – powiedzieli, jeden po drugim, Henry i Rory.

Stali jak stopione żywioly, jak złączone piasek i rdza.

Clay, oczywiście, który słyszał z tego, że mówi wszystko, nie mówiąc nic – nic nie powiedział. Pewnie dość już mówił jak na jedną noc. Przez

chwilę zastanawiał się, dlaczego teraz? Dlaczego TERAZ wrócił do domu? Ale wtedy przypomniał sobie datę. Siedemnasty lutego.

Włożył obolałą rękę do niedużego wiaderka z lodem, a drugą trzymał z dala od zadrapania na twarzy, choć dotykanie go kusiło. Przy stole byliśmy on i ja, walcząc w milczeniu. Dla mnie jedno było jasne – musiałem się martwić tylko o jednego brata, tego, który siedział przede mną.

Cześć, tato, na litość boską.

Patrzyłem na lód, dryfujący wokół jego nadgarstka.

Będiesz potrzebować wiadra dużego jak ty, chłopcze.

Nie powiedziałem tego, ale byłem pewien, że Clay wyczytał to z mojej twarzy, bo przegrał bitwę i na ranie pod okiem położył dwa palce jak spusty. Ten niemy mały skurczybyk nawet lekko pokiwał głową, tuż przed tym, jak sterta czystych naczyń, w całej swej cudacznej wysokości, zawałiła się do zlewu.

Co nie przerwało impasu, o nie.

Ja nadal patrzyłem.

Clay wciąż trzymał palce.

Tommy odstawił Hektora, posprzątał naczynia, po chwili wrócił z gołębiem (T spoglądał z jego ramienia) i jeszcze szybciej wyszedł. Zajrzał do Achillea i Eos – oboje wygnanych na tyły, na werandę. Starannie zamknął drzwi.

Oczywiście, wcześniej, kiedy Clay wypowiedział te dwa brzemienne w skutki słowa, wszyscy pozostali staliśmy za nim, jak świadkowie na miejscu zbrodni. Makabrycznej. Pochwyceni i opuchnięci mogliśmy myśleć o wielu rzeczach, ale pamiętam tylko jedną.

Straciliśmy go na dobre.

Byłem jednak gotów do walki.

– Masz dwie minuty – powiedziałem, a Morderca powoli pokiwał głową. Przesunął się na krzesło, które zazgrzytało o podłogę. – No mów. Dwie minuty to mało czasu, staruszk.

Staruszk?

Morderca na jednym oddechu zapytał i się poddał. BYŁ staruszką, starym wspomnieniem, zapomnianą ideą – a choć osiągnął wiek średni, dla nas wydawał się martwy.

Położył dłonie na stole.

Z trudem wydobył głos.

Wypowiadał się na raty, niezręcznie zwracając się do pomieszczenia.

– Potrzebuję, no, albo właściwie to się zastanawiałem... – Nie brzmiał już jak on, dla żadnego z nas. Pamiętaliśmy go trochę na lewo albo na prawo. – Jestem tu, żeby poprosić...

I Bogu niech będą dzięki za Rory'ego, bo przysmażonym głosem, który brzmiał tak samo jak zawsze, wyrzucił z siebie pełnokrwistą odpowiedź na bojaźliwe jąkanie naszego ojca.

– Na litość boską, wyduś z siebie to kurewstwo!

Zamarliśmy.

Wszyscy, na chwilę.

Ale wtedy Eos znów szczerknęła i byłam ja i „ucisz tego cholernego psa” i gdzieś, w samym środku, słowa:

– Dobra, posłuchajcie. – Morderca znalazł drogę wyjścia. – Nie będę marnować więcej czasu i wiem, że nie mam prawa, ale przyjechałem, bo mieszkam teraz daleko, w głębi kraju. To kawał ziemi i jest tam rzeka, a ja buduję most. Bolesnie się przekonałem, że rzeka wylewa. Można zostać uwięzionym po jednej stronie i... – Głos był pełen drzazg, jakby w gardle miał kołek. – Będę potrzebował pomocy, żeby go wybudować i chciałbym spytać, czy któryś z was...

– Nie. – Byłem pierwszy.

Morderca znów pokiwał głową.

– Ty to masz kurewski tupet. – To Rory, na wypadek, gdybyście się nie domyślili.

– Henry?

Na mój znak Henry odparł, jak to on, przyjaźnie, nawet w obliczu całej zniewagi.

– Nie, dzięki, gościu.

– On nie jest twoim gościem. Clay?

Clay potrząsnął głową.

– Tommy?

– Nie.

Jeden z nas kłamał.

Zapadła bolesna cisza.

Stół między ojcem a synami był jak pustynia pełna suchych okruchów grzanek. Pośrodku stała solniczka i pieprzniczka nie od kompletu, jak duet komików. Jeden korpulentny. Jeden wysoki.

Morderca skinął głową i wyszedł.

Wcześniej wyjął niewielką kartkę papieru i położył ją na tej kompanii okruchów.

– Mój adres. Na wypadek, gdybyście zmienili zdanie.

– Idź. – Założyłem ręce na piersi. – I zostaw papierosy.

Adres został od razu porwany.

Wrzuciłem go do drewnianej skrzynki obok lodówki, w której znajdowały się różne butelki i stare gazety.

Siedzieliśmy, staliśmy, opieraliśmy się.

Cicha kuchnia.

Co mogliśmy powiedzieć?

Czy przeprowadziliśmy znaczącą pogawędkę o potrzebie jeszcze silniejszej jedności w takich sytuacjach?

Oczywiście, że nie.

Wypowiedzieliśmy kilka zdań, po czym Rory, kierujący się do pubu, wyszedł jako pierwszy. The Naked Arms. Po drodze na chwilę położył ciepłą i wilgotną dłoń na głowie Claya. W pubie pewnie usiadł tam, gdzie kiedyś siedzieliśmy wszyscy razem – nawet Morderca – tego wieczoru, którego nigdy nie zapomnimy.

Później Henry wyszedł tylnym wyjściem, pewnie żeby poukładać stare książki albo płyty, które gromadził podczas weekendowych wyprzedaży garażowych.

Tommy wkrótce podążył za nim.

Przez jakiś czas siedzieliśmy z Clayem, po czym cicho wyszedł do łazienki. Wziął prysznic i stanął przy umywalce. Zapychały ją włosy i pasta do zębów, a w jednym kawałku trzymała jedynie determinacja. Może była wszystkim, czego potrzebował, by upewnić się, że wielkie rzeczy mogą się wziąć ze wszystkiego.

Ale i tak unikał lustra.

Później poszedł tam, gdzie wszystko się zaczęło.

Swojego skarbcza uświęconych miejsc.

Był wśród nich rzecz jasna Bernborough Park.

Materac na Surrounds.

Cmentarz na wzgórzu.

Jednak wiele lat wcześniej, nie bez powodu, wszystko zaczęło się tutaj.

Wszedł na dach.

Dziś wyszedł frontowymi drzwiami, a później ruszył naokoło i znalazł się przy domu pani Chilman – płot, skrzynka z licznikami, dachówki. Jak to miał w zwyczaju, usiadł w połowie drogi, wtapiając się w tło, co robił coraz częściej w miarę dorastania. Na początku

chodził na górę przeważnie w ciągu dnia, ale teraz wołał, by ludzie go nie widzieli. Jedynie kiedy ktoś wspinał się razem z nim, siadał na szczycie albo na brzegu.

Po drugiej stronie drogi, po skosie, obserwował dom Carey Novac.

Numer 11.

Brązowa cegła. Żółte okna.

Wiedział, że czytała *Kamieniarza*.

Przez chwilę przyglądał się różnorodnym sylwetkom, ale wkrótce odwrócił wzrok. Choć uwielbiał tropić choćby najmniejsze ślady jej obecności, nie wszedł na dach dla Carey. Siadywał na górze na długo przed jej przybyciem na Archer Street.

Teraz się przesunął tuzin dachówek w lewo, i wpatrywał się w miasto. Wydostało się z wcześniejszej otchłani, wielkie, szerokie i jasno oświetlone. Obejmował je miarowo wzrokiem.

– Cześć, miasto.

W takich chwilach lubił z nim rozmawiać – by czuć się jednocześnie mniej i bardziej samotnym.

Minęło może pół godziny, kiedy Carey wyszła na krótką chwilę. Położyła jedną dłoń na balustradzie, a drugą uniosła powoli.

Cześć, Clay.

Cześć, Carey.

I z powrotem do środka.

Następny dzień, jak zawsze, miał się dla niej rozpocząć brutalnie. Za kwadrans czwarta wyjeżdżała rowerem przez trawnik, by ćwiczyć na torze w stajniach McAndrew, przy Royal Hennessey.

Pod koniec Henry wszedł na górę, prosto z garażu, z piwem i torebką orzeszków. Usiadł na krawędzi, w pobliżu „Playboya” w rynnie – martwa i umierająca miss stycznia. Gestem przywołał do

siebie Claya, a kiedy ten przybył, złożył mu propozycję – orzeszki i piwo w spoconej butelce.

– Nie, dzięki.

– On mówi! – Henry poklepał go po plecach. – Dwa razy w ciągu trzech godzin, tę noc zaiste trzeba zapisać w księgach. Lepiej jutro zejść do kiosku i zagram w lotto.

Clay patrzył w milczeniu:

Ciemny kompost drapaczy chmur i przedmieść.

Spojrzał na brata, który pewnymi łykami pociągał piwo. Podobała mu się myśl o lotto.

Liczbami Henry'ego były te od jeden do sześciu.

Później Henry wskazał na ulicę – Rory mozolił się pod górę ze skrzynką na listy przerzuconą przez ramię. Za jego plecami drewniany słup włókł się po ziemi. Triumfalnie przerzucił go na nasz trawnik.

– Ej, Henry, rzuć nam orzeszka, ty chudy fiucino!

Myślał przez chwilę, ale zapomniał, co mówił. Musiało to być jednak zabawne, piekielnie zabawne, bo śmiał się całą drogę na werandę. Wszedł po skosie po schodkach i położył się na deskach.

Henry westchnął:

– Chodź, lepiej go zabierzmy.

Clay ruszył za nim, na drugą stronę, gdzie Henry postawił drabinę. Nie patrzył na Surrounds ani ogromne tło skośnych dachów. Nie, widział jedynie podwórko i Eos biegającą wokół stojaka na pranie. Achilles przeżuwał w blasku księżyca.

Jeśli chodzi o Rory'ego, był pijanym balastem, ale jakoś zatargali go do łóżka.

– Paskudny skurczybyk – powiedział Henry. – Musi mieć w sobie ze dwadzieścia kufla.



Nigdy wcześniej nie widzieli też, żeby Hektor poruszał się tak szybko. Jego przerażona mina była bezcenna, kiedy zeskoczył, z materaca na materac, i wybiegł przez drzwi. Na drugim łóżku Tommy spał przytulony do ściany.

O wiele później w sypialni stary radiobudzik Henry'ego (również wytargowany na garażówce) wskazywał 1:39, a Clay stał zwrócony plecami do otwartego okna. Wcześniej Henry siedział na podłodze i pospiesznie pisał wypracowanie do szkoły, ale od wielu minut się nie poruszył. Leżał na pościeli, a Clay spokojnie mógł pomyśleć:

Teraz.

Zaatakował gwałtownie.

Dotarł do przedpokoju, kierując się w stronę kuchni – i szybciej, nim się spodziewał, był obok lodówki i trzymał ręce w zgromadzonych odpadach suchych.

Nagle rozbłysło światło.

Jezu!

Białe i ciężkie, i uderzyło go w oczy jak kibol. Uniósł dłonie w chwili, gdy znów zgasło, ale nadal pulsowało i piekło. W nowych głębokich ciemnościach Tommy stał w samych slipach, a u boku miał Hektora. Kot był ruchomym cieniem samego siebie, z oczami porażonymi światłem.

– Clay? – Tommy ruszył w stronę tylnych drzwi. Jego słowa brzmiały niewyraźnie, jak na wpół zaspane. – Chil... buje... aszy... – Przy drugiej próbie udało mu się prawie złamać szyfr swojego zdania. – Achilles potrzebuje paszy.

Clay chwycił go za ramiona i odwrócił, po czym patrzył, jak chłopiec idzie powoli korytarzem. Nawet się pochylił i lekko poklepał kota, wzbudzając kilka krótkich mruknięć. Przez chwilę spodziewał się, że

Eos zaszczecha albo Achilles zarzy, ale nie zrobiły tego, a on sięgnął do skrzynki.

Nic.

Nawet kiedy zaryzykował i otworzył lodówkę – uchylił odrobinę, by pożyczyć trochę światła – nie mógł znaleźć choć kawałka morderczego papieru. Cóż więc był to dla niego za wstrząs, kiedy wrócił do środka i znalazł go w całości, sklejonego taśmą, na swoim łóżku.

## urodzinowa dziewczyna

NIE MUSZĘ NAWET MÓWIĆ, że Penelopa nie udała się na *eisteddfod*, nie uczestniczyła w próbach ani nie chodziła po mieście dachów. Pozostała na dworcu Westbahnhof, na peronie, siedziała na walizce z łokciami na kolanach. Gładkimi, czystymi palcami grała na guzikach niebieskiej wełnianej sukienki i wymieniła bilet powrotny do domu na wcześniejszy.

Wiele godzin później, kiedy pociąg miał odjechać, podniosła się. Przez drzwi pociągu wychylił się konduktor, nieogolony, z nadwagą.

– *Kommst einer?*<sup>[\*]</sup>

Penelopa jedynie na niego patrzyła, przepełniona niezdecydowaniem, i bawiła się jednym z guzików na środku piersi. Przed nią stała walizka. Kotwica u jej stóp.

– *Nah, kommst du jetzt, oder net?* – W jego rozchełstaniu było coś uroczego. – *Idziesz teraz czy nie?* – Nawet jego zęby były luźno zapakowane. Wychylił się jak uczeń i nie zagwizdał, ale zawołał do przodu pociągu. – *Geht schon!*<sup>[\*\*]</sup>

I uśmiechnął się.

Uśmiechnął się, szczerząc luźne zęby, a Penelopa trzymała teraz guzik przed sobą, na prawej dłoni.

Jak jednak przewidział jej ojciec, podołała.

Miała tylko walizkę i bezbronność, ale dokładnie tak, jak spodziewał się Waldek, przedostała się.

W miejscu zwanym Traiskirchen znajdował się obóz, który składał się z armii prycz i ciemnej jak wino podłogi toalety. Pierwszym problemem było znalezienie końca kolejki. Całe szczęście miała wprawę – Europa Wschodnia nauczyła ją stać w kolejce. Drugim problemem, kiedy znalazła się już w środku, było przedostanie się przez głęboką do kostek kałużę odchodów. Niektóre mokre pustkowia stanowiły prawdziwe wyzwanie dla nerwów i wytrzymałości.

Ludzie w kolejce byli otępiali i zmęczeni, a każdy obawiał się różnych rozstrzygnięć, ale jednego z nich najbardziej. Nie mogli, pod żadnym pozorem, zostać odesłani do domu.

Po przybyciu została przesłuchana.

Wzięto odciski jej palców, przetłumaczono ją.

Austria była zasadniczo poczekalnią i w większości przypadków rozpatrzenie sprawy i wysłanie do schroniska zajmowało dwadzieścia cztery godziny. A tam czekało się na aprobatę innej ambasady.

Jej ojciec pomyślał o wielu rzeczach, ale nie wiedział, że piątek jest złym dniem na przybycie. Oznaczało to, że trzeba przetrwać weekend w obozie, co nie było igraszką, ale przetrwała. W końcu, jak sama mówiła, nie doświadczyła tam piekła na ziemi. Nie w porównaniu z tym, co znosili inni ludzie. Najgorsza była niewiedza.

W następnym tygodniu wsiadła do innego pociągu, tym razem jadącego w góry, do innego zbioru prycz, i rozpoczęło się czekanie.

Jestem pewien, że moglibyśmy jeszcze pogrzebać w tych dziewięciu miesiącach, które tam spędziła, ale co naprawdę wiem o tym czasie? Co wiedział Clay? Jak się okazało, życie Penelopy w górach było jednym z nielicznych okresów, o których mówiła niewiele – ale kiedy to robiła, mówiła prosto i pięknie, i pewnie moglibyście stwierdzić, że ze smutkiem. Jak wyjaśniła kiedyś Clayowi:

Była jedna krótka rozmowa telefoniczna i jedna stara piosenka.

Kilka niewielkich cząstek opowiadających całość.

W ciągu pierwszych paru dni zauważyła, że inni ludzie dzwonią ze starej budki telefonicznej przy drodze, która stała jak coś obcego obok ogromu lasu i nieba.

Było oczywiste, że ludzie dzwonili do domów, w oczach mieli łzy, a często po tym, jak się rozłączyli, z trudem wychodzili z budki.

Penelopa, jak wielu, się zawahała.

Zastanawiała się, czy to bezpieczne.

Krażyło dość pogłosek o rządzie podsłuchującym telefony, by każdy zastanowił się dwa razy. Jak wspomniałem wcześniej, kary spotykały tych, którzy pozostali w kraju.

Większość z nich miała tę przewagę, że rzekomo wyjeżdżali na dłużej. Dlaczego w czasie kilkutygodniowego wyjazdu nie mieliby zadzwonić do domu? Ale nie Penelopa – ona powinna była już wrócić. Czy przez rozmowę jej ojciec znalazłby się w niebezpieczeństwie? Całe szczęście kręciła się w okolicy dość długo, by zauważył ją mężczyzna imieniem Tadek. Miał głos i ciało jak drzewa.

– Chcesz zadzwonić do domu, dziewczynko?

Ponieważ nie odpowiadała, podszedł i dotknął budki, żeby udowodnić, że nie robi jej krzywdy.

– Czy ktoś z twojej rodziny jest w ruchu? – A później doprecyzował:  
– W *Solidarności*?

– *Nie*.

– Czy kiedykolwiek nadepnęłaś na niewłaściwy odcisk, jeśli wiesz, co chcę powiedzieć?

Potrząsnęła głową.

– Tak myślałem. – Uśmiechnął się, jakby pożyczył zęby od austriackiego konduktora. – W porządku, pozwól, że spytam. Chodzi o rodziców?

– Ojca.

– I jesteś pewna, że nie narobiłaś zamieszania?

– Tak.

– A on?

– Jest starym motorniczym tramwaju, który prawie się nie odzywa.

– W takim razie myślę, że w porządku. Partia jest teraz w tak żalonym stanie, że raczej nie mają czasu przejmować się starym *tramwajarzem*. Ostatnio trudno być czegokolwiek pewnym, ale tego jestem pewien absolutnie.

Wtedy właśnie, jak opowiadała, Tadek spojrział między sosny i korytarze światła.

– Był dla ciebie dobrym ojcem?

– Tak.

– I ucieszy się, że cię usłyszy?

– Tak.

– Masz. – Odwrócił się i rzucił jej parę monet. – Pozdrów go ode mnie. – I odszedł.

Rozmowa telefoniczna składała się z dziesięciu małych słów, w tłumaczeniu:

– Halo?

Nic. Tylko szum.

Powtórzył.

Ten głos, jak cement, jak kamień.

– Halo?

Zagubiła się w sosnach i górskim zboczu, jej kłykcie były białe jak kość.

– Błędna Dziewczyno? Błędna Dziewczyno, czy to ty?

A ona wyobraziła go sobie w kuchni przy półce z trzydziestoma dziewięcioma książkami. Opierała głowę o szybę i jakimś cudem

powiedziała:

– Tak.

I lekko odłożyła słuchawkę.

Góry przechyliły się na boki.

A teraz piosenka, kilka miesięcy później, wieczorem, w gospodzie.

Księżyc na szkle.

To był dzień urodzin jej ojca.

W tamtych czasach na wschodzie większą rolę odgrywały imieniny, ale poza krajem wszystko odczuwało się mocniej. Wygadała się jednej z kobiet.

Nie mieli *wódki*, ale w tym miejscu zawsze było mnóstwo sznapsa, i pojawiła się taca z kieliszkami. Kiedy je rozdano, właściciel uniósł własny kieliszek i spojrzał na Penelopę. Zebrał się tam dobry tuzin ludzi, a kiedy usłyszała słowa we własnym języku:

– Zdrowie twojego ojca – podniosła wzrok, uśmiechnęła się i z trudem wzięła się w garść.

Wtedy wstał inny mężczyzna.

Oczywiście był to Tadek, który zaczął, bardzo smutno – i pięknie – śpiewać:

*Sto lat, sto lat,  
niech żyje, żyje nam.  
Sto lat, sto lat,  
niech żyje, żyje nam...*

Tego było już zbyt wiele.

Od czasu rozmowy telefonicznej na początku wszystko w niej wzbierało i nie mogła już tego utrzymać. Penelopa wstała i śpiewała, ale w jej wnętrzu coś się zapadło. Śpiewała swoją ojczystą pieśń

szczęścia i przyjaźni, i zastanawiała się, jak mogła go opuścić. Słowa napływały wielkimi falami miłości i pogardy do samej siebie, a kiedy wszystko się skończyło, wielu z zebranych płakało. Zastanawiali się, czy znów zobaczą rodziny, czy powinni być wdzięczni, czy potępieni? Mogli być jedynie pewni, że już nad tym nie panują. Zaczęło się i musiało skończyć.

Sto lat, sto lat,  
niech żyje, żyje nam.  
Śpiewając, wiedziała, że tak się nie stanie.  
Już nigdy go nie zobaczy.

Penelopie trudno było nie wracać do tego uczucia i nie stawać się nim, przez cały czas, który jej tam pozostał, zwłaszcza że żyło jej się tak łatwo.

Wszyscy traktowali ją tak dobrze.

Lubili ją – jej milczenie, jej uprzejmą niepewność – i mówili o niej teraz Urodzinowa Dziewczyna, głównie za plecami. Od czasu do czasu, szczególnie mężczyźni, nazywali ją tak otwarcie, w różnych językach, kiedy sprzątała, robiła pranie albo wiązała dziecku sznurówkę.

– *Dzięki, Jubilatko.*  
– *Vielen Dank, Geburtstagskind.*  
– *Děkuji, Oslavenkyně...*

Dziękuję, Urodzinowa Dziewczyno.  
Z trudem się uśmiechała.

Po drodze było czekanie i wspomnianie ojca. Czasami czuła się, jakby radziła sobie wbrew niemu, ale zdarzało się to w mroczniejszych chwilach, kiedy z gór nadciągał deszcz.

Szczególnie w takie dni pracowała dłużej i pracowała ciężko.  
Gotowała i sprzątała.



Zmywała naczynia i zmieniała pościel.

W końcu minęło dziewięć miesięcy pełnej żalu nadziei i braku pianina, kiedy ostatecznie jakiś kraj się zgodził. Siedziała na skraju pryczy, w rękę trzymała kopertę. Wyglądała przez okno na pustkę – szkło było mleczne i zaparowane.

Nawet teraz nie mogę nie widzieć jej tam, w tych Alpach, które często sobie wyobrażam. Widzę ją taką, jaka była albo jak Clay ją opisał.

Przyszła Penny Dunbar stojąca w jeszcze jednej kolejce, by polecieć daleko na południe i trochę prosto, w stronę słońca.

---

[\*] Kommst... – Wsiada ktoś? (przyp. red.).

[\*\*] Geht... – Jedźcie już! (przyp. red.).

## zabójca w jego kieszeni

PENELOPA PRZEBYŁA ŚWIATY, a Clay płot.

Przeszedł wąską uliczką między Surrounds a domem, gdzie słupki były widmowo szare. Obecnie jest tam drewniana furтка, dla Achillesa – żeby Tommy mógł go wyprowadzać i wprowadzać. Co za ulga, że nie musiał przechodzić przez płot – ranki po były rzeczywiście okropne, a następne kilka sekund miało odegrać wielką rolę:

Najpierw ruszył slalomem między mulimi jabłkami.

Później labiryntem psiego gówna.

Dwójka winowajców wciąż spała – jeden wyprostowany na trawie, druga rozciągnięta na kanapie w świetle padającym z werandy.

W kuchni pachniało kawą – przegoniłem go, i to na więcej niż jeden sposób.

Teraz nadeszła pora, by Clay stawiał czoło mojej muzyce.

Jak zdarzało mi się od czasu do czasu, jadłem śniadanie przed domem.

Stałem przy drewnianej balustradzie z ugotowanym niebem i zimnymi płatkami kukurydzianymi. Latarnie uliczne wciąż świeciły. Skrzynka na listy Rory'ego leżała na trawniku.

Kiedy Clay otworzył frontowe drzwi i stanął kilka kroków za mną, zabrałem się za dojadanie płatków.

– Kolejna skrzynka na listy, na litość boską.

Clay uśmiechnął się, nerwowo, wyczułem to, ale na tym skończyła się moja uprzejmość. W końcu adres miał w kieszeni, bardzo starannie

go posklejałem.

Początkowo się nie poruszyłem.

– Masz go?

Znów poczułem jego kiwnięcie.

– Pomyślałem, że oszczędzę ci kłopotu wyławiania go. – Moja łyżka zadzwięczała o miskę. Kilka kropli mleka przeskoczyło balustradę. – Masz go w kieszeni?

Kolejne skinienie.

– Myślisz, żeby tam pojechać?

Clay mnie obserwował.

Obserwował, ale nic nie mówił, a ja próbowałem, jak często ostatnimi czasy, jakoś go zrozumieć. Z wyglądu byliśmy najbardziej do siebie podobni, ale wciąż przerastałem go o dobre pół stopy. Włosy miałem gęstsze, a ciało masywniejsze, ale to jedynie kwestia wieku. Podczas gdy ja każdego dnia pracowałem na czworaka na wykładzinach dywanowych, deskach podłogowych i betonie, Clay chodził do szkoły i biegał. Przetrwał swój reżim brzuszaków i pompek, sprężysty i giętki – szczupły. Moglibyście powiedzieć, że stanowiliśmy różne wersje jednej i tej samej osoby, szczególnie było to widać po oczach. Obaj mieliśmy w nich ogień i nie liczył się kolor, ponieważ ogień w ich wnętrzu był wszystkim.

W środku tego wszystkiego uśmiechnąłem się, ale z bólem.

Potrząsnąłem głową.

Wtedy właśnie zgasły latarnie uliczne.

Zadałem pytanie, które musiało zostać zadane.

A teraz powiedzcie to, co musiało zostać powiedziane.

Niebo się poszerzyło, a dom zacieśnił.

Nie podszedłem bliżej, nie atakowałem, nie zastraszałem.

Rzekłem jedynie:

– Clay.

Później wyznał, że to właśnie wytrąciło go z równowagi.

Spokój tego słowa.

Pośród tego dziwnie melodyjnego tonu, coś w jego wnętrzu zadźwięczało. Opuściło się powoli z gardła przez mostek do płuc, a w ulicę uderzyła pełnia poranka. Po drugiej stronie domy stały nierówne i ciche, jak banda brutalnych kumpli, czekających tylko na moje słowo. Wiedzieliśmy, że ich nie potrzebuję.

Po chwili albo dwóch zdjąłem łokcie z balustrady i wbiłem wzrok w jego ramię. Mogłem spytać go o szkołę. Co ze szkołą? Ale obaj znaleźliśmy odpowiedź. Ze wszystkich ludzi na świecie miałem najmniejsze prawo kazać mu zostać w szkole. Sam ją rzuciłem.

– Możesz wyjechać – powiedziałem. – Nie mogę cię zatrzymać, ale...

Reszta się urwała.

Zdanie równie trudne, co samo zadanie – i w tym właśnie była cała prawda. Wyjazdy i powroty. Zbrodnia, a później kara.

Powrót i bycie wpuszczonym do środka:

Dwie bardzo różne rzeczy.

Mógł odejść z Archer Street i wymienić braci na człowieka, który nas opuścił – ale powrót do domu oznaczał przejście obok mnie.

– Poważna decyzja – powiedziałem w jego twarz, nie w ramię. – I pewnie cholerne konsekwencje.

A Clay po raz pierwszy spojrzał mi w twarz i odwrócił wzrok.

Dostrzegał moje stwardniałe od harówki nadgarstki, moje ramiona, dłonie, tętnicę na szyi. Zauważył niechęć w moich knykciach i wolę, by doprowadzić to do końca. Co najważniejsze jednak, widział ogień w oczach, które błagały:

Nie zostawiaj nas dla niego, Clay.

Nie opuszczaj nas.

Ale jeśli to zrobisz.

Problem w tym, że teraz już rozumiem.

Clay wiedział, że musiał to zrobić.

Nie był jedynie pewien, czy może.

Kiedy wróciłem do środka, został przez chwilę, porzucony na werandzie, przygnieciony ciężarem wyboru. W końcu obiecałem mu coś, do wypowiedzenia czego nie mogłem się nawet zmusić. A tak w ogóle, jaka była najgorsza rzecz, którą można zrobić jednemu z chłopaków Dunbarów?

Dla Claya tyle było jasne: istniały powody, by wyjechać, i powody, by zostać, i wszystkie tak samo ważne. Pochwycił go nurt zniszczenia wszystkiego, co miał, by mógł stać się wszystkim, czym musiał być – a przeszłość, zawsze bliższa, dopadła go.

Stał, wpatrując się w otwarte usta Archer Street.

## papierowe domy

PRZYPLÝW PRZYNOSI ZWYCIĘSTWO, po drodze walkę – gdyż o rozpoczęciu przez Penelopę życia w tym mieście można uczciwie powiedzieć, że była bez ustanku rozdarta i zadziwiona.

Ogromna wdzięczność do tego miejsca, że ją przyjęło.

Później strach przed jego nowością i gorącem.

I oczywiście poczucie winy:

Nie przeżyje stu lat.

Jak samolubny, jak bezduszny był wyjazd.

Przybyła tu w listopadzie, a choć zazwyczaj nie był to najgorętszy okres w roku, od czasu do czasu pojawiało się trwające tydzień brutalne memento nadchodzącego lata. Jeśli był jakiś czas najmniej odpowiedni na przyjazd, to właśnie ten – binarny wykres pogody: gorąco, wilgoć, gorąco. Wydawało się, że nawet miejscowi cierpią.

Ponadto wyraźnie była intruzem – jej pokój w obozie należał do szwadronu karaluchów, i, Boże jedyny, ona nigdy wcześniej nie widziała tak przerażających stworów. Takie wielkie! I nieustępliwe. Codziennie walczyły z nią o terytorium.

Nie jest więc żadnym zaskoczeniem, że pierwszym, co tu kupiła, była puszka Baygonu.

A później para kłapek.

Od razu zrozumiała, że w tym kraju można zejść daleko z parą kiepskich butów i kilkoma puszkami sprayu na owady. Pomogły jej przeżyć. Dni. Noce. Tygodnie.

Sam obóz zagrzebał się głęboko w niesfornym dywanie przedmieść.

Nauczono ją tam, od absolutnych podstaw, posługiwać się językiem. Czasami chodziła ulicami, wzdłuż rzędów osobliwych domów – każdy pośrodku ogromnego, skoszonego trawnika. Te domy wydawały się z papieru.

Kiedy spytała o nie nauczyciela angielskiego, rysując dom i wskazując na papier, wybuchł głośnym śmiechem.

– Wiem, wiem! – Ale wkrótce udzielił jej odpowiedzi. – Nie, nie papier. *Fibro*<sup>[\*]</sup>.

– Fi-bro.

– Tak.

Kolejną cechą obozu i jego licznych małych mieszkań było to, że bardzo przypominał miasto – rozrastał się bezładnie, nawet na tak ograniczonej przestrzeni.

Byli w nim ludzie wszystkich ras.

Mówiący wszystkimi językami.

Byli dumni i noszący wysoko głowy, i byli też nieszczęśnicy powłóczący nogami, jakich w życiu nie widzieliście. Byli też tacy, którzy uśmiechali się przez cały czas, by ukryć rozterki. Łączył ich fakt, że wszyscy w pewnym stopniu garnęli się do przedstawicieli własnej narodowości. Kraj stawał się ważniejszy niż większość rzeczy i tak właśnie łączyli się w grupy.

W ten właśnie sposób Penelopa znalazła innych ze swojej części świata, a nawet ze swojego miasta. Często zachowywali się bardzo gościnnie, ale mieli rodziny – a rodzina była ważniejsza niż kraj.

Od czasu do czasu zapraszano ją na urodziny albo imieniny – albo nawet na spontaniczne spotkanie przy *wódce* i *pierogach*, *barszczu* i *bigosie* – ale aż dziwne, jak szybko wychodziła. Zapach owego

jedzenia w duszącym powietrzu – przynależał do tego miejsca tak samo jak ona.

Ale nie to tak naprawdę jej przeszkadzało.

Nie, jedną rzeczą, która ją naprawdę przerażała, był widok i głosy mężczyzn i kobiet wstających i rozluźniających gardła, by po raz kolejny zaśpiewać *Sto lat*. Śpiewali dla domu, jakby był doskonały – jakby nie było powodów do wyjazdu. Przywoływali przyjaciół i rodzinę, jakby słowa mogły ich sprowadzić.

Ale, jak mówiłem, była też wdzięczność, za inne chwile, jak sylwester, kiedy o północy szła przez obóz.

Gdzieś w pobliżu strzelały fajerwerki, widziała je między budynkami. Wielkie czerwone i zielone pióropusze, i odległe wiwaty, i wkrótce zatrzymała się, żeby popatrzeć.

Uśmiechnęła się.

Widziała światło na niebie i usiadła na kamienistej drodze. Wyciągnęła ręce na boki i zakołysała się lekko. Piękne, pomyślała, to piękne, i tu miała zamieszkać. Ta myśl sprawiła, że zamknęła oczy i zaczęła rozmawiać z gotującą się ziemią.

– *Wstań* – powiedziała. I znowu. – *Wstań. Wstań.*

*Wstań.*

Ale Penelopa się nie poruszyła.

Jeszcze nie.

Ale wkrótce.

---

[\*] Australijskie określenie na eternit (przyp. tłum.).



## ruszający tyłek i minotaur

- OBUDŹ SIĘ, na litość boską.

Podczas gdy Penny wchodzi do środka, Clay zaczyna proces stopniowego brnięcia na zewnątrz.

Pierwszego dnia po moim ultimatum na werandzie skierował się do toreb z chlebem i pozostałości kawy. Później osuszył twarz w łazience i usłyszał mnie w drodze do pracy. Stałem nad Rorym:

Ja, w starym brudnym kombinezonie roboczym.

Rory na wpół śpiący, na wpół martwy po poprzedniej nocy.

– Ej, Rory! – Potrząsnąłem nim. – RORY!

Próbował się poruszyć, ale nie mógł.

– Cholera, Matthew, co?

– Dobrze wiesz co. Tam leży kolejna przeklęta skrzynka na listy.

– I to wszystko? Skąd wiesz, że to ja?

– Nie zamierzam odpowiadać na to pytanie. Mówię tylko, że masz zabrać to cholerstwo i umieścić je z powrotem na swoim miejscu.

– Nawet nie wiem, skąd ją mam.

– Ma numer, nie?

– Aha, ale nie znam ULICY.

Teraz chwila, na którą czekał Clay.

– Je-zu CHRYSSTE! – Nawet przez ścianę wyczuwał, jak się gotuję, ale później pragmatyzm wziął górę. – Dobra, nie obchodzi mnie, co z nią zrobisz, ale kiedy wrócę do domu, spodziewam się, że już jej nie będzie, jasne?

Później, kiedy Clay wszedł do środka, odkrył, że całej rozmowie towarzyszył Hektor owinięty jak zapaśnik wokół szyi Rory'ego. Kot leżał, liniejąc i mrucząc. Mruczenie osiągało poziom gołębiego gruchania.

Kiedy Rory zauważył nową obecność w drzwiach, odezwał się stłumionym głosem.

– Clay? To ty? Będziesz tak miły i zdejmiesz ze mnie tego cholernego kota? – Po czym przeczekał dwa ostatnie uparte pazury i: – Aaaaaa! – Odetchnął z głęboką ulgą.

Kocia sierść uniosła się i opadła. Alarm w komórce Rory'ego wył – leżał na niej, przyciśnięty przez Hektora.

– Pewnie słyszałeś Matthew, tego zrzędliwego skurczybyka? – Mimo przerażającego bólu głowy zmusił się do namiastki uśmiechu. – Mógłbyś zrobić coś dla mnie i wyrzucić tę skrzynkę na Surrounds?

Clay pokiwał głową.

– Dzięki, dzieciaku, pomóż mi wstać. Lepiej pójdę do roboty. – Ale najpierw najważniejsze, podszedł do Tommy'ego i walnął go mocno w głowę. – A ty... mówiłem ci, żebyś trzymał tego swojego kota z dala – znalazł w sobie siłę – OD MOJEGO PIEPRZONEGO ŁÓŻKA!

Był czwartek i Clay poszedł do szkoły.

W piątek porzucił ją na dobre.

Tamtego następnego ranka poszedł do gabinetu nauczycielki, gdzie były plakaty na ścianach i pokryta zapiskami tablica. Oba plakaty wydawały się całkiem zabawne. Jane Austen w sukience z falbankami, trzymająca nad głową obciążoną sztangę, z podpisem KSIĄŻKI SĄ PRZERAŻAJĄCO WYTRZYMAŁE. Drugi bardziej przypominał plaketkę z hasłem MINERWA McGONAGALL JEST BOGIEM.

Miała dwadzieścia trzy lata, ta nauczycielka.

Nazywała się Claudia Kirkby.

Clay ją lubił, bo kiedy do niej przychodził, wyłamywała się z szeregu z prawdziwą uprzejmością. Dzwonił dzwonek, a ona patrzyła na niego:

– Dalej, dzieciaku, wynocha stąd... rusz tyłek do klasy.

Claudia Kirkby była niezła z poezji.

Miała ciemnobrązowe włosy, jasnobrązowe oczy i przebarwienie na środku policzka. Miała uśmiech, z którym zносиła różne rzeczy, i łydki, ładne łydki, i obcasy, i była dość wysoka i zawsze dobrze ubrana. Z jakiegoś powodu od początku nas lubiła, nawet Rory'ego, który zachowywał się koszmarnie.

Kiedy Clay przyszedł do niej przed lekcjami, stała nad biurkiem.

– Dzień dobry, panie Clay.

Przeglądała wypracowania.

– Odchodzę.

Przerwała gwałtownie i podniosła wzrok.

Żadnego „rusz tyłek do klasy” tego dnia.

Usiadła, wyraźnie zmartwiona, i mruknęła:

– Hm.

O trzeciej po południu siedziałem w szkole, w gabinecie dyrektorki, pani Holland, który wcześniej odwiedziłem kilka razy, w okresie poprzedzającym wyrzucenie Rory'ego (na wodach, które dopiero napłyną). Była jedną z tych kobiet ze stylowo obciętymi krótkimi włosami, z siwymi pasmami, i oczami podkreślonymi kredką.

– Jak sobie radzi Rory? – spytała.

– Ma dobrą pracę, ale tak naprawdę się nie zmienił.

– Niech pan, yyy, pozdrowi go od nas.

– Tak zrobię. Ucieszy się.

Z całą pewnością, ten skurczybyk.

Claudia Kirkby też tam była, w swoich dystyngowanych butach na obcasie, czarnej spódnicy i kremowej bluzce. Uśmiechała się do mnie,

jak zawsze, a ja wiedziałem, że powinienem to powiedzieć – „Miło cię widzieć” – ale nie mogłem. W końcu chodziło o tragedię. Clay rzucał szkołę.

Pani Holland:

– No, yyy, jak mówiłam, yyy, przez telefon. – Chyba najczęściej ze znanych mi ludzi powtarzała „yyy”. Znałem murarzy, którzy robili to rzadziej. – Mam tu, yyy, młodego Claya, który chce, ach, odejść od nas.

A niech mnie, uderzyła nas teraz również „ach”. To nie wyglądało dobrze.

Spojrzałem na Claya, który siedział obok mnie.

Podniósł wzrok, ale się nie odezwał.

– Jest dobrym uczniem – powiedziała.

– Wiem.

– Jak i pan był.

Nie zareagowałem.

Mówiła dalej.

– Ale ma szesnaście lat. Zgodnie z, yyy, prawem, nie możemy go zatrzymać.

– Chce wyjechać i zamieszkać z naszym tatą. – Chciałem dodać „przez jakiś czas”, ale jakimś sposobem słowa nie opuściły moich ust.

– Rozumiem, no, yyy, możemy znaleźć szkołę najbliższą miejsca, w którym mieszka państwa ojciec...

Nagle nadeszło.

Uderzyło mnie straszliwe, otepiające przygnębienie, w tym gabinecie, z jego trochę ciemnym, trochę jarzeniowym światłem. Nie będzie innej szkoły ani niczego innego. To koniec i wszyscy to dostrzegaliśmy.

Odwróciłem się, mijając wzrokiem Claudię Kirkby, a ona też wydawała się smutna i tak solennie, cholernie urocza.

Kiedy szedłem z Clayem do samochodu, zawołała za nami i pospieszyła na dół, a jej biegnące stopy nie wydawały żadnego dźwięku. Porzuciła obcasy w pobliżu gabinetu.

– Proszę. – Podała niewielką stertę książek. – Możesz odejść, ale musisz je przeczytać.

Clay pokiwał głową i odparł z wdzięcznością:

– Dziękuję, pani Kirkby.

Uścisnęliśmy sobie dłonie i pożegnaliśmy się.

– Powodzenia, Clay.

To były ładne dłonie, blade, ale ciepłe, a w smutno uśmiechniętych oczach miała błysk.

W samochodzie Clay odwrócił się do okna i odezwał, od niechcienia, a jednocześnie głosem bez wyrazu.

– Wiesz co, ona cię lubi.

Powiedział to, kiedy odjeżdżaliśmy.

Dziwnie o tym myśleć, ale pewnego dnia miałem poślubić tę kobietę.

Później poszedł do biblioteki.

Dotarł tam o czwartej trzydzieści, a o piątej siedział między dwoma wielkimi pylonami z książek. Wszystko, co znalazł na temat mostów. Tysiące stron, setki technik. Każdy typ, wszystkie pomiary. Wszelkie żargony. Przeczytał je i nie zrozumiał ani słowa. Ale lubił patrzeć na mosty – łuki, liny, wsporniki.

– Synu?

Podniósł wzrok.

– Chciałbyś wypożyczyć którąś z nich? Jest dziewiąta. Zamykamy.

W domu z trudem przeszedł przez drzwi, nie zapalił światła. Jego niebieską sportową torbę wypełniały książki. Powiedział bibliotekarce, że wyjeżdża, więc pozwoliła mu je wypożyczyć na dłużej.

Tak się złożyło, że kiedy wszedł, jako pierwszego zobaczył mnie, krążącego po przedpokoju niczym Minotaur.

Zatrzymaliśmy się, obaj spuściliśmy wzrok.

Torba, tak ciężka, sama ogłosiła swoją obecność.

W półmroku moje ciało stało się przytępione, ale oczy świeciły. Tego wieczoru byłem zmęczony, miałem wiele więcej niż dwadzieścia lat. Byłem starożytny, zbolały i posiwiały.

– Wchodź.

Kiedy mnie mijał, zobaczył, że trzymam klucz francuski – naprawiałem kran w łazience. Nie byłem Minotaurem, ale przeklętym konserwatorem. Mimo to obaj wpatrywaliśmy się w tę torbę z książkami, a korytarz wydawał się zaciskać wokół nas.

Później sobota, czekanie na Carey.

Rano Clay jeździł z Henrym, który zbierał książki i płyty na garażówkach – patrzył, jak wszystkich zakrzykuje. Na jednym przerobionym podejździe leżał zbiór opowiadań pod tytułem *Bieg z przeszkodami*, z wytłoczonym na okładce biegaczem przez płotki. Zapłacił dolara i podał go Henry'emu, który wziął go, otworzył i się uśmiechnął.

– Dzieciaku – powiedział – jesteś prawdziwym dżentelmenem.

Później godziny upływały.

Ale trzeba je było pokonać.

Po południu udał się do Bernborough zrobić kilka okrążeń. Siedział na trybunach, czytał książki i zaczynał rozumieć. Określenia w rodzaju „kompresja”, „kratownica” i „przypora” zaczęły nabierać sensu.

W pewnym momencie pobiegł kanałem schodów, między popękanymi ławkami. Przypomniawszy sobie dziewczynę Gołego i uśmiechnął się

z powodu jej warg. Na polu wewnętrznym poruszył się wiatr, kiedy on przyspieszył na prostej.

Nie zostało wiele czasu.

Wkrótce miał się znaleźć na Surrounds.

## zdobycze wolności

PENELOPA PRZEŻYŁA lato.

Prawdziwą próbą była decyzja, by się nim cieszyć.

Jej pierwszy raz na plaży okazał się typowym podwójnym uderzeniem – połączenie poparzenia słonecznego i południowego wiatru. Nigdy nie widziała, by tak wielu ludzi poruszało się tak szybko albo zostało zasypanych tak wielką ilością piasku. Z drugiej strony, mogło być gorzej – z początku, kiedy zobaczyła bąbelnice unoszące się spokojnie w wodzie, wydawały się tak czyste i nieziemskie. Dopiero kiedy na plażę zaczęły wybiegać dzieci, w różnym stopniu cierpiące, uświadomiła sobie, że zostały poparzone. *Biedne dzieci*, pomyślała, kiedy pędziły w stronę rodziców. Choć większość z nich drżała pod prysznicami i niepohamowanie płakała i zawodziła, jej uwagę zwróciła dziewczynka, którą matka musiała powstrzymać przed wcieraniem piasku. Mała w panice nabrała całe garście piachu i szorowała nimi skórę.

Penelopa przyglądała się bezradnie.

Matka zajęła się wszystkim.

Uspokoila córkę i przyciągnęła ją do siebie, a kiedy ją złapała i wiedziała, że ją ma, podniosła wzrok na stojącą w pobliżu imigrantkę. Żadnych słów, jedynie przykucnięcie i głaskanie splecionych włosów dziewczynki. Zobaczyła Penelopę, skinęła głową i zabrała dziecko. Dopiero po latach Penelopa dowiedziała się, że trudne dni z bąbelnicami zdarzały się rzadko.



Innym, co ją zadziwiło, był fakt, że większość dzieci wróciła do wody, ale tym razem nie na długo, ze względu na wyjący wiatr. Pojawił się jakby znikąd, niosąc ciemniejące bryły nieba.

Na domiar wszystkiego tej nocy nie mogła zasnąć, poparzenie słoneczne pulsowało gorącem, a owady tupały cicho.

Ale sprawy miały się ku lepszemu.

Pierwszym doniosłym wydarzeniem było to, że znalazła sobie pracę.

Została certyfikowanym robotnikiem niewykwalifikowanym.

Obóz był powiązany z tym, co nazywano wówczas CES – państwową agencją pośrednictwa pracy – a kiedy odwiedziła ich biuro, miała szczęście. A raczej miała szczęście na swój zwyczajny sposób. Po długiej rozmowie i pokonaniu morza rządowych formularzy, dostała zezwolenie na wykonywanie brudnej roboty.

W skrócie, chodziło o obiekty komunalne.

Wiecie, o co chodzi.

Jak możliwe, że tak wielu mężczyzn odlewa się z takim brakiem dokładności? Dlaczego ludzie mażą, rozsmarowują i srają wszędzie, poza toaletą? Czy to były zdobycze wolności?

W kabinach czytała napisy.

Z mopem w ręku przypominała sobie ostatnią lekcję angielskiego i skandowała ją do podłogi. Był to wspaniały sposób, by okazać szacunek temu nowemu miejscu – wejść w jego gorąco, czyścić i szorować jego brudne części. Kiedyś siedziała w lodowatym, skąpo wyposażonym magazynie i temperowała ołówki, a teraz żyła na czworaka i wdychała bryzę wybielacza.

Po sześciu miesiącach miała to na wyciągnięcie ręki.

Wszystko zaczynało się układać zgodnie z jej planem.

Jasne, każdej nocy wciąż miała w oczach łzy, a czasami i w dzień, ale z pewnością robiła postępy. Z czystej konieczności jej angielski wzbogacał się coraz bardziej, choć często była to ta katastrofalna, pomieszana składnia nieudanych początków i zepsutych zakończeń.

Wiele lat później, nawet kiedy uczyła angielskiego w szkole średniej po drugiej stronie miasta, w domu czasami przywoływała mocniejszy akcent, a my nigdy nie mogliśmy się powstrzymać, kochaliśmy go, wiwatowaliśmy i prosiliśmy o niego. Nigdy nie udało jej się nauczyć nas swojego ojczystego języka – lekcje pianina były wystarczająco trudne – ale uwielbialiśmy brzmienie słowa „ambulans” i że kiedy kazała nam się uciszyć, mówiła „siarap” zamiast *shut up*, a *juice* często brzmiało „czus”. Albo „fink”. Gdzieś w pierwszej piątce było również *unfortunately*. Bardziej nam się podobało jako „anforczantli”.

Tak, na początku wszystko sprowadzało się do tych dwóch religijnych rzeczy:

Słowa, praca.

Pisywała listy do Waldka i dzwoniła do niego, kiedy mogła sobie na to pozwolić, uświadamiając sobie, że w końcu był bezpieczny. Wyznał, że zrobił wszystko, by ją wydostać i że obecność tamtego dnia na peronie była jasnym punktem jego życia, niezależnie od tego, ile go to kosztowało. Raz nawet poczytała mu Homera, swoją łamaną angielszczyzną, i była pewna, że się złamał, że się uśmiechnął.

Nie mogła wiedzieć, że w ten sposób miną lata, niemal za szybko. Miała wyszorować kilka tysięcy toalet i wyczyścić całe akry popękanych kafelków. Przeciwstawiała się zbrodniom tych łazienek, ale też sprzątała w kilku domach i mieszkaniach.

Ale później – o czym RÓWNIEŻ nie mogła wiedzieć:

Że o jej przyszłości wkrótce zdecydują trzy połączone rzeczy.

Jedną był niedosłyszający sprzedawca w sklepie muzycznym.

Później trio bezużytecznych tragarzy.  
Ale pierwsza była śmierć.  
Śmierć pomnika Stalina.

## carey i clay, i matador w piątej

NIGDY NIE ZAPOMNIAŁ DNIA, kiedy po raz pierwszy zobaczył ją na Archer Street, a raczej kiedy ona podniosła wzrok i zobaczyła JEGO.

Był początek grudnia.

Siedem godzin jechała z głębi kraju z mamą i tatą, dotarli późnym popołudniem. Za nimi podążała ciężarówka firmy przeprowadzkowej i już wkrótce przenosili pudła, meble i sprzęt na werandę i do domu. Wśród nich siodła, uździenice i strzemiona – oporządzenie ważne dla jej ojca. On też był kiedyś dżokejem, z rodziny dżokejów, podobnie jej starsi bracia. Jeździli w miasteczkach o dziwacznych nazwach.

Musiało minąć dobre piętnaście minut od ich przybycia, zanim dziewczyna zatrzymała się i stanęła na środku trawnika. Pod jedną pachą taszczyła pudełko, a pod drugą toster, który jakimś cudem uwolnił się w czasie jazdy. Przewód wisiał jej do kostek.

– Popatrzcie – powiedziała i wskazała od niechcienia palcem na drugą stronę drogi. – Tam na dachu siedzi chłopak.

Teraz, rok i kilka miesięcy później, w sobotni wieczór, przyszła z szelestem stóp na Surrounds.

– Cześć, Clay.

Poczuł jej usta i krew, i gorąco, i serce. Wszystko w jednym oddechu.

– Cześć, Carey.

Było koło dziewiątej trzydzięci, a on czekał na materacu.

Były też ćmy. Księżyc.

Clay leżał na plecach.

Dziewczyna zatrzymała się na chwilę na skraju, odłożyła coś na ziemię i położyła się na boku, z nogą luźno zarzuconą na niego. Skóra swędziała go od jej kasztanowych włosów, jak lubił. Wyczuwał, że zauważyła zadrapanie na policzku, ale wiedziała zbyt wiele, by spytać albo szukać dalszych obrażeń.

Ale mimo wszystko musiała zrobić jedno.

– Wy, chłopaki. – Dotknęła rany. A później czekała, aż Clay się odezwie.

– Podoba ci się książka? – Pytanie z początku wydawało się nieco ciężkie, jakby z wysiłkiem wyciągnięte do góry. – Za trzecim razem nadal jest dobra?

– Nawet lepsza... Rory ci nie powiedział?

Próbował sobie przypomnieć, czy Rory mówił mu coś w tym rodzaju.

– Spotkałam go na ulicy, kilka dni temu. To chyba było tuż przed tym...

Clay prawie usiadł, ale się powstrzymał.

– Przed... czym?

Wiedziała.

Wiedziała, że on wrócił do domu.

Clay jak na razie to zignorował, wolał myśleć o *Kamieniarzu* i zakładce z wyblakłego potwierdzenia zakładu, o *Matadorze* w piątej.

– A dokąd dotarłaś? Już pracuje w Rzymie?

– I w Bolonii też.

– Szybko. Nadal kochasz się w jego złamanym nosie?

– Wiesz, że nic nie mogę na to poradzić.

Uśmiechnął się do niej szeroko.

– Ja też.

Carey podobało się, że Michał Anioł jako nastolatek miał złamany nos, bo był zbyt bezczelny – przypomnienie, że był człowiekiem. Oznaka niedoskonałości.

Dla Claya było to nieco bardziej osobiste.

Wiedział o innym złamanym nosie.

Wtedy – w tamtym czasie, kilka dni po jej przyjeździe – Clay siedział na frontowej werandzie i jadł grzanekę, talerz trzymał na balustradzie. W chwili, kiedy skończył, Carey przeszła na drugą stronę Archer Street, we flanelowej koszuli i znoszonych dżinsach, z podwiniętymi rękawami. Ostatnie promienie słońca za jej plecami:

Blask jej przedramion.

Kąty twarzy.

Nawet jej zęby, nie były do końca białe, nie całkiem proste, ale mimo wszystko miały w sobie coś, jakość – jak morskie szkło, zupełnie wygładzone, od zgrzytania przez sen.

Z początku zastanawiała się, czy w ogóle ją zobaczył, ale wtedy on zszedł po schodkach, bojaźliwie, wciąż z talerzem w ręku.

Przyglądała mu się z tej bliskiej, ale bezpiecznej odległości – zainteresowana, radośnie ciekawa.

Pierwszym, co do niej powiedział, było:

– Przepraszam.

Powiedział to w dół, do talerza.

Po swobodnej, zwyczajowej ciszy Carey znów się odezwała. Jej broda dotknęła jego obojczyka i tym razem dziewczyna zmusiła go, by stawił temu czoło.

– No tak – odezwała się – on przyjechał...

W tym miejscu nigdy nie szeptali – jedynie rozmawiali cicho, jak przyjaciele, niezagrożeni – a teraz ona wyznała:

– To Matthew mi powiedział.

Clay poczuł to w zadrapaniu.

– Widziałaś Matthew?

Pokiwała głową, lekko muskając jego szyję, i dalej go uspokajała.

– Wracalam w czwartek wieczorem, kiedy on wynosił śmieci. Was, chłopaków Dunbarów, trudno unikać.

A Clay prawie się wtedy załamał.

Nazwisko Dunbar, a przecież wkrótce miał odejść.

– Musiało być trudno, spotkać się... – Odchrząknęła. – Spotkać się z nim.

– Są trudniejsze rzeczy.

Tak, były, oboje o tym wiedzieli.

– Matthew wspomniał coś o moście.

Miała rację, zrobiłem to. Była to jedna z bardziej niepokojących cech Carey Novac – człowiek mówił jej więcej, niż powinien.

Znów cisza. Jedna krążąca ćma.

Kiedy teraz się odezwała, była bliżej, wyczuwał słowa, jakby położone na jego szyi.

– Wyjeżdżasz, żeby wybudować most, Clay?

Ćma nie chciała odlecieć.

– Dlaczego? – spytała wtedy na trawniku. – Dlaczego przepraszasz?

Na ulicy zapadła ciemność.

– No wiesz, powinienem zejść i powinienem pomóc wam się rozpakować. A ja tylko tam siedziałem.

– Na dachu?

Już ją lubił.

Lubił jej piegi.

Ich umiejscowienie na jej twarzy.

Trzeba było się przyjrzeć, żeby je zobaczyć.

Teraz Clay zeglował do miejsca z dala od ojca.

– Hej. – Spojrzał na nią. – Możesz w końcu dać mi dziś typy?

Zwinęła się mocniej, ale pozwoliła, by uszło mu to na sucho.

– Nie mów tak do mnie. Na litość boską, bądź dżentelmenem.

– Powiedziałem TYPY, nie... – Jego głos ucichł. Była to jedna z tych rzeczy, które powtarzały się za każdym razem na Surrounds. Nieważne, że sobotni wieczór to najgorsza pora, by prosić o wskazówki, bo wszystkie duże wyścigi odbyły się tego popołudnia. Goniczki, choć mniej prestiżowe, odbywały się również w środy, ale jak już mówiłem, pytanie było rytualne. – Co mówią na torze?

Carey na wpół się uśmiechnęła, ta gra sprawiała jej przyjemność.

– Ależ tak, mam typy. Mam typy, z którymi sobie nie poradzisz. – Dotknęła jego obojczyka. – Mam Matadora w piątej.

Wiedział, że choć mówiła to z radością, w jej oczach zbierały się łzy, i ścisnął ją jeszcze odrobinę mocniej – a Carey wykorzystwała impet, żeby się ześlizgnąć i położyć głowę na jego piersi.

Jego serce wypadło z boku.

Zastanawiał się, jak mocno je słyszała.

Na trawniku rozmawiali dalej. Wchodziła w statystyki.

– Ile masz lat?

– Prawie całkiem piętnaście.

– Tak? A ja prawie całkiem szesnaście.

Wtedy podeszła bliżej i lekko skinęła głową w stronę dachu.

– Dlaczego dziś tam nie siedzisz?

Puls mu przyspieszył – zawsze sprawiała, że przyspieszał, ale nie w sposób, który by mu przeszkadzał.

– Matthew kazał mi zrobić sobie dzień wolnego. Często na mnie wrzeszczy z tego powodu.

– Matthew?

– Może go widziałas. Jest najstarszy. Dobrze mówi Jezu Chryste.

Teraz Clay się uśmiechnął, a ona wykorzystwała okazję.



– Dlaczego w ogóle tam wchodzisz?

– No wiesz. – Zastanowił się nad najlepszym wyjaśnieniem. – Można popatrzeć całkiem daleko.

– Mogłabym wejść któregoś dnia?

Wstrząsnęło nim, że zapytała, ale nie mógł powstrzymać się przed żartowaniem razem z nią.

– Nie wiem. Nie tak łatwo tam wejść.

A Carey się roześmiała, złapała haczyk.

– Bzdura. Jeśli ty potrafisz się wspiąć, to ja też.

– Bzdura?

Oboje na wpeł się uśmiechnęli.

– Nie będę ci przeszkadzać, obiecuję. – I wtedy wpadła na pomysł. – Jeśli pozwolisz mi wejść, zabiorę lornetkę.

Zawsze myślała z wyprzedzeniem.

Kiedy był tam z Carey, Surrounds czasem wyglądało na większe.

Domowe rupiecie stały jak oddalone pomniki.

Przedmieścia wydawały się bardziej odległe.

Tamtej nocy, po typach i Matadorze, Carey opowiadała spokojnie o stajniach. Spytał, czy któregoś dnia ma wziąć udział w gonitwie, a nie tylko ćwiczyć z końmi na torze i przeprowadzać próby przeszkód. Carey odparła, że McAndrew nic nie mówił, ale wiedział, co robi. Gdyby go zaczęła zadręczać, cofnęłaby się o całe miesiące.

Przez cały czas jej głowa rzecz jasna leżała na jego piersi albo opierała się na jego szyi – najbardziej ulubiona z jego najbardziej ulubionych rzeczy. W Carey Novac Clay znalazł osobę, która go znała, która była nim, we wszystkim poza jedną kluczową kwestią. Wiedział jednak, że gdyby mogła, oddałaby wszystko, by dzielić z nim również to:

Powód, dla którego nosił klamerkę.

Oddałyby przygotowanie do zawodu dżokeja albo swojego pierwszego zwycięzcę w grupie pierwszej, nie wspominając już o uczestnictwie w liczącej się gonitwie. Jestem pewien, że oddałyby nawet wierzchowca w Pucharze Melbourne, „Gonitwie, która wstrzymuje naród”, albo tej, którą kochała jeszcze bardziej, Cox Plate.

Ale nie mogła.

Zrozumiała jednak, i to bez chwili wahania, właściwy sposób na pożegnanie, i błagała go cicho. Łagodnie, ale rzeczowo.

– Nie rób tego, Clay, nie odchodź, nie zostawiaj mnie... ale idź.

Gdyby była postacią z eposu Homera, byłaby „czystooką Carey” albo „Carey o bezcennych oczach”. Tym razem wyraźnie mu powiedziała, jak bardzo będzie za nim tęsknić, ale jednocześnie spodziewała się – a nawet więcej, zażądała – by zrobił to, co musiał.

Nie rób tego, Clay, nie zostawiaj mnie... ale idź.

A kiedy wtedy odchodziła, uświadomiła sobie:

Na środku Archer Street dziewczyna się odwróciła.

– Hej, jak się nazywasz?

Chłopak, na werandzie.

– Clay.

Cisza.

– I? Nie chcesz poznać MOJEGO imienia?

Ale powiedziała to tak, jakby znała go od zawsze, a Clay się opamiętał i spytał, a wtedy dziewczyna wróciła.

– Carey – powiedziała i znów odeszła, a Clay zawołał po chwili namysłu:

– Hej, jak to się pisze?

Podbiegła i wzięła talerz.

Palcem nakreśliła swoje imię, bardzo starannie, między okruchami, a później się roześmiała, kiedy trudno je było odcyfrować – ale oboje

wiedzieli, że litery tam są.

Wtedy uśmiechnęła się do niego, krótko ale ciepło, i przeszła na drugą stronę ulicy, do domu.

Przez kolejnych dwadzieścia minut zostali i trwali w ciszy, a Surrounds było ciche wokół nich.

I to zawsze zdawało się w tym wszystkim najgorsze:

Carey Novac odchyliła się do tyłu.

Usiadła na skraju materaca, ale kiedy wstała, żeby odejść, przykucnęła. Uklękła z boku łóżka, w tym samym miejscu, w którym zatrzymała się po przyjściu, i uniosła paczuszkę, zawiniętą w gazetę. Opuściła ją powoli i umieściła na jego żebrach. Nie powiedziano nic więcej.

Nie było „Proszę, to dla ciebie”.

Albo „Weź to”.

Albo „Dziękuję” Claya.

Dopiero kiedy odeszła, podniósł się i otworzył ją, i zatoczył się na widok tego, co było w środku.

## śmierć po południu

PENELOPIE wszystko się układało.

Lata przychodziły i odchodziły.

Już dawno opuściła obóz i mieszkała sama w mieszkaniu na parterze przy Pepper Street. Uwielbiała tę nazwę.

Pracowała teraz z innymi kobietami: Stellą, Marion, Lynn.

Pracowały w różnych parach, jeździły do miasta sprzątać. Oczywiście, w tamtym czasie oszczędzała na używane pianino, czekała cierpliwie, by pójść i je kupić. W mieszkanku przy Pepper Street trzymała pod łóżkiem pudełko po butach, a w nim zwinięte banknoty.

Przez cały czas uczyła się angielskiego i każdej nocy czuła, że jest bliżej. Jej ambicja, by przeczytać od deski do deski *Iliadę* i *Odyseję*, wydawała się coraz bliższa spełnienia. Czasami siedziała długo po północy w towarzystwie słownika. Wiele razy tak zasypiała, w kuchni, jej twarz cała pomarszczona, przytulona bokiem do ciepła książek – jej nieodłączny emigrancki Everest.

Jakie to typowe i doskonałe.

W końcu to była Penelopa.

Kiedy była bliska osiągnięcia celu, zwał się świat.

Było zupełnie jak w tych dwóch książkach, poważnie.

W chwili, kiedy pojawiała się wojna, którą należało wygrać, wtrącał się bóg. W tym wypadku, unicestwienie.

Przyszedł list.

Informował ją, że on zmarł poza domem.

Jego ciało osunęło się obok starej parkowej ławki. Najwyraźniej jego twarz częściowo pokrywał śnieg, a zaciśnięta w pięść dłoń spoczywała na sercu. Nie był to patriotyczny gest.

Pogrzeb odbył się wcześniej, niż dotarł list.

Ciche wydarzenie. Umarł.

Tego popołudnia jej kuchnia była pełna słońca, a kiedy upuściła list, zakołysał się, jak wahadło z papieru. Wślizgnął się pod lodówkę, a ona poświęciła wiele minut, na czworakach, sięgając pod nią głęboko, żeby go wydobyć.

Jezu, Penny.

Oto byłeś.

Oto byłeś z kolanami napiętymi i rozciągniętymi, z zatłoczonym stołem za sobą. Oto byłeś z zamglonymi oczami i zapadniętą pierśią, twarzą na podłodze – policzek i ucho – a kościstym tyłkiem w powietrzu.

Dzięki Bogu za to, co zrobiłaś później.

Kochaliśmy to, co zrobiłaś później.

## most z claya

TAK BYŁO TAMTEJ NOCY, kiedy Carey opuściła Surrounds, a Clay rozwinął papier.

Ostrożnie odkleił taśmę.

Wygladził stronę „Heralda” poświęconą wyścigom konnym i wsunął ją sobie pod nogę. Dopiero wtedy spojrzął na prezent – starą drewnianą skrzyneczkę – i wziął ją obiema rękami, kasztanową i poobijaną. Miała wielkość starej książki w twardej oprawie, zardzewiałe zawiasy i popsutą zasuwkę.

Wokół niego Surrounds było przestronne i otwarte.

Powietrze niemal nieruchome.

Nieważkość.

Otworzył małe drewniane drzwiczki na górze, a one zaskrzypiały jak deska podłogowa i opadły.

W środku znajdował się inny prezent.

Prezent w prezencie.

I list.

Zwykle Clay najpierw przeczytałby list, ale żeby do niego dotrzeć, uniósł zapalniczkę. Zippo, ze stopu cyny z ołowiem, wielkością i kształtem przypominająca pudełko zapalek.

Zanim pomyślał, żeby ją wziąć, trzymał ją w ręku.

Odwrócił.

Skierował w stronę dłoni.

Zaskoczyło go, jak ciężka była, a kiedy przewrócił ją na grzbiet, zobaczył je. Przeciągnął palcami po słowach, wygrawerowanych na jej metalowej piersi.

„Matador w piątej”.

Ta dziewczyna była niezwykła.

Kiedy otworzył list, kusiło go, żeby pstryknąć Zippo, zapalić jego światło, ale do czytania wystarczył mu blask księżyca.

Jej pismo było drobne i precyzyjne.

*Kochany Clayu!*

*Kiedy będziesz to czytał, będzie już po naszej rozmowie... ale chciałam tylko powiedzieć, że wiem o Twoim wyjeździe i tęsknię za Tobą. Już za Tobą tęsknię.*

*Matthew mówił mi o odległym miejscu i moście, który być może wybudujesz. Próbuję sobie wyobrazić, z czego będzie ten most, ale z drugiej strony, nie sądzę, by to miało znaczenie. Chciałabym powiedzieć, że to mój pomysł, ale Ty i tak rozpoznasz te słowa, z obwoluty Kamieniarza.*

**„WSZYSTKO, CO KIEDYKOLWIEK ZROBIŁ, POWSTAŁO NIE TYLKO Z BRĄZU, MARMURU ALBO FARBY, ALE Z NIEGO... ZE WSZYSTKIEGO W JEGO WNEĘTRZU”.**

*Jedno wiem:*

*Ten most zostanie zbudowany z Ciebie.*

*Jeśli nie masz nic przeciwko, zatrzymam na razie tę książkę – może żeby upewnić się, że po nią wrócisz i wrócisz również do Surrounds.*

*Co się tyczy Zippo, mówią, że nie powinno się palić za sobą mostów, ale i tak Ci ją daję, choćby na szczęście i żebyś mnie pamiętał. Poza tym zapalniczka ma pewien sens. Wiesz, co mówią o glinie, prawda? Oczywiście, że tak.*

*Całuję*

*Carey*

*PS Przepraszam za stan drewnianej skrzynki, ale myślę, że Ci się spodoba. Pomyślałam, że nie zaszkodzi, żebyś mógł w niej trzymać cenne rzeczy. Weź coś więcej niż tylko klamerkę.*

*PS2 Mam nadzieję, że podoba Ci się grawerunek.*

A co wy byście zrobili?

Co byście powiedzieli?

Clay siedział bez ruchu na materacu.

Zadał sobie pytanie:

Co mówią o glinie?

Ale szybko zrozumiał.

Właściwie zrozumiał, zanim jeszcze skończył pytać, i przez dłuższy czas pozostał na Surrounds. Wiele razy przeczytał list.

W końcu, kiedy przerwał bezruch, jedynie sięgnął po małą, ciężką zapalniczkę – uniósł ją do warg. Przez chwilę prawie się uśmiechał.

„Ten most zostanie zbudowany z Ciebie”.

Nie chodziło o to, że Carey robiła rzeczy wielkie, przyciągała uwagę, wzbudzała miłość albo nawet szacunek. Nie, z Carey chodziło o drobne ruchy, swobodny dotyk prawdy – i w ten sposób, jak zawsze, to zrobiła.

Dodała mu odwagi.

I nadała tytuł tej historii.



## ekipa przeprowadzkowa

NA PODŁODZE W KUCHNI Penelopa podjęła decyzję.

Ojciec chciał, żeby miała lepsze życie, a oto, co zamierzała zrobić:

Odrzuci potulność i uprzejmość.

Pójdzie i wyjmie pudełko po butach.

Weźmie pieniądze i ściśnie je.

Napełni kieszenie i pójdzie na pociąg – cały czas pamiętając list i Wiedeń:

„Istnieje inny sposób bycia”.

Tak, istniał, a dziś zamierzała po niego sięgnąć.

*Bez wahania.*

Bez zwłoki.

Już miała w głowie mapę sklepów.

Była w nich wcześniej i знаła lokalizację, ceny i specjalizację każdego z nich. Szczególnie jeden przyciągał ją do siebie. Po pierwsze ze względu na ceny – na więcej nie mogła sobie pozwolić. Jednak przemawiał do niej również jego chaotyczny charakter – pozwijane nuty, brudne popiersie Beethovena krzywiące się w kącie i sprzedawca pochylony za ladą. Miał spiczastą twarz i wesołą minę, niemal przez cały czas jadł ćwiartki pomarańczy. Z powodu głuchoty krzyczał.

– Pianina? – zadudnił za pierwszym razem, kiedy weszła do środka. Rzucił skórkę pomarańczy do kosza i nie trafił. („Cholera, z jednego metra!”). Choć był głuchy, wyłapał jej akcent. – A po co takiemu wędrowcowi pianino? Jest gorsze niż ołowiany obciążnik na szyi! –

Wstał i sięgnął po najbliższego hohnera. – Szczupła dziewczyna taka jak ty potrzebuje jednej z nich. Dwadzieścia dolców. – Otworzył nieduży futerał i przeciągnął palcami po harmonijce ustnej. Czy w ten sposób chciał jej powiedzieć, że nie stać jej na pianino? – Możesz zabrać ją wszędzie.

– Ale ja nie wyjeżdżam.

Stary mężczyzna zmienił taktykę.

– Oczywiście. – Obliznął palce i lekko się wyprostował. – Ile masz?

– Jak na razie niewiele. Jakies trzysta dolarów.

Zaśmiał się przez atak kaszlu.

– Posłuchaj, moja droga, chyba śnisz. Jeśli chcesz DOBRE, a przynajmniej przyzwoite, wróć, kiedy będziesz miała patyka.

– Patyka?

– Tysiąc?

– Och. Mogę wypróbować jedno z nich?

– Oczywiście.

Ale aż do tej pory nie zagrała na jednym z pianin, ani w tym sklepie, ani w żadnym innym. Jeśli potrzebowała tysiąca dolarów, to potrzebowała tysiąca dolarów i dopiero wtedy znajdzie pianino, zagra na nim i je kupi, wszystko tego samego dnia.

A ten dzień właśnie nadszedł.

Nawet jeśli brakowało jej pięćdziesięciu trzech dolarów.

Weszła do sklepu, a jej kieszenie były wypchane.

Twarz sprzedawcy się rozpromieniła.

– Przyszłaś!

– Tak.

Dyszała ciężko. I pociła się mocno.

– Masz tysiąc dolarów?

– Mam... – Wyjęła banknoty. – Dziewięćset... czterdzieści siedem.

– Tak, ale...

Penny opuściła ręce na ladę, zostawiając odciski łap w kurzu lepкими palcami i dłońmi. Jej twarz znajdowała się na wysokości jego, a łopatki były zagrożone zwicnięciem.

– Proszę. Muszę dziś na nim zagrać. Zapłacę resztę, kiedy dostanę pieniądze... ale dziś muszę je wypróbować, proszę.

Po raz pierwszy mężczyzna nie starał się niczego na niej wymusić swoim uśmiechem, jego wargi rozsunęły się jedynie po to, by mógł się odezwać.

– W porządku. – Szedł, machając ręką. – Tutaj.

Oczywiście, zaprowadził ją do najtańszego pianina, było ładne, w kolorze orzecha włoskiego.

Usiadła na taborecie, podniosła klapę.

Spojrzała na promenadę klawiszy.

Kilka było odprysniętych, ale wymykając się przez szpary rozpaczy, zdążyła zakochać się w instrumencie, choć nie wydał jeszcze dźwięku.

– I jak?

Penny odwróciła się powoli w stronę sprzedawcy i wewnątrz prawie się zapadła – znów była Urodzinową Dziewczyną.

– W takim razie na co czekasz?

Pokiwała głową.

Skupiła się na pianinie i przypomniała sobie stary kraj. Przypomniała sobie ojca i jego ręce na plecach. Była w powietrzu, wysoko w powietrzu – rzeźba za huśtawką – i Penelopa grała i płakała. Mimo tak długiej przerwy w grze na pianinie zrobiła to pięknie (jeden z nokturnów Chopina) i poczuła smak łez na wargach. Wciągnęła je i zagrała wszystko właściwie i doskonale.

Błędna Dziewczyna nie popełniła błędów.

A obok niej unosił się zapach pomarańczy.

– Rozumiem. Rozumiem. – Stał u jej boku, po prawej. – Chyba wiem, o co ci chodzi.

Sprzedził jej pianino za dziewięćset dolarów i załatwił dostawę.

Jedyny problem polegał na tym, że sprzedawca miał nie tylko niedosłuch i chaos w sklepie – jego charakter pisma również pozostawiał wiele do życzenia. Ale gdyby było odrobinę bardziej czytelne, moi bracia i ja w ogóle byśmy nie zaistnieli – zamiast przeczytać zanotowany własną ręką adres Pepper Street 3/7, wysłał dostawę pod 37.

Jak się możecie domyślać, mężczyźni się wkurzyli.

Była sobota.

Trzy dni po tym, jak je kupiła.

Podczas gdy jeden zapukał do drzwi, dwaj pozostali zaczęli rozładunek. Zdjęli pianino z ciężarówki i postawili je na ścieżce. Szefer rozmawiał z mężczyzną na werandzie, ale wkrótce zaczął na nich wrzeszczeć.

– Co wy wyprawiacie, do diabła?

– Co?

– Do cholery, to niewłaściwy dom!

Wszedł do środka, skorzystał z telefonu mężczyzny, a kiedy wychodził, mruzczał pod nosem.

– Ten idiota. Ten głupi, zażerający się pomarańczami KUTAS.

– O co chodzi?

– To mieszkanie. Numer trzy. Tam, pod siódemką.

– Ale popatrz. Tam nie ma parkingu.

– Zaparkujemy na środku ulicy.

– Sąsiadom się to nie spodoba.

– TY się nie podobasz sąsiadom.

– Co to miało znaczyć?

Szef wygiął wargi w kilka kształtów dezaprobaty.

– Dobra, pójdę tam. Wy dwaj wyciągnijcie wózek. Kółka pianina padną, jeśli wytoczymy je na drogę, i my też. Zapukam do drzwi. Jeszcze tylko brakuje, żebyśmy je tam zaciągnęli, a nikogo nie było w domu.

– Dobry pomysł.

– Tak, to JEST dobry pomysł. A teraz nawet nie dotykajcie tego pianina, dobra?

– W porządku.

– Dopóki JA wam nie każę.

– W porządku!

Pod nieobecność szefa dwaj pracownicy patrzyli na mężczyznę na werandzie.

Tego, który nie chciał pianina.

– Jak idzie? – spytał.

– Trochę męcząco.

– Napijcie się?

– Nie. Szefowi pewnie by się to nie spodobało.

Mężczyzna na werandzie był normalnego wzrostu, miał falujące ciemne włosy, niebieskozielone oczy i poobijane serce – a kiedy szef wrócił, na środku Pepper Street stała cicha kobieta o białej twarzy i opalonych ramionach.

– Proszę. – Mężczyzna zszedł z werandy, kiedy przynosili pianino na wózek. – Jeśli chcecie, złapię za ten koniec.

I tak oto, w sobotnie popołudnie, czterech mężczyzn i kobieta toczyło orzechowe pianino przez spory kawałek Pepper Street. Po przeciwnych rogach toczącego się instrumentu znajdowali się Penelopa Lesciuszko i Michael Dunbar – o czym Penelopa nie mogła mieć pojęcia. Nawet

kiedy dostrzegła jego rozbawienie robotnikami i troskę o stan pianina, nie mogła mieć pojęcia, że oto nadciągnął przypływ reszty jej życia, ostatniego nazwiska i przezwiska.

Jak to powiedziała Clayowi, któremu opowiadała tę historię:

– Dziwnie o tym myśleć, ale pewnego dnia miałam wyjść za tego mężczyznę.

## ostatnia fala

JAK SIĘ MOGLIŚCIE SPODZIEWAĆ, w domu chłopców i młodych mężczyzn niewiele się mówiło, że jeden z nas odchodzi. Po prostu to robił.

Tommy wiedział.

Muł też.

Clay znów spędził noc na Surrounds i obudził się w niedzielę rano ze skrzyneczką w ręku.

Usiadł i przeczytał znów list.

Trzymał zapalniczkę i Matadora w piątej.

Kiedy wrócił, wniósł skrzynkę do domu, włożył do niej posklejany taśmą adres Mordercy, wsunął ją głęboko pod łóżko i cicho zrobił serię brzuszaków na dywanie.

W połowie pojawił się Tommy – widział go kątem oka za każdym razem, kiedy opadał na podłogę. Gołąb, T., siedział na ramieniu chłopaka, a wiatr poruszał plakatami Henry'ego. Przedstawiały głównie muzyków, starych. Do tego kilka aktorek, młodych i kobiecych.

– Clay?

Tommy za każdym razem pojawiał się w jego polu widzenia.

– Pomożesz mi później z jego nogami?

Skończył i wyszedł na tylne podwórko, Achilles stał w pobliżu stojaka na pranie. Clay podszedł, dał mu kostkę cukru na otwartej dłoni, kucnął i postukał w nogę.

Pierwsze kopyto uniosło się w górę, było czyste.

Później drugie.

Kiedy załatwili wszystkie cztery, Tommy był urażony na swój zwykły sposób, ale Clay nic nie mógł zrobić. Nie da się zmusić muła do zmiany zdania.

Żeby go pocieszyć, wyjął jeszcze dwie małe kostki cukru.

Jedną podał Tommy'emu.

Podwórko zalewał poranek.

Na werandzie leżała płasko pusta poducha – zsunęła się z kanapy. W trawie spoczywał rower bez kierownicy, a suszarka na pranie wznosiła się dumnie w słońce.

Wkrótce Eos wybiegła z szopy, którą wybudowaliśmy na tyłach dla Achillesa. Dotarła do suszarki i zaczęła biegać wokół niej, a cukier topił się na ich językach.

Pod koniec Tommy to powiedział:

– Kto mi pomoże, kiedy ty wyjedziesz?

Na co Clay zrobił coś, co zaskoczyło nawet jego samego.

Złapał Tommy'ego za dekolot koszulki i rzucił go na grzbiet Achillesa.

– Cholera!

Tommy był wstrząśnięty, ale wkrótce się poddał – pochylił się nad mułem i roześmiał.

Po lunchu, kiedy Clay ruszył w stronę frontowych drzwi, zatrzymał go Henry.

– Dokąd to się wybierasz, do cholery?

Chwila przerwy.

– Cmentarz. Może Bernborough.

– Czekał. – Henry złapał kluczyki. – Pojadę z tobą.

Kiedy tam dotarli, pochylił się nad parkanem, a później ruszyli między grobami. Przy właściwym kucnęli patrzyli założyli ręce stali w popołudniowym słońcu; patrzyli na trupy tulipanów.



– Żadnych stokrotek?

Prawie się roześmiali.

– Hej, Clay?

Obaj stali niedbale, a jednak sztywno, a teraz Clay odwrócił się twarzą do niego. Henry był przyjazny jak zwykle, ale w pewien sposób inny, kiedy patrzył nad pomnikami.

Z początku powiedział jedynie:

– Boże. – Długie milczenie. – BOŻE, Clay. – I wyjął coś z kieszeni. –  
Masz.

Z ręki do ręki.

Nieźła sumka pieniędzy.

– Weź je.

Clay przyjrzał się uważniej.

– Są twoje, Clay. Pamiętasz zakłady na Bernborough? Nie uwierzyłybyś, ile zarobiliśmy. Nigdy ci nawet nie zapłaciłem.

Ale nie, to było więcej, za dużo, przycisk do papierów z gotówki.

– Henry...

– Dalej, weź je.

Kiedy to zrobił, przytrzymał papiery w dłoni.

– Hej. Ej, Clay. – I spojrział mu w oczy jak należy. – Może kup sobie cholerny telefon, jak normalni ludzie... daj nam znać, kiedy dojedziesz na miejsce.

A Clay: uśmiech, szyderstwo.

Nie, dzięki, Henry.

– Dobra, wydaj każdego cholernego centa na most. –  
Najprzebieglejszy z chłopięcych uśmiechów. – Ale kiedy skończysz, oddaj nam resztę.

W Bernborough Park zrobił kilka okrążeń, a gdy minął resztki siatki do rzutu dyskiem, czekała go miła niespodzianka – bo oto, na trzystu

metrach, stał Rory.

Clay zatrzymał się z dłońmi na mięśniach czworogłowych.

Rory patrzył oczyma jak złom.

Clay nie podniósł wzroku, ale się uśmiechnął.

Rory wcale nie czuł się wściekły ani zdradzony, ale znajdował się gdzieś pomiędzy rozbawieniem na myśl o nadchodzącej przemocy a doskonałym zrozumieniem. Powiedział:

– Muszę ci to przyznać, dzieciaku... masz odwagę.

A Clay stał teraz całkowicie wyprostowany, z początku milczący, gdy Rory mówił dalej:

– Czy cię nie będzie trzy dni czy trzy lata... Wiesz, że Matthew cię zabije, prawda? Kiedy wrócisz.

Skinienie.

– Będziesz na niego gotów?

– Nie.

– A chcesz być? – Zastanowił się nad tym. – A może nigdy nie wrócisz.

Clay najeżył się w duchu.

– Wróć. Będzie mi brakować tych naszych serdecznych rozmów.

Rory uśmiechnął się szeroko.

– Dobry tekst, posłuchaj... – Zacierał rękę. – Chcesz poćwiczyć? Myślisz, że wtedy byłem twardy? Matthew to coś zupełnie innego.

– Jest w porządku, Rory.

– Nie przetrwasz piętnastu sekund.

– Ale umiem znosić bicie.

Rory podszedł o krok bliżej.

– Tyle wiem, ale mogę ci choć pokazać, jak wytrzymać odrobinę dłużej.

Clay popatrzył na niego, prosto na jabłko Adama.

– Nie martw się, jest za późno.

A Rory wiedział lepiej niż ktokolwiek – że Clay JUŻ był gotów, że ćwiczył od lat, a ja mogłem go zabijać, ile chciałem.

Clay po prostu nie umierał.

Kiedy wrócił do domu z gotówką w rękę, oglądałem film, pierwszego *Mad Maxa* – stosownie ponury. Z początku Tommy był ze mną i błagał, żebyśmy obejrzeliby coś innego.

– Czy nie możemy choć raz zobaczyć filmu, którego nie nakręcono w latach osiemdziesiątych?

– Robimy to. Ten jest z 1979.

– To właśnie zamierzałem powiedzieć! Lata osiemdziesiąte albo wcześniej. Żadnego z nas nie było jeszcze na świecie. Nawet w planach! Dlaczego nie możemy po prostu...

– Wiesz, dlaczego – przerwałem mu. Ale wtedy zobaczyłem jego minę, jakby zaraz miał się rozplakać. – ...Cholera... przykro mi, Tommy.

– Wcale nie.

Miał rację, to była część bycia Dunbarem.

Kiedy Tommy wyszedł, do środka wszedł Clay, po tym jak umieścił pieniądze w skrzyneczce. Podeszedł do kanapy i usiadł.

– Hej – powiedział i spojrzał, ale ja nie odrywałem wzroku od ekranu.

– Nadal masz adres?

Pokiwał głową i oglądaliśmy *Mad Maxa*.

– Znowu lata osiemdziesiąte?

– Nawet nie zaczynaj.

Milczeliśmy aż do fragmentu, w którym przerażający przywódca gangu mówi: „Cundalini chce rękę z powrotem!”, a wtedy spojrzałem na brata.

– On mówi poważnie, prawda?

Clay się uśmiechnął, ale nie zareagował.

Tak robimy.

W nocy, kiedy wszyscy się położyli, siedział z włączonym telewizorem i wyłączonym dźwiękiem. Popatrzył na Agamemnona, złotą rybkę, która odpowiedziała mu spokojnym spojrzeniem, po czym po raz ostatni uderzyła głową w szkło.

Clay podszedł do klatki i szybko, bez ostrzeżenia, wziął go. Ścisnął go w rękę, ale delikatnie.

– Hej, T., wszystko w porządku?

Ptak podskakiwał lekko i Clay czuł jego oddech. Wyczuwał przez pierze bicie serca.

– Nie ruszaj się, chłopcze...

Szybkim gestem szarpnął na wysokości ptasiej szyi, i już po chwili trzymał malutkie pióro, czyste i szare z zielonym brzegiem, na nieruchomej lewej dłoni.

Włożył ptaka z powrotem do klatki.

Gołąb przyglądał mu się poważnie, po czym przeszedł z jednego końca na drugi.

Teraz półki i gry planszowe.

Kariery, Scrabble, Połącz Cztery.

Pod nimi ta, o którą mu chodziło.

Otworzył ją, ale jego uwagę na chwilę odwrócił film w telewizji. Wyglądał nieźle – czarno-biały, dziewczyna kłócąca się z mężczyzną w knajpie – ale oto bogactwa Monopoli. Odnalazł kostki i hotele, aż chwycił woreczek, o który mu chodziło i wkrótce trzymał w palcach żelazko.

Clay, ten uśmiechnięty, uśmiechnął się.

Blżej północy było łatwiej, niż się spodziewał – podwórko wolne od gówna muła i psa, niech Bóg błogosławi bawełniane skarpetki Tommy'ego.

Wkrótce stał przy suszarce na pranie, a klamerki wisiały nad nim, w rzędach zmieniających się barw. Wyciągnął rękę i delikatnie odpiął jedną. Kiedyś była jaskrawoniebieska, ale teraz wyblakła.

Wtedy ukląkł obok słupka.

Oczywiście, Eos podeszła, a Achilles pełnił straż, z kopytami i nogami w gotowości. Jego grzywa była wyczesana, ale posklejana, a Clay wyciągnął rękę i oparł dłoń na skraju pęciny.

Później złapał Eos, bardzo powoli, za białą-czarną łapę.

Złoto w jej oczach, pożegnanie z nim.

Uwielbiał to psie spojrzenie z ukosa.

Ruszył dalej na tyły, na Surrounds.

Tak się złożyło, że nie zatrzymał się na długo – już odszedł, więc nie zdjął plastiku. Nie, jedynie się pożegnał i obiecał, że wróci.

Z powrotem, w domu, w pokoju swoim i Henry'ego, zajrzał do skrzyneczki – klamerka była ostatnim przedmiotem. W ciemnościach widział zawartość, od pióra po żelazko, pieniądze, klamerkę i posklejany adres Mordercy. I, oczywiście, metaliczną zapalniczkę z grawerunkiem od niej dla niego.

Zamiast usnąć, zapalił lampkę. Przepakował walizkę. Zajrzał do książek, a godziny przepływały obok.

O trzeciej trzydziści wiedział, że Carey wkrótce wyjdzie:

Wstał, włożył książki z powrotem do sportowej torby i ścisnął zapalniczkę w dłoni. W przedpokoju znów poczuł grawerunek, wycięty płytko w metalu.

Bezgłośnie otworzył drzwi.

Stał przy balustradzie, na werandzie.

Wieki temu był tu ze mną. Ultimatum przy frontowych drzwiach.

Wkrótce Carey Novac wyłoniła się z domu, z plecakiem na plecach i rowerem górskim u boku.

Najpierw zobaczył koło – szprychy.

Później dziewczynę.

Jej włosy były rozpuszczone, kroki szybkie.

Włożyła dzinsy. Tę co zwykle flanelową koszulę.

Najpierw spojrzała na drugą stronę ulicy, a kiedy go zobaczyła, położyła rower. Leżał tak, oparty na pedale, tylne koło się kręciło, a dziewczyna podeszła powoli. Stała na samym środku drogi.

– Hej – powiedziała – podobała ci się?

Mówiła cicho, ale zabrzmiało to jak krzyk.

Zachwycone wyzwanie.

Bezruch Archer Street przed świtem.

Jeśli chodzi o Claya, myślał o wielu rzeczach, które mógłby powiedzieć, przekazać jej, żeby się dowiedziała, ale odezwał się jednym słowem:

– Matador.

Nawet z tej odległości widział jej nie do końca białe, nie całkiem proste zęby, a jej uśmiech otworzył ulicę. W końcu uniosła dłoń, a jej twarz wyglądała dziwnie – nie wiedziała, co powiedzieć.

Kiedy się oddalała, szła i patrzyła na niego, a później patrzyła jeszcze przez chwilę.

Do widzenia, Clay.

Dopiero kiedy wyobraził sobie, że była już na Poseidon Road, znów spojrzał w dłoń, na której w mroku majaczyła zapalniczka. Otworzył ją, powoli i spokojnie, a wtedy wystrzelił płomień.

I tak to było.

W ciemności przyszedł do nas wszystkich – począwszy ode mnie leżącego prosto w łóżku, przez uśmiechniętego we śnie Henry’ego, po absurd Tommy’ego i Rory’ego. W ostatnim geście życzliwości (dla obu z nich) zdjął Hektora z piersi Rory’ego i przerzucił go sobie przez ramię, jak kolejną torbę. Zdjął go na werandzie, a pręgowany kot mrucał, ale on też wiedział, że Clay odchodzi.

I co?

Najpierw miasto, później muł, a teraz kot zajmował się mówieniem.

A może nie.

– Do widzenia, Hektorze.

Ale nie odszedł, jeszcze nie.

Nie, przez długi czas, co najmniej kilka minut, czekał, aż świt wstanie nad ulicą, a kiedy tak się stało, był złoty i wspaniały. Wspinał się nad dachami Archer Street, a wraz z nim przybyło wezwanie przyływu:

Tam była Błędna Dziewczyna i odległy pomnik Stalina.

Urodzinowa Dziewczyna tocząca pianino.

Kolorowe serce wśród całej tej szarości i unoszące się papierowe domy.

Wszystko to szło przez miasto, przez Surrounds i Bernborough. Wznosiło się na ulicach, a kiedy Clay w końcu odszedł, było światło i podnoszące się wody powodzi. Najpierw sięgały mu do kostek, później do kolan, a kiedy wyszedł za róg, wzniosły się do pasa.

Clay obejrzał się za siebie po raz ostatni, po czym zanurkował – w głąb i na zewnątrz – w stronę mostu, przez przeszłość, do ojca.

Płynął przez rozświetloną złotym blaskiem wodę.

część trzecia

miasta + wody

+

ZBRODNIARZE



## korytarz

TAM WIĘC został wyrzucony na brzeg.

Wśród drzew.

Clay od lat wyobrażał sobie taką chwilę – że będzie silny, będzie pewny i gotowy – ale te obrazy zostały zmiecione, a on był jedynie skorupą po samym sobie.

Próbując znów zebrać determinację, stał nieruchomo w korytarzu bujnych eukaliptusów. Czuł nacisk w płucach, wrażenie nadpływających fal, choć teraz tworzyło je jedynie powietrze. Musiał sobie przypominać, żeby nim odetchnąć.

Gdzieś tu było miejsce, do którego prowadziły wody.

Gdzieś tu było miejsce, do którego uciekali mordercy.

Za nim zostało spanie i czytanie, i odległe osiedla miasta. Leniwy łańcuch metalu i niezliczone mile czystej, nierównej ziemi. Clayowi, w jego ignorancji, wydawało się to miejscem wielkiej prostoty. Linia kolejowa i ziemia, i całe połączenie pustej przestrzeni. Było miasteczko o nazwie Silver i nie, nie było to miasteczko, o którym mogliście pomyśleć (z psem, MP i węzem) – ale miasteczko w połowie drogi.

Małe domy. Zadbane trawniki.

Obok zaś tego wszystkiego wiła się, sucha i popękana, szeroka i zniekształcona rzeka. Miała dziwną nazwę, ale jemu się podobała:

Amahnu.

Po południu, kiedy przybył na miejsce, przez chwilę rozważał podążanie za rzeką do ojca, ale wybrał miasteczko. Na stacji

benzynowej kupił składaną mapę. Szedł według zardzewiałych znaków z nazwami ulic i pijanych, rozwalonych puszek po piwie. Znalazł drogę, prowadzącą na północ i zachód, zostawił za sobą miasteczko.

Kiedy szedł, świat wokół niego pustoszał jeszcze bardziej; wydawał się wzbierać, cały czas na zewnątrz, a później pojawiło się to drugie uczucie – że jednocześnie zbliżał się DO niego. Oczywiście, powoli nadchodząca cisza – czuł ją z każdym krokiem. Im bardziej pusto się robiło, tym krótsza droga do samotnego domu naszego ojca.

Gdzieś, nigdzie, od szosy odbijała w prawo droga. Na okrągłej skrzynce na listy znajdował się numer, a Clay go znał, z adresu w drewnianej skrzyneczce. Ruszył ubitą drogą.

Z początku była naga i nieosłonięta, ale po kilkuset metrach i wspięciu się na łagodne wzgórze dotarł do korytarza drzew. Na poziomie oczu pnie bardziej przypominały muskularne uda – jakby dookoła stały olbrzymy. Na ziemi leżało kłębowisko kory, a jej długie pasma rozpadały się pod jego stopami. Clay został, nie zamierzał odejść.

Za nimi stał zaparkowany samochód, wciąż po tej stronie:

Holden, długie czerwone pudełko.

Dalej, po drugiej stronie suchej rzeki, znajdowała się brama, w świetle. A za bramą dom – garbus o smutnych oczach i ustach.

Wśród wysokich, kościstych chwastów było życie. Skulone we wrzosach, zaroślach i trawie przypominającej Bernborough, powietrze aż się od niego roiło. Rozlegał się potężny zgiełk owadów, elektryzujący i erudycyjny. Cały język w jednej nucie. Swobodny.

Clay z kolei się mozolił. Poczul w sobie świeży krwotok strachu, winy i wątpliwości. Przepływał przez niego na trzech poziomach.

Ile mógł prokrastynować?

Ile razy mógł otwierać drewnianą skrzyneczkę i brać do ręki każdy z ukrytych w niej przedmiotów?

Albo przeglądać sportową torbę?

Po ile książek mógł sięgnąć i je przeczytać?

Ile listów do Carey mógł sformułować, ale jeszcze nie zapisać?

Raz jego dłoń opadła na długi pas popołudniowego słońca.

– Idź.

Wypowiedział to.

Wstrząsnęło nim, że słowa opuściły jego usta.

Jeszcze bardziej za drugim razem.

– Idź, chłopcze.

Idź, Clay.

Idź i powiedz mu, dlaczego przybyłeś. Spojrzyj w jego ogorzałą twarz i zapadłe mordercze oczy. Niech świat zobaczy, jaki jesteś:

Ambitny. Uparty. Zdradziecki.

Dziś nie jesteś bratem, pomyślał.

Ani bratem, ani synem.

Zrób to, zrób to teraz.

I zrobił to.

## morderca nie zawsze był mordercą

TAK, CLAY ODSZEDŁ i szedł, ale do kogo dokładnie szedł tego popołudnia? Kim on tak naprawdę był, skąd przywędrował i jakie decyzje i niezdecydowania podjął, by stać się mężczyzną, którym był i którym nie był? Jeśli wyobrazimy sobie przeszłość Claya unoszącą się na wodach przypływu, to Morderca wędrował w jego stronę z niezmiennej, odległej suchej krainy i nigdy nie był najlepszym pływakiem. Może najlepiej podsumować to w taki sposób:

W chwili obecnej był chłopiec idący w stronę jak na razie jedynie cudownego, wyobrazonego mostu.

W przeszłości był inny chłopiec, którego ścieżka – wiodąca z większej odległości i przez dłuższe lata – również skończyła się tutaj, ale w dorosłości.

Czasami muszę sobie przypominać.

Morderca nie zawsze był Mordercą.

Podobnie jak Penelopa, również przybył z daleka, ale z miejsca w TYM miejscu o ulicach gorących i szerokich, a ziemi żółtej i suchej. Wokół niego szerzyło się pustkowie niskich zarośli i eukaliptusów, a ludzie chodzili pochyleni i zgarbieni – żyli bezustannie w stanie zapocenia.

Większość z tego, co tam było, występowało tylko w jednym egzemplarzu:

Jedna podstawówka, jedna szkoła średnia.

Jedna rzeka, jeden lekarz.

Jedna chińska restauracja, jeden supermarket.

I cztery puby.

Na drugim końcu miasteczka w powietrzu unosił się kościół, a w jego wnętrzu gotowali się ludzie: mężczyźni w garniturach, kobiety w kwiecistych sukienkach, dzieci w koszulach, krótkich spodenkach i guzikach, i wszyscy marzyli o zdjęciu butów.

Jeśli chodzi o Mordercę, kiedy był małym chłopcem, pragnął zostać maszynistką, jak jego matka. Pracowała dla jedyne go lekarza w miasteczku i przez całe dnie waliła w klawisze starego, stalowoszarego remingtona. Czasami zabierała maszynę do domu, żeby pisać listy, i prosiła syna, żeby ją zaniósł.

– Dalej, pokaż nam swoje mięśnie – mówiła. – Pomożesz ze starą dobrą MP?

Chłopiec targał ją z uśmiechem.

Jej okulary miały czerwone oprawki, jak u recepcjonistki.

Jej ciało za biurkiem było pulchne.

Miała afektowany głos, a kołnierzyki grube i wykrochmalone. Wokół niej pacjenci siedzieli ze swoim potem i kapeluszami, swoim potem i kwiatowymi wzorami, swoim potem i popłakującymi dziećmi; siedzieli ze swoim potem na kolanach. Słuchali prostych i lewych sierpowych Adelle Dunbar, gdy zapędzała maszynę do pisania w róg. Pacjent za pacjentem, stary doktor Weinrauch wyłaniał się jak ten farmer z widłami na *Amerykańskim gotyku*, po czym za każdym razem uśmiechał się do nich promiennie.

– Kto następny pod topór, Adelle?

Z przyzwyczajenia patrzyła na rozpiskę.

– Pani Elder.

I ktokolwiek to był – utykająca kobieta ze szwankującą tarczą, przesiąknięty aromatami pubów staruszek z marynowaną wątrową czy poobijany dzieciak z tajemniczą wysypką w majtkach – wszyscy

wstawali i pocąc się, ruszali do środka, wygłaszali swoje rozliczne skargi... a wśród nich wszystkich, na podłodze, siedział synek sekretarki. Na przetartym dywanie budował wieże, pędził przez rozliczne komiksy z ich zbrodniami, chaosem i *bum*. Odpierał grymasy każdego piegowatego dręczyciela ze szkoły i latał statkami kosmicznymi po poczekalni: ogromny, miniaturowy układ słoneczny w ogromnym, miniaturowym miasteczku.

Miasteczko nazywało się Featherton<sup>[\*]</sup>, choć nie było bardziej ptasie niż inne. Z pewnością, skoro mieszkał na Miller Street, niedaleko rzeki, jego sypialnię wypełniały – przynajmniej w czasie deszczu – odgłosy ptasich stad, ich rozliczne piski i śmiechy. W południe wrony posilały się truchłami zwierząt zabitych przez samochody i uskakiwały przed ciężarówkami z naczepą. Późnymi popołudniami wrzeszczały kakadu – czarnookie, żółtogłowe i białe na tle rozprążonego nieba.

Mimo to, niezależnie od ptaków, Featherton słynęło z czegoś innego.

Było to miejsce farm i bydła.

Szeregu głębokich kopalni.

Przede wszystkim jednak było miejscem ognia:

Było to miasto, w którym wyły syreny, a wtedy mężczyźni wszelkiego pokroju, jak również kilka kobiet, zapinali pomarańczowe kombinezony i wchodzili w płomienie. Przeważnie, gdy krajobraz był już oczyszczony i zakrzepły w czerni, wszyscy powracali, ale od czasu do czasu, kiedy ogień ryczał odrobinę bardziej, do środka wchodziło trzydziestu paru ludzi, a z powrotem wytaczało się dwudziestu ośmiu albo dwudziestu dziewięciu – wszyscy smutni, rozkaszlani, ale milczący. Wtedy właśnie chłopcy i dziewczynki o chudych rękach i nogach i starych twarzach słyszeli: „Przykro mi, synu” albo „Przykro mi, kochanie”.

Zanim był Mordercą, był Michaeliem Dunbarem.

Jego matka wychowywała go sama, a on był jedynakiem.

Jak widzicie, na wiele sposobów był niemal doskonałą drugą połówką dla Penelopy – byli identyczni i przeciwstawni, symetryczni dziełem projektu lub przeznaczenia. Podczas gdy ona pochodziła z odległego wodnistego miejsca, jego było odosobnione i suche. On był jedynym synem samotnej matki, a ona jedyną córką samotnego mężczyzny. A na koniec, jak zobaczymy – a było to najważniejsze zwierciadło, najpewniejsza paralela losu – podczas gdy ona ćwiczyła Bacha, Mozarta i Chopina, on miał obsesję na punkcie swojego własnego rodzaju sztuki.

Pewnego ranka, kiedy Michael miał osiem lat, w czasie wiosennych wakacji siedział w poczekalni gabinetu. Było 39 stopni Celsjusza, tak wskazywał termometr na futrynie.

W pobliżu stary pan Franks pachniał grzankami.

Wciąż miał dżem na wąsach.

Obok była dziewczynka ze szkoły, Abbey Hanley:

Miała przyklapnięte czarne włosy i silne ramiona.

Chłopiec właśnie naprawił statek kosmiczny.

Listonosz, pan Harty, męczył się z drzwiami, więc Michael zostawił małą szarą zabawkę w pobliżu stóp dziewczyny i pomógł niedomagającemu listonoszowi, który stał jak nieszczęsny mesjasz z piekielnym blaskiem za plecami.

– Cześć, Mikey.

Z jakiegoś powodu nienawidził, kiedy mówili do niego Mikey, ale młody przyszły morderca przycisnął się do futryny i wpuścił go do środka. Kiedy się odwrócił, Abbey Hanley właśnie doczekała się wizyty, a wstając zmiotła pod nogami statek kosmiczny. Miała potężne klapki.

– Abbey! – Jej matka się roześmiała. Kilka zażenowanych nut. – To nie było miłe.

Chłopiec, który widział całe to smutne wydarzenie, zamknął oczy. Nawet w wieku ośmiu lat wiedział, co znaczy „pieprzona zdzira” i nie zawahał się tak pomyśleć. Z drugiej strony, myślenie nie było wielkim osiągnięciem, a on rozumiał również i to. Dziewczynka uśmiechnęła się z bezwstydnymi przeprosinami i powlokła się w stronę starego Weinraucha.

Metr dalej listonosz wzruszył ramionami. W miejscu, gdzie jego brzuch z wielką determinacją wypychał się do przodu, brakowało guzika.

– Już masz problemy z dziewczynami, co?

Cholernie śmieszne.

Michael uśmiechnął się i odezwał cicho:

– Raczej nie. Wątpię, żeby chciała to zrobić. – Pieprzona zdzira.

Harty nie odpuszczał.

– Ależ oczywiście, że chciała.

Franks „Grzanka i dżem” uśmiechnął się potwierdzająco, a Michael próbował zmienić temat.

– Co jest w pudle?

– Ja tylko je dostarczam, dzieciaku. Może zostawię je tutaj, a ty uczynisz honory? Wysłano je do twojej matki, na adres domowy, ale pomyślałem, że przyniosę je tutaj. Proszę.

Kiedy drzwi się zamknęły, Michael spojrzał raz jeszcze.

Podjejrzliwie obszedł pudło, bo zaświtało mu, co to jest – widywał je już wcześniej.

Pierwszego roku dostarczono je osobiście, z kondolencjami i stertą czerstwych babeczek.

Drugiego roku pozostawiono na werandzie.

Teraz po prostu wyręczali się pocztą.

Organizacja dobroczynna dla zwęglonych dzieci.



Oczywiście, sam Michael Dunbar nie był w najmniejszym stopniu zwęglony, ale jego życie ponoć tak. Każdego roku na początku wiosny, kiedy często zaczynały się pożary buszu, miejscowa banda filantropów z organizacji Klub Ostatniej Wieczery podejmowała próbę wsparcia ofiar ognia, niezależnie od tego, czy zostały fizycznie poparzone czy nie. Adelle i Michael Dunbar się kwalifikowali. W tym roku jak zwykle, można to już było uznać za tradycję, pudło pełne dobrych zamiarów było tak samo pełne całkowitego gówna. Pluszaki zwyczajowo odrażająco okaleczone. W układankach z całą pewnością brakowało kilku elementów. Ludziki Lego nie miały nóg, rąk albo głów.

Michael bez entuzjazmu poszedł po nożyczki, ale kiedy wrócił i rozciął pudło, nawet pan Franks nie mógł powstrzymać się przed zajrzeniem do środka. Chłopiec wyjął coś w rodzaju plastikowej kolejki górskiej z paciorkami z liczydła na jednym końcu, a później klocki Lego – te wielkie, dla dwulatków.

– Czy oni obrobili cholerny bank? – spytał Franks. W końcu pozbył się dżemu.

Następny był miś z jednym okiem i połową nosa. Widzicie? Zmaltretowany. Pobity w ciemnej uliczce jakiegoś dzieciaka, między sypialnią a kuchnią.

Później kilka numerów „Mad”<sup>[\*\*]</sup>. (W porządku, to było całkiem niezłe, nawet jeśli ostatnie strony zostały już złożone w każdym numerze).

I w końcu, najdziwniejsze... co to było?

Co to, do diabła, BYŁO?

Czy ci ludzie robili sobie żarty?

Ponieważ tam, na samym dnie pudła, podtrzymując fundamenty, znajdował się kalendarz zatytułowany *Mężczyźni, którzy zmienili świat*. Czyżby Michael Dunbar miał tu sobie wybrać nowego zastępczego ojca?

Jasne, mógł od razu wybrać styczeń i Johna F. Kennedy'ego.

Albo kwiecień: Emil Zátópek.

Maj: William Shakespeare.

Lipiec: Ferdynand Magellan.

Wrzesień: Albert Einstein.

Albo grudzień: kartka poświęcona krótkiej biografii i dziełom drobnego mężczyzny o złamanym nosie, który w swoim czasie stał się wszystkim, co podziwiał przyszły morderca.

Oczywiście był to Michał Anioł.

Czwarty Buonarroti.

Najdziwniejsza w kalendarzu nie wydawała się jego zawartość ani fakt, że był nieaktualny, z ubiegłego roku. Najprawdopodobniej znalazł się tam tylko po to, by wzmocnić pudło, i wyraźnie był używany – na każdej karcie znajdowało się zdjęcie lub rysunek przedstawiający mężczyznę miesiąca, ale datom często towarzyszyły zapisane wydarzenia albo rzeczy do zrobienia.

4 lutego: *przeгляд samochodu*

19 marca: *Maria M. – urodziny*

27 maja: *kolacja z Waltem*

Ktokolwiek był właścicielem kalendarza, jadł kolację z Waltem w ostatni piątek każdego miesiąca.

A teraz drobna uwaga na temat Adelle Dunbar, recepcjonistki w okularach w czerwonych oprawkach.

Była kobietą praktyczną.

Kiedy Michael pokazał jej pudełko z lego i kalendarzem, zmarszczyła czoło i opuściła lekko okulary.

– Czy ten kalendarz jest... UŻYWANY?

– Aha. – Nagle odnalazł w tym pewną przyjemność. – Mogę go zachować?

– Ale jest z ubiegłego roku... pozwól, niech spojrzę. – Przejrzała kartki. Nie zareagowała przesadnie. Być może wpadło jej do głowy, żeby pomaszerować do kobiety odpowiedzialnej za wysłanie tego pudła dobroczynnego gówna, ale tego nie zrobiła. Przełknęła ślad gniewu. Zapakowała go w swój sztywny głos i, podobnie jak jej syn, przeszła do porządku dziennego. – Myślisz, że jest kalendarz z KOBIEȚAMI, które zmieniły świat?

Chłopiec czuł się zagubiony.

– Nie wiem.

– A myślisz, że POWINIEN być?

– Nie wiem.

– Wielu rzeczy nie wiesz, co? – Ale złagodniała. – Ale naprawdę go chcesz?

Teraz, kiedy pojawiło się ryzyko, że może go utracić, pragnął go bardziej niż czegokolwiek. Pokiwał z nową energią.

– Dobrze. – Pora na zasady. – Może znajdziesz dwadzieścia cztery kobiety, które też zmieniły świat? Powiedz mi, kim są i co zrobiły. Wtedy możesz go zatrzymać.

– Dwadzieścia CZTERY? – Chłopiec był oburzony.

– Masz z tym jakiś problem?

– Tu jest ich tylko dwunastu!

– Dwadzieścia cztery kobiety. – Adelle bawiła się coraz lepiej. – Skończyłeś się nadymać czy mam zwiększyć liczbę do trzydziestu sześciu?

Poprawiła okulary i wróciła do pracy, a Michael wrócił do poczekalni. W końcu były paciorki z liczydła do wepchnięcia do kąta i numery „Mad” do przypilnowania. Kobiety musiały poczekać.

Po minucie powlókł się z powrotem do Adelle, która wygrywała kolejną rundę przy maszynie do pisania.

– Mamo?

– Tak, synu?

– Mogę umieścić na liście Elizabeth Montgomery?

– Jaką Elizabeth?

To był jego ulubiony powtórkowy program telewizyjny, w każde popołudnie.

– No wiesz, *Ożeniłem się z czarownicą*.

Adelle nie mogła się powstrzymać. Roześmiała się i zakończyła wszystko potężną kropką.

– Pewnie.

– Dzięki.

W trakcie tej wymiany zdań Michael był zbyt zajęty, by zauważyć, jak Abbey Hanley wraca, z obolałymi rękami i łzami w oczach, spod niesławnego topora lekarza.

Gdyby zauważył, pomyślałby:

Jedno jest pewne, CIEBIE na liście nie umieszczę.

Była to chwila trochę jak pianino albo parking szkoły, jeśli wiecie, co chcę powiedzieć – bo choć dziwnie o tym myśleć, pewnego dnia miał poślubić tę dziewczynę.

---

[\*] Feather – pióro (przyp. tłum.).

[\*\*] Magazyn „Mad” miał na ostatniej stronie obrazek, który nabierał sensu po złożeniu kartki (przyp. tłum.).

## chłopięca ręka

TERAZ ZBLIŻYŁ SIĘ DO RZEKI, a ona była rozcięta i sucha, wydrażona. Wiła się przez krajobraz jak rana.

Na skraju, kiedy schodził w dół, zauważył kilka porzuconych drewnianych belek, zagrzebanych w ziemi. Wyglądały jak przerośnięte drzazgi, ustawione pod kątem i posiniaczone, przyniesione w ten sposób przez rzekę – i poczuł nową zmianę.

Nie dalej jak przed pięcioma minutami powiedział sobie, że nie jest synem ani bratem, ale tutaj, w ostatnich resztkach światła, coś, co przypominało usta olbrzyma, wessało wszelkie ambicje indywidualności. Bo jak można iść w stronę ojca, nie będąc synem? Jak opuścić dom, nie rozumiejąc, skąd się pochodzi? Pytania wspinały się obok niego, w górę brzegu po drugiej stronie.

Czy ojciec usłyszy jego nadejście?

Czy wyjdzie na spotkanie nieznanemu na swoim brzegu rzeki?

Kiedy szedł pod górę, próbował o tym nie myśleć. Drżał. Torba sportowa ciążyła mu na plecach, a walizka drżała w tym, co nagle było jedynie chłopięcą ręką.

Michael Dunbar – Morderca.

Nazwisko i przezwisko.

Clay zobaczył go, stojącego na pociemniałym polu przed domem.

Zobaczył go, tak samo jak my, z daleka.

## mężczyźni i kobiety

TRZEBA TO PRYZNAĆ młodemu Michaelowi Dunbarowi.

Miał w sobie dużo zdrowej determinacji.

Dostał swój kalendarz wielkich mężczyzn, ale dopiero kiedy zatrudnił matkę do pomocy w znalezieniu wymaganych dwudziestu czterech kobiet – w tym samej Adelle, która, jak twierdził, była najwspanialszą maszynistką na świecie.

Wymagało to kilku dni i sterty encyklopedii, ale bez trudu znaleźli kobiety, które zmieniły świat:

Maria Curie, matka Teresa.

Siostry Brontë.

(„Czy to się liczy jako trzy?”).

Ella Fitzgerald.

Maria Magdalena!

Lista nie miała końca.

Z drugiej strony, miał osiem lat i był tak wielkim seksistą, jak tylko może być chłopiec w jego wieku – jedynie mężczyźni trafili do jego sypialni. Jedynie mężczyzn powiesił na ścianie.

Ale muszę przyznać.

To miłe, na swój dziwny sposób – chłopiec prowadził realne życie w zgodzie z rytmem tykającego zegara spoconego miasteczka, ale jednocześnie miał inny punkt odniesienia, w którym ojca najbardziej przypominał mu papierowy wybór największych postaci z historii. I to

właśnie ci mężczyźni przez lata sprawili, że obudziła się w nim ciekawość.

W wieku jedenastu lat poznał Alberta Einsteina, sprawdził go. Nie dowiedział się niczego o teorii względności (wiedział jedynie, że jest genialna), ale uwielbiał tego staruszka z włosami jak po uderzeniu pioruna, pokazującego język na środku kartki z kalendarza. W wieku lat dwunastu kładł się spać i wyobrażał sobie, że trenuje na dużej wysokości razem z Emilem Zátopkiem, legendarnym czeskim biegaczem. W wieku lat trzynastu rozmyślał o Beethovenie w ostatnich latach życia, kiedy muzyk nie słyszał żadnej zagranej nuty.

A później, gdy chłopak miał czternaście lat:

Nadszedł prawdziwy przełom, na początku grudnia, gdy zdjął książeczkę z gwoźdźca.

Po kilku minutach usiadł z nią.

Po kolejnych kilku minutach wciąż się wpatrywał.

– Mój Boże.

W poprzednich latach, na tej ostatniej kartce z kalendarza, rankami i wieczorami patrzył na Olbrzyma, lepiej znanego jako *Il David* albo rzeźba Dawida – ale teraz zobaczył ją po raz pierwszy. Od razu zdecydował, wobec kogo jest lojalny. Nim znów wstał, nie był nawet pewien, jak długo siedział, wpatrując się w wyraz twarzy Dawida – rzeźba w szponach zdecydowania. Zdeterminowana. Przestraszona.

W rogu było mniejsze zdjęcie. *Stworzenie Adama* z Kaplicy Sykstyńskiej. Zakrzywione sklepienie.

Znów to powiedział.

– Mój Boże...

Jak ktoś mógł stworzyć coś takiego?

Wypożyczył wtedy książki, a w bibliotece publicznej Featherton i bibliotece szkoły średniej znalazł w sumie trzy pozycje na temat Michała Anioła. Za pierwszym razem czytał je jedną po drugiej, później dwie jednocześnie. Czytał je każdego wieczora, jego lampka paliła się aż do rana. Jego kolejnym celem było przerysować niektóre jego dzieła, zapamiętać je i znów narysować.

Czasami zastanawiał się, dlaczego tak się czuł.

Dlaczego Michał Anioł?

Łapał się, że przechodząc na drugą stronę ulicy, wypowiada jego imię.

Albo wymienia swoje ulubione dzieła, w kolejności dowolnej.

*Walka centaurów z Lapitami.*

*Dawid.*

*Mojżesz. Pietà.*

*Jeńcy.*

Ci ostatni zawsze intrygowali go swoim niedokończeniem – olbrzymie postacie uwięzione w marmurze. Jedna z książek, zatytułowana *Michał Anioł: Mistrz*, ze szczegółami opisywała te cztery rzeźby i gdzie się obecnie znajdowały, w korytarzu Galerii Akademii we Florencji – prowadziły do Dawida (choć dwie kolejne uciekły do Paryża). Pod kopułą blasku stał książę – doskonałość – a u jego boków, prowadząc do niego, ci smutni lecz wspaniali więźniowie, wszyscy próbujący wydobyć się z marmuru, bez końca, tak samo:

Każdy z nich poblížniony, biały.

Ich dłonie uwięzione w kamieniu.

Łokcie, zebra i udęczone kończyny powyginane w szamotaninie; klaustrofobiczna walka, o życie i powietrze, gdy turyści przepływali obok nich... wszyscy skupieni i skoncentrowani na NIM:

Władcy lśniącym na przedzie.



Jeden z nich, zwany *Atlasem* (ta książka z biblioteki zawierała wiele jego zdjęć, pod różnymi kątami), wciąż nosił na szyi bryłę marmuru i walczył z jej szerokością i ciężarem – jego ramiona jak marmurowa lawina, tors jak wojna na nogach.

Podobnie jak większość ludzi, dorastającego Michaela Dunbara urzekł Dawid, ale miał też słabość do tych pięknych, pobitych jeńców. Czasami przypominał sobie linię lub fragment i kopiował je na papierze. Czasami (i to odrobinę go zawstydzalo) rzeczywiście pragnął ZOSTAĆ Michałem Aniołem, być nim na dzień albo dwa. Często leżał w łóżku i pozwalał sobie fantazjować, ale wiedział – spóźnił się o kilka wieków, a Featherton leżało daleko od Włoch. Poza tym (co najważniejsze, jak myślę) zawsze miał kiepskie oceny z plastyki, a w wieku czternastu lat już się jej nie uczył.

Jego sufit zaś był płaski, trzy metry na cztery.

Adelle ze swej strony go zachęcała.

W latach poprzednich i latach, które miały nadejść, kupowała mu nowe kalendarze i książki – cuda natury i stworzone ludzką ręką. Inni artyści – Caravaggio, Rembrandt, Picasso, van Gogh – a on czytał książki, kopiował dzieła. Szczególnie podobały mu się obrazy van Gogha przedstawiające listonosza (może w hołdzie staremu Harty'emu) i w miarę upływu kolejnych miesięcy wycinał zdjęcia z kalendarzy i wieszał je na ścianie. Kiedy nadszedł czas, znów zapisał się w szkole na plastykę i stopniowo stawał się lepszy od pozostałych.

Ale też nie umiał pożegnać się z tym pierwszym kalendarzem.

Pozostał na środku jego sypialni.

Kiedy Adelle żartowała z nim na ten temat, powiedział:

- Tak czy inaczej, muszę lecieć.
- A dokąd to?

Prawie udał mu się znaczący uśmieszek, kiedy przypomniał sobie comiesięczne spotkania na kolacji.

– Do Walta, oczywiście.

Zamierzał wyprowadzić psa.

– A co on dziś gotuje?

– Spaghetti.

– ZNOWU?

– Przyniosę ci trochę.

– Nie trzeba. Pewnie do tego czasu usnę przy stole.

Poklepała starą dobrą MP.

– W porządku, ale nie pisz za długo, dobrze?

– Ja? – Wkręciła czystą kartkę w brzuch maszyny. – Nie ma mowy.

Napiszę do paru przyjaciół i tyle.

Oboje się roześmiali, właściwie bez powodu – może ze szczęścia.

Wyszedł.

Kiedy miał szesnaście lat, jego ciało urosło, a włosy zmieniły kształt.

Nie był już chłopczykiem, który z trudem unosił maszynę do pisania, ale przystojnym chłopakiem o niebieskozielonych oczach, ciemnych falujących włosach i sylwetce biegacza. Zapowiadał się na dobrego futbolistę, zapowiadał się na dobrego we wszystkim innym uważanym za ważne, czyli tak naprawdę w sporcie.

Jednak Michaela Dunbara nie interesował sport.

Oczywiście, trafił do szkolnej drużyny futbolowej, był obrońcą i dobrze sobie radził. Powstrzymywał ludzi. Zwykle sprawdzał wtedy, czy dzieciakowi nic się nie stało, umiał też stworzyć szansę, umożliwić innemu graczowi zdobycie punktu lub samemu go zdobyć.

Poza boiskiem była w nim życzliwość, która go wyróżniała, i dziwna determinacja. Cierpiał, zanim się dopasował, nie umiał dobrze się

sprzedać. Wolał pozostawić sobie nadzieję na znalezienie kogoś, kto pozna go całkowicie.

Zgodnie z tradycją (przynajmniej w sporcie) pojawiły się też dziewczyny, były przewidywalne w swoich spódniczkach, butach i pasującej do nich wódzie. Żuły gumę. Piły drinki.

– Hej, Mikey.

– O... cześć.

– Hej, Mikey, kilka z nas idzie dziś wieczorem do Astora.

Mikeya to nie interesowało – ale nawet jeśli Michał Anioł był jedynym człowiekiem, którego naprawdę kochał, zajmowały go też bez reszty trzy dziewczyny.

Pierwsza, wspaniała maszynistka – waląca w klawisze w poczekalni.

Druga, stara ruda suka australijskiego psa pasterskiego, która siedziała z nim na kanapie, oglądała powtórki *Ożeniłem się z czarownicą* i *Dorwać Smarta*, i która spała z falującą piersią, kiedy trzy wieczory w tygodniu sprzątał gabinet lekarski.

I wreszcie była ta, która siedziała z przodu po prawej na lekcjach angielskiego, pochylona i śliczna, koścista jak cielę. (A on miał nadzieję, że go zauważy). Teraz miała dymne szare oczy, nosiła kraciasty zielony mundurek, a jej włosy sięgały do kości ogonowej:

Ta, która zmiażdżyła statek kosmiczny w poczekalni, też się zmieniła.

Wieczorami chodził po mieście z rudym psem pasterskim imieniem Luna – nazwanym tak na część księżyca w pełni, który wznosił się nad ich domem, kiedy matka przyniosła suczkę.

Luna była szara i ruda, spała na podłodze w szopie na tyłach, podczas gdy chłopiec rysował na stole roboczym ojca albo malował przy sztalugach – prezent od Adelle na szesnaste urodziny. Przekręcała się

na grzbiet i uśmiechała do nieba, kiedy głaskał ją po brzuchu na trawniku.

– Chodź, dziewczyno – mówił, a ona przychodziła.

Biegła z zadowoleniem obok niego, kiedy wędrował przez miesiące tęsknoty i szkiców, tęsknoty i portretów, tęsknoty i krajobrazów – sztuka i Abbey Hanley.

W miasteczku, które powoli zwracało się w stronę ciemności – z odległości wielu mil czuł jej nadejście – zawsze widział ją przed sobą. Jej ciało było pociągnięciem pędzlem. Jej długie czarne włosy były szlakiem.

Niezależnie od tego, którymi ulicami szli przez miasteczko, chłopiec i pies docierali do szosy. Stawali przy płocie.

Luna czekała.

Dyszała i oblizywała się.

Michael kładł palce na węzłach płotu z drutu kolczastego, pochylał się do przodu i wpatrywał w dach z blachy falistej daleko w głębi posiadłości.

Paliło się tylko kilka świateł.

Telewizor rzucał jaskrawy niebieski blask.

Każdego wieczora, przed odejściem, Michael zastygał bez ruchu z dłonią na głowie psa.

– Chodź, dziewczyno – mówił, a ona szła.

Dopiero po śmierci Luny w końcu przeszedł przez płot.

Biedna Luna.

To było normalne popołudnie, po szkole.

Miasteczko tonęło w słońcu.

Leżała w pobliżu schodków na tyłach z mulgą, również martwą, na brzuchu.

Michael westchnął „Jezu” i przyspieszył kroku. Obszedł dom i usłyszał szelest przewracającego się plecaka, kiedy ukląkł na ziemi obok niej. Nigdy nie zapomniał gorącego betonu, ciepłej woni psa i swojej głowy na jej rudej sierści.

– Jezu, Lunka, nie...

Błagał, by zaczęła dyszeć.

Nie zrobiła tego.

Błagał, by się przekręciła i uśmiechnęła albo potruchtała do swojej miski. Albo tańczyła, z łapy na łapę, czekając na potop suchej karmy.

Nie zrobiła tego.

Było tylko jej ciało i pysk, śmierć z otwartymi oczami, a on klęczał w słońcu na tyłach domu. Chłopiec, pies i wąż.

Później, niedługo przed powrotem Adelle, zaniósł Lunę za stojak na pranie i pochował ją pod banksją.

Podjął kilka decyzji.

Po pierwsze, wykopał osobny dół – kilka stóp na prawo – i umieścił w nim węża. Przyjaciel i wróg, obok siebie. Po drugie, tego wieczora zamierzał przejść przez płot Abbey Hanley. Podejść do tych zmęczonych frontowych drzwi i migającego blasku telewizora.

Wieczorem, na szosie, miał za plecami miasteczko i muchy, ból straty psa – to nagie, pozbawione dyszenia powietrze. Pustkę u boku. Ale było też to drugie uczucie. Słodkie mdłości tworzenia czegoś, nowość. I Abbey. Wszystko równało się jej.

Przez całą drogę powtarzał sobie, że nie stanie przy płocie z drutu kolczastego, ale teraz nie mógł się powstrzymać. Jego życie zbiegło się do minut, aż przełknął ślinę i podszedł do drzwi – a Abbey Hanley je otworzyła.

– Ty – powiedziała, a niebo wydymało się od gwiazd.

Przesadna obfitość wody kolońskiej.

Chłopak z piekącymi ramionami.

Jego koszula była za duża w kraju, który był za duży, i stali na ścieżce zarośniętej chwastami. Reszta rodziny jadła w środku lody, a blaszany dach unosił się groźnie i pochylał w jego stronę, gdy szukał słów i dowcipu. Słowa znalazł. Dowcipu nie.

Odezwał się do jej goleni.

– Mój pies dziś umarł.

– Zastanawiałam się, dlaczego jesteś sam. – Uśmiechnęła się, prawie wyniośle. – Mam ją zastąpić?

Beształa go!

Walczył dalej.

– Została ugryziona. – Przerwał. – Przez węża.

I ta przerwa jakimś sposobem zmieniła wszystko.

Kiedy Michael odwrócił się, by spojrzeć na zapadającą ciemność, dziewczyna w ciągu kilku chwil zmieniła się z pewnej siebie w stoicką. Podeszła bliżej i stała obok niego, zwrócona w tę samą stronę. Tak blisko, że ich ramiona się stykały.

– Rozerwałbym węża na pół, zanim pozwoliłbym, żeby ciebie też dopadł.

Od tej pory byli nierozłączni.

Oglądali powtórki seriali komediowych z poprzednich lat, jego *Ożeniłem się z czarownicą* i jej *Marzę o Jeannie*. Kucali nad rzeką albo wychodzili szosą z miasteczka, patrząc, jak świat robi się coraz większy. Sprzątali gabinet lekarski i słuchali nawzajem bicia swojego serca przez stetoskop Weinraucha. Mierzyli sobie nawzajem ciśnienie, aż ich ramiona nabrzmiwały do granic. W szopie na tyłach rysował jej dłonie, jej kostki, jej stopy. Wzdragał się przed jej twarzą.

– Daj spokój, Michael... – Roześmiała się i opuściła dłoń na jego pierś. – Nie umiesz mnie narysować?

Umiał.

Umiał odnaleźć dym w jej oczach.

Jej szyderczy, nieustraszony uśmiech.

Nawet na papierze wydawała się gotowa odezwać.

– Zobaczmy, jak dobry jesteś... maluj drugą ręką.

Pewnego popołudnia w domu przy szosie przyjęła go w siebie. Przycisnęła pudło z podręcznikami do drzwi sypialni, wzięła go za rękę i pomogła mu ze wszystkim – guzikami, klamerkami, zejściem na podłogę.

– Chodź tutaj – powiedziała, i był dywan, i gorąco ramion, pleców i kości ogonowych.

Było słońce w oknie i książki, i niedokończone wypracowania wszędzie dookoła. Był oddech – jej oddech – i spadanie, po prostu. I zawstydzenie. Głowa odwrócona w bok i ściągnięta z powrotem.

– Popatrz na mnie. Michaelu, popatrz na mnie.

A on popatrzył.

Ta dziewczyna, jej włosy i dym.

Odezwała się.

– Wiesz... – Pot między jej piersiami. – Nigdy nawet nie powiedziałam, że mi przykro.

Michael spojrzał na nią.

Jego ręka zdrętwiała pod nią.

– Z jakiego powodu?

Uśmiechnęła się.

– Z powodu psa i... – prawie płakała – zmiążdżenia tego statku kosmicznego w poczekalni tamtego ranka.

Michael Dunbar mógłby na zawsze zostawić swoją rękę tam na dole, był oszołomiony, znieruchomiał, osłupiał.

– Pamiętasz to?

– Oczywiście. – Teraz mówiła w górę, do sufitu. – Nie rozumiesz? – Połowa jej ciała była w cieniu, ale słońce padało na nogi. – Już wtedy cię kochałam.



## dom mordercy

TUŻ ZA KORYTEM wyschniętej rzeki Clay uścisnął w ciemności rękę Michaela Dunbara, w uszach dudniły im serca. Okolica stygła. Przez chwilę wyobrażał sobie rzekę, wybuchającą, żeby było trochę hałasu, coś do odwrócenia uwagi. Temat do rozmowy.

Gdzie była ta przeklęta woda?

Wcześniej, kiedy zobaczyli się nawzajem, ich spojrzenia się spotkały i umknęły. Dopiero gdy dzieliły ich zaledwie metry, popatrzyli na siebie dłużej niż przez sekundę.

Ziemia wydawała się żywa.

Ostateczna ciemność i nadal żadnego dźwięku.

– Mogę ci pomóc z torbami?

– Nie, dzięki.

Dłoń jego ojca była strasznie lepka. Oczy nerwowe, ciągle mrugały. Jego twarz pochylona, krok zmęczony, a głos rzadko używany, Clay to słyszał. Znał to aż za dobrze.

Kiedy dotarli do domu i usiedli na frontowym schodku, Morderca prawie się osunął. Rozłożył szeroko ramiona, podtrzymywał twarz.

– Przyjechałeś.

Tak, pomyślał Clay. Przyjechałem.

Gdyby chodziło o kogoś innego, wyciągnąłby rękę i położył dłoń na jego plecach, żeby powiedzieć, że wszystko w porządku.

Ale nie mógł.

Była tylko jedna myśl i jej powtórki.

Przyjechałem. Przyjechałem.

Dziś to musiało wystarczyć.

Kiedy Morderca wrócił do siebie, siedzieli dłużej, zanim weszli do środka. Z tej odległości dom robił wrażenie, jakby coś go swędziało.

Zardzewiałe rynny, łuski farby.

Otaczało go zjadliwe zielsko.

Wewnątrz były kremowe ściany i wielki wybuch pustki, wszystko pachniało samotnością.

– Kawy?

– Nie, dzięki.

– Herbaty?

– Nie.

– Coś do jedzenia?

– Nie.

Siedzieli w ciszy w salonie. Na niskim stoliku spoczywały sterty książek, gazet i planów mostów. Kanapa pożarła ich obu, ojca i syna.

Jezu.

– Przepraszam... to pewnie spory szok, co?

– Nic się nie stało.

Naprawdę się zaprzyjaźniali.

W końcu znów wstali i chłopiec został oprowadzony.

Nie trwało to długo, ale dobrze wiedzieć, gdzie miał spać i gdzie była łazienka.

– Dam ci chwilę na rozpakowanie i prysznic.

W sypialni było drewniane biurko, na którym umieścił wszystkie książki. Włożył ubrania do szafy i usiadł na łóżku. Chciał jedynie znów znaleźć się w domu – był gotów rozplakać się na myśl o przejściu przez drzwi. Albo siedzeniu na dachu z Henrym. Albo widoku Rory'ego

zataczającego się Archer Street i dźwigającego na plecach skrzynki na listy wszystkich sąsiadów...

– Clay?

Uniósł głowę.

– Chodź coś zjeść.

Jego żołądek zaryczał.

Pochylił się do przodu, stopy miał jak przyklejone do podłogi.

Trzymał drewnianą skrzyneczkę, trzymał zapalniczkę i patrzył na *Matadora* i świeżo zabraną klamerkę.

Z całego szeregu powodów Clay nie mógł się ruszyć.

Jeszcze nie, ale wkrótce.

## nocny południowy wiatr wzdłuż całego wybrzeża

OCZYWIŚCIE, ABBEY HANLEY nie zamierzała go zniszczyć.

To była jedna z tych rzeczy.

Ale jedna z tych rzeczy zmienia się w inne rzeczy, które prowadzą do dalszych zbiegów okoliczności, które prowadzą wiele lat później do chłopców i kuchni, chłopców i nienawiści – a bez tej dawno utraconej dziewczyny nie byłoby niczego:

Penelopy.

Chłopaków Dunbarów.

Mostu i Claya.

Całe te lata wcześniej, kiedy chodziło o Michaela i Abbey, wszystko było otwarte i piękne.

Kochał ją liniami i barwą.

Kochał ją bardziej niż Michała Anioła.

Kochał ją bardziej niż Dawida i tych szamocących się wyrzeźbionych jeńców.

Po ukończeniu szkoły on i Abbey mieli dobre wyniki, miejskie wyniki, wyniki umożliwiające ucieczkę i zdumiewające.

Na Main Street było parę klepnięć po plecach.

Trochę gratulacji.

Czasami jednak również łagodne lekceważenie, wrażenie „do diabła, a dlaczego chciałbyś wyjechać?”. Mężczyźni robili to najlepiej, szczególnie ci starsi, z dojrzałymi twarzami i okiem mocno zaciśniętym dla ochrony przed słońcem. Słowa brzmiały krzywo:

- Jedziesz do miasta, co?
- Tak, proszę pana.
- Proszę PANA? Kurwa, jeszcze tam nie pojechałeś!
- Cholera... przepraszam.
- Nie pozwól no tylko, żeby zmienili cię w dupka.
- Że co?
- Słyszałeś... Nie pozwól, żeby cię zmienili, jak zmieniają każdego skurczybyka, który wyjeżdża. Nie zapominaj, skądś przyjechał, dobra?
- Dobra.
- Ani CZYM jesteś.
- W porządku.

Michael Dunbar oczywiście pochodził z Featherton i był skurczybykiem, ale potencjalnie dupkiem. Cały problem w tym, że nikt nigdy nie powiedział: „I nie rób niczego, przez co mógłbyś zasłużyć na przezwisko Morderca”.

Tam był cały wielki świat i nieograniczone możliwości.

Abbey powiedziała mu, że w dniu, w którym przyszły wyniki, w czasie przerwy bożonarodzeniowej, stała przy skrzynce na listy. Mógłby to prawie namalować.

Masa pustego nieba.

Ręka na jej biodrze.

Gotowała się na słońcu przez dwadzieścia minut, zanim wróciła po leżak i parasol plażowy, tysiąc mil od morza. Później po przenośną lodówkę i lody na patyku. Boże, musiała się stąd wydostać.

W miasteczku Michael rzucał cegły gościowi na rusztowaniu, który rzucał cegły kolejnemu gościowi. Gdzieś o wiele wyżej ktoś układał te cegły i wznosił się nowy pub – dla górników, rolników i nieletnich.

W przerwie obiadowej wrócił do domu i zobaczył swoją przyszłość, zwiniętą, wystającą z cylindra zarezerwowanego na śmieciową pocztę.

Ignorując ten omen, otworzył go. Uśmiechnął się.

Kiedy zadzwonił do Abbey, dyszała po biegu ścieżką.

– Nadal czekam! Przeklęte miasteczko chce mnie utrzymać tu jeszcze przez dodatkową godzinę czy dwie, tak myślę, żeby mnie ukarać.

Później jednak, w pracy, pojawiła się i stanęła za nim, a on obejrzał się za siebie i upuścił cegły, po obu bokach. Odwrócił się w pełni do niej.

– I jak?

Pokiwała głową.

Zaśmiała się i Michael też, aż z góry pomiędzy nich spłynął głos:

– Ej, Dunbar, ty fujaro! Gdzie są moje cholerne cegły?!

Abbey, wciąż obecna, odkrzyknęła:

– Poezja!

Uśmiechnęła się szeroko i odeszła.

Kilka tygodni później ODESZLI.

Tak, spakowali się i ruszyli do miasta, a jak można podsumować cztery lata oczywistego, idyllicznego szczęścia? Penny Dunbar potrafiła stworzyć opowieść z drobnych cząstek, jednak te fragmenty ich historii pozostały właśnie tym – wyrywkowymi wspomnieniami i ulotnymi chwilami:

Jechali jedenaście godzin, aż zobaczyli wznoszącą się linię dachów.

Zjechali na pobocze i wpatrywali się w nią, Abbey stanęła na masce.

Jechali dalej, aż znaleźli się w środku i stali się jego częścią, dziewczyna studiowała ekonomię, a Michael malował i rzeźbił, i znosił otaczających go geniuszy.

Oboje pracowali na część etatu:

Jedno podawało drinki w nocnym klubie.

Drugie jako robotnik na placach budowy.

Wieczorami padali na łożko i w siebie nawzajem.

Były fragmenty, brane i dawane.

Pora roku po porze roku.

Rok po roku.

Od czasu do czasu popołudniami jedli na plaży rybę z frytkami i patrzyli, jak pojawiają się mewy, jakby za sprawą czarów, jak króliki z kapeluszy. Czuli rozliczne morskie bryzy, a każda inna od poprzedniej, i ciężar gorąca i wilgoci. Czasami po prostu tam siedzieli, gdy ogromna czarna chmura podpływała bliżej, jak statek matka, i wbiegali w nadchodzący deszcz. To był deszcz, który wydawał się taki jak miasto, nocny południowy wiatr wzdłuż całego wybrzeża.

Były też kamienie milowe, i urodziny, szczególnie jedne, kiedy dała mu książkę – piękne wydanie w twardej oprawie z brązowymi literami – zatytułowaną *Kamieniarz*, a Michael siedział i czytał, gdy ona spała oparta o jego nogi. Zawsze, zanim ją zamknął, wracał do początku, krótkiej biografii autora, pod którą, na środku kartki, napisała:

*Dla Michaela Dunbara – jedyne*

*którego kocham, i kocham*

*i kocham.*

*Od Abbey*

I oczywiście, wkrótce wrócili do domu, żeby w spokojny wiosenny dzień wziąć ślub, a na zewnątrz wrony krakały jak lądowi piraci:

Matka Abbey łkała z radości w pierwszej ławce.

Jej ojciec wymienił znoszony roboczy podkoszulek na garnitur.

Adelle Dunbar siedziała z dobrym panem doktorem, a jej oczy błyszczały za szklami nowiutkich okularów w niebieskich oprawkach.

Była Abbey płacząca tego dnia, cała mokra, w białej sukni i dymna.

Był Michael Dunbar jako młodszy mężczyzna wynoszący ją na słońce.

Była droga powrotna, kilka dni później, i postój w połowie drogi, gdzie rzeka była niesamowita, rozszalała, rozpędzona w dół – rzeka o dziwnej nazwie, którą pokochali – Amahnu.

Było leżenie tam, pod drzewem, jego skóra swędziała od jej włosów, ale nie odsuwał ich, nigdy, a Abbey wspomniała mu, że chciałyby wrócić. Michael powiedział:

– Oczywiście, dorobimy się, zbudujemy dom i będziemy tu przyjeżdżać, kiedy tylko zechcemy.

Byli Abbey i Michael Dunbar.

Dwoje z najszcześniejszych skurczybyków, którzy mieli czelność wyjechać.

I nieświadomych wszystkiego, co miało nadejść.



## wielki sen

NOC BYŁA DŁUGA i głośna od myśli Claya.

W pewnym momencie wstał do łazienki i znalazł Mordercę, na wpół połkniętego, na kanapie. Przygniatały go książki i diagramy.

Przez chwilę stał nad nim.

Popatrzył na książki i na szkice na piersi Mordercy. Wydawało się, że most jest jego kocem.

Później ranek – ale ranek nie był wcale rankiem, była druga po południu, a Clay obudził się z niespokojnym wzdrygnięciem, na szyi czuł słońce jak Hektora. Jego obecność wypełniała pokój.

Kiedy wstał, poczuł się całkowicie upokorzony, splątany. Nie. Nie. Gdzie on jest? Szybko zatoczył się na korytarz, wyszedł na zewnątrz i stanął w samych szortach na werandzie. Jak mogłem spać tak długo?

– Cześć.

Morderca go obserwował.

Wyszedł z za rogu domu.

Ubrał się i usiedli w kuchni, i tym razem jadł. Czarno-biały zegar na starym piekarniku ledwie przeszedł z drugiej jedenaście na drugą dwanaście, a on zjadł kilka kromek chleba i sporo morderczych jajek.

– Jedz dalej. Przyda ci się siła.

– Przepraszam?

Teraz Morderca przeżuł i usiadł, był naprzeciwko.

Wiedział coś, o czym nie wiedział Clay?

Tak.

Rankiem z sypialni dochodziły krzyki.

Spał i wykrzykiwał moje imię.

Jeden długi sen, a teraz pozostałem z tyłu.

Taka była powracająca myśl Claya, kiedy wbrew sobie nadal jadł – i musiał walczyć, by wydrapać się na wolność.

Chleb i słowa.

– To się nie powtórzy.

– Przepraszam?

– Nigdy nie śpię tak długo. Właściwie prawie wcale nie śpię.

Michael się uśmiechnął, tak, był Michaeliem. Czy w jego żyłach znów płynęła przeszła krew? A może tylko tak się wydawało?

– Clay, nic się nie stało.

– Wcale nie... aaa... Boże!

Zerwał się z krzesła i uderzył kolanem w stół.

– Clay, proszę.

Po raz pierwszy wpatrzył się w twarz przed sobą. Była starszą wersją mnie, ale oczu nie dotknął ogień. Cała reszta jednak – czarne włosy, nawet zmęczenie wyglądało tak samo.

Tym razem porządnie odsunął krzesło, ale Morderca uniósł dłoń.

– Stój.

Ale Clay był gotów wyjść, i to nie tylko z pomieszczenia.

– Nie. Ja...

Znów ta dłoń. Zmęczona i pokryta odciskami. Ręce robotnika. Pomachał, jakby odpędzał muchę od urodzinowego tortu.

– Cii. Jak myślisz, co tam jest?

Co znaczyło:

Co sprawiło, że tu przybyłeś?

Clay słyszał jedynie owady. Pojedynczą nutę.

A później myśl o czymś wielkim.

Stał, pochylony nad stołem. Skłamał, gdy mówił:

– Nie ma nic.

Morderca nie dał się oszukać.

– Nie, Clay, to sprowadziło cię tutaj, ale się boisz, więc łatwiej tu siedzieć i się kłócić.

Clay się wyprostował.

– O czym ty w ogóle mówisz?

– Mówię, że to w porządku... – Urwał i przyjrzał mu się powoli. Chłopcu, którego nie mógł dotknąć ani dosięgnąć. – Nie wiem, jak długo stałeś wczoraj między tymi drzewami, ale musiałeś tu przyjść nie bez powodu...

Jezu.

Myśl przyszła wraz z falą gorąca.

Widział mnie. Przez całe popołudnie.

I:

– Zostań – powiedział Morderca – i jedz. Bo jutro muszę ci pokazać... jest coś, co powinieneś zobaczyć.

## zátópek

CO SIĘ TYCZY Michaela i Abbey Dunbar, pora chyba zadać pytanie:

Czym było prawdziwe szczęście między nimi?

Jaka była prawda?

Ta prawdziwa?

Zacznijmy od sztuki.

Pewnie, malował dobrze, często pięknie, potrafił uchwycić twarz albo postrzegać rzeczy w określony sposób. Umiał oddać to na płótnie albo papierze, ale kiedy przyszło co do czego, wiedział: pracował dwa razy ciężiej niż inni studenci, którzy jakimś sposobem tworzyli szybciej. I miał prawdziwy dar tylko w jednym aspekcie, którego również się trzymał.

Był dobry w malowaniu Abbey.

Kilka razy prawie odszedł z akademii sztuk pięknych.

Jedynym, co go powstrzymywało, była myśl o powrocie do niej i przyznaniu się do porażki. Dlatego został. Jakimś cudem przetrwał dzięki dobrym pracom pisemnym i chwilom błyskotliwości, kiedy choćby umieścił ją w tle. Ktoś zawsze mówił „Hej, podoba mi się TEN fragment”. Cierpliwość i olśnienie przychodziły tylko dla niej.

Przygotowując pracę dyplomową, znalazł stare drzwi i namalował ją, po obu stronach. Po jednej sięgała do klamki, a po drugiej wychodziła. Wchodziła jako nastolatka, dziewczyna w mundurku, ta koścista miękkość i niekończące się włosy. Po drugiej stronie wychodziła – wysokie obcasy, bob, kobieta interesu – oglądając się przez ramię na

wszystko pomiędzy. Zanim dostał wyniki, już wiedział, co przeczyta. Nie mylił się.

*Pomysł z drzwiami dość wyświechtany.*

*Spora sprawność techniczna i niewiele poza tym, ale przyznam, że chciałbym ją poznać.*

*Chciałbym wiedzieć, co wydarzyło się pomiędzy.*

Cokolwiek znajdowało się w świecie między tymi obrazami, wiadomo było, że ta kobieta poradzi sobie po drugiej stronie – szczególnie, jak się okazało, bez niego.

Kiedy po ślubie wrócili do miasta, wynajęli niewielki domek na Pepper Street. Numer trzydzieści siedem. Abbey dostała pracę w banku – pierwszą, do której się zgłosiła – a Michael pracował na budowach i malował w garażu.

Zaskakujące, jak szybko pojawiły się pęknięcia.

Nie minął nawet rok.

Pewne rzeczy stały się oczywiste, na przykład, że wszystko było jej pomysłem:

Ten dom do wynajęcia, te talerze z czarnymi brzegami.

Chodzili do kina, kiedy ona na to wpadła, nie on. To ona ze swoim wykształceniem natychmiast wystrzeliła do przodu, a on pozostał tam, gdzie zawsze był, na budowach. Wydawało się, jakby ona była siłą życiową, a on po prostu życiem. Na początku koniec wyglądał tak:

Była noc.

Było łóżko.

Ona westchnęła.

On podniósł głowę, by na nią spojrzeć.

– O co chodzi?

Ona powiedziała:

– Nie tak.

A następnie przeszli od:

– Pokaż mi.

Do:

– Nie mogę ciągle cię uczyć.

Do:

– Co masz na myśli?

Aż ona usiadła i powiedziała:

– Chodzi mi o to, że nie mogę pokazywać ci wszystkiego, nie mogę prowadzić cię za sobą. Musisz sam się domyślić.

Michael był wstrząśnięty, jak spokojnie zadawała te ciosy, z ciemnością za oknem.

– Przez ten cały czas, kiedy byliśmy razem, nie wydaje mi się, żebyś kiedykolwiek tak naprawdę... – Przerwała.

– Co?

Takie krótkie przełknięcie, by się przygotować.

– Zaczął.

– Zaczął? Zaczął co?

– Nie wiem... wszystko... gdzie mieszkamy, co robimy, co jemy, gdzie i kiedy i jak...

– Jezu, ja...

Usiadła odrobinę wyżej.

– Ty nigdy tak po prostu mnie nie weźmiesz. Przy tobie nigdy nie czuję, że musisz mnie MIEĆ, niezależnie od wszystkiego. Sprawiasz, że czuję się jak...

Nie chciał wiedzieć.

– Jak... co?

Odrobinę łagodniejszym tonem.

– Jak chłopiec, którego pociągnęłam na podłogę, jeszcze w domu...

– Ja...

Ale nie było tam już nic więcej.

Tylko ja.

Ja i nicość.

Ja i tonięcie, i ubrania wiszące na krześle – a Abbey jeszcze nie skończyła.

– I może wszystko inne też, jak powiedziałam...

– Wszystko inne?

Pokój wydawał się teraz sfastrygowany, gotowy do rozerwania.

– Nie wiem. – Usiadła jeszcze bardziej wyprostowana, dla odwagi. – Może beze mnie wciąż byłbyś w domu z tymi wszystkimi gośćmi, którzy wyzywają innych od dupków, noszą niebieskie żonobijki i całą resztą. Może nadal sprzątałbyś ten gówniany gabinet i rzucał cegłami w górę do innych typów rzucających cegłami w górę.

Przełknął swoje serce i sporą część ciemności.

– Przyszedłem do ciebie.

– Kiedy twój pies umarł.

Zabolało.

– Pies. Od jak dawna chciałaś mnie tym poszczuć? – (Niezamierzona gra słów, jestem pewien).

– Nigdy. Po prostu tak wyszło. – Założyła ręce na piersi, ale tak naprawdę się nie osłoniła, i była piękna, i naga, a jej obojczyki takie proste. – Może zawsze tam było.

– Byłaś zazdrosna o psa?

– Nie! – To znów nie miało nic do rzeczy. – Ja tylko... zastanawiam się, dlaczego minęły całe MIESIĄCE, zanim podszedłeś do moich drzwi, po tym jak obserwowałaś i czekałaś! Miałaś nadzieję, że ja zrobię to za ciebie... pobiegnę za tobą.

– Nigdy tego nie zrobiłaś.

– Oczywiście, że nie... nie mogłabym. – Nie wiedziała do końca, gdzie teraz patrzeć, więc wpatrzyła się prosto przed siebie. – Boże, ty po prostu tego nie rozumiesz, prawda?

To ostatnie było jak podzwonne – prawda tak cicha i brutalna. Wysilek ją osłabił, choć tylko na chwilę, i osunęła się z powrotem na niego, jej policzek był jak kamień na jego szyi.

– Przepraszam – powiedziała. – Przepraszam.

Ale on z jakiegoś powodu nie przestawał.

Może chciał zmierzyć się z nadchodzącą porażką.

– Powiedz mi. – Smak jego głosu. Był suchy i piaszczysty, te cegły zostały rzucone z dołu do NIEGO, a on połykał każdą z nich po kolei. – Po prostu powiedz mi, jak to naprawić.

Sam akt oddychania przypominał teraz finał olimpiady, i gdzie był Emil Zátopek, kiedy go potrzebował? Dlaczego nie trenował jak ten szalony Czech? Lekkoatleta z jego wytrzymałością z pewnością zniósłby taką noc.

Ale czy Michael mógł?

Znow:

– Powiedz mi, naprawię to.

– Ale właśnie o to chodzi.

Głos Abbey był poziomy, leżał tam, zrzucony na jego pierś. Żadnego niepokoju, żadnego wysiłku.

Żadnego pragnienia, by naprawić lub zostać naprawionym:

– Może nie ma niczego. Może jest. – Postawiła kropkę. Znow zaczęła:  
– Może my po prostu... nie pasujemy do siebie tak bardzo, jak myśleliśmy.

Jego ostatnie tchnienie, ostatni oddech.

– Ale ja... – Urwał. – Tak bardzo.

– Wiem. – I było w niej takie współczucie, ale z rodzaju tych bezlitosnych. – Ja też, ale może to nie wystarczy.

Gdyby na zakończenie ukłuła go szpilką, wykrwawiłby się w łóżku na śmierć.



## amahnu

KOLEJNA NOC, po tym jak spał tak długo i mocno w ciągu dnia, była równie żałosna i niespokojna co poprzednia. Przejrzał drewnianą skrzyneczkę i wrócił myślami do werandy o świcie.

Mleko przeskakujące przez balustradę.

Tętnica na mojej szyi.

Widział Achillesa i Tommy'ego, Henry'ego i Rory'ego.

I Carey.

Oczywiście, że myślał o Carey, i sobocie, i czy może i tak pójdzie na Surrounds. Dałby wszystko, żeby wiedzieć, ale nigdy by jej nie spytał, a później przerwał i uświadomił sobie w pełni – ostateczne, dobitne wyznanie.

Wstał i oparł się o biurko.

Odszedłeś, pomyślał.

Wyjechałeś.

Wkrótce po świcie Morderca też wstał i ruszyli rzeką jak drogą, pomaszerowali w górę jej biegu.

Z początku nachylenie było stałe, koryto rzeki powoli wznosiło się coraz wyżej.

Jednak po kilku godzinach wspinali się po ogromnych, przygnębionych głazach, przytrzymywali się wierzb i eukaliptusów kamaldulskich. Niezależnie od tego, czy podejścia były ostre, czy łagodne, jedno się nie zmieniało – przez cały czas widzieli moc. Brzegi przepasane poprzęciem wyraźnej historii rumoszu.

– Popatrz na to – powiedział Morderca.

Znajdowali się na gęsto zalesionym odcinku, wysoko w cieniu wisiały drabiny słonecznego blasku, prowadzące w różnych kierunkach. Jego stopa na drzewie wyrwanym z korzeniami. Osłona z mchu i listowia.

I to, pomyślał Clay.

Stał obok ogromnego głazu, który wyglądał na obruszony.

Wspinali się tak przez ponad pół dnia i zjedli lunch na długim, granitowym nawisie. Patrzyli ponad grzbietami.

Morderca rozpakował torbę.

Woda. Chleb i pomarańcze. Ser i ciemna czekolada. Przechodziły z ręki do ręki, ale nie powiedzieli wiele więcej. Clay był jednak pewien, że dzielili podobne myśli – o rzece, pokazującej swoją moc.

Czyli temu stawiamy czoła.

Przez całe popołudnie schodzili z powrotem w dół. Od czasu do czasu wyciągała się ręka, by pomóc temu drugiemu, a kiedy powrócili, w ciemnościach, korytem rzeki, wciąż nic nie powiedzieli.

Ale teraz z całą pewnością.

Jeśli istniał dobry moment, by zacząć, to właśnie w tej chwili.

Wcale nie.

Nie do końca:

Wciąż pozostało zbyt wiele pytań, zbyt wiele wspomnień – ale jeden z nich musiał zacząć, a Morderca, stosownie, pękł jako pierwszy. Jeśli ktoś miał podjąć próbę zbudowania partnerstwa, to powinien być on. Tego dnia przeszli razem wiele mil, więc popatrzył na niego i spytał:

– Chcesz zbudować most?

Clay pokiwał głową, ale odwrócił wzrok.

– Dzięki – powiedział Michael.

– Za co?

– Za przybycie.

– Nie przybyłem tu dla ciebie.

Podtrzymywanie więzi rodzinnych na sposób Claya.

galeria abbey.

PEWNIENIE JEST PRAWDĄ, na wiele sposobów, że nawet złe czasy są pełne dobrych czasów (a nawet wspaniałych czasów), a ich schyłek niczym się nie różnił. Wciąż zdarzały się te niedzielne poranki, kiedy prosiła go, żeby poczytał jej w łóżku i całowała go nieświeżymi ustami, a Michael mógł się jedynie poddać. Z chęcią czytał *Kamieniarza*. Najpierw przeciągał palcem po literach na okładce.

Mówiła:

– Jak się w końcu nazywało to miasto, w którym uczył się o marmurze i kamieniu?

Odpowiadał cicho.

Miastem było Settignano.

Albo:

– Przeczytaj mi znów, co pisze o *Jeńcach*.

Strona 265:

– „Byli szaleni i powykręceni, niewymodelowani i niekompletni, ale ogromni, mimo wszystko monumentalni, i mieli walczyć, jak się wydawało, przez na zawsze”.

– PRZEZ na zawsze? – Przetaczała się na niego i całowała go w brzuch. Zawsze uwielbiała jego brzuch. – Jak myślisz, czy to błąd w druku?

– Nie, myślę, że chciał tak napisać. Zakładał, że uznamy to za błąd... niedoskonałe sformułowanie, jak *Jeńcy*.

– Hm. – Całowała go i całowała raz jeszcze, w poprzek i wzdłuż, w stronę żeber. – Uwielbiam, kiedy to robisz.

- Co robię?
- Walczysz o to, co kochasz.

Ale nie umiał zawalczyć o nią.

A w każdym razie nie tak, jak chciała.

Gwoli sprawiedliwości, Abbey Dunbar nie miała złych zamiarów, ale w miarę jak upływał czas, a dobre chwile stawały się coraz rzadsze, z każdym dniem stawało się coraz bardziej jasne, że każde z nich idzie w swoją stronę. Co ważniejsze, ona się zmieniała, a on pozostawał taki sam. Abbey nigdy nie celowała ani nie przypuszczała ataku. Po prostu rzeczy, których próbował się chwytać, stawały się coraz bardziej śliskie.

Z perspektywy czasu Michael pamiętał filmy. Pamiętał czasy, kiedy w piątkowe wieczory całe zatłoczone kino się śmiało, ON się śmiał, a Abbey siedziała i patrzyła niewzruszona. A później, kiedy cała rzesza widzów milczała jak kamień, Abbey uśmiechała się do czegoś intymnego między nią a ekranem. Gdyby tylko umiał śmiać się wtedy, kiedy ona, może byłoby w porządku...

Ale powstrzymał się.

To był absurd.

Filmy i smakująca plastikiem prażona kukurydza nie zwiększają szans na zdziesiątkowanie, prawda? Nie, to była bardziej składanka, „największe przeboje” dwojga ludzi, który podróżowali razem jak najdalej, by usunąć się w cień.

Czasami zapraszała znajomych z pracy.

Mieli czyste paznokcie.

Zarówno mężczyźni, jak i kobiety.

Daleka droga od placu budowy.

Do tego Michael dużo malował w garażu, więc ręce miał albo zapyłone, albo pokryte kolorowymi plamami. Pił kawę po turecku,

a oni z ekspresu.

Co się tyczy Abbey, włosy miała coraz krótsze, uśmiech oficjalny, i w końcu zebrała dość odwagi, by odejść. Dotykała jego ramienia, jakby minęło wiele lat, z uwagą albo dowcipnym komentarzem. Albo żartowała, mrugała i uśmiechała się do niego – ale za każdym razem było to coraz mniej przekonujące. Dobrze wiedział, że później znajdą się w osobnych stanach łóżka.

– Dobranoc.

– Kocham cię.

– Ja ciebie też.

Często wstawał.

Szedł do garażu i malował, ale jego ręce były tak piekielnie ciężkie, jakby pokryte skorupą, zacementowane. Często brał też *Kamieniarza* i czytał kartki jak swego rodzaju receptę, każde słowo łagodziło ból. Czytał i pracował, aż piekły go oczy, a prawda, która była obok, spadała na niego.

Był on i Buonarroti.

Jeden artysta w pomieszczeniu.

Może gdyby się kłócili.

Może tego brakowało.

Odrobiny niestabilności.

A może więcej sprzątanania.

Nie, fakt był jasny i oczywisty:

Życie wskazywało teraz Abbey Dunbar inną drogę, a chłopak, którego kiedyś kochała, pozostał za nią. Kiedyś ją malował, a ona go za to kochała, teraz jednak wydawało się to liną ratunkową. Umiał oddać ją, jak śmiała się nad myciem naczyń. Albo stała nad morzem, z surferami za plecami, po przejściu fali. Wciąż były śliczne i bogate, te

obrazy, ale choć wcześniej była w nich jedynie miłość, teraz miłości towarzyszył brak. Była to nostalgia, miłość i strata.

Aż pewnego dnia przerwała w pół zdania.

Szepnęła:

– Wielka szkoda...

Podmiejska prawie cisza.

– Wielka szkoda, bo...

– Co?

Jak to się zdarzało coraz częściej, tak naprawdę wcale nie chciał usłyszeć i odwrócił się plecami do odpowiedzi. Stał przy kuchennym zlewie.

– Myślę, że kochasz namalowaną wersję mnie bardziej... malujesz mnie lepszą, niż naprawdę jestem.

Słońce migotało.

– Nie mów tak. – W tej chwili umarł, miał pewność. Woda była szara, jakby zachmurzona. – Nigdy więcej tak nie mów.

Kiedy nadszedł koniec, powiedziała mu w garażu.

Stał z pędzlem w ręku.

Spakowała torby.

Powinien zachować wszystkie obrazy.

Patrzyła z przepaszającą miną, kiedy zadawał próżne pytania. Dlaczego? Miała kogoś innego? Czy kościół, miasteczko, czy wszystko nic nie znaczyło?

Ale nawet wtedy, gdy furia powinna pokonać zdrowy rozsądek, z krokwi zwisały jedynie pasma smutku. Unosiły się i falowały jak pajęczyny, tak kruche i ostatecznie nieważkie.

Za nimi stała galeria Abbey i przyglądała się całej scenie:

Śmiała się, tańczyła i rozgrzeszała go. Jadła, piła i rozciągała się naga na łóżku – a w tym czasie kobieta przed nim, ta nienamalowana, wyjaśniała. Nic nie mógł powiedzieć ani zrobić. Minuta przeprosin. Za to wszystko.

Jego przedostatnie błaganie było pytaniem.

– Czy on czeka od frontu?

Abbey zamknęła oczy.

A on jakby odruchowo wykonał ten ostatni gest:

Na stołku, obok sztalug, leżał *Kamieniarz*, wierzchem do dołu, a on sięgnął po książkę i wyciągnął ją, a ona z jakiegoś niepojętego powodu ją przyjęła. Może tylko po to, by chłopiec i dziewczyna mogli ją odnaleźć, po tak wielu latach... Zachowali ją, czytali i mieli obsesję na jej punkcie, leżąc na materacu na starym zapomnianym polu, w mieście pełnym starych zapomnianych pól – a wszystko to zaczęło się tutaj.

Wzięła ją.

Trzymała ją w dłoniach.

Pocałowała czubki palców i położyła je na okładce, i była taka smutna, i jednocześnie mężna, i zabrała ją, a drzwi zatrzasnęły się za jej plecami.

A Michael?

W garażu usłyszał dźwięk silnika.

Ktoś inny.

Opadł na pochlapany farbą stołek i powiedział „nie” do dziewczyny w pobliżu, a silnik zabrzmiał głośniejsze, po czym przycichł i zupełnie zniknął.

Przez długi czas siedział, milczał i drżał, aż w końcu zaczął bezgłośnie płakać. Wylewał swoje łzy na mijające go twarze pobliskich obrazów – ale później poddał się, położył i zwinął na podłodze. A Abbey



Dunbar, która nie była już Abbey Dunbar, strzegła go przez całą noc w swoich rozlicznych postaciach.

## pont du gard

PRZEZ NASTĘPNE CZTERY ALBO PIĘĆ DNI ojciec i syn żyli zgodnie z rutyną. Było to ostrożne partnerstwo, ramię w ramię, może przypominali dwóch bokserów w początkowych rundach. Żaden nie chciał za bardzo ryzykować z obawy, że zostanie znokautowany. Szczególnie Michael działał ostrożnie. Nie chciał kolejnego „nie przybyłem tu dla ciebie”. Takie chwile nie były dobre dla nikogo – a może tylko dla niego.

W sobotę, w dniu, kiedy Clay najbardziej tęsknił za domem, poszli w dół rzeki zamiast w górę, a on miał pokusę się odezwać.

Z początku chodziło o proste rzeczy.

Czy Morderca miał pracę?

Dokładnie od jak dawna tu mieszkał?

A później bardziej badawczo, a może błagalnie:

Na co on, do diabła, czekał?

Kiedy zaczną budować?

Czy ten most był prokrastynacją?

Przypominał sobie Carey i starego McAndrew – że zadawanie pytań by ją cofnęło. W jego przypadku jednak była jeszcze historia.

Jako chłopiec, który kiedyś kochał opowieści, w przeszłości umiał lepiej zadawać pytania.

Rankami Morderca zwykle wychodził na brzeg rzeki i stał.

Mógł to robić godzinami.

Później wracał i czytał albo pisał na swoich luźnych kartkach.

Clay wychodził sam.

Czasami szedł w górę rzeki, do wielkich kamiennych bloków. Siadał na nich i tęsknił za wszystkimi.

W poniedziałek udali się do miasta po zapasy jedzenia.

Przeszli przez koryto rzeki, jego suchość.

Pojechali czerwonym pudełkiem samochodu.

Clay wysłał list do Carey i zbiorową wiadomość do domu, przez Henry'ego. Podczas gdy pierwszy list był szczegółowym opisem większości z tego, co się wydarzyło, drugi był typowy dla braci.

*Cześć Henry*

*Tu wszystko w porządku.*

*A Ty?*

*Powiedz pozostałym.*

*Clay*

Pamiętał, jak Henry zasugerował mu telefon, a myśl ta była w jakiś sposób stosowna – jego wiadomość przypominała SMS.

Długo się zastanawiał nad umieszczeniem adresu zwrotnego na kopertach i w końcu zrobił to jedynie na liście do Henry'ego. Ale powiedzieć Carey? Nie wiedział. Nie chciał, żeby poczuła, że musi odpowiedzieć. A może bał się, że tego nie zrobi.

W czwartek wieczorem wszystko się zmieniło, w każdym razie odrobinę – Clay usiadł z nim z własnej woli.

Zdarzyło się to w salonie i Michael nic nie powiedział, jedynie posłał mu uważne spojrzenie, a Clay siedział na podłodze, pod oknem. Z początku czytał ostatnią z jej książek – szczodrej Claudii Kirkby – ale teraz zajął się almanachem mostów, tym, który czytał najczęściej. Tytuł nie był zbyt natchniony, ale samą książkę uwielbiał. *Najwspanialsze mosty ze wszystkich.*

Przez chwilę miał problemy ze skupieniem, ale po dobrych trzydziestu minutach na jego twarzy pojawił się pierwszy uśmiech, gdy zobaczył swój ulubiony most.

Le Pont du Gard.

„Wspaniały” nie było wystarczającym słowem, by wyjaśnić ten most, który służył również jako akwedukt.

Wybudowany przez Rzymian.

Albo diabła, jeśli ktoś w to wierzył.

Kiedy patrzył na jego łuki – pół tuzina wielkich na dole, jednaście na środkowym poziomie i trzydzieści pięć na szczycie – uśmiechnął się i poczuł, że uśmiech ten rośnie.

Złapał się na tym i sprawdził.

Było blisko.

Morderca prawie zobaczył.

W niedzielę wieczorem Michael znalazł Claya w korycie rzeki, w miejscu, gdzie po obu stronach urywała się droga. Stanął trochę dalej i odezwał się.

– Muszę wyjechać, na dziesięć dni.

Miał pracę.

W kopalni.

Kolejne sześć godzin jazdy na zachód, za starym miasteczkiem, Featherton.

Kiedy mówił, zachodzące słońce wydawało się z początku leniwe i odległe. Drzewa rzucały coraz dłuższe cienie.

– Możesz albo wrócić na te dziesięć dni do domu, albo zostać.

Clay stał i wpatrywał się w horyzont.

Niebo stawiało teraz silny opór i ociekało krwią.

– Clay?

Chłopiec odwrócił się i dał mu wówczas namiastkę braterstwa albo kawałek siebie – powiedział prawdę.

– Nie mogę wrócić do domu. – Było nadal zbyt wcześnie, by podjąć tę próbę. – Nie mogę wrócić... jeszcze nie.

W odpowiedzi Michael wyjął coś z kieszeni.

Ulotka agenta pośrednictwa nieruchomości, ze zdjęciami terenu, domu i mostu.

– Masz. Popatrz.

Most był niebrzydki, prosta konstrukcja na podporach, z podkładów kolejowych i drewnianych belek, niegdyś łącząca przestrzeń, w której teraz stali.

– Był tutaj?

Pokiwał głową.

– Co o nim myślisz?

Clay nie widział powodu, by kłamać.

– Podoba mi się.

Morderca przeczesał dłonią falujące włosy. Potarł oko.

– Rzeka go zniszczyła, niedługo po tym, jak się wprowadziłem. A od tego czasu prawie nie padało. Już od dawna jest tak sucho.

Clay zrobił krok w jego stronę.

– Coś zostało?

Michael wskazał na kilka zagrzebanych desek.

– To wszystko?

– To wszystko.

Wciąż towarzyszyło im czerwone dudnienie, bezgłośnie powódź krwi.

Wrócili do domu.

Na stopniach Morderca spytał:

– Chodzi o Matthew? – Bardziej podał te słowa niż je wypowiedział.

– Często wypowiadasz jego imię, we śnie. – Zawahał się. – Jeśli mam

być szczerzy, imiona ich wszystkich i inne. Takie, których nigdy nie słyszałem.

Carey, pomyślał Clay, ale Michael powiedział: „Matador”.

Powiedział:

– Matador w piątej?

Ale tego było dosyć.

Nie przeciągaj struny.

Kiedy Clay posłał mu spojrzenie, Morderca zrozumiał. Wrócił do pierwotnego pytania.

– Matthew powiedział ci, że nie możesz wrócić?

– Nie, nie do końca.

Michael Dunbar znał alternatywę.

– Musisz za nimi tęsknić.

A Clay wściekał się na niego, wewnątrz.

Myślał o chłopcach, podwórkach i klamerkach do bielizny.

Spojrzał w niego i powiedział:

– A ty nie?

Wcześniej, bardzo wcześnie rano, około trzeciej, Clay zauważył cień Mordercy stojącego obok jego łóżka. Zastanawiał się, czy to przypominało mu, jak przypominało jemu samemu, ostatni raz kiedy tak właśnie stał, tamtej straszliwej nocy, kiedy nas opuścił.

Z początku myślał, że to intruz, ale wkrótce dostrzegł. Wszędzie rozpoznalby te dłonie kata. Usłyszał upadły głos.

– Pont du Gard?

Cicho, tak cicho.

Czyli jednak go zobaczył.

– Czy to twój ulubiony?

Clay przełknął ślinę.

– Tak.

- Jakież inne?
- Ratzbona. Most pielgrzymów.
- Trzy łuki.
- Tak.

Kolejne myśli, jedna po drugiej.

- A czy podoba ci się Wieszak?

Wieszak.

Wspaniały most miasta.

Wspaniały most domu:

Inny rodzaj łuku, metalowy, wznoszący się nad drogą.

- Uwielbiam ją.
- Jest kobietą?
- Dla mnie jest.
- Dlaczego?

Clay zacisnął powieki, po czym je otworzył.

Penny, pomyślał.

Penelopa.

- Po prostu jest.

Dlaczego musiał to wyjaśniać?

Morderca powoli się wycofał, w głąb domu, i powiedział mu:

– Do zobaczenia wkrótce. – Ale w przypiływie nadziei i lekkomyślności dodał: – Znasz legendę Pont du Gard?

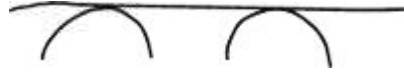
- Chcę spać.

Oczywiście, że znał, do cholery.

Rankiem jednak, w pustym domu, Clay zatrzymał się w kuchni, kiedy to zobaczył – na papierze, narysowane węglem, grubymi kreskami.

Opuścił palec i dotknął ich.

*Ostateczny plan mostu: pierwszy szkic*



Pomyślał o Carey i pomyślał o łukach, i własny głos znów go zaskoczył.

– Most będzie stworzony z ciebie.



pięć lat i pianino, i podążanie ręką za ręką

PIĘĆ DŁUGICH LAT leżał w tym garażu, na podłodze, aż się stało.

Coś sprawiło, że wstał:

Pianino.

Pomyłka w adresie.

Światło popołudnia.

Oto przybyła kobieta z muzyką i dwoma epepejami u boku, a cóż mógł zrobić Michael Dunbar?

Jak na drugą szansę, miał ogromne szczęście.

Ale w porządku, co się wydarzyło w ciągu tych pięciu lat pomiędzy?

Drżącymi rękami podpisał dokumenty od prawnika.

W ogóle przestał malować.

Kusił go powrót do Featherston, ale pamiętał też głos w ciemnościach i głowę na swojej szyi.

Może wciąż byś tam był.

I upokorzenie.

Powrót bez dziewczyny.

– Gdzie ona jest? – pytaliby ludzie.

– Co się stało?

Nie, nie mógł wrócić na dobre. Wiedział, że wieści się rozejdą, ale to nie znaczyło, że chciał je usłyszeć. Wystarczająco paskudne było słuchanie myśli, które leżały wewnątrz.

„CO?”.

Często do niego przychodziły, w połowie kolacji albo mycia zębów.

„Po prostu go ZOSTAWIŁA?”.

„Biedaczysko”.

„No, nie możemy powiedzieć, że się tego nie spodziewaliśmy... Ona była szalona, a on był, no, nigdy nie był największym bystrzakiem, co nie?”.

Nie, lepiej zostać w mieście. Lepiej zostać w domu i każdego dnia coraz słabiej czuć jej zapach. W końcu zawsze była praca. Miasto rosło. Zawsze było piwo albo dwa, samotnie w domu albo z Bobem, Spiro i Philem – kumplami z pracy, z żonami i dziećmi, albo z niczym, jak on.

Jeśli od czasu do czasu wracał do Featherton, to jedynie żeby odwiedzić matkę. Cieszył się, widząc ją zajęta zwyczajowymi małomiasteczkowymi rozrywkami. Sprzedaż domowego ciasta na kiermaszu. Parady z okazji dnia żołnierzy Anzac<sup>[\*]</sup>. W niedzielę gra w bowls z doktorem Weinrauchem.

Kiedy powiedział jej o Abbey, nie mówiła dużo.

Położyła dłoń na jego dłoni.

Najpewniej myślała o własnym mężu, który wszedł w płomień. Nikt nie wiedział, dlaczego niektórzy wchodzili do środka i już nie wychodzili. Czy naprawdę ich pragnienie wyjścia było o tę odrobinę mniejsze niż pozostałych? Michael Dunbar przynajmniej nigdy nie miał wątpliwości co do Abbey.

Później obrazy, na które nie mógł już patrzeć.

Jej portret sprawiał, że zaczynał się zastanawiać.

Gdzie była.

Z kim była.

Pokusa, by wyobrazić ją sobie w ruchu, z innym mężczyzną. Lepszym mężczyzną. Żadnych subtelności.

Chciał być mniej małostkowy, powiedzieć, że takie rzeczy nie miały znaczenia, ale je miały. Sięgały dalej, do czegoś głębszego, a w tych miejscach nie chciał się znaleźć.

Pewnej nocy, po około trzech latach, przeciągnął obrazy pod jedną ścianę garażu i zakrył je w całości prześcieradłami – życie za zasłoną. Nawet kiedy skończył, wciąż nie mógł się oprzeć – zajrzał ostatni raz do środka, przeciągnął dłonią po największym, na którym stała na brzegu z butami w ręku.

– Dalej – powiedziała – weź je.

Ale nic już nie pozostało.

Znów opuścił prześcieradło.

W miarę, jak pięły się lata, pochłonęło go miasto.

Pracował, prowadził samochód.

Kosił trawnik – miły chłopak, dobry najemca.

A skąd mógł wiedzieć?

Skąd mógł wiedzieć, że dwa lata później ojciec emigrantki umrze na ławce w europejskim parku? Skąd mógł wiedzieć, że ona wyruszy w akcie miłości i rozpaczy, i kupi pianino, które zostanie dostarczone nie do niej, ale do niego – i że będzie stała na środku Pepper Street z trójką bezużytecznych tragarzy?

Pod wieloma względami nie opuścił podłogi garażu i dlatego często nie mogę się powstrzymać przed tą wizją:

Przykuca i podnosi się.

Odgłos odległego ruchu ulicznego – tak bardzo przypominający ocean – długie pięć lat za nim, a ja myślę, raz za razem:

Zrób to, zrób to teraz.

Idź do tej kobiety i pianina.

Jeśli teraz nie pójdziesz, nie będzie żadnego z nas – ani braci, ani Penny, ani ojca czy synów – a jedynym, co można zrobić, jest wziąć to,

zrobić to i biec z tym najdłużej jak się da.

---

[\*] ANZAC (*Australian and New Zealand Army Corps*) – armia złożona z Australijczyków i Nowozelandczyków walcząca w czasie I wojny światowej (przyp. tłum.).

część czwarta

miasta + wody + zbrodniarze

+

ŁUKI

## sterta claya

W TAMTEN PONIEDZIAŁEK, po tym, jak Michael wyjechał jeszcze przed świtem, a Clay zobaczył szkic w kuchni, zrobił sobie śniadanie i poszedł do salonu. Notatki Mordercy, arkusze i opracowania leżały na siedmiu różnych stertach na ławie. Niektóre były wyższe od innych, ale każda miała na wierzchu tytuł. Na każdym pliku leżał kamień, zszywacz albo nożyczki, żeby nic nie odfrunęło. Powoli przeczytał wszystkie tytuły:

MATERIAŁY

WŁADZE

RUSZTOWANIE

STARY PLAN (PODPORY)

NOWY PLAN (ŁUKI)

oraz

CLAY.

Clay usiadł.

Pozwolił, by kanapa go pochłoneła.

Napisał imię Carey na okruchach grzanki, po czym sięgnął po stertę zatytułowaną RUSZTOWANIE.

Z tego miejsca czytał przez cały dzień.

Nie jadł ani nie chodził do łazienki.

Po prostu czytał, patrzył i dowiadywał się wszystkiego o moście z głowy Michaela Dunbara, a był to wielki bałagan notatek węglem i grubym ołówkiem. Szczególnie STARY PLAN. Ta sterta składała się

ze stu trzynastu kartek (przeliczył je), pełnych informacji o cenach drewna, technikach, systemach bloczków i dlaczego poprzedni most mógł się rozpaść.

NOWY PLAN składał się z sześciu arkuszy – stworzonych poprzedniego wieczora. Na pierwszej kartce z tej niedużej sterty znajdowało się tylko jedno, powtórzone kilka razy.

PONT DU GARD.

Następne kartki wypełniały szkice i rysunki, i lista definicji.

„Pacha łuku” i „kliniec”.

„Wezłowie” i „krążyna”.

„Klucz” i „zwornik”.

Starzy ulubieńcy jak „wspornik” i „przęsło”.

W skrócie: pachy składały się ze standardowych bloków kamienia, a klincom nadawano odpowiedni kształt, by tworzyć łęk. Wezłowie było punktem nacisku, w którym łuk stykał się z filarem. Najbardziej lubił jednak krążynę – formę, na której budowano łęk, zaokrąglone drewniane rusztowanie. Najpierw podtrzymywała konstrukcję, a później ją usuwano – pierwsza próba każdego łuku i przetrwania.

Później CLAY.

Spoglądał na stertę CLAY wiele razy, czytając wszystko inne. Perspektywa sięgnięcia po nią ekscytowała go, ale też powstrzymywała. Na wierzchu jako przycisk do papieru leżał zardzewiały stary klucz, a pod spodem pojedyncza kartka.

Kiedy Clay w końcu ją przeczytał, był wieczór.

Zdjął klucz i trzymał go bezwładnie w dłoni, a kiedy zdjął kartkę tytułową, pod spodem znalazł:

*Clay*

*Zobacz stronę 49 STAREGO PLANU.*

*Powodzenia*

*Michael Dunbar*

Strona czterdziesta dziewiąta.

Wyjaśniała, jak ważne jest wykopanie rowu na całej czterdziestometrowej szerokości rzeki – by móc przez cały czas pracować na podłożu skalnym. „Jako początkujący budowniczy mostów – tak napisano – powinni zrobić więcej niż eksperci, by upewnić się, że nie ryzykują. Był nawet szkic – czterdzieści na dwadzieścia metrów.

Przeczytał ten fragment wiele razy, po czym przerwał, aż pomyślał:

Czterdzieści na dwadzieścia.

I Bóg jeden wie, jak głęboko.

Powinienem spojrzeć na tę stertę jako pierwszą.

Zmarnował cały dzień kopania.

Po krótkich poszukiwaniach Clay odkrył, że klucz otwierał szopę za domem, a kiedy wszedł do środka, znalazł łopatę, leżącą niewinnie na stole roboczym. Wziął ją i rozejrzał się dookoła. W pobliżu znalazł też kilof i taczki.

Wyszedł znów na zewnątrz i w ostatnim blasku późnego popołudnia dotarł do koryta rzeki. Był tam obwód oznaczony jaskrawopomarańczową farbą. Nie zauważył go, bo spędził cały dzień w środku.

Czterdzieści na dwadzieścia.

Myślał o tym, kiedy szedł wzdłuż granicy.

Clay przykucnął, wstał, patrzył na wschodzący księżyc – ale już wkrótce poczuł wezwanie harówki. Na wpół się uśmiechnął i pomyślał o Henrym – był pewien, że odliczałby mu czas.

Był tam całkiem sam, gdy przeszłość za jego plecami się złączyła – później trzy kolejne sekundy i teraz.

Łopata i splot ziemi.



## życia, zanim mieli nas

W ODMĘTACH PRZESZŁOŚCI Dunbarów złączyli się, Michael i Penelopa, i oczywiście zaczęło się od pianina. Powinienem również powiedzieć, że ten czas początku i pokusy trwałego szczęścia zawsze pozostawał dla mnie pewnego rodzaju tajemnicą. Domyślam się, że to tak jak czas spędzony razem przez rodziców nas wszystkich – życia, zanim mieli nas.

W tamto słoneczne popołudnie, tutaj w mieście, popychali instrument w dół Pepper Street i spoglądali na siebie ukradkiem, a tragarze się sprzeczali.

– Ej!

– Co?

– Nie jesteś tu, żeby cię podziwiać.

– Co to miało znaczyć?

– To znaczy PCHAJ! W tę stronę, idioto. TUTAJ.

Jeden do drugiego, ukradkiem:

– Nie płacą nam tyle, żeby go znosić, co?

– Ano.

– Dawajcie! Dziewczyna daje z siebie więcej niż wy dwaj razem. – Teraz do Penelopy, ponad pianinem. – Hej, może szukasz przypadkiem pracy?

Uśmiechnęła się łagodnie.

– Nie, dzięki, mam już kilka.

– To widać. W przeciwieństwie do tych dwóch bezużytecznych... Ej!

**TĘDY!**

I wtedy, właśnie tam, spojrzała na drugą stronę, a mężczyzna spod numeru trzydziestego siódmego poczęstował ją koleżeńskim uśmiechem, po czym schował go głęboko wewnątrz siebie.

W mieszkaniu jednak, kiedy pianino znalazło się na swoim miejscu pod oknem, Michael Dunbar nie został. Zapytała, co mogłaby mu dać w podziękowaniu za pomoc, wino, może piwo albo *wódkę* (naprawdę tak powiedziała?), ale on nie chciał o tym słyszeć. Pożegnał się i wyszedł, ale kiedy zaczęła grać, zobaczyła, że słucha – jej pierwszych próbnych nut. Pianino nadal wymagało nastrojenia.

Stał przy szeregu kontenerów na śmieci.

Kiedy wstała, żeby się przyjrzeć, zniknął.

W następnych tygodniach z pewnością pojawiło się poczucie CZEGOŚ.

Do dnia pianina nie spotkali się ani razu, ale teraz zdarzało im się to ciągle. Jeśli on stał w supermarkecie Woolworths z papierem toaletowym pod pachą, ona stała przy sąsiedniej kasie z torbą pomarańczy i paczką ciastek Iced VoVo. Po pracy, kiedy szła Pepper Street, on kawałek dalej wysiadał z samochodu.

W przypadku Penelopy (i to ją zawstydzalo) często kilka razy obchodziła kwartał, wyłącznie dla tych kilku sekund potrzebnych do przejścia przed jego domem. Czy będzie siedział na werandzie? Czy w kuchni będzie się palić światło? Czy wyjdzie i zaprosi ją do środka na kawę, herbatę albo w ogóle coś? Była w tym pewna synergia, jeśli wziąć pod uwagę Michaela, Lunę i spacerów przez dawne Featherton. Nawet kiedy siadała przy pianinie, często sprawdzała – znów mógł stać przy kontenerach.

Jeśli chodzi o Michaela, opierał się.

Nie chciał znów wrócić TAM, gdzie wszystko było dobre, ale mogło ulec zniszczeniu. W kuchni myślał o Penelopie i pianinie, i nawiedzonych salach Abbey. Widział ramiona tej nowej kobiety i miłość w jej dłoniach, kiedy pomagała przeciągnąć instrument w dół ulicy... ale umiał zmusić się, by do niej nie pójść.

W końcu, wiele miesięcy później, w kwietniu, Penny włożyła dzinsy i koszulkę.

Ruszyła w górę Pepper Street.

Było ciemno.

Powiedziała sobie, że jest śmieszna, że jest kobietą, nie dziewczynką. Przebyła tysiące mil, by się tu dostać. Stała zanurzona po kostki na podłodze toalety ciemnej jak wino, więc to było niczym, niczym w porównaniu. Z pewnością mogła przebyć bramę i zapukać do frontowych drzwi mężczyzny.

Z pewnością.

Zrobiła to.

– Cześć? – powiedziała. – Myślałam... Mam nadzieję, że mnie pamiętasz?

Był milczący, i światło też – przestrzeń za nim w korytarzu. I znów ten uśmiech. Wyłaniający się na powierzchnię i od razu znikający.

– Oczywiście, że tak... pianino.

– Tak.

Zaczynała się denerwować i to nie angielski formował się w jej ustach. Każde zdanie było dokładnie tym – swoją własną małą karą. Musiała umieścić swój ojczysty język wewnątrz i obejść go. Jakimś sposobem udało jej się zapytać, czy może chciałby przyjść do niej w odwiedziny. Mogłaby zagrać na pianinie, to znaczy, jeśli lubił pianino, miała też kawę, tosty z rodzynkami i...

– Iced VoVo?

– Tak... – Skąd takie zawstydzenie? – Tak. Tak, mam. – Przepomniał sobie. Przepomniał sobie.

Przepomniał sobie i teraz wbrew wszelkim wewnętrznym ostrzeżeniom i dyscyplinie uśmiech, który powstrzymywał, wypadł na zewnątrz. Zupełnie jak w tych wszystkich filmach o wojsku – komediach – w których beznadziejny, pechowy rekrut z trudem wspina się na mur i pada na drugą stronę, głupi i niezgrabny, ale pełen wdzięczności.

I Michael Dunbar się poddał:

– Chętnie przyszedłbym i posłuchał, jak grasz... słyszałem tylko kilka nut tamtego pierwszego dnia, kiedy je dostarczyli. – Później, po chwili, dłużej. – Proszę. Może wejdiesz?

Jego dom emanował przyjacielską atmosferą, ale też czymś niepokojącym. Penelopa nie do końca potrafiła to określić, ale Michael z całą pewnością tak. Życie, które miał, a teraz odeszło.

W kuchni się sobie przedstawili.

Wskazał jej krzesło.

Zauważył, że zauważyła jego szorstkie, zapyłone ręce, i tak to się zaczęło. Przez dłuższą chwilę, co najmniej trzy godziny, siedzieli przy stole, który był podrapany, drewniany i ciepły. Pili herbatę z mlekiem i ciasteczkami, i rozmawiali o Pepper Street i mieście. Pracy w budownictwie i sprzątanii. Zaskoczyło go, jak łatwo jej to przychodziło, kiedy już przestała przejmować się swoją angielszczyzną. W końcu miała mu wiele do powiedzenia:

O nowym kraju i widoku oceanu.

Wstrząs i oszołomieniu południowym wiatrem.

W pewnej chwili spytał ją o to, skąd przybyła i jak się tu dostała, a Penelopa pomacała się po twarzy. Odsunęła pasmo jasnych włosów

z oka i przyływ powoli się cofnął. Pamiętała bladą dziewczynkę, która słuchała tych książek, czytanych raz za razem. Myślała o Wiedniu i armii prycz. Głównie jednak mówiła o pianinie i zimnym jałowym świecie za oknem. Bez emocji mówiła o mężczyźnie i wąsach, i miłości.

Bardzo cicho i bardzo spokojnie powiedziała:

– Dorastałam z pomnikiem Stalina.

W miarę jak mijała noc, opowiadali sobie historie o tym, dlaczego i gdzie zostali stworzeni. Michael mówił o Featherton – pożarach, kopalniach. Odgłosach ptaków nad rzeką. Nie wspominał o Abbey, jeszcze nie, ale była tam, na skraju wszystkiego.

Penelopa z kolei często czuła, że powinna przerwać, ale nagle miała tak wiele do powiedzenia. Kiedy wspomniała o karaluchach i przerażeniu, które wzbudzały, Michael się roześmiał, ale współczująco; na jego wargach pojawił się leciutki ślad zadziwienia domami z papieru.

Kiedy wstała, żeby wyjść, było już po północy. Przeprosiła go za to, że tyle mówiła, a Michael Dunbar powiedział:

– Nie.

Stali przy zlewie, on zmywał filiżanki i talerze.

Penelopa je wycierała. Została.

Coś ją wypełniło i, jak się wydawało, jego też. Lata łagodnej jałowości. Całe miasta, których nie mieli, w których nie żyli. Podobnie jak każde z nich wiedziało, że nigdy nie byli tak chętni ani bezpośredni, mieli pod ręką również inną prawdę – że tak musiało się stać.

Żadnego czekania, żadnej uprzejmości.

Dzikość z ich wnętrza na zewnątrz.

Wkrótce miał już tego dosyć.

Ciche cierpienie byłoby nie do zniesienia przez kolejną sekundę, więc zrobił krok do przodu, wyciągnął ręce, zaryzykował – dłonie wciąż miał w mydlinach.

Złapał ją za nadgarstek, jednocześnie spokojnie i stanowczo.

Nie wiedział jak ani dlaczego, ale drugą dłoń położył na jej biodrze i bez zastanowienia przytrzymał ją i pocałował. Jej przedramię było wilgotne, jej ubranie było wilgotne, ten kawałek koszulki – a on mocno chwycił tkaninę i zacisnął pięść.

– Jezu, przepraszam, ja...

A Penelopa Lesciuszko przeraziła go jak nikt nigdy w życiu.

Wzięła jego wilgotną dłoń i wsunęła ją pod koszulkę – w dokładnie to samo miejsce, ale na skórze – i wypowiedziała frazę ze wschodu:

– *Jeszcze raz.*

Bardzo cicho, bardzo poważnie, niemal bez uśmiechu, jakby kuchnie były do tego stworzone.

– To znaczy – powiedziała – jeszcze raz.

## chłopiec o krwawiących rękach

BYŁA SOBOTA – w pół drogi do powrotu Mordercy – a Clay szedł drogą z domu, w ciemnościach nocy, która właśnie zapadła.

Jego ciało było na poły elastyczne, a na poły twarde.

Dłonie miał otarte do żywego.

Wewnątrz był gotów pęknąć.

Kopał samotnie od poniedziałku.

Podłoże skalne nie znajdowało się aż tak głęboko, jak się obawiał – ale czasami nawet kilka cali wymagało ciężkiej pracy. Czasem myślał, że nie trafi na nie nigdy, ale wtedy – ból kamienia.

Nim skończył, nie mógł już sobie przypomnieć, w które noce przespał w domu kilka godzin, a które w całości przepracował – często budził się w korycie rzeki.

Dopiero po dłuższej chwili zorientował się, że jest sobota.

I wieczór, nie świt.

I w tym stanie delirium, z tymi krwawiącymi, piekącymi rękami, postanowił znów zobaczyć miasto i zapakował bardzo niewiele – skrzyneczkę i ulubioną książkę o mostach.

Później wziął prysznic i płonał, ubrał się i płonał, i wytoczył się do miasteczka. Tylko raz się zawahał, odwrócił się, żeby spojrzeć na swoje dzieło, i to wystarczyło.

Usiadł pośrodku drogi, a teren uniósł się wokół niego.

– Zrobiłem to.

Tylko dwa słowa, a każde smakowało ziemią.

Leżał przez chwilę – pulsujący grunt, rozgwieżdżone niebo. Po czym  
zmusił się do marszu.



## jak narciarze na zboczu góry

TEJ PIERWSZEJ NOCY na Pepper Street pod numerem 37, kiedy wychodziła, uzgodnili to.

Odprowadził ją do domu i powiedział, że przyjdzie do jej mieszkania w sobotę o czwartej.

Droga była ciemna i pusta.

Nie powiedzieli wiele więcej.

Przed rewizytą ogolił się i kupił stokrotki.

Minęła chwila, zanim zagrała na pianinie, a kiedy to robiła, stał obok niej. Kiedy skończyła, położył palec daleko po prawej.

Skinęła głową, by go opuścił, nacisnął.

Ale najwyższa nuta pianina jest kapryśna.

Jeśli nie uderzyć wystarczająco mocno albo wystarczająco WŁAŚCIWIE, nie wydaje dźwięku.

– Jeszcze raz – powiedziała i uśmiechnęła się, nerwowo, oboje to zrobili, i tym razem mu się udało.

Jakby dał po łapach Mozartowi.

Albo uderzył w nadgarstek Chopina albo Bacha.

Tym razem zaczęła ona:

Było wahanie i niezręczność, ale później pocałowała go w kark, bardzo lekko, bardzo delikatnie.

A później zjedli Iced VoVo.

Co do okruszka.

Kiedy myślę o tym teraz, wracam do wszystkiego, co nam opowiedziano, a zwłaszcza wszystkiego, co usłyszał Clay, i zastanawiam się, co jest najważniejsze.

Myślę, że to:

Przez sześć albo siedem kolejnych tygodni spotykali się, zmieniali miejsca, w górę i w dół Pepper Street. Michael Dunbar zawsze czuł, że coś w nim wzbiera, nowość i jasne włosy Penelopy. Kiedy ją całował, czuł smak Europy, ale także smak nie-Abbey. Kiedy chwyciła go za palce, gdy wstawał do wyjścia, czuł uciekiniera, i byli nim zarówno ona, jak i on.

W końcu powiedział jej, na schodkach numeru 37.

W niedzielny poranek, szary i ciepły, na chłodnych schodkach – był już wcześniej żonaty i rozwiódł się, ona nazywała się Abbey Dunbar. Leżał na podłodze garażu.

Obok przejechał samochód i dziewczyna na rowerze.

Powiedział jej, że był zdruzgotany, żyjąc, trzymając się, samotnie. Chciał się z nią spotkać o wiele wcześniej niż tamtego wieczora, gdy do niego przyszła. Chciał, ale nie był zdolny. Nie mógł ryzykować kolejnego takiego upadku, już nie.

To pewnie zabawne, jak wychodzą wyznania:

Przyznajemy się prawie do wszystkiego i „prawie” jest jedynym, co się liczy.

Michael Dunbar pominął dwie rzeczy.

Po pierwsze po prostu nie przyznał, że on również umiał stworzyć coś bliskiego pięknu – obrazy.

Poza tym (co było rozwinięciem tego pierwszego) nie wyznał, że gdzieś w najmroczniejszych głębinach nie tyle bał się, że znów zostanie porzucony, co że skaże kogoś innego na bycie namiastką. To czuł wobec Abbey i życia, które kiedyś miał, ale utracił.

Z drugiej strony, jaki miał wybór?

To był świat, w którym logikę definiowali kłótniwi tragarze pianina. To był świat, w którym los stał przed domem, jednocześnie opalony i blady. Boże, nawet STALIN był w to zamieszany, więc jak mógł powiedzieć „nie”?

Może to prawda, że nie my podejmujemy te decyzje.

Myślmy, że tak jest, ale to nieprawda.

Robimy kolejne okrążenia po naszych sąsiedztwach.

Mijamy te określone frontowe drzwi.

Uderzamy w klawisz pianina, a kiedy nie wydaje dźwięku, uderzamy po raz drugi, bo musimy. Musimy usłyszeć COŚ i mamy nadzieję, że to nie pomyłka.

Tak się składa, że Penelopa nie powinna nigdy tu trafić.

Ojciec nie powinien się nigdy rozwieść.

Ale oto byli, szli doskonale i całkiem stosownie, w stronę pewnej linii. Usłyszeli odliczanie, jak narciarze na zboczu, i wystartowali w stronę TERAZ.

## tradycjonalista

NA STACJI SILVER zobaczył zbliżający się blask nocnego pociągu.

Z daleka wyglądał jak magiczna, powolna pochodnia.

Wewnątrz jednak był niebem.

Powietrze było chłodne, a siedzenie ciepłe.

Jego serce jak połamana część ciała.

Jego płuca jak woskowa rzeźba.

Odchylił się lekko do tyłu i spał.

Pociąg wjechał do miasta w niedzielny poranek, tuż po piątej, a jakiś mężczyzna obudził go potrząśaniem.

– Ej, chłopcze, CHŁOPCZE, jesteście na miejscu.

Clay wzdrygnął się i udało mu się podnieść, a wbrew wszystkiemu – ogromnemu bólowi głowy, przeszywającemu cierpieniu, kiedy podniósł sportową torbę – nie mógł zaprzeczyć przyciąganiu.

Wyczuł ślad domu.

W głębi duszy już tam był, oglądał świat Archer Street. Był na dachu, widział dom Carey. Albo na tyłach, żeby zobaczyć Surrounds. Słyszał nawet film w naszym salonie – ale nie. Musiał sobie przypomnieć, że nie może pójść, a już szczególnie w takim stanie.

Na Archer Street musiał zaczekać.

Dlatego ruszył pieszo.

Odkrył, że im więcej się ruszał, tym mniej go bolało, więc powędrował przez miasto, od Hickson Road do miejsca pod mostem –

zwolnić przy pochyłej ścianie. Na górze z dudnieniem przejeżdżały pociągi. Port tak niebieski, że prawie nie mógł na niego patrzeć. Nity w szeregach, na jego barkach. Wielki szary łuk wyciągał się nad nim.

To ona, pomyślał, oczywiście, że to ona.

Pochylił się i walczył, by odejść.

Po południu w końcu mu się udało i ruszył wygiętymi ulicami Circular Quay. Klowni, gitarzysta. Tradycyjne didgeridoo.

Przywoływał go prom do Manly.

Zapach gorących frytek niemal go zabił.

Poszedł na pociąg, przesiadł się przy ratuszu, po czym odliczył przystanki i ruszył pieszo. Gdyby musiał, poczołgałby się do dzielnicy wyścigów. Było jedno miejsce, do którego przynajmniej mógł się udać.

Kiedy tam dotarł, na szczyt wzgórza, po raz pierwszy od dawna uważnie przyjrzał się nagrobkowi:

*PENELOPA DUNBAR*

*KOBIETA O WIELU IMIONACH:*

*Błądna Dziewczyna, Urodzinowa Dziewczyna,*

*Panna Młoda ze Złamanym Nosem i Penny*

*KOCHANA PRZEZ WSZYSTKICH*

*ALE SZCZEGÓLNIE*

*PRZEZ CHŁOPAKÓW DUNBARÓW*

Kiedy to przeczytał, przykucnął.

Najbardziej się uśmiechał przy tej ostatniej części i nasz brat położył się, opierając policzek na ziemi, i został tam bardzo długo. Płakał bezgłośnie przez prawie godzinę...

A ja ostatnio często o tym myślę i żałuję, że mnie tam nie było. Jako ten, który jako następny miał go pobić, powalić na ziemię i ukarać surowo za jego grzechy, żałuję, że jakimś cudem nie wiedziałem wszystkiego.

Przytuliłbym go i powiedział mu cicho.

Powiedziałbym mu: „Clay, wracaj do domu”.

## malarstwo przy pianinie

I TAK OTO mieli wziąć ślub.

Penelopa Lesciuszko i Michael Dunbar.

Jeśli chodzi o czas, trwało to około roku i siedmiu miesięcy.

Jeśli chodzi o inne kwestie, trudniejsze do zmierzenia, był garaż pełen portretów i malarstwo przy pianinie.

Skręt w prawo i wypadek samochodowy.

I kształt – geometria krwi.

Ten okres powraca głównie w mgnieniach.

Czas skurczony do chwil.

Czasem są luźno rozrzucone – jak zima i jej nauka jazdy. Albo wrzesień i godziny muzyki. Cały listopad i jego niezręczne próby nauczania się jej języka, a później od grudnia przez luty po kwiecień, i co najmniej kilka odwiedzin w miasteczku, w którym dorastał, w jego pocie i upale.

Po drodze oczywiście były filmy (a on nie sprawdzał, z czego się śmieje) i odkryta przez nią miłość do wideo – najpewniej jej najlepszego nauczyciela. Kiedy w telewizji pokazywali filmy, nagrywała je, żeby ćwiczyć angielski, pełen katalog z lat osiemdziesiątych, od *E.T.* po *Pożegnanie z Afryką*, od *Amadeusza* po *Fatalne zauroczenie*.

Była dalsza lektura *Iliady* i *Odysei*. Krykiet w telewizji. (To naprawdę może trwać CAŁE PIĘĆ DNI?). I niezliczone słone przejażdżki promem po tej jasnej, spienionej wodzie.

Były też strumienie wątpliwości, kiedy widziała, jak znikał w jakimś miejscu, które uporczywie trzymał w swoim wnętrzu. Znów wewnętrzne terytorium nie-Abbey, krajobraz ogromny i jałowy. Wołała go po imieniu, choć stała obok:

– Michael. MICHAEL?

Był zaskoczony.

– CO?

Stali na krawędzi złości albo nad rozpadlinami drobnej irytacji – oboje wyczuwali, że szybko mogą się pogłębić. Ale kiedy myślała, że za chwilę powie do niej „Nie przychodź po mnie, nie wołaj”, kładł dłoń na jej przedramieniu. Przez te miesiące jej strachy zostały stłumione.

Czasami jednak chwile się przeciągały.

Zatrzymywały się i rozwijały w pełni.

Dla Claya były to te, o których Penny opowiedziała mu w ostatnich miesiącach życia, kiedy płynęła i płonęła na morfinie i rozpaczliwie chciała przekazać wszystko w odpowiedni sposób. Najlepiej pamiętała dwa z nich, oba wydarzyły się wieczorem i dzieliło je dokładnie dwanaście miesięcy.

Penelopa postrzegала je jako tytuły:

*Noc, kiedy w końcu mi pokazał.*

*Oraz Malarstwo przy pianinie.*

Data był 23 grudnia, wigilia Wigilii.

Pierwszego roku, kiedy zjedli kolację w kuchni Michaela i właśnie skończyli, powiedział do niej:

– Chodź, pokażę ci.

Wyszli do garażu.

Było dziwne, że przez cały czas ich znajomości nigdy nie postawiła tam stopy. Zamiast wejść bocznymi drzwiami, uniósł frontową bramę.



Odgłos przejeżdżającego pociągu.

Wewnątrz, kiedy zapalił światło i zdjął zasłonę z pościeli, Penny była oszołomiona – bowiem pośród drobinek unoszącego się pyłu znajdowały się niezliczone płótna, wszystkie rozciągnięte na drewnianych ramach. Niektóre były ogromne. Inne wielkości kartki ze szkicownika. Każde przedstawiało Abbey, czasami była kobietą, a czasami dziewczyną. Bywała psotna albo bardzo formalna. Często włosy sięgały jej aż do pasa. Na innych były przycięte na wysokości szyi, trzymała ich pasma w ramionach. Zawsze jednak była siłą życiową i nigdy nie odchodziła na długo. Penelopa uświadomiła sobie, że każdy, kto spojrzałby na te obrazy, od razu wiedziałby, że ich autor czuł jeszcze mocniej, niż sugerowały portrety. Kryło się to w każdym widocznym pociągnięciu pędzla i w każdym, które pominął. W precyzji naciągnięcia płótna i w pomyłkach, które pozostały doskonale nieskorygowane – jak kropla fioletu przy kostce albo ucho, które unosiło się obok niej, milimetr od jej twarzy.

Doskonałość się nie liczyła.

Wszystko było właściwe.

Na jednym obrazie, największym, gdzie jej stopy tonęły w piasku, Penny miała wrażenie, że mogłaby poprosić o buty, które trzymała wyciągnięte w otwartej, szczodrej dłoni. Kiedy patrzyła, Michael usiadł przy ziejącym wejściu, oparty plecami o ścianę, a kiedy Penny zobaczyła dosyć, usadowiła się obok niego. Ich kolana i łokcie się stykały.

– Abbey Dunbar? – spytała.

Michael pokiwał głową.

– Wcześniej Hanley... a teraz nie mam pojęcia.

Poczuła wtedy, że serce podchodzi jej do gardła i przyspiesza. Powoli zmusiła je do cofnięcia się.

– Ja... – Prawie się powstrzymał. – Przepraszam, że nie pokazałem ci wcześniej.

– Umiesz malować?

– Umiałem. Już nie.

Z początku rozważała kolejną myśl albo posunięcie – ale teraz kategorycznie jej się sprzeciwiła. Nie spytała, czy mógłby ją namalować, nie, nie mogła rywalizować z tą kobietą, a teraz dotknęła jego włosów. Przeczesała je dłonią.

– Po prostu nigdy mnie nie maluj. – Walczyła, by znaleźć odwagę. – Rób inne rzeczy...

To wspomnienie miało dla Claya ogromną wartość, bo trudno jej było opowiedzieć o tym wszystkim (ale śmierć jest piekielnie dobrą motywacją); jak Michael wyszedł jej na spotkanie, a ona poprowadziła go prosto – do miejsca, gdzie pozostawiła go Abbey, gdzie leżał, zgubiony, na podłodze.

– Powiedziałam do niego – mówiła do chłopca, a była tak wyniszczona. – Powiedziałam: „Zabierz mnie dokładnie tam, gdzie byłeś”, a on od razu to zrobił.

Tak, poszli tam, i trzymali się, i dawali, i cierpieli, i walczyli, i zmusili do odejścia wszystko, co niechciane. Był jej oddech, jej brzmienie i powódź tego, czym się stali, i robili to tak długo, jak należało – a pomiędzy każdą turą leżeli i rozmawiali, Penelopa często odzywała się jako pierwsza. Mówiła, że w dzieciństwie była samotna i chciałyby co najmniej piątkę dzieci, a Michael powiedział, że w porządku. Nawet zażartował:

– Boże, mam nadzieję, że nie będziemy mieli pięciu chłopaków!

Naprawdę powinien uważać, co mówi.

– Weźmiemy ślub.

To był on – te słowa wyszły z jego ust.

Byli już podrapani i posiniaczeni, ich ręce, kolana i łopatki.

Mówił dalej:

– Znajdę sposób, by cię poprosić. Może za rok o tej samej porze.

A ona poruszyła się pod spodem, trzymając go mocno.

– Oczywiście. W porządku. – Pocałowała go i przekręciła. A później ostatnie, niemal bezgłośnie: – Jeszcze raz.

A w następnym roku wyszedł kolejny tytuł.

*Malarstwo przy pianinie.*

23 grudnia.

Poniedziałkowy wieczór, światło na zewnątrz czerwieniało.

Dobiegł ją hałas miejscowych chłopaków grających w piłkę ręczną.

Penelopa przed chwilą ich minęła.

W poniedziałki zawsze wracała do domu o tej porze, trochę po ósmej trzydzieści. Skończyła ostatnie sprzątanie, w kancelarii prawnika, i tego wieczora zrobiła to samo co zawsze.

Upuściła torbę przy drzwiach.

Podeszła do pianina i usiadła – ale tym razem coś się zmieniło. Otworzyła klapę i zobaczyła słowa, na klawiszach, litery proste, ale piękne.

P	E	N	E	L	O	P	O		L	E	S	C	I	U	S	Z	K	O
P	R	O	S	Z	Ę													
W	Y	J	D	Ź		Z	A		M	N	I	E						

Pamiętał. Pamiętał, a jej dłoń zasłoniła usta, uśmiechnęła się, a oczy ją piekły. Wszelkie wątpliwości zostały odpędzone daleko, nawet zniknęły, gdy wahała się nad literami. Nie chciała ich poruszyć ani rozmazać farby. Nawet jeśli była już od wielu godzin sucha.

Ale wkrótce znalazła w sobie determinację.

Pozwoliła, by jej palce opadły delikatnie na środek słów PROSZE WYJDŹ.

Odwróciła się i zawołała:

– Michael?

Nie było odpowiedzi, więc znów wyszła, chłopcy już sobie poszli, było miasto, czerwone powietrze i Pepper Street.

Siedział samotnie na schodach swojego domu.

Później, o wiele później, kiedy Michael Dunbar spał na pojedynczym łóżku, które często dzielili w jej mieszkaniu, znów wyszła w mrok.

Włączyła światło.

Nacisnęła klamkę do zaciemionego półmroku i usiadła na taborecie przy pianinie. Powoli jej dłonie uniosły się i łagodnie uderzyły wysokie nuty. Uderzała w nie lekko, ale pewnie, wykorzystując pozostawione ślady farby.

Zagrała nuty |J|A|S|N|E|.

## chłopak, który wyszedł z piekarnika

- OCZOM NIE WIERZĘ. Myślałem, że po prostu zaczniesz.

To powiedział Michael Dunbar o ogromnym rowie wykopanym przez jednego chłopca w niecały tydzień. Powinien był wiedzieć.

– Coś ty zrobił, do diabła, kopałeś całe noce i dni?

Clay spuścił wzrok.

– Czasami spałem.

– Obok łopaty?

Teraz podniósł wzrok, a Morderca zobaczył jego dłonie.

– Jezu...

Jeśli chodzi o Claya, kiedy opowiadał mi o tym wyczynie, mówił bardziej o następstwach niż samej pracy. Marzył, żeby przynajmniej zobaczyć Archer Street i Surrounds, ale rzecz jasna nie mógł, z dwóch powodów.

Po pierwsze, nie był w formie, by stawić mi czoło.

Po drugie, powrót i NIESTAWIENIE mi czoła wydawały się oszukiwaniem.

Nie, po powrocie z cmentarza złapał pociąg z powrotem do Silver i przez następne parę dni wracał do siebie. Nie było części ciała, która by go nie bolała. Najgorsze były jednak pokryte pęcherzami ręce, a on spał, budził się i czekał.

Kiedy Morderca wrócił, zaparkował po drugiej stronie rzeki, wśród drzew.

Ruszył drogą i stanął na dnie wykopanego rowu.

Po obu stronach znajdowały się fale skał i sterty ziemi.

Popatrzył i pokręcił głową, a później spojrzął na dom.

W środku odnalazł Claya, rozłożył go w kuchni na części, westchnął, na wpół się zgarbił i po raz kolejny pokręcił głową, rozdarty między wstrząsem a absolutnym przerażeniem. W końcu miał mu coś do powiedzenia.

– Muszę ci to przyznać, dzieciaku... masz odwagę.

A Clay nie mógł tego powstrzymać.

Te słowa.

Odeszły i powróciły, kilka razy, a teraz, w kuchni, stał Rory. Jakby wyszedł z piekarnika, prosto z Bernborough Park i trzystu metrów.

Muszę ci to przyznać, dzieciaku...

Dokładnie te same słowa mu powiedział.

A Clay nie mógł się powstrzymać.

Pobiegł korytarzem i usiadł na podłodze w łazience. W pośpiechu zatrzasnął drzwi i...

– Clay? Clay, wszystko w porządku?

Słowa były jak echo, jakby ktoś krzyczał do niego, gdy był pod wodą, i wynurzył się, łapczywie łapiąc oddech.

## panna młoda ze złamanym nosem

JEŚLI CHODZI O ŚLUB, ten nie wymagał zbyt wielkiej organizacji, więc załatwili go szybko. W pewnym momencie Michael zastanawiał się, co zrobić z obrazami – portretami Abbey – czy je zachować, zniszczyć czy wyrzucić. Penelopa z początku była pewna.

– Powinieneś je zachować – powiedziała – albo sprzedać. Nie zasługują na zniszczenie. – Spokojnie wyciągnęła rękę i dotknęła jednego z nich. – Popatrz na nią, jest taka piękna.

I wtedy właśnie, przypadkiem to poczuła:

Błysk ognia, zazdrości.

Dlaczego ja nie mogę być taka?, zastanawiała się i znów pomyślała o tych dalekich, odległych przestrzeniach w jego wnętrzu – gdzie czasami przepadał, choć był obok niej. W takich chwilach rozpaczliwie tego pragnęła – być ważniejszą i lepszą od Abbey – ale obrazy były dowodem: kiedyś wszystko równało się z nią.

Ostatecznie pojawiła się ulga, kiedy je sprzedali:

Ustawili jeden z większych obrazów na rondzie w pobliżu Pepper Street, z szyldem i datą wyprzedaży – i jeszcze przed zmrokiem ktoś go ukradł. W garażu, w dniu sprzedaży, wszystko trwało godzinę – rozeszły się szybko, bo ludziom się podobały, i Abbey, i Penny.

– Powinieneś malować tę tutaj – mówiło wielu z kupców i wskazywało na Penelopę, a Michael jedynie się do nich uśmiechał.

Powiedział:

– Ona jest znacznie lepsza we własnej osobie.

Następną przeszkodą było dobrze znane szczęście Penelopy:

Nie chodziło nawet o to, co się wydarzyło – gdyż była to jej pomyłka – ale że wydarzyło się to właśnie WTEDY, rankiem w dniu poprzedzającym ich ślub. Skręcała starym sedanem Michaela z Lowder Street w Parramatta Road.

W krajach bloku wschodniego w ogóle nie jeździła samochodem, ale oczy miała wciąż przyzwyczajone do tej strony. Tutaj przystąpiła do egzaminów, zdała je ze względną pewnością i często prowadziła stary samochód Michaela. Nigdy nie miała żadnych problemów, ale tego dnia to nie miało znaczenia. Skręciła idealnie w prawo, na niewłaściwy pas.

Na tylnym siedzeniu leżała suknia ślubna, którą właśnie odebrała, skromna i lejąca się, a samochód został uderzony w bok, jakby wgrzyźł się w niego jakiś demon. Penelopa miała pęknięte żebra. Złamała nos pod wpływem uderzenia – wpadła twarzą na deskę rozdzielczą.

Mężczyzna z drugiego samochodu przeklinał, ale przerwał na widok krwi.

Przepraszała w dwóch językach.

Później przyjechała policja i kilka konkurencyjnych lawet, ich właściciele negocjowali, pocili się i palili. Kiedy dotarła karetka, próbowali ją przekonać, żeby pojechała do szpitala, ale powiedzieli, że nie dała się zmusić.

Penny upierała się, że nic jej nie jest.

Z przodu miała dziwny długi kształt:

Owalny fresk krwi.

Nie, pójdzie do swojego lekarza, na co wszyscy się zgodzili – była twardsza, niż się wydawało.

Policjanci zażartowali, że ją aresztują i odwieźli do domu. Młodszy z nich, który żuł miętową gumę, zajął się też suknią.

Złożył ją ostrożnie w bagażniku.



Kiedy dotarła do domu, wiedziała, co trzeba zrobić.

Obmyć się.

Napić herbaty.

Zadzwonić do Michaela i do ubezpieczyciela.

Jak można się spodziewać, nie zrobiła żadnej z tych rzeczy jako pierwszej.

Nie, resztkami sił, które udało jej się zebrać, ułożyła suknię na kanapie i usiadła przy pianinie, całkowicie przygnębiona, a później osamotniona. Zagrała pół *Sonaty księżycowej* i nie widziała przy tym nut, nawet przez chwilę.

U lekarza, godzinę później, nie krzyknęła.

Michael trzymał ją za rękę, kiedy delikatnie przesuwno jej żebra, a później szarpnięciem prostowano nos.

Bardziej przypominało to sapnięcie i przełknięcie śliny.

Jednak w drodze do wyjścia ugięły się pod nią nogi, a później leżała na podłodze w poczekalni. Ludzie wyciągali szyje i patrzyli.

Kiedy Michael pomagał jej się podnieść, zobaczył w kącie zwyczajowe dziecięce zabawki, ale natychmiast się z tego otrząsnął. Wyniósł ją na zewnątrz.

W domu, na starej, zużytej kanapie, leżała z głową na jego kolanach. Poprosiła, by poczytał jej *Iliadę*, a wtedy Michael uświadomił sobie coś istotnego – bowiem zamiast pomyśleć coś oczywistego, w rodzaju „nie jestem twoim dawno utraconym ojcem”, wpadł głębiej, poznał prawdę i przyzwyczał się do niej. Kochał ją bardziej niż Michała Anioła i Abbey Hanley razem wziętych.

Otarł łzę z jej policzka.

Na wargach miała zaschniętą krew.

Podniósł książkę i czytał jej, a ona płakała, a później zasnęła, nadal krwawiąc...

Był „szybkonogi Achilles”, „przemysłny Odyseusz” i wszyscy inni bogowie i wojownicy. Najbardziej podobał mu się „przerażenie wzbudzający Hektor”, zwany również „poskromicielem koni”, i „Diomedes, syn Tydeusa”.

Siedział tak z nią przez całą noc.

Czytał, przewracał kartki i czytał.

Później ślub, który odbył się zgodnie z planem następnego dnia.

Siedemnastego lutego.

Zgromadzenie było niewielkie.

Kilku kolegów z pracy ze strony Michaela.

Gromadka sprzątaczek od Penny.

Byli tam też Adelle Dunbar i stary Weinrauch, który zaproponował jej leki przeciwzapalne. Całe szczęście opuchlizna zaczęła się zmniejszać. Wciąż od czasu do czasu krwawiła, a podbite oko mimo wszelkich wysiłków przez cały czas prześwitywało spod makijażu.

Kościół też był mały, ale wydawał się ogromny. Ciemny, z witrażowymi oknami i udręczonym, kolorowym Chrystusem. Kapłan był wysoki i łysiejący. Zaśmiał się, kiedy Michael nachylił się w jej stronę i powiedział:

– Widzisz? Nawet wypadek samochodowy nie mógł cię przed tym uchronić.

Z drugiej strony, wydawał się taki smutny, kiedy pierwsza kropla krwi spłynęła na suknię i rozrosła się jak szkolna próbka na papierku lakmusowym.

Wszyscy zebrani zaoferowali pomoc, a Penny uśmiechnęła się z łkaniem. Wzięła chusteczkę podaną przez Michaela i powiedziała:

– Poślubiasz pannę młodą ze złamanym nosem.

– Dobry chłopak – powiedział kapłan, kiedy zatamowano krew i ostrożnie przeszli dalej, a kolorowy Chrystus przyglądał się, aż zostali Michaeliem i Penelopą Dunbar.

Odwrócili się, jak większość par, i uśmiechnęli do zgromadzonych.

Podpisali odpowiednie dokumenty.

Przeszli środkiem kościoła do otwartych drzwi na rozgrzane do białości słońce – a kiedy o tym myślę, znów widzę tę pokusę: trzymają trudne do pochwycenia szczęście. Ożywili je w swoich dłoniach.

W tych życiach, które mieli przed nami, wciąż pozostały dwa rozdziały.

## war of the roses

ZNÓW MIJAŁ CZAS.

Mijały tygodnie, bliżej miesiąca, a spędzano je na różne sposoby.

Zaczęli, jak musieli, od najtrudniejszego:

Wydobywania ziemi z koryta rzeki.

Pracowali od świtu do zmierzchu i modlili się o to, żeby nie padało, bo to pozbawiłoby ich pracę sensu. Gdyby Amahnu popłynęła i popłynęła gwałtownie, naniósłaby ze sobą muł i glebę.

W nocy siedzieli w kuchni albo na skraju kanapy przy stoliku – projektowali właściwą krążynę. Razem stworzyli dwa modele – formy i samego mostu. Michael Dunbar matematycznie i metodycznie opracowywał kąty kamienia. Opowiadał chłopakowi o trajektoriach i o tym, że każdy blok musi być doskonały. Clayowi robiło się niedobrze na myśl o klincach, nawet nie do końca wiedział, jak to wymówić.

Wyczerpany fizycznie i umysłowo szedł sennie do sypialni i czytał. Trzymał w ręku każdy przedmiot ze skrzyneczki. Płomień zapalił tylko raz.

Tęsknił za wszystkimi, coraz bardziej w miarę upływu tygodni, kiedy w skrzynce na listy pojawiła się koperta. Wewnątrz dwa napisane ręcznie listy.

Jeden od Henry'ego.

Jeden od Carey.

Przez cały czas spędzony nad Amahnu czekał właśnie na to wydarzenie, ale nie przeczytał ich od razu. Poszedł w górę rzeki do kamieni i eukaliptusów, i usiadł w plamkach słońca.

Przeczytał je w kolejności, w jakiej je znalazł.

*Cześć Clay!*

*Dzięki za list w tamtym tygodniu. Trzymałem go przez chwilę, zanim pokazałem pozostałym – nie pytaj mnie dlaczego. Wiesz, tęsknimy za Tobą. Właściwie się nie odzywasz, ale tęsknimy za Tobą. Powiedziałbym, że najbardziej tęsknią za Tobą dachówki. I jeszcze ja w soboty... Kiedy idę na wyprzedaże, biorę ze sobą Tommy'ego, ale ten dzieciak jest równie bezużyteczny, co cycki u byka. Wiesz o tym.*

*Mógłbyś nas chociaż odwiedzić. Musisz tylko najpierw załatwić sprawy z – sam wiesz. Do diabła, ile w ogóle trwa budowa mostu?*

*Z poważaniem*

*Henry Dunbar esq.*

*PS Możesz zrobić coś dla mnie? Kiedy wrócisz, zadzwoń i powiedz mi, kiedy można się Ciebie spodziewać w domu. Wszyscy musimy wtedy być na miejscu. Na wszelki wypadek.*

Czytając list, Clay czuł wdzięczność, za samego ducha Henry'ego zamkniętego w słowach. Chłopak rzeczywiście miał gadane, ale Clay nie mógł za nim nie tęsknić. Poza tym był pełen galanterii, ale ludzie często o tym zapominali, dostrzegając jedynie samolubność i pieniądze. Człowiekowi robiło się lepiej z Henrym u boku.

Następny był Tommy i doskonale wiedział, że on i Rory zostali poproszeni o dodanie własnego wkładu. Albo raczej zmuszeni. Tommy poszedł na pierwszy ogień.

*Cześć Clay!*

*Nie mam wiele do powiedzenia poza tym, że Achilles za Tobą tęskni. Zmusiłem Henry'ego, żeby pomagał mi przy sprawdzaniu jego kopyt – TO dopiero jest BEZUŻYTECZNE!!!!!!!!!!*

*(I ja też za Tobą tęsknię).*

Później Rory:

*Ej, Clay – wracaj do domu, na litość boską. Brakuje nam naszych serdesznych rozmów.*

*Ha!*

*Pomyślałeś, że nie wiem, jak napisać „serdeczny”, prawda?*

*Mam do Ciebie prośbę. Uściśnij staruszka ode mnie.*

*Żartuję – kopnij go w klejnoty, dobrze? Mocno.*

*Powiedz: TO OD PIEPRZONEGO RORY’EGO!*

*Wracaj do domu.*

Zabawne. Tommy napisał wszystko doskonale, ale to Rory zawsze do niego najlepiej docierał – sprawiał, że czuł rzeczy z największą powagą. Może to dlatego, że Rory był człowiekiem, który tak naprawdę nie chciał kochać nikogo ani niczego, ale kochał Claya i okazywał to na najdziwniejsze sposoby.

*Kochany Clayu!*

*Jak mam Ci powiedzieć w jednym liście, jak bardzo za Tobą tęsknię i jak to jest siedzieć w soboty na Surrounds i wyobrażać sobie, że jesteś obok. Nie kładę się. Nic nie robię. Idę i mam nadzieję, że przyjdiesz, ale Ty tego nie robisz, a ja wiem dlaczego. Pewnie tak musi być.*

*To zabawne, bo to były najlepsze tygodnie w życiu, a ja nawet nie mogę Ci o nich opowiedzieć.*

*W ostatnim tygodniu dostałam pierwszego wierzchowca. Możesz w to uwierzyć??? Było to w środę, a koń nazywał się War of the Roses – stary weteran, który tylko uzupełniał skład, a ja ani razu nie cięłam go batem, tylko do niego mówiłam, dojechał do mety zachęcany jedynie*

*rękami i piętami, i był trzeci. Trzeci!!! Cholera jasna! Moja mama po raz pierwszy od lat przyszła na wyścigi. Barwami dżokejów były czarny, biały i niebieski. Opowiem Ci wszystko, kiedy wrócisz do domu, nawet jeśli nie na długo. W przyszłym tygodniu czeka mnie kolejna gonitwa...*

*Boże, przez to wszystko nawet nie spytałam. Jak się masz? Tęsknię za Tobą na dachu.*

*Poza tym w tym tygodniu znów skończyłam Kamieniarza. Wiem, dlaczego tak bardzo go kochasz. On zrobił tak wiele wspaniałych rzeczy. Mam nadzieję, że Ty też tam zrobisz coś wspaniałego. Zrobisz. Musisz. Zrobisz.*

*Do zobaczenia wkrótce, mam nadzieję. Do zobaczenia na Surrounds.*

*Dam Ci swoje typy.*

*Obiecuję.*

*Całuję*

*Carey.*

Co wy byście zrobili?

Co wy byście powiedzieli?

Przeczytał go daleko w górze rzeki, wiele razy, i wiedział.

Po długim namyśle obliczył siedemdziesiąt sześć dni od wyjazdu, a Amahnu była jego przyszłością – ale nadszedł czas, by wrócić do domu i stawić czoło mnie.

## dom przy archer street numer 18

KIEDY MICHAEL DUNBAR poślubił Pannę Młodą ze Złamanym Nosem, wpierw przeciągnęli stare pianino z powrotem w górę Pepper Street, pod numer trzydzieści siedem. Potrzebowali pomocy sześciu gości z sąsiedztwa, a tym razem również skrzynki piwa. (A w przeciwieństwie do chłopaków z Bernborough, piwo musiało być zimne). Weszli od tyłu, gdzie nie było schodków.

– Powinniśmy zadzwonić do tamtych gości – powiedział później Michael. Opierał rękę na orzechowym drewnie, jakby on i pianino byli przyjaciółmi. – Jednak nie pomylili adresu.

Penny Dunbar tylko się uśmiechała.

Jedną rękę trzymała na instrumencie.

Drugą na nim.

Kilka lat później wyprowadzili się również z tego miejsca – kupili dom, w którym się zakochali. Był względnie blisko, w dzielnicy wyścigów, z torem i stajniami na tyłach.

Obejrzel go w sobotni ranek.

Dom przy Archer Street numer 18.

Agent czekał w środku i spytał, jak się nazywają. Najwyraźniej tego dnia nikt inny nie wyrażał zainteresowania.

W samym domu był przedpokój, była kuchnia. Trzy sypialnie, mała łazienka, długie podwórko na tyłach ze starą suszarką na pranie, i oboje natychmiast zaczęli sobie wyobrażać: widzieli dzieci, trawnik



i ogród, i wybuchy dziecięcego chaosu. Był to dla nich raj i wkrótce mieli upaść jeszcze boleśniej:

Trzymając rękę na suszarce do prania i spoglądając na chmury nad głową, Penny usłyszała dźwięk. Odwróciła się do agenta.

Powiedziała:

– Przepraszam, ale co to za hałas?

– Słucham?

Przerażała go perspektywa tej chwili, ponieważ był to najpewniej powód, dla którego stracił zainteresowanie każdej innej pary, którą oprowadzał po tej nieruchomości – wszystkie pewnie miały te same marzenia i myśli o życiu w tym miejscu. Pewnie nawet widziały te same śmiejące się dzieci kłócące się o niesprawiedliwą zagrywkę w piłkę albo ciągnące lalki po trawie i ziemi.

– Nie słyszy pan? – upierała się.

Agent poprawił krawat.

– A, to?

Poprzedniego wieczora, kiedy przeglądali plan miasta Gregory's, widzieli pole za domem, podpisane jedynie jako The Surrounds. Teraz Penny była pewna, że słyszała dobiegający z tyłu odgłos kopyt i rozpoznała towarzyszącą mu woń – zwierząt, siana i koni.

Agent próbował zapędzić ich z powrotem do środka.

Nie udało mu się.

Penny przywabił tętent, który słyszała przy płocie.

– Hej, Michael? – powiedziała. – Mógłbyś mnie podnieść?

Przeszedł przez podwórko w jej stronę.

Jego ramiona i jej cienkie jak zapałki uda.

Po drugiej stronie Penny zobaczyła stajnie, zobaczyła tor.

Za płotem ciągnęła się wąska dróżka, która skręcała przy domu, jedynym sąsiadem była pani Chilman. Później trawa i budynki o pochyłych dachach, i obowiązkowy biały parkan, który z tej odległości wyglądał jak zrobiony z wykałaczek.

Po tej dróżce stajenni prowadzili konie, z toru do stajni, a większość z nich jej nie widziała. Paru skinęło jej głową. Minutę albo dwie później stary stajenny prowadził właśnie ostatniego konia, a kiedy ten opuścił łeb, odepchnął go szorstko. Tuż zanim zobaczył Penny, łagodnie trącił zwierzę w chrapy.

– Dalej – powiedział – wynocha.

Penny oczywiście tylko się uśmiechała.

– Halo? – Odchrząknęła. – Halo?

Koń zobaczył ją od razu, ale stajenny był nieświadomy.

– Co? Kto tam?

– Na górze.

– Jezu, kochanieńka, dostałbym przez ciebie cholernego zawału! – Był krępy i kędzierzawy, z wilgotną twarzą i oczami, a koń ciągnął go w jej stronę. Zwierzę miało pasmo bieli od uszu do nosa, ale poza tym było mahoniowe. Stajenny zobaczył, że nie da się go powstrzymać. – Dobra, zaczyna się. Dalej, kochanieńka.

– Naprawdę?

– Tak, pogłaszcz go, to i tak największy mięczak w okolicy.

Zanim Penny to zrobiła, upewniła się, że Michael nie ma nic przeciwko, a jeśli mam być szczery, była lekka, ale niepozbawiona ciężaru, a jego ramiona zaczynały już drżeć. Położyła dłoń na końskim łbie, na wielkiej plamie bieli, i nie mogła powstrzymać radości. Spojrzała w ciekawskie oczy. Cukier? Masz cukier?

– Jak się nazywa?

– W wyścigach nazywają go City Special. – Stajenny sam poklepał konia w pierś. – A w stajniach Chciwus, ciekawe dlaczego.

– Jest szybki?

Mężczyzna prychnął.

– Musisz być tu naprawdę nowa, co? Wszystkie konie w tych stajniach są cholernie bezużyteczne.

Ale Penelopa była zauroczona. Kiedy koń podniósł łeb, dopraszając się bardziej energicznego klepania, zaśmiała się.

– Cześć, Chciwus.

– Daj mu to. – Przekazał jej kilka brudnych kostek cukru. – Nie zaszkodzi mu. To już i tak przegrana sprawa.

Poniżej Michael Dunbar myślał o swoich ramionach i jak długo jeszcze ją utrzymają.

Agent myślał SPRZEDANE.

## przemoc braci

TERAZ NADESZŁA KOLEJ CLAYA, by zostawić ojca z domem i Amahnu.

Stał nad nim przy sofie, ranek wciąż był ciemny.

Jego ręce się zagoiły, pęcherze zmieniły w blizny.

– Przez jakiś czas mnie nie będzie.

Morderca się obudził.

– Ale wrócę.

Całe szczęście Silver leżało na głównej linii kolejowej – pociągi przejeżdżały dwa razy dziennie w każdą stronę. Zdążył na ten o 8:07.

Na stacji przypomniał sobie.

To pierwsze popołudnie, kiedy przyjechał.

Słuchał.

Ziemia obok niego wciąż śpiewała.

W pociągu przez chwilę czytał, ale w żołądku poczuł już nerwy. Jak dzieciak z nakręcaną zabawką.

W końcu odłożył książkę.

Nie miało to sensu.

We wszystkim, co czytał, widział jedynie moją twarz, moje pięści i tętnicę na szyi.

Kiedy dotarł do miasta, późnym popołudniem, zatrzymał się na stacji i zadzwonił. Z budki telefonicznej w pobliżu peronu czwartego.

– Halo, tu Henry. – Clay słyszał, że był gdzieś na ulicy, pobliski odgłos ruchu. – HALO!

– Ja też tu jestem.

– CLAY? – Głos nadszedł bardziej napięty, szybszy, z uchwytu po drugiej stronie. – Jesteś w domu?

– Jeszcze nie. Dziś wieczorem.

– Kiedy? O której?

– Nie wiem. Może o siódmej. Może później.  
To dawało mu jeszcze kilka godzin.

– Hej... Clay?

Czekał.

– Powodzenia, dobrze?

– Dzięki. Do zobaczenia.

Żałował, że nie jest z powrotem wśród eukaliptusów.

Przez chwilę zastanawiał się nad pójściem pieszo, ale w końcu wsiadł do pociągu i autobusu. Na Poseidon Road wysiadł przystanek wcześniej niż zwykle, a nad miastem zapadał zmrok.

Nie było nic poza zasłoną chmur.

Jakby miedzianych, głównie ciemnych.

Szedł i zatrzymał się, wsparł się na powietrzu, jakby czekał, że go wykończy, ale ono tego nie zrobiło – i szybciej, niż się spodziewał, stał przy końcu Archer Street:

Czuł ulgę, że w końcu to zrobił.

Był przerażony, że tam jest.

W każdym budynku świeciły się światła, ludzie byli w domach.

Jakby wyczuwając nadchodzący spektakl, znikąd pojawiły się gołębie i usadowiły na liniach energetycznych. Siedziały na antenach telewizyjnych i, Boże uchron, na drzewach. Była też jedna wrona, pierzasta i tłusta, jak gołąb przebrany w trencz.

Ale nikogo nie oszukała.

Nasze frontowe podwórko – jedno z nielicznych pozbawionych płotu czy furtki, jedynie z trawnikiem – było bezlistne, świeżo skoszone.

Weranda, dach, migotanie jednego z moich filmów.

Co dziwne, samochodu Henry’ego nie było na miejscu, ale Clay nie mógł sobie pozwolić na rozproszenie. Szedł powoli i powiedział:

– Matthew.

Z początku jedynie je powiedział, jakby próbował zachować swobodę i spokój.

Matthew.

Jedynie moje imię.

I tyle.

Później, kilka kroków dalej, poczuł poduszkę z trawy, i teraz na środku, zwrócony twarzą do drzwi, spodziewał się, że wyjdę – ale tego nie zrobiłem. Musiał krzyknąć albo stać i czekać, a on wybrał, tak się składa, to pierwsze. Głos Claya tak bardzo nie był jego, gdy krzyknął „MATTHEW!” i odłożył torbę wypełnioną książkami – jego lekturami.

Po chwili usłyszał ruch, Eos szczeękła.

Pojawiłem się jako pierwszy.

Stałem na werandzie ubrany niemal dokładnie tak samo jak Clay, tyle tylko, że moja koszulka była ciemnoniebieska, nie biała. Takie same spłowiełe džinsy. Takie same buty sportowe na cienkiej podeszwie. Oglądałem *Rain Mana*, dotarłem do trzech czwartych.

Clay – tak cholernie dobrze było go zobaczyć... ale nie.

Ramiona mi opadły, ale tylko odrobinę. Nie mogłem pokazać, jak bardzo nie chciałem. Musiałem robić wrażenie chętnego i pewnego.

– Clay.

Był to głos tamtego dawno utraconego poranka.

Zabójca w jego kieszeni.

Nawet kiedy wyszli Rory i Tommy, trzymałem ich na dystans, niemal łagodnie. Kiedy się sprzeciwiali, uniosłem rękę.

– Nie.

Zostali, a Rory powiedział coś, czego Clay nie mógł usłyszeć.

– Posuniesz się za daleko, a wtedy wchodzę ja, jasne?

Czy to wszystko zostało wyszeptane?

A może wypowiedziane normalnie, a Clay nie usłyszał z powodu szumu w uszach?

Zamknąłem na chwilę oczy, przeszedłem w prawo i po schodach – i nie wiem, jak to jest z innymi braćmi, ale my nie krążyliśmy wokół siebie. To nie był Clay i Morderca, jak bokserzy – to byłem ja, podszedłem do niego, prawie biegnąc, i wkrótce uderzył o ziemię.

Och, walczył, zgadza się, walczył ze wszystkich sił, szukał, szarpał się i upadał – bo w tym nie było żadnej gramatyki, żadnego piękna. Mógł trenować i cierpieć, ile tylko chciał, ale to nie był trening na sposób Claya, a życie na MÓJ sposób i trafiłem go już pierwszym ciosem. Żadnych słów poza tymi w moim wnętrzu.

Zabił nas.

Zabił nas, Clay, nie pamiętasz?

Nie mieliśmy nikogo.

Opuścił nas.

Byliśmy martwi...

Ale teraz te myśli nie były wcale myślami, były chmurami spadających ciosów, a każdy trafił w cel.

Nie pamiętasz?

Nie rozumiesz?

A Clay.

Uśmiechnięty.

Kiedy patrzę na nas teraz, po tym, jak później wszystko mi opowiedział, widzę, jak myśli.

Nie wiesz wszystkiego, Matthew.

Nie wiesz.

Powinienem ci powiedzieć...

O suszarce na pranie.

I klamerkach...

Ale nie mógł nic powiedzieć i nie pamiętał nawet, jak upadł po raz pierwszy, poza tym, że upadł tak ciężko, że pozostawił ranę, bliznę na trawie – a świat był niespójny. Uderzyło go, że pada, ale tak naprawdę to była krew. Krew, ból, wstawanie i upadanie, aż Rory zawołał, że już dosyć.

A ja – unosząca się pierś wzywająca powietrze.

A Clay na trawie, zwinięty i odwracający się w stronę nieba. Jak wiele nieb było? To, na którym się skupiał, pękało, a wraz z nim przyszyły ptaki. Gołębie. I jedna wrona. Wpadły całym stadem w jego płuca. Ten papierowy odgłos trzepoczących skrzydeł, jednocześnie szybkich i wspaniałych.

Następną osobą, którą zobaczył, była dziewczyna.

Nic nie powiedziała. Ani do mnie, ani do Claya.

Jedynie kucnęła i wzięła go za rękę.

Nie mogła raczej powiedzieć „witaj z powrotem”, a tak naprawdę – co wstrząsające – to Clay spróbował się odezwać.

Stałem kilka metrów dalej, po lewej.

Moje ręce były drżące i zakrwawione.

Oddychałem, próbowałem nie.

Moje ramiona były zalane potem.

Rory i Tommy zatrzymali się w pewnej odległości, a Clay spojrzął na dziewczynę. Zielone oczy. Powiedział i powoli się uśmiechnął:

– War of the Roses?



Widział, jak przechodzi od skrajnego zmartwienia do uśmiechu, długiego i pełnego nadziei, jak konie wychodzące na prostą.

– Z nim wszystko w porządku?

– Tak myślę.

– Dajcie mi minutę i zabierzemy go do środka.

Niezbyt dobrze słyszał tę wymianę zdań, ale wiedział, że to ja i Carey, a wkrótce inni byli blisko. Eos polizała go po twarzy.

– Eos! – powiedziałem. – Wynocha!

Nadal ani śladu Henry’ego.

W końcu pojawił się Rory.

W pewnym momencie musiał wkroczyć.

Kazał wszystkim zejść sobie z drogi, dźwignął Claya i zaniósł go. Clay wisiał w jego ramionach jak łuk.

– Ej, Matthew – zawołał Rory – tylko popatrz. To dzięki ćwiczeniom ze skrzynkami na listy! – Później do Claya, w stronę jego twarzy i krwi: – Jak ci się podoba taka serdeczna rozmowa? – W końcu, po chwili namysłu, najradośniejsze: – Hej, kopnąłeś go w klejnoty, jak prosiłem?

– Dwa razy. Pierwszy nie był dość mocny.

A Rory się roześmiał, tam na schodkach, co zabolalo chłopca, którego trzymał.

Jak obiecałem i planowałem, zabiłem go.

Ale Clay jak zawsze dotrzymał słowa – po prostu nie był martwy.

Dobrze było znów być chłopakiem Dunbarów.

mp, wąż i luna

KUPILI DOM, oczywiście że tak, i rzeczy zaczęły się dziać.

Co do zatrudnienia, Michael nadal pracował w budowlance i miał wiecznie zapylone ręce, a Penny sprzątała i uczyła się angielskiego, aż nadszedł właściwy czas. Zaczęła się zastanawiać nad innym zawodem i czuła się rozdarta między dwoma różnymi rodzajami nauczania – pierwszym mogła być jedynie muzyka. A poza tym angielski jako język obcy.

Może przez wspomnienie:

Wewnętrzny pas kołowania.

Upał od podłogi do sufitu.

– Paszport?

– *Przepraszam?*

– Jezu...

Wybrała angielski.

Złożyła dokumenty na uczelni, postanowiła wciąż sprzątać wieczorami – firma księgową, kancelaria prawnika – aż przyszedł list, że została przyjęta. Michael znalazł ją przy kuchennym stole. Stał, niedaleko od miejsca, gdzie po wielu latach był obserwowany i przesłuchiwany przez muła.

– I jak?

Usiadł obok niej.

Patrzył na pieczęcie i nagłówek.

Niektórzy świętują szampanem albo wieczornym wyjściem do jakiegoś miłego lokalu, ale w tym przypadku Penelopa siedziała.

Oparła głowę o bok Michaela i znów przeczytała list.

I tak oto płynął czas.

Posadzili różne rzeczy w ogrodzie.

Połowa przetrwała. Połowa uschła.

Oglądali upadek Muru w listopadzie 1989.

Przez szpary w tylnym płocie często widzieli konie i uwielbiali inne dziwactwa dzielnic wyścigów – jak mężczyzna albo kobieta wychodzący na drogę popołudniem, ze znakiem zatrzymującym ruch. Z tyłu stajenny prowadził konia na drugą stronę ulicy, pewnie na wyścig 10-1 następnego dnia, na Hennessey.

Jednak ostatnią i najważniejszą cechą charakterystyczną tego miejsca, nawet w tamtych czasach, była liczba zapomnianych pól, trzeba tylko było wiedzieć, gdzie szukać. W niektórych przypadkach, jak wszyscy wiemy, takie miejsca mogą mieć wielkie znaczenie – a jedno było w pobliżu linii kolejowej. Oczywiście, później będzie Surrounds i umierająca bieżnia w Bernborough – ale to też było kluczowe.

Błagam was więc, byście zapamiętali.

W tym wszystkim najważniejszy był muł.

Trzy lata po rozpoczęciu studiów przez Penny, w domu przy Archer Street 18 zadzwonił telefon. Doktor Weinrauch.

Adelle.

Zmarła przy kuchennym stole, najpewniej późno w nocy, tuż po napisaniu listu do przyjaciółki.

– Wygląda na to, że skończyła pisać, zdjęła okulary i położyła głowę obok remingtona – powiedział, i było to smutne i bolesne, ale piękne.

Ostatnie, zabójcze połączenie.

Mocno uderzona finalna kropka.

Oczywiście, od razu pojechali do Featherton, a Michael wiedział, że ma szczęście, w porównaniu z Penelopą. Tu przynajmniej mogli stać w kościele i pocić się obok trumny. Mógł odwrócić się do starego, emerytowanego lekarza i patrzeć na jego krawat, który wisiał jak wskazówka zepsutego zegara.

– Przykro mi, synu.

– Przykro mi, panie doktorze.

Później siedzieli w starym domu, przy stole, z jej okularami w niebieskich oprawkach i maszyną do pisania. Przez chwilę zastanawiał się nad wkręceniem nowej kartki i wystukaniem kilku linijek. Nie zrobił tego jednak, tylko na nią patrzył, a Penelopa przyniosła herbatę, wypili ją, przeszli się po miasteczku i skończyli na tyłach, przy banksji.

Kiedy spytała, czy zabierze maszynę do pisania do domu, stwierdził, że już była w domu.

– Jesteś pewien?

– Jestem pewien. – Zrozumiał. – Właściwie chyba wiem, co zrobić.

Nieważne z jakiego powodu wydawało mu się to właściwe, więc poszedł do szopy. Znalazł tę samą starą łopatę i wykopał kolejny dół, na lewo od psa i węża.

W domu siedział jeszcze przez chwilę z remingtonem.

Znalazł trzy arkusze plastikowej folii, mocnej i gładkiej, i owinął ją. Plastik był tak przezroczysty, że widać było klawisze, najpierw Q i W, a później środkową sekcję F, G, H i J. Wziął ją i na starym zapomnianym podwórku starego zapomnianego miasteczka umieścił ją i zakopał w ziemi.

MP, wąż i Luna.

Takich rzeczy nie umieszcza się w ogłoszeniach nieruchomości na sprzedaż.

W domu życie musiało płynąć dalej, i tak było, Michael przesiadywał z nią wieczorami, kiedy pisała prace domowe, i sprawdzał je. Kiedy przyszedł czas praktyk, wysłano ją do Hyperno. Najgorszej szkoły średniej w mieście.

Pierwszego dnia wróciła do domu pokonana.

– Zjedli mnie żywcem.

Drugiego było gorzej.

– Dziś mnie wypluli.

Były chwile, kiedy krzyczała na nich, całkowicie tracąc panowanie – nad nimi i nad sobą – a dzieciaki ruszały do ataku. Kiedy raz prawie wybuchła, wrzasnęła „CISZA!” i mruknęła „gówniarze”, klasa wybuchła śmiechem. Wesolość, szyderstwo nastolatków.

Jednak jak wszyscy wiemy, Penny Dunbar mogła być drobna i wiecznie krucha, ale była też mistrzynią przetrwania. Spędzała przerwy na lunch z całym klasami – królowa kar i nudy. Bombardowała ich zorganizowaną ciszą.

Jak się okazało, była pierwszą kandydatką od lat, która przetrwała całe praktyki studenckie, i zaproponowali jej pracę na pełen etat.

Skończyła ze sprzątnięciem.

Jej koleżanki zabrały ją na drinka.

Michael siedział z nią następnego dnia przy sedesie. Głaskał ją po plecach i mówił uspokajająco:

– Czy to są zdobycze wolności?

Zwymiotowała, załkała, ale zaczęła się śmiać.

Na początku następnego roku, kiedy Michael pewnego popołudnia odbierał ją z pracy, otaczało ją trzech wielkich chłopaków, z ich potem, fryzurami i barkami. Prawie wysiadł, ale wtedy to zobaczył – trzymała egzemplarz Homera. Czytała na głos i musiał to być jeden z tych okrutnych fragmentów, bo chłopcy robili miny i piali z zachwytem.

Miała sukienkę w kolorze mięty.

Kiedy uświadomiła sobie, że Michael przyjechał, zatrzasnęła książkę, a chłopcy zrobili jej przejście.

– Do widzenia pani, do widzenia pani, do widzenia pani – powiedzieli, a ona wsiadła do samochodu.

Ale nie chcę przez to powiedzieć, że było łatwo – nie było.

Kiedy wychodził rano do pracy, czasami słyszał, jak przekonuje samą siebie, w łazience – trudno jej było stawić czoło kolejnemu dniu.

– Który to dzieciak tym razem? – pytał.

Jej zadaniem stała się praca z najtrudniejszymi przypadkami, jeden na jednego. Czasami zajmowało to godzinę, czasami kilka miesięcy, ale zawsze przełamywała ich opór. Niektórzy nawet ją chronili. Jeśli inne dzieciaki robiły zamieszanie, trafiały do łazienki, gdzie były popychane między umywalkami. Nie zadzierajcie z Penny Dunbar.

Określenie „angielski jako język obcy” było ironiczne z wielu powodów, bo dla sporej części jej uczniów angielski był językiem ojczystym, ale nie umieli przeczytać akapitu – i to zawsze oni byli najbardziej wściekli.

Siadała z nimi przy oknie.

Przyniosła z domu metronom.

Dzieciak patrzył z niedowierzaniem.

– Co to, kurwa, jest?

Na co Penny odpowiadała beznamiętnie:

– Czytaj w rytmie.

Ale później musiało do tego dojść.

Po czterech latach pracy w szkole pewnego wieczora wróciła do domu z testem ciążowym, i tym razem wyszli świętować, choć musieli poczekać tydzień do soboty.

A następnego dnia znów poszli do pracy.

Michael wylewał beton.

Powiedział kilku swoim przyjaciołom – przerwali pracę i uścisnęli mu rękę.

Penelopa była w Hyperno, z wojowniczym, ale ślicznym chłopcem.

Czytała z nim przy oknie.

Metronom tykał.

W sobotę zjedli obiad w tym fikuśnym lokalu w budynku opery, stali na szczycie, na schodach. Wielki stary most wisiał na swoim miejscu, a promy wpływały do portu. Wczesnym popołudniem, kiedy wyszli, do nabrzeża przybił statek. Na esplanadzie kłębiły się tłumy, pełno aparatów fotograficznych i tłumy ludzi. W budynku i szkłe byli ONI – Michael i Penny Dunbar – a na samym dole schodów opery pojawiło się pięciu chłopców, i tam stało... a oni wkrótce zeszli nam na spotkanie.

I wróciliśmy razem – przez tłumy i słowa ludzi, i miasto opuchnięte od słońca.

A z nami szła śmierć.

część piąta

miasta + wody + zbrodniarze + łuki

+

OPOWIEŚCI



## wielkie wejście

OCZYWIŚCIE, Henry musiał mieć tego wieczora wejście wśród pięści, piór i braci.

Kiedy myślę o tym teraz, postrzegam to jako ostatnią fazę okresu naszego wspólnego dojrzewania. Clay był z nas pierwszy, gdy po raz ostatni wyszedł spod trybuny Bernborough Park, a tej nocy nadszedł czas dla Henry'ego i dla nas. W ciągu następnych kilku dni od czasu do czasu jeszcze próbowaliśmy się trzymać – ostatni ukłon w stronę resztek młodości i głupoty.

Już nigdy więcej nie mieliśmy tego widzieć ani tym być.

Niedługo później. Telewizor grał.

Po długiej kłótni *Rain Mana* zastąpił film, który dostałem kiedyś od Rory'ego na Gwiazdkę. *Wieczór kawalerski*. Rory stwierdził, że jeśli ma oglądać bzdury z lat osiemdziesiątych, to równie dobrze może to być dobry towar. Zdaniem Henry'ego w filmie grał Tom Hanks w swoim najlepszym okresie, zanim zaczął dostawać główniane role, zdobywać Złote Globy i takie tam – sprawdził to.

Siedzieliśmy całą czwórką.

Ja trzymałem dłonie w lodzie.

Rory i Tommy się śmiali.

Hektor leżał rozciągnięty jak stalowo-pasiasty koc i mruczał na kolanach Tommy'ego.

Clay siedział na kanapie i oglądał w ciszy; w ciszy krwawił.

Właśnie doszliśmy do ulubionego momentu Rory'ego – kiedy były chłopak głównej bohaterki wpada nagi przez szyberdach – kiedy w końcu przybył Henry.

Najpierw odgłos kroków.

Później upuszczonych kluczy.

I wejścia.

A później zakrwawiona, wyszczerzona twarz, w świetle padającym przez drzwi do salonu.

– Co takiego? – krzyknął. – Wy skurczybyki, jaja sobie robicie? Oglądacie *Wieczór kawalerski* beze mnie?

Z początku żaden z nas nie spojrzał.

To znaczy Clay tak, ale się nie poruszył.

Reszta z nas była zbyt zajęta chaosem na ekranie.

Dopiero kiedy scena się skończyła, Rory zobaczył, w jakim Henry jest stanie, i wtedy rozległy się wszystkie przekleństwa, oszołomiona cisza i bluźnierstwa. Dokończyłem porządny, długim:

– Je-ezu CHRYSSTE...

Henry, całkowicie niewzruszony, padł na kanapę i spojrzał na Claya.

– Przepraszam, że się spóźniłem, dzieciaku.

– W porządku.

Taki był plan Henry'ego – wrócić do domu w takim stanie, tuż przed powrotem Claya, żeby odwrócić moją uwagę. Cały problem polegał na tym, że dwaj chłopcy z 200 metrów wymagali o wiele dłuższego przekonywania, niż się spodziewał – i musieli o wiele więcej wypić – i oczywiście zostawił samochód i przyszedł z Bernborough Park pieszo. W tym czasie był już tak pijany i pobity, że prawie się czołgał, i naprawdę, z perspektywy czasu, to jedna z najgłupszych najwspanialszych chwil Henry'ego. Zaplanował to wszystko i przyjął to wszystko, a wszystko ze względu na Claya.

Przyglądał mu się z pewnym zadowoleniem.

– Ale dobrze cię widzieć. Dobrze być w domu? Widzę, że Matthew rozwinął czerwony dywan, ten wielki umięśniony fiut.

– Nic się nie stało, zasłużyłem. – Clay odwrócił się do niego wstrząśnięty jego okaleczeniami. Szczególnie trudno patrzyło się na jego wargi, a kości policzkowe były poobcierane i zwęglone. – Ale nie jestem pewien co do ciebie.

– Och – odezwał się radośnie Henry. – Zrobiłem to, stary, zrobiłem.

– I co? – To byłem ja, stojący pośrodku salonu. – Zamierzasz nam powiedzieć, co się, u diabła, dzieje?

– Matthew – westchnął Henry – PRZESZKADZASZ w oglądaniu filmu – ale wiedział. Jeśli zatrudnił Schwartza i Gołego (i dziewczynę Gołego, jak się okazało), żeby go sprali, oto miałem szansę, by to zakończyć. – Widzicie, panowie – wyszczerzył się, a jego zęby przypominały bardziej kość u rzeźnika, całe zakrwawione – jeśli kiedykolwiek będziecie chcieli tak wyglądać, potrzebujecie tylko jednego harcerzyka z żelaznymi pięściami, jednego łobuza, któremu śmierdzi z ust i, na koniec, dziewczyny łobuza, która wali mocniej niż pozostali dwaj razem wzięci...

Próbował mówić dalej, ale nie zaszedł daleko, bo w ciągu następnych kilku minut salon się zakołysał, a numery z *Wieczoru kawalerskiego* robiły się coraz śmieszniejsze. W końcu padł do przodu, obok mnie, i zrzucił telewizor na podłogę.

– Cholera! – wrzasnął Rory. – On niszczy jeden z najlepszych filmów WSZECH CZASÓW...

Ale był tam, dość blisko, by go złapać, choć nie mógł ocalić gier planszowych. Ani klatki dla ptaków, która spadła jak wrzaskliwy aplauz całego stadionu.

Wkrótce wszyscy kucaliśmy obok niego, na dywanie, krwi i kociej sierści. I psiej sierści. I, Jezu – czy to była sierść MUŁA?

Henry był nieprzytomny.

Kiedy odzyskał świadomość, na początku poznał Tommy'ego.

– Młody Tommy, tak? Zbieracz zwierząt... i Rory, ludzka kula u nogi, i, ach, ty jesteś Matthew, tak? Pan Niezawodny. – Wreszcie, z sympatią: – Clayton. Uśmiechnięty. Nie było cię całe lata, LATA, mówię ci!

Dotarło.

Film wciąż migał na telewizorze, który leżał bokiem na ziemi, klatka dla ptaków była przechylona i pozbawiona drzwiczek – a dalej po lewej, w pobliżu okna, pośród całego chaosu akwarium wywróciło się do góry dnem. Zauważyliśmy to dopiero, kiedy woda sięgnęła nam do stóp.

Henry przechylił głowę i oglądał film, ale my przyglądaliśmy się T., gołębiowi, który wyszedł z klatki na podłogę, ominął złotą rybkę i skierował się w stronę drzwi. Najwyraźniej ptak wiedział – nie było to miejsce, w którym należało przebywać w ciągu najbliższych paru godzin. A poza tym się wnerwił. Dreptał i podskakiwał, machając skrzydłami, dreptał i podskakiwał, machając skrzydłami. Brakowało mu jedynie walizeczki. Raz nawet obejrzał się za siebie.

„Dobra, to KONIEC. – Naprawdę wydawał się to mówić, gdy tak się gotował, szary i fioletowy. – Wynoszę się stąd... życzę powodzenia”.

Co się tyczy złotej rybki, Agamemnona, rzucała się, opadała, łapała powietrze zamiast płynu, skoczyła przez dywan. Gdzieś tam musiało być więcej wody i niech ją diabli, jeśli jej nie znajdzie.

## dorastanie na sposób dunbarów

OTO BYLI, w bardzo dalekiej przyszłości.

Zrzędliwy ptak.

Akrobatyczna rybka.

Dwaj zakrwawieni chłopcy.

A popatrzcie tu na Claya, jego historię.

Co możemy o nim powiedzieć?

Jak zaczęło się jego życie, jako chłopca i syna, i Dunbara?

Było to całkiem proste, naprawdę, ale wewnątrz kryło się wiele.

Kiedyś, w odmętach przeszłości Dunbarów, było pięciu braci, ale czwarty z nas był najlepszym z nas, chłopcem o wielu cechach.

A tak w ogóle, jak Clay stał się Clayem?

Na początku byliśmy my wszyscy – każdy stanowił część opowiadającą całość – a ojciec pomagał przy porodach i pierwszy trzymał nas na rękach. Jak lubiła to wspominać Penelopa, stał tam, boleśnie świadom, i płakał przy łóżku, rozpromieniony. Nigdy nawet się nie wzdrygnął na widok płynów i fragmentów, które wydawały się wypalone, gdy sala zaczynała wirować. Dla Penelopy to znaczyło wiele.

Po wszystkim poddawała się zawrotom głowy.

Bicie serca pulsowało jej na wargach.

To zabawne, jak lubili nam opowiadać, że kiedy się rodziliśmy, każdy z nas miał coś, co kochali:

Jeśli o mnie chodzi, to były stopy. Pomarszczone stópkę noworodka.

U Rory'ego spłaszczony nos, kiedy się pojawił na świecie, i odgłosy, które wydawał we śnie – coś jakby walka o tytuł mistrza świata, ale przynajmniej wiedzieli, że żył.

Henry miał uszy jak papier.

Tommy wiecznie kichał.

I oczywiście Clay, między nami:

Chłopiec, który urodził się z uśmiechem.

Zgodnie z rodzinną legendą, kiedy Penny rodziła Claya, zostawili Henry'ego, Rory'ego i mnie z panią Chilman. W drodze do szpitala prawie zjechali na pobocze, Clay rodził się szybko. Jak później mówiła mu Penny: świat bardzo chciał go dostać, ale ona nie spytała dlaczego.

Żeby skrzywdzić, upokorzyć?

Albo kochać i uczynić wielkim?

Nawet teraz trudno to ocenić.

Był ranek, letni i parny, a kiedy dotarli na oddział położniczy, Penny krzyczała, idąc, a jego główka zaczynała się już pokazywać. Został raczej wyrwany niż urodzony, jakby powietrze go wypchnęło.

Na porodówce było mnóstwo krwi.

Zachlapała podłogę jak ślad morderstwa.

Jeśli chodzi o chłopca, leżał w dusznej atmosferze i dziwnie cicho się uśmiechał – jego zakrwawiona twarz była absolutnie milcząca. Kiedy do środka weszła niczego się niespodziewająca pielęgniarka, stanęła z otwartymi ustami i zakłęła. Zatrzymała się i powiedziała:

– Jezu Chryste.

Odpowiedziała jej nasza matka, cała oszołomiona.

– Mam nadzieję, że nie – powiedziała, a ojciec wciąż uśmiechał się szeroko. – Wszyscy wiemy, co zrobiliśmy JEMU.

Jako chłopiec, jak mówiłem, był najlepszy z nas.

W szczególności dla rodziców był wyjątkowy, jestem tego pewien, bo rzadko się kłócił, rzadko płakał i kochał wszystko, o czym opowiadali i co mu mówili.

Każdego wieczora, gdy my znajdowaliśmy wymówki, Clay pomagał zmywać naczynia, w zamian za jeszcze jedną opowieść. Prosił Penny:

– Możesz mi znów opowiedzieć o Wiedniu i tych wszystkich pryczach? Albo co z TYM? – Twarz miał w talerzach, na kciukach mydliny. – Możesz mi opowiedzieć o pomniku Stalina? A tak w ogóle, kto to był Stalin?

Michaela prosił:

– Tato, możesz mi opowiedzieć o Lunie i wężu?

Zawsze był w kuchni, kiedy reszta z nas oglądała telewizję albo była się w salonie czy w holu.

Oczywiście, jak to bywa, nasi rodzice byli również redaktorami:

Opowieści mówiły o prawie wszystkim.

Penny nie mówiła mu jeszcze, ile czasu spędzili na podłodze w garażu, bijąc się, zadając ciosy i spalając, by wyegzorcyzmować przeszłe życia. Michael nie mówił o Abbey Hanley, która została Abbey Dunbar, a później Abbey Ktoś-Inny. Nie opowiedział mu o zakopaniu starej MP albo o *Kamieniarzu* czy o tym, jak kiedyś kochał malować. Nie wspomniał jeszcze o złamanym sercu i o tym, jak szczęśliwe może być złamane serce.

Nie, na razie „większość prawdy” wystarczała.

Wystarczyło, by Michael powiedział, że pewnego dnia stał na werandzie i poznał stojącą przed nim kobietę z pianinem.

– Gdyby nie to – wyjaśniał poważnie – nie miałbym ciebie ani twoich braci...

– Ani Penelopy.

Michael uśmiechał się i mówił:

– Święta prawda.

Żadne z nich nie wiedziało, że Clay kiedyś usłyszy całość opowieści, niedługo przed tym, jak będzie za późno.

Jej uśmiech był wymuszony.

Jej twarz w rozsypce.

Jak możecie sobie wyobrazić, jego pierwsze wspomnienia były niewyraźne, wspomnienia dwóch szczególnych rzeczy:

Naszych rodziców, jego braci.

Naszych kształtów, naszych głosów.

Pamiętał dłonie matki, kiedy przepływały po klawiszach. Miały magiczne wyczucie kierunku – uderzały w M, uderzały w E i każdą inną część PROSZĘ WYJDŹ ZA MNIE.

Dla chłopca jej włosy były słoneczne.

Jej ciało było ciepłe i szczupłe.

Przypominał sobie siebie jako czterolatka, przerażonego tym wyprostowanym brązowym czymś. Choć każdy z nas miał z nim swoje układy, Clay postrzegał je jako coś, co nie należało do niego.

Kiedy grała, kładł tam głowę.

Chude jak patyki uda należały do niego.

Co się tyczy Michaela Dunbara, naszego ojca, Clay przypominał sobie dźwięk jego samochodu – uruchomionego silnika w zimowe poranki. Powrót w półmroku. Pachniał wysiłkiem, długimi dniami pracy i cegłami.

Z tego, co zapamiętano jako Dni Jedzenia Bez Koszulki (wkrótce dowiecie się więcej), pamiętał widok jego mięśni, bo oprócz pracy na budowie ojciec czasami – tak to określał – „udawał się do sali tortur”, co oznaczało pompki i brzuszki w garażu. Czasem sztanga, ale niezbyt obciążona. Chodziło o liczbę uniesień nad głowę.



Czasami szliśmy z nim:

Mężczyzna i pięciu chłopców robiących pompki.

Nasza piątka odpadała.

I owszem – przez te wszystkie lata dorastania w tym miejscu ojciec prezentował sobą niezapomniany widok. Średniego wzrostu, nie ważył zbyt dużo, ale był sprawny i napięty – szczupły. Jego ramiona nie wyglądały na wielkie ani potężne, ale atletyczne i wypełnione sensem. Widziało się każdy ruch, każde drgnięcie.

I wszystkie te cholerne brzuszki.

Nasz tato miał betonowy brzuch.

W tamtych czasach również, przypominam sobie, nasi rodzice byli kimś innym.

Jasne, czasem się sprzeczali, kłócili.

Z rzadka na przedmieściu rozlegał się grzmot, ale przeważnie byli tymi ludźmi, którzy się odnaleźli, byli złoci, jasno oświetleni i zabawni. Często wydawali się w znowiu, jak recydywiści, którzy nie chcą wolności – kochali nas, LUBILI nas, i to była niezła sztuczka. W końcu weźcie pięciu chłopców, umieście ich w jednym małym domu i zobaczcie, jak to wygląda i brzmi – owsianka chaosu i walki.

Pamiętam rzeczy jak posiłki i że czasami robiło się tego zbyt wiele – upuszczone widelce, wycelowane noże i wszystkie te żujące usta chłopców. Kłótnie, sprzedawanie sobie kuksańców, jedzenie lądowało na podłodze, jedzenie lądowało na naszych ubraniach i „Jak te płatki znalazły się TAM, na ścianie?” aż nadszedł wieczór, kiedy Rory postawił kropkę nad i – wylał sobie na koszulkę pół talerza zupy.

Matka nie spanikowała.

Wstała, posprzątała, a on miał zjeść resztę bez koszulki – i wtedy ojciec wpadł na pomysł. Wszyscy wciąż jeszcze świętowaliśmy, kiedy powiedział:

– Wy też.

Henry i ja prawie się zakrztusiliśmy.

– Przepraszam?

– Nie słyszeliście mnie?

– O CHOLERA – powiedział Henry.

– Mam wam kazać zdjąć też spodnie?

Przez całe lato tak jedliśmy, z koszulkami na stercie przy tosterze. Ale żeby sprawiedliwości stało się zadość, trzeba przyznać Michaelowi Dunbarowi, że od drugiego razu zdejmował koszulkę razem z nami. Tommy, który wciąż był na tym pięknym etapie, kiedy dzieciaki mówią bez żadnych zahamowań, krzyknął:

– Hej! Hej, tato! A co ty tu robisz z gołymi sutkami?

Reszta z nas zawyla ze śmiechu, szczególnie Penny Dunbar, ale Michael stawił czoło wyzwaniu. Lekkie drzenie jednego z tricepsów.

– A co z waszą mamą, chłopaki? Czy ONA też nie powinna siedzieć bez koszulki?

Nigdy nie potrzebowała odsieczy, ale Clay często był gotów ją chronić.

– Nie – stwierdził, ale i tak to zrobiła:

Jej stanik był stary i podniszczony.

Wyblakły, przypięty do piersi.

I tak jadła z uśmiechem.

– Tylko nie poparzcie sobie torsów – powiedziała.

Wiedzieliśmy, co kupić jej na Gwiazdkę.

W tym sensie zawsze była w nas pewna masywność.

Pękanie w szwach.

Cokolwiek robiliśmy, było tego więcej:

Więcej prania, więcej sprzątania, więcej naczyń, więcej kłótni, więcej bijatyk, rzucania, walenia, pierdzenia i „Hej, Rory, lepiej idź do

toalety!” i oczywiście o wiele więcej zaprzeczania. „To nie ja” powinno zostać wydrukowane na koszulkach nas wszystkich, bo powtarzaliśmy to dziesiątki razy każdego dnia.

Nieważne, jak dobrze panowali nad sytuacją, od chaosu dzieliło nas uderzenie serca. Byliśmy chudzi i bez ustanku zwinni, ale na coś zawsze brakowało miejsca – więc wszystko robiliśmy jednocześnie.

Jednym, co pamiętam wyraźnie, było jak obcinali nam włosy – fryzjer kosztowałby za dużo. Postrzyżyny odbywały się w kuchni – linia montażowa i dwa krzesła – i siadaliśmy, najpierw Rory i ja, później Henry i Clay. Kiedy przychodziła kolej Tommy’ego, to Michael go strzygł, żeby dać Penny trochę odpoczynku, a później ona wracała do pracy i strzygła jego.

– Nie ruszaj się! – mówił ojciec do Tommy’ego.

– Nie ruszaj się – mówiła Penny do Michaela.

Nasze włosy leżały stertami w kuchni.

Czasami, i to wspomnienie przychodzi mi tak radośnie, że aż boli, pamiętam, jak wsiadaliśmy wszyscy razem do jednego samochodu, cała stłoczona gromada. Z tak wielu różnych powodów nie przestaje mnie to zachwycać – że Penny i Michael, którzy absolutnie przestrzegali prawa, robili czasem coś takiego. To jedna z tych doskonałych rzeczy, naprawdę, samochód, w którym siedzi zbyt wielu ludzi. Kiedykolwiek widzi się gromadkę wciśniętą w taki sposób – wypadek, który tylko czeka, żeby się wydarzyć – zawsze krzyczą i się śmieją.

W naszym przypadku z przodu, przez szczeliny, widzieliśmy, jak trzymają się za ręce.

Krucha, grająca na pianinie dłoni Penelopy.

Spracowana, zapyłona dłoni ojca.

A wokół nich młyn chłopców, zmieszanych ramion i nóg.

W popielniczce były landrynki, zwykle anticole, a czasem tic taki. W tym samochodzie przednia szyba nigdy nie była czysta, ale powietrze zawsze świeże – za sprawą chłopców ssących cukierki przeciwkaszlowe albo festiwalu mięty.

Jednak najcieplejszymi wspomnieniami taty, jakie miał Clay, były wieczory, tuż przed snem, kiedy Michael nie chciał mu uwierzyć. Kuczał i mówił do niego cicho:

– Chcesz do ubikacji, dzieciaku?

Clay potrząsał głową. Mimo iż chłopiec odmawiał, zostawał zaprowadzony do niewielkiej łazienki z popękkanymi kafelkami, i następnie lał jak koń wyścigowy.

– Hej, Penny! – wołał Michael Dunbar. – Mamy tu cholernego Phar Lapa!

I znów mył ręce i krocze chłopca, nie mówiąc ani słowa – a Clay wiedział, co to znaczy. Każdego wieczora, przez bardzo długi czas, był niesiony na barana do łóżka:

– Możesz mi znów opowiedzieć o starej Lunie, tato?

Później my, jego bracia – byliśmy sińcami, biciem, w domu przy Archer Street nr 18. Jak to robi starsze rodzeństwo, rabowaliśmy wszystko, co należało do niego. Podnosiliśmy go za koszulkę, pośrodku pleców, i przenosiliśmy. Kiedy trzy lata później na świecie pojawił się Tommy, robiliśmy z nim to samo. Przez całe dzieciństwo Tommy’ego wywieszaliśmy go za telewizorem albo porzucaliśmy za domem. Jeśli płakał, był ciągnięty do łazienki, gdzie czekały już klapsy – Rory wyciągał ręce.

– Chłopcy? – rozlegał się okrzyk. – Chłopcy, widzieliście Tommy’ego? Henry szeptał, przy długich jasnych włosach w umywalce.

– Ani słowa, fiutku.

Kiwanie głową. Szybkie kiwanie głową.  
To było życie.

W wieku pięciu lat, jak my wszyscy, Clay zaczął się uczyć gry na pianinie.

Nienawidziliśmy tego, ale robiliśmy.

Klawisze WYJDŹ ZA MNIE i Penny.

Kiedy byliśmy mali, mówiła do nas w swoim starym języku, ale tylko kiedy kładliśmy się spać. Od czasu do czasu przerywała i coś wyjaśniała, ale w miarę upływu czasu język nas opuszczał. Muzyka z kolei nie podlegała negocjacom, a my osiągnęliśmy różne wyniki.

Ja byłem prawie zadowolający.

Rory był wręcz makabryczny.

Henry mógłby być błyskotliwy, gdyby tylko mu się chciało.

Clay łapał wszystko dość powoli, ale kiedy już mu się udało, nigdy nie zapominał.

Później Tommy uczył się przez zaledwie kilka lat, kiedy Penny zachorowała i może wtedy już zwątpiła, głównie, jak sądzę, przez Rory'ego.

– Dobrze! – Siedziała obok niego i przekrzykiwała grad zmaltretowanej muzyki. – Czas minął!

– Co? – Bezczęścił te oświadczyń, które wówczas już blakły, i to szybko, ale nigdy nie wyblakły do końca. – O co chodzi?

– Powiedziałam, że czas minął!

Często zastanawiała się, co by Waldek Lesciuszko pomyślał o nim, albo, co ważniejsze, o niej. Gdzie była jej cierpliwość? Gdzie była gałązka świerku? Albo w tym miejscu – kuflika czy eukaliptusa? Wiedziała, że jest różnica między pięcioma chłopięcymi chłopcami a pilną jedynaczką, ale wciąż pozostawało rozczarowanie, kiedy patrzyła, jak odchodzi kołyszącym się krokiem.

Dla Claya siedzenie w kącie salonu było obowiązkiem, ale gotów był go znieść – starał się przynajmniej starać. Kiedy skończył, szedł za nią do kuchni i zadawał swoje pytanie z dwóch słów:

– Hej, mammo?

Penny zatrzymywała się przy zlewie. Podawała mu kraciastą ściereczkę kuchenną.

– Myślę – mówiła – że dziś opowiem ci o domach i jak myślałam, że są z papieru...

– I o karaluchach?

Nie umiała się powstrzymać.

– Takie wielkie!

Ale czasem myślę, że się zastanawiali, nasi rodzice, dlaczego zdecydowali się na takie życie. Zwykle wybuchali z powodu drobiazgów, gdy rosły bałagan i frustracja.

Pamiętam, jak kiedyś latem padało przez całe dwa tygodnie i wróciliśmy do domu panierowani błotem. Penny straciła panowanie nad sobą i sięgnęła po drewnianą łyżkę. Waliła nas po rękach, po nogach – wszędzie, gdzie mogła (a brud jak krzyżowy ogień, jak szrapnele) – aż w końcu połamała dwie z tych łyżek i rzuciła butem w głąb korytarza. Koziółkując, jakimś sposobem nabrał impetu i wysokości, i trafił Henry'ego z łupnięciem w twarz. Poszła mu krew z ust i połknął obluzowany ząb, a Penny usiadła obok łazienki. Kiedy paru z nas podeszło ją pocieszyć, poderwała się i powiedziała:

– Idźcie do DIABŁA!

Zajrzała do Henry'ego dopiero po kilku godzinach, a on wciąż decydował. Czy czuł się winny, czy wściekły? W końcu tracenie zębów było korzystne finansowo.

– Nawet nie dostanę pieniędzy od Wróżki Zębuszki – powiedział i pokazał jej szczelinę.

- Wróżka Zębuszka – odpowiedziała – będzie wiedzieć.
- Myślisz, że za połknięcie dostaje się więcej?
- Nie, jeśli jest się oblepionym błotem.

Dla mnie najbardziej pamiętne kłótnie rodziców często łączyły się z Hyperno. Niekończące się sprawdzanie prac. Agresywni rodzice. Albo obrażenia po przerywaniu bójek.

– Jezu, dlaczego nie pozwolisz, żeby pozabijali się nawzajem? – powiedział raz tato. – Jak możesz być taka... – A Penny zaczynała się gotować.

– Taka... JAKA?

– Nie wiem... naiwna i, po prostu, głupia... skoro myślisz, że cokolwiek zmienisz. – Był zmęczony i obolały, po pracy na budowie i znoszeniu nas wszystkich. Machnął ręką, wskazując dom. – Spędzasz cały wolny czas na sprawdzaniu prac i próbach pomocy, a popatrz tylko tutaj... popatrz na ten dom.

Miał rację – wszędzie leżały klocki Lego, rozrzucone ubrania i kurz. Nasza toaleta przypominała te publiczne, w czasach jej zdobyczy wolności – żaden z nas nie był świadom istnienia szczotki.

– I co? Mam zostać w domu i sprzątać?

– No nie, nie to miałem...

– Powinam może pójść po przeklęty odkurzacz?

– Cholera, nie to miałem na myśli.

– TO CO MIAŁEŚ NA MYŚLI? – ryknęła. – CO?

Taki dźwięk sprawiał, że chłopiec podnosił głowę, gdy złość przechodziła we wściekłość. Tym razem mówią poważnie.

Ale wciąż jeszcze się nie skończyło.

– MASZ BYĆ PO MOJEJ STRONIE, MICHAELU!

– Jestem! – powiedział. – ...jestem.

I przyciszony głos, jeszcze gorszy.

– To może byś zaczął to okazywać?

Później cisza po burzy.

Jak powiedziałem jednak, takie chwile były incydentalne, a oni wkrótce spotykali się znów przy pianinie:

Symbolu naszych chłopięcych cierpień.

Ale ich wyspie spokoju pośród burzy.

Raz stanął obok niej, kiedy uspokajała się, grając Mozarta. Później położył dłonie na instrumencie, w promieniach słońca na klapie przy oknie.

– Napisałbym „przepraszam”, ale zapomniałem, gdzie jest farba...

A Penelopa natychmiast przerwała. Ślad uśmiechu na to wspomnienie.

– A poza tym naprawdę nie ma miejsca.

I grała dalej, na zapisanych klawiszach.

Tak, grała dalej, ta jednoosobowa orkiestra, a choć chaos czasami się przelewał, było też to, co nazywaliśmy NORMALNYMI kłótniami – normalnymi sprzeczkami – głównie między nami, chłopcami.

Skoro o tym mowa, kiedy Clay miał sześć lat, zaczął grać w piłkę, zarówno w drużynie, jak i taką, w którą graliśmy w domu, od frontu, z tyłu, wokół budynku. W swoim czasie ojciec, Tommy i Rory stawali przeciwko Henry’emu, Clayowi i mnie. W ostatniej akcji można było kopnąć piłkę ponad dachem, ale tylko jeśli Penny nie czytała na leżaku albo nie oceniała tej sterty prac.

– Hej, Rory – mówił Henry – biegnij na mnie, żebym mógł cię zmiążyć.

A Rory to robił i albo przebiegał prosto po nim, albo leciał do tyłu na ziemię. Za każdym razem, bez wyjątku, trzeba ich było rozdzielać i...

– Dobra.



Ojciec patrzył na nich, to na jednego, to na drugiego.

Henry jasnowłosa i zakrwawiony.

Rory koloru cyklonu.

– Dobra co?

– WIECIE, co. – Dyszał chrapliwie i ciężko, z zadrapaniami na ramionach. – Uściśnijcie sobie ręce. Już.

Ściskali sobie ręce i mówili, że im przykro, a później:

– Tak, przykro mi, że musiałem uścisnąć ci rękę, fujaro!

I znów się zaczynało, ale tym razem zostawali zaciągnięci na tyły, gdzie Penelopa siedziała w otoczeniu prac.

– A co wyście TYM razem nawyprawiali? – spytała, w sukience i bosa na słońcu. – Rory?

– Aha?

Posłała mu spojrzenie.

– To znaczy, TAK?

– Weź mój leżak. – Zaczęła wchodzić do środka. – Henry?

– Wiem, wiem.

Już na czworakach segregował leżące kartki.

Posłała Michaelowi długie spojrzenie i koleżeńskie mrugnięcie.

– Przeklęci cholerni chłopcy.

Nic dziwnego, że lubię przeklinać.

I co jeszcze?

Co jeszcze tam było, gdy skaczemy po latach jak po kamieniach?

Czy wspominałem, jak czasami wszyscy siadaliśmy na płocie na tyłach i patrzyliśmy na ćwiczenia na torze? Czy mówiłem, jak przyglądaliśmy się, kiedy wszystko pakowali, pozostawiając kolejne zapomniane pole?

Czy wspominałem o wojnie w Połącz Cztery, kiedy Clay ma siedem lat?

Albo rozgrywce w Trouble, która trwała cztery godziny, może więcej?

Czy wspomniałem, że po długim czasie wygrali Penny i Tommy, tato i Clay byli drudzy, ja trzeci, a Henry i Rory (którzy zostali zmuszeni, by grać razem) ostatni? Czy wspomniałem, że obaj oskarżali się nawzajem o problemy z uderzaniem w bańkę?

Jeśli chodzi o Połącz Cztery, powiem jedynie, że jeszcze po wielu miesiącach znajdowaliśmy elementy.

– Hej, patrzcie! – wołaliśmy z przedpokoju albo kuchni. – Jeden jest nawet tutaj!

– Idź i podnieś go, Rory.

– TY go podnieś.

– JA go nie podniosę... to jeden z twoich.

I tak dalej. I tak dalej.

I tak dalej.

Clay pamiętał lato i Tommy'ego pytającego, kim jest różanopalca Eos, kiedy Penny czytała *Iliadę*. Siedzieliśmy do późna w salonie, głowa Tommy'ego spoczywała na jej kolanach, stopy na moich nogach, a Clay leżał na podłodze.

Penny pochyliła się i pogłaskała Tommy'ego po głowie.

Powiedziałem mu:

– To nie człowiek, głuptasie, tylko niebo.

– Co to znaczy?

Tym razem odezwał się Clay, a Penelopa wyjaśniła.

– Wiesz, jak o świcie i zachodzie słońca niebo robi się pomarańczowe i żółte, a czasami czerwone?

Pokiwał ze swojego miejsca pod oknem.

– Cóż, kiedy jest czerwone, jest Eos różanopalcą, o to chodziło. Wspaniałe, nie sądzisz?

Wtedy Clay się uśmiechnął i Penny też.

Tommy znów się skupiał.

– Czy Hektor to też słowo na niebo?

Miałem dość, wstałem.

– Czy naprawdę musiało być nas pięciu?

Penny Dunbar jedynie się roześmiała.

Następnej zimy znów była drużyna piłkarska, zwycięstwa, treningi i przegrane. Clay szczególnie lubił tę grę, ale grał w nią, bo reszta z nas to robiła, a młodsze rodzeństwo pewnie przez jakiś czas to właśnie robi – naśladuje starszych. W tej kwestii powinienem dodać, że choć odróżniał się od nas, potrafił stać się dokładnie taki sam. Czasami, w połowie domowej rozgrywki, kiedy jakiś gracz został ukradkiem uderzony ręką albo łokciem, Henry i Rory od razu zaczynali – „To nie ja!” i „Bzdury!” – ale ja widziałem, że to Clay. Już wtedy miał brutalne łokcie i atakował nimi na różne sposoby: trudno je było dostrzec.

Parę razy się przyznał.

Mówił:

– Hej, Rory, to byłem ja.

Nie wiesz, do czego jestem zdolny.

Ale Rory tego nie przyjmował, z Henrym walczyło się łatwiej.

Z tego właśnie powodu było właściwe, że Henry w owym czasie okrył się niesławą na polu sportu i rozrywki – został odesłany na ławkę za popchnięcie arbitra. A później zbojkotowany przez kolegów z drużyny za jeden z największych piłkarskich grzechów – w czasie przerwy kierownik spytał ich:

– Hej, gdzie są pomarańcze?

– Jakie pomarańcze?

– Nie udawaj takiego bystrzaka, wiesz, ćwiartki.

I wtedy ktoś zauważył.

– Popatrzcie, tam leży wielka sterta skórek! To był Henry, cholerny Henry!

Chłopcy, mężczyźni i kobiety, wszyscy piorunowali go wzrokiem.

Wielkie podmiejskie rozczarowanie.

– Czy to prawda?

Zaprzeczanie nie miało sensu, jego dłonie mówiły wszystko.

– Zrobiłem się głodny.

Boisko było sześć czy siedem kilometrów od nas, przyjechaliśmy pociągiem, a Henry musiał wrócić do domu pieszo, i my razem z nim. Kiedy jeden z nas zrobił coś takiego, wszyscy cierpieliśmy, i szliśmy Princes Highway.

– A tak w ogóle, dlaczego popchnąłeś arbitra?

– Ciągłe nadeptywał mi na nogę, a miał stalowe korki.

Teraz Rory:

– W takim razie dlaczego musiałeś zjeść wszystkie pomarańcze?

– Bo wiedziałem, że ty też będziesz musiał iść pieszo do domu, fujaro.

Michael:

– Ej!

– Tak... przepraszam.

Ale tym razem przeprosiny nie zostały wycofane i myślę, że wszyscy byliśmy szczęśliwi tego dnia, choć wkrótce wszystko zaczęło się rozpadać. Nawet Henry wymiotujący do rynsztoka. Penny klęczała obok niego, towarzyszył jej głos naszego ojca.

– Pewnie to rzeczywiście są zdobycze wolności.

A skąd mogliśmy wiedzieć?

Byliśmy tylko bandą Dunbarów, nieświadomą wszystkiego, co miało nadejść.

peter pan

- CLAY? NIE ŚPISZ?

Z początku Henry nie usłyszał odpowiedzi, ale wiedział, że Clay nie śpi. On prawie wcale nie spał. Zaskoczyło go jednak, że zapaliła się lampka do czytania, a Clay miał coś do powiedzenia.

– Jak się czujesz?

Henry się uśmiechnął.

– Piecze mnie. A ty?

– Śmierdę szpitalem.

– Stara dobra pani Chilman. To bolało, te rzeczy, które nakładała, prawda?

Clay obmacał gorący pas z boku twarzy.

– Lepsze to od denaturatu albo listeryny w rękach Matthew.

Wcześniej wydarzyło się kilka rzeczy:

Salon został posprzątny.

Przekonaliśmy ptaka i rybkę do pozostania.

W kuchni zabrzmiała opowieść o wyczynach Henry'ego, a do domu zajrzała sąsiadka, pani Chilman. Przyszła połatać Claya, ale Henry potrzebował tego bardziej.

Najpierw jednak wróćmy do kuchni, gdzie, zanim wydarzyła się cała reszta, Henry musiał się wytłumaczyć, i tym razem bardziej o wszystkim wspominał niż opowiadał. Mówił o Schwartzu i Gołym, i dziewczynie, i był teraz o wiele mniej rozbawiony, ja zresztą też.

Szczerze mówiąc, chciałem rzucić czajnikiem albo walnąć go w głowę tosterem.

– Że CO zrobiłeś? – Nie mogłem uwierzyć w to, co usłyszałem. – Myślałem, że jesteś jednym z bystrzejszych w tym towarzystwie... czegoś takiego spodziewałbym się po Rorym.

– Hej!

– Aha – zgodził się Henry – okaż odrobinę szacunku.

– Na twoim miejscu nie zaczynałbym w tej chwili takiej gadki. – Miałem też oko na patelnię, wylegującą się na kuchence. Nie byłoby trudno dać jej coś do roboty. – Co, do diabła, się wydarzyło? Pobili cię czy przejechali ciężarówką?

Henry dotknął rozcięcia, prawie z czułością.

– Dobra, posłuchaj... Schwartz i Goły to dobrzy goście. Poprosiłem ich, napiliśmy się, a później – złapał oddech – żaden z nich nie chciał tego zrobić, więc tak jakby zastartowałem do dziewczyny. – Spojrzał na Claya i Rory'ego. – No wiecie, tej z ustami.

Masz na myśli ramiączko stanika, pomyślał Clay.

– Masz na myśli cycki – stwierdził Rory.

– Ta sama. – Henry z zadowoleniem pokiwał głową.

– I? – spytałem. – Co zrobiłeś?

Znowu Rory:

– Ta laska ma cycki jak bułeczki.

Henry:

– Tak myślisz? Bułeczki? Nigdy czegoś takiego nie słyszałem.

– Czy wy dwaj moglibyście już z tym skończyć, do cholery?

Henry zupełnie mnie zignorował.

– Lepsze niż pizza – powiedział. Na litość boską, to była prywatna rozmowa między nim a Rorym. – Albo pączki.

Rory roześmiał się, ale zaraz spoważniał.

– Hamburgery.

- I frytki do tego?
- I cola. – Rory zachichotał. ZACHICHOTAŁ.
- Calzone.
- Co to jest calzone?
- Je-zu CHRYSSTE!

Obaj nadal się szczerzyli, a krew spływała na brodę Henry’ego, ale przynajmniej przyciągnąłem ich uwagę.

– Nic ci nie jest, Matthew? – spytał Rory. – Do cholery, to najlepsza rozmowa, jaką prowadziłem z Henrym od lat!

- Pewnie w życiu.

Rory popatrzył na Claya.

- To była porządna serdeczna rozmowa.
- Cóż – pogroziłem palcem miejscu między nimi – przykro mi, że przeszkadzam w debacie na temat pizzy, burgerów i calzone, i w waszym braterskim porozumieniu nad parą mącznych...
- Widzisz?! Mączne! Nawet Matthew nie może im się oprzeć.
- ...ale z przyjemnością bym się dowiedział, co się tam do diabła wydarzyło.

Teraz Henry spojrzał z rozmarzeniem gdzieś w kierunku zlewu.

- I?

Zamrugął.

- I co?
- Co się WYDARZYŁO?

– A, tak... – Zebrał siły. – No, tak czy inaczej, wicie, oni nie chcieli mnie uderzyć, więc po prostu podszedłem do niej... byłem już wtedy całkiem pijany... i pomyślałem, że mógłbym nacisnąć ciało, jeśli można tak powiedzieć...

- I? – spytał Rory. – Jak było?
- Nie wiem... zawahałem się. – Poważnie się nad tym zastanowił.
- A później co?

Henry, na wpół uśmiechnięty, na wpół ponury.

– Ona widziała, że się zbliżam. – Przełknął ślinę i znów wszystko poczuł. – No i uderzyła mnie cztery razy w jaja i trzy razy w twarz.

Rozległ się szczery okrzyk:

– Jezu!

– Wiem, zrobiła to wszystko dla mnie.

Szczególnie Rory się podekscytował.

– Widzisz, Clay? Cztery razy! To dopiero poświęcenie! Nie że dwa razy w klejnoty.

Clay roześmiał się na głos.

– I wtedy – odezwał się w końcu Henry – stary Golas i Schwartz ze mną skończyli... musieli.

Poczułem konsternację.

– Dlaczego?

– Czy to nie oczywiste? – Henry mówił rzeczowo. – Martwili się, że będą następni.

Znów w sypialni, zrobiło się już grubo po północy, kiedy Henry nagle usiadł.

– Do diabła z tym – powiedział – jestem dość trzeźwy, idę po samochód.

Clay westchnął i stoczył się z łóżka.

Padający deszcz był jak duch, przez którego można przejść.

Niemal suchy, kiedy uderzał w ziemię.

Wcześniej, niedługo po zagadce głowy Henry'ego i rozmowie o dobrze wypieczonych piersiach, rozległo się drapanie do tylnych drzwi i pukanie do frontowych.

Na tyłach stali Eos i Achilles, oboje wyczekujący.

Do psa:



– Ty do środka.

Do muła:

– Ty wbij to sobie do tępego łba. Kuchnia zamknięta.

Co się tyczy frontu, pukaniu towarzyszyło wołanie:

– Matthew, to pani Chilman!

Otworzyłem niskiej, przysadzistej kobiecie z jej nieodłącznymi zmarszczkami i błyszczącymi oczami, bez śladu oskarżenia. Wiedziała aż za dobrze, że w tym domu panują zupełnie inne porządki, a kim była, by oceniać? Nawet kiedy zorientowała się, że chłopaki Dunbarów są sami, nigdy nie pytała mnie, jak żyjemy. Pani Chilman miała mądrość starej szkoły – widziała, jak chłopców w wieku mnie i Rory’ego wysyłano za ocean, by tam zginęli. Na początku czasami przynosiła nam zupę (bardzo gęstą i ostrą) i aż do śmierci dzwoniła do nas, żebyśmy pomogli jej odkręcać słoiki.

Tego wieczoru była gotowa do działania.

Odezwała się oszczędnie.

– Cześć, Matthew, jak się masz, pomyślałam, że obejrzę Claya, jest trochę poobijany, nie? A później zobaczę twoje ręce.

I wtedy znad kanapy przybył głos, a całe szczęście towarzyszył mu Henry.

– Ja pierwszy, pani Chilman!

– Jezu!

Co jest nie tak z naszym domem?

Każdy w nim bluźnił.

Samochód stał na parkingu Bernborough Park, dotarli do niego wśród wilgoci.

– Masz ochotę na parę okrążeń? – spytał Clay.

Henry potknął się na śmiechu.

– Tylko jeśli je przejedziemy.

W samochodzie jechali w milczeniu, skręcali w każdą ulicę i uliczkę, a Clay wyliczał nazwy. Empire, Carbine, Chatham Street i wjazd na Gloaming Road – przy której mieściły się Hennessey i pub Naked Arms. Przypomniawszy sobie wszystkie okazje, kiedy chodził po tych ulicach z poznaną wówczas niedawno Carey Novac.

Jechali dalej, krążąc ulicami, a Clay patrzył między nimi.

– Hej – powiedział – hej, Henry – kiedy zatrzymali się na światłach na Flight Street, ale mówił do deski rozdzielczej. – Dzięki za to, co zrobiłeś.

Trzeba to przyznać Henry’emu, zwłaszcza w takich sytuacjach – mrugnął podbitym okiem.

– Stara dobra dziewczyna Gołego, nie?

Ostatnim przystankiem po drodze do domu był skraj Peter Pan Square, gdzie zatrzymali się i patrzyli na przednią szybę i pomnik na środku. Przez zasłonę deszczu Clay niewyraźnie widział bruk i konia, na którego cześć nazwano plac. Na postumencie napisano:

PETER PAN  
BARDZO WALECZNY KOŃ  
DWUKROTNY ZWYCIĘZCA GONITWY,  
KTÓRA WSTRZYMUJE NARÓD  
1932, 1934

Mieli wrażenie, jakby obserwowali ich z łbem zwróconym w bok, ale Clay wiedział – koń domagał się uwagi albo chciał pogryźć jednego ze swoich rywali. Szczególnie Rogillę. Peter Pan nienawidził Rogilli.

Na górze dżokej Darby Munro też wyglądał, jakby obserwowali samochód, i Henry przekręcił kluczyk. Kiedy silnik zastartował, wycieraczki poruszały się mniej więcej co cztery sekundy, a koń i jeździec odsłaniaли się i znikali, odsłaniaли się i znikali, aż Henry w końcu się odezwał.

– Hej, Clay. – Potrząsnął głową i uśmiechnął się, lekko i jakby z urazą. – Powiedz mi, jaki on teraz jest.

## wojny o pianino

W PÓŹNIEJSZYCH LATACH było to zrozumiałe.

Ludzie się mylili.

Myśleli, że to śmierć Penny i odejście ojca uczyniły nas tym, czym byliśmy – i z całą pewnością sprawiły, że staliśmy się bardziej niesforni, surowi i wytrzymali, dały nam również zmysł walki – ale to nie im zawdzięczaliśmy twardość. Nie, na początku chodziło o coś więcej.

Było drewniane, pionowe.

Pianino.

Tak się złożyło, że zaczęło się ode mnie, w szóstej klasie, i teraz, kiedy piszę, czuję się winny, przepraszam. To w końcu opowieść Claya, a ja teraz piszę o sobie – ale z jakiegoś powodu wydaje się to ważne. Prowadzi nas dalej.

Aż do tego czasu w szkole miałem spokój. Klasa była w porządku, brałem udział w każdym meczu piłkarskim. Prawie z nikim się nie kłóciłem, aż ktoś przejął się na tyle, żeby zauważyć: szydzili ze mnie, bo uczyłem się grać na pianinie.

Nieważne, że byliśmy do tego zmuszeni albo że z pianinem, jako instrumentem, wiązała się długa historia buntu – Ray Charles wręcz uosabiał fajność, a Jerry Lee Lewis je rozpałił. Kiedy jako dzieciak dorastałem w dzielnicy wyścigów konnych, tylko jeden typ chłopców grał na pianinie. Nieważne, jak bardzo zmienił się świat. Nieważne, czy ktoś kapitanował szkolnej drużynie futbolowej albo ćwiczył boks –

pianino sprawiało, że pozostawało się tylko jednym, a owo jedno znaczyło oczywiście to:

Było się z całą pewnością homoseksualistą.

Wszyscy wiedzieli od lat, że się uczyliśmy, nawet jeśli bez lepszych wyników. Nic z tego tak naprawdę się jednak nie liczyło, bo w dzieciństwie różne rzeczy są ważne w różnych okresach. Można mieć spokój przez dekadę, a w wieku nastoletnim zostać zrównanym z ziemią. Można zbierać znaczki i w pierwszej klasie usłyszeć, że to INTERESUJĄCE, a cierpieć z tego powodu w dziewiątej.

Jak mówiłem, w moim wypadku padło na szóstą klasę.

Wystarczył dzieciak o parę cali niższy, ale o wiele silniejszy, który rzeczywiście trenował boks – dzieciak imieniem Jimmy Hartnell. Do jego ojca, Jimmy’ego Hartnella Sr, należała siłownia Tri-Colors Boxing Gym na Poseidon Road.

A Jimmy, cóż z niego był za dzieciak.

Zbudowany jak bardzo mały supermarket:

Nabity i drogi, jeśli weszło mu się w drogę.

Miał rudą grzywkę.

Jeśli chodzi o to, jak to się zaczęło, pamiętam chłopców i dziewczynki na korytarzu, promienie słoneczne i kurz. Pamiętam mundurki i zaczepki, i niezliczone poruszające się ciała. Światło wpadające do środka było piękne w ten odstręczający sposób – te doskonałe, długie promienie.

Jimmy Hartnell kroczył korytarzem, piegowaty, pewny siebie, w moją stronę. Biała koszulka, szare spodenki. Zadowolona mina. Doskonały obraz szkolnego łobuza – pachniał śniadaniem, a jego ramiona składały się z krwi i mięsa.

– Hej – powiedział – czy to nie ten Dunbar? Ten, który gra na pianinie? – Naparł na mnie ramieniem. – Co za pieprzony PEDZIO!

Ten dzieciak sływał z emfazy.

Trwało to kilka tygodni, może miesiąc, i za każdym razem posuwał się odrobinę dalej. Ramię zastąpił łokieć, łokieć cios pięścią w jaja (choć nie tak zabójczy jak ten starej Bułeczki), co wkrótce zmieniło się w standardowych faworytów – miażdżenie sutków w toalecie chłopców, od czasu do czasu zaciśnięcie ramienia wokół szyi, podduszanie na korytarzu.

Z dzisiejszej perspektywy, w wielu aspektach były to jedynie zdobycze dzieciństwa, przekręcone i słusznie egzekwowane. Trochę przypomina to te kłęby kurzu w słońcu, niesione przez salę.

Co nie znaczyło, że mi się podobało.

Albo co ważniejsze, że nie zareagowałem.

Jak wielu w tej sytuacji, nie stawiłem bezpośrednio czoła problemowi, a przynajmniej jeszcze nie. Nie, to by była czysta głupota, więc stawiałem opór tam, gdzie mogłem.

Mówiąc krótko, miałem pretensje do Penelopy.

Buntowałem się przeciwko pianinu.

Oczywiście, są problemy i problemy, a mój polegał na tym:

W porównaniu z Penelopą Jimmy Hartnell był przeklętym mięczakiem.

Nawet jeśli nie zdołała całkowicie nas poskromić przy pianinie, zawsze zmuszała nas do ćwiczeń. Trzymała się kurczowo skraju Europy, a przynajmniej miasta na wschodzie. W owym czasie miała już mantrę (i, na Boga, my też).

– Kiedy pójdziesz do szkoły średniej, będziesz mógł przestać, jeśli zechcesz.

Ale w tamtym czasie mi to nie pomagało.

Była połowa pierwszego semestru, co oznaczało konieczność przetrwania większości roku.

Moje próby zaczęły się żałośnie:

Chodzenie do toalety w połowie ćwiczeń.

Spóźnianie się.

Celowo nieudolne granie.

Wkrótce otwarcie rzucałem jej wyzwanie, nie grałem pewnych utworów, a później w ogóle nie grałem. Miała całą cierpliwość świata dla tych niespokojnych i nieznośnych dzieciaków z Hyperno, co jednak nie przygotowało jej na to.

Z początku próbowała ze mną rozmawiać. Mówiła:

– Co w ciebie wstąpiło? – I: – Dalej, Matthew, przecież nie jesteś TAKI.

Oczywiście, że nic jej nie powiedziałem.

Miałem siniec na środku pleców.

Przez dobry tydzień siedzieliśmy, ja po prawej, Penny po lewej, a ja patrzyłem na język muzyki: ósemki, rytm ćwierćnut. Pamiętam też wyraz twarzy taty, kiedy wrócił z sali tortur i zobaczył nas oboje w stanie wojny.

– Znowu? – pytał.

– Znowu – odpowiadała i patrzyła nie na niego, lecz przed siebie.

– Chcesz kawy?

– Nie, dzięki.

– Herbaty?

– Nie.

Siedziała z twarzą jak pomnik.

Od czasu do czasu były słowa, przez zaciśnięte zęby, i zwykle pochodziły ode mnie. Kiedy Penelopa się odzywała, mówiła spokojnie.

– Nie chcesz grać? – mówiła. – W porządku. Będziemy tu siedzieć. – Jej bezruch doprowadzał do szału. – Będziemy tu siedzieć codziennie, aż się złamiesz.

– Ale ja się nie złamię.

– Złamiesz.

Teraz spoglądam wstecz i widzę samego siebie, przy zapisanych klawiszach pianina. Rozczochrane ciemne włosy, patykowaty, błyszczące oczy – w owym czasie miały pewien odcień, były niebieskie i blade jak jego. Widzę siebie napiętego i nieszczęśliwego, kiedy znów ją zapewniam:

– Nie zrobię tego.

– Nuda – sprzeciwiła się – cię pokona... łatwiej będzie grać, niż tego nie robić.

– Tak myślisz.

– Przepraszam? – Nie usłyszała mnie. – Co powiedziałaś?

– Powiedziałem – i odwróciłem się do niej – że tak myślisz TY, kurwa.

A ona wstała.

Chciała wybuchnąć obok mnie, ale wtedy już dobrze go naśladowała i niczym się nie zdradziła, nawet jedną iskrą. Znów usiadła i patrzyła na mnie.

– W porządku – powiedziała. – W takim razie zostaniemy. Zostaniemy tutaj i będziemy czekać.

– Nienawidzę pianina – szepnąłem. – Nienawidzę pianina i nienawidzę CIEBIE.

To Michael Dunbar mnie usłyszał.

Siedział na kanapie, a teraz zmienił się w Amerykę i całym impetem wtrącił się w wojnę. Skoczył przez salon i wyciągnął mnie na tyły, i był jak Jimmy Harnell, kiedy popychał mnie obok stojaka na pranie,



przeciągnął pod klamerkami. Łapał oddech wielkimi haustami, moje ręce opierały się o płot.

– Nigdy, przenigdy, nie mów tak do swojej mamy. – I popchnął mnie raz jeszcze, mocniej.

Zrób to, pomyślałem. Uderz mnie.

Ale w pobliżu była już Penny.

Spojrzała na mnie, wpatrzyła się we mnie.

– Hej – powiedziała – hej, Matthew?

Odwróciłem się, nie mogłem się powstrzymać.

Broń, jaką jest to, co nieoczekiwane.

– Wstawaj i wracaj tutaj, zostało nam dziesięć pieprzonych minut.

W środku popełniłem błąd.

Wiedziałem, że błędem było się przyznać – ugiąć – ale zrobiłem to.

– Przepraszam – powiedziałem.

– Za co?

Patrzyła prosto przez siebie.

– No wiesz. KURWA.

Wciąż patrzyła przed siebie, nie mrugając.

– I?

– Że powiedziałem, że cię nienawidzę.

Wykonała najmniejszy z ruchów w moją stronę.

Ruch bez ruchu.

– Możesz przeklinać cały dzień i nienawidzić mnie cały dzień, jeśli tylko będziesz grał.

Ale ja nie zagrałem, ani tego wieczora, ani następnego.

Nie grałem na pianinie całymi tygodniami, później miesiącami, i gdyby tylko Jimmy Hartnell mógł to zobaczyć. Gdyby tylko widział, ile wysiłku wkładam w uwolnienie się od niego:

Niech ją diabli w tych dopasowanych dżinsach i gładkość jej stóp, i niech diabli wezmą odgłos jej oddechu. Do diabła z tymi szeptami w kuchni – z Michaelem, moim ojcem, który popierał ją całkowicie – a skoro już przy tym jesteśmy, do diabła z nim, tym pantoflarzem, i jego poparciem dla Penelopy. Jedynym, co w tamtym czasie zrobił właściwie, było danie Rory’emu i Henry’emu po uszach, kiedy oni też odmówili. To była moja wojna, nie ich, jeszcze nie. Mogli wymyślić swoje własne numery, do czego, wierzcie mi, byli zdolni.

Nie, dla mnie te miesiące ciągnęły się w nieskończoność.

Dni skróciły się z nadejściem zimy i wydłużyły z nadejściem wiosny, a Jimmy Hartnell cały czas mnie zaczepiał, nie nudził się ani nie niecierpliwił. Miażdżył mi sutki w toaletach, a jego uderzenia siniaczyły mi krocze – był dobry w ciosach poniżej pasa, zgadza się, kiedy on i Penelopa czekali. Byłem tam, by mnie popychali i złamali.

Jakże chciałem, żeby wybuchła!

Jakże chciałem, żeby uderzyła dłonią w udo albo szarpała starannie umyte włosy.

Ale nie, o nie, tym razem oddała mu sprawiedliwość, temu pomnikowi komunistycznego milczenia. Nawet zmieniła dla mnie zasady – godziny ćwiczeń zostały wydłużone. Siedziała na krześle obok mnie, a ojciec przynosił jej kawę, tosty z dżemem i herbatę. Przynosił jej ciastka i owoce, i czekoladki. Lekcje były ćwiczeniami z bólu pleców.

Pewnego razu siedzieliśmy do północy i właśnie wtedy stało się. Moi bracia leżeli w łózkach, a ona jak zawsze mnie przeczekała – Penelopa wciąż siedziała prosto, kiedy wstałem i zatoczyłem się na kanapę.

– Hej – powiedziała – szukasz. Albo pianino, albo idziesz spać.

I wtedy właśnie się odsłoniłem, osunąłem się i zrozumiałem błąd.

Podniosłem się niezadowolony, minąłem ją w drodze do przedpokoju, rozpinając koszulę, a ona zobaczyła, co znajdowało się pod nią – gdyż

tam, na prawej stronie mojej piersi były ślady i odciski palców mojej rudej szkolnej nemezis.

Szybko wyciągnęła rękę.

Jej smukłe i delikatne palce.

Zatrzymała mnie przy instrumencie.

– Co to jest? – spytała.

Jak mówiłem wam wcześniej, nasi rodzice w tamtym czasie byli z pewnością wyjątkowi.

Czy nienawidziłem ich za pianino?

Oczywiście, że tak.

Czy kochałem ich za to, co zrobili później?

Możecie postawić na to dom, samochód i własne ręce.

Ponieważ później nadchodziły chwile takie jak ta.

Pamiętam, jak siedziałem w kuchni, w ujściu rzeki światła.

Usiadłem i opowiedziałem wszystko, a oni słuchali uważnie, w milczeniu. Nawet gdy chodziło o bokerską sprawność Jimmy'ego Hartnella, z początku jedynie skupiali się na zrozumieniu.

– Pedzie – powiedziała w końcu Penelopa. – Nie wiesz, że to cholernie głupie... i niewłaściwie... – Wydawało się, że szuka czegoś więcej, największej zbrodni z nich wszystkich. – BANALNE?

Musiałem być szczery.

– NAPRAWDĘ boli miazdzenie sutków...

Spuściła wzrok na filiżankę herbaty.

– Dlaczego nam nie powiedziałaś?

Ale mój ojciec był geniuszem.

– Jest chłopcem. – Mrugnął do mnie i wszystko miało być w porządku. – Mam rację, czy mam rację?

I Penelopa zrozumiała.

Szybko upomniała samą siebie.

– Oczywiście – szepnęła – jak oni...

Chłopcy z Hyperno.

W końcu podjęli decyzję, zanim jeszcze wypła herbatę. Bolesna świadomość, że istnieje tylko jeden sposób, by mi pomóc, i nie chodziło o pójście przez nich do szkoły. Nie chodziło o szukanie ochrony.

Michael powiedział, że w porządku.

Cicha deklaracja.

Dalej powiedział, że nie ma innego wyjścia, jak tylko spuścić lanie Jimmy'emu Hartnellowi i zakończyć całą sprawę. Był to w większości monolog, a Penelopa się zgadzała. W pewnym momencie prawie się roześmiała.

Czy była dumna z niego i jego przemowy?

Czy była szczęśliwa z powodu tego, co czekało mnie?

Nie.

Z perspektywy czasu, myślę, że to raczej element życia – wyobrazić sobie stawianie czoła strasznym chwilom, co oczywiście było najłatwiejsze.

Wyobrażanie sobie to jedno.

Wykonanie wydawało się prawie niemożliwe.

Nawet kiedy Michael skończył i spytał:

– Co TY sądzisz?

Westchnęła, ale wyraźnie jej ulżyło. To nie był temat do żartów, ale zażartowała.

– Cóż, jeśli bójka z tym dzieciakiem sprawi, że znów będzie grał, pewnie nie ma innej możliwości.

Była zawstydzona, ale również pod wrażeniem, ja z kolei byłem całkowicie, absolutnie przerażony.

Moi rodzice, którzy powinni mnie chronić i wychowywać we właściwy sposób, bez najmniejszego wahania popychali mnie do nieuchronnej porażki na dziedzińcu szkoły. Tkwiłem rozdarty między miłością i nienawiścią do nich, ale teraz widzę, że to był trening.

W końcu Penelopa miała umrzeć.

Michael miał odejść.

A ja, rzecz jasna, miałem zostać.

Zanim jednak to wszystko mogło się wydarzyć, on miał mnie uczyć i trenować do walki z Hartnellem.

To zapowiadało się wspaniale.

## ciepłe ramiona claudii kirkby

NASTĘPNEGO RANKA i Henry, i Clay obudzili się opuchnięci.

Jeden z nich miał iść do szkoły, cały poobijany, cichy i posiniaczony, a jeden pracować ze mną, cały poobijany, cichy i posiniaczony. Rozpocząć oczekiwanie na sobotę.

Tym razem jednak było inaczej:

Oczekiwanie na jej gonitwę.

Tego inaugurującego dnia wiele miało się wydarzyć, głównie z powodu Claudii Kirkby. Ale najpierw Clay spotkał się z Achillesem.

Pracowałem blisko domu, więc mogliśmy wyjść nieco później, a Clay wyszedł na podwórko. Słoneczny blask zalewał zwierzęta, ale uderzał Claya w twarz. Wkrótce miał złagodzić ból.

Najpierw głaskał Eos, aż zaczęła krążyć po trawie.

Muś uśmiechał się pod stojakiem na pranie.

Obserwował go i powiedział „Wróciłeś”.

Clay pogłaskał go po grzywie.

Wróciłem... ale nie na długo.

Pochylił się i sprawdził nogi muła, a wtedy zawołał do niego Henry.

– Kopyta w porządku?

– W porządku.

– On mówi! Powinienem zabrać się do kiosku!

Clay powiedział mu nawet więcej, podniósł wzrok znad prawego przedniego kopyta.

– Hej, Henry, jeden do sześciu.

Henry tylko się wyszczerzył.

– Możesz się założyć.

Jeśli chodzi o Claudię Kirkby, w porze obiadowej Clay i ja siedzieliśmy w domu wśród właśnie dostarczonej podłogi. Kiedy wstałem, żeby umyć ręce, zadzwonił mój telefon i poprosiłem Claya, żeby odebrał. To była nauczycielka, która pełniła również funkcję pedagoga. Zaskoczyło ją, że Clay jest w domu, ale powiedział jej, że tylko na trochę. A jeśli chodzi o to, dlaczego zadzwoniła, widziała Henry'ego, tak powiedziała, i zastanawiała się, czy wszystko w porządku.

– W domu? – spytał Clay.

– No... tak.

Clay spojrzał na mnie i lekko się uśmiechnął.

– Nie, nikt nie poturbował Henry'ego w domu. Żaden z nas nie zrobiłby niczego takiego.

Musiałem podejść do niego.

– Daj mi ten cholerny telefon.

Zrobił to.

– Pani Kirkby?... W porządku, Claudio, nie, nic się nie stało, miał mały problem na osiedlu. Wiesz, jacy głupi potrafią być chłopcy.

– Ależ tak.

Rozmawialiśmy przez kilka minut, jej głos był spokojny – cichy, lecz pewny – a ja wyobrażałem sobie ją przez telefon. Czy włożyła ciemną spódnice i kremową bluzkę? I dlaczego wyobrażałem sobie jej łydki? Kiedy miałem się rozłączyć, Clay kazał mi poczekać, żeby powiedzieć jej, że przywiózł z powrotem książki, które mu pożyczyła.

– Chce nowe?

Usłyszał ją i po namyśle pokiwał głową.

– Która podobała mu się najbardziej?

Powiedział:

– *Bitwa o Wschodnią Piętnastą Ulicę.*

– Dobra jest.

– Lubilem starego szachistę. – Odrobinę głośniej. – Billy’ego Wintergreena.

– Och, jest TAKI dobry – powiedziała Claudia Kirkby, a ja stałem między nimi.

– Czy wy dwoje moglibyście już dać sobie spokój? – spytałem (trochę podobnie jak Henry’ego i Rory’ego, tego wieczora, gdy Clay wrócił do domu), a ona uśmiechnęła się na drugim końcu.

– Przyjdź jutro po książki – powiedziała. – Będę tam jeszcze przez jakiś czas po pracy.

W piątki personel zostawał na drinka.

Kiedy się rozłączyłem, uśmiechał się dziwnie.

– Przestań się tak głupio szczerzyć.

– Co?

– Nie zadawaj pytań, tylko łap za ten cholerny drugi koniec.

Zanieśliśmy deski na piętro.

Następnego popołudnia zostałem w samochodzie, kiedy Clay wszedł na dziedziniec szkoły.

– Nie idziesz?

Stała na skraju parkingu.

Pomachała uniesioną ręką, wysoko w blask, i wymienili się książkami. Powiedziała:

– Boże, a co się stało TOBIE?

– Nic mi nie jest, pani Kirkby, tak musiało być.

– Wy, Dunbarowie, za każdym razem mnie zaskakujecie. – Teraz zauważyła samochód. – Cześć, Matthew!



Niech to diabli, musiałem wyjść. Tym razem zwróciłem uwagę na tytuły.

*Żniwiarz.*

*Huśtawka.*

(Obie tego samego autora.)

*Chłopaczek i wódz.*

Jeśli chodzi o Claudię Kirkby, uścisnęła mi rękę, a jej ramiona wydawały się ciepłe, gdy wieczór zalewał drzewa. Spytała, co u nas i czy dobrze mieć Claya z powrotem, a ja powiedziałem, że oczywiście, ale nie zamierzał zostać na długo.

Tuż przed naszym odjazdem posłała Clayowi długie spojrzenie.

Pomyślała, zdecydowała i wyciągnęła rękę.

– Daj mi jedną z tych książek.

Na kawałku papieru zapisała swój numer telefonu i wiadomość, a później włożyła je do *Chłopaczka i wodza*.

*W nagłych wypadkach*

*(na przykład gdyby zabrakło Ci książek)*

*ck*

I rzeczywiście miała na sobie ten kostium, jak miałem nadzieję, i przebarwienie na środku policzka.

Jej włosy były brązowe, długie do ramion.

Umarłem, kiedy odjechałem.

W sobotę nadeszła ta chwila i całą piątką udaliśmy się do Royal Hennessey, ponieważ rozeszły się wieści – McAndrew miał bombową nową uczennicę, a była to dziewczyna z Archer Street numer 11.

Tor miał dwie trybuny:

Dla członków i dla motłochu.

W części dla członków była klasa, a przynajmniej udawana klasa, i zwietrzały szampan. Mężczyźni w garniturach i kobiety

w kapeluszach, a niektóre z nich nawet nie były kapeluszami. Tommy aż się zatrzymał i spytał: a tak w ogóle, czym BYŁY te dziwaczne rzeczy?

Razem poszliśmy do motłochu – publicznych trybun z obłazącą farbą – z ich hazardzistami i uśmiechniętymi widzami, zwycięzcami i przegranymi, a większość z nich była gruba i pozbawiona gustu. Było piwo i chmury, i pięciodolarówki, i kęsy mięsa, i kłęby dymu.

Między nimi rzecz jasna był padok, po którym powoli krążyły konie prowadzone przez stajennych. Dżokeje stali z trenerami. Trenerzy stali z właścicielami. Barwy i kasztan. Siodła i czerń. Strzemiona. Polecenia. Dużo kiwania głowami.

W pewnym momencie Clay dostrzegł ojca Carey (zwanego przez jakiś czas Torowym Tomem), który był wysoki jak na byłego dżokeja, jak mu kiedyś powiedziała Carey. Włożył garnitur i opierał się o płot, zaciskając na nim swoje niesławne dłonie.

Po około minucie pojawiła się też jego żona, w bladozielonej sukience i z rudoblond włosami, które opadały swobodnie, ale zostały starannie przycięte: onieśmielająca Catherine Novac. Bawiła się pasującą torebką, niespokojna, częściowo zła i cicha. W pewnym momencie włożyła torebkę do ust, co przypominało trochę odgryzanie kęsa kanapki. Widać było, że nie cierpiała dni wyścigów.

Weszliśmy na górę i usiedliśmy na tyłach trybuny, na połamanych krzesełkach z plamami od wody. Niebo było ciemne, ale nie padało. Zebraliśmy pieniądze, Rory je postawił, i oglądaliśmy ją na padoku. Stała ze starym McAndrew, który z początku nic nie mówił, jedynie patrzył. Był chudy jak patyk, a jego ręce i nogi przypominały

wskazówki zegara. Kiedy się odwrócił, Clay napotkał jego spojrzenie, jego oczy były błyszczące i czyste, niebieskoszare.

Przypomniawszy sobie coś, co powiedział kiedyś McAndrew, nie tylko w obecności Claya, ale wręcz prosto w twarz. Coś o czasie, pracy i odcinaniu martwego drewna. Jakimś sposobem zaczęło mu się to podobać.

Oczywiście Clay się uśmiechnął, kiedy ją zobaczył.

McAndrew przywołał ją bliżej.

Kiedy wydawał jej polecenia, składały się z siedmiu-ośmiu krótkich sylab, ani mniej, ani więcej.

Carey Novac kiwała głową.

Jednym ruchem podeszła do konia i wspięła się na siodło.

Wyjechała kłusem przez bramkę.

## hartnell

W PRZESZŁOŚCI nie mogliśmy wiedzieć.

Nachodzący świat nadchodził.

Podczas gdy ja podjąłem się stawienia czoła Jimmy'emu Hartnellowi, nasza matka miała wkrótce zacząć umierać.

W przypadku Penelopy początek był niewinny.

Ustaliliśmy, że wyglądał tak:

Ja miałem dwanaście lat i trenowałem, Rory miał dziesięć, Henry dziewięć, Clay osiem, a Tommy pięć, a czas naszej matki zaczynał się kończyć.

Był niedzielny poranek pod koniec września.

Michaela Dunbara obudził odgłos telewizora. Clay oglądał kreskówkę *Rocky Reuben – kosmiczny pies*. Było piętnaście po szóstej.

– Clay?

Nic. Jego oczy były równie wielkie co ekran.

Tym razem szepnął ostrzej:

– CLAY! – I chłopiec spojrział w jego stronę. – Mógłbyś trochę ściszyć?

– Och... przepraszam. Jasne.

Nim zdążył to zrobić, Michael obudził się jeszcze bardziej, więc poszedł tam i usiadł z nim, a kiedy Clay poprosił o historyjkę, opowiedział o Lunie i wężu, i Featherton, i nawet nie pomyślał o pominięciu fragmentów. Clay zawsze zauważał, że coś przegapił, a poprawianie trwałoby jeszcze dłużej.

Kiedy skończył, siedzieli i oglądali, Michael objął ręką ramiona Claya. Chłopiec patrzył na jasnego psa, Michael przysnął, ale wkrótce się obudził.

– Proszę, to już koniec. – Wskazał na telewizor. – Wystrzeliwują go z powrotem na Marsa.

Między nimi rozległ się cichy głos.

– Neptuna, idioto.

Clay i Michael Dunbar uśmiechnęli się i odwrócili do kobiety za nimi, w korytarzu. Miała na sobie najstarszą piżamę. Powiedziała:

– Nic nie pamiętasz?

Tego szczególnego ranka mleko okazało się zepsute, więc Penny zrobiła naleśniki, a kiedy reszta z nas przyszła, kłóciliśmy się, rozlewaliśmy sok pomarańczowy i obwinialiśmy się nawzajem. Penny posprzątała i zawołała:

– Znów rozlaliście cholerny sok pomarańczowy!

A my się śmialiśmy i żaden z nas nie wiedział:

No tak, upuściła jajko między paluchy nóg Rory'ego.

No tak, straciła panowanie nad talerzem.

Co to mogło znaczyć, jeśli cokolwiek?

Ale z perspektywy czasu znaczyło bardzo wiele.

Tego ranka ona zaczęła nas opuszczać, a do domu wprowadzała się śmierć.

Siedziała tam, na karniszu.

Kołysała się w słonecznym blasku.

Później stała oparta, blisko lecz swobodnie, z ręką na lodówce. Jeśli pilnowała piwa, robiła to cholernie dobrze.

Po drugiej stronie, w obliczu zbliżającej się walki z Hartnellem, było tak, jak myślałem, było wspaniale. W okresie poprzedzającym tę

pozornie zwyczajną niedzielę, kupiliśmy dwie pary rękawic bokserskich.

Zadawaliśmy ciosy, krążyliśmy.

Lawirowaliśmy.

W tamtym czasie żyłem w tych wielkich czerwonych rękawicach, jak w chatkach przywiązanych do moich nadgarstków.

– On mnie zabije – powiedziałem, ale mój tato by na to nie pozwolił.

W tamtym czasie był naprawdę tylko moim tatą i może to wszystko, co mogę powiedzieć, to najlepsze, co mogę wam powiedzieć.

W chwilach takich jak ta zatrzymywał się.

Kładł mi na karku rękę w rękawicy bokserskiej.

– Cóż. – Zastanowił się i odezwał się do mnie cicho: – W takim razie musisz zacząć w taki sposób. Musisz się zdecydować. – Gdy dotykał tyłu mojej głowy, zachęta przychodziła mu tak łatwo. Wszystko było bardzo łagodne, bardzo słodkie. Mnóstwo miłości obok mnie. – Może zabijać cię, ile chce... ale ty nie umrzesz.

Był dobry w przed początkach.

Stan Penny się rozwijał i stawał się dla nas niejasno dostrzegalny. Kobieta, którą znaleźliśmy przez całe nasze krótkie życie – która rzadko miała katar – czasami wyglądała słabo. Ale równie szybko odpędzała to od siebie.

Miała chwile wyraźnych zawrotów głowy.

A czasem odległy kaszel.

Było zmęczenie przed południem, ale pracowała tak dużo i ciężko – i sądziliśmy, że to wyjaśnia wszystko. Któż z nas mógł powiedzieć, że to nie wina Hyperno – bliskości zarazków i dzieciaków. Zawsze siedziała do późna, sprawdzając prace.

Potrzebowała jedynie odpoczynku.

W tym samym czasie – możecie sobie wyobrazić, jak wspaniale trenowaliśmy.

Walczyliśmy na podwórku, walczyliśmy na werandzie.

Walczyliśmy pod stojakiem na pranie, czasami w domu – wszędzie, gdzie mogliśmy – i z początku był jedynie tato i ja, ale później każdy dostawał szansę. Nawet Tommy. Nawet Penelopa. Jej jasne włosy zaczynały siwieć.

– Uważaj na nią – powiedział pewnego dnia tato – jej lewy sierpowy jest przerażający.

Jeśli chodzi o Henry’ego i Rory’ego, nigdy nie dogadywali się tak dobrze jak wtedy, kiedy krążyli, walczyli i zadawali ciosy, zderzając się ramionami i przedramionami. Rory raz nawet przeprosił, i to z własnej woli – cud – kiedy uderzył go o tę odrobinę za nisko.

Tymczasem w szkole znosiłem wszystko najlepiej, jak umiałem – a w domu ćwiczyliśmy obronę („Ręce wysoko, uważaj, jak stawiasz stopy”) i atak („Ćwicz ten prosty cały dzień”), aż nadeszła chwila „teraz albo nigdy”.

W nocy poprzedzającej dzień, kiedy miałem w końcu stawić czoło Jimmy’emu Hartnellowi, tato przyszedł do mojego pokoju, który dzieliłem z Clayem i Tommym. Oni spali na niższych piętrach trzypoziomowego łóżka, a ja leżałem na samej górze. Jak większość dzieciaków, zamknąłem oczy, kiedy wszedł do środka, a on potrząsnął mną lekko i odezwał się:

– Hej, Matthew, może jeszcze poćwiczymy?

Nie musiał mnie namawiać.

Różnica polegała na tym, że kiedy sięgnąłem po rękawice, powiedział mi, że nie będę ich potrzebował.

– Co? – szepnąłem. – Gołe pięści?

– Będą gołe, kiedy nadejdzie właściwa chwila. – Mówił powoli. – Byłem w bibliotece.

Poszedłem za nim do salonu, gdzie wskazał na starą kasetę wideo i stary magnetowid (starożytne, czarno-srebrne urządzenie), i powiedział, żebym wziął się do roboty. Jak się okazało, kupił sprzęt za jakieś zaskórniaki – początki oszczędności na Gwiazdkę. Kiedy spojrzałem na tytuł nagrania, *Ostatni z wielkich sławnych pięściarzy*, czułem, że ojciec się uśmiecha.

– Nieźle, co?

Patrzyłem, jak magnetowid połyka taśmę.

– Nieźle.

– A teraz naciśnij play.

I wkrótce siedzieliśmy w milczeniu, gdy po ekranie paradowali bokserzy – przybywali jak prezydenci na wiec. Niektórzy czarno-biali, od Joego Louisa po Johnny’ego Famechona, od Lionela Rose’a po Sugar Raya. Później kolor i Smokin’ Joe. Jeff Harding, Dennis Andries. Roberto Durán w technikolorze. Liny napinały się pod ich ciężarem. W tak wielu walkach bokserzy padali na ziemię, ale znów się podnosili. Jakże odważne i desperackie lawirowanie.

Pod koniec spojrzałem na NIEGO.

Błysk w oku mojego ojca.

Ściszył głośność do zera.

Trzymał moją twarz, ale spokojnie.

Trzymał moją szczękę w swoich dłoniach.

Przez chwilę myślałem, że zamierza odnieść się do tego, co było na ekranie, powiedzieć coś w rodzaju komentarza. Ale on jedynie mnie tak trzymał, moja twarz w jego dłoniach w ciemności.

– Muszę ci to przyznać, dzieciaku... masz odwagę.

Przed początkiem tego.

W okresie poprzedzającym był taki dzień w życiu Penny Dunbar, poranek, z kochaną Jodie Etchells. Była jedną z ulubienic Penny,



w nauce przeszkadzała jej dysleksja, i dwa razy w tygodniu przychodziła na zajęcia. Miała zbolące spojrzenie, długie kości i długi, gruby warkocz opadający na plecy.

Tamtego ranka czytały z metronomem – stara, znajoma sztuczka – kiedy Penny wstała po słownik wyrazów bliskoznacznych. Następnie została obudzona szarpaniem.

– Proszę pani – powiedziała Jodie Etchells. – Proszę pani... – I: – PROSZĘ PANI!

Penny odzyskała przytomność, spojrzała w twarz dziewczynki i na książkę leżącą kilka metrów dalej. Biedna mała Jodie Etchells. Wydawało się, że za chwilę sama zemdleje.

– Wszystko w porządku, proszę pani, wszystko w porządku?  
Jej zęby były idealnie równe.

Penelopa próbowała wyciągnąć rękę, ale jej ramię wydawało się zagubione.

– Nic mi nie jest, Jodie. – Powinna ją wysłać, po pomoc albo szklankę wody, cokolwiek, żeby odwrócić jej uwagę. Jednak zamiast tego... cała Penny... powiedziała: – Otwórz tę książkę, dobrze, i sprawdź, pomyślmy, co powiesz na „radosny”? Albo „ponury”? Które wolisz?

Dziewczyna, jej usta i symetria.

– Może „radosny” – powiedziała i przeczytała na głos inne możliwości. – „Szczęśliwy”... „rozradowany”... „wesoły”.

– Bardzo dobrze.

Jej ręka nadal się nie poruszała.

A później nadeszła szkoła i piątek.

Szydzili ze mnie, Hartnell i jego kumple.

Mówili „pianino” i „praktyka”, i „pedzio”.

Byli wirtuozami aliteracji i nawet o tym nie wiedzieli.

W tamtym czasie Jimmy Hartnell miał trochę dłuższą grzywkę – kilka dni przed wizytą u fryzjera – wyszczupłał i nabrał mięśni. Jego usta były małe, przypominające pęknięcie, jak na wpół otwarta puszka. Wkrótce pojawił się na nich uśmiech. Ruszyłem w stronę Jimmy’ego i znalazłem odwagę, by się odezwać.

– Będę się z tobą bił przy siatkach treningowych do krykieta w porze obiadu – powiedziałem.

Najlepsza wiadomość, którą dostał.

Później popołudnie:

Jak to często robiła, czytała tym dzieciakom, kiedy czekały, aż dojrzą autobusy. Tym razem *Odyseję*. Rozdział o Cyklopach.

Byli chłopcy i dziewczęta w zielono-białych mundurkach.

Zwyczajowa różnorodność fryzur.

Kiedy czytała o Odyseuszu i sposobie, w jaki oszukał potwora w jego leżu, słowa na kartce zafalowały, a jej gardło stało się jaskinią.

Kiedy kaszlnęła, zobaczyła krew.

Zachlapała papier.

Była dziwnie wstrząśnięta jej czerwienią, tak jaskrawą i brutalną. W następnej myśli powróciła do pociągu, gdy po raz pierwszy je zobaczyła – te tytuły wydrukowane po angielsku.

A czymże była moja krew w porównaniu z TAMTĄ krwią?

Zupełnie niczym.

Pamiętam, że tamtego dnia było wietrznie, chmury przesuwały się szybko po niebie. Raz biały, raz niebieski, mnóstwo zmiennego światła. Była jedna chmura jak kopalnia węgla, kiedy ruszyłem w stronę siatek do krykieta, w najciemniejszym cieniu.

Z początku nie widziałem Jimmy’ego Hartnella, ale był tam, na betonowym pitchu. Uśmiechał się na całą szerokość grzywki.

– Jest tutaj! – zawołał jeden z jego przyjaciół. – Pieprzony pedzio jest TUTAJ!

Podszedłem i uniosłem pięści.

Teraz przeważnie wraca to do mnie w okręgach, w półobrotach w prawo i w lewo. Pamiętam, że był strasznie szybki, a ja wkrótce tego posmakowałem. Pamiętam też ryk dzieciaków, jak fale na plaży. W pewnej chwili zobaczyłem Rory’ego, a on był tylko dzieckiem. Stał obok Henry’ego, jasnowłosego jak labrador chudzielca. Przez romby siatki widziałem, jak mówią „walnij go”, Clay zaś przyglądał się w otępieniu.

Ale Jimmy’ego trudno było uderzyć.

Najpierw dostałem w usta (jakbym przeżuwał kawałek żelaza), później z dołu i w zębra. Pamiętam, że myślałem, że są złamane, gdy uderzały we mnie te fale.

– Dalej, ty pieprzony pianisto – szepnął dzieciak i znów przyskoczył.

Za każdym razem, kiedy to robił, jakimś sposobem omijał moją zasłonę i uderzał mnie lewym, prawym i znów prawym. Po trzech razach upadłem.

Okrzyki i sprawdzanie, czy nie idą nauczyciele, ale nikt się jeszcze nie dowiedział, a ja przeczołgałem się i podniosłem pospiesznie. Możliwe, że to było jak odliczanie.

– Dalej – powiedziałem, a światło wciąż się zmieniało.

Wiatr wył w naszych uszach, a on znów przyskoczył do mnie.

Tym razem, jak poprzednio, trafił mnie lewym i następnym – ale sukces tej taktyki się zmienił, kiedy zablokowałem trzeci cios i walnąłem go w brodę. Hartnell zatoczył się do tyłu, zakołysał, odzyskał równowagę i zamachnął. Cofnął się pospiesznie, zaskoczony, a ja ruszyłem za nim i w lewo. Zadałem parę ciosów prostych, mocno nad tamtym pęknięciem, w policzek.

Doszło do tego, co komentatorzy każdego sportu na świecie – pewnie nawet gry w kulki – nazywają wojną na wyniszczenie, gdy wymienialiśmy się ciosami knykcii i dłoni. W pewnym momencie upadłem na jedno kolano, on walnął mnie w ucho i szybko przeprosił, a ja pokiwałem głową. Milcząca uczciwość. Tłum zebrał się i wspinał na ogrodzenie, zaciskając na nim palce.

W końcu dwa razy rzuciłem Hartnella na ziemię, ale on zawsze się podnosił. Ja sam upadłem cztery razy i za czwartym nie byłem w stanie się podnieść. Niewyraźnie wyczuwałem obecność dyrekcji, gdyż te plaże i fale zebrały się w stada; jak mewy, z wyjątkiem moich braci, którzy zostali. Co piękne – i, z perspektywy czasu, niezbyt zaskakujące – Henry wyciągnął rękę do jednego czy drugiego uciekającego dzieciaka, który oddał mu resztę obiadu. Już obstawiał i już wygrał.

W rogu, w pobliżu palików bramki, Jimmy Hartnell stał bokiem. Przypominał trochę rannego dzikiego psa, jednocześnie godnego politowania i zachęcającego do ostrożności. Nauczyciel, mężczyzna, podszedł i złapał go, ale Hartnell go odtrącił. Jimmy prawie się potknął, idąc w moją stronę, a pęknięcie na jego twarzy zmieniło się w usta. Kucnął obok i odezwał się do mnie:

– Musisz nieźle grać na pianinie, jeśli robisz to równie dobrze, jak walczysz.

Włożyłem palce do ust, zwycięstwo ulgi.

Leżałem na plecach, krwawiłem i uśmiechałem się.

Wciąż miałem wszystkie zęby.

I tak to było.

Poszła do lekarza.

Kawalkada badań.

Nam jak na razie nic nie mówiła i wszystko biegło jak zawsze.

Raz jednak pojawiło się pęknięcie, które staje się coraz okrutniejsze i wyrazistsze, im dłużej siedzę i piszę na maszynie. Kuchnia jest świeżą, czystą wodą.

Ponieważ kiedyś, w pokoju Rory'ego i Henry'ego, obaj kłębili się i walczyli. Porzucili rękawice i wrócili do normalności, a Penelopa pobiegła w tę stronę.

Złapała ich obu za kołnierze szkolnych koszulek.

Rozdzieliła ich.

Jak chłopców wywieszonych do wyschnięcia.

Tydzień później była w szpitalu – pierwsze z wielu odwiedzin.

Ale wtedy, dawno temu, te kilka dni i nocy wcześniej, stała z nimi w ich pokoju, w tym chlewie pełnym klocków Lego i skarpetek. Słońce zachodziło za jej plecami.

Jezu, będzie mi tego brakować.

Płakała, uśmiechała się i płakała.

## triumwirat

WCZESNYM WIECZOREM w sobotę Clay siedział z Henrym na dachu.

Dochodziła ósma.

– Jak za starych czasów – powiedział Henry i w tej chwili byli szczęśliwi, nawet jeśli czuli rozmaite sińce. Powiedział też: – To była świetna gonitwa. – Mówił o Carey.

Clay patrzył po skosie. Na numer 11.

– Była.

– Powinna wygrać. Sprzeciw, cholera jasna.

Później czekał.

Surrounds i jej spokojny odgłos, cichy szelest stóp.

Kiedy przybyła, położyli się dopiero po długim czasie.

Siedzieli na skraju materaca.

Rozmawiali, a on chciał ją pocałować.

Chciał dotknąć jej włosów.

Nawet dwoma palcami, tych, które opadały obok jej twarzy.

W świetle tej nocy czasami wydawały się złote, czasami rude, i nie wiedział, gdzie się kończyły.

Ale nie zrobił tego.

Oczywiście, że nie:

Jakimś sposobem ustalili zasady i przestrzegali ich, żeby nie zepsuć albo nie ryzykować tego, co mieli. Wystarczało, że byli tutaj, samotnie, razem, a istniało o wiele więcej sposobów okazania wdzięczności.

Wyjął małą, ciężką zapalniczkę z „Matadorem w piątej”.

– Najlepsza rzecz, jaką ktokolwiek kiedykolwiek mi dał – powiedział, zapalił ją na chwilę i zamknął. – Tak dobrze dzisiaj jechałaś.

Oddała mu *Kamieniarza*.

Uśmiechnęła się i powiedziała:

– Tak.

Wcześniej to też był jeden z tych dobrych wieczorów, bo pani Chilman otworzyła okno. Zawołała do nich, w górę.

– Hej, chłopaki Dunbarów.

Henry odpowiedział jako pierwszy.

– Pani Chilman! Bardzo dziękuję, że nas pani wtedy poskładała. – I zabrał się do pracy. – Bardzo ładne wałki.

– Zamknij się, Henry.

Ale uśmiechała się, a zmarszczki też ruszyły się do roboty.

Obaj chłopcy podnieśli się i podeszli bliżej.

Kucnęli w pobliżu ściany domu.

– Hej, Henry? – spytała pani Chilman, i było to zabawne. Henry wiedział, na co się zanoszą. Kiedykolwiek pani Chilman w taki sposób patrzyła w górę, zamierzała poprosić o książkę, z jego zakupów co weekend. Uwielbiała romanse, kryminały i horrory, im niższych lotów, tym lepiej. – Masz coś dla mnie?

Przedrzeźniał ją.

– Czy MAM coś dla pani? A jak pani MYŚLI? Czy *Trup Kuby Rozpruwacza* brzmi dobrze?

– Już go mam.

– *Mężczyzna, którego ukryła pod schodami?*

– To był mój mąż... ciała nigdy nie znaleźli.

(Obaj chłopcy się roześmiali – była wdową, od kiedy ją znali, i teraz już na ten temat żartowała).

– Dobrze, pani Chilman, cholera, twarda z pani klientka! A może *Porywacz dusz*? Krwawe cudeńko.

– Zgoda. – Uśmiechnęła się. – Ile?

– Niech pani da spokój, pani Chilman, odpuśćmy sobie te gierki. Może zrobimy to tak jak zawsze? – Posłał szybkie spojrzenie Clayowi. – Powiedzmy, że dam to pani GRATIS.

– Gratis? – Podniosła z namysłem wzrok. – To z niemieckiego, tak? Henry ryknął.

Kiedy się położyli, wspominała wyścig.

– Ale przegrałam – powiedziała. – Dałam ciała.

Gonitwa trzecia.

O puchar Lantern Winery.

1200 metrów, jej koń nazywał się Gunslinger, strasznie spóźnili się ze startem, ale Carey go popędziła. Prześlizgiwała się w tłumie i doprowadziła go do mety – i Clay przyglądał się w całkowitej ciszy, kiedy wszyscy wypadli na prostą – tętniące kopyta, oczy, barwy i krew. I myśl o Carey w tym wszystkim.

Jedyny problem pojawił się na ostatnich dwustu metrach, kiedy za bardzo zbliżyła się do zdobywcy drugiego miejsca, Pump Up The Jam – poważnie, co to za imię – i odebrano jej zwycięstwo.

– Mój pierwszy raz przed organizatorami.

Jej głos na jego szyi.

Na dachu, po dobieciu targu (pani Chilman upierała się, że zapłaci dziesięć dolarów), powiedziała:

– A ty jak się masz, panie Clay? Dbasz o siebie ostatnimi czasy?

– Przeważnie.

– PRZEWAŻNIE? – Wychyliła się jeszcze bardziej. – Postaraj się, żeby to było zawsze.



– W porządku.

– W porządku, śliczny chłopcze.

Miała znów zamknąć okno, kiedy Henry spróbował coś jeszcze zyskać.

– Hej, dlaczego to ON jest śliczny?

Pani Chilman odparowała:

– Ty masz śliczne USTA, Henry, ale on jest ślicznym chłopcem.

I pomachała do nich po raz ostatni.

Henry odwrócił się do Claya.

– Nie jesteś śliczny. Właściwie jesteś całkiem paskudny.

– Paskudny?

– Tak, paskudny jak tyłek Golasa.

– Ostatnio go oglądałeś, co?

Tym razem popchnął Claya i przyjaźnie klepnął go w ucho.

Jest tajemnicą, czasem nawet dla mnie, jak chłopcy i bracia się kochają.

Pod koniec zaczął jej opowiadać.

– Tam jest całkiem cicho.

– Założę się.

– Ale rzeka jest zupełnie sucha.

– A twój tato?

– On też jest całkiem suchy.

Roześmiała się i poczuł jej oddech, i pomyślał o tym ciepło, o tym, że ludzie są ciepli, od środka na zewnątrz, jak to mogło człowieka uderzyć i zniknąć, i powrócić, i nic nigdy nie było trwałe...

Tak, zaśmiała się i powiedziała:

– Nie bądź idiotą.

Clay powiedział jedynie:

– W porządku.

A jego serce stało się zbyt wielkie jak na niego, był pewien, że cały świat je słyszał. Patrzył na dziewczynę obok i luźno przerzuconą nogę. Patrzył na najwyższą dziurkę od guzika, tkaninę jej koszuli:

Krata.

Niebieski zmieniony w błękit.

Czerwony wyblakły do różu.

Długie grzbiety obojczyków i kałuża cienia pod nimi.

Słaby zapach jej potu.

Jak mógł kochać kogoś tak mocno i być tak zdyscyplinowanym, i pozostać cichym i nieruchomym przez tak długo?

Może gdyby zrobił to wtedy, gdyby wcześniej znalazł odwagę, wszystko potoczyłoby się zupełnie inaczej. Ale jak mógłby przewidzieć takie rzeczy? Jak mógł wiedzieć, że Carey – ta dziewczyna, która leżała na nim i która wdychała i wydychała na nim, która miała życie, która BYŁA życiem – stworzy jego trifecta<sup>[\*]</sup>, albo triumwirat, miłości i straty?

Oczywiście, że nie mógł.

Nie mógł.

To wszystko było w tym, co miało nadejść.

---

[\*] Rodzaj zakładu na wyścigach konnych, w którym należy wytypować zdobywców pierwszych trzech miejsc (przyp. tłum.).

## jeden papieros

W TAMTYM CZASIE Penny Dunbar spakowała torby do szpitala i świata, który czekał w jego wnętrzu.

Naciskali, macali i wycinali kawałki.

Zatruwali ją życzliwością.

Kiedy po raz pierwszy wspomnieli o naświetlaniach, zobaczyłem ją, jak stoi samotnie na pustyni, a później „bum” – trochę jak Hulk.

Zmieniliśmy się w naszą własną kreskówkę.

Od początku był budynek szpitala i cała piekielna biel i nieskazitelnie czyste drzwi jak w galerii handlowej – nienawidziłem sposobu, w jaki się rozsuwały.

Zupełnie, jakbyśmy przyszli się rozejrzeć.

Choroby serca na lewo.

Ortopedia na prawo.

Pamiętam też, jak całą szóstką szliśmy korytarzami, wśród przyjemnej grozy. Pamiętam tatę i jego bardzo czyste ręce, i Henry’ego i Rory’ego, którzy się nie bili – te miejsca były wyraźnie nienaturalne. Był Tommy, który wydawał się taki malutki i zawsze w krótkich hawajskich spodenkach – i ja, wciąż posiniaczony, ale gojący się.

Na samym końcu jednak, daleko za nami, trzymał się Clay, który najwyraźniej najbardziej bał się ją zobaczyć. Jej głos walczył z rurką z tlenem w nosie:

– Gdzie mój chłopczyk, gdzie mój chłopczyk? Mam opowieść, bardzo dobrą.

Dopiero wtedy stanął między nami.

Musiał dać z siebie wszystko.

– Cześć, mamó... możesz mi powiedzieć o domach?

Jej ręka sięgnęła, by go dotknąć.

W tamtym roku jeszcze dwa razy trafiła do szpitala.

Została otwarta, zamknięta i poróżwiona.

Została zaszyta, obtarta i błyszcząca.

Czasami, nawet kiedy była zmęczona, pytaliśmy, czy możemy je zobaczyć.

– Możesz nam znowu pokazać najdłuższą bliznę, mamó? Jest cholernie piękna.

– Hej!

– Że co, CHOLERNIE? To nawet nie jest porządne przekleństwo!

Wtedy zwykle była w domu, w swoim łóżku, słuchała czytanych jej książek albo leżała z tatą. Było coś w ich kątach – jej kolana podciągnięte i ułożone bokiem, pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Jej twarz leżała na jego piersi.

Szczerze, pod wieloma względami był to dobry czas i postrzegam wszystko z tej perspektywy. Widzę mijające tygodnie w jej łopatkach i znikające miesiące w kartkach. Godzinami czytał na głos. Wokół jego oczu dostrzegało się zmęczenie, ale ich niebieskozielony odcień wydawał się równie dziwny, co zawsze. Była to jedna z tych uspokajających rzeczy.

Oczywiście, nastawały też przerażające chwile, jak wtedy gdy wymiotowała do umywalki, i ten koszmarny smród w łazience. Była też chudsza, w co trudno uwierzyć. Później jednak trwaliśmy z powrotem przy oknie w salonie. Czytała nam, fragmenty, z *Iliady* i ciała śpiącego Tommy'ego.

Tymczasem był postęp.

Tworzyliśmy własną muzykę:

Wojny o pianino trwały.

Moja bójka z Jimmym Hartnellem mogła mieć wiele konsekwencji i wiele z nich rzeczywiście nastąpiło. Zostaliśmy przyjaciółmi. Byliśmy tymi chłopcami, którzy walczą ze sobą, by odnaleźć to, co ich łączy.

Po Jimmym jeszcze wielu ustawiło się w kolejce, a ja bez trudu się przed nimi broniłem. Musieli tylko wspomnieć o pianinie. Ale nigdy nie doszliśmy już do poziomu Hartnella. To z Jimmym walczyłem o tytuł.

Ostatecznie jednak nie ja zdobyłem sławę w bójkach – jedynie Rory mógł to osiągnąć.

Jeśli chodzi o czas, minął rok i byłem już w szkole średniej (w końcu uwolniony od pianina), Rory był w klasie piątej, a Henry szczebel niżej. Clay poszedł do trzeciej, a Tommy trafił do zerówki. Stare opowieści wkrótce zostały wyrzucone na brzeg. Wspomnienia siatek do krykieta i chłopców, którzy byli bardziej niż chętni.

Cały problem polegał na tym, że chodziło o Rory'ego.

Jego siła była prawdziwa i straszliwa.

A następstwa jeszcze gorsze.

Włókł ich przez boisko, jak w brutalnym zakończeniu *Iliady* – jak Achilles ciało Hektora.

Był jeden raz, w szpitalu, kiedy przyszły dzieciaki z Hyperno.

Penny siedziała ponakłuwana na łóżku.

Boże, musiało ich być ponad tuzin, tłoczyli się wokół hałaśliwie, chłopcy i dziewczyny. Henry powiedział:

– Oni wszyscy są tacy... WŁOCHACI.

Pokazywał na nogi chłopaków.

Pamiętam, że patrzyliśmy z korytarza, na ich białe i zielone mundurki – ci przerośnięci chłopcy, wyperfumowane dziewczyny i ukryty papieros. Tuż przed wyjściem dziewczyna, o której wspomniałem wcześniej, śliczna Jodie Etchells, wyjęła dziwny prezent.

– Proszę, to dla pani – powiedziała, ale sama go rozpakowała, bo ręce Penny były pod kocem.

I wkrótce, usta naszej matki.

Popękały, tak suche i uśmiechnięte:

Przynieśli jej metronom, i to jeden z chłopców wypowiedział te słowa. Chyba miał na imię Carlos.

– Proszę oddychać w rytmie, proszę pani.

Ale najlepsze były wieczory w domu.

Blond i czarne włosy, siwiejące.

Jeśli nie usnęli na kanapie, grali w kuchni w Scrabble albo spuszczaali sobie manto w Monopoly. A czasami nawet siedzieli całkiem przytomni na kanapie i przez pół nocy oglądali filmy.

Dla Claya były wyraźniejsze, wyróżniające się chwile, a nadchodziły w piątkowy wieczór. Jedna pod koniec filmu, który obejrzeli, gdy po ekranie przesuwały się napisy końcowe. Myślę, że to było *Good Bye Lenin!*

Clay i ja wyszliśmy do przedpokoju, kiedy usłyszeliśmy głośniejszą muzykę.

Zobaczyliśmy salon, a później ich:

Przymurowanych przed telewizorem.

Stali, tańczyli, ale powoli – prawie wcale – a jej włosy trzymały się żółtego odcienia. Wydawała się taka słaba i krucha, kobieta składająca się wyłącznie z ramion i goleni. Ich ciała przyciskały się do siebie i wkrótce ojciec nas zobaczył. Bezgłośnie się przywitał.

Nawet wypowiedział te słowa samym ruchem warg:

„Popatrzcie na tę cudowną dziewczynę!”

I chyba muszę to przyznać:

Mimo zmęczenia i bólu, w radości tego spojrzenia, Michael Dunbar był w tamtym czasie naprawdę przystojny i całkiem nieźle tańczył.

Później następną, przed domem, na schodach, w mgiełce najchłodniejszej zimy.

Penelopa kilka dni wcześniej wróciła do Hyperno na zastępstwo i skonfiskowała papierosy. Szczerze mówiąc, nie sądziła, że to naprawdę jej rola – mówić tym dzieciakom, żeby nie paliły. Kiedykolwiek zabierała im takie rzeczy, mówiła im, żeby przyszli później. Czy to było po prostu nieodpowiedzialne? A może okazywała należny im szacunek? Nic dziwnego, że wszyscy zaczęli ją kochać.

Tak czy inaczej, nieważne, czy uczeń czuł się zażenowany czy zawstydzony, w każdym razie nie przyszedł po papierosy Winfield Blues i Penny znalazła je wieczorem, zmiażdżone na dnie jej torebki. Po tym, jak przed pójściem spać wyjęła portfel i klucze, wzięła do rąk papierosy.

– A co TO, do diabła, jest?

Michael od razu ją złapał.

I nazwijcie ich impulsywnymi albo śmiesznymi, ale tak bardzo ich kocham za tę chwilę. W tamtym czasie choroba odeszła i wyszli na werandę. Zapalili, rozkaszłali się i obudzili jego.

Po wejściu do domu, kilka minut później, Penny poszła je wyrzucić, ale Michael z jakiegoś powodu ją powstrzymał. Powiedział:

– A może je schowamy? – Porozumiewawcze mrugnięcie. – Nigdy nie wiesz, kiedy będziemy potrzebowali następnego... to może być nasza tajemnica.

Ale chłopiec też ją znał.

Widzicie, nawet kiedy podnieśli klapę pianina i umieścili pod spodem paczkę, nadal nie mieli pojęcia. Obserwował ich z przedpokoju i jedna rzecz była w tym momencie jasna:

Nasi rodzice może i dobrze tańczyli.

Ale palili co najwyżej amatorsko.



## główny.

CLAY MIAŁ POKUSĘ zostać dłużej, ale nie mógł.

Najtrudniejsza była świadomość, że przegapi kolejną gonitwę Carey, w Warwick Farm, ale z drugiej strony ona spodziewała się jego wyjazdu. Kiedy w tamtą sobotę pożegnała go na Surrounds, powiedziała:

– Zobaczmy się, kiedy tu będziesz, Clay. Ja też tu będę, obiecuję.  
Patrzył, jak odchodzi.

Pożegnanie z nami wyglądało tak, jak ostatnio.

Wiedzieliśmy wszystko, nic nie mówiąc.

Ale było też zupełnie inne.

Tym razem rzecz jasna było znacznie mniej powagi, bo to, co należało zrobić, zostało już zrobione. Mogliśmy przejść dalej.

Dopiero w poniedziałek wieczorem usiedliśmy, żeby dokończyć *Wieczór kawalerski*, a Clay podniósł się do wyjścia. Jego rzeczy czekały w przedpokoju. Rory spojrział na niego zbulwersowany.

– Chyba nie wyjeżdżasz TERAZ, co? Nawet jeszcze nie wsadzili muła do windy!

(Właściwie to przerażające, jak bardzo nasze życie przypominało ten film).

– To osioł – stwierdził Tommy.

Znów Rory:

– Nie obchodzi mnie, czy to quarter horse skrzyżowany z cholernym kucem szetlandzkim!

Obaj się roześmiali.

Później Henry:

– Dalej, Clay, nogi do góry. – Udał, że idzie w stronę kuchni i rzucił go na kanapę, dwa razy... raz, kiedy próbował znów się podnieść. Nawet kiedy Clayowi udało się wyrwać, Henry zacisnął mu ramię wokół szyi i przebiegł z nim dookoła. – Jak się z TYM czujesz, gówniarzu? Nie jesteśmy teraz w budynku Pierdoły, co?

Za ich plecami szalone gagi *Wieczoru kawalerskiego* robiły się coraz głupsze, Hektor uciekł, Tommy wskoczył Clayowi na plecy, a Rory zawołał do mnie:

– Ej, pomógłbyś nam, do cholery, co?

Stałem w drzwiach salonu.

Opierałem się o futrynę.

Ze względu na formę Claya dyszeli ciężko, a ja w końcu podszedłem do nich.

– Dobra, Clay, spuśćmy łomot tym skurczybykom.

W końcu, kiedy bijatyka się skończyła i film też, zawieźliśmy go na dworzec główny – pierwszy i ostatni raz.

Samochód Henry'ego.

On i ja z przodu.

Pozostała trójka z tyłu, z Eos.

– Cholera, Tommy, czy ten pies musi dyszeć tak cholernie głośno?

Na dworcu wszystko było tak, jak możecie sobie wyobrazić:

Kawowy zapach hamulców.

Nocny pociąg.

Pomarańczowe kule światła.

Clay miał swoją sportową torbę i nie było w niej ubrań – jedynie drewniana skrzyneczka, książki od Claudii Kirkby i *Kamieniarz*.

Pociąg był gotów do odjazdu.

Uścisnęliśmy mu rękę – każdy z nas.

W połowie drogi do ostatniego wagonu odezwał się Rory.

– Ej, Clay?

Odwrócił się.

– Klejnoty, pamiętasz?

A on dziarsko wskoczył do pociągu.

I znowu, znowu, tajemnica – jak cała nasza czwórka pełniła tam straż, z wonią hamulców i psem.

## kobieta, która została chłopakiem dunbarów

KIEDY KOŃCZYŁEM PIERWSZĄ KLASĘ szkoły średniej, stało się oczywiste, że mamy poważne kłopoty. W tym czasie w jej ubraniach było mnóstwo powietrza, coraz rzadziej czuła się dobrze. Wydawało się, że nastawały chwile normalności – albo ją w pewnym sensie naśladowaliśmy. Udawana normalność albo normalne udawanie, nie jestem pewien, jak to zrobiliśmy.

Może po prostu wszyscy mieliśmy swoje życie, musieliśmy sobie radzić, a to obejmowało również Penelopę – my, chłopcy, wciąż byliśmy dziećmi. Trzymaliśmy się w kupie:

Było strzyżenie, był Beethoven.

Dla każdego z nas było coś osobistego.

Wiadomo, że wasza matka umiera, kiedy każdego z was zabiera gdzieś osobno.

Skaczemy po chwilach jak kamieniach.

Pozostali nadal byli w podstawówce (Rory w ostatniej klasie) i wciąż mieli grać na pianinie, nawet kiedy była w szpitalu. W późniejszych latach Henry przysięgał, że została przy życiu tylko po to, by zadręczać ich ćwiczeniami albo chociaż o nie pytać, niezależnie od tego, na którym łóżku leżała – w spranej pościeli w domu czy innej, gorzkiej, tak doskonałej, odkażonej i białej.

Problem polegał na tym (i Penelopa w końcu w pełni się poddała), że musiała stawić czoło rzeczywistości:

Oni o wiele lepiej walczyli.

Ich gra na pianinie była gówniana.

A co się tyczy wypytywania, zmieniło się właściwie w rytuał.

W szpitalu przeważnie pytała, czy ćwiczyli, a oni kłamali i mówili, że tak. Często przychodzili i mieli rozcięte usta i poobijane knykcie, a Penny była wilgotna i żółta, ale też słusznie podejrzliwa.

– Co się dzieje, do diabła?

– Nic, mamó. Naprawdę.

– Ćwiczyacie?

– Ćwiczymy co?

– Wiecie.

– Oczywiście. – To Henry mówił. Wskazał na swoje sińce. – A jak myślisz, co to wszystko jest? – Ten uśmiech już skręcał.

– Co masz na myśli?

– Beethoven. Wiesz, że twardy z niego gość.

Popłynęła jej krew z nosa, kiedy się uśmiechnęła.

Mimo to, kiedy wróciła do domu, kazała im znów usiąść, żeby się zaprezentowali, a ona wierciła się na krześle obok.

– TY nie ćwiczyłeś – powiedziała do Rory'ego z na wpół rozbawionym lekceważeniem.

Spuścił wzrok i przyznał się.

– Masz całkowitą rację.

Clay raz przerwał w połowie piosenki.

I tak ją masakrował.

On również miał słaby granatowy ślad pod okiem, po bójce – wrobił go Henry.

– Dlaczego przerwałeś? – Zaraz jednak złagodniała. – Historyjka?

– Nie, nie o to chodzi. – Przełknął ślinę i spojrzał na klawisze. – Pomyślałem... że może mogłabyś zagrać.

I zrobiła to.

*Menuet G-dur.*

Doskonale.

Nuta po nucie.

Minęło dużo czasu, ale ukląkł i położył głowę.

Jej uda były cienkie jak papier.

W tamtym czasie była jedna pamiętna bijatyka, po drodze z domu do szkoły. Rory, Henry i Clay. Czterech przeciwko nim. Tommy stał z boku. Jakaś kobieta opryskała ich z węża ogrodowego – dobrego, z dobrą dyszą. Dobrym ciśnieniem.

– Dalej! – krzyknęła. – Wynocha!

– Wynocha – powtórzył Henry i dostał kolejnym strumieniem. – Hej!

A to za co było, do diabła?

Miała na sobie szlafrok i znoszone klapki, o trzeciej trzydzieści po południu.

– Odszczekiwanie się. – I znów go spryskała. – A to za bluźnierstwo.

– Dobrego węża pani ma.

– Dzięki... a teraz spadówa.

Clay pomógł mu wstać.

Rory szedł przed nimi, obmacując szczękę, a w domu czekała kartka. Ona wróciła. Przeróżające białe kartki. Na dole znajdował się uśmiezek, z długimi włosami po bokach. A pod spodem słowa:

**DOBRA! MOŻECIE SKOŃCZYĆ Z PIANINEM!**

**ALE POŻAŁUJECIE TEGO, MAŁE SKURCZYBYKI!**

W pewnym sensie był to rodzaj poezji, ale nie w najładniejszym tego słowa znaczeniu.

Nauczyła nas Mozarta i Beethovena.

A dzięki nam coraz lepiej przeklinała.

Wkrótce podjęła decyzję:

Zamierzała zrobić coś raz z każdym z nas. Może żeby dać nam jedno wspomnienie, które będzie nasze i tylko nasze, ale mam nadzieję, że zrobiła to dla siebie.

W moim przypadku chodziło o film.

Kawałek od nas było stare kino.

Nazywali je Halfway Twin.

W każdą środę pokazywali tam starszy film, zwykle z innego kraju. Kiedy poszliśmy, był szwedzki. Nosił tytuł *Moje pieskie życie*.

Siedzieliśmy z tuzinem innych ludzi.

Zjadłem prażoną kukurydzę, zanim się zaczął.

Penny walczyła z lodem w czekoladzie.

Zakochałem się w chłopczycy imieniem Saga i z trudem nadążałem za napisami.

Po zakończeniu, w ciemności, zostaliśmy.

Po dziś dzień zostaję na napisy końcowe.

– I? – spytała Penelopa. – Co myślisz?

– Był świetny – powiedziałem, bo tak było.

– Zakochałeś się w Sadze?

Lód był martwy w plastikowym opakowaniu.

Umilkłem i poczułem, że się czerwienię.

Moja matka była swego rodzaju cudem, z długimi, ale łamliwymi włosami.

Wzięła mnie za rękę i szepnęła:

– To dobrze, ja też ją kochałam.

Dla Rory'ego był mecz, wysoko na trybunach.

Dla Henry'ego wyjście na garażówkę, gdzie się targował i wszystkich zakrzykiwał.

– Dolca za to gówniane yo-yo? Zobaczcie, w jakim stanie jest moja MAMA.

– Henry – zakpiła – daj spokój. To podłe, nawet jak na ciebie.

– Cholera, Penny, z tobą nie ma zabawy.

Ale między nimi był śmiech, zmowa. I dostał je za trzydzieści pięć centów.

Jeśli miałbym wybierać, powiedziałbym, że to, co zrobiła dla Tommy’ego, miało największy wpływ na wszystko, jeśli pominąć czas spędzony z Clayem. Widzicie, Tommy’ego zabrała do muzeum, a jego ulubionym miejscem był budynek o nazwie Dzika Planeta.

Godzinami chodzili korytarzami:

Linia montażowa zwierząt.

Droga wśród futer i wypychania.

Było ich zbyt wiele, by wybrać ulubione, ale dingo i lwy plasowały się wysoko na liście, jak również dziwne i cudowne wilkowory tasmańskie. Tego wieczora, kiedy się położył, ciągle gadał, opowiadał nam o wilkach workowatych. Raz za razem powtarzał „wilkowór”. Powiedział, że wyglądały bardziej jak pies.

– Jak PIES! – prawie wykrzyknął.

Nasz pokój był ciemny i cichy.

Zasnął w połowie zdania – a miłość do tych zwierząt doprowadziła do nich: do Eos i Hektora, Telemacha, Agamemnona i oczywiście do wielkiego, ale mułowatego. Mogło się jedynie skończyć Achillesem.

Jeśli chodzi o Claya, zabrała go w wiele miejsc i donikąd.

Reszta z nas wyszła.

Michael zabrał nas na plażę.

Kiedy odjechaliśmy, Penelopa go zaprosiła, powiedziała:

– Hej, Clay, zrób mi herbatę i wyjdź przed dom.

Ale to był tylko rodzaj rozgrzewki.

Kiedy tam dotarł, już siedziała na podłodze werandy, oparta plecami o ścianę, i zalewało ją słońce. Były gołębice na liniach energetycznych.



Miasto było otwarte – słyszeli jego odległy śpiew.

Pijąc, wypila cały zbiornik, ale pomagało jej to opowiadać historie, a Clay uważnie słuchał. Kiedy spytała, ile ma lat, odpowiedział, że dziewięć.

– Chyba jesteś dość duży... żeby przynajmniej zacząć wiedzieć, że jest coś więcej...

I od tego momentu robiła to, co zawsze, opowiadała o papierowych domach, a na zakończenie przypomniała mu:

– Pewnego dnia opowiem ci, Clay, kilka rzeczy, o których nie wie nikt, ale tylko jeśli zechcesz je usłyszeć...

Krótko mówiąc, „prawie wszystko”.

Jakże był uprzywilejowany.

Przeczesała palcami jego chłopięce włosy, a słońce było teraz o wiele niżej. Jej herbata się przewróciła, a chłopiec poważnie pokiwał głową.

Wieczorem wszyscy wróciliśmy do domu, zmęczeni plażą i piaskiem, a Penny i Clay spali. Wydawali się spleceni na kanapie.

Kilka dni później prawie do niej podszedł, żeby spytać, kiedy nadejdą ostatnie historie, ale był dość zdyscyplinowany, żeby tego nie zrobić. Może na swój sposób wiedział – przyjdą blisko końca.

Nie, zamiast tego było zwykłe przytłoczenie, tygodnie przechodziły w miesiące, a ona znów udawała się na leczenie.

Te pojedyncze momenty zniknęły.

Byliśmy przyzwyczajeni do nieprzyjemnych wiadomości.

– Cóż – powiedziała, całkiem otwarcie – zabiorą mi włosy... więc myślę, że nadeszła wasza kolej. Równie dobrze możemy być szybsi niż oni.

Ustawiliśmy się w kolejce – przeciwieństwo świata, fryzjerzy ustawieni w kolejce do cięcia. Wszystkich nas było widać w tosterze.

Pamiętam z tej nocy kilka rzeczy – Tommy był pierwszy, niechętnie. Skłoniła go jednak, żeby zaśmiał się z dowcipu o psie i owcy w barze. Wciąż miał te cholerne hawajskie spodenki i ciął tak krzywo, że aż bolało.

Następni byli Clay i Henry, a później Rory spytał:

– Wybierasz się do wojska?

– Pewnie – odpowiedziała Penny – czemu nie?

Powiedziała:

– Rory, niech spojrzę – i popatrzyła mu w oczy. – Masz najdziwniejsze oczy z nich wszystkich.

Były ciężkie, ale miękkie, jak srebro. Jej włosy były krótkie i znikwały.

Kiedy nadeszła moja kolej, sięgnęła po toster, żeby spojrzeć na swoje odbicie. Błagała mnie, żebym okazał miłosierdzie.

– Niech będzie równo i szybko.

Na końcu był ojciec, a on stał i nie próbował się wymigać. Ustawił jej głowę, porządnie i prosto, a kiedy skończył, powoli ją pomasował. Masował chłopięcą fryzurę, a Penny pochyliła się do przodu, sprawiało jej to przyjemność. Nie widziała mężczyzny z tyłu, zmiany na jego twarzy ani martwych jasnych włosów wokół jego butów. Nie widziała nawet, jaki był załamany, kiedy reszta z nas stała i patrzyła na nich. Miała dzinsy, bose stopy i koszulkę, i może to właśnie nas dobiło.

Wyglądała zupełnie jak chłopak Dunbarów.

W tej fryzurze była jedną z nas.

## powrót nad rzekę

TYM RAZEM NIE CZEKAŁ między drzewami, ale ruszył korytarzem eukaliptusów i wypadł cicho na światło.

Rów wciąż tam był, czysty i wyraźny, ale wykopy sięgnęły dalej, w górę i w dół Amahnu, żeby mieli więcej miejsca w korycie rzeki. Pozostałe śmieci – ziemia i patyki, gałęzie i kamienie – zostały usunięte albo wyrównane. Po prawej widział ślady opon.

W korycie znów się zatrzymał, kucał wśród wszystkich jego barw. Wcześniej nie uświadamiał sobie, jak różnorodne było – lekcja historii w skałach. Uśmiechnął się i powiedział:

– Cześć, rzeko.

Jeśli chodzi o ojca, był w domu, spał na kanapie z połową kubka kawy. Clay przyglądał mu się przez chwilę, po czym odłożył torbę w sypialni. Wyjął książki i starą drewnianą skrzyneczkę, ale zostawił *Kamieniarza* w torbie, dobrze schowanego.

Później siedzieli razem, na schodach, i mimo iż robiło się coraz chłodniej, wokół latały moskity i były ohydne. Przykucały lekko na ich ramionach.

– Boże, to potwory, prawda?

Czarne góry wznosiły się w pewnej odległości.

Za nimi pasmo czerwieni.

Morderca znów się odezwał albo spróbował.

– Jak było...

Clay mu przerwał.

– Wynająłeś sprzęt.

Przyjazne westchnienie. Czyżby został przyłapany na oszustwie? Czyżby zniszczył etos mostu?

– Wiem... to nie bardzo Pont du Gard, prawda?

– Nie. – Ale Clay mu odpuścił. – Jednak jego wybudowało więcej niż dwóch ludzi.

– Albo diabeł, jeśli...

Pokiwał głową.

– Wiem.

Nie mógł mu powiedzieć, jak wielką czuł ulgę, że praca została już wykonana.

Michael znów spróbował.

Dokończył urwane pytanie.

– W domu?

– Nieźle.

Clay poczuł, jak patrzy – na prawie zagojone sińce.

Dokończył kawę.

Nasz tato zagryzł kubek, ale lekko.

Kiedy przerwał, patrzył na schody, byle nie na chłopca.

– Matthew?

Clay pokiwał głową.

– Ale wszystko w porządku. – Zastanowił się przez chwilę. – Rory wziął mnie na ręce – a przed nim był malutki ślad uśmiechu.

– Nie mieli nic przeciwko, że wróciłeś... to znaczy tutaj?

– Oczywiście. Musiałem.

Powoli wstał i było o wiele więcej, tyle rzeczy do powiedzenia, tak wiele wzdłuż wewnętrznych krawędzi; Henry, Schwartz i Goły (i nie zapominajmy o dziewczynie Gołego), i Henry i Peter Pan. Była Claudia Kirkby i ja. Byliśmy my wszyscy na dworcu, wciąż stojący, gdy pociąg odjeżdżał.

I oczywiście.

Oczywiście była Carey.

Była Carey i Royal Hennessey i lawirowanie w ścisku... i przegrana z Pump Up The Jam...

Ale znowu cisza.

Niewypowiedziane.

Aby ją przerwać, Clay powiedział:

– Wchodzę do środka... póki jeszcze zostało mi trochę krwi.

Ale nagle – co to?

Niespodzianka.

W połowie drogi wrócił, nagle zrobił się wyjątkowo rozgadany, co w przypadku Claya oznaczało siedem dodatkowych słów.

Z kubkiem kawy w dłoni powiedział:

– Podoba mi się tutaj, lubię tu być.

I zastanawiał się, dlaczego to zrobił. Może chciał uznać nowe istnienie – Archer Street i rzeki – a nawet na swój sposób zaakceptować:

Przynależał po równi do obu z nich.

Odległość między nami była nim.

## kiedy chłopcy wciąż byli chłopcami

W KOŃCU musiało się skończyć.

Bójki na pięści zbliżały się do końca.

Papieros został znaleziony i wypalony.

Nawet wojny o pianino minęły.

Patrząc wstecz, dobrze odwracały uwagę, ale nie mogły do końca zatrzymać jej przyływu.

Świat w jej wnętrzu eskalował.

Opróżniła się, była przepełniona.

Jeśli w ogóle, w nadchodzących miesiącach było kilka ostatnich reduct zwyczajnego życia – kiedy naszą matkę karali tymi kuracjami. Została otwarta i starannie zaszyta, jak samochód na poboczu szosy. Znacie ten odgłos, kiedy zatraskujecie maskę, kiedy właśnie udało się wam znów uruchomić to cholerstwo i modlicie się o jeszcze kilka mil?

Każdy dzień był jak ten zapłon.

Jechaliśmy, aż znów zgaśliśmy.

Jeden z najlepszych przykładów życia w taki sposób miał miejsce na początku stycznia, w trakcie przerwy świątecznej:

Dar i chwała pożądania.

Tak, pożądania.

W późniejszych latach mogły nadejść nieskrywana ekscytacja i czysty idiotyzm *Wieczoru kawalerskiego*, ale w tym wczesnym okresie schyłku Penny pojawiły się początki chłopięcej deprawacji.

Perwersje czy życie w pełni?

Zależy, jak na to spojrzeć.

Tak czy inaczej, jak do tej pory był to najgorętszy dzień lata, jak zwiastun tego, co miało nadejść. (Clay lubił słowo „zwiastun”, poznane od onieśmielającego nauczyciela ze szkoły, którego po brzegi wypełniały słowa. Podczas gdy inni nauczyciele trzymali się ściśle programu nauczania, ten jeden – błyskotliwy pan Berwick – wchodził do klasy i natychmiast sprawdzał słowa, które „po prostu mieli obowiązek” znać.

„Zwiastun”.

„Plugawy”.

„Zatrważający”. „Nesoser”.

„Nesoser” był świetnym słowem, bo opisywał to, do czego można go było użyć – nosić ser.).

W każdym razie na początku stycznia słońce wznosiło się wysoko i było boleśnie gorące. Dzielnica wyścigów się smażyła. Odległy ruch uliczny brzęczał do nich. Od niechcienia skręcał w przeciwną stronę.

Henry był w kiosku, na Poseidon Road, kawałek od Tippler Lane, a kiedy powrócił triumfalnie, zaciągnął Claya w boczną uliczkę. Spojrzał w prawo i w lewo, i powiedział.

– Tutaj. – Donośny szept. Wyciągnął spod koszulki „Playboya”. – Popatrz tylko na TO.

Podał mu pismo i otworzył je na środku, gdzie zszywka przecinała jej ciało – a ona była twarda i miękka, spiczasta i zadziwiająca, we wszystkich właściwych miejscach. Wydawała się wręcz zachwycona swoimi biodrami.

– Nieźle, co?

Clay spojrział w dół, oczywiście że tak, i wiedział to wszystko – miał dziesięć lat i trzech starszych braci, widział nagie kobiety na ekranie komputera – ale to było zupełnie inne. Połączenie kradzieży i nagości,

na błyszczącym zadrukowanym papierze. (Jak powiedział Henry „To jest życie!”). Clay zadrżał z radości i, co dziwne, przeczytał, jak się nazywała. Uśmiechnął się, przyjrzał uważniej i spytał:

– Czy ona naprawdę ma na nazwisko „Styczeń”?

Wewnątrz jego serce biło mocno, a Henry Dunbar uśmiechnął się szeroko.

– Oczywiście – powiedział – no pewnie.

Później jednak, kiedy dotarli do domu (po kilku przystankach na gapienie się), złapali rodziców w kuchni. Siedzieli na zużytej podłodze, ledwie wyprostowani.

Ojciec opierał się o szafki.

Jego oczy miały zużyty odcień niebieskiego.

Matka zwymiotowała – straszny bałagan – a teraz spała oparta o niego. Michael Dunbar jedynie siedział i patrzył.

Dwaj chłopcy stali.

Erekcje nagle ich opuściły, złożyły się głęboko w spodniach.

Henry zawołał, zareagował i nagle był całkiem odpowiedzialny.

– Tommy? Jesteś w domu? Nie wchodź tutaj!

Patrzyli na kruchość matki – i miss stycznia, zwiniętą, między nimi.

Ten uśmiech, doskonałe wyposażenie.

Sama myśl o niej bolała.

Miss stycznia była po prostu taka... ZDROWA.

Wczesną jesienią musiało do tego dojść, popołudnie zostało wyznaczone.

Rory od miesiąca chodził do szkoły średniej.

Clay miał dziesięć lat.

Jej włosy odrosły, dziwne i bardziej żółte, ale reszta jej ciała odchodziła.



Nasi rodzice wyszli bez naszej wiedzy.

Nieduży kremowy budynek w pobliżu galerii handlowej.

Zapach pączków z okna.

Kawaleria urzędzeń medycznych, a były one zimne i szare, ale palące, i rakowata twarz chirurga.

– Proszę usiąść – powiedział.

Powtórzył „agresywny” przynajmniej osiem razy.

Taka bezwzględność w przekazie.

Był wieczór, kiedy wrócili, i wszyscy wyszliśmy im na spotkanie. Zawsze pomagaliśmy wnosić zakupy, ale tego wieczora nie było nic więcej. Gołębie siedziały na liniach energetycznych. Patrzyły, nie gruchając.

Michael Dunbar został przy samochodzie, pochylony, z rękami na ciepłe maski, Penny zaś stała za nim, z dłonią na jego plecach. W łagodnym, ciemniejącym świetle jej włosy były jak słoma, całe ściągnięte i zaczesane do tyłu.

Kiedy na nich patrzyliśmy, żaden z nas nie spytał.

Może się pokłócili.

Ale oczywiście, z perspektywy czasu, śmierć też tam była tamtej nocy, siedziała wysoko z gołębiami, wisząc od niechcienia na liniach energetycznych.

Obserwowała ich.

Następnego wieczora Penny nam powiedziała, w kuchni – popękana i załamana. Ojciec w kilku kawałkach.

Pamiętam to aż za wyraźnie – jak Rory nie chciał uwierzyć i jak wkrótce oszalał, mówiąc „Co?” i „Co?!” i „CO?” Był żylasty i rdzawy. Jego srebrne oczy ciemniały.

A Penny, taka szczupła i stoicka:

Uspokoila się, stając rzeczowa.

Jej oczy zielone i szalone.

Jej włosy były swobodne i rozpuszczone, i powtórzyła się, powiedziała:

– Chłopcy, umieram.

Drugi raz dobił Rory'ego, tak myślę:

Zacisnął pięści i otworzył je.

Wewnątrz nas wszystkich był wtedy dźwięk – dźwięk cicho-głośny, niewyjaśnione wibracje – gdy próbował pobić szafki, potrząsał nimi i zrzucił mnie. Widziałem to, ale nie słyszałem.

Wkrótce złapał najbliższą osobę, którą przypadkiem okazał się Clay, i ryknął przez jego koszulkę – i wtedy właśnie Penny podeszła do niego, zatrzymała się na obu z nich, a Rory nie mógł się powstrzymać. Słyszałem to teraz z daleka, ale po chwili odrzuciło mnie do tyłu – głos w naszym domu jak uliczna bójka. Ryknął w pierś Claya, przez guziki, krzyczał prosto w jego serce. Uderzał go raz za razem – aż w oczach Claya zapłonął ogień, a jego własne stały się beznamiętne i twarde.

Boże, nadal to słyszę.

Tak bardzo próbuję oddalić się od tamtej chwili.

Na tysiące mil, jeśli się da.

Ale nawet teraz, głębia tego krzyku.

Widzę Henry'ego przy tosterze, oniemiałego, kiedy się to liczyło.

Widzę Tommy'ego, całkiem odrętwiałego obok, wpatzonego w rozmazane okruchy.

Widzę ojca, Michaela Dunbara, niemożliwego do naprawienia, przy zlewie. A później pochylił się nad Penny – dłonie na drżących ramionach.

A ja jestem w środku, zbieram swój własny ogień – sparaliżowany, z założonymi rękami.

A na koniec widzę oczywiście Claya.

Widzę czwartego chłopaka Dunbarów – ciemnowłosego i rzuconego na podłogę – jego twarz patrzy z dołu. Widzę chłopców i splątane ramiona. Widzę matkę wokół nich – i im bardziej się nad tym zastanawiam, może TO prawdziwy huragan przeszedł przez kuchnię, kiedy chłopcy byli tylko chłopcami, a mordercy wciąż jeszcze jedynie mężczyznami.

A naszej matce, Penny Dunbar, zostało sześć miesięcy życia.

część szósta

miasta + wody + zbrodniarze + łuki +  
opowieści

+

OCALALI

## dziewczyna, która wyszła z radia

W ŚRODĘ RANO Clay pobiegł po ciemku do miasta, dotarł tam w blasku dnia i kupił gazetę w sklepie Silver Corner.

W połowie drogi powrotnej zatrzymał się i uważnie przeczytał przewodnik po gornitwach.

Szukał konkretnego nazwiska.

W ciągu dnia rozmawiali i pracowali, pisali i planowali, Mordercę ciekawiła gazeta, ale nie odważył się jeszcze spytać. Zajął się innymi rzeczami. Miał arkusze rysunków i pomiarów. Ceny drewna na krążynę i rusztowania. Wyliczenie kamieni potrzebnych do budowy łęku – Clay powiedział, że ma trochę pieniędzy, ale natychmiast usłyszał, że ma je zatrzymać.

– Zaufaj mi – powiedział Morderca – w tej okolicy wszędzie są dziury. Wiem, gdzie znaleźć kamień.

– Jak w tej wiosce – odpowiedział Clay, niemal w roztargnieniu. – Settignano.

Michael Dunbar się zatrzymał.

– Co powiedziałaś?

– Settignano.

I oto, w tej właśnie chwili, od roztargnienia do świadomości – tego, co powiedział i, co ważniejsze, do czego się ODNOSIŁ – Clay jednocześnie przyciągnął Mordercę bliżej i go od siebie odepchnął. W jednej chwili wymazał szczodrość poprzedniego wieczora: „Podoba mi się tutaj, lubię tu być” – ale jednocześnie dał poznać, że wie o wiele więcej.

Masz, pomyślał, zastanów się nad tym.

Ale więcej nie drażył.

Tuż po dwunastej trzydzieści słońce płonęło w korycie rzeki, a Clay powiedział:

– Hej, mógłbym może pożyczyć kluczyki do twojego samochodu?

Morderca ociekał potem.

Po co?

Ale powiedział:

– Jasne, wiesz, gdzie są?

Tak samo było tuż przed drugą i raz jeszcze, o czwartej.

Clay podbiegł do eukaliptusów i usiadł za kierownicą, słuchając radia. Tego dnia biegły Spectacular, później Heat i Chocolate Cake. Najlepszym miejscem, które zajęła, było piąte.

Po ostatniej gonitwie, kiedy wrócił nad rzekę, stwierdził:

– Dzięki... więcej tego nie zrobię, to był brak dyscypliny.

Michael Dunbar był rozbawiony.

– Lepiej, żebyś wziął parę nadgodzin.

– W porządku.

– Żartowałem. – Ale później znalazł dość odwagi. – Nie wiem, co tam robiłeś – niebieskozielone oczy rozjaśniły się na chwilę w cieniu kości policzkowej – ale to musi być coś ważnego. Kiedy chłopcy zaczynają porzucać sprawy, zwykle chodzi o dziewczynę.

Clay był odpowiednio osłupiały.

– Ach... jeśli chodzi o Settignano – mówił Morderca (bo w końcu rzucił go na liny) – tam właśnie Michał Anioł poznał marmur i wykuwał bryły do swoich rzeźb.

Co znaczyło:

Nie wiem kiedy.

Nie wiem jak.

Ale znalazłeś go, znalazłeś *Kamieniarza*.

Czy znalazłeś też kobietę – Abbey Hanley, Abbey Dunbar? Czy tak go zdobyłeś?

Tak.

Penny opowiedziała ci o niej, prawda?

Przed śmiercią.

Opowiedziała ci, ty ją odnalazłeś, a ona nawet dała ci książkę – i Morderca spojrział na Claya, a chłopiec sam był wyrzeźbiony, jakby stworzony z krwi i kamienia.

Jestem tutaj, powiedział Michael Dunbar.

Porzuciłem was, wiem, ale jestem tutaj.

Zastanów się nad TYM, Clay.

I on to zrobił.

## dłonie kata

W ODMEŃTACH PRZESZŁOŚCI Dunbarów minęło trzy i pół roku, a Clay leżał w łóżku, nie spał. Miał trzynaście lat. Był ciemnowłosy, chłopięcy i chudy, a bicie jego serca kłuło w bezruchu. W każdym oku miał ogień.

W jednej chwili ześlizgnął się z łóżka, był ubrany.

Miał na sobie szorty i koszulkę, bose stopy.

Uciekł do dzielnicy wyścigów, biegł ulicami i krzyczał. Robił to wszystko bez mówienia:

Tato!

TATO!

GDZIE JESTEŚ, TATO?!

Była wiosna, tuż przed brzaskiem, a on biegł w stronę ciał budynków, domniemanego umiejscowienia domów. Oświetlały go reflektory samochodów, bliźniacze duchy, a później znikwały.

Tato, zawołał.

Tato.

Jego kroki zwolniły i zatrzymał się.

Gdzie jesteś, Michaelu Dunbarze?

Wcześniej tego roku stało się:

Penelopa nie żyła.

Umarła w marcu.

Umieranie trwało trzy lata – miało trwać sześć miesięcy. Była mistrzynią w naśladowaniu Jimmy’ego Hartnella – choroba mogła ją



zabijać, ile chciała, ale Penelopa nie umierała. Jednak kiedy w końcu się poddała, od razu zaczęła się tyrania.

Patrzyliśmy na ojca z nadzieją na nadzieję, tak myślę – na odwagę i bliskość – jak uściśnięcie nas jednego po drugim albo podniesienie nas z najniższego upadku.

Ale nic takiego się nie stało:

Para z radiowozu nas opuściła.

Karetka popłynęła ulicą.

Michael Dunbar podszedł do nas wszystkich – w naszą stronę, a później na zewnątrz i daleko. Dotarł na trawnik i ruszył dalej.

Nasza piątka została porzucona na werandzie.

Pogrzeb był jednym z tych jasno oświetlonych.

Słoneczny cmentarz na wzgórzu.

Ojciec przeczytał fragment z *Iliady*:

„Wraz się imać okrętów i na morze świetliste je spychać”.<sup>[\*]</sup>

Miał na sobie ten sam garnitur co w dniu ślubu i wiele lat później, kiedy powrócił i stawiał czoła Achillesowi. Jego niebieskozielone oczy były pozbawione blasku.

Henry wygłosił mowę.

Naśladował jej udawany akcent z kuchni i ludzie się śmiali, ale miał łzy w oczach, a były tam co najmniej dwie setki dzieciaków, wszystkie z Hyperno i wszystkie w idealnych mundurkach – ciężkich, wyprasowanych, ciemnozielonych. Chłopcy i dziewczęta. Mówili o metronomie. Kilkoro nauczyła czytać. Najtwardsi znieśli to najgorzej, tak myślę. „Do widzenia pani, do widzenia pani, do widzenia pani”. Niektórzy dotykali trumny, kiedy ją mijali i wychodzili w blask.

Ceremonia odbywała się na zewnątrz.

Zabrali ją z powrotem do środka, by ją spalić.

Trumna zsuwająca się w ogień.

Przypominała trochę pianino, naprawdę, ale była brzydszą kuzynką instrumentu. Można ją było dekorować ile się chciało, wciąż pozostawała kawałkiem twardego drewna ze stokrotkami rzuconymi na wierzch. Penelopa nie chciała zostać rozsypana ani trzymana jak piasek w urnie. Ale zapłaciliśmy za nieduży pomnik – kamień, przy którym mogliśmy stać i wspominać, oglądać ją ponad miastem.

Zanieśliśmy ją po ceremonii.

Po jednej stronie szli Henry, Clay i ja. Po drugiej Michael, Tommy i Rory – zupełnie jak w drużynach piłkarskich z Archer Street – a kobieta w środku była nieważka. Trumna ważyła tonę.

Była piórkiem owiniętym w pniak.

Po zakończeniu stypy, z jej różnymi herbatami i ciasteczkami, stanęliśmy na zewnątrz budynku.

Wszyscy w czarnych spodniach.

Wszyscy w białych koszulach.

Wyglądaliśmy jak gromadka mormonów, ale bez szczodrych myśli.

Rory był wściekły i cichy.

Ja bardziej jak kolejny pomnik nagrobny, ale moje oczy błyszczały i płonęły.

Henry wyglądał na zewnątrz.

Tommy wciąż miał mokrą twarz.

I oczywiście był Clay, który stał, a później przykucnął. W dniu jej śmierci znalazł w dłoni klamerkę do bielizny i zaciskał ją, aż bolało, a później schował do kieszeni. Żaden z nas jej nie widział. Była jaskrawa i nowa – żółta – a on kompulsywnie obracał ją w palcach. Podobnie jak my wszyscy, czekał na ojca, ale ojciec zniknął. Kopaliśmy serca wokół nóg – jak ciało, miękkie i krwiste. Miasto błyszczało poniżej.

– Gdzie on jest, do diabła?

To ja zadałem w końcu to pytanie, kiedy oczekiwanie trwało już dwie godziny.

Kiedy w końcu przybył, trudno mu było patrzeć na nas, a nam na niego.

Był przygięty, złamany.

Wewnątrz garnituru był zmarnowany.

To zabawne, ten czas po pogrzebie.

Wszędzie leżą ciała i ranni.

Nasz salon bardziej przypominał oddział szpitalny, ale taki, jaki można zobaczyć w filmie. Chłopcy cali roztopieni, leżący ukośnie. Dopasowywaliśmy się do tego, na czym leżeliśmy.

Słońce nie było właściwe, ale świeciło.

Jeśli chodzi o Michaela Dunbara, zaskoczyło nas, jak szybko pojawiły się pęknięcia, nawet biorąc pod uwagę jego stan.

Nasz ojciec stał się połową ojca.

Druga połowa umarła z Penny.

Pewnego wieczora, kilka dni po pogrzebie, znów wyszedł i nasza piątka wyruszyła na poszukiwania, zaczęliśmy od cmentarza, a później pubu Naked Arms (wciąż jeszcze nie myśleliśmy logicznie).

Kiedy go znaleźliśmy, otwarcie garażu było wstrząsem, leżał obok plamy oleju, bo policja zabrała jej samochód. Jedynym, czego brakowało, była galeria Penny Dunbar, ale też on jej nigdy nie namalował, prawda?

Przez jakiś czas wciąż chodził do pracy.

Pozostali wrócili do szkoły.

Ja wtedy już od dłuższego czasu pracowałem, w firmie zajmującej się układaniem parkietów i wykładzin. Nawet kupiłem stare kombi od gościa, z którym czasem pracowałem.

Na początku ojca wzywano do szkół, a on był doskonałym powojennym szarlatanem – dobrze ubrany, starannie ogolony. Panujący nad sytuacją. Radzimy sobie, mówił, a dyrektorzy kiwali głowami, nauczyciele dawali się oszukać – nigdy do końca nie dostrzegali otchłani w jego wnętrzu. Była ukryta pod ubraniem.

Nie przypominał wielu mężczyzn, którzy uwalniali się piciem albo wybuchami i biciem. Nie, jemu łatwiej było się wycofać – był tam, ale nigdy go nie było. Siedział w pustym garażu ze szklanką, z której nigdy nie pił. Wołaliśmy go na kolację i nawet Houdini byłby pod wrażeniem. Następowало powolne, stopniowe znikanie.

Zostawił nas w taki sposób, na raty.

Jeśli chodzi o nas, chłopaków Dunbarów, przez te pierwsze sześć miesięcy sprawy wyglądały tak:

Nauczycielka z podstawówki Tommy'ego miała na niego oko.

Informowała, że sobie radzi.

Jeśli chodzi o trójkę w szkole średniej, musieli odwiedzać nauczycielkę, która pełniła również obowiązki psychologa. Przed nią był ktoś inny, ale ten gość się przeniósł i zastąpiła go prawdziwie słodka Claudia Kirkby o ciepłych ramionach. W tamtym czasie miała zaledwie dwadzieścia jeden lat. Brązowe oczy, dość wysoka. Niezbyt dużo makijażu, ale zawsze nosiła buty na obcasach. W jej sali były plakaty – Jane Austen ze sztangą i „Minerwa McGonagall jest Bogiem”. Na jej biurku leżały książki i prace, na różnych etapach sprawdzania.

Często w domu, po tym, jak się z nią zobaczyli, prowadzili te rozmowy, które prowadzą chłopcy – rozmowy, które wcale nie są rozmowami.

Henry:

– Stara dobra Claudia, co?

Rory:

– Niezłe ma nogi.

Rękawice bokserskie, nogi i piersi.

Tylko to potrafiło ich połączyć.

Ja:

– Zamknijcie się, na litość boską.

Ale ja też wyobrażałem sobie te nogi, musiałem.

Jeśli chodzi o Claudię z bliska: miała wzruszające przebarwienie na policzku, na samym środku. Jej oczy były życzliwe i brązowe. Prowadziła świetne lekcje angielskiego na podstawie *Wyspy Błękitnych Delfinów* i *Romea i Julii*. Jako pedagog dużo się uśmiechała, ale bez większego pojęcia – na studiach zrobiła krótki kurs psychologii, co sprawiło, że miała kwalifikacje do zajmowania się takimi katastrofami. Najprawdopodobniej była najnowszym nauczycielem w szkole i przekazano jej dodatkowe obowiązki – i pewnie bardziej z nadziei niż czegokolwiek innego, jeśli chłopcy mówili, że jest w porządku, bardzo chciała im wierzyć. I dwaj z nich rzeczywiście CZULI się dobrze, biorąc pod uwagę warunki, a jeden zupełnie nie.

I może to właśnie te drobiazgi w końcu zabijają – gdy miesiące opadały w stronę zimy. Patrzenie, jak przyjeżdża z pracy do domu.

Siedzi w samochodzie, czasem godzinami.

Zapylone ręce na kierownicy:

Żadnych anticoli.

Nie został ani jeden tic tac.

Opłacanie przeze mnie rachunków za wodę, zamiast przez niego.

Później za prąd.

Stanie z boku podczas weekendowych meczów:

Oglądał, ale nie widział, a później przestał się pojawiać.

Jego ramiona stały się nieobciążone – bezwładne i pozbawione znaczenia. Betonowy brzuch skruszył się jak zaprawa. To była śmierć poprzez zmianę w NIE-JEGO.

Zapominał o naszych urodzinach, nawet moich osiemnastych.

Bramie w dorosłość.

Czasami z nami jadł, zawsze zmywał naczynia, ale później wychodził na zewnątrz, z powrotem do garażu, albo stał pod suszarką na pranie, a Clay szedł tam z nim – ponieważ Clay wiedział coś, czego my nie wiedzieliśmy. To Claya bał się nasz ojciec.

Jednego z tych rzadkich wieczorów, kiedy był w domu, chłopiec znalazł go przy pianinie, wpatrującego się w zapisane klawisze, i stanął tam, blisko za nim. Jego palce zatrzymały się nad WYJDŹ.

– Tato?

Nic.

Chciał mu powiedzieć – tato, w porządku, to co się stało, jest w porządku, w porządku, nie powiem nikomu. Niczego. Nigdy. Nie powiem im.

Klamerka wciąż tam była.

Spał z nią, nigdy go nie opuszczała.

Czasem rankiem, po przeleżeniu na niej nocy, w łazience przyglądał się nodze – rysunkowi nakreślonemu na jego udzie jak od szablonu. Czasami żałował, że on nie przyjdzie do niego w ciemności i nie wyrwie go, przytomnego, z łóżka. Gdyby tylko tato przeciągnął go przez dom na tyły – nie przejmowałyby się, że jest w samych majtkach, z klamerką założoną za gumkę.

Może wtedy mógłby znów być tylko dzieckiem.

Mógłby się składać z chudych ramion i chłopięcych nóg, tak mocno uderzyłyby w słupek suszarki. Metal wbijający się w zebra. Spojrzałyby w górę, zobaczył sznurki od środka – milczące szeregi klamerek. Ciemność nie miałaby znaczenia – widziałyby jedynie kształt i kolor.

Przez wiele godzin mógłby na to pozwolić, z radością bity aż do ranka, kiedy klamerki mogłyby zaćmić miasto – a później zaatakować słońce i zwyciężyć.

Ale właśnie o to chodziło.

Ojciec nigdy nie przyszedł i go tak nie zabrał.

Nie było nic poza drobnymi zmianami.

Michael Dunbar wkrótce miał nas zostawić.

Ale najpierw zostawił nas w spokoju.

Ostatecznie minęło niemal dokładnie sześć miesięcy od dnia jej śmierci:

Jesień stała się zimą, a później wiosną, a on oszedł właściwie bez słowa.

Była sobota.

Ten moment między bardzo późno a bardzo wcześnie.

W tamtym czasie wciąż mieliśmy trypoziomowe łóżko, a Clay spał na środku. Około za kwadrans czwarta się obudził. Zobaczył go obok łóżka, odezwał się do koszulki i torsu.

– Tato?

– Idź spać.

Księżyc był między zasłonami. Mężczyzna stał nieruchomo i Clay wiedział, zamknął oczy, zrobił to, co mu kazano, ale mówił dalej.

– Odchodzisz, tato, prawda?

– Cicho.

Po raz pierwszy od miesięcy dotknął go.

Ojciec pochylił się i dotknął go, obiema rękami – dłońmi kata, to pewne – głowy i pleców. Były zapyłone i twarde. Ciepłe, ale zużyte. Kochające, ale okrutne i pozbawione miłości.

Przez długi czas został, ale kiedy Clay znów otworzył oczy, oszedł – zadanie zostało oficjalnie wykonane. Jakimś sposobem wciąż czuł

jednak dłonie, które go trzymały i dotykały głowy.

W tym domu było nas wtedy pięciu.

Śniliśmy w naszych łóżkach i spaliśmy.

Byliśmy chłopcami, ale także cudem:

Leżeliśmy tam, żyliśmy i oddychaliśmy...

Bo to była noc, kiedy nas zabił.

Zamordował nas wszystkich w łóżkach.

---

[\*] Homer, *Iliada*, tłum. Ignacy Wieniewski, Wydawnictwo Literackie 1984, s. 27 (przyp. tłum.).



## arkansas

W SILVER, w suchym korycie rzeki, budowali z dni tygodnie, z tygodni miesiąc. Clay doszedł do kompromisu – wracał do domu i Surrounds w soboty, ale tylko kiedy Michael pracował w kopalni.

Poza tym wstawali każdego dnia przed wschodem słońca.

Wracali długo po zapadnięciu zmroku.

Kiedy nadeszła zima, zapalali ogniska i pracowali wiele godzin w nocy. Owady już dawno ucichły. Były chłodne czerwone zachody słońca i zapach dymu aż do poranka, i bardzo powoli, bardzo pewnie, powstawał most – choć nie było go jeszcze widać. Koryto rzeki przypominało bardziej sypialnię nastolatka, ale zamiast skarpetek i ubrań leżały sterty przekopanej ziemi i drewniane kratownice.

Każdego ranka o świcie przybywali i stali tam.

Chłopiec, mężczyzna i dwa kubki kawy.

– Więcej nie potrzeba – powiedział, ale wiedzieli, że Morderca kłamie.

Potrzebowali też radia.

W piątek pojechali do miasta.

Znalazł je w Stowarzyszeniu Miłosierdzia św. Wincentego a Paulo.

Było długie, czarne i wyglądało na zniszczone – zepsuta kieszonka na kasety jakimś sposobem działała, ale trzeba było ją do tego zmusić masą plastyczną Blu-Tack. W środku znajdowała się nawet kaseta – domowa składanka najlepszych przebojów Rolling Stones.

Jednak w każdą środę i sobotę antena zawsze wystawała na zewnątrz pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Morderca wkrótce się dowiedział – wiedział, które gonitwy mają znaczenie.

W przerwach, kiedy Clay wracał do domu na Archer Street, był wstrząsająco żywy i zużyty, był zapyłony. Kieszenie miał pełne kurzu. Zabierał ubrania, kupował buty, a one były brązowe, później beżowe, później wyblakłe. Zawsze zabierał radio, a jeśli ścigała się na Hennessey, szedł tam. Jeśli była gdzie indziej – Rosehill, Warwick Farm albo Randwick – słuchał w środku, w kuchni albo samotnie na tyłach, na werandzie. Później czekał na nią na Surrounds.

Szła tam i kładła się z nim.

Opowiadała mu o koniach.

Patrzył na niebo i nie wspominał o tym, że żaden z jej wierzchowców nie wygrywał. Widział, jak bardzo jej to ciąży, ale wypowiedzenie na głos jeszcze by pogorszyło sytuację.

Było zimno, ale nie narzekali, leżeli w dżinsach i grubych kurtkach. Jej układanka podświetlonych krwią piegów. Czasami zakładała kaptur, spod którego wymykały się kosmyki. Łaskotały go po szyi. Zawsze znalazła sposób.

Cała Carey Novac.

W lipcu, wieczorem przed wyjazdem do kopalni, Michael Dunbar zostawił nowe notatki, do dołączenia do planów rusztowania i wymiarów form i łuków. Clay uśmiechnął się na widok rysunku krążyny. Ale niestety, musiał znów zacząć kopać – tym razem, by wybudować rampę, do dostarczania bloków kamienia.

Wbił się w ściany koryta i delikatnie wymodelował drogę – nie chodziło jedynie o most, ale o wszystko, co go otaczało – a on pracował

nad tym, nawet ciężiej, kiedy pozostawał sam w rzece. Pracował i słuchał, i zataczał się do środka. Osuwał się na zapadniętą kanapę.

Od Settignano zawarli niewypowiedziane porozumienie.

Morderca o tym nie wspominał.

Nie pytał, czego dowiedział się Clay:

Ile o *Kamieniarzu* i Michale Aniele? I Abbey Hanley, Abbey Dunbar? I malarstwie? JEGO malarstwie.

Pod nieobecność Michaela Clay czytał swoje ulubione rozdziały i ulubione rozdziały Carey.

Dla niej wciąż były to te wcześniejsze:

Miasto i wychowanie.

Nos złamany, kiedy był nastolatkiem.

Rzeźbienie *Piety*, Chrystusa – tak płynnego – w ramionach Maryi.

Dla Claya – wciąż *Dawid*.

*Dawid i Jeńcy*.

Kochał ich tak samo jak jego ojciec.

Kochał też inny z opisów z książki, miejsca, gdzie dziś stoją te rzeźby – we Florencji w Akademii.

*Dziś Dawid pozostaje na końcu korytarza galerii, w kopule światła i przestrzeni. Wciąż w szponach zdecydowania: wiecznie przestraszony, wiecznie wyzywający i decydujący. Czy jest zdolny zaatakować potęgę Goliata? Patrzy nad nami, daleko, a Jeńcy czekają w pewnej odległości. Przez stulecia walczyli i czekali – aby rzeźbiarz powrócił i ich ukończył – i muszą poczekać jeszcze kilka stuleci...*

W domu, kiedy tam był, wieczorami czasem szedł na dach. Czasami czytał, siedząc na jednym końcu kanapy, a ja na drugim.

Często wszyscy razem oglądaliśmy filmy.

Czasami seans podwójny:

*Misery* i *Mad Max 2*.

*Miasto Boga*.

(– Co takiego? – zawołał z kuchni Henry. – Chyba nie coś zrobionego dla odmiany w tym STULECIU!).

A później, dla równowagi, *Dziewczyna z komputera*.

(– Już trochę lepiej, do cholery, 1985!).

Ten ostatni też był prezentem, tym razem urodzinowym, wspólnie od Rory'ego i Henry'ego.

Wieczór drugiego podwójnego seansu był wspaniały.

Wszyscy siedzieliśmy, gapiliśmy się z otwartymi ustami i oglądaliśmy.

Slumsy Rio nas rozłożyły.

A później podziwialiśmy Kelly LeBrock.

– Hej – powiedział Rory – cofnij ten kawałek! – I: – To gównu powinno dostać Oscara!

Nad rzeką, przy radiu, w czasie garstki, a później dziesiątek wyścigów, jej pierwsze zwycięstwo pozostawało nieuchwytnie. Tamto pierwsze popołudnie na Hennessey – kiedy zjechała na bok i przegrała z powodu protestu – wydawało się nagle odległe o wiele lat, choć dość bliskie, by wciąż palić.

Raz, kiedy pędziła po torze na klaczy nazwanej Stun Gun, dżokej przed nią wypuścił bat, który trafił ją pod brodą. Na chwilę straciła koncentrację, a jej koń impet.

Ukończyła gonitwę jako czwarta, ale żywa i wkurzona.

W końcu jednak nadeszło, musiało.

Środowe popołudnie.

Gonitwa odbywała się w Rosehill, a koń był długodystansowcem i nazywał się Arkansas.

Clay był sam w korycie.

W mieście padało od wielu dni, a ona trzymała konia po wewnętrznej stronie toru.

Podczas gdy inni dżokeje prowadzili swoje konie, całkiem słusznie, po solidniejszym gruncie na zewnątrz, Carey posłuchała McAndrew.

Powiedział jej mądrze i oschle:

– Poprowadź go przez breję, dzieciaku. Trzymaj go przy barierce, chcę prawie widzieć na nim ślady farby, kiedy dobiegniesz do mety, jasne?

– Jasne.

Ale McAndrew dostrzegł w niej wątpliwości.

– Posłuchaj, nikt tam nie biegł przez cały dzień, może was utrzymać, a on będzie biegł kilka kroków krócej.

– Peter Pan raz wygrał tak puchar.

– Nie – poprawił ją – wcale nie, odwrotnie, pobiegł szeroko, ale cały tor był jedną wielką breją.

Dla Carey był to rzadki błąd, pewnie zdenerwowanie, a McAndrew jedynie uśmiechnął się półgębkiem – w dni wyścigów nigdy nie robił więcej. Wielu z jego dżokejów nie wiedziało nawet, kim był Peter Pan. Koń ALBO postać literacka.

– Po prostu wygraj to cholerstwo.

I tak zrobiła.

W korycie rzeki Clay się radował.

Położył dłoń na desce rusztowania. Słyszał, jak pijacy mówią rzeczy w stylu „Daj mi cztery piwa, a nie przestanę się uśmiechać” i tak się właśnie czuł.

Zwyciężyła.

Wyobraził sobie, jak odprowadza konia, i blask, i wskazówki zegara, McAndrew. W radiu mieli wkrótce przenieść się do Flemington, daleko na południu, i komentator skończył ze śmiechem. Powiedział:

– Popatrzcie na nią, dżokejkę, ona ściska twardego starego trenera... i SPÓJRZCIE NA MCANDREW! Czy widzieliście, żeby ktoś kiedyś wyglądał tak NIEZRĘCZNIE?

Radio się śmiało i Clay też.

Przerwa i powrót do pracy.

Następnym razem, kiedy wrócił do domu, myślał i marzył w pociągu. Obmyślił wiele wspaniałych chwil świętowania zwycięstwa Arkansas, ale powinien wiedzieć, że zawsze będzie inaczej.

Poszedł prosto na trybuny Hennessey.

Patrzył, jak zdobywa dwa czwarte i trzecie. A później drugie zwycięstwo. Sprinter imieniem Blood on the Brain, należący do bogatego przedsiębiorcy pogrzebowego. Najwyraźniej wszystkie jego konie nosiły imiona śmiertelnie niebezpiecznych chorób: Embolism, Heart Attack, Aneurysm. Jego ulubieńcem była Influenza<sup>[\*]</sup>.

– Bardzo niedoceniana – mawiał – ale zabójcza.

Jeśli chodzi o Blood on the Brain, prowadziła go łagodnie i spokojnie, i minęła zakręt. Kiedy się zbliżyła, Clay obserwował McAndrew.

Był napięty, ale podekscytowany w swoim granatowym garniturze.

Niemal mógł odczytać z ruchu jego warg.

– Nawet nie próbuj mnie uścisnąć.

– Nie martw się – powiedziałyby – nie tym razem.

Później Clay poszedł do domu.

Przeszedł przez bramy Hennessey, między dymem z parkingu i jaskrawoczerwonymi rzędami tylnych świateł. Skręcił na Gloaming Road, która była odpowiednio hałaśliwa i zatłoczona.

Ręce w kieszeniach.

Miasto składające się w sobie, wieczorem, a później...

– Hej!

Odwrócił się.

– Clay!

Wyłoniła się zza furtki.

Przebrała się ze stroju dżokeja w dzinsy i koszulkę, ale była boso. Jej uśmiech, znowu, jak ostatnia prosta.

– Czekaj, Clay! Czekaj... – I czuł jej gorąco i krew, kiedy go dogoniła, i stanęła pięć metrów od niego, a on powiedział do niej:

– Blood on the Brain. – Później uśmiechnął się i powiedział: – Arkansas.

Przeszła przez ciemność i prawie na niego skoczyła.

Niemal przewróciła go na ziemię.

Jej bicie serca jak front burzowy – ale ciepłe, wewnątrz jego kurtki – i ten ruch uliczny wciąż uwięziony, wciąż nieruchomy.

Uścisnęła go strasznie mocno.

Ludzie przechodzili obok i widzieli, ale żadnego z nich to nie obchodziło.

Trzymała stopy na jego butach.

Co powiedziała w sadzawce jego kości obojczykowej.

Poczuł belki jej kościstej klatki piersiowej, samoistne rusztowanie, gdy ścisnęła go mocno i samotnie.

– Tęskniłam za tobą, wiedziałeś?

Ścisnął ją i to bolało, ale podobało im się – a miękkość jej piersi stwardniała spłaszczona.

Powiedział:

– Ja też za tobą tęskniłem.

Kiedy się rozsunęli, spytała go:

– Później?

– Oczywiście – powiedział. – Pójdę tam.

Mieli tam pójść i zachować dyscyplinę – ich zasady i reguły, niewypowiedziane, ale zawsze wyczuwane. Łaskotała go, ale nic poza tym. Nic poza powiedzeniem mu wszystkiego i niepowiedzeniem mu, że to było najlepsze – jej stopy na jego.

---

[\*] Krwiak Mózgu, Zator, Atak Serca, Tętniak, Grypa (przyp. tłum.).



## poszukiwacze

W PRZESZŁOŚCI pozostały tężejące fakty.

Nasza matka umarła.

Ojciec uciekł.

Clay zaczął go szukać po tygodniu.

W okresie poprzedzającym z każdą mijającą minutą coś w nim narastało, ale nie wiedział do końca co – przypominało zdenerwowanie przed meczem, ale nigdy się nie rozpraszało. Może różnica polegała na tym, że mecze rozgrywano. Wbiegał na boisko, gra się zaczynała i kończyła. Ale nie to. To był nieustający początek.

Jak my wszyscy, Clay tęsknił za nim w dziwnie ograny sposób.

Wystarczająco ciężko tęskniło się za Penny.

W jej przypadku przynajmniej wiedzieliśmy, co z tym zrobić. Piękno śmierci – jest wyraźnie określona. Z naszym tatą było zbyt wiele pytań, a myśli o wiele bardziej niebezpieczne:

Jak mógł nas opuścić?

Dokąd poszedł?

Czy nic mu się nie stało?

Tamtego ranka tydzień później, kiedy Clay odkrył, że nie śpi, wstał i ubrał się w pokoju. Wkrótce wyszedł na zewnątrz, musiał wypełnić tę przestrzeń. Jego reakcja była nagła i prosta.

Wyszedł na ulicę i pobiegł.

Jak już mówiłem, wołał Tato! TATO! GDZIE JESTEŚ, TATO?!

Ale nie był zdolny krzyczeć.

To był chłodny wiosenny ranek.

Kiedy wyslizgnął się z domu, biegł ze wszystkich sił, a później szedł w półmroku. Pełen strachu i ekscytacji nie wiedział, dokąd idzie. Kiedy zaczął wołać wewnątrz siebie, wkrótce zrozumiał, że się zgubił. Miał szczęście i zabłąkał się z powrotem do domu.

Czekałem na werandzie.

Zszedłem na dół i chwyciłem go za szyję.

Przyciskałem go do siebie jedną ręką.

Jak już mówiłem, skończyłem osiemnaście lat.

Pomyślałem, że powinienem spróbować odpowiednio się zachowywać.

– W porządku? – spytałem, a on pokiwał głową.

Ściskanie w żołądku złagodniało.

Kiedy zrobił to po raz drugi, następnego dnia, nie byłem aż tak wyrozumiały – znów sięgnąłem po jego szyję, ale powlokłem go przez trawnik.

– Do diabła, co ty sobie myślisz? Co ty wyprawiasz?

Ale Clay był szczęśliwy, nic nie mógł na to poradzić. Znów to stłumił, na chwilę.

– Czy ty w ogóle mnie słuchasz?

Zatrzymaliśmy się przed siatkowymi drzwiami.

Chłopak miał brudne bose stopy.

– Musisz mi obiecać.

– Co obiecać?

Po raz pierwszy zauważył tam krew, jak rdzę między palcami stóp – spodobała mu się i uśmiechnął się, bardzo podobała mu się ta krew.

– Domyśl się, do cholery! Przestań znikać, do diabła!

Wystarczy, że ON zniknął.

Pomyślałem tak, ale nie umiałem jeszcze tego wypowiedzieć.

– W porządku – powiedział. – Nie zrobię tego.

Clay obiecał.

Clay skłamał.

Robił to co rano przez wiele tygodni.

Czasami wychodził, szukaliśmy go.

Z perspektywy czasu zastanawiam się dlaczego.

Nie był w skrajnym niebezpieczeństwie – co najwyżej mógłby się znów zgubić – ale z jakiegoś powodu wydawało się to ważne, jeszcze jedna próba trzymania się razem. Straciliśmy matkę, a później ojca, więc nie mogliśmy stracić nic więcej. Po prostu nie zamierzaliśmy na to pozwolić. Ale też nie zamierzaliśmy być dla niego mili – po powrocie spuszczałyśmy mu łomot, był zdany na łaskę Rory’ego i Henry’ego.

Problem, nawet wtedy, polegał na tym, że nie miało znaczenia, jak wielką zrobiliśmy mu krzywdę – nie mogliśmy naprawę go skrzywdzić. Albo jak mocno go trzymaliśmy – nie mogliśmy go utrzymać. Następnego dnia znów zniknął.

Raz go nawet znaleźliśmy.

Był wtorek, siódma rano.

Wiedziałem, że spóźnię się do pracy.

Miasto było chłodne i pochmurne, i to Rory go dostrzegł. Znajdowaliśmy się kilka kwartałów na wschód, w miejscu, gdzie Rogilla zbiegała się z Hydrogen Avenue.

– Tam! – powiedział.

Goniliśmy go do Ajax Lane, z rzędem skrzynek mleka, i popchnęliśmy go na płot – w kciuk wbiły mi się zimne szare drzazgi.

– Cholera! – krzyknął Henry.

– Co?

– Chyba mnie ugryzł!

– To sprzączka mojego paska.

– Przyciśnij to kolano!

Clay tego nie wiedział, ale gdzieś w głębi duszy złożył przysięgę – nigdy więcej nie zostanie przyszpilony w taki sposób, a przynajmniej nie tak łatwo.

Jednak tamtego szczególnego ranka, kiedy popychaliśmy go ulicami, popełnił również błąd:

Myślał, że to już koniec.

Tak nie było.

Jeśli Michael Dunbar w ciągu poprzednich miesięcy nie powlókł go przez dom, ja mogłem mu pomóc – popchnąłem go korytarzem, wyrzuciłem na tył i z hukiem oparłem drabinę o rynnę.

– Tam – powiedziałem. – Włóż.

– Że co... na dach?

– Zrób to albo połamię ci nogi. Zobaczysz, jak wtedy będzie ci się biegać...

A jego serce ścisnęło się jeszcze bardziej, bo kiedy wszedł na szczyt dachu, zobaczył dokładnie to, co miałem na myśli.

– Rozumiesz? Widzisz, jak wielkie jest miasto?

Przypominało mu to coś sprzed pięciu lat, kiedy chciał zrobić projekt na temat każdego sportu na świecie i poprosił Penelopę o nowy zeszyt. Wydawało mu się, że musi jedynie wyliczyć każdy sport, jaki znał, do połowy pierwszej strony wypisał osiem żalonych pozycji i pojął, że to beznadziejne – a teraz uświadomił sobie to:

Tam na górze miasto się zwielokrotniało.

Widział wszystkie jego strony.

Było ogromne, potężne i wielgachne. Było każdym wyrażeniem, które kiedykolwiek słyszał, a które opisywało coś niepokonanego.

Przez chwilę albo dwie prawie mi było go żal, ale musiałem mu to wbić do głowy.

– Możesz pobiec tak daleko, jak tylko chcesz, dzieciaku, ale nigdy go nie znajdziesz. – Spojrzałem na domy, niezliczone skosy dachów. – On odszedł, Clay, zabił nas. Zamordował nas. – Zmusiłem się, by to wypowiedzieć. Zmusiłem się, by mi się to spodobało. – Z tego, czym byliśmy... nie pozostało nic.

Niebo było szare jak koc.

Wokół nas nic poza miastem.

Obok mnie chłopiec i jego stopy.

„Zabił nas” wisiało między nami i wiedzieliśmy, że jakimś sposobem jest realne.

Tego dnia narodził się przydomek.

## koń z riveriny

OD CZASU PARKINGU Hennessey zostało wprowadzone w ruch coś nowego. Na powierzchni wszystko wydawało się normalne, zima w pełni – ciemne poranki, czysty słoneczny blask – i most, i niestrudzone budowanie.

W regularnych kolejnych gonitwach Carey wygrała cztery razy, co zwiększyło sumę do sześciu. Jak zawsze wychodziła z radia – uwielbiała siedzieć i wyobrażać ją sobie. Były również trzy trzecie miejsca, ale żadnego drugiego. Dziewczyna nie była zdolna do zajęcia drugiego miejsca.

W środy, kiedy Michaela nie było, a Clay tęsknił bardziej niż zwykle, zabierał radio i skrzyneczkę między drzewa. Trzymał zapalniczkę i trzymał klamerkę. Uśmiechał się do żelazka i pióra. Siedział pośród zrzuconych pasm kory, przypominających modele lub odlewy części ciała, ramion i łokci. Czasem wstawał na ostatniej prostej:

Dalej, Carey, prowadź go do mety.

Kawalkada koni:

Kiama, Narwee i Engadine.

(Wydawało się, że ma dryg do nazw miejscowych).

Lawnmower. The Kingsman.

Czasami znów War of the Roses.

Powodowała nim bez bata.

Później nadszedł koń i dzień, kiedy dżokej wycofał się z wyścigu – wybity bark. To Carey dostała jego wierzchowca. Konia nazwano na

część miasteczka w głębi Riveriny – i wszystko miało się dla niej zmienić i zmienić przebieg spraw tutaj.

Koń imieniem Cootamundra.

Był już sierpień i rankami temperatura spadała prawie do zera. Wszędzie było drewno i roboty ciesielskie. Sterty bloków i kamieni. Pracowali w milczeniu gołymi rękami i wyglądało to tak, jakby budowali trybunę, może w pewnym sensie to robili.

Przytrzymał mu wielkie deski.

– Nie tam – powiedział Michael Dunbar. – TAM.

Poprawił.

Wieczorami, kiedy ojciec wrócił już do domu, Clay często pozostawał w korycie rzeki. Heblował drewno tam, gdzie trzeba je było oheblować i dla precyzji tarł kamieniem o kamień. Czasami Michael wynosił herbatę, siedzieli na kamieniach i patrzyli, otoczeni drewnianymi monolitami.

Czasem wspinał się na krążyne, która rosła z każdym dniem, każdym łękiem. Pierwsza była właściwie próbną formą (krążyne dla krążyne), a druga została wybudowana szybciej i lepiej – uczyli się w praktyce. Więcej niż raz pomyślał o fotografii – tej słynnej, przedstawiającej Bradfielda, człowieka, który stworzył plany Wieszaka. Wielki łuk prawie się połączył, a on stał jedną nogą po obu stronach. Poniżej przerwa, jak śmierć.

Jak zawsze słuchał radia, odtwarzali obie strony kasyty. Było na niej wiele kultowych kawałków, najbardziej podobał mu się *Beast of Burden*, „zwierzę juczne” – może jako hołd dla Achillesa, ale bardziej prawdopodobne, że błaganie do Carey zakopanej wewnątrz piosenek.

Później nadeszła sobota, pod koniec miesiąca, a w radiu transmitowali wyścigi. W szóstej gonitwie pojawił się problem przy

barierkach. Koń imieniem Now You're Dreaming. Dżokejem był Frank Eltham, a konia spłoszyła mewa i zrobiło się piekielne zamieszanie. Eltham dobrze się trzymał, ale kiedy myślał już, że ma sytuację pod kontrolą, koń wierzgnął po raz ostatni i było po wszystkim – wybił sobie bark.

Koń był poharatany, ale przeżył.

Dżokeja zabrano do szpitala.

W ostatniej gonitwie tego dnia miał jechać na prawdziwie obiecującym koniu – dobrze się zapowiadającym Cootamundrze – a właściciel zwrócił się do trenera, żeby McAndrew zdobył mu najlepszego.

– Nie ma już nikogo do zdobycia. Więcej nie mam.

Wszyscy doświadczeni dżokeje byli już zajęci – musiała im wystarczyć uczennica.

Stary mężczyzna rzucił za siebie:

– Hej, Carey.

Nie mogła się doczekać gonitwy.

Kiedy dostała czerwono-zielono-biały strój, poszła prosto do Sracza – tak nazywano przebieralnię kobiet dżokejów, bo tym właśnie była, starą toaletą – i wyszła gotowa do wyścigu.

I wiedziała.

Ten koń miał zwyciężyć.

Czasami, mówiła, po prostu się to czuje.

McAndrew też to czuł.

Mówił cicho, ale miażdżąco dobitnie:

– Zabierz go na czoło i nie zatrzymuj się, aż wypadniesz na Gloaming Road.

Carey Novac pokiwała głową.

Klepnął ją w plecy, kiedy odchodziła.



W Silver, nad Amahnu, usłyszeli o najnowszej zmianie, a kiedy Clay przerwał pracę nad krążyną, Michael Dunbar zrozumiał w pełni.

To ona.

Carey Novac.

Tak się nazywa.

Przez całą gonitwę siedzieli i słuchali, i było dokładnie tak, jak powiedział McAndrew – zabrała go na czoło. Koń nie został ani razu wyprzedzony. Był duży, ciemnobrązowy – gniadosz. Był odważny i wybiegany. Wygrał o dobre cztery długości.

Oto, co wydarzyło się później.

Przez cały wrzesień, nad rzeką, kiedy Michael wracał z kopalni, ściskali sobie ręce i pracowali jak szaleńcy.

Cięli, mierzyli i piłowali.

Odcinali krawędzie kamieni, pracowali w idealnym rytmie.

Kiedy skończyli pracę nad systemem bloczków, sprawdzili obciążenie pachą łuku. Pokiwali z zadowoleniem głowami – lekko, a później w pełni – liny były wytrzymałe jak Trojanie, a koła z przecenionej stali.

– Czasem kopalnie są dla nas dobre – powiedział Michael, a Clay mógł jedynie przytaknąć.

Były chwile, kiedy dostrzegali zmianę światła – słońce połknięte na niebie. Nad górami spotykały się ciemne chmury, a później najwyraźniej powoli odchodziły. Nie miały tu jeszcze nic do roboty, ale ich czas z całą pewnością nadchodził.

Planowali wówczas pokrycie – co położyć na wierzchu.

– Drewno? – spytał Michael Dunbar.

– Nie.

– Beton?

Nic poza piaskowcem się nie nadawało.

A oto, co wydarzyło się później:

Właściciel pokochał dzokejkę.

Nazywał się Harris Sinclair.

Mówił, że była nieustraszona i miała szczęście.

Lubił jej gadatliwe włosy (można by pomyśleć, że to włosy mówią, tak powiedział) i że była chuda i prawdziwa.

W okresie poprzedzającym wiosenne święto Cootamundra zwyciężył dwa razy przeciwko lepszej, bardziej doświadczonej stawce. Powiedziała Clayowi, że uwielbia takie biegnące na przedzie konie, że były najodważniejsze. Był wietrzny sobotni wieczór. Ich dwoje na Surrounds.

– On po prostu wychodzi i biegnie – powiedziała, a wiatr poderwał jej słowa do góry.

Nawet kiedy przybiegł drugi (pierwszy raz w karierze Carey), właściciel dał jej prezent – świeżo kupione piwo na pocieszenie.

– Naprawdę? – powiedział stary McAndrew. – Dawaj tu to cholerstwo.

– O cholera... przepraszam, dzieciaku.

Był jednym z tych twardych biznesmenów, prawnikiem – o donośnym głosie, dominującym – i zawsze wyglądał, jakby właśnie zjadł lunch, i to z całą pewnością dobry.

W październiku most powoli nabierał kształtu i zaczynały się prestiżowe wiosenne wyścigi.

Częściowo w domu, ale głównie na południu we Flemington i na innych legendarnych torach w tamtej okolicy – jak Caulfield, Moonee Valley.

McAndrew zabierał trzy konie.

Jednym był Cootamundra.

Wdał się w dyskusję z Sinclairem. Choć właściciel wcześniej uważał Carey za obiecującą – i spodziewał się, że chwała spłynie też na niego – drugie miejsce skłoniło go do namysłu. Do tej pory w gonitwach często korzystali z ulgi wagi, ponieważ dzokejka była dopiero uczennicą. Nie dotyczyło to wielkich wyścigów. Pewnego popołudnia ich usłyszała – było to w biurze McAndrew, pełnym harmonogramów i niemytych talerzy po śniadaniu. Carey stała na zewnątrz, podsłuchiwała z uchem przyciśniętym do moskitiery.

– Posłuchaj, jedynie badam możliwości, w porządku? – powiedział donośnym głosem Harris Sinclair. – WIEM, że ona jest dobra, Ennisie, ale to grupa pierwsza.

– To wyścig konny.

– To puchar Sunline-Northerly Stakes!

– Tak, ale...

– Ennis, posłuchaj...

– Nie, to ty posłuchaj. – Głos stracha na wróble ją przeszył. – To nie ma nic wspólnego z uczuciami, po prostu ona jest jeźdźcem tego konia i tyle. Jeśli w ciągu najbliższych trzech tygodni zostanie ranna, zawieszona albo zamieni się w cukiernię, w porządku, zmienimy ją, ale teraz? Nie zamierzam naprawiać czegoś, co się nie popsuło. Musisz mi zaufać, w porządku?

Zapadła pełna wątpliwości cisza jak przepaść, aż w końcu McAndrew znów się odezwał.

– Zresztą, kto tu jest cholernym trenerem?

– W porządku... – powiedział Harris Sinclair, a dziewczyna zatoczyła się do tyłu i pobiegła.

Zapomniała o rowerze przywiązany do parkanu i pobiegła do domu do Teda i Catherine. Nawet w nocy dreszcz był zbyt wielki, nie mogła spać, więc uciekła, wyszła, położyła się samotnie na Surrounds.

Niestety, tym, czego nie usłyszała, były następne wypowiedziane słowa.

– Ale, Ennisie – powiedział Harris Sinclair – to ja jestem właścicielem.

Była blisko, tak blisko, i została zastąpiona.

## przetrawianie chłopaków dunbarów

TUTAJ, NA ARCHER STREET NUMER 18, pozostało nas pięciu.

Byliśmy chłopakami Dunbarów, żyliśmy dalej.

Każdy na swój sposób.

Clay oczywiście był tym cichym, ale przede wszystkim tym dziwnym – tym, który biegał po dzielnicy wyścigów, i chłopcem, którego można było znaleźć na dachu. Popełniłem błąd, zabierając go tamtego dnia na górę siłą – zmienił to w nawyk. Jeśli chodzi o bieganie po przedmieściach, wiedzieliśmy teraz, że zawsze wróci, żeby posiedzieć z dachówkami i widokiem.

Kiedy spytałem, czy mogę pobiegać razem z nim, wzruszył ramionami i wkrótce tak się stało:

To był trening, to była ucieczka.

To był doskonały ból i szczęście.

Najpierw, pomiędzy, był Rory.

Postawił sobie za cel wyrzucenie ze szkoły – już od zerówki chciał odejść i zamierzał wykorzystać okazję. Postawił sprawę jasno, że nie jestem jego opiekunem albo rodzicem, który stał się rodzicem przez wrogie przejęcie. Był szczery i nieugięty:

Wandalizm. Nieustanne wagary.

Mówienie nauczycielom, gdzie mogą sobie wsadzić prace domowe.

Alkohol na terenie szkoły.

(„To tylko piwo, nie rozumiem, co was tak zdenerwowało!”).

Oczywiście, jedyną dobrą rzeczą, jaka z tego wynikła, było moje spotkanie z Claudią Kirkby, kiedy został zawieszony po raz pierwszy.

Pamiętam, jak zapukałem do jej drzwi i wszedłem do środka, i wypracowania rozrzucone na biurku. Coś na temat *Wielkich nadziei*, a to na wierzchu zostało ocenione na cztery punkty na dwadzieścia.

– Jezu, to nie jest praca Rory’ego, prawda?

Spróbowała je uporządkować.

– Nie, Rory dostał JEDEN na dwadzieścia... za samo oddanie pracy. To, co napisał, było całkowicie bezwartościowe.

Ale nie byliśmy tu z powodu wypracowania.

– Zawieszony? – spytałem.

– Zawieszony.

Była szczerą, ale bardzo przyjazną, zadziwiało mnie, że mówi z takim humorem. Zawieszenie nie było tematem do żartów, ale w tonie jej głosu coś się kryło. Chyba mnie uspokajała. W tym miejscu niektórzy uczniowie dwunastej klasy wyglądali na starszych od niej, co dziwnie mnie uszczęśliwiało – gdybym nie odszedł wcześniej, skończyłbym szkołę w ubiegłym roku. Z jakiegoś powodu wydawało się to ważne.

Wkrótce jednak przeszła do rzeczy.

– Czyli nie ma pan nic przeciwko zawieszeniu?

Pokiwałem głową.

– A pański...

Widziałem, że ma zamiar powiedzieć „ojciec”. Nie poinformowałem jeszcze szkoły, że nas opuścił, mieli się tego dowiedzieć w swoim czasie.

– Obecnie wyjechał... a poza tym myślę, że mogę się tym zająć.

– Ma pan...

– Osiemnaście lat.

Nie musiałem się tłumaczyć, zwłaszcza że wyglądałem na odrobinę starszego, a może tylko mi się wydawało. Dla mnie Clay i Tommy

zawsze wyglądali na młodszych niż w rzeczywistości. Nawet teraz, po tak długim czasie, muszę sobie przypominać, że Tommy nie ma sześciu lat.

Rozmawialiśmy w jej sali.

Powiedziała mi, że to tylko dwa dni.

Ale później, oczywiście, ta DRUGA sprawa.

Z pewnością robiły wrażenie – jej łydki, jej golenie – ale nie były takie, jak sobie z początku wyobrażałem. Były po prostu, nie wiem, jej. Nie da się tego inaczej opisać.

– Widział się pan więc z dyrektorem? – przerwała, bo zatonałem w spojrzeniu w dół. Kiedy podniosłem wzrok, zobaczyłem pismo na tablicy. Porządne i zaokrąglone, pochyłe. Coś o Ralphie i Prosiaczku, motywach chrześcijańskich. – Rozmawiał pan z panią Holland?

Znów pokiwałem głową.

– I, wie pan, muszę zadać to pytanie. Czy to... czy myśli pan, że to z powodu...

Zatonałem w ciepłe jej oczu.

Była jak poranna kawa.

Wróciłem do siebie.

– Śmierci naszej matki?

Nie powiedziała wtedy nic więcej, ale też nie odwróciła ode mnie wzroku. Odezwałem się do biurka i leżących kartek.

– Nie. – Chciałem nawet sięgnąć po jedną z nich, przeczytać, ale powstrzymałem się w ostatniej chwili. – Zawsze taki był, sądzę, że teraz podjął decyzję.

Jeszcze dwa razy został zawieszony, co oznaczało kolejne odwiedziny w szkole – i jeśli mam być szczery, nie narzekałem.

Rory na szczytach romantyzmu.

Puk z parą pięści.

Następnie Henry, a Henry był na najlepszej drodze.

Chudy jak patyk. Żyłasty umysł.

Jego pierwszym genialnym posunięciem było zarabianie w Naked Arms. Byli tam sami pijacy w średnim wieku, stojący przed wejściem. Zauważył, że wszyscy mieli ze sobą psy, a psy miały nadwagę – równie cukrzykowe, co ich właściciele.

Kiedy on, Clay i Rory wracali jednego wieczora ze sklepów, postawił torby z zakupami na ziemi.

– Co ty wyprawiasz, do diabła? – spytał Rory. – Podnieś te cholerne siaty.

Henry spojrzał.

– Popatrz na tych gości. – Miał czternaście lat i gadane. – Popatrz, wszyscy powiedzieli swoim starym, że idą na spacer z psem.

– Co?

– No popatrz, oczu nie masz? Wychodzą na spacer, ale idą do pubu i piją. Popatrzcie na te retrievery! – Teraz podszedł bliżej. Posłał im swój krzywy uśmiech, po raz pierwszy, ale nie ostatni. – Któryś z was, leniwych skurczybyków, chciałby, żebym wyprowadził wam psy?

Oczywiście, pokochali go, zakochali się w nim.

Rozbawiła ich czysta bezczelność.

Przez wiele miesięcy co wieczór zarabiał dwadzieścia dolców.

Później Tommy i to, co miało nadejść.

Tommy zgubił się w mieście – próbował znaleźć muzeum.

Miał dopiero dziesięć lat, a nam wystarczyło, że Clay zniknął, choć Tommy przynajmniej zadzwonił. Był w budce telefonicznej wiele mil od domu i pojechaliśmy, żeby go zabrać.

– Hej, Tommy! – zawołał Henry. – Nie wiedziałem, że wiesz, do czego służy budka telefoniczna.



Było świetne, to popołudnie. Jeździliśmy przez kilka dobrych godzin, przez miasto i wzdłuż wybrzeża. Obiecaliśmy, że któregoś dnia go tam zabierzemy.

Jeśli chodzi o Claya i mnie, trening zaczął się pewnego ranka.

Złapałem go w połowie ucieczki.

Świtało, a on wyszedł przez frontowe drzwi i jeśli był zaskoczony, widząc mnie przy skrzynce na listy, udało mu się tego nie okazać, swobodnie przeszedł obok. Przynajmniej wtedy nosił już buty.

– Chcesz, żebym ci potowarzyszył? – spytałem.

Wzruszył ramionami, odwrócił wzrok i pobiegliśmy.

Biegaliśmy razem każdego ranka, ja wracałem do kuchni i piłem kawę, a Clay wracał na dach – i szczerze mówiąc, zrozumiałem, co go pociąga.

Najpierw nogi płonęły bólem.

Później gardło i płuca.

Wiedzieliśmy, że dobrze biegniemy, kiedy czuliśmy to w ramionach.

Biegliśmy w górę na cmentarz. Biegliśmy Poseidon Road. Na Carbine biegliśmy środkiem – raz zatrąbił na nas samochód, a my się rozdzieliliśmy, skręciliśmy, każdy w swoją stronę. Deptaliśmy zgniłe plumerie. Z cmentarza oglądaliśmy miasto.

Były też inne świetne ranki, kiedy widzieliśmy bokserów z Tri-Colors podczas wczesnych treningów na szosie.

– Cześć, chłopcy – wołali – cześć, chłopcy.

Pochylone plecy i gojące się kości policzkowe.

Kroki bokserów o złamanych nosach.

Oczywiście, jednym z nich był Jimmy Hartnell i raz pobiegł tyłem, wołając do mnie. Jak większość z nich miał wokół koszulki jezioro potu.

– Hej, Pianino! – zawołał. – Hej, Dunbar!

Później pomachał i ruszył dalej. Przy innych spotkaniach przybijaliśmy sobie piątkę jak zmieniający się piłkarze na boisku – jeden wchodzi, drugi schodzi. Biegliśmy przez wszystkie nasze problemy.

Czasem byli też statyści – młodzi dżokeje uczący się u McAndrew. To było jedno z jego wymagań – w pierwszym roku nauki biegali co drugi dzień z chłopakami z Tri-Colors. Nie było żadnych wyjątków.

Pamiętam też, kiedy po raz pierwszy pobiegliśmy do Bernborough.

Była niedziela, wschód słońca jak podpalacz.

Trybuna płonęła jak kamienica – jakby podpalili ją kryminaliści – a tor zasypały chwasty, odleżyny i egzema. Pole wewnętrzne jeszcze nie do końca stało się dżunglą, ale z pewnością było na dobrej drodze.

Zrobiliśmy osiem razy po 400 metrów.

Trzydzieści sekund odpoczynku.

– Jeszcze raz? – spytałem.

Clay pokiwał głową.

Ten świat w jego żołądku go opuścił, a cierpienie było idealnie piękne. W Bernborough znów wrócił do biegania boso, z klamerką w kieszeni spodenek... a ja czasem myślę, że to zaplanował. Czasem myślę, że wiedział:

Biegaliśmy ulicami dzielnicy wyścigów.

Szukał go z góry na dachu.

Sądzę, że pod pozorem szukania naszego ojca, Clay wiedział, że coś tam jest, a teraz ja też to wiedziałem – ponieważ tam, w świecie przedmieść, trenowaliśmy w jego stronę:

Biegliśmy i szukaliśmy muła.

## fotografia

W WEEKEND, kiedy Cootamundra biegł w stolicy wyścigów konnych na południu, Ennis McAndrew podjął decyzję, przebiegłą decyzję:

Carey miała w ogóle się nie ścigać.

Okradziono ją z uczestnictwa w pucharze Sunline-Northerly Stakes – jej pierwszym w grupie pierwszej – a wciąż miała dopiero siedemnaście lat. Wiedział, że nie będzie go dla niej w mieście i nie zabierze jej ze sobą. To by ją z pewnością zabiło – patrzeć, jak wielki gniadosz skręca.

Nie, powiedział jej po prostu:

– Myślę, że zasłużyłaś na wolny weekend.

Nie był przeciętnym trenerem.

Clay dołożył starań, żeby wrócić w tamtą sobotę, bo w tygodniu mówili w radiu o wierzchowcu i zmianie jeźdźca.

W piątek wieczorem, przed wyjazdem, Michael Dunbar go zaskoczył.

Odwiózł go do miasta i jak zwykle milczeli, ale kiedy dotarli na dworzec, wyjął ze schowka na rękawiczki kopertę, umieścił ja na kolanach Claya. Na wierzchu napisano *Carey Novac*.

– Co to...

– Po prostu jej to daj, dobrze? Spodoba jej się. Obiecuję.

Nie było śladu „zastanów się nad tym”, jedynie skinienie głową, ledwie widoczne. Światła stacji wydawały się oddalone o wiele mil, a w miasteczku panowała cisza. Jedynie szepty z odległego pubu. On wyglądał trochę tak jak kiedyś, a Clay dał coś w zamian.

Otwarcie wyjął *Kamieniarza*.

Ostrożnie wsunął kopertę do środka.

Następnego dnia na Archer Street Ted i Catherine wyszli do pracy, więc Carey i Clay siedzieli w jej kuchni.

Włączyli stare czarne radio.

W salonie była porządna mała wieża, z radiem cyfrowym i całą resztą, ale postanowili wysłuchać na tym. Kiedy usiadł, szybko się zorientował – ta kuchnia była niesamowicie czysta.

Wymienili krótkie spojrzenia.

Żadne z nich nie chciało się odezwać.

Jeźdźcem był zagorzały profesjonalista, Jack Bird, a kiedy rozpoczęła się gonitwa, tuż przed trzecią, nie wypuścił wcześniej konia, a jego prowadzenie nie wystarczyło, został wyprzedzony na zakręcie. Kiedy poprosił go, żeby dał z siebie wszystko, nic już nie pozostało, a Clay słuchał, ale głównie przyglądał się jej. Patrzył na dystans jej długich na milę włosów, przedramiona nad stołem i twarz otoczoną ciasno dłońmi. Wahala się między tęsknotą a żalnością, ale powiedziała jedynie:

– Cholera.

Później poszli do kina.

Sięgnęła i wzięła go za rękę.

Kiedy popatrzył na nią, wpatrywała się w ekran, ale na twarzy miała łzę.

Wydarzyło się coś tak dziwnego.

Pochylił się i pocałował ją w policzek.

Nie było to jednak złamanie reguł i oboje jakimś sposobem to wiedzieli. Czuł ból i słoność łyzy, a później spojrział na jej dłoń w swojej.

Później poszli na Surrounds, a ona położyła się blisko niego. Była teraz gotowa powiedzieć więcej, liczbę, którą wypowiedziała jak skargę.

– Siódmy.

Siódmy, całkowita porażka.

W pewnej chwili policzył jej piegi, a było ich piętnaście na jej twarzy, ale tak małych, że trzeba było ich poszukać. Szesnasty miała na szyi. Były o wiele bardziej rude od jej włosów, ta krew na tle brązowego słonecznego blasku.

– Wiem – powiedziała – są gorsze rzeczy. – I były, zdecydowanie były.

Przez jakiś czas leżała, opierając na nim głowę.

Clay jak zawsze czuł jej oddech – jego ciepło, chłód.

Wydaje się głupio mówić w taki sposób o oddechu – jak o kroku, jak o dystansie wyścigu – ale tak to opisał.

Na chwilę spuścił wzrok.

Znów ta szesnasta plamka krwi – chciał jej dotknąć, opuścić dłoń, ale nagle odkrył, że mówi. Coś, co tylko ona rozumiała.

– Bonecrusher – powiedział jej – Our Waverley Star. – I spodziewał się, że dziewczyna się poruszy. – To była wojna dwóch koni. – Później: – Saintly i Carbine... – Mówił o pewnej gonitwie i koniach, które ją wygrały. Opowiedziała mu o tym tylko raz, kiedy po raz pierwszy spacerowali po dzielnicy wyścigów. – I Phar Lap, największy z nich wszystkich. – Przełknął ślinę i mówił dalej: – Spaniard. – I to prawie zabolalo. Spaniard, z linii Matadora, ale mimo wszystko musiał pójść dalej. – Hej. – Uścisnął ją, na chwilę przyciągnął bliżej. Zacisnął rękę na jej okrytym flanelą ramieniu. – Ale twój ulubieniec nigdy się nie zmienił, tak myślę, to zawsze Kingston Town.

I w końcu odrobinę dłuższe uderzenie.

Pomacał kratę.

– Boże – powiedziała – pamiętasz.

Z nią pamiętał wszystko. I zawsze wiedział, jak się ożywiała, kiedy opowiadała o Cox Plate w roku 1982. Jakże słuszne, że był to okres, kiedy Penelopa przyjechała, by tu zamieszkać... a teraz Carey powiedziała to, co komentator, czyli: „Kingston Town nie może wygrać”.

Trzymał ją, zapakowaną.

Jego głos, częściowo głos, częściowo szept:

– Zawsze słyszę tłum, szalejący, kiedy on pojawił się znikąd.

Wkrótce wstał i podniósł też ją, i pościelili materac, opuścili ciężką plastikową płachtę i podwinęli.

– Chodź – powiedział, a gdy wyszli na drogę, trzymał przy sobie książkę, z kopertą w środku.

Podeszli do końca Archer Street i na Poseidon Road.

Na filmie trzymała go za rękę, ale teraz robiła to, co miała w zwyczaju na początku, kiedy zostali przyjaciółmi – wzięła go pod ramię. Uśmiechnął się i nie martwił. Nawet nie pomyślał, że wyglądają jak para staruszków ani żadne takie nieporozumienie. Ona robiła tak niezwykle rzeczy.

I były ulice tak dobrze znane, pełne opowieści – jak Empire, Chatham i Tulloch – i miejsca, które odwiedzili za pierwszym razem, dalej, jak Bobby’s Lane. W pewnym momencie minęli fryzjera męskiego, jego nazwę znali i kochali – ale wszystko prowadziło do Bernborough, gdzie księżyc wisiał w trawie.

Na prostej otworzył książkę.

Dziewczyna była kilka metrów przed nim.

Gdzieś w pobliżu mety zawołał do niej:

– Hej, Carey.

Obróciła się, ale powoli.

Dogonił ją i podał jej kopertę.

Trzymała ją na dłoni i patrzyła.

Przeczytała na głos swoje imię i na czerwonej bieżni w Bernborough jakimś sposobem powróciła.

Zauważył błysk morskiego szkła.

– Czy to pismo twojego ojca?

Clay pokiwał głową, ale się nie odezwał, a ona otworzyła cienką białą paczuszkę i spojrzała na zdjęcie w środku. Wyobrażam sobie, co musiała myśleć – myśli w rodzaju „piękne” albo „wspaniałe” albo „chciałabym tam być, żeby takiego cię zobaczyć” – ale na razie tylko je trzymała i powoli oddała jemu.

Jej dłoń drżała lekko.

– Ty – szepnęła – i most.

## miłość w czasach chaosu

KIEDY WIOSNA ZMIENIŁA SIĘ W LATO, życie biegło dwoma torami.

Było bieganie, było życie.

Była dyscyplina, doskonali idioci.

W domu byliśmy właściwie bez steru, zawsze mieliśmy się o co pokłócić albo z czego pośmiać, a czasami obie te rzeczy naraz, równolegle.

W dzielnicy wyścigów było inaczej:

Kiedy biegliśmy, wiedzieliśmy, gdzie jesteśmy.

Powstała doskonała mieszanka, tak myślę, miłości w czasach chaosu, miłości w czasach kontroli; byliśmy między nimi przeciągani.

W bieganiu dobiegliśmy do października, kiedy Clay zapisał się na lekkoatletykę – nie ekscytując się tym w najmniejszym stopniu, ale też nie oponując. Klub nie był w Bernborough (stanowczo zbyt podupadłym), ale w Chisholm, w pobliżu lotniska.

Wszyscy tam go nienawidzili:

Biegał jedynie na 400 metrów i prawie się nie odzywał.

Znał dzieciaka, chłopaka zwierzę zwanego Gołym:

Był wielgachnym kulomiotem, dyskobolem.

Najlepszy na 400 metrów był dzieciak imieniem Spencer.

Kiedy Clay wystartował, zostało mu 300.

– Cholera – powiedzieli, cały klub.

Zwyciężył o połowę prostej.



W domu było popołudnie.

Jedna z serii wielu:

Bójka numer 278.

Rory i Henry prowadzili szczerą rozmowę.

Hałas dochodził z ich pokoju – który był naprawdę typowym pokojem chłopców, z porzuconymi i zapomnianymi ubraniami, zagubionymi skarpetkami, oparami i chwytami za szyję. Słowa były jak duszenie:

– Powiedziałem ci, żebyś trzymał swoje gówno z resztą swojego gówna, a ono ciągle wdziera się na MOJĄ STRONĘ.

I:

– Jakby mi w ogóle zależało, żeby moje gówno WZDIERAŁO się (sam tylko siebie posłuchaj!) na twoją głupią stronę, popatrz na nią.

I:

– Masz problem z moją głupią stroną, to może trzymaj swoje gówno z dala od niej!

I tak dalej.

Po dziesięciu minutach wszedłem, żeby ich rozdzielić, zastałem tam blond-rudawą kłótnię. Ich włosy zwrócone były na zewnątrz – północ i południe, wschód i zachód – a Tommy, taki mały, stał w drzwiach.

– Możemy pójść do muzeum albo coś?

To Henry usłyszał i odpowiedział, ale odezwał się do Rory'ego naprzeciwko.

– Pewnie, ale zaczekaj minutę, dobrze? Daj nam chwilę, żebyśmy pobili Matthew. – I wtem znów byli przyjaciółmi.

Zakopali mnie szybko i wściekle.

Moja twarz w smaku skarpetek.

Na ulicach było prawie oficjalnie.

Clay biegł.

Ja próbowałem dotrzymać mu kroku.

Jemu i palącej lewej kieszeni.

– Szybciej, szybciej.

Do tego ograniczała się rozmowa, jeśli w ogóle coś mówił.

W Bernborough zawsze tak samo.

Osiem razy 400 metrów.

Trzydzieści sekund odpoczynku.

Biegaliśmy, aż prawie padaliśmy.

W muzeum wszyscy weszliśmy do środka i narzekaliśmy na ceny, ale warto było wydać każdego centa – warto było, by zobaczyć dzieciaka, kiedy spojrzał w oczy wilkoworowi. A druga rzecz – Clay miał rację, to prawda, rzeczywiście wyglądał raczej jak pies, z osobliwym owalnym brzuchem – uwielbiliśmy wilka workowatego.

Ale Tommy uwielbiał całość wszystkiego:

Nad nami szkielet płetwala błękitnego, wyciągnięty jak rozłożony kwartał biur. Znow zwinna szyja dingo i parada różnych pingwinów. Uwielbiał nawet te najbardziej przerażające, szczególnie mulgę o czerwonym brzuchu oraz błysk i wdzięk tajpana.

Ja jednak czułem się upiornie – zjednoczenie tych wszystkich wypchanych zwierząt, coś martwego, niechętnego, by odejść. Albo, jeśli mam być szczery, niechętny byłem ja:

Oczywiście, myśl o Penelopie.

Wyobrażałem ją sobie tutaj z Tommym.

Widziałem, jak powoli kuca, i myślę, że Clay też.

Czasami widziałem, jak patrzy, ale często tuż na lewo od okazu – szczególnie pokazywanego za szkłem. Jestem pewien, że widział wtedy jej odbicie, jasnowłosej, chudej jak patyk, uśmiechniętej.

Po zamknięciu opieraliśmy się na zewnątrz.

Wszyscy zmęczeni poza Tommym.

Miasto poruszało się szybko wokół nas.

Podczas jednego z naszych biegów stało się.

Przyszło do nas wczesnym rankiem.

Światy napełnione razem.

Naprawdę powinniśmy pomyśleć o tym wcześniej.

Biegliśmy o brzasku, Darriwell Road, kilka kilometrów od domu. Clay zobaczył coś na słupie telefonicznym i zatrzymał się, i cofnął z namysłem. Wpatrywał się w naklejone ogłoszenie:

Kotka właśnie urodziła kocięta.

Dlaczego zabierać Tommy'ego do martwych zwierząt, skoro mogły przyjść do niego żywe?

Zapamiętałem pierwszą połowę numeru telefonu, a Clay drugą, ale kiedy zadzwoniliśmy, powiedziano nam głośno. Ogłoszenie miało trzy miesiące, a ostatni kociak został sprzedany przed sześcioma tygodniami. Ale kobieta, która odebrała, wiedziała dokładnie, dokąd się udać. Jej głos był jak głos mężczyzny, jednocześnie bliski i rzeczowy.

– Są dziesiątki stron internetowych o zwierzętach, ale najlepiej spróbować z „RQT”.

Chodziło jej o „Racing Quarter Tribune”, i była precyzyjna, była bystra, bo kiedy po raz pierwszy zajrzeliśmy do gazety – dziennika z naszego przedmieścia – na sprzedaż były collie, kelpie i para papużek nimf. Świnka morska, szkarłatka królewska i trzy koty różnych ras.

Na dole jednak czekał on i był tam już od dłuższego czasu. Powinienem już wiedzieć, widząc ogień w oczach Claya – oba nagle się uśmiechały, kiedy jego palec wskazał w dół.

*UPARTY ALE PSZYJAZNY MUŁ*

*NIE WIERZGA, NIE RYCZY*

\*\*\*

*\$200 (do negocjacji)*

*NIE POŻAŁUJECIE*

## *Zadzwońcie do Malcolma*

Powiedziałem:

– Niezależnie od wszystkiego, nie pokazuj Tommy’emu.

Claya to jednak nie obchodziło. Znów delikatnie opuścił palec, na błąd już w pierwszej linijce.

– „Uparty” – powiedział – ale „pszyjazny”.

Zdecydowaliśmy się na jednego z kotów – rodzina wyprowadzała się za ocean i zabranie kocura byłoby zbyt kosztowne. Powiedzieli nam, że ma na imię Bury, ale wiedzieliśmy, że je zmienimy. Był kawałem wielkiego, mrużącego zwierzaka – czarne wargi i asfaltowe łapy – i ogon jak kudłaty miecz.

Pojechaliśmy do Wetherill, dwa przedmieścia na zachód, i kot wrócił do domu na kolanach Claya. Nie ruszył się nawet o cal, jedynie mrużał razem z silnikiem, na jego melodię. Udeptywał go pazurami.

Boże, powinniście zobaczyć Tommy’ego.

Żałuję, że go nie widzieliście.

W domu wyszliśmy na werandę.

– Hej, Tommy! – zawołałem, a on przyszedł, jego oczy były młode i niezmiennie.

Prawie się rozplakał, kiedy przytulił kota, pręgi do piersi. Poklepywał go, głaskał, mówił do niego bez mówienia.

Kiedy Rory i Henry wyszli, obaj mieli oszałamiającą rację i poskarżyli się z niesamowitym wyczuciem czasu.

– Hej, dlaczego Tommy dostał cholernego kota?

Clay odwrócił wzrok. Odpowiedziałem ja.

– Bo go lubimy.

– A NAS nie lubicie?

Wkrótce usłyszeliśmy stwierdzenie Tommy'ego i natychmiastową kategoryczną odpowiedź Claya.

– Nazwę go Achilles.

Gwałtownie:

– Nie, nie tego.

Natychmiast popatrzyłem na niego.

Byłem uparty i z całą pewnością NIEPSZYJAZNY:

Nie, Clay, do DIABŁA, powiedziałem, choć tylko oczami – ale kogo chciałem oszukać? W końcu Tommy tulił kota jak noworodka.

– W porządku – powiedział – Agamemnon.

Tym razem powstrzymał go Rory.

– A może imię, które będziemy umieli WYMÓWIĆ, do cholery?

I nadal oddawał hołd Penelopie.

– Co powiecie na Hektor?

Najdzielniejszy z wszystkich Trojan.

Odpowiedzią było kiwanie głowami i pomruki aprobaty.

Następnego ranka, w dzielnicy wyścigów, były zakręty, o których istnieniu nie wiedziałem, i dotarliśmy na Epsom Road. Niedaleko tunelu Lonhro. Na górze grzechotała linia kolejowa. Była to jedna z tych zapomnianych ulic, z samotnym zapominanym polem. Płoty były w większości powykrzywiane. Drzewa zrzucały cętkowaną korę – górowały niestrudzenie.

Na końcu znajdował się kawałek ziemi i trawa, jak pięści, wśród pyłu. Był płot z drutu kolczastego, skorodowany. Szopa spłowieła do szarości. I przyczepa kempingowa, stara i zmęczona – pijak o trzeciej nad ranem.

Pamiętam odgłos jego kroków, jak zwolniły na dziurawej drodze. Clay nigdy nie zwalniał w tym punkcie biegu, było tylko szybciej i szybciej – i wkrótce zrozumiałem. Kiedy zobaczyłem przyczepę

kempingową i zapuszczony kawałek ziemi, widziałem, że to miejsce opuściła logika, ale z całą pewnością nie muły. Zwolniłem do marszu i odezwałem się z obrzydzeniem:

– Zadzwoń na numer z „Tribune”, prawda?

Clay szedł z determinacją dalej.

Jego oddech szybko się unormował, od biegu do zwykłego życia.

– Nie wiem, o czym mówisz.

I wtedy zobaczyliśmy tabliczkę.

Z perspektywy czasu, było w niej coś stosownego.

Widzę to i mówię teraz.

W tamtym czasie jednak byłem podejrzliwy – ogromnie zirytowany, kiedy podeszliśmy do płotu – a tabliczka kiedyś była biała. Stęchła i brudna, zwisała ukośnie ze środka najwyższego drutu – pewnie największy znak w dzielnicy wyścigów, jeśli nie w dzielnicach wyścigów na całym świecie.

Wyblakłym grubym czarnym markerem napisano:

*KARMIENIE TYCH KONI  
NIEDOZWOLONE  
POD GROŚBĄ KARY!*

– Boże – powiedziałem – popatrz na to.

Jak ktoś mógł napisać „grośbą” z błędem, a „niedozwolone” poprawnie? Ale pomyślałem, że to właśnie dzielnica wyścigów. A poza tym nie było tu żadnych koni i przez chwilę wydawało się, że w ogóle czegokolwiek...

I wtedy zza szopy wyszedł on.

Całkiem nagle pojawił się łeb muła i wyraz, który często go określał:

Patrzył, zbierał informacje.

Porozumiewał się.

Jak wyższa, choć opuszczona istota.

Już miał ten wyraz przekrzywionego pyska „na co się, do diabła, gapicie” – aż popatrzył chwilę dłużej i wydawał się mówić: „No, w porządku”.

Wśród plam cętkowanego wschodu słońca powoli podszedł bliżej.

Z bliska był niemal uroczy – gadatliwy, choć niemy i ujmujący. Jego łeb miał fakturę jak szczotka do szorowania – i pokrywały go niedbałe kolory, od piaskowego do rdzawego. Jego ciało jak skopana ziemia orna. Jego kopyta czarne jak węgiel. A co my mieliśmy zrobić? Jak się rozmawia z mułem?

Ale Clay się nim zajął.

Spojrzał w oczy zwierzęcia, które bardzo przypominały oczy cieląt, jak dzieci wysyłanych do rzeźni, czysty smutek, ale tak żywe. Sięgnął do kieszeni po to – ale nie po jaskrawożółtą klamerkę.

Nie, to był Clay Dunbar w najlepszej formie:

Garść cukru.

Był szorstki i słodki w jego dłoni – a muł był dozgonnie błogosławiony – i do diabła z tabliczką i jej pisownią, jego chrapy się rozdeły. Jego oczy były niezamknięte, kiedy się wyszczerzył:

Wiedziałem, że pewnego dnia przyjdiesz.

## jeńcy.

TRZEBA PRYZNAĆ Michaelowi Dunbarowi.

Tym razem mu się udało:

Fotografia była dziełem sztuki.

Kiedy Clay wrócił do Silver, stał w kuchni obok piekarnika.

– Dostała je?

Jego zapadnięte oczy były pełne nadziei.

Dłonie wydawały się niewyraźne, rozproszone.

Clay pokiwał głową.

– Podobało jej się.

– Mnie też, mam jeszcze jedno, które zrobiłem wcześniej – a czytając Clayowi w myślach, dodał: – Kiedy tam jesteś, łatwo się do ciebie podkraść, jesteś zagubiony w innym świecie.

A Clay miał właściwą odpowiedź i coś jeszcze, po raz pierwszy od czasu przybycia.

– Pomaga mi zapomnieć. – I podniósł wzrok z podłogi, żeby na niego spojrzeć. – Ale nie jestem pewien, czy naprawdę tego chcę. – Przy zlewie stała pewna Błędna Dziewczyna, jasnowłosa Penny Dunbar. – Hej, tato? – Był to wielki wstrząs, dla nich obu, a później nadszedł drugi, poprawka. – Wiesz... naprawdę za nią tęsknię. Tak bardzo za nią tęsknię, tato, tak bardzo za nią tęsknię.

I wtedy, kilka kroków, świat się zmienił:

Podszedł i przyciągnął bliżej chłopca.

Objął jego szyję ramieniem i uścisnął go.

Nasz tato stał się jego ojcem.



Ale później wrócili na most.

Jakby nic się nie wydarzyło.

Pracowali na rusztowaniu i modlili się o łuki albo jeszcze lepiej, łuki, które przetrwają wieki.

Tak naprawdę to jednak zabawne, kiedy się nad tym zastanowić – powietrze między ojcami a synami – a szczególnie między tym i tym. Setki myśli na każde wypowiedziane słowo, jeśli w ogóle zostało wypowiedziane. Clay czuł to szczególnie mocno tego dnia i w dniach, które później zebrały się w stosy. Znów było tyle do powiedzenia. Były noce, kiedy wychodził, żeby porozmawiać, a później z bijącym sercem wycofywał się do pokoju. Tak wyraźnie pamiętał chłopca, którym był, który prosił o historie z Featherton. Wtedy niesiono go na barana z powrotem do łóżka.

Ćwiczył przy pustym starym biurku, obok miał skrzyneczkę i książki. Pióro T. w dłoni.

– Tato?

Ile razy mógł próbować?

Raz prawie wkroczył w cięższe światło kuchni, ale znów powrócił na korytarz. Następnym razem udało mu się, ścisnął *Kamieniarza* – a Michael Dunbar go przyłapał.

– Wejdz, Clay, co tam masz?

A Clay stał złapany we wnyki światła.

Uniósł książkę.

Powiedział:

– Po prostu.

– Po prostu. – I uniósł ją wyżej.

Książka, taka biała i zużyta, z pogiętym i połamanym grzbietem. Trzymał przed sobą Włochy i freski na sklepieniu i wszystkie złamane nosy – jeden za każdy raz, kiedy ona ją przeczytała.

– Clay?

Michael w dzinsach i koszulce, jego dłonie były zwietrzałym betonem. Mogli mieć podobne oczy, ale też, u Claya, ciągły płomień.

On też miał kiedyś betonowy brzuch.

Pamiętasz?

Miałeś falujące włosy, wciąż masz, ale teraz jest w nich więcej siwizny – bo umarłeś i się trochę postarzałeś, i...

– Clay?

W końcu to zrobił.

Krew przepłynęła przez kamień.

Książka, w ręku, wyciągnięta do niego:

– Możesz mi opowiedzieć o *Jeńcach* i *Dawidzie*?

## ręka między wydmami

MOŻNA BY SIĘ SPIERAĆ, że z wielu powodów kot był naszą największą pomyłką – miał szereg obrzydliwych nawyków:

Ślinił się prawie nieopanowanie.

Śmierdziało mu z pyska.

Miał piekielny problem z linieniem, łupież oraz zwyczaj wyrzucania karmy z miski, kiedy jadł.

Wymiotował.

(– Popatrzcie tylko na TO! – krzyknął Henry pewnego ranka. – Tuż obok moich butów!

– Ciesz się, że nie DO nich.

– Zamknij się, Rory... Tommy! Chodź sprzątnąć to gówno!)

Miauczał całymi godzinami – takie żalosne, wysokie miauczenie! I jeszcze całe to udeptywanie, wbijanie pazurów w jaja, na kolanach każdego, kogo udało mu się dopaść. Czasami, kiedy oglądaliśmy telewizję, przechodził od chłopca do chłopca i mruzeniem burzył dom. Rory nie znosił go najbardziej ze wszystkich i najlepiej nas podsumował:

– Jeśli ten kot znów zacznie ciąć mi jaja, Tommy, zabiję skurczybyka, przysięgam... i uwierz mi, ty będziesz następny.

Ale Tommy wydawał się szczęśliwszy, a Henry nauczył go odpowiadać:

– On jedynie próbuje je ZNALEŹĆ, Rory.

I nawet Rory nie umiał się oprzeć – śmiał się – i poklepał wielkiego pręgowanego kocura, który wbijał pazury w jego szorty. Później miały

się pojawić rybka, i ptak, i Achilles, ale następny w kolejności był pies. To Hektor utorował drogę.

Wtedy nadszedł już grudzień i jeden fakt był niezmienny:

Clay był specjalistą od 400 metrów.

Miażdżył na tym dystansie.

Nikt w Chisholm nie mógł mu dorównać, ale wkrótce miały się pojawić wyzwania. Nowy rok oznaczał eliminacje lokalne i regionalne, a gdyby okazał się dość dobry, mógłby dojść do stanowych. Szukałem nowych sposobów treningu i wróciłem do starego motywowania. Zacząłem tam gdzie ON, w bibliotece:

Przeglądałem książki i artykuły.

Przeszukiwałem płyty DVD.

Wszystko, co mogłem znaleźć na temat lekkoatletyki, aż stanęła za mną kobieta.

– Halo? – powiedziała. – Młody człowieku? Jest dziewiąta. Zamykamy.

W okresie poprzedzającym Boże Narodzenie zrobił to.

Hektor wyszedł i zaginął.

Wszyscy wyruszyliśmy na poszukiwania, przypominało to trochę próby znalezienia Claya, tyle tylko, że Clay tym razem był z nami. Wychodziliśmy rankiem, a pozostali również po szkole, ja dołączałem do nich po powrocie do domu. Nawet pojechaliśmy z powrotem do Wetherill, ale kot wziął i zniknął. Nawet żarty nie śmieszyły.

– Hej, Rory – powiedział Henry, kiedy krążyliśmy po ulicach. – Przynajmniej twoje jaja mają szansę się zagoić.

– Wiem i cholerny krzyżyk mu na drogę.

Tommy szedł na skraju naszej grupki, wściekły i smutny jak diabli. Kiedy się odezwali, podbiegł i próbował rzucić ich na ziemię.

– Skurczybyki! – Wypluł z siebie ból. Szarpał się i walił pięściami. Wymachiwał chłopięcymi ramionami. – Skurczybyki, FIUTY pierdolone!

Z początku robili sobie z tego żarty w ciemności ulicy wokół nas.

– Cholera! Nie wiedziałem, że Tommy umie tak dobrze przeklinać!

– Wiem. Świetna robota!

Ale później poczuli na sobie jego oczy i ból w dziesięcioletniej duszy. Podobnie jak Clay złamał się tamtej nocy, w przyszłości, w kuchni, w Silver, Tommy łamał się teraz. Kiedy padł na czworaka na drogę, to Henry pochylił się nad nim, a później to Rory złapał go za ramiona.

– Znajdziemy go, Tommy, znajdziemy go.

– Tęsknię za nim – powiedział.

Wszyscy go otoczyliśmy.

Tego wieczora wróciliśmy do domu w milczeniu.

Kiedy pozostali się położyli, oglądałem z Clayem filmy, które wypożyczyłem, czytaliśmy gromadkę książek. Oglądaliśmy filmy o olimpiadach i niekończące się dokumenty. Wszystko, co miało związek z bieganiem.

Moim ulubionym był *Gallipoli*, polecony przez bibliotekarkę. Pierwsza wojna światowa i lekkoatletyka. Uwielbiałem wuja Archy’ego Hamiltona – twardego trenera ze stoperem.

„Czym są twoje nogi?” – mówił do Archy’ego.

A Archy odpowiadał: „Stalowymi sprężynami”.

Obejrzeliliśmy go wiele razy.

Clay wolał *Rydwany ognia*.

1924.

Eric Liddell, Harold Abrahams.

Lubił dwie rzeczy:

Pierwszą, kiedy Abrahams po raz pierwszy zobaczył biegnącego Liddella i powiedział: „Liddell? Nigdy nie widziałem takiej determinacji, takiego poświęcenia u biegacza... Biegnie jak dzikie zwierzę”.

I ulubiony Eric Liddell:

„Skąd więc się bierze ta siła, by doprowadzić wyścig do końca?

Z wewnątrz”.

Lub też, jak to wypowiadał ze wspaniałym szkockim akcentem aktor Ian Charleson:

„Z wewnontz”.

W miarę, jak mijał czas, zastanawialiśmy się.

Czy powinniśmy umieścić ogłoszenie w „RQT”, o zaginionym, ale irytującym pręgowanym kocie?

Nie – nigdy byśmy nie zrobili czegoś tak logicznego.

Za to był Clay i ja.

Patrzyliśmy na to, co pozostało w dziale ogłoszeń drobnych, którego punktem kulminacyjnym był zawsze muł. Kiedy biegliśmy, kierował nas w tamtą stronę, a ja zatrzymywałem się i wołałem do niego:

– NIE!

Patrzył na mnie z rozczarowaniem.

Wzruszał ramionami, jakby mówił „daj spokój”.

Aby go powstrzymać, złagodniałem, kiedy pojawiło się coś innego, w ogłoszeniu umieszczonym przez schronisko.

Trzyletnia suka border collie.

Pojechałem tam sam i ją zabrałem, a kiedy wróciłem do domu, czekał mnie największy wstrząs życia – bo oto tuż przede mną, na werandzie, wszyscy śmiali się i świętowali, a między nimi przekłęty kot. Skurczybyk wrócił!

Wysiadłem z samochodu.

Patrzyłem na zmalretowanego, pozbawionego obroży kocura.

Popatrzył na mnie – wiedział od początku.

Był kocim mistrzem schadenfreude.

Przez chwilę spodziewałem się pozdrowienia.

– Pewnie wezmę psa z powrotem – powiedziałem, a Rory rzucił Hektora w bok.

Kot przeleciał dobre pięć metrów – i rozległo się piskliwe, mrozące krew w żyłach miauczenie. (Założę, że cieszył się z powrotu do domu). Później Rory podszedł bliżej.

– Teraz przywiozłeś temu małemu skurczybykowi PSA?

Ale były to również częściowo gratulacje.

A Tommy?

Cóż, Tommy podniósł Hektora i osłonił go przed resztą z nas, podszedł bliżej i otworzył samochód. Jednocześnie przytulił kota i psa i powiedział:

– Boże, nie wierzę.

Spojrzał na Claya i spytał – aż dziwne, że wiedział, co trzeba zrobić.

– Achilles?

Znów potrząsanie głową.

Powiedziałem:

– To suczka.

– W porządku, w takim razie nazwę ją Eos.

– Wiesz, że Eos to nie...

– Wiem, wiem, to niebo. – I przez chwilę znów byliśmy razem.

Jego głowa na jej kolanach w salonie.

Połowa grudnia, niedziela, wczesny ranek, pojechaliśmy na południe na plażę, w głębi parku narodowego. Oficjalnie nazywała się Prospector, ale miejscowi mówili o niej Anzacs.

Pamiętam samochód i drogę w tamtą stronę:

Poczucie mdłości z niewyspania.

Zarys linii drzew w ciemności.

Już tradycyjny zapach w środku – dywanów, drewna i lakieru.

Pamiętam, jak biegaliśmy po wydmach, a one o świcie były chłodne, ale mordercze – na szczycie obaj padaliśmy na kolana.

W pewnym momencie Clay przegonił mnie przed szczytem i nie położył się tam ani nie padł bezwładnie na ziemię, co, wierząc mi, było bardzo kuszące. Nie, odwrócił się i wyciągnął rękę do mnie i tła brzegu i oceanu. Jego dłoń się opuściła, podciągnął mnie na górę i leżeliśmy razem, umęczeni.

Kiedy później rozmawiał o tym ze mną – kiedy mówił i opowiedział mi wszystko – powiedział:

– Myślę, że to była jedna z naszych wielkich chwil. Płonąłeś i ty, i morze.

W tamtym czasie Hektor nie tylko powrócił.

Było jasne, że już nigdy nas nie opuści.

Wydawało się, że cholerny kot ma czternaście różnych wersji, bo gdziekolwiek się poszło, pojawiał się on. Jeśli szło się do tostera, siedział na prawo albo na lewo od niego, wśród okruchów. Jeśli poszło się na kanapę, mruczał na pilocie. Raz nawet poszedłem do toalety, a on przyglądał się z rezerwuaru.

Później Eos biegała wokół suszarki na pranie, okrążając jej odrysowane od szablonu cienie. Mogliśmy spacerować z tym psem przez wiele mil – czarne nogi, białe łapy, złociste plamki oczu. Ale ona wciąż wracała i biegała. Dopiero teraz dostrzegam dlaczego. Pewnie zapędzała wspomnienia – albo co najmniej ich zapach – albo, co gorsza, niespokojne duchy.

W tym sensie w tamtym czasie dom przy Archer Street 18 zawsze był pełen ruchu. Dla mnie były to śmierć i odejście, i przymus psot.



Doprowadziło to do szaleństwa Bożego Narodzenia, a dokładniej Wigilii, kiedy przywieźli do domu ptaka i rybkę.

Ja wróciłem z pracy.

Henry promieniał wręcz szaleńczo.

Wypowiedziałem moje panięskie:

– Je-zu CHRYSSTE!

Najwyraźniej poszli do sklepu zoologicznego, żeby kupić rybkę i dodać ją do listy – ale Tommy zakochał się w mieszkającym tam gołębiu. Zeskoczył na jego palec, kiedy słuchał historii – jak banda gwarków męczyła go na Chatham Street, więc właściciel sklepu się wtrącił.

– Myślał pan, że mógł na to zasłużyć? – spytał Rory, ale Tommy kierował się instynktem.

Podszedł, żeby obejrzeć rybki. Gołąb trzymał się z boku jego ramienia.

– Ta – powiedział im – ta tutaj.

Złota rybka miała łuski jak pióra.

Ogon jak złote widły.

Pozostało im już tylko przywieźć je do domu, a mnie stanąć w drzwiach. I mogłem jedynie oddać się bluźnierstwu, gdy Tommy wymyślał imiona.

Wtedy już wszystko rozumiał:

Żaden z nich nie był nawet bliski Achillesowi.

– Złota rybka to Agamemnon – poinformował mnie – a gołębia nazwę Telemach.

Król mężów i chłopiec z Itaki.

Syn Penelopy i Odyseusza.

Zachód słońca uderzył w niebo, a Rory patrzył na Henry'ego.

– Zabiję tę małą cholere.

## Carey Novac w ósmej

PO SPEKTAKULARNEJ PORAŻCE w postaci siódmego miejsca w grupie pierwszej, Cootamundra przez całe lato miał przerwę. Po powrocie jeździła na nim Carey – cztery razy, trzy razy zwyciężyła, a raz zajęła trzecie miejsce.

I robiła się coraz bardziej rozchwytywana.

Clay miał radio i koryto rzeki, i Surrounds.

Była cisza Amahnu i opowieści, których słuchał w kuchni – bo tamtej nocy, kiedy spytał o *Jeńców* i *Dawida*, siedzieli do rana, pili kawę. Michael opowiedział mu o znalezieniu kalendarza. Emil Zátópek. Einstein. Wszyscy pozostali. Dziewczyna, która kiedyś połamała statek kosmiczny chłopca, a na angielskim siedziała z przodu i miała włosy do pasa.

Nie mówił z takimi szczegółami jak Penelopa – nie umierał, więc nie posunął się tak daleko – ale wysiłek był szczery i prawdziwy. Stwierdził:

- Nie wiem, dlaczego nigdy nie opowiedziałem ci tych rzeczy.
- Zrobiłbyś to, gdybyś został dłużej.

Nie zamierzał mu wbić szpili, miał na myśli, że te historie czekały na niego, kiedy podrośnie.

I opowiadasz mi je teraz.

Był pewien, że go zrozumiał.

Świtało, kiedy rozmawiali o *Dawidzie* i *Jeńcach* uwięzionych w marmurze.

– Te powykręcane, szarpiące się ciała – mówił Michael – walczące o wydobyć się z kamienia. – Powiedział, że nie myślał o nich od dziesięcioleci, ale jakimś sposobem zawsze byli obecni. – Oddałbym życie, by któregoś dnia odnaleźć wielkość, jak Dawid, choćby na chwilę. – Patrzył w oczy chłopca przed sobą. – Ale wiem... wiem...

Clay odparł.

Zabolało ich obu, ale musiał.

– Żyjemy życiem *Jeńców*.

Most był wszystkim, co mieli.

Był taki tydzień w połowie stycznia, kiedy w górach padało i Amahnu zaczęła płynąć. Zobaczyli nadchodzące wielkie niebo. Stali na rusztowaniu i wielkich krążynach, otaczały ich drzazgi deszczu.

– Może to wszystko zmyć.

Clay był cichy, ale pewny.

– Nie zmyje.

Miał rację.

Woda podniosła się tylko do połowy łydki.

Rzeka w czasie swoistego treningu.

Rozgrzewka na sposób Amahnu.

W mieście przez cały marzec trwały przygotowania do jesiennego świętowania, a tym razem grupa pierwsza należała do niej.

Cootamundra.

Gonitwa ósma w Poniedziałek Wielkanocny, w Royal Hennessey.

Wyścig Jim Pike Plate.

Oczywiście Clay wrócił do domu na ten długi weekend, ale zrobił coś jeszcze, trochę wcześniej:

Poszedł Poseidon Road do zakładu dorabiania kluczy, naprawy obuwia i grawerowania. W środku siedział stary mężczyzna o białej brodzie, jak Święty Mikołaj w kombinezonie roboczym. Kiedy spojrzał na Zippo, powiedział:

– Ach, pamiętam. – Pokręcił głową. – Tak, właśnie tak. Matador w piątej. Dziewczyna... Dziwna rzecz do napisania na zapalniczce. – I kręcenie zmieniło się w kiwanie. – Ale bardzo miła. – Dał Clayowi pióro i papier. – Napisz wyraźnie. Na czym chcesz to mieć?

– Są dwa.

– Niech spojrzę. – Złapał przezroczysty papier. – Ha! – Znow zaczął gwałtownie kręcić głową. – Wy, dzieciaki, kompletnie zwariowaliście. Znacie Kingstona?

Czy znali Kingstona?

– Może niech pan napisze „Carey Novac w ósmej” pod pierwszym, a drugi na drugiej stronie.

Święty Mikołaj uśmiechnął się i roześmiał.

– Dobry wybór. – Ale to nie było ho ho ho, raczej he he he. – „Kingston Town nie może wygrać”, tak? A co to w ogóle ma znaczyć?

– Ona będzie wiedziała – odparł Clay.

– Cóż, to najważniejsze.

Staruszek zabrał się do grawerowania.

Kiedy wyszedł z zakładu, coś go uderzyło.

Od czasu pierwszego wyjazdu z domu nad rzekę myślał, że pieniądze – plik od Henry’ego – pójdą na budowę mostu. Ale zawsze były przeznaczone na to. Wykorzystał całe dwadzieścia dwa dolary.

Na Archer Street 18 położył resztę grubego pliku na sąsiednim łóżku.

– Dzięki, Henry – szepnął – zatrzymaj resztę.

I pomyślał o Bernborough Park – chłopcach i nigdy mężczyznach – odwrócił się i wyjechał do Silver.

Rankiem w Wielką Sobotę, dwa dni przed gonitwą, wstał i usiadł w ciemności – szukał Amahnu. Siedział na skraju łóżka, a pudełko miał w rękach. Wyjął wszystko poza zapalniczką, po czym dorzucił złożony list.

Napisał go poprzedniego wieczora.

Wieczorem w sobotę leżeli tam, a ona mu powiedziała.

Te same instrukcje.

Ruszaj szybko.

Pozwól mu biec.

A później módl się i doprowadź go do mety.

Była zdenerwowana, ale to były dobre nerwy.

Pod koniec spytała:

– Przyjdiesz?

Uśmiechnął się do wybałuszonych gwiazd.

– Oczywiście.

– Twoi bracia?

– Oczywiście.

– Wiedzą o tym? – Mówiła o Surrounds. – I o nas?

Nigdy nie spytała o to wcześniej, a Clay był pewien.

– Nie, wiedzą tylko, że zawsze byliśmy blisko.

Dziewczyna pokiwała głową.

– I muszę ci powiedzieć... – Przerwał. – Jest coś jeszcze... – I umilkł.

– Co?

Wycofał się, choć pozostał bez ruchu.

– Nie. Nic.

Było jednak już za późno, bo teraz podniosła się na łokciu.

– Dalej, Clay, o co chodzi?

Wyciągnęła rękę i sprzedała mu kuksańca.

– Auć!

– Powiedz mi.

Była gotowa do kolejnego ciosu, dokładnie między zebra – a wydarzyło się to już raz wcześniej, na wodach, które dopiero napłyną, kiedy wszystko wyszło źle.

Ale taką Carey miała urodę – prawdziwą urodę, zapomnijcie o kasztanowych włosach i oczach z morskiego szkła – była gotowa zaryzykować po raz drugi. Podjąć ryzyko i zrobić to dla niego.

– Powiedz mi albo cię walnę. Załaskoczę cię na śmierć.

– W porządku! W porządku...

Powiedział to.

Powiedział jej, że ją kocha:

– Masz na twarzy piętnaście piegów, ale trzeba się ich naszukać... i szesnasty tutaj.

Dotknął miejsca na jej szyi. Kiedy próbował cofnąć rękę, uniosła swoją i złapała jego palce. Odpowiedzią było to, jak na niego patrzyła.

– Nie – poprosiła – nie zabieraj.

Później, dużo później, to Clay wstał pierwszy.

To Clay się przetoczył, wziął coś i ułożył obok niej na materacu.

Owinął je w stronę z wyścigami konnymi.

W skrzyneczce była zapalniczka.

Prezent w prezencie.

I list.

*OTWORZYĆ W PONIEDZIAŁEK WIECZOREM.*

W Poniedziałek Wielkanocny była na ostatniej stronie gazety – dziewczyna o kasztanowych włosach, chudy jak patyk trener, a między

nimi ciemnobrązowy koń.

Nagłówek głosił: *UCZENNICA MISTRZA*.

W radiu puścili wywiad z McAndrew nagrany kilka dni wcześniej, w którym podawali w wątpliwość jego wybór dżokeja. Każdy zawodowiec w kraju pojechałby na tym koniu, gdyby dostał szansę, na co McAndrew powiedział prosto i sztywno:

– Wybrałem uczennicę.

– Tak, jest obiecująca, ale...

– Nie zamierzam odpowiadać na takie pytania. – Głos, czysta oschłość. – Wymieniliśmy ją poprzedniej wiosny w Sunline-Northerly i popatrzcie, co się tam wydarzyło. Ona zna konia i tyle.

Poniedziałkowe popołudnie.

Gonitwa zaczynała się o czwartej pięćdziesiąt, przyjechaliśmy o trzeciej, a ja zapłaciłem za wstęp. Kiedy robiliśmy zrzutkę koło bukmacherów, Henry wyjął plik. Mrugnął do Claya.

– Nie martwcie się, chłopcy, ja mam to.

Po wszystkim ruszyliśmy dalej i w górę, mijając członków, do motłochu. Obie trybuny były prawie całkiem zapchane. Znaleźliśmy miejsca w najwyższym rzędzie.

O czwartej słońce zaczynało chylić się ku zachodowi, ale wciąż było białe.

O czwartej trzydzieści, gdy Carey stała całkowicie nieruchoma na placu, zaczynało żółknąć za naszymi plecami.

Wśród barw, hałasu i ruchu był McAndrew w swoim garniturze. Nie powiedział do niej ani słowa, jedynie położył jej dłoń na ramieniu. Był tam też Petey Simms, jego najlepszy stajenny, ale to McAndrew uniósł ją do góry, na grzbiet Cootamundry.

Odjechała lekkim truchtem.

Po starcie wszyscy wstali.

Serce Claya wyrwało się z boksu.

Ciemnobrązowy koń i jeździec na jego grzbiecie wysforowali się od razu na prowadzenie. Barwy – czerwono-zielono-biała.

– Jak się spodziewaliśmy – poinformował ich komentator – ale to nie jest zwyczajny tor, zobaczmy, co ma dla nas Cootamundra... Zobaczmy, co ma młoda uczennica... Red Centre drugi o trzy długości.

Patrzyliśmy w cieniu trybuny.

Konie biegły w świetle.

– Jezu – powiedział mężczyzna obok mnie. – Pięć długości przewagi.

– Dalej, Coota, ty wielki brązowy skurczybyku!

To chyba był Rory.

Na zakręcie wszyscy się zbliżyli.

Na prostej poprosiła go o więcej.

Dwa konie – Red Centre i Diamond Game – ruszyły naprzód, a tłum wykrzykiwał ich imiona. Nawet ja. Nawet Tommy. Krzyki Henry’ego i Rory’ego. Krzyczeliśmy dla Cootamundry.

A Clay.

Clay był między nami, stał na swoim siedzeniu.

Nie poruszał się.

Nie wydawał dźwięku.

Doprowadziła go do mety bez bata.

Dwie długości i dziewczyna, i morskie szkło.

Carey Novac w ósmej.

Minęło wiele czasu, od kiedy siedział na dachu, ale zrobił to w tamten poniedziałkowy wieczór, ukrył się wśród dachówek.

Ale Carey Novac go zobaczyła.

Kiedy przyjechała z Catherine i Torowym Tedem, stanęła sama na werandzie. Na chwilę uniosła rękę.



Zwyciężyliśmy, zwyciężyliśmy.

A później weszła do środka.

*Kochana Carey!*

*Jeśli zrobiłaś, co trzeba (a wiem, że zrobiłaś), czytasz to po powrocie do domu, a Cootamundra wygrał. Wyprowadziłaś go na prowadzenie na samym początku. Wiem, że lubisz ten styl wyścigów. Zawsze lubiłaś frontowe konie. Mówiłaś, że są najdzielniejsze.*

*Widzisz? Pamiętam wszystko.*

*Pamiętam, co powiedziałaś, kiedy zobaczyliśmy się po raz pierwszy.*

*Tam na dachu siedzi chłopak.*

*Czasem jem grzanki tylko po to, żeby wypisywać Twoje imię w okruchach.*

*Pamiętam wszystko, co mi powiedziałaś, o miasteczku, w którym się wychowałaś, Twojej mamie i tacie, braciach – wszystko. Pamiętam, jak powiedziałaś „I? Nie chcesz poznać mojego imienia?”. Wtedy po raz pierwszy rozmawialiśmy na Archer Street.*

*Tak wiele razy żałuję, że nie ma tu już Penny Dunbar, żebyś mogła z nią porozmawiać, a ona opowiedziałaby Ci jedną ze swoich historii. Siedziałybyś godzinami w naszej kuchni... Spróbowowałyby nauczyć Cię grać na pianinie.*

*Tak czy inaczej – chcę, żebyś zatrzymała zapalniczkę.*

*Nigdy tak naprawdę nie miałem wielu przyjaciół.*

*Mam braci i Ciebie, i tyle.*

*Ale w porządku, kończę gadanie, powiem tylko, że jeśli Cootamundra przypadkiem nie zwyciężył, będą jeszcze inne dni. Moi bracia i ja, postawimy parę groszy, ale nie stawialiśmy na konia.*

*Całuję*

*Clay*

I wiecie, czasami to sobie wyobrażam.

Lubię myśleć, że tamtego wieczora po raz ostatni uścisnęła rodziców, i że Catherine Novac była szczęśliwa, a jej ojciec nie mógłby być bardziej dumny. Widzę ją w jej pokoju, jej flanelową koszulę, dzinsy i przedramiona. Widzę, jak trzyma zapalniczkę, czyta list i myśli, że Clay jest inny.

Zastanawiam się, ile razy go przeczytała.

Nie wiem.

Nigdy się nie dowiemy.

Nie, wiem jedynie, że tego wieczora wyszła z domu i sobotnia zasada została złamana:

„Sobotni wieczór na Surrounds”.

Nie poniedziałkowy.

Nigdy poniedziałkowy.

A Clay?

Clay powinien był wrócić.

Powinien tamtej nocy siedzieć w pociągu – wracać do Silver, do Amahnu, by ukończyć most, uścisnąć dłoń naszego ojca – ale on też był na Surrounds, a ona przyszła z szelestem stóp.

A my?

Nie możemy nic zrobić.

Jeden z nas pisze, a jeden czyta.

Nie możemy zrobić niczego poza tym, że ja to opowiem, a wy zobaczycie.

Na razie to zostawiamy.

## stanowe i rocznica

KIEDY PATRZYMY, jak oboje idą w tamtą stronę – Surrounds po raz ostatni – przeszłość zwija się we mnie w kłębek. Tak wiele z tego czasu miało zaprowadzić ich tam, do zbliżających się kroków.

Były zawody lokalne, a później regionalne.

Rocznica i stanowe.

Poczwórne zwierzęta Tommy'ego.

Kiedy Nowy Rok przeszedł w luty, był Clay i utrapiona kontuzja (chłopiec ze stopami z tłuczonego szkła) i obietnica, bardziej jak ostrzeżenie:

– Wygram w stanowych, a wtedy po niego pójdziemy, dobrze?

Mówił oczywiście o Achillesie.

Mógłbym uporządkować to na wiele różnych sposobów, ale wydaje się właściwe, bym zaczął w tamtym miejscu i nanizał resztę:

Jak było na rocznicy.

Rok od śmierci Penelopy.

Rankiem tego marcowego dnia wszyscy obudziliśmy się wcześniej. Żadnej pracy ani szkoły tego dnia, o siódmej byliśmy na cmentarzu, przestępowaliśmy nad grobami. Położyliśmy przed nią stokrotki, a Tommy rozglądał się za naszym tatą. Powiedziałem mu, że powinien o tym zapomnieć.

O ósmej zaczęliśmy sprzątać. Dom był zapuszczony, musieliśmy być bezwzględni. Wyrzucaliśmy ubrania i pościel. Pozbyliśmy się bibelotów

i innego badziewia, ale zachowaliśmy jej książki i półki. Książki, wiedzieliśmy, były święte.

Nadeszła jednak chwila, kiedy wszyscy przerwaliśmy i usiedliśmy na łóżku, na skraju. Trzymałem *Odyseję* i *Iliadę*.

– Dalej – powiedział Henry – przeczytaj coś.

*Odyseja*, pieśń dwunasta.

– „A kiedy nawa minęła strumień Okeanosa, przyszła fala z szerokiego morza... gdzie są siedziby i place taneczne rodzącej się z mgieł Jutrzenki i wschody Heliosa...”<sup>[\*]</sup>

Nawet Rory milczał i został.

Słowa płynęły, obracały się kartki, a my w domu dryfowaliśmy.

Tamta sypialnia unosiła się na Archer Street.

Tymczasem Clay przestał ścigać się na bosaka, ale nie nosił butów.

Treningi były proste.

Biegaliśmy wczesnym rankiem.

400 metrów w Bernborough.

Wiezorami oglądaliśmy filmy.

Początek i koniec *Gallipoli* – Jezu, co za zakończenie!

Całe *Rydwany ognia*.

Rory i Henry twierdzili, że oba były nudne jak gówno nietoperza, ale zawsze zaglądali – dostrzegałem ich urzeczone twarze.

W czwartek przed lokalnymi był problem, dwa dni przed wyścigami, bo jakieś dzieciaki upiły się na Bernborough i na bieżni leżało szkło. Clay go nie zobaczył, nie zauważył krwi. Później wiele godzin zajęło nam wyjęcie odłamków. W trakcie przypomniałem sobie, co musiałem – fragment z filmu dokumentalnego (który wciąż mieliśmy w domu).

„Najlepsze i najgorsze chwile igrzysk”.

Znów siedzieliśmy razem w salonie, a ja wyciągnąłem stare nagranie wspaniałego, lecz tragicznego wyścigu w Los Angeles.

Możecie wiedzieć, o który mi chodzi. Te kobiety. Trzy tysiące metrów.

Tak się złożyło, że lekkoatletka, która zwyciężyła (niesamowicie wyprostowana Rumunka Maricica Puică) nie stała się aż tak sławna dzięki temu wyścigowi, ale dwie z pozostałych tak: Mary Decker i Zola Budd. Wszyscy patrzyliśmy w ciemności – a Clay szczególnie, w przerażeniu – kiedy tak zwana kontrowersyjna Budd została oskarżona o celowe podstawienie nogi Decker w zamieszaniu, na prostej stadionu olimpijskiego. (Oczywiście nie zrobiła niczego takiego).

Ale co najważniejsze:

Clay zobaczył.

Zobaczył to, na co liczyłem.

Powiedział:

– Zatrzymaj, szybko – i przyjrzał się uważnie nogom biegnącej Zoli Budd. – Czy to... TAŚMA, pod jej stopami?

W dniu rocznicy blizny były prawie całkiem zagojone, ale od kiedy zaczęliśmy oklejać mu stopy taśmą, było to coś, czego się trzymał i co pokochał. Kiedy skończyłem czytać, w sypialni Penny i Michaela, rozmasowywał je. Podeszwy były pokryte odciskami, ale zadbane.

W końcu pozbyliśmy się ubrań naszych rodziców – zachowaliśmy tylko jedną sztukę. Przeszedłem z nią przez korytarz i znaleźliśmy jej stosowne miejsce spoczynku.

– Tutaj – poleciłem Rory'emu, który otworzył klapę ukrywającą struny.

– Hej, patrzcie! – powiedział do wszystkich Henry. – Paczka papierosów!

Najpierw położyłem dwie książki, a później niebieską wełnianą sukienkę. Należały teraz do pianina.

– SZYBKO – powiedział Rory – wepchnijcie Hektora do środka!

Ale nawet on nie miał dość siły. Łagodnie położył dłoń, na kieszeni i guziku. Nigdy nie miała serca, by przyszyć go z powrotem.

W okresie poprzedzającym – w styczniu i lutym tamtego roku – pamiętam, że były trudności. Ale też dobre chwile, wspaniałe chwile, jak Tommy i każdy z jego zwierzaków.

Uwielbialiśmy wyczyny Agamemnona, tak zwanego króla mężów. Czasami siadaliśmy i patrzyliśmy, jak wali głową w szkło akwarium.

– Raz... dwa... trzy... – liczyliśmy, a przy czterdziestu zostawał już tylko Rory.

– Nie masz nic lepszego do roboty? – pytałem.

– Nie – odpowiadał – nie mam.

Był wciąż na najlepszej drodze do wyrzucenia, ale i tak zaryzykowałem.

– Praca domowa?

– Wszyscy wiemy, że prace domowe są do niczego, Matthew. – Podziwiał wytrzymałość złotej rybki. – Ta ryba jest cholernym mistrzem.

Oczywiście Hektor był dalej Hektorem, przez lato mruczał i masakrował jaja, i oglądał z rezerwuaru wydarzenia w łazience.

– Ej, Tommy! – wołałem często. – Próbuję wziąć prysznic!

Kot siedział jak widmo w otaczającej go parze. Gapił się i jakimś sposobem uśmiechał do mnie szyderczo.

A JA próbuję się WYPOCIĆ!

Oblizywał te swoje asfaltowe łapy, cmokał czarnymi jak opony wargami.

Telemach (którego skróciliśmy już do T.) maszerował wewnątrz swojej klatki i na zewnątrz. Trojanin zaatakował go tylko raz, Tommy kazał mu przestać i Hektor poszedł znów spać. Pewnie śnił o parze.

Później Eos, a Eos wciąż biegła, ale kiedy Henry przyniósł jej dużą poduchę, którą znalazł na śmietniku (zawsze miał oko do takich rzeczy), uwielbialiśmy, kiedy nią rzucała. W tych chwilach, kiedy rzeczywiście się kładła, wołała pełne słońce – podnosiła ją i ciągnęła za sobą, podążając za ścieżką światła. A później drapała pazurami, żeby się umościć, co mogło mieć tylko jeden skutek:

– Hej, Tommy! Tommy! Chodź zobaczyć!

Podwórko na tyłach pokrywał śnieg styropianowych kuleczek, które wcześniej wypełniały poduchę. Najbardziej parny dzień tego lata – Rory spojrzął na Henry’ego.

– Przysięgam, że jesteś cholernym geniuszem.

– Co?

– Jaja sobie robisz? Przyniosłeś do domu tę cholerną poduchę.

– Nie spodziewałem się, że pies ją ZNISZCZY... to wina Tommy’ego... w każdym razie...

Zniknął i wrócił z odkurzaczem.

– Ej, nie możesz użyć do tego odkurzacza!

– A czemu nie?

– Nie wiem... uszkodzisz go.

– Martwisz się o odkurzacza, Rory? – Tym razem mówiłem ja. – Ty nawet byś nie wiedział, jak uruchomić to cholerstwo.

– Aha.

– Zamknij się, Henry.

– Albo jak go używać.

– Zamknij się, Matthew.

Wszyscy jednak staliśmy i patrzyliśmy, kiedy Henry kończył pracę. Eos skakała do przodu i na boki, warczała i nie przerywała, a pani Chilman szczyrzyła się przy płocie. Stała na palcach na puszcze farby.

– Wy, chłopaki Dunbarów – powiedziała.

Jednym z najlepszych elementów rocznicy była wielka wymiana pokojów, której dokonaliśmy po przeniesieniu jej książek i sukienki do wnętrza pianina.

Najpierw zdemontowaliśmy piętrowe łóżka.

Łatwo je było przerobić na pojedyncze, a choć nie miałem zbyt wielkiej ochoty, to ja przeniosłem się do dużej sypialni (nikt inny nie chciał mieć z nią nic wspólnego), ale zabrałem ze sobą stare łóżko. Nie ma mowy, żebym spał na ich. Zanim jednak się tym zajęliśmy, uznaliśmy, że nadszedł czas na zmiany – aby Henry i Rory się rozdzielili.

Henry:

– Nareszcie! Czekałem na to całe życie!

Rory:

– TY czekałeś, cholera jasna, i krzyżyk na drogę! Pakuj swoje gówno i odejdz.

– Mam spakować MOJE gówno? Co ci strzeliło do głowy? – Popchnął go szczerze. – Nigdzie nie idę!

– JA też nigdzie nie idę!

– Zamknijcie się – powiedziałem. – Żałuję, że nie mogę pozbyć się was obu, ale to niemożliwe, więc oto, co zrobimy... rzucę tą monetą. Dwa razy. Pierwszy oznacza tego, który się wyprowadza.

– Tak, ale on ma więcej...

– Nie interesuje mnie to. Wygrany zostaje, przegrany się wyprowadza. Rory, wybieraj.

Moneta poleciała do góry, uderzyła w sufit.

– Orzeł.

Poskoczyła na dywan, wylądowała na skarpetce.

Reszka.

– Cholera!

– Ha, ha, co za pech, chłopcze!



– Uderzyła w sufit, to się nie liczy!

Odwróciłem się teraz do Henry’ego.

Rory nie ustępował.

– Uderzyła w pieprzony sufit!

– Rory – powiedziałem – zamknij się. Teraz, Henry, rzucam ponownie. Orzeł dostajesz Tommy’ego, reszka dostajesz Claya.

Znów reszka, a pierwszym, co powiedział Henry, kiedy Clay się wprowadził, było:

– Popatrz na to.

Rzucił mu starego „Playboya” – miss stycznia – a Rory zaprzyjaźnił się z Tommym.

– Zabieraj tego kota z mojego przeklętego łóżka, dupku.

TWOJEGO łóżka?

Cały Hektor.

W okresie poprzedzającym, w połowie lutego, kiedy Clay brał udział w zawodach regionalnych w E.S. Marks – ich trybuna była betonowym olbrzymem – dopracowaliśmy sztukę naklejania taśmy. Uczyniliśmy z tego swego rodzaju rytuał, była to nasza wersja „czym są twoje nogi” albo „siły, która pochodzi z wewnątrz”.

Najpierw kuciałem przy nim.

Powoli rozwijałem taśmę pakową.

Prosta linia pośrodku.

Poprzeczna między palcami stóp.

Zaczynało się jak krzyż, ale rezultat był czymś zupełnie innym, dawno zapomnianą literą alfabetu, kilka końcówek zawijało się do góry.

Kiedy zapowiedziano 400 metrów, poszedłem z nim na miejsce, powietrze było parne i nieruchome. Kiedy wychodził, myślał o Abrahamsie, i religijnym Ericu Liddellu. Myślał o chudej, drobnej

biegaczce z Afryki Południowej, której oklejone taśmą stopy go zainspirowały.

Powiedziałem:

– Do zobaczenia po zakończeniu.

A Clay nawet mi odpowiedział, klamerkę miał w kieszeni spodenek.

– Hej, Matthew. – A później po prostu: – Dzięki.

Biegł jak cholerny wojownik.

Naprawdę był Achillesem szybko nogim.

Pod koniec, blisko wieczora tamtego dnia, w pierwszą rocznicę, kiedy Rory się opamiętał, zaproponował:

– Spalmy łóżko.

Razem podjęliśmy decyzję.

Siedzieliśmy przy kuchennym stole.

Ale nie było decyzji do podjęcia.

Może to uniwersalna prawda o chłopcach i ogniu, tak samo jak to, że często rzucamy kamieniami. Podnosimy je i celujemy w cokolwiek. Nawet ja, zbliżający się do dziewiętnastych urodzin.

Miałem być dorosły.

Jeśli wprowadzenie się do największej sypialni było dorosłe, to spalenie łóżka byłoby SZCZENIACKIE, i tak chwyciłem byka za rogi, postawiłem na oba wyniki.

Początkowo niewiele mówiliśmy:

Clay i Henry dostali materac.

Rory i ja wzięliśmy ramę.

Tommy zapałki i terpentynę.

Wynieśliśmy je przez kuchnię, na podwórko, i przerzuciliśmy przez płot. Mniej więcej w tym samym miejscu, w którym przed wielu laty Penelopa poznała City Special.

Przeszliśmy na drugą stronę.

Powiedziałem:

– Dobrze.

Było ciepło i zerwał się wietrzyk.

Przez chwilę trzymaliśmy ręce w kieszeniach.

Clay ścisnął klamerkę – ale później materac wrócił na ramę i wyszliśmy na Surrounds. Stajnie były stare i pochylone. Trawa nierówna i w kępach.

Wkrótce zobaczyliśmy odległą starą pralkę.

Roztrzaskany, pozbawiony życia telewizor.

– Tutaj – powiedziałem.

Pokazałem palcem – blisko środka, ale bliżej naszego domu – i postawiliśmy tam łóżko rodziców. Dwaj z nas stali, a trzech kucali. Clay stał z boku, z twarzą zwróconą do naszego domu.

– Nie jest trochę wietrznie, Matthew? – spytał Henry.

– Pewnie.

– Czy to zachodni? – Z każdą minutą wiało coraz silniej. – Możemy podpalić całe pole.

– Tym lepiej! – krzyknął Rory.

W chwili, kiedy zacząłem go łajać, Clay przebił się przez wszystko – pole, trawę, telewizor. Samotnego trupa pralki. Jego głos kierował się na zewnątrz:

– Nie.

– Co?

Wszyscy wypowiedzieliśmy to jednocześnie, a wiatr wiał jeszcze mocniej.

– Co powiedziałeś, Clay?

W ciepłe pola wyglądał na zmarzniętego. Jego krótkie czarne włosy przylegały do głowy, a ogień w jego wnętrzu płonął. Znowu powiedział to, cicho. Stanowcze i ostateczne:

– Nie.

A my wiedzieliśmy.

Zostawimy rzeczy właśnie tak. Pozwolimy temu czemuś umrzeć swoją śmiercią – a w każdym razie tak wierzyliśmy – bo przecież nie mogliśmy przewidzieć.

Że Clay wróci i się tu położy.

Będzie ścisnął klamerkę, aż przebije jego dłoń.

Pierwszy raz w nocy przed zawodami stanowymi, po tym, jak przez jakiś czas siedzieliśmy w kuchni, on i ja. Wyłożył przede mną prawdę.

Zwycięży w stanowych i pójdzie po Achillesa.

Miał dwieście dolarów – pewnie oszczędności całego życia.

Nawet nie czekał na odpowiedź.

Wyszedł frontowymi drzwiami, pobiegał kawałek przez dzielnicę wyścigów, nakarmił muła paroma naszymi marchewkami – i wylądował znów na dachu.

Później, o wiele później, kiedy reszta z nas spała, wyszedł z łóżka i poszedł tam. Wybrał nową klamerkę. Wspiął się przez płot i przeszedł przez tor. Było ciemno, księżyc jeszcze nie wzeszedł, ale on bez trudu znalazł drogę.

Podszedł i wspiął się na nie.

Łóżko leżało w mroku.

Zwinął się jak mały chłopiec.

Leżał tam w ciemności i śnił, i nic go nie obchodziła wygrana w zawodach stanowych. Nie, mówił tylko do innego chłopca, z małego miasteczka, i kobiety, która przebyła ocean.

– Przepraszam – szepnął do obojga. – Tak bardzo przepraszam, przepraszam, PRZEPRASZAM! – Mocno zaciskał klamerkę w dłoni i w końcu znów się do nich zwrócił. – Obiecuję, opowiem wam historię o tym, jak przyprowadziłem wam obojgu Achillesa.

Ten muł nie był dla Tommy'ego.

---

---

[\*] Homer, *Odyseja*, tłum. Jan Parandowski, Czytelnik 1965, s. 186 (przyp. tłum.)

część siódma

miasta + wody + zbrodniarze + łuki +  
opowieści + ocalali

+

MOSTY

## dziewczyna z gallery road

KIEDYS, W ODMĘTACH PRZESZŁOŚCI DUNBARÓW, była dziewczyna, która znała chłopaka Dunbarów, a cóż z niej była za dziewczyna.

Miała kasztanowe włosy i zielone oczy.

Miała mozaikę piegów czerwonych jak krew.

Zasłynęła z tego, że zwyciężyła w gonitwie grupy pierwszej, a zaraz następnego dnia umarła – a winny był Clay.

On żył, oddychał i stał się tym.

W końcu opowiedział im wszystko.

Na początku jednak, co całkiem stosowne, kiedy Carey zobaczyła go po raz pierwszy, widziała go na dachu.

Dorastała w miasteczku o nazwie Calamia.

Jej ojciec był dżokejem.

Ojciec jej ojca też.

Co było wcześniej, nie wiedziała.

Kochała konie, ćwiczenia na torze i jazdę po torze, rekordy i opowieści o folblutach.

Calamia była oddalona o siedem godzin jazdy, a jej pierwsze wspomnienia dotyczyły taty. Rano wracał do domu z pracy na torze, a ona pytała go, jak było. Czasami budziła się, kiedy wychodził z domu, o 3.45 rano. Przecierała oczy i pytała:

– Hej, Ted, czy ja też mogę pójść?

Z jakiegoś powodu zawsze, kiedy budziła się w ciemności, mówiła do matki „Catherine”, a do ojca „Ted”. W ciągu dnia to zanikało, byli po

prostu mamą i tatą. Pozostało to jedną z rzeczy niezapisanych i nieomawianych, lata później, gdy znaleźli ją leżącą i martwą.

Jak mówiłem, kochała konie, ale nie w taki sposób, jak większość dziewczynek.

Chodziło o atmosferę, nie wstążeczki.

Stajnie, nie pokazy.

Kiedy podrosła, w czasie wakacji ona i jej bracia błagali o możliwość pomagania na torze, a ona kochała te ciemne poranki, tętent kopyt w oparach i mgle. Kochała sposób, w jaki wschodziło słońce, tak odległe olbrzymie i pozornie ciepłe, a powietrze tak bliskie i zimne.

W tamtych czasach jedli grzanki na ogrodzeniu – całkiem białym, składającym się z samych drążków, bez słupków – i kochali trenerów, którzy przeklinali pod nosem, i kręcących się po okolicy starych dżokejów przypominających twarde dzieci o głębokich głosach. Dziwnie wyglądali w strojach do ćwiczeń na torze, dzinsach, kamizelkach i starych czapkach.

Jej bracia byli o cztery i pięć lat starsi, a kiedy osiągnęli odpowiedni wiek, również weszli do wyścigów – wyraźnie mieli to we krwi.

W świecie wyścigów zawsze mówi się o krwi.

Albo raczej o pokrewieństwie:

Podobnie jak w przypadku Claya i reszty z nas, w przeszłości można odkryć tak wiele.

Według Carey jej matka, Catherine Novac, była jedyną osobą w rodzinie, która jednocześnie nie ufała światkowi wyścigów i gardziła nim, zależnie od nastroju. Bywała chłodna i bladoniebieska jak akwarela, albo rudoblond i gotująca się ze złości. Pewnie, kochała konie, podobały jej się wyścigi, ale czuła odrazę do BIZNESU wyścigów



– marnotrawstwa, przerasowania. Chciwego podbrzusza. Przypominał piękną dziwkę, a ona widziała ją pozbawioną makijażu.

Bracia Carey nazywali ją Katarzyną Wielką, gdyż była onieśmielająco surowa i poważna, nigdy sobie nie żartowała. W dni wyścigów, kiedy mówiła im, że mają wrócić w jednym kawałku, wiedzieli, co naprawdę miała na myśli:

    Nie liczcie na współczucie, jeśli się przewrócicie.

    Życie jest trudne dla dżokejów.

    I o wiele trudniejsze dla koni.

I Ted.

Torowy Ted.

Carey znała tę historię.

Na początku kariery był najpewniej najbardziej obiecującym uczniem w kraju, jak Pike, Breasley albo Demon Darb Munro. Pięć stóp i siedem cali wzrostu oznaczało, że był wysoki jak na dżokeja, a niski jak na mężczyznę, ale miał doskonałą budowę ciała do jazdy konnej i metabolizm, za który ludzie daliby się pokroić, bo wydawał się niezdolny utyć. Minus był taki, że jego twarz wyglądała na niedokładnie złożoną, jakby producenci bardzo się spieszyli. Ale to już zależało od tego, kogo spytać. Dziewczyna zwana Catherine Jamison uważała, że nie wygląda najgorzej. Kochała jego nieuporządkowaną twarz i zielone oczy i to, że mogła go nosić na rękach – aż pewnego ranka doszło do tragedii.

    Miał dwadzieścia trzy lata.

    Z dnia na dzień doszło do gwałtownej deregulacji przemiany materii.

    Kiedys w dniu wyścigów mógł zjeść całą paczkę wafli Tim Tam, a teraz jedynie opakowanie.

Wtedy już od jakiegoś czasu mieszkali w mieście, przeprowadzili się, żeby naprawdę rozkręcić interes. Catherine pracowała jako pielęgniarka w szpitalu Prince of Wales niedaleko Randwick.

Nadszedł taki tydzień, po kilku dobrych latach w tej branży, kiedy Ted zaczął czuć się inaczej. Wtedy, kilka godzin przed świtem, odbył rytualną wycieczkę do łazienki, a waga nie kłamała, lustro też nie. Jednocześnie się rozciągał i wypełniał, a jego twarz utraciła opieszalność. Ale na co mu to? Wolał być przystojny czy jeździć na doskonałym długodystansowcu w Doncaster? Świat przestał mieć sens.

Najgorsze były ręce.

W małej kuchni ich mieszkania nawet nie pomyślał o śniadaniu. Siedział przy kuchennym stole, patrząc na te dłonie, i w życiu nie widział nic tak mięsistego.

Przez pięć długich lat pracował i pościł.

Przesiadywał w saunie parowej.

Żywił się liśćmi sałaty.

Kiedy czytał gazetę, siedział w samochodzie w upale, z zamkniętymi oknami, w najnowszym, najcieplejszym dresie. Kosił trawniki w kurtce i džinsach, z pianką pod spodem. Dostawał skurczy, łatwo się denerwował. Biegał z workami na śmieci przywiązаныmi do nóg pod zimowymi wełnianymi spodniami. Takie były zdobycze zabawy w wyścigi, i tysiące tłumionych marzeń – o batonikach i cieście czekoladowym, i nieczyste myśli o serze.

Były też zwyczajowe urazy – został zrzucony, złamał oba nadgarstki. W stajni został kopnięty w twarz. Dwa razy stratowany przy ćwiczeniach na torze. Raz, w gonitwie trzeciej w Warwick Farm, koń przed nim zgubił podkowę – uderzyła go w ucho. Mogło być o wiele gorzej.

U zmierzchu kariery był jak żołnierz albo starożytny jeździec rydwanu – każda gonitwa była jak bitwa. Przez czyściec w żołądku i bóle zębów, bóle i zawroty głowy, czarę goryczy przelała rozszalała grzybica stóp, którą zaraził się w przebieralni dżokejów...

– I to – często żartował do siedmioletniej Carey w samochodzie w drodze na ćwiczenia na torze – w końcu mnie dobiło.

Cały problem w tym, że Ted Novac kłamał, ponieważ tym, co go dobiło, nie była grzybica stóp ani ssanie w żołądku, ani odwodnienie i tęsknota. Był to oczywiście koń:

Ogromny kasztan, The Spaniard.

The Spaniard był wspaniałym koniem, o wielkim sercu, jak Kingston Town albo Phar Lap. A co najważniejsze, nie był wałachem, co znaczyło, że jego linia krwi mogła być kontynuowana.

Pracował z nim Ennis McAndrew, znany trener chudy jak patyk.

Kiedy koń przybył do jego stajni, McAndrew zadzwonił.

– Ile ostatnio ważysz?

Wybrał numer Teda Novaca.

The Spaniard ścigał się w niemal wszystkich wielkich gonitwach na milę albo dłuższych.

Mógł biec szybko, mógł się hamować, robił wszystko, o co się go poprosiło.

Drugie albo trzecie miejsce było porażką.

Czwarte katastrofą.

Na grzbiecie za każdym razem siedział Ted Novac, jego nazwisko w gazecie, a na jego twarzy uśmiech – a może to był grymas wywołany swędzeniem? Nie. Na tym koniu nigdy go nie czuł, przez połowę wyścigu jechał powoli, na prostej stopniowo przyspieszał i prowadził go do mety.

Pod koniec kariery konia Ted spodziewał się, że jemu też się uda.

Tylko jeden wyścig go ominął i nie, nie była to „Gonitwa, która wstrzymuje naród”. Nie obchodziła zbytnio ani McAndrew, ani Teda, ani właścicieli, wszyscy marzyli o Cox Plate. W umysłach prawdziwych ekspertów to była największa gonitwa.

Dla Teda była farsą.

Nie umiał zbić wagi.

Nawet uwzględniając dostosowanie obciążenia do wieku konia i fakt, że znał swój cel z wyprzedzeniem, Ted za bardzo się zapuścił. Robił wszystko, co zawsze robił. Skosił setkę trawników. W domu zemdlał pod prysznicem. Decyzja została podjęta z tygodniowym wyprzedzeniem, ręka stracha na wróble na jego ramieniu – i oczywiście The Spaniard wygrał.

W późniejszych latach wciąż było mu trudno, kiedy jej opowiadał. Inny dżokej – przyjazny, wąsaty Max McKeon – prześcignął wszystkich na ostatniej prostej Moonee Valley i The Spaniard zwyciężył o długość.

Ted Novac słuchał w samochodzie na podjeździe.

Mieszkali wtedy w innej dzielnicy wyścigów – pod numerem jedenastym, tutaj na Archer Street, lata przed Penny i Michaeliem – a on uśmiechał się i płakał, płakał i uśmiechał się.

Swędziało go, ale się nie podrapał.

Był mężczyzną z piekącymi stopami.

Przez jakiś czas po przejściu na emeryturę wciąż ćwiczył konie na torze i był jednym z najpopularniejszych porannych jeźdźców w mieście. Ale wkrótce wyprowadzili się znów w głąb kraju. Catherine lubiła wieś, a ich najgorszą i najmądrzejszą decyzją było zatrzymanie starego domu na Archer Street. Tyle przynajmniej dał im biznes.

W miarę jak pięły się lata, rodziły im się dzieci. Ted osiągnął swoją naturalną wagę – albo parę kilo więcej, kiedy zaszalał z ciastem. Wtedy czuł już, że na to zasługiwał.

Pracował w wielu zawodach, od sprzedawcy butów przez pracownika wypożyczalni wideo po pomocnika hodowcy bydła, i niektóre z nich wykonywał dobrze. Jednak najbardziej lubił ranki – ćwiczył z końmi na miejscowym torze. Nazywali go Gallery Road.

Wtedy miał już przydomek Torowy Ted.

Określiły go dwa incydenty.

Pierwszy, kiedy trener, McAndrew, przyprowadził dwóch obiecujących dżokejów, żeby sobie popatrzyli. Był wtorek. Niebo było jasne i promienne.

– Widzicie to?

Trener niewiele się zmienił.

Jedynie trochę posiwiał.

Wskazał na jeźdźca, który ich mijał.

– Widzicie jego pięty? I te ręce? Siedzi na tym koniu, jakby w ogóle nim nie powodował.

Dwójka dzieciaków była standardowo arogancka.

– Jest gruby – powiedział jeden, drugi się roześmiał, a McAndrew mocno ich uderzył. Dwa razy w brodę i policzki.

– Patrzcie, znów jedzie. – Mówił jak wszyscy trenerzy na całym świecie, zwrócony na zewnątrz. – A tak między nami, ten gość ma na koncie więcej zwycięstw niż wy, skurczybyki, będziecie mieli przez całe życie. Będzie miał więcej zwycięstw w czasie **ĆWICZEŃ NA TORZE**.

Wtedy właśnie Ted podszedł do nich.

– McAndrew!

A McAndrew się uśmiechnął, całkiem szeroko.

– Hej, Ted.

– Jak wyglądam?

– Tak się zastanawiałem, skąd tu się nagle wziął Pavarotti i udaje dżokeja?

Uścisnęli się ciepło, pokleпали po plecach.

Myśleli o Spaniardzie.

Następny incydent wydarzył się kilka lat później, kiedy chłopcy Novaców mieli trzynaście i dwanaście lat, a Carey, dziewczynka, wciąż osiem. Miały to być ostatnie ćwiczenia Torowego Teda.

Była wiosna, ferie, niedawno padał deszcz, a trawa była zielona i wysoka (to zawsze zaskakujące, jak wysoką trawę uprawia się dla folblutów), koń wierzgnął, Ted został zrzucony i wszyscy zobaczyli, jak upada. Trenerzy przytrzymali chłopców, ale Carey jakimś sposobem się tam dostała, przecisnęła między nogami – i najpierw zobaczyła pot, krew na skórze, a później obojczyk, złamany i wygięty.

Kiedy ją zobaczył, zmusił się, żeby się uśmiechnąć.

– Cześć, dzieciaku.

Ta kość, taka biała.

Taka surowa i czysta, jak słoneczny blask.

Leżał płasko na plecach, a mężczyźni w kombinezonach, mężczyźni w ciężkich butach, mężczyźni z papierosami, wszyscy zgadzali się, żeby go nie ruszać. Stworzyli młyn i okazywali szacunek. Z początku zastanawiał się, czy złamał kark, bo nie czuł nóg.

– Carey – powiedział.

Pot.

Wschodzące, kołyszące się słońce.

Przetaczało się po prostej.

A ona wciąż nie mogła przestać patrzeć, kiedy klęczała obok niego. Patrzyła na krew i brud, łączące się jak nitki ruchu ulicznego na jego wargach. Plamiły jego dzinsy i flanelową koszulę. Pochwyciły suwak na kamizelce. Wydobywała się z niego dzikość.

– Carey – powtórzył, ale tym razem dodał coś innego. – Czy możesz się przesunąć i podrapać mnie po palcach nóg?

Tak, oczywiście.

Delirium.

Myślał, że znów tam jest, w cudownych dniach grzybicy stóp, i miał nadzieję, że odwróci jej uwagę.

– Zapomnij o obojczyku... to swędzenie mnie dobija!

Zmusił się do uśmiechu, ale nie mógł go utrzymać.

Podeszła do jego butów, żeby je rozwiązać, a on krzyknął z bólu.

Słońce opadło i połknęło go.

W szpitalu, kilka dni później, lekarz robił obchód.

Uścisnął dłonie chłopców.

Rozczochrał włosy Carey.

Splątana, chłopięcą kasztanową czuprynę.

Światło było białe jak kość obojczyka.

Kiedy lekarz sprawdził postępy Teda, spojrział przyjaźnie na dzieci.

– Wy troje, kim zamierzacie zostać, kiedy dorośnięcie?

Ale chłopcy nie zdołali wcisnąć nawet słowa – bo to Carey spojrzała, to Carey się uśmiechnęła i zmrużyła oczy w blasku padającym przez okno. Swobodnie pokazała palcem na swojego zmalretowanego, stratowanego tatę, i już była na najlepszej drodze:

Do tutaj i Claya, i Archer Street.

Powiedziała:

– Będę taka jak on.

## postacie w rzece

I OTO GDZIE ZOSTAŁEM WYRZUCONY – między drzewami – w dniu po Cootamundrze.

Stałem tam, samotny między eukaliptusami, ze stopami pośród kory.  
Przede mną długi pas słońca.

Usłyszałem tę pojedynczą nutę i na razie nie mogłem się poruszyć.  
Z jego radia dobiegała muzyka, co znaczyło, że nie wiedział.

Patrzyłem na nich w korycie rzeki.

Nie umiem wam nawet powiedzieć, jak długo – a most, nawet w kawałkach, był piękniejszy niż mógłbym uwierzyć.

Łuki miały być wspaniałe.

Wygięcie kamienia.

Podobnie jak w Pont du Gard, nie zamierzali użyć zaprawy – kamienie miały być idealnie dopasowane. Świeciły na otwartej przestrzeni niczym kościoł.

Widziałem to też w sposobie, w jaki pochylał się nad nim i przeciągał po nim dłonią.

Jak mówił do niego i mocował go, kształtował i stał obok:

Ten most był stworzony z niego.

Ale musiałem się do tego zabrać.

Moje kombi za plecami.

Powoli wyszedłem spomiędzy drzew, przeszedłem pieszo całą drogę.  
Stałem w blasku popołudnia, a postacie w rzece się zatrzymały.



Zawsze będę pamiętał ich ramiona – były zmęczone, ale utwardzone życiem.

Popatrzyli na mnie, a Clay spytał:

– Matthew?

I nic nie mogło mnie przygotować, kiedy schodziłem w ich stronę. Byłem jedynie skorupą tego, czym musiałem być, bo tego się nie spodziewałem – takiej pogody ducha i życia w przechyleniu jego twarzy – ani tak wspaniałego mostu.

I to ja, nie on, jako pierwszy padłem na kolana na ziemię w korycie rzeki.

– Chodzi o Carey – powiedziałem. – Nie żyje.

## achilles o czwartej rano

CO BY BYŁO, gdyby go nie zatrzymali?

Domu przy Archer Street 11.

Gdyby tylko nie wrócili?

Dlaczego po prostu nie sprzedali go i nie żyli dalej, zamiast rozważnie zbierać czynsz?

Ale nie – nie mogę tak myśleć.

Ponownie mogę to jedynie opowiedzieć.

Przybyła w wieku prawie szesnastu lat – na ulicę chłopców i zwierząt, wśród których był już muł.

Na początku była noc po marcowym dniu, kiedy Clay pobiegł i wygrał zawody stanowe.

Znów na E.S. Marks.

Z miłością okleiłem jego stopy taśmą.

Najbliżej był wiejski chłopak z Begi.

Musiałem przez dłuższy czas przekonywać Claya, żeby został.

Nie chciał podium ani medalu – chciał tylko Achillesa.

Pobił rekord stanu o odrobinę ponad sekundę, co, jak mówili, na tym poziomie było absurdalne. Oficjele ściskali mu rękę. Clay myślał o Epsom Road.

Kiedy wyjechaliśmy z parkingu i włączyliśmy się w gęsty popołudniowy ruch, przyglądał mi się w lusterku wstecznym, a ja spojrzałem na chwilę na niego. Bądźmy uczciwi, dawał do zrozumienia,

a złoty medal wisiał na szyi przeklętej Eos. Dyszała na kolanach Tommy'ego. Obejrzałem się i milcząco powiedziałem:

„Masz szczęście, że go nie założyłeś – wykorzystałbym go, żeby ukręcić ci łeb”.

W domu zostawiliśmy Rory'ego i Henry'ego.

Zostawiliśmy też psa.

Kiedy Tommy zaczął wysiadać, Clay położył mu rękę na ramieniu.

– Tommy, jedziesz z nami.

Kiedy tam dotarliśmy, wieczorem, czekał przy płocie, wołał i krzyczał do nieba. Przypomniałem sobie ogłoszenie:

– „Nie wierzga” – powiedziałem. – „Nie ryczy”.

Ale Clay całkiem mnie zignorował, a Tommy się zakochał. Piąty z niegroźnej gromadki.

Tym razem, kiedy postaliśmy przez chwilę, przyczepa kempingowa poruszyła się i zadrżała, i na zewnątrz wylał się mężczyzna. Miał na sobie zmęczone stare spodnie i koszulę, i przyjazny uśmiech. Szedł najszybciej, jak mógł, jakby popychał kulawą ciężarówkę w górę zbocza.

– To wy jesteście tymi skurczybykami, którzy karmili TEGO żalosego starego skurczybyka? – spytał, ale szczerzył się jak dziecko.

Czy był tym stajennym, którego Penelopa poznała pierwszym razem, nad płotem przy Archer Street 18? Nigdy się nie dowiemy.

Zapadał już zmrok.

Mężczyzna nazywał się Malcolm Sweeney.

Sylwetką przypominał pączka w ubraniu.

Kiedyś był dżokejem, później stajennym, później certyfikowanym wygarniaczem nawozu ze stajni. Jego nos należał do alkoholika. Choć miał chłopięcą minę, można by pływać w smutkach jego twarzy. Przeprowadzał się na północ, do siostry.

– Możemy wpuścić dzieciaka do środka, żeby go pogłaskał? – spytałem, a Malcolm Sweeney chętnie spełnił prośbę.

Przypominał mi postać z książki, którą kiedyś czytałem, *Smutny dobry wściekły zły dobry człowiek* – pełną życzliwości, ale też żalu.

– Widzieliście „Tribune”? – spytał. – I ogłoszenie?

Clay i ja pokiwaliśmy głowami, a Tommy był już po drugiej stronie, głaskał muła po łbie.

Malcolm znów się odezwał.

– Na imię ma...

– Nie musimy znać imienia – poinformował go Clay, ale patrzył jedynie na Tommy’ego.

Uśmiechnąłem się do Malcolma Sweeneya, najbardziej zachęcająco, jak umiałem, po czym wskazałem na Claya.

– Da panu dwieście dolarów, żeby je zmienić. – I poczułem, że prawie się krzywię. – Ale może pan swobodnie zażądać od niego trzystu.

Rozległ się śmiech jak coś, co było kiedyś.

– Dwieście wystarczy.

Przy płocie stali Clay i Tommy.

– Achilles? – powiedział jeden do drugiego.

– Achilles.

W końcu, pomyśleli, w końcu.

Z Achillesem musieliśmy jednak pomyśleć z wyprzedzeniem, piękno i głupota, zdrowy rozsądek i czyste dziwactwo łączyły się ze sobą, trudno określić, od czego zacząć.

Sprawdziłem przepisy lokalne i bez najmniejszych wątpliwości było tam coś w rodzaju rozporządzenia – z roku 1946 – które zezwalało na trzymanie inwentarza na terenie nieruchomości, jeśli był odpowiednio zadbany. „Wyżej wymienione zwierzęta – stwierdzało – nie mogą w żaden sposób wpływać negatywnie na zdrowie, bezpieczeństwo

i dobrobyt mieszkańców samej nieruchomości, jak również tych z nią graniczących” – co, czytając między wierszami, znaczyło, że można trzymać, cokolwiek tylko się zechce, o ile nikt się nie poskarży. Co doprowadziło nas do pani Chilman – jedyne prawdziwego sąsiada, jakiego mieliśmy.

Kiedy poszedłem do niej, zaprosiła mnie do środka, ale zostaliśmy na werandzie w blasku popołudniowego słońca. Spytała, czy mógłbym odkręcić słoik dżemu, a kiedy wspomniałem o mule, z początku zaskrzypiała wewnątrz, zmarszczki zniknęły w policzkach. Później zaśmiała się z głębi płuc.

– Wy, chłopaki Dunbarów, jesteście niesamowici. – Było jeszcze ze trzy albo cztery „cudownie” i drzenie w ostatnim zdaniu. – Kiedyś życie zawsze takie było.

I byli też Henry i Rory.

Henry’emu powiedzieliśmy od razu, ale utrzymaliśmy w tajemnicy przed Rorem – jego reakcja miała być bezcenna (i pewnie była powodem, dla którego się zgodziłem). Już był bez ustanku w paskudnym humorze z powodu Hektora śpiącego na jego łóżku, a czasem nawet Eos, a przynajmniej kiedy kładła tam pysk:

– Ej, Tommy! – wołał przez pokój – zabieraj ze mnie tego cholernego kota! – I: – Tommy, niech Eos przestanie tak cholernie dyszeć.

Tommy bardzo się starał.

– Ona jest psem, Rory, musi dyszeć.

– Nie, przy MNIE nie musi!

I tak dalej.

Czekaliśmy przez resztę tygodnia, żeby zabrać muła do domu w sobotę. W ten sposób wszyscy mogliśmy go nadzorować, na wypadek, gdyby coś poszło nie tak (a mogło).

W czwartek kupiliśmy wyposażenie. Malcolm Sweeney nie miał już przyczepy dla konia, więc musieliśmy odprowadzić go do domu pieszo. Najlepszą godziną, wszyscy się zgodziliśmy, był wczesny ranek (pora ćwiczeń na torze) w sobotę o czwartej rano.

Jednak czwartkowy wieczór był piękny, była tam nasza czwórka ze Sweeneyem, a Rory najpewniej wyszedł się napić. Niebo i chmury były różowe, a Malcolm patrzył na nie z miłością.

Tommy rozczesywał grzywę, a Henry oceniał sprzęt. Przyniósł nam strzemiona i uździenice, i uniósł je z aprobatą.

– Z tym cholerstwem możemy coś zrobić... ale to coś jest bezużyteczne.

Z uśmiechem wskazał głową na muła.

I tak oto przyprowadziliśmy go do domu.

W spokojny poranek pod koniec marca czterech chłopaków Dunbarów szło przez dzielnicę wyścigów, a między nami muł o greckim imieniu.

Czasami zatrzymywał się przy skrzynce na listy.

Potykał się o własne nogi i srał na trawę.

– Macie jakieś psie torebki? – spytał Henry.

Wszyscy się roześmialiśmy.

Tym, co zawsze uderza mnie najbardziej, jest wspomnienie Malcolma Sweeneya, płaczącego bezgłośnie przy płocie, kiedy powoli odprowadzaliśmy muła. Wycierał swoje drożdżowe policzki i przeczesał palcami lukrowane włosy. Był wilgotny i w kolorze khaki – smutny stary tłuścioch, i piękny.

I ten dźwięk:

Kopyta stukające na ulicy.

Wszystko wokół nas było miejskie – droga, latarnie uliczne, ruch, krzyki, które nas dobiegały, ze strony rozbawionych ludzi – a wśród

tego stukot kopyt muła, kiedy prowadziliśmy go przez przejścia dla pieszych i przekroczyliśmy pustą Kingsway. Pokonaliśmy jedną długą kładkę dla pieszych, plamy ciemności i blasku latarni.

Henry i ja po jednej stronie.

Tommy i Clay po drugiej.

I można by regulować zegarek według tych kopyt, a życie według ręki Tommy'ego – kiedy z czułością prowadził muła do domu, do nadchodzących miesięcy i dziewczyny.

## dwie skrzynie skarbów

OTO, CO SIĘ WYDARZYŁO.

Złamali niepisane zasady.

Był dotyk jej nagich nóg.

Pamiętał jej wyciągnięte ciało i stertę plastiku obok, i jak się poruszyła i delikatnie go ugryzła. I sposób, w jaki pociągnęła go w dół.

– Chodź tu, Clay.

Pamiętał.

– Użyj zębów. Nie bój się. Nie będzie mnie bolało.

Pamiętał, jak tuż po trzeciej odeszli, Clay leżał w domu, a w końcu udał się na dworzec główny.

Z powrotem do mostu i Silver.

Carey oczywiście poszła do pracy, gdzie o świcie weteran War of the Roses wrócił z toru – ale wrócił bez jeźdźca.

Spadła na pierwszej prostej.

Słońce było zimne i blade.

Niebo miasta było ciche.

Dziewczyna leżała bokiem i wszyscy zaczęli biec.

Nad Amahnu, w Silver, kiedy mu powiedziałem, Clay zerwał się gwałtownie. Ruszył nierównym biegiem w górę rzeki.

Boże, światło tutaj sięgało tak daleko, a ja patrzyłem, jak Clay dociera do linii drzew, aż zniknął wśród skał.

Ojciec patrzył na mnie w otępieniu, z takim smutkiem, ale i miłością.



Kiedy próbował pójść za Clayem, dotknąłem go.

Dotknąłem i chwyciłem za ramię.

– Nie – powiedziałem – powinniśmy mu zaufać.

Morderca stał się Zamordowanym.

– A jeśli...

– Nie.

Nie wiedziałem wszystkiego, co musiałem wiedzieć, ale w przypadku Claya byłem pewien jego wyborów – w tej chwili wybierał cierpienie.

Zgodziliśmy się, że zaczekamy godzinę.

Wśród drzew daleko w górze rzeki, ukląkł na stromiźnie koryta – jego płuca były dwiema skrzyniami skarbów śmierci.

Płakał tam nieopanowanie.

Tym czymś, co słyszał poza sobą, był w końcu – miał taką pewność – jego głos.

Drzewa, kamienie, owady:

Wszystko zwolniło i zatrzymało się.

Myślał o McAndrew i Catherinie. Torowym Tedzie. Wiedział, że będzie musiał im powiedzieć. Zamierzał wyznać, że to wszystko było jego winą – ponieważ dziewczyny nie znikają tak po prostu, nie zawodziły, jeśli ktoś ich do tego nie doprowadził. Carey Novac nie umierały tak po prostu, to chłopcy tacy jak on do tego doprowadzali.

Myślał o piętnastu piegach.

Kształtach i śladzie morskiego szkła.

Szesnasty na jej szyi.

Rozmawiała z nim, znała go. Szła z nim pod rękę. A czasami nazywała go idiotą... i pamiętał tę lekką woń potu i swędzenie jej włosów na szyi – wciąż czuł w ustach jej smak. Wiedział, że gdyby się obszukał, na dole, w pobliżu miednicy, pozostał wgryziony jej ślad,

wciąż widoczny – pozostał jak ukryte przypomnienie kogoś, i czegoś, co zostało przeżyte.

Jasnooka Carey nie żyła.

Kiedy powietrze pochłodziło i Clay poczuł zimno, modlił się o deszcz i gwałtowność.

Zatopienie stromej Amahnu.

Ale jej suchość i cisza go przytrzymały i klęczał jak kolejny kawałek rumoszu – jak chłopiec wyrzucony na brzeg w górze rzeki.

## kłótnie

TRZEBA BYŁO TO PRYZNAĆ małej Carey Novac.

Miała w sobie zdrową determinację.

Mimo iż jej mama i tato z rezygnacją zaakceptowali, że ich synowie zostaną dżokejami, jej na to nie pozwalali. Kiedy o tym wspominała, mówili jedynie „nie”. Bez ogródek.

Wbrew wszystkiemu, kiedy miała jedenaście lat, zaczęła pisać listy do pewnego trenera, w mieście, co najmniej dwa lub trzy razy w miesiącu. Z początku prosiła o informacje, jak zostać dżokejem, nawet jeśli już wiedziała. Jak mogła zacząć szkolenie wcześniej? Jak mogła się lepiej przygotować? Podpisywała listy jako „Kelly ze wsi” i czekała cierpliwie na odpowiedzi, wykorzystując adres domowy przyjaciółki z Carradale (sąsiedniego miasteczka).

Wkrótce przy Harvey Street w Calamii zadzwonił telefon.

W połowie rozmowy Ted przerwał i powiedział po prostu:

– CO? – Po chwili mówił dalej. – Tak, to sąsiednie miasteczko. –  
Później: – Naprawdę? „Kelly ze wsi”? Chyba żartujesz. Oczywiście, że to ona, jestem cholernie pewien...

Cholera, pomyślała dziewczynka, która podsłuchiwała w salonie.

Była w połowie przedpokoju, próbując uciec, kiedy przeszył ją głos.

– Ej, Kelly – powiedział – nie tak szybko.

Ale widziała, że jej tato się uśmiecha.

To znaczyło, że ma szansę.

Tymczasem tygodnie zmieniały się w miesiące i lata.

Była dzieciakiem, który wiedział, czego chce.

Była pełna nadziei i wytrwała.

Ciężko pracowała przy Gallery Road – chudy, utalentowany wygarniacz gówna – ale wyglądała też dobrze w siodle.

– Lepsza od większości dzieciaków, jakie widziałem – przyznał Ted.

Catherine nie była pod wrażeniem.

Ennis McAndrew też nie.

Tak, Ennis.

Pan McAndrew.

Ennis McAndrew miał zasady.

Na początku kazał uczniom czekać – nikt nigdy, przenigdy nie jeździł w pierwszym roku nauki, to znaczy, o ile w ogóle kogoś przyjął. Oczywiście, obchodziła go umiejętność jazdy konnej, ale czytał też kartki z ocenami ze szkoły, a szczególnie uwagi. Jeśli choć raz pojawiło się „łatwo się rozprasza”, można było zapomnieć. A nawet kiedy przyjął zgłoszenie, kazał przychodzić do stajni wczesnym rankiem, trzy z sześciu dni w tygodniu. Można było prowadzić konie na lonży i sprzątać. Można było patrzeć. Ale nigdy, w żadnym wypadku, nie można było się odezwać. Można było zapisywać pytania albo je zapamiętywać i zadawać je w niedziele. W soboty można było przychodzić na spotkania przed gonitwami. Znow bez mówienia. Zauważał obecność, jeśli CHCIAŁ ją zauważyć. Bardzo rzeczowo stwierdzał, że uczeń powinien spędzać czas z rodziną, wychodzić z przyjaciółmi – bo od drugiego roku właściwie nie będzie miał na to czasu.

W pozostałe dni tygodnia można się było wyspać – to znaczy można się było zgłosić o piątej trzydzieści do klubu bokserkiego Tri-Colors, by biegać po szosie z bokserami. Jeśli przegapiło się choć jeden trening, staruszek wiedział – wiedział.

Ale mimo wszystko.

Nikt nigdy się tak na niego nie zasadził.

W wieku czternastu lat znów zaczęła z listami, tym razem jako Carey Novac. „Kelly ze wsi” zniknęła. Przeprosiła za błędną ocenę sytuacji i miała nadzieję, że to nie wpłynie negatywnie na ocenę jej charakteru. Wiedziała o wszystkim – zasadach obowiązujących jego uczniów – i zamierzała zrobić wszystko, co konieczne, gdyby musiała, była gotowa bez ustanku sprzątać stajnie.

W końcu przyszedł list.

Swoim ciasnym pismem Ennis McAndrew zanotował dwa nieuniknione, identycznie sformułowane zdania.

*Zgoda matki.*

*Zgoda ojca.*

I to był jej największy problem.

Jej rodzice również byli zdecydowani:

Odpowiedź wciąż brzmiała: stanowczo nie.

Nie zostanie dżokejem.

Zdaniem Carey było to haniebne.

Jasne, pewnie, jej niegodziwi bracia mogli być dżokejami – do tego przeciętnymi, leniwymi – ale ona nie. Raz nawet zdjęła ze ściany salonu oprawione w ramki zdjęcie Spaniarda i znów zaczęła kłótnię:

– McAndrew ma nawet konia z jego linii.

– Co takiego?

– Nie czytasz gazet?

A później:

– Jak możesz mnie nie pozwalać na to, co sam miałeś? Popatrz na niego! – Jej piegi płonęły, włosy były splątane. – Nie pamiętasz, jak to było? Wjechać na zakręt? Wyprowadzić go na prostą?

Zamiast powiesić zdjęcie znów na ścianie, uderzyła nim o stolik, aż popękało szkło.

– Odkupisz ją – powiedział on, a całe szczęście ramka nie kosztowała dużo.

Ale nie było to tak wielkie szczęście (albo NIESZCZĘŚCIE, jak mogliby stwierdzić niektórzy) jak to:

Kiedy oboje uklękli i sprząтали szkło, odezwał się w zamyśleniu do podłogi.

– Oczywiście, że czytam gazetę. Koń nazywa się Matador.

W końcu Catherine ją spoliczkowała.

Zabawne, co może działać policzek:

Jej akwarelowe oczy były odrobinę bardziej błyszczące – nieopanowane, ożywione złością. Jej włosy uniesione, kilka pasm, a Ted stał samotnie w drzwiach.

– Naprawdę nie powinnaś tego robić.

Mówił i pokazywał na Carey.

Ale było coś jeszcze.

Catherine policzkowała kogoś tylko wtedy, kiedy wygrał.

Oto, co zrobiła Carey:

Jeden z jej najlepszych starych kasztanów z dzieciństwa.

Wakacje szkolne.

Wyjechała rano i miała spędzić noc w domu Kelly Entwistle, ale wsiadła do pociągu do miasta. Późnym popołudniem stała prawie godzinę przed Stajniami McAndrew – nieduże biuro domagało się pomalowania. Kiedy w końcu nie mogła już dłużej zwlekać, weszła do środka i stawiała czoła biurku. Siedziała za nim żona McAndrew. Była w połowie ćwiczeń matematycznych i żuła gumę.

– Przepraszam? – spytała Carey, oburzająco roztrzęsiona i cicha. – Szukam pana Ennisa.

Kobieta popatrzyła na nią, z trwałą i gumą do żucia. Zaciekawiała się.

– Chyba masz na myśli McAndrew.

– Tak, przepraszam. – Uśmiechnęła się słabo. – Jestem trochę zdenerwowana.

Teraz kobieta zauważyła, uniosła rękę i opuściła okulary. Jednym ruchem przeszła od nieświadomej do całkiem skupionej.

– Nie jesteś przypadkiem córką starego Torowego Teda?

Cholera!

– Tak, proszę pani.

– Twoja mama i tato wiedzą, że tu jesteś?

Carey zaplotła włosy w ciasny warkocz opadający na plecy.

– Nie, proszę pani.

Prawie skrucha, prawie żal.

– Dobry Boże, dziewczyno, przyjechałaś tu sama?

– Tak, pociągiem. A później autobusem. – Prawie zaczęła bełkotać. – Cóż, najpierw wsiadłam do złego autobusu. – Zapanowała nad sobą. – Pani McAndrew, szukam pracy.

I wtedy właśnie ją miała.

Kobieta wcisnęła pióro w loki.

– Ile właściwie masz lat?

– Czternaście.

Kobieta roześmiała się i pociągnęła nosem.

Czasami słyszała, jak rozmawiają nocą, w ciasnej kuchni.

Ted i Catherine.

Katarzyna Wielka i Wojownicza.

– Posłuchaj – powiedział Ted – jeśli ona ma to zrobić, Ennis jest najlepszy. Zaopiekuje się nią. Nawet nie pozwala im mieszkać w stajni... muszą mieć normalne domy.

– Co za człowiek.

– Hej... ostrożnie.

– W porządku. – Ale wcale nie złagodniała. – Wiesz, że nie chodzi o niego, tylko o biznes.

Carey stała w przedpokoju.

W piżamie składającej się z krótkich spodenek i koszulki na ramiączkach.

Ciepłe, lepkie stopy.

Palce u nóg w plamie światła.

– Ech, ty i przeklęty biznes. – Ted wstał i podszedł do zlewu. – Ten biznes dał mi wszystko.

– Aha. – Szczere potępienie. – Wrzody, omdlenia. Ile złamanych kości?

– Nie zapominaj o grzybicy.

Próbował rozładować atmosferę.

Nie udało mu się.

Mówiła dalej, wciąż potępiała, mrok spadał na dziewczynkę w korytarzu.

– Tu chodzi o naszą CÓRKĘ, a ja chcę, żeby żyła... nie przechodziła przez piekło, przez które przechodziłeś ty i będą przechodzić chłopcy...

Czasami dudnią przeze mnie, te słowa, i są gorące, jak kopyta folblutów:

Chcę, żeby żyła.

Chcę, żeby żyła.

Carey powiedziała to kiedyś Clayowi, powiedziała mu pewnej nocy na Surrounds.

A Katarzyna Wielka miała rację.



Miała rację we wszystkim.

## szyfr roweru

ZNALELIŚMY GO W GÓRNYM BIEGU, gdzie zaczynały się eukaliptusy kamaldulskie.

Co mogliśmy powiedzieć?

Michael głównie z nim stał. Bardzo łagodnie położył na nim rękę, aż w ciszy zeszedliśmy na dół.

Zostałem na noc, musiałem.

Clay zmusił mnie, żebym spał w jego łóżku, a on siedział oparty o ścianę. W nocy budziłem się sześć razy, a Clay siedział całkiem wyprostowany.

Za siódmym w końcu się przewrócił.

Leżał bokiem i spał na podłodze.

Następnego ranka zabrał jedynie zawartość swojej kieszeni.

Wrażenie blaknącej klamerki.

W drodze do domu siedział obok mnie bardzo wyprostowany. Ciągle spoglądał w lusterko wsteczne, spodziewając się, że ją zobaczy.

W pewnym momencie powiedział:

– Zjedź na bok.

Myślał, że może zwymiotuje, ale był po prostu zmarznięty, tak bardzo zmarznięty, i pomyślał, że może ona go dogoni, ale samotnie siedział na poboczu.

– Clay?

Powtórzyłem to z tuzin razy.

Wróciliśmy do samochodu i pojechaliśmy dalej.

Gazety opisywały najbardziej obiecującą młodą dżokejkę od dziesięcioleci. Pisały o starym panu McAndrew, który na zdjęciach wyglądał jak połamany kij od miotły. Opowiadały o rodzinie dżokejów i o tym, że matka próbowała ją powstrzymać – zabronić jej wejścia do biznesu. Jej bracia mieli przyjechać z głębi kraju, zdążyć na pogrzeb.

Wspominały o dziewięćdziesięciu procentach:

Każdego roku dziewięćdziesiąt procent dżokejów doznaje urazów.

Pisały o bezwzględnym biznesie, przeważnie kiepskiej pensji i jednym z najniebezpieczniejszych zawodów na świecie.

Ale czego NIE opisali w gazetach?

Gazety nie opisały słońca, kiedy oni dwoje rozmawiali po raz pierwszy – tak bliskiego i wielkiego, obok niej. Albo jego blasku na jej przedramionach. Nie wspomniały o odgłosie jej kroków, kiedy przysłała na Surrounds, i szeleście, gdy się zbliżała. Nie wspomniały o *Kamieniarzu*, którego czytała i zawsze oddawała. Albo jak uwielbiała jego złamany nos. A zresztą, na co komu gazety?

Przede wszystkim nie wspomniały, czy przeprowadzono sekcję i czy na dziewczynę wpłynęła poprzednia noc – uznano, że zginęła na miejscu. Odeszła, ot tak, natychmiast.

McAndrew przechodził na emeryturę.

Twierdzili, że to nie jego wina i mieli rację – to był biznes i takie rzeczy się zdarzały, a on wyjątkowo troszczył się o dżokejów.

Wszyscy to powtarzali, ale on potrzebował odpoczynku.

Podobnie jak Catherine Novac od samego początku, obrońcy koni nazywali to wydarzenie tragicznym, tak samo, jak śmierć koni – przemęczonych i przerasowionych. Mówili, że biznes zabijał ich wszystkich.

Ale Clay wiedział, że to on jest odpowiedzią.

Po powrocie długo siedzieliśmy w samochodzie.

Zmieniliśmy się w naszego ojca po śmierci Penny.

Po prostu siedzieliśmy. Po prostu patrzyliśmy.

Nawet gdyby były gdzieś tic taki albo anticole, z całą pewnością byśmy ich nie zjedli.

Clay myślał, raz za razem:

To nie był biznes, to byłem ja, to byłem ja.

Ale trzeba przyznać, że pozostali przyszli.

Przyszli i usiedli w samochodzie razem z nami i z początku powiedzieli jedynie:

– Cześć, Clay.

Tommy, najmłodszy i najbardziej zielony, próbował rozmawiać o dobrych rzeczach, na przykład dniu, kiedy przyszła i spotkała się z nami – na wodach, które dopiero napłyną – i jak przeszła prosto przez dom.

– Pamiętasz, Clay?

Clay nic nie odpowiedział.

– Pamiętasz, jak poznała Achillesa?

Tym razem już nie biegał, jedynie chodził po labiryncie przedmieścia, ulicach i polach dzielnicy wyścigów.

Nie jadł i nie spał, i nie mógł otrząsnąć się z uczucia, że ją widzi. Była dziewczyną na skraju wszystkiego.

Co się tyczy nas, widzieliśmy wyraźnie, że bardzo go to dotknęło, ale znaleźliśmy ledwie połowę – i jak mogliśmy zrozumieć? Nie wiedzieliśmy, że spotkali się na Surrounds. Nie wiedzieliśmy o poprzedniej nocy, zapalniczce, Kingston Townie albo Matadorze, albo Carey Novac w ósmej. Albo łóżku, którego jednak nie spaliliśmy.

Kiedy ojciec do nas dzwonił, przez kilka kolejnych wieczorów, Clay jedynie potrząsał głową. Mówiliśmy, że się nim zaopiekujemy.

A pogrzeb?

Mogła to jedynie być jedna z tych jasno oświetlonych rzeczy, nawet jeśli odbywał się w środku.

Kościół był zapchany.

Ludzie wypływali znikąd, od ważnych postaci wyścigów po prezenterów radiowych. Każdy chciał ją poznać. Tak wielu znało ją najlepiej.

Nikt nas nie zauważył.

Nie usłyszeli jego niezliczonych wyznań.

Zostaliśmy zakopani daleko z tyłu.

Przez długi czas nie umiał stawić temu czoła.

Nie mógł wrócić do mostu.

Tym, co robił, było udawanie, że jest w porządku:

Jeździł ze mną do pracy.

Kiedy nasz ojciec dzwonił, rozmawiał z nim.

Był doskonałym nastoletnim szarlatanem.

W nocy patrzył na dom po skosie po drugiej stronie ulicy i cienie poruszające się wewnątrz. Zastanawiał się, gdzie jest zapalniczka. Zostawiła ją pod łóżkiem? Czy wciąż była w starej drewnianej skrzyneczce, z listem złożonym wewnątrz?

Nie siadywał już na dachu – tylko na werandzie i nie siedział, ale stał, pochylony do przodu.

Pewnego wieczora poszedł do Hennessey, trybuny gapiły się od niechcenia.

Przy stajniach zebrał się spory tłumek.

Zgromadzili się przy płocie.

Stajenni i uczniowie pochylali się, a on patrzył na nich przez dwadzieścia minut, a kiedy się rozproszyli, uświadomił sobie – próbowali uwolnić jej rower.

Wbrew wewnętrznym reprimendum i beznadziejnej pustce w żołądku przykucnął i dotknął czterocyfrowego zamka – od razu domyślił się kodu. Z pewnością powróciła do samego początku wszystkiego, konia i Cox Plate bez niego:

Z trzydziestu pięciu gonitw Spaniard wygrał dwadzieścia siedem.

Kodem było 3527.

Zamek otworzył się tak łatwo.

Zatrzasnął go z powrotem i przekręcił cyfry.

Trybuny wydawały się o wiele bliższe, obie otwarte w ciemności.

## mistrz rozstań

POD WIELOMA WZGLĘDAMI wydaje się to absurdalne, wręcz trywialne – powracać na Archer Street 18 do czasów przed jej przybyciem. Jeśli jednak czegoś się nauczyłem, to że jeśli życie biegnie dalej w naszych następstwach, biegnie dalej również w naszych światach wcześniej.

Był to okres, kiedy wszystko się zmieniało.

Swego rodzaju przygotowanie.

Jego wcześniej przed początkiem Carey.

Zaczyna się, jak musi, od Achillesa.

Szczerze, nie byłem może szczególnie pod wrażeniem tych wątpliwie wydanych dwóch stówek, ale jedną rzecz zapamiętam na zawsze – Rory'ego przy oknie w kuchni tego ranka, kiedy przyprowadziliśmy Achillesa do domu.

Jak często w soboty, koło jedenastej zatoczył się przez korytarz, a później pomyślał, że wciąż jest pijany i śni.

Czy to?

(Potrząsnął głową).

Co do diabła?

(Mocno przetarł oczy).

Aż w końcu krzyknął za siebie.

– Ej, Tommy, co się tu dzieje?

– Co?

– Co CO, jaja sobie ze mnie robisz? Na podwórku jest osioł!

– To nie osioł, tylko muł.

Pytanie przylepiło się do jego piwnego oddechu.

– A co to za różnica?

– Osioł to osioł, a muł to krzyżówka między...

– Nie obchodzi mnie, czy to quarter horse skrzyżowany z cholernym kucem szetlandzkim!...

Za ich plecami zrywaliśmy boki ze śmiechu, aż w końcu Henry załatwił sprawę.

– Rory – powiedział – poznaj Achillesa.

Pod koniec dnia całkiem nam wybaczył – a przynajmniej na tyle, żeby się nie wyprowadzić. Albo przynajmniej na tyle, żeby się nie wyprowadzić i narzekać.

Wieczorem siedzieliśmy wszyscy za domem, nawet pani Chilman, a Tommy mówił „Hej, chłopcze, hej, chłopcze” najbardziej zakochanym głosem, jaki tylko możecie sobie wyobrazić, i głaskał muła po szorstkiej sierści. Ten spoglądał na niego spokojnie, a Rory skarżył się Henry’emu.

– Za chwilę zabierze skurczybyka na kolację, na litość boską.

W nocy leżał przyduszony przez Hektora, a Eos pochrapywała cicho. Z łóżka po lewej dobiegało udręczone, ale ciche mamrotanie:

– Te cholerne zwierzaki mnie dobijają.

Pomyślałem, że Clay może trochę się uspokoi albo wyluzuje z bieganiem, skoro zawody stanowe się skończyły, a muł należał do nas. Nie mogłem się bardziej pomylić. Jeśli już, biegał jeszcze więcej, co z jakiegoś powodu mnie niepokoiło.

– Może zrobisz sobie przerwę? – powiedziałem. – Na litość boską, właśnie zwyciężyłeś w zawodach stanowych.

Gapił się w głąb Archer Street.

Cały ten czas, a ja tego nie dostrzegłem.

Ten ranek nie był wyjątkiem:



Płoneła w jego kieszeni.

– Hej, Matthew – powiedział – idziesz?

W kwietniu zaczęły się problemy.

Muł był tajemniczy.

Albo raczej absolutnie uparty.

Kochał Tommy'ego, jestem tego pewien, po prostu przypadkiem bardziej kochał Claya. Tylko Clayowi pozwalał sprawdzić kopyta. Nikt inny nie mógł ich ruszyć. Jedynie Clay umiał go uciszyć.

Szczególnie w kilka nocy, bardzo późno, bardzo wcześnie rano, Achilles rżał na całe gardło. Nawet teraz słyszę te smutne, ale przerażające ryki – podobne trochę do zgrzytu zawiasów – a między nimi inne głosy. Henry krzyczał:

– Cholera, Tommy!

Ja mówiłem:

– Uciszcie tego muła!

Rory wołał:

– Zdejmij ze mnie tego pieprzonego kota!

A Clay po prostu leżał w ciszy.

– Clay! Obudź się!

Tommy gorączkowo popychał go i szarpał, aż tamten wkrótce się podniósł i ruszył do kuchni. Przez okno widział Achilleasa, a muł stał pod stojakiem na pranie i zawodził jak zardzewiała furтка. Stał i unosił pysk w stronę nieba.

Clay patrzył, nie mógł się poruszyć, przez chwilę pozostał jak urzeczony. Ale później Tommy uznał, że dość się naczekał. Kiedy pojawiła się reszta z nas, a muł przez cały czas ryczał, to Clay zajął się cukrem. Zdjął pokrywkę, wyjął zaklinowaną łyżeczkę i wyszedł z Tommym za dom.

– Dalej, nadstaw je – powiedział stanowczo, kiedy stali na werandzie przy kanapie.

Było ciemno, jeśli pominąć muła i blask księżyca, a Tommy wyciągnął obie dłonie.

– W porządku – powiedział – jestem gotów.

Clay wysypał wszystko, garść, garść piasku, widziałem to już wcześniej – Achilles też to zobaczył. Zatrzymał się na chwilę, popatrzył na nich i ruszył spacerowym krokiem w ich stronę. Uparty i wyraźnie zachwycony.

Hej, Achillesie.

Cześć, Clay.

Robisz niezły hałas.

Wiem.

Kiedy Tommy się z nim spotkał, wyciągnął ręce, a Achilles wysał ich zawartość – jak odkurzacz zajrzał w każdy kąt.

Ostatni raz wydarzyło się to w maju, a Tommy w końcu się poddał. Zajmował się każdym zwierzęciem, wszystkimi tak samo, a dla Achillesa kupiliśmy więcej ziarna, więcej siana i zebraliśmy wszystkie marchewki z działnicy wyścigów. Kiedy Rory pytał, kto zjadł ostatnie jabłko, wiedział, że trafiło do muła.

Wtedy nocny południowy wiatr pędził przez ulice i przedmieścia. Niósł ze sobą odgłos pociągów. Jestem pewien, że to właśnie pobudziło muła i po prostu nie dawał się uciszyć. Nawet kiedy Tommy wybiegł do niego, Achilles się nie przejął – ryczał dalej pod kątem czterdziestu pięciu stopni, a nad nimi obracała się suszarka.

– Cukiernica? – spytał Tommy Claya.

Ale tej nocy powiedział, że nie.

Jeszcze nie.

Nie, tym razem Clay zszedł na dół, klamerka przyciskała się do jego uda, i z początku jedynie stał z mułem a później wyciągnął się, bardzo

powoli, w górę, zatrzymał obracającą się suszarkę. Drugą ręką sięgnął jeszcze wolnej i położył ją na jego pysku, na tych suchych i popękanych zaroślach.

– Już dobrze – powiedział mu – już po wszystkim.

Ale Clay wiedział lepiej niż ktokolwiek, że niektóre rzeczy nigdy się nie kończą. Nawet kiedy Tommy go zignorował i wrócił z cukiernicą, a Achilles wymiół jej zawartość – kryształki cukru wokół jego chrap – muł obserwował Claya.

Czy widział zarys jego kieszeni?

Może, pewnie nie.

Ale jednego jestem pewien – muł nie był wcale głupi i zawsze wiedział.

Wiedział, że to był chłopak Dunbarów.

Ten, którego potrzebował.

W tamtym czasie, zimą, biegaliśmy często na cmentarz, do góry i do środka.

Ranki były coraz ciemniejsze.

Słońce wspinało się na nasze plecy.

Raz pobiegliśmy do Epsom – Sweeney dotrzymał słowa:

Przyczepa kempingowa znikła, ale szopa nadal umierała.

Uśmiechnęliśmy się, a Clay powiedział:

– GROŚBA.

Później nadszedł czerwiec, a ja poważnie myślę, że Achilles był inteligentniejszy od Rory'ego, bo Rory znów został zawieszony. Pracował na wyrzucenie, jego ambicje były wynagradzane.

Znów spotkałem się z Claudią Kirkby.

Tym razem włosy miała krótsze, ledwie zauważalnie, i nosiła piękne kolczyki w kształcie strzałek. Były srebrne i lekko się kołysały. Na jej

biurku leżały sterty papierów, a plakaty pozostały nietknięte.

Tym razem problem polegał na tym, że przyszła nowa nauczycielka – kolejna młoda kobieta – a Rory postanowił dać jej nauczkę.

– Wygląda na to – wyjaśniła pani Kirkby – że podkradał winogrona z pudełka obiadowego Joego Leonello i rzucał nimi w białą tablicę. Nauczycielka została trafiona, kiedy przerwała i się odwróciła. Wpadło jej za dekolt bluzki.

Jej pojmowanie poezji.

Stałem, zamknąłem oczy.

– Niech pan posłucha, jeśli mam być szczerą – mówiła dalej – myślę, że nauczycielka zareagowała nieco przesadnie, ale nie możemy tolerować takich rzeczy.

– Miała prawo się zdenerwować – powiedziałem, ale wkrótce zacząłem się plątać. Zatonąłem w kremowym odcieniu JEJ bluzki, jej falach i zmarszczkach. – To znaczy, jakie jest prawdopodobieństwo? – Czy bluzka mogła być opływowa? – Odwrócić się dokładnie w tej chwili...

Słowa wyskoczyły z moich ust i wiedziałem już. Co za błąd!

– Mówi pan, że to JEJ wina?

– Nie! Ja...

Beształa mnie!

Trzymała teraz te papiery. Uśmiechnęła się łagodnie, uspokajająco.

– Nic się nie stało. Wiem, że nie chciał pan, żeby to tak zabrzmiało...

Usiadłem na biurku pokrytym graffiti.

Zwyczajowa nastoletnia subtelność:

Blat pełen cholernych penisów.

Jak mogłem się oprzeć?

Wtedy właśnie przestała mówić i podjęła milczące, bezwstydną ryzyko – i w TYM właśnie zakochałem się najpierw.

Położyła dłoń na moim ramieniu.

Jej ręka była ciepła i szczupła.

– Jeśli mam być szczerą, każdego dnia dzieje się tutaj dużo znacznie gorszych rzeczy, ale w przypadku Rory’ego to już kolejna sprawa. – Była po naszej stronie, okazywała mi to. – To nie usprawiedliwienie, ale on cierpi... i jest chłopcem. – I zabiła mnie, ot tak, w jednej chwili. – Mam rację, czy mam rację?

Wystarczyłoby wtedy jedynie, żeby do mnie mrugnęła, ale tego nie zrobiła, za co byłem wdzięczny – gdyż zacytowała coś, słowo w słowo, i wkrótce się cofnęła. Sama też usiadła na biurku.

Musiałem jakoś zareagować.

– Wie pani – odezwałem się, a przełykanie bolało. Wody w jej koszuli znieruchomiały. – Ostatnią osobą, która tak do mnie powiedziała, był nasz tato.

W bieganii coś miało nadejść.

Coś smutnego, ale głównie dla mnie.

Przez zimę pozostaliśmy konsekwentni – biegaliśmy do Bernborough, biegaliśmy po ulicach, a później ja do kawy i kuchni, a Clay na dach.

Kiedy mierzyłem mu czas, pojawił się niewygodny problem.

Najbardziej przerażający dylemat biegacza:

Biegał z większym wysiłkiem, ale nie przyspieszał.

Myśleliśmy, że to brak adrenaliny, nagle nie miał już motywacji. Co jeszcze mógł zrobić poza zwycięstwem w zawodach stanowych? Od początku sezonu lekkoatletycznego dzieliły nas całe miesiące, nic dziwnego, że popadał w letarg.

Clay jednak tego nie kupował.

Biegnąc u jego boku, mówiłem do niego.

– Szybciej, szybciej. Dalej, Clay. Co by zrobili Liddell albo Budd?

Powinienem wiedzieć, że byłem dla niego zbyt miły.

Kiedy Rory został zawieszony po raz ostatni, zabrałem go ze sobą do pracy – załatwiłem to z szefem. Trzy dni układania dywanów i podłóg, i jedno było całkiem jasne – nie miał alergii na pracę. Wydawał się rozczarowany, kiedy kończył się każdy dzień, a później odszedł ze szkoły, na dobre. Wtedy prawie już ich błagałem.

Siedzieliśmy w gabinecie dyrektora.

Wślizgnął się na zaplecze nauczycieli przedmiotów ścisłych i ukradł toster do kanapek.

– I tak za dużo jedzą! – wyjaśnił. – Wyświadczyłem im cholerną przysługę!

Rory i ja byliśmy po jednej stronie biurka.

Claudia Kirkby i pani Holland po drugiej.

Pani Kirkby miała na sobie ciemny kostium i jasnoniebieską bluzkę, pani Holland nie pamiętam. Pamiętam za to jej srebrne, jakby zaczesane do tyłu włosy, miękkość kurzych łapek i broszkę na kieszeni po lewej – kwiat actinotusa, symbol szkoły.

– I jak? – powiedziałem.

– Jak, yyy, z czym? – spytała.

(Nie była to odpowiedź, której się spodziewałem).

– Czy tym razem zostaje wyrzucony na dobre?

– Cóż, ja, yyy, nie jestem pewna, czy...

Przerwałem jej.

– Bądźmy szczerzy, on na to cholernie zasługuje.

Rory zapłonął, niemal z radością.

– Ja tu jestem!

– Proszę na niego spojrzeć. – Popatrzyły. – Wyciągnięta koszula, szyderczy grymas. Czy on wygląda na kogoś, kogo to choć w najmniejszym stopniu obchodzi? Czy w ogóle robi wrażenie skruszonego...?

– Skruszony? – Tym razem wtrącił się Rory. – Szyderczy? Cholera, Matthew, możesz mi podać słownik?

Holland wiedziała. Wiedziała, że nie jestem głupi.

– Szczerze mówiąc, yyy, przydałbyś się nam w ubiegłym roku w naszej, yyy, dwunastej klasie, Matthew. Nigdy nie robiłeś wrażenia przesadnie zainteresowanego, ale taki byłeś, prawda?

– Hej, myślałem, że rozmawiamy o mnie.

– Zamknij się, Rory. – To była Claudia Kirkby.

– O wiele lepiej – odparł Rory. – Stanowczo.

Stanowczo spoglądał gdzie indziej. Ona mocniej założyła ręce na piersi.

– Skończ z tym – powiedziałem.

– CO?

– Ty już wiesz co. – Ale wróciłem do Holland. Było popołudnie, a ja wyszedłem wcześniej z pracy, żeby się przebrać i ogolić, co nie znaczyło, że nie czułem się zmęczony. – Jeśli tym razem go nie wyrzucicie, przeskoczę przez to biurko, zerwę identyfikator dyrektora, przypnę go sobie i sam wyrzucę tego skurczybyka!

Rory był tak podekscytowany, że prawie zaczął klaskać.

Claudia Kirkby poważnie pokiwała głową.

Dyrektorka pomacała identyfikator.

– Ja, yyy, nie jestem taka pewna...

– Zrób to! – krzyknął Rory.

I ku zaskoczeniu wszystkich, zrobiła to.

Metodycznie wypełniła dokumenty i zaproponowała okoliczne szkoły, ale powiedziałem, że ich nie potrzebujemy, on miał pójść do pracy, uścisnęliśmy sobie ręce i tyle – zostawiliśmy obie kobiety za sobą.

W połowie drogi na parking pobiegłem z powrotem. Ze względu na nas czy Claudię Kirkby? Zapukałem do drzwi, znów wszedłem do środka, obie wciąż tam były i rozmawiały.

Powiedziałem:

– Pani Kirkby, pani Holland, przepraszam. Przepraszam za wszystkie kłopoty, jakie panie miały, i po prostu... dziękuję. – To było szaleństwo, ale zacząłem się pocić. Myślę, że chodziło o jej pełną współczucia minę i kostium, i złociste kolczyki. Małe kółka, które migotały. – I jeszcze... przepraszam, że pytam o to teraz, ale zawsze byłem zajęty Rorym... więc nigdy nie pytałem, jak sobie radzą Henry i Clay.

Pani Holland zdała się na panią Kirkby.

– Dobrze sobie radzą, Matthew. – Wstała. – To dobre dzieciaki. – Uśmiechnęła się i nie mrugnęła.

– Nie muszą panie w to wierzyć – i skinąłem na drzwi – ale ten tam też jest.

– Wiem.

Wiem.

Powiedziała „wiem”, i to słowo pozostało ze mną przez dłuższy czas, choć przypomniało się dopiero na zewnątrz przy ścianie. Przez chwilę miałem nadzieję, że ona wyjdzie i opierałem się plecami, niemal siniacząc łopatki, ale rozległ się jedynie głos Rory’ego.

– Ej, idziesz?

W samochodzie spytał:

– Mogę poprowadzić?

Powiedziałem:

– Nawet o tym nie myśl.

Przed końcem tygodnia dostał pracę.

I tak oto zima przeszła w wiosnę.

Clay wciąż miał słabe wyniki i wtedy się stało, w niedzielny poranek.



Od kiedy Rory dostał pracę jako blacharz, z całym poświęceniem oddawał się piciu. Zaczął się spotykać i rozstawać z dziewczynami. Były imiona i obserwacje – pamiętam, że jedna nazywała się Pam, i Pam miała jasne włosy oraz śmierdzący oddech.

– Cholera – powiedział Henry – mówiłeś jej o tym?

– Aha – odpowiedział Rory – spoliczkowała mnie. Później mnie rzuciła i poprosiła o miętówkę. Niekoniecznie w tej kolejności.

Rankiem włókł się chwiejnie do domu – a niedziela była w połowie października. Kiedy Clay i ja ruszaliśmy w stronę Bernborough, Rory zataczał się do środka.

– Jezu, popatrz tylko na siebie.

– Dobry tekst, Matthew, dzięki. Dokąd się wybieracie, skurczybyki?

Typowy Rory:

W dzinsach i zalanej piwem kurtce nie miał problemu, by dotrzymać nam kroku – a Bernborough też było typowe.

Wschód słońca łupił trybunę.

Pierwsze 400 metrów przebiegliśmy razem.

Powiedziałem Clayowi:

– Eric Liddell.

Rory się uśmiechnął.

Przypominało to bardziej sprośny wyszczerz.

Podczas drugiego okrążenia wpadł do dżungli.

Musiał się odlać.

Przed czwartym poszedł spać.

Jednak przed ostatnimi czterystoma metrami wydawał się prawie trzeźwy. Popatrzył na Claya, popatrzył na mnie. Z pogardą pokręcił głową.

Stojąc na płomiennej bieżni, spytałem:

– Co z tobą nie tak?

Znów ten uśmieszkowy uśmiech.

– Popełniasz błąd – powiedział i spojrzał na Claya, ale atak był skierowany w moją stronę. – Matthew, chyba sobie żartujesz, co? MUSISZ wiedzieć, dlaczego nie wychodzi. – Wydawał się gotów podejść i mną potrząsnąć. – Dalej, Matthew, POMYŚL. Całe to miłe romantyczne gówno. Zwyciężył w zawodach stanowych... i co z tego, kurwa? Nic go to nie obchodzi.

Ale jak mogło do tego dojść?

Jak Rory mógł wiedzieć równie doskonałe rzeczy i zmieniać historię Dunbarów?

– Popatrz na niego! – powiedział.

Popatrzyłem.

– On nie chce TEGO, tej... DOBROCI. – Odwrócił się do Claya. – Chcesz tego, dzieciaku?

A Clay potrząsnął głową.

A Rory nie ustąpił.

Uderzył dłonią prosto w moje serce.

– On to musi poczuć TUTAJ. – Nagle pojawiły się w nim taka powaga, taki ból, rozbrzmiały z siłą pianina. Najcichsze słowa były najgorsze. – On musi cierpieć tak bardzo, że prawie go to zabije – powiedział – bo tak ŻYJEMY.

Próbowałem się sprzeciwić.

Nie przyszedł mi na myśl choćby jeden argument.

– Jeśli ty nie możesz tego zrobić, zrobię to za ciebie. – Oddychał sztywno, z trudem, do wewnątrz. – Nie musisz biegać RAZEM z nim, Matthew. – I spojrzał na chłopca kucającego obok mnie, na ogień w jego oczach. – Musisz spróbować go powstrzymać.

Tego wieczora Clay mi powiedział.

Oglądałem *Obcego* w salonie.

(Odpowiednio ponury!)

Powiedział, że jest wdzięczny i przeprasza – a ja odezwałem się do telewizora. Uśmiech, by utrzymać wszystko w jednym kawałku.

– Przynajmniej mogę teraz odpocząć, nogi i plecy cholernie mnie bolą.

Położył spojrzenie na moim ramieniu.

Skłamałem – udawaliśmy, że w to wierzymy.

Jeśli chodzi o trening, był genialny:

Trzej chłopcy na 100 metrach.

Dwaj na 200.

I Rory na ostatnim odcinku.

Nietrudno było znaleźć chłopców, którzy zrobiliby mu krzywdę – wracał do domu z sińcami albo otarciami na twarzy. Karali go, aż zaczynał się uśmiechać – i wtedy trening się kończył.

Pewnego wieczora byliśmy w kuchni.

Clay zmywał naczynia, a ja je wycierałem.

– Hej, Matthew – zaczął dość cicho. – Jutro biegnę na Bernborough, nikt mnie nie będzie powstrzymywał. Próbuję uzyskać czas, z którym wygrałem zawody stanowe.

A ja nie patrzyłem na niego, ale nie mogłem odwrócić wzroku.

– Zastanawiam się – powiedział – czy nie miałbyś nic przeciwko. – A wyraz jego twarzy mówił wszystko. – Pomyślałem, że może okleiłbyś mi stopy taśmą.

W Bernborough, następnego ranka, patrzyłem.

Siedziałem w płomieniach trybun.

Okleiłem go najlepiej, jak potrafiłem.

Byłem zawieszony między świadomością, że to ostatni raz, kiedy to robię, i prawdą, że to dodatkowy raz. Dodatkowo oglądałem go inaczej

– patrzyłem, jak biegnie, tylko po to, żeby patrzeć, jak biegnie. Jak Liddell i Budd razem wzięci.

Jeśli chodzi o czas, pobił swój rekord życiowy o ponad sekundę, na bieżni, która leżała chora i umierająca. Kiedy przebiegł linię mety, Rory się uśmiechał, ręce trzymał w kieszeniach. Henry wykrzyknął liczby. Tommy podbiegł z Eos. Wszyscy go ściskali i nosili na rękach.

– Hej, Matthew! – zawołał Henry. – Nowy rekord stanu!

Włosy Rory'ego były rozczochrane i rdzawe.

W oczach miał najlepszy metal od lat.

A ja zszedłem z trybuny, uścisnąłem dłoń Claya, a później Rory'ego.

– Popatrz tylko na siebie – powiedziałem i mówiłem poważnie, każde słowo. – Najlepszy bieg, jaki widziałem w życiu.

Później przykucnął i czekał, na bieżni tuż przed metą – tak blisko, że czuł jej linię. Za ponad dwanaście miesięcy miał wrócić tutaj i trenować z Henrym, chłopcami, kredą i zakładami.

Przez jakiś czas panowała niesamowita cisza, gdy świt przechodził w dzień.

Pozostał na tartanie, pomacał ją.

Klamerka, nietknięta, w środku.

Wkrótce miał wstać, wkrótce miał ruszyć, w stronę czystookiego nieba przed sobą.

## dwoje frontowych drzwi

POZA SZYFREM DO ROWERU musiał pokonać jeszcze dwoje frontowych drzwi, a pierwsze należały do Ennisa McAndrew, na samym skraju dzielnicy wyścigów.

Dom był jednym z większych.

Był stary i piękny, z blaszanym dachem.

Wielka drewniana weranda.

Clay kilka razy okrążył kwartał.

We wszystkich ogródkach od frontu rosły kamelie i kilka ogromnych magnolii. Wiele staromodnych skrzynek na listy. Rory'emu z pewnością by się spodobały.

Nie liczył, ile razy obszedł ten kwartał – chodząc tak, jak kiedyś Penny czy Michael – do pewnych określonych drzwi w nocy.

Te drzwi były ciężkie i czerwone.

Czasami widział pociągnięcia pędzla.

Tamte inne frontowe drzwi stały się wspaniałe.

Clay wiedział, że jego takie nie będą.

Później drugie frontowe drzwi:

Po skosie Archer Street.

Ted i Catherine Novac.

Obserwował je z werandy, a tygodnie sklejały się z dni, gdy Clay chodził ze mną do pracy. Nie było jeszcze powrotu do Bernborough, cmentarza, dachu. Z pewnością nie Surrounds. Ciągnął za sobą winę.

W pewnej chwili się zламаłem – spytałem, czy zamierzał wrócić do mostu, a Clay jedynie wzruszył ramionami.

Wiem – raz pobiłem go za odejście.

Ale było jasne, że musiał skończyć.

Nikt nie mógł tak żyć.

W końcu to zrobił, przebył stopnie państwa McAndrew.

Drzwi otworzyła starsza pani.

Miała farbowane włosy i trwała – a ja się z nim nie zgadzam, bo te drzwi, one także stały się wspaniałe, a wszystko dlatego, że się pojawił.

– Czy mogę w czymś pomóc?

A Clay, w najgorszej i najlepszej formie, powiedział:

– Przepraszam, że panią niepokoję, pani McAndrew, ale jeśli nie ma pani nic przeciwko, czy istnieje możliwość, żebym porozmawiał z pani mężem? Nazywam się Clay Dunbar.

Stary mężczyzna w tym domu znał to nazwisko.

W domu Novaców też go znali, ale jako chłopca, którego widywali na dachu.

– Wejdz – powiedzieli i oboje byli tak niezdolnie słodcy dla niego, tak mili, że aż bolało.

Zrobili herbatę, Ted uściskał mu rękę i spytał, jak się czuje. A Catherine Novac się uśmiechała, a był to uśmiech powstrzymujący od śmierci albo płaczu, albo obu tych rzeczy naraz – nie umiał do końca ocenić.

Tak czy inaczej, kiedy im mówił, starał się nie patrzeć na miejsce, gdzie siedziała tamtego dnia, kiedy słuchali wyścigu daleko na południu – kiedy wielki gniadosz zawiódł. Jego herbata była zimna i nietknięta.

Powiedział im, co znaczył sobotni wieczór.

Materac, plastikowa folia.

Powiedział im o Matadorze w piątej.

Powiedział im, że kochał ją od pierwszej rozmowy i to jego wina, to wszystko jego wina. Clay popękał, ale się nie załamał, bo nie zasługiwał na łzy i współczucie.

– W noc przed jej upadkiem – powiedział – spotkaliśmy się tam, byliśmy nadzy i...

Przerwał, bo Catherine Novac – błysk rudoblond włosów – wstała i podeszła do niego. Podniosła go delikatnie z krzesła i uścisnęła mocno, tak mocno, i wygładziła jego krótkie włosy, i było to tak cholernie miłe, że bolało.

Powiedziała:

– Przyszedłeś do nas, przyszedłeś.

Widzicie, Ted i Catherine Novac nie oskarżali, a przynajmniej nie tego biednego chłopca.

To oni przywieźli ją do miasta.

To oni znali ryzyko.

Później McAndrew.

Oprawione w ramki zdjęcia koni.

Oprawione w ramki zdjęcia dżokejów.

Światło wewnątrz było pomarańczowe.

– Znam cię. – Sam mężczyzna wydawał się teraz mniejszy, jak złamana gałązka na wygodnym fotelu. W następnym rozdziale wrócicie do tego, co powiedział kiedyś Ennis McAndrew. – Jesteś martwym drewnem, które kazałem jej odciąć. – Jego włosy były żółtobiałe. Nosił okulary. Długopis w kieszeni. Oczy błyszczały, ale nie z zadowolenia. – Pewnie przyszedłeś, żeby mnie obwiniać, co?

Clay siedział na skraju fotela naprzeciwko.

Patrzył na niego, sztywno wyprostowany.

– Nie, proszę pana, przyszedłem powiedzieć, że miał pan rację.

I McAndrew został zaskoczony. Popatrzył z zainteresowaniem na drugą stronę i spytał:

– Co?

– Proszę pana, ja...

– Mów mi Ennis, na litość boską, i mów głośniej.

– Dobrze, no...

– Powiedziałem, mów głośniej.

Clay przełknął ślinę.

– To nie była twoja wina, tylko moja.

Nie powiedział mu tego, co Novacom, ale upewnił się, że McAndrew zrozumie.

– Nigdy nie umiała do końca się mnie pozbyć i tak to się stało. Musiała być przemęczona albo nie mogła się skupić...

McAndrew powoli pokiwał głową.

– Zamyśliła się w siodle.

– Tak sędzę.

– Byłeś z nią poprzedniego wieczora.

– Tak – odpowiedział Clay i poszedł.

Poszedł, ale kiedy był na dole schodków, Ennis i jego żona wyszli, i stary mężczyzna zawołał do niego z góry.

– Hej! Clayu Dunbarze!

Clay się odwrócił.

– Nie masz pojęcia, do czego posuwali się dżokeje, których widziałem przez te lata, a robili to – nagle mówił z tak wielkim naciskiem – dla rzeczy wartych o wiele mniej niż ty. – Nawet zszedł po stopniach, spotkał się z nim przy furtce. Powiedział: – Posłuchaj mnie, synu. – Clay po raz pierwszy zauważył srebrny ząb w ustach McAndrew, głęboko i pochylony w prawo. – Nie wyobrażam sobie, ile wymagało od ciebie przyjscie tu i powiedzenie mi tego.



- Dziękuję panu.
- Może wrócisz do środka?
- Lepiej pójdę do domu.
- W porządku, ale jeśli jest coś, cokolwiek, co mógłbym dla ciebie zrobić, daj mi znać.

– Panie McAndrew?

Stary mężczyzna zatrzymał się, pod pachą miał gazetę. Odrobinę uniósł głowę.

Clay prawie spytał, jak dobra była albo mogła być Carey, ale wiedział, że żaden z nich by tego nie zniósł, więc spróbował czegoś innego.

– Mógłby pan dalej trenować? – spytał. – Tobie nie było właściwie, gdyby pan tego nie zrobił. To nie była pańska...

A Ennis McAndrew podparł się, poprawił gazetę i wrócił ścieżką. Mruknął pod nosem „Clay Dunbar”, ale żałuję, że nie zrobił tego bardziej jawnie.

Powinien powiedzieć coś o Phar Lapie.

(Na wodach, które dopiero napłyną).

W domu Teda i Catherine Novac pozostało jedynie odnalezienie ich:  
Zapalniczki, skrzyneczki i listu Claya.

Nie wiedzieli, bo jeszcze nie dotknęli jej łóżka, a te rzeczy leżały na podłodze pod spodem.

Matador w piątej.

Carey Novac w ósmej.

Kingston Town nie może wygrać.

Ted dotknął słów.

Jednak to drugi z dwóch kolejnych przedmiotów leżących w skrzyneczce najbardziej zastanowił Claya i okazał się dla niego ważny. Pierwszym było zdjęcie przekazane przez jego ojca,

przedstawiające chłopca na moście. A drugiego nigdy jej nie dał, to coś, co ukradła, a on nigdy się nie miał dowiedzieć, kiedy dokładnie.

To było zblaknięte, ale zielone i podłużne.

Była tutaj, na Archer Street 18.

Ukradła cholerną klamerkę.

## sześcioro hanleyów

DLA TEDA I CATHERINE NOVAC wybór dokonał się sam. Gdyby nie została uczennicą McAndrew, trafiłaby do kogoś innego, więc niech przynajmniej będzie ten najlepszy.

Kiedy jej powiedzieli, była kuchnia i kubki z kawą.

Zegar tykał głośno za ich plecami.

Dziewczyna patrzyła w dół i uśmiechała się.

Miała prawie całkiem szesnaście lat, na początku grudnia, kiedy stała na trawniku w mieście, w dzielnicy wyścigów, z wtyczką tosteru u stóp. Zatrzymała się, przyjrzała uważnie i odezwała.

– Popatrzcie – powiedziała – tam na dachu...

Następny raz, oczywiście, zdarzył się wieczorem, kiedy przeszła na drugą stronę ulicy.

– I? Nie chcesz poznać MOJEGO imienia?

Trzeci raz był we wtorek o świcie.

Jej nauka miała się zacząć dopiero na początku następnego roku, ale już biegała z chłopakami z Tri-Colors, dużo wcześniej, niż polecił jej McAndrew.

– Dżokeje i bokserzy – mawiał – są prawie tacy sami.

Obie grupy miały obsesję na punkcie wagi. Obie walczyły o przeżycie i miały niebezpieczeństwo i śmierć na wyciągnięcie ręki.

W tamten wtorek, w połowie grudnia, biegała z bokserami z jeziorami potu wokół szyi. Miała rozpuszczone włosy – zwykle nosiła je rozpuszczone – i z trudem dotrzymywała im kroku. Biegli Poseidon

Road. W typowych oparach, piekącego się chleba i wyrobów metalowych, to Clay zobaczył ją pierwszy na rogu Nightmarch Avenue. W tym czasie trenował już sam. Na dobre odszedł z klubu. Ona miała na sobie krótkie spodenki i koszulkę bez rękawów. Kiedy podniosła wzrok, zobaczyła, że on na nią patrzy.

Jej koszulka była niebieska i wyblakła.

Spodenki z obciętych dżinsów.

Odwróciła się na chwilę i patrzyła na niego.

– Cześć, chłopaku! – zawołał jeden z bokserów.

– Cześć, chłopaki – ale ciszej, do Carey.

Kiedy następnym razem siedział na dachu, było ciepło i prawie ciemno, a on zszedł, by się z nią spotkać – stała samotnie na dróżce.

– Hej, Carey.

– Cześć, Clayu Dunbarze.

Powietrze zadrżało.

– Znasz moje nazwisko?

Znów zauważył jej zęby – nie do końca proste, i morskie szkło.

– Aha, ludzie was znają, chłopaków Dunbarów. – Prawie się roześmiała. – Czy to prawda, że ukrywacie tu muła?

– Ukrywamy?

– Chyba nie jesteś głuchy?

Beształa go!

Ale delikatnie, wesoło, a on był gotów odpowiedzieć.

– Nie.

– NIE ukrywacie muła?

– Nie. Nie jestem głuchy, a muła mamy już od jakiegoś czasu. Mamy też border collie, kota, gołębia i złotą rybkę.

– Gołębia?

Odpowiedział ciosem za cios.

– Chyba nie jesteś głucha? Ma na imię Telemach... nasze zwierzęta mają najgorsze imiona, jakie w życiu słyszałaś, może poza Eos albo Achillem. Achilles to piękne imię.

– Czy Achilles to imię muła?

Pokiwał głową, dziewczyna się zbliżyła.

Odwróciła się na zewnątrz, w stronę przedmieść.

Bez zastanowienia oboje zaczęli iść.

Kiedy dotarli do końca Archer Street, Clay patrzył na jej nogi w dzinsach – w końcu był chłopcem, zauważał. Widział również zwężenie jej kostek, znoszone płócienne tenisówki – marki Volley. Kiedy się poruszała, był świadom koszulki, którą miała na sobie, i materiałów, które dostrzegał pod nią.

– Całkiem nieźle – powiedziała na rogu – zamieszkać w końcu na Archer Street. – Oświetlał ją blask ulicznej latarni. – Pierwszy koń, który w niej zwyciężył, w „Gonitwie, która wstrzymuje naród”.

Clay próbował zrobić na niej wrażenie.

– Dwa razy. W pierwszej i drugiej.

Zadziałało, ale tylko do pewnego stopnia.

– A wiesz też, kto go trenował?

Nie miał szans.

– De Mestre – powiedziała. – Zwyciężył pięć razy i nikt o tym nie wie.

Ruszyli dalej dzielnicą wyścigów, ulicami nazwanymi od folblutów. Poseidon, koń, był mistrzem, i były tam sklepy, których nazwy ich zachwycały, jak kawiarnia Pod Siodłem i Trójzębem, sklep z odzieżą męską Koński Łeb, i prawdziwy zwycięzca, fryzjer męski – Grzywa Dzielnicy Wyścigów.

Pod koniec, w pobliżu Entreaty Avenue, która prowadziła w stronę cmentarza, trafili na niewielki zakręt w prawo – uliczka nazwana Bobby's Lane, gdzie Carey zatrzymała się i czekała.

– Doskonale – powiedziała i oparła się na parkanie. – Nazwali ją Bobby's Lane.

Clay oparł się kilka metrów od niej.

Dziewczyna wpatrzyła się w niego.

– Phar Lap – powiedziała, a kiedy pomyślał, że jest bliska płaczu, jej oczy były szczodre i zielone. – I popatrz, to boczna uliczka, nawet nie ulica, a nazwali ją na cześć jego stajni. Jak coś takiego może się nie podobać?

Przez chwilę panowała niemal cisza, jedynie atmosfera miejskiego rozkładu. Clay oczywiście wiedział to, co wie większość z nas, o kultowym koniu z naszego kraju. Wiedział o serii zwycięstw Phar Lapa, o tym, jak komisja techniczna prawie go okaleczyła, obarczając go zbyt wielkim obciążeniem. Wiedział o Ameryce, o tym jak tam trafił, wygrał w gonitwie w Meksyku i padł właściwie następnego dnia. (W rzeczywistości minęły nieco ponad dwa tygodnie). Jak większość z nas uwielbiał to, co mówią ludzie o kimś odważnym albo dającym z siebie wszystko:

„Serce masz wielkie jak Phar Lap”.

Nie wiedział jednak tego, co Carey powiedziała mu tamtego wieczora, kiedy stali oparci w tej niczym się niewyróżniającej uliczce.

– Wiesz, kiedy Phar Lap umarł, premierem był Joseph Lyons. Tego samego dnia sąd najwyższy orzekł na jego korzyść w bardzo ważnej sprawie... nikogo już nie obchodzi, czego dotyczyła... a kiedy schodził po schodach sądu i ktoś go o to spytał, powiedział: „Ile znaczy orzeczenie sądu najwyższego, skoro Phar Lap nie żyje?”. – Podniosła wzrok z ziemi na Claya. Później na niebo. – Uwielbiam tę historię.

A Clay musiał spytać:

– Myślisz, że go tam zamordowali, jak mówią ludzie?

Carey jedynie prychnęła.

– Nie.

Szczęśliwa, ale smutna jak diabli, i niewzruszona.

– To wielki koń – mówiła dalej – i doskonała historia. Nie kochalibyśmy go tak bardzo, gdyby przeżył.

Wtedy odepchnęli się od parkanu i ruszyli w daleką drogę przez dzielnicę wyścigów, od Tulloch przez Carbine po Bernborough – „Nawet stadion lekkoatletyczny nazwali na cześć konia!” – a Carey знаła je wszystkie. Mogła wyrecytować osiągnięcia każdego konia, powiedzieć, ile miał w kłębie, ile ważył, czy od razu wysuwał się na prowadzenie, czy wolał zaczekać. Na Peter Pan Square powiedziała mu, że w swoim czasie Peter Pan był uwielbiany na równi z Phar Lapem, że był jasnym kasztanem, oburzająco chełpliwym. Na pustym brukowanym placu położyła dłoń na chrapach rzeźby i spojrzała na Darby’ego Munro. Opowiedziała Clayowi o tym, jak ten koń raz przegrał gonitwę, bo ugryzł biednego starego Rogillę, jednego ze swoich wielkich rywali, gdy szamotali się na prostej.

Jej ulubionym wyścigiem, co oczywiste, był Cox Plate (bo kochali go prawdziwi puryści wyścigów konnych) i opowiadała o wielkich koniach, które w nim zwyciężyły: Bonecrusher, Saintly i ogromny Might and Power. Potężny Kingston Town – trzy lata z rzędu.

Później w końcu opowiedziała mu historię o Tedzie i koniu, Spaniardzie, jak uśmiechał się i płakał, płakał i się uśmiechał, i byli w tunelu Lonhro.

Czasami wyobrażam sobie, jak Clay czeka przez chwilę z tyłu, gdy ona przechodzi na drugą stronę. Widzę pomarańczowe światła, słyszę przejeżdżające pociągi. Część mnie każe mu nawet ją obserwować i widzi jej ciało jak pociągnięcie pędzla, jej włosy jak kasztanowy ślad.

Ale później przestaję, biorę się w garść, a on bez trudu ją dogania.

Później, jak pewnie się domyślacie, byli nierozłączni.

Tego dnia, kiedy po raz pierwszy weszła na dach, również po raz pierwszy poszli na Surrounds, poznała resztę z nas i dotknęła wielkiego Achillesa.

Dopiero co zaczął się rok i ustalono jej plan zajęć.

Ennis McAndrew robił to na swój sposób, a niektórzy trenerzy nazywali go nienormalnym. Inni mówili o wiele gorsze rzeczy – oskarżali go, że jest CZŁOWIEKIEM. Ludzi związanych z wyścigami trzeba kochać, naprawdę – jak wielu z nich powtarzało:

– My, ludzie wyścigów, jesteśmy inni.

Każdego ranka była o czwartej w Hennessey albo o piątej trzydzieści w Tri-Colors.

Była nauka postępowania z końmi i egzaminy, ale nie mogła jeszcze nawet zacząć myśleć o ćwiczeniach na torze. Jak to ujmował Ennis na swój zwyczajowy oschły sposób, nie należy mylić cierpliwości ze słabością albo ochrony ze zbyt długim czekaniem. Miał swoje własne teorie na temat szkolenia oraz tego, kiedy należy promować dzokeja. Jak mawiał, te stajnie potrzebują wysprzątania.

Często wieczorami chodzili przez dzielnicę wyścigów, szli na Epsom Road. Powiedział:

– Tu go znaleźliśmy. Jak ci się podoba pisownia Sweeneya?

Poznała Achillesa, kiedy wrócili, przeprowadził ją cicho przez dom. Wcześniej ustalił to z Tommym.

– Czy to – powiedział Henry – dziewczyna?

Wyluzowani oglądali *Goonies*.

Nawet Rory był wstrząśnięty.

– Czyżby przez nasz dom właśnie przeszła KOBIEITA? Co tu się dzieje, do diabła?



Wszyscy wypadliśmy za dom, a dziewczyna podniosła wzrok znad szczytki. Podeszła bliżej, trochę poważna, trochę nerwowa.

– Przepraszam, że przed chwilą przeszłam obok was. – Popatrzyła każdemu z nas w twarz. – Dobrze was w końcu poznać.

A wtedy między nas wcisnął się muł. Przybył jak niechciany krewny, a kiedy go pogłaskała, zakołysał się. Patrzył na nas z wielką surowością.

Niech żaden z was, skurczybyków, nie próbuje przeszkadzać, w porządku?

To jest cholernie cudowne.

Na Surrounds zaszło kilka zmian:

Łóżko rozwalono.

Rama została ukradziona i spalona – pewnie jakieś dzieciaki chciały urządzić ognisko, co Clayowi odpowiadało. Materac trudniej było teraz znaleźć. Kiedy dotarł tam, stał i milczał, dziewczyna spytała, czy mogłaby na nim usiąść, na skraju.

– Pewnie – powiedział jej – oczywiście.

– Chcesz mi powiedzieć – spytała – że czasami przychodzisz tu spać? Mógłby się bronić, ale uznał, że z nią to nie ma sensu.

– Tak.

A Carey położyła rękę, jakby mogła oderwać kawałek, gdyby chciała. Poza tym, gdyby ktokolwiek inny powiedział to, co zamierzała zaraz powiedzieć, nigdy nie zabrzmiałoby to właściwie.

Spuściła wzrok na swoje stopy.

Mówiła prosto do ziemi.

– To najdziwniejsza, najpiękniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałam. – A później, może kilka minut później: – Hej, Clay? – Popatrzył na nią. – Jak oni się nazywali?

I wydawało się, że minęło tak dużo czasu, cichego i spokojnego na skraju materaca, z ciemnością w pobliżu.

Powiedział:

– Penny i Michael Dunbar.

Na dachu pokazał jej, gdzie lubił siadać, częściowo ukryty wśród dachówek, a Carey słuchała i patrzyła na miasto. Widziała te punkciki światła.

– Popatrz tam – powiedziała. – Bernborough Park.

– A tam – powiedział, nie umiał się powstrzymać – cmentarz. Możemy pójść... jeśli nie masz nic przeciwko. Pokażę ci drogę do nagrobka.

Wciąganie jej w smutek sprawiało, że czuł się winny – bardziej niż do tej pory – ale Carey była otwarta, nieświadoma. Traktowała poznanie go jako swego rodzaju przywilej – i miała rację, ciesząc się, że to zrobiła.

Były chwile, kiedy Clay był rozdarty – tak wiele trzymał głęboko pod powierzchnią. Ale teraz wszystko wypływało na zewnątrz, ona widziała w nim to, czego inni nie potrafili dostrzec.

Wydarzyło się to tej nocy na dachu.

– Hej, Clay? – Spojrzała na miasto. – Co tam masz, w kieszeni?

W miesiącach, które miały nastąpić, naparła zbyt szybko.

W Bernborough, pod koniec marca, ścigała się z nim.

Biegła jak dziewczyna, która umiała przebiec 400 metrów i nie przeszkadzało jej, że będzie cierpieć.

Gonił jej piegowaty zarys.

Patrzył na kościste łydki.

Dopiero kiedy minęli siatkę do rzutu dyskiem, zbliżył się do niej, a ona powiedziała:

– Nie waż się mi odpuszczać.

A on tego nie zrobił. Przebiegł po łuku i przyspieszył, na końcu oboje byli zgięci w pół i cierpiący. Ich płuca były obolałe i pełne nadziei, i robiły to, do czego służyły:

Dwie pary palących oddechów.

Popatrzyła na niego i spytała:

– Jeszcze raz?

– Nie, myślę, że to by nas wykończyło.

Po raz pierwszy wyciągnęła do niego rękę i wzięła go pod ramię. Gdyby tylko wiedziała, jak właściwie postępuje.

– Chwała Bogu – powiedziała – umieram.

A później kwiecień, dzień gonitwy, który oszczędzała na później.

– Zaczekaj, aż zobaczysz tego konia – powiedziała, a mówiła oczywiście o Matadorze.

Uwielbiała oglądać bukmacherów i graczy, i tych rozrzutnych mężczyzn po pięćdziesiątce – niedogolonych, drapiących się po tyłkach i śmierdzących alkoholem. Całe ekosystemy pod ich pachami. Patrzyła na nich ze smutkiem i sympatią... Wokół nich zachodziło słońce, na więcej niż jeden sposób.

Najbardziej lubiła stać przy ogrodzeniu, z trybuną za plecami, gdy konie wybiegały na prostą.

Zakrętowi towarzyszył odgłos lawiny.

Krzyki zdesperowanych ludzi.

– Dalej, Gobstopper, ty skurczybyku!

Zawsze była to długa, szeroka fala – wiwatów i szyderstw, miłości i zawodu, i wielu otwartych ust. Nadwaga aż do granic wytrzymałości

koszul i marynarek, które ją ograniczały. Papierosy pod różnymi kątami.

– Rusz ten cholerny tyłek, Shenanigans! Dajesz, synu!

Triumfowano i wychwalano zwycięstwa.

Z przegranymi siadano.

– Chodź – powiedziała tamtego pierwszego razu – jest tu ktoś, kogo powinieneś poznać.

Za dwiema trybunami były stajnie – długi i szeroki rząd boksów, a we wszystkich z nich konie – albo czekające na gonitwy, albo odzyskujące siły.

Pod numerem trzydziestym ósmym stał ogromny, niemrugający. Cyfrowa tablica głosiła „Matador”, ale Carey mówiła o nim Wally. Stajenny, Petey Simms, miał dzinsy i poszarpaną koszulkę polo, przeciętą paskiem. Dym wznosił się w górę znad podwyższenia jego wargi. Uśmiechnął się na widok dziewczyny.

– Hej, mała Carey.

– Hej, Pete.

Clay mógł się teraz lepiej przyjrzeć, koń był jasnym kasztanem – biała strzałka, jak pęknięcie, przez cały pysk. Strzygł uszami, odpędzając muchy, i był gładki, ale żyłasty. Jego nogi, jak gałęzie, były wyprostowane. Grzywa przycięta, krótsza niż u większości, bo jakimś sposobem przyciągał więcej zanieczyszczeń niż inne konie w stajni.

– Nawet brud go kocha! – Tak mawiał Petey.

W końcu koń zamrugał, kiedy Clay podszedł bliżej, jego oczy takie wielkie i głębokie – koński rodzaj zyczliwości.

– Dalej – powiedział Petey – pogłaszcz wielkiego sukinsyna.

Clay spojrział na Carey, pytając o pozwolenie.

– Pewnie – powiedziała – możesz.

Sama zrobiła to jako pierwsza, żeby pokazać mu, by się nie bał – nawet dotknięcie go przypominało frontalne natarcie.

– Cholerny koń ją kocha – powiedział Petey.

Różniło się to od pogłaskania Achillesa.

– Jak wielki gość?

Głos dochodzący z tyłu przypominał pustynię.

McAndrew.

Ciemny garnitur, jasna koszula.

Krawat, który nosił od epoki brązu.

Petey nie odpowiedział, bo wiedział, że stary mężczyzna nie czekał na odpowiedź – mówił sam do siebie. Wszedł do środka, przeciągnął dłońmi po koniu, pochylił się, by obejrzeć kopyta.

– Bezbłędnie.

Stał i patrzył na Carey, a później na Claya.

– Kto to jest, do diabła?

Dziewczyna była urocza, ale wyzywająca.

– Panie McAndrew, to Clay Dunbar.

McAndrew uśmiechnął się, jak strach na wróble, ale zawsze coś.

– Cóż – powiedział – bawcie się dobrze, dzieciaki, bo teraz to już wszystko. W przyszłym roku... – mówił teraz poważniej i pokazał Carey na Claya. – W przyszłym roku idzie pod topór. Musisz odciąć martwe drewno.

Clay nigdy nie zapomniał.

Gonitwa tego dnia należała do grupy drugiej i nazywała się Plymouth. Dla większości koni grupa druga była czymś ważnym, ale dla Matadora jedynie rozgrzewką. Jego szanse oceniano na 2-1.

Jego barwami były czerń i złoto.

Czarny strój. Złoty herb.

Carey i Clay siedzieli na trybunie i po raz pierwszy tego dnia ona była zdenerwowana. Kiedy dżokej znalazł się w siodle, spojrzała z góry na plac i zobaczyła Peteya machającego w jej stronę – stał z McAndrew, przy ogrodzeniu – i ruszyli przez tłum. Kiedy konie wyszły z boksów, Clay patrzył, a McAndrew załamywał ręce. Wbijał wzrok w buty i mówił.

- Gdzie? – spytał, a Petey odpowiedział.
- Trzeci od końca.
- Dobrze. – Kolejne pytanie. – Prowadzenie?
- Kansas City.
- Cholera! Ten guzdrała. To znaczy idzie wolno.

Komentator to potwierdził:

- Kansas City przed Glass Half Full i o długość od Woodwork Blue...

Znow McAndrew.

- Jak wygląda?
- Walczy z nim.
- Pieprzony pilot!
- Ale on sobie z nim radzi.
- Lepiej, do cholery.

Na zakręcie nie było powodów do zmartwienia.

- Oto. Nadchodzi. Matador!

(Komentator znał się na interpunkcji).

A koń jakby od niechcienia wysunął się na prowadzenie. Przyspieszył i zwiększył przewagę. Dżokej, Errol Barnaby, promieniał wysoko w siodle:

Ulga starego McAndrew.

Później Petey rzucił, bardziej jak niedopałek niż papieros:

- Jest gotów na Queen, jak myślisz?

McAndrew skrzywił się i odszedł.

Ostatnie słowo należało jednak do Carey.

Jakoś udało jej się postawić na niego dolara i oddała wygraną Clayowi – którą dobrze spożytkowali w drodze do domu:

Dwa dolary i trochę drobnych.

Gorące frytki i góra soli.

Jak się okazało, był to ostatni rok Matadora na wyścigach i wygrywał wszystkie gonitwy, w których brał udział, oprócz tych, które się liczyły.

Grupy pierwszej.

W każdej gonitwie grupy pierwszej stawał przeciwko jednemu z największych koni tego czy innego okresu, lecz ona była wielka, ciemna i dostojna, i cały kraj ją kochał. Nadawali jej WSZELKIE imiona i porównywali z całą gromadą:

Od Kingston Town po Lonhro.

Od Black Caviar po Phar Lapa.

W stajni wołali na nią Jackie.

Na torze była Queen of Hearts.

Jasne, Matador był wyjątkowym koniem, ale porównywano go do innego – potężnego gniadosza zwanego Hay List, który za każdym razem przegrywał z Black Caviar.

Ennis McAndrew i właściciel nie mieli wyboru, jak tylko go wystawiać. Była jedynie ograniczona liczba gonitw grupy pierwszej na odpowiednim dystansie, a Queen of Hearts zawsze brała w nich udział. Ona również była niepokonana i niemożliwa do pokonania. Zwyciężała inne konie o sześć albo siedem długości – dwie, jeśli pod koniec dżokej zwalniał. Z Matadorem wygrała o długość, a raz o pół głowy.

Jej barwy przypominały talię kart:

Białe z czerwonymi i czarnymi sercami.

Z bliska sprawiała, że Matador wyglądał jak chłopiec, a w najlepszym wypadku niezgrabny młokos. Jej sierść była w najciemniejszym wyobrazalnym odcieniu brązu, można by wręcz uwierzyć, że jest czarna.

W telewizji zrobili zbliżenie na boksy startowe.

Górowała nad innymi końmi.

Była wiecznie czujna i gotowa.

Później skok i zniknęła.

Kiedy tamtej jesieni ścigali się po raz drugi, w T.J. Smith, wydawało się, że w końcu ją miał. Dżokej wypuścił go na długo przed zakrętem i jego prowadzenie wydawało się nie do podważenia. Ale Queen of Hearts go pożarła. W pięciu czy sześciu długich krokach wyszła na prowadzenie i je utrzymała.

W stajniach wielki tłum otaczał boks numer czternaście.

Gdzieś w środku była Jackie, Queen of Hearts.

W boksie czterdziestym drugim pozostało jedynie kilku zagubionych wielbicieli, Petey Simms i Carey. I Clay.

Dziewczyna przeciągnęła dłonią po jego strzałce.

– Świetny bieg, chłopaku.

Petey się zgodził.

– Myślałem, że ją miał... ale to jest niezła klacz.

W połowie drogi między nimi, w pobliżu boksu dwudziestego ósmego, dwaj trenerzy uścisnęli sobie ręce. Rozmawiali, nie patrząc na siebie.

Clay z jakiegoś powodu lubił tę część.

Lubił ją bardziej niż gonitwy.

W połowie zimy zrobili mu przerwę, kiedy znów przegrał ze swoją nemezis, a tym razem była to całkowita jatka – tym razem o dobre



cztery długości. Ledwie wyprzedził pozostałych. Oglądali tę gonitwę w telewizji, w Naked Arms, gdzie pokazywali ją na żywo na kanale Sky. Wyścig miał miejsce w Queenslandzie.

– Biedny stary Wally – powiedziała i zawołała do barmana, gościa imieniem Scotty Bills. – Może jakieś piwo albo dwa, żebyśmy mogli się poużalać?

– Poużalać? – Wyszczerył się. – Ona wygrała! A poza tym jesteś niepełnoletnia.

Carey była zdegustowana. Pierwszą uwagą, nie drugą.

– Chodź, Clay, idziemy.

Barman spojrzał jednak na dziewczynę, a później na Claya – zarówno Scotty Bills, jak i chłopak byli starsi, a Scott nie mógł go do końca skojarzyć, ale wiedział, że między nimi coś było.

Kiedy w końcu mu się udało, stali już w drzwiach.

– Hej – zawołał – to ty. Jesteś jednym z nich... dobrych parę lat temu... prawda?

Jako pierwsza odezwała się Carey.

– Jednym z kogo?

– Siedem piw! – krzyknął Scotty Bills, który prawie nie miał już włosów, a Clay wrócił i odezwał się do niego.

– Powiedziała, że tamte piwa były dobre.

A co mówiłem wam wcześniej?

Carey Novac mogła skłonić człowieka, żeby opowiedział jej różne rzeczy, choć Clay był jej najtrudniejszym przypadkiem. Na zewnątrz, kiedy oparł się o płytki na ścianie Naked Arms, oparła się o nie razem z nim. Byli blisko, ich ramiona prawie się stykały.

– Siedem piw? O czym mówił ten gość?

Clay wsunął dłoń do kieszeni.

– Dlaczego – spytała – za każdym razem, kiedy czujesz się nieswojo, sięgasz do tego czegoś, co tam masz?

Stała twarzą do niego i naciskała.

– To nic takiego.

– Wcale nie.

Potrząsnęła głową i postanowiła zaryzykować, opuściła rękę.

– Przestań.

– Daj spokój, Clay!

Zaśmiała się, a jej palce dotknęły kieszeni. Drugą ręką sięgnęła do jego żeber – i zawsze jest to straszne i niepokojące, kiedy twarz rozpala się i zmienia – złapał ją i odepchnął.

– PRZESTAŃ!

Wydał krzyk przerażonego zwierzęcia.

Dziewczyna poleciała do tyłu, potknęła się – oparła się na jednej ręce, ale nie pozwoliła, by pomógł jej wstać. Oparła się o ścianę z płytek, podciągnęła kolana do szyi. Zaczął mówić.

– Przepraszam...

– Nie. – Spojrzała ostro na chłopaka obok. – Nie, Clay. – Była zraniona i chciała zranić jego. – Co z tobą nie tak, do diabła? Dlaczego jesteś takim...

– Czym? CZYM?

Takim cholernym dziwadłem.

Ojczysty język młodych ludzi na całym świecie.

Słowa jak rana między nimi.

Musieli tam siedzieć przez dobrą godzinę, a Clay zastanawiał się, jak najlepiej to naprawić albo czy w ogóle da się naprawić – napuchnięty smak konfliktu.

Delikatnie wyjął klamerkę i uniósł ją.

Położył ją powoli na jej udzie.

– Opowiem ci o wszystkim – powiedział, ale cicho. – O wszystkim, o czym mogę, ale nie o tym. – Patrzyli na nią, usadowioną między nimi. – Siedem piw, wszystkie jej przezwiska... że jej tato miał wąs Stalina. Mówiła, że rozbił obóz na jego ustach.

Poddała się, odrobinę. Uśmiechnęła się.

– Ona tak go kiedyś opisała. – Jego głos przypominał teraz szept. – Ale nie klamerkę. Jeszcze nie.

Jedynym, co pozwalało mu żyć z samym sobą, była świadomość, że w końcu jej powie – kiedy będzie musiała pozostawić go za sobą.

– W porządku, Clay, zaczekam. – Wstała i podciągnęła go do góry. Wybaczyła mu, pozostając nieubłaganą. – Na razie opowiedz mi całą resztę. – Powiedziała to w sposób, w jaki niewielu mówi takie rzeczy. – Opowiedz mi absolutnie o wszystkim.

I to właśnie zrobił.

Opowiedział jej wszystko, co ja opowiedziałem wam do tej pory, i jeszcze więcej z tego, co nadejdzie – pomijając jedynie suszarkę na pranie na tylnym podwórku – a Carey zrobiła coś, czego nie potrafił nikt inny, zobaczyła dokładnie to, czego on jakimś sposobem nie umiał.

Następnym razem, kiedy stali na cmentarzu, z palcami zaciśniętymi na ogrodzeniu, wyciągnęła niewielką kartkę papieru.

– Myślałam – powiedziała, a słońce się cofnęło – o tej kobiecie, która opuściła twojego ojca... i książce, którą zabrała ze sobą.

Jej piegi były piętnastoma współrzędnymi, z ostatnią na szyi – ponieważ tam, na tym małym pomiętym kawałku papieru, było nazwisko i kilka numerów telefonu, a nazwisko, które zapisała, brzmiało HANLEY.

– Jest ich sześćcioro – powiedziała – w książce telefonicznej.

## prąd odpływowy.

OBUDZIŁ SIĘ.

Był spocony.

Pływał w pościeli.

Od kiedy powiedział prawdę McAndrew oraz Tedowi i Catherine Novac, niepokoiła go uporczywa wątpliwość.

Czy wyznał wszystko jedynie dla siebie?

Ale nawet w najmroczniejszych chwilach w to nie wierzył – zrobił tak, bo musiał. Zasługiwali, by wiedzieć, jak do tego doszło.

Teraz, wiele nocy później, obudził się i poczuł ją na sobie:

Dziewczyna była na jego piersi.

To sen, wiem, że to sen.

Przyszła przywołana jego wyobrażeniami.

Był zapach koni i śmierci, ale jednocześnie ożywiony i przypominający życie – wiedział, bo była ciepła. Nie ruszała się, ale czuł jej oddech.

– Carey? – powiedział, a ona się poruszyła.

Podniosła się sennie i usiadła obok niego. Jej dzinsy i świetliste przedramiona, jak pierwszego dnia, kiedy przyszła.

– To ty – powiedział.

– To ja... – Ale teraz odwróciła się od niego. Chciał dotknąć jej kasztanowych włosów. – Jestem tu, bo mnie zabiłeś.

Zatonął w kanale pościeli.

W łóżku, ale pochwycony przez prąd odpływowy.

Po tym powrócił do biegania, rankami przed pracą ze mną. Jego teoria była idealnie logiczna – im więcej biegał, im mniej jadł, tym większa szansa, że znów ją zobaczy.

Cały problem polegał na tym, że tak się nie stało.

– Ona nie żyje.

Powiedział to cicho.

Czasem nocami chodził na cmentarz.

Zaciskał palce na ogrodzeniu.

Tęsknił za spotkaniem z tamtą kobietą, z początku, z przeszłości – tą, która poprosiła o tulipana.

Gdzie jesteś? – prawie ją spytał.

Gdzie jesteś teraz, kiedy cię potrzebuję?

Zajrzałyby w głąb tej strzałki, którą miała, tej zmarszczki nad brwiami.

Za to biegał do Bernborough.

Robił to co noc.

W końcu, a minęło już dobrych kilka miesięcy, stanął o północy na bieżni. Wiatr się wzmagał i wył. Nie było księżyca. Jedynie latarnie uliczne. A Clay stał blisko mety, po czym odwrócił się do trawy.

Przez chwilę trzymał w niej rękę – była zimna i nieprzyjemna dla dłoni. Przez chwilę słyszał głos. Całkiem wyraźnie wołał „Clay”. Przez chwilę chciał uwierzyć, więc zawołał za nim:

– Carey. – Ale wiedział, że nie dostanie się do środka.

Po prostu stał i wypowiadał jej imię – godzinami, aż do świtu, i czuł, że to się nigdy nie cofnie. Będzie tak żył i tak umrze, a w jego wnętrzu nie wzejdzie żadne słońce.

– Carey – szepnął. – Carey. – A wiatr miotał się wokół niego, aż w końcu ucichł.

– Carey – szepnął, bardziej rozpaczliwie, a później w ostatnim akcie jałowości:

– Carey – szepnął – Penny.

I ktoś to usłyszał.

## teleturniejowa dziewczyna

W PRZESZŁOŚCI, w roku, który mieli na przyjaźń, nastał czas, kiedy łatwo było być Carey i Clayem, i żyli dobrze, blisko. Ale mimo wszystko było tak wiele chwil. Czasami zatrzymywał się i przypominał sobie:

Nie powinien się tak zakochiwać.

Jak mógł czuć, że zasługuje?

Tak, można bezpiecznie stwierdzić, że byli w sobie zakochani, na dachach, w parkach, nawet na cmentarzach. Chodzili ulicami dzielnicy wyścigów, a mieli piętnaście i szesnaście lat, dotykali się, ale nigdy nie całowali.

Dziewczyna była dobra i pełna zielonego blasku:

Jasnooka Carey Novac.

Chłopiec był chłopcem z ogniem w oczach.

Kochali się niemal jak bracia.

W dniu książki telefonicznej dzwonili pod każdy numer od góry do dołu.

Nie było inicjału imienia zaczynającego się od A, więc postanowili zadzwonić pod wszystkie z nadzieją, że trafią na krewnego.

Czwarty był właściwy.

Nazywał się Patrick Hanley.

Powiedział:

– Co? Kto? ABBEY?

Tym razem rozmawiała Carey, bo dzwonili na zmianę, numer po numerze, a ona była druga i czwarta. Zmusiła Claya, żeby zaczął.

Oboje słuchali blisko słuchawki, a podejrzliwość w jego głosie wyraźnie świadczyła, że trafili. Wszyscy pozostali nie mieli bladego pojęcia. Carey powiedziała, że szukają kobiety pochodzącej z miejscowości o nazwie Featherton. Mężczyzna po drugiej stronie się rozłączył.

– Wygląda na to, że musimy tam pojechać – powiedziała i tym razem odnalazła adres. – Ernst Place, Edensor Park.

Był lipiec, a ona miała wolny dzień, niedzielę.

Pojechali pociągiem, a później autobusem.

Było boisko i ścieżka rowerowa.

Dom stał w rogu, po prawej stronie ślepej uliczki.

W drzwiach od razu ich poznał.

Patrzyli na niego obok ceglanej ściany.

Miał ciemne włosy, czarną koszulkę i łuk udający wąsy.

– A niech to! – powiedziała Carey Novac, odezwała się, zanim zorientowała się, że to robi. – Popatrz tylko na wielkość tego wąsa!

Patrick Hanley nie był pod wrażeniem.

Kiedy Clay znalazł odwagę, żeby się odezwać, odpowiedzią na jego pytania było pytanie.

– Czego, do diabła, chcesz od mojej siostry?

Ale później przyjrzał mu się uważnie, a on był bardzo podobny do NIEGO – Clay dostrzegł chwilę, kiedy wszystko się zmieniło. Czy Patrick przypominał sobie Michaela, nie tylko jako mężczyznę, za którego wyszła Abbey, ale też chłopca, z którym chodziła po mieście?

Tak czy inaczej, zrobił się bardziej przyjazny i przedstawili się sobie.

– To Carey – powiedział Clay – a ja jestem Clay...

A Patrick Hanley podszedł bliżej.

– Clay Dunbar – powiedział od niechcienia, czym trafił ich w samo serce. Powiedział, nie spytał.



Mieszkała w olśniewającym apartamentowcu.

Należało do niej kilka jasnych okien w betonowym Goliacie – typu kapitalistycznego – a oni pojechali tam kilka tygodni później (w kolejny wolny dzień Carey), w sierpniowe popołudnie. Stali w przerażającym cieniu.

– Wznosi się do samego nieba – powiedziała Carey, jak zawsze miała rozpuszczone włosy. Jej krwiste piegi podskakiwały. – Jesteś gotów?

– Nie.

– Tylko na siebie popatrz!

Wzięła go pod rękę i byli zupełnie jak Michael i Abbey.

– Popatrz na co?

– Na siebie!

Jak zawsze miała na sobie dzinsy, i to znoszone. Jej flanelowa koszula była wyblakła. Czarna kurtka swobodnie rozpięta.

Uścisnęła go przy domofonie.

– Też by mnie nie było w książce telefonicznej – stwierdziła – gdybym mieszkała w takim miejscu.

– Chyba pierwszy raz widzisz mnie w koszuli – powiedział.

– Zgadza się! – Ścisnęła go mocniej. – Widzisz? Mówiłam ci. Jesteś gotów.

Wystukał 182.

W windzie przestępował z nogi na nogę, był tak zdenerwowany, że prawie zwymiotował, ale w korytarzu poczuł się lepiej. Ściany były białe, z ciemnoniebieskimi detalami. Na końcu znajdował się najwspanialszy widok na miasto, jaki można było sobie wyobrazić. Wszędzie była woda – słona – i linia dachów wręcz na wyciągnięcie ręki.

Po prawej Opera.

Po lewej jej odwieczny towarzysz.

Przenosili wzrok z żagli na Wieszak.

Za ich plecami podniósł się głos.

– O rany.

Jej oczy były słodkie i dymne.

– Wyglądasz zupełnie jak on.

Mieszkanie należało do kobiety.

Nie było w nim mężczyzny ani dzieci.

To było w jakiś sposób oczywiste na pierwszy rzut oka.

Kiedy patrzyli na dawną Abbey Dunbar, wiedzieli, że była, teraz i wcześniej, piękna. Miała wspaniałe włosy, porządne ubranie, była atrakcyjna na każdy możliwy sposób – ale pozostawała jeszcze miłość i lojalność. To nie była Penelopa.

– Napijcie się czegoś? – spytała.

Odezwali się razem:

– Nie, dzięki.

– Kawy? Herbaty?

Tak, jej oczy były szare i wspaniałe.

A włosy doskonałe jak telewizja – przycięte w boba, od którego spadały buty – i nie trzeba było się uważnie przyglądać, by znów zobaczyć dziewczynę, kościstą jak cielę.

– A może mleko i ciasteczka? – spytała Carey, próbując rozładować atmosferę. Bawiła się z Abbey, czuła, że musi to robić.

– Hej, dzieciaku. – Kobieta się uśmiechnęła, ta starsza wersja, i nawet jej spodnie były doskonałe. I jeszcze bezcenna bluzka. – Lubię cię, ale lepiej bądź cicho.

Kiedy Clay opowiadał mi o tym wszystkim, powiedział coś bardzo zabawnego.

Powiedział, że telewizor był włączony i w tle rozlegał się odgłos teleturnieju. Kiedyś uwielbiała *Marzę o Jeannie*, a teraz najwyraźniej to. Nie umiał powiedzieć, który to był teleturniej, ale przedstawiali uczestników, a jednym z nich był Steve, Steve był programistą, który interesował się paralotniarstwem i tenisem. Kochał aktywność na świeżym powietrzu i czytanie.

Kiedy usiedli, a Carey się USADOWIŁA, przez chwilę rozmawiali o drobiazgach – szkole, pracy i tym, że Carey chce zostać dżokejem, ale to Clay mówił. Abbey opowiadała o jego ojcu i jakim był pięknym chłopcem, i jak chodził na spacer z psem przez Featherston.

– Luna – powiedziała Carey Novac, ale cicho, prawie do siebie.

Clay i Abbey się uśmiechnęli.

Kiedy Carey w końcu znów odezwała się głośniej, zadała palące pytanie.

– Wyszła pani drugi raz za mąż?

Abbey powiedziała:

– Lepiej. – A później: – O tak.

Kiedy Clay patrzył na Carey, myśląc: „Chwała Bogu, że tu jesteś”, czuł się również ślepy wśród światła. To miejsce było tak dobrze oświetlone. Słońce wpadało bezpośrednio i uderzało w nowoczesną kanapę, długi na milę piekarnik, a nawet ekspres do kawy, jakby były święte – ale wiedział, że nie ma tu pianina. Abbey znów była wszystkim, ale niczym. Był zajadły i zamierzał z tym walczyć w milczeniu.

Jeśli chodzi o Abbey, wyglądała na zewnątrz, trzymała w dłoni filiżankę kawy.

– Ach tak, wyszłam znów za mąż... zrobiłam to dwa razy. – I gwałtownie, jakby nie mogła już dłużej czekać, powiedziała: – Chodźcie tu, chcę wam coś pokazać. – I: – Dalej, nie gryzę – kiedy się zawahał, bo prowadziła go do sypialni. – Tutaj...

Tak, TUTAJ, wszystko się zgadza – ponieważ tam, po drugiej stronie łóżka, na skrawku kawałka ściany, było coś, co sprawiło, że jego serce się ścisnęło, a później powoli wypłynęło z piersi:

Coś tak delikatnego i prostego, w podrapanej srebrnej ramce.

Rysunek dłoni Abbey.

Palce jak patyki, ale delikatne.

Jak patyki, ale miękkie – można by się w nich położyć.

Powiedziała:

– Miał chyba siedemnaście lat, kiedy to narysował.

A Clay po raz pierwszy spojrział na nią – w głąb, na inną urodę.

– Dziękuję, że mi to pani pokazała.

Abbey wykorzystała impet. Nie miała pojęcia o Clayu i Penny, pięciu braciach, hałasie i chaosie, i kłótniach o pianino, i umieraniu. Był tylko chłopiec przed nią, a ona chciała, żeby to się liczyło.

Odezwała się:

– Jak mam ci to powiedzieć, Clay? – Stała między chłopcem a dziewczyną. – Powiedziałabym, jak bardzo mi przykro, jaka byłam głupia... ale jesteś tutaj i widzę to. – Przez chwilę patrzyła na Carey. – Czy ten chłopiec jest pięknym chłopcem?

A Carey, oczywiście, spojrziała na nią, a później skupiła się na Clayu. Piegami już nie były niespokojne. Uśmiech przypominający morze. I oczywiście powiedziała:

– Oczywiście.

– Tak myślałam – odparła Abbey Hanley, i był w jej głosie żal, ale nie uzalenie się nad sobą. – Pewnie to, że zostawiłam twojego tatę – wyjaśniła – było naprawdę moim najlepszym błędem.

Później napili się herbaty, nie mogli odmówić, a Abbey zrobiła sobie kolejną kawę i opowiedziała im trochę o sobie – pracowała w jednym z banków.

– Nudne to jak gówno nietoperza – powiedziała, a Clay poczuł ukłucie.

– Tak mówią dwaj z moich braci, o filmach Matthew.

Jej dymne oczy otworzyły się nieco szerzej.

– Ilu braci właściwie MASZ?

– Jest nas pięciu – powiedział do niej – i pięć zwierząt, włączając w to Achillesa.

– Achillesa?

– Muła.

– MUŁA?

Zaczynał się już rozluźniać, a Carey rzuciła bez ogródek:

– Nigdy nie widziała pani takiej rodziny.

I może Abbey mogła poczuć się zraniona czymś takim – życiem, którego nigdy nie przeżyła – i może spotkanie mogło pójść w niewłaściwą stronę, więc żadne z nich nie zaryzykowało. Nie rozmawiali o Penny i Michaelu, i to Abbey odstawiła filiżankę.

Odezwała się z prawdziwym ciepłem:

– Tylko na was spojrzeć, dzieciaki.

Pokręciła głową i zaśmiała się do siebie:

„Przypominacie mi mnie i jego”.

Pomyślała to – wiedział – ale nie powiedziała na głos.

Powiedziała:

– Myślę, że wiem, po co tu przyszedłeś, Clay.

Wyszła i wróciła z *Kamieniarzem*.

Książka była blada i brązowa, a grzbiet popękany, ale wiek jedynie zwiększał jej wartość. Przy oknie robiło się ciemniej – włączyła światło w kuchni i wzięła nóż ze ściany przy czajniku.

Bardzo ostrożnie, na stole, zrobiła nacięcie w środku – dokładnie wzdłuż grzbietu – by usunąć pierwszą stronę, tę z biografią autora. Później zamknęła książkę i podała Clayowi.

Jeśli chodzi o kartkę, pokazała im. Powiedziała:

– Jeśli nie macie nic przeciwko, zatrzymam to. „Kocham i kocham, i kocham”, co? – Ale mówiła raczej tęsknie niż nonszalancko. – Wiecie, chyba zawsze to wiedziałam... on nigdy nie miał być mój.

Kiedy wyszli, odprowadziła ich i stali razem przy windach. Clay podszedł, by uścisnąć jej dłoń, ale odmówiła i powiedziała:

– Proszę, uściśnij mnie.

Dziwnie się czuł w jej objęciach.

Była bardziej miękka, niż się wydawało, i ciepła.

Nigdy nie umiał opisać, jak bardzo był wdzięczny, za książkę i cielesność jej ramion. Wiedział, że nigdy więcej jej nie zobaczy, że to już wszystko. W ostatniej chwili, zanim winda ruszyła na dół, uśmiechnęła się przez zamykające się drzwi.

## ostatni list

MIAŁ JUŻ NIGDY nie zobaczyć Abbey:

Clay, oczywiście, się mylił.

Niegdyś, w odmętach...

Do diabła z tym...

Widzicie, na pogrzebie Carey Novac, kiedy siedzieliśmy z tyłu kościoła, mylił się, myśląc, że nikt go nie widział – bo pomiędzy prawdziwymi żałobnikami, ludźmi z wyścigów i osobistościami, była tam też kobieta. Miała słodko dymne oczy i piękne ubrania, i boba, od którego spadały buty.

*Kochany Clayu...*

*Przykro mi z tak wielu różnych powodów.*

*Powinnam napisać do Ciebie o wiele wcześniej.*

*Przykro mi z powodu tego, co stało się z Carey.*

*Ledwie zdążyłam jej powiedzieć, żeby przestała być tak wyszczekana, a ona już mówiła mi, jak miał na imię jego pies... a po kolejnej chwili (choć minął ponad rok) byli ci wszyscy ludzie w kościele. Stałam w tłumie w wejściu i zobaczyłam Cię z tyłu z braćmi.*

*Przez moment prawie do Ciebie podeszłam. Żałuję, że tego nie zrobiłam.*

*Kiedy poznałam was oboje, powinnam wam powiedzieć – że przypominacie mi Michaela i mnie. Widziałam to w sposobie, w jaki byliście blisko siebie, na odległość wyciągniętej ręki. Byliście gotowi chronić się nawzajem przede mną albo przed wszystkim innym, co*

*mogło zrobić jej krzywdę. Wydawałeś się taki zdruzgotany w tym kościele. Mam nadzieję, że dobrze się czujesz.*

*Nie spytam, gdzie byli Twoja matka albo Twój ojciec, bo wiem, co zachowujemy tylko dla siebie, a już szczególnie ukrywamy przed rodzicami.*

*Nie czuj się zobowiązany do odpowiedzi.*

*Nie powiem Ci, żebyś żył tak, jak ona by tego chciała, ale może żyj tak, jak musisz.*

*Ale myślę, że musisz żyć.*

*Przepraszam, jeśli odezwałam się niestosownie, wybacz mi więc, jeśli to zrobiłam.*

*Pozdrawiam*

*Abbey Hanley*

List przyszedł kilka dni po Bernborough, kiedy stał na bieżni aż do świtu. Został dostarczony osobiście. Żadnego znaczka ani adresu. Jedynie „Clay Dunbar”, i wrzucony do skrzynki na listy.

Tydzień później szedł przez dzielnicę wyścigów i miasto, aż dotarł do niej. Nie użył domofonu. Zaczekał na innego mieszkańca, wślizgnął się przez wejście za nim i pojechał windą na osiemnaste piętro.

Wzdragał się, kiedy dotarł do jej drzwi, i minęło kilka minut, zanim zapukał, a nawet wtedy zrobił to łagodnie. Był wstrząśnięty, kiedy je otworzyła.

Podobnie jak wcześniej wydawała się życzliwa i nieskalana, ale szybko przepełniła ją troska. Jej włosy, i to światło, dawały zabójczy efekt.

– Clay? – Podeszła bliżej. Była piękna, nawet kiedy smutna. – Boże, Clay, jesteś taki chudy.



Ostatkiem woli powstrzymał się, żeby znów jej nie objąć, nie dać się trzymać w ciepłe jej drzwi – ale nie zrobił tego, nie mógł sobie pozwolić. Mógł z nią porozmawiać i tyle.

– Zrobię to, co napisała pani w liście. Będę żył, tak jak muszę... pojedę i ukończę ten most.

Jego głos był suchy jak koryto rzeki, a Abbey postąpiła dobrze. Nie spytała, co ma na myśli, mówiąc o moście ani o nic innego, co mógłby jej powiedzieć.

Otworzył usta, żeby znów się odezwać, ale zawahał się i łzy wezbrały mu w oczach. Wytarł je wściekłym gestem – a Abbey Hanley odważyła się i zaryzykowała, postawiła podwójną stawkę i do diabła ze zmartwieniami, jej miejscem w tym całym bałaganie albo tym, co było właściwe. Zrobiła to, co już raz wcześniej:

Pocałowała dwa palce, ale położyła je na jego policzku.

Chciał jej wtedy opowiedzieć o Penny i Michaelu, i o wszystkim, co się przydarzyło nam wszystkim – i wszystkim, co się przydarzyło JEMU. Tak, chciał opowiedzieć jej wszystko, ale tym razem jedynie uścisnął jej rękę, a później zjechał windą i pobiegł.

## matador kontra queen of hearts

I TAK OTO znów się wydarzyło.

Po tym, jak poszedł z Carey do Abbey Hanley, a ona wyrwała pierwszą stronę *Kamieniarza*, nie wiedzieli, co to miało znaczyć. Z początku była to kolejna cezura – rozpoczęcie kolejnego początku, gdy miesiące przepływały w nich i obok nich.

Na wiosnę wrócili oboje.

Matador i Queen of Hearts.

Latem ból czekania, bo w końcu Carey została ostrzeżona:

Będzie musiała odciąć martwe drewno, a Clay zamierzał ją do tego zmusić. Clay zamierzał stworzyć plan.

W czasie pomiędzy, jak możecie sobie wyobrazić, jedyną stałą – rzeczą, którą kochali najbardziej – była książka o Michale Aniele, którego z miłością nazywała rzeźbiarzem, artystą albo jego ulubionym – czwartym Buonarrotim.

Kładli się na Surrounds.

Czytali tam, rozdział po rozdziale.

Kupili latarki i baterie na zapas.

Żeby ochronić blaknący materac, przyniosła ogromny arkusz plastikowej folii, a kiedy odchodzili, ścielili nim łóżko i wpychali brzegi pod spód. Idąc do domu, brała go pod rękę. Ich biodra się dotykały.

W listopadzie historia się powtórzyła.

Queen of Hearts była po prostu za dobra.

Matador dawał z siebie wszystko, ścigali się dwa razy, a on osłabł. Ale wciąż pozostawała szansa, ostatnia gonitwa grupy pierwszej miała się odbyć w mieście na początku grudnia, a Ennis McAndrew budował jego formę. Powiedział, że osłabł, bo nie był jeszcze gotowy – a nadchodziła ta, której pragnął. Miała dziwną nazwę, bez elementu *plate, guineas, cup* czy *stakes* – nazywała się Saint Anne's Parade. Ostatnia w życiu Matadora. Gonitwa Piąta w Royal Hennessey. 11 grudnia.

Tego dnia zrobili to, co lubiła robić.

Postawili dolara na Matadora w piątej.

Poprosiła jednego z drapiących się po tyłku, żeby postawił w jej imieniu.

Zrobił to, ale powiedział im ze śmiechem.

– Wiecie, że nie ma żadnych szans, co nie? Staje przeciwko Queen of Hearts.

– I co z tego?

– To, że nigdy nie wygra.

– O Kingston Townie też to mówili.

– Matador nie jest Kingston Townem.

Ale teraz trochę mu dołożyła.

– A w ogóle to po co ja z tobą gadam? Ile miałeś ostatnio wygranych?

Znów się roześmiał.

– Niewiele. – Przeciągnął rękami po zaroście na policzkach.

– Tak myślałam. Nie jesteś nawet dość bystry, żeby skłamać. Ale, hej – uśmiechnęła się szeroko – dzięki, że za mnie postawiłeś, jasne?

– Pewnie. – A kiedy się rozeszli, zawołał do nich raz jeszcze. – Hej, chyba mnie przekonałaś!

Tłum tego popołudnia był największy, jaki widzieli, bo Queen of Hearts też odchodziła – ścigać się za oceanem.

Na trybunach nie było prawie miejsca, ale znaleźli dwa krzeselka i oglądali Peteya Simmsa, który jeździł po padoku. McAndrew oczywiście wyglądał na wkurzonego. Ale to nie było niczym dziwnym.

Przed otwarciem boksów wzięła go za rękę.

Spojrzał na zewnątrz, powiedział:

– Powodzenia.

Ścisnęła jego dłoń i puściła ją – bo kiedy konie tego dnia wybiegły, tłum poderwał się na równe nogi, ludzie krzyczeli i coś się zmieniło.

Konie dobiegły do zakrętu, coś było nie tak.

Kiedy Queen of Hearts rzuciła się do przodu, Matador, czarny i złoty, dotrzymywał jej kroku – co wiele znaczyło, bo jej kroki były o wiele dłuższe. Kiedy przyspieszyła, jakimś sposobem nadązał za nią.

Cień głównej trybuny stał się zdesperowany.

Wołali hałaśliwie, prawie przerażeni, dopingując Queen – bo to było niemożliwe, niemożliwe.

Ale było.

Kiedy dotarły do mety, sprowadziło się to do ich kołyszących się łbów.

Wydawało się, że Matadorowi się udało i potwierdzał to dźwięk na trybunach – w tłumie zapanowała cisza.

Popatrzyła na niego.

Trzymała go jedną ręką.

Jej piegi prawie wybuchły.

Zwyciężył.

Pomyślała tak, ale nie powiedziała, i całe szczęście, bo był to największy wyścig, jaki oglądali i w jakim uczestniczyli na trybunach, była w nim poezja, wiedzieli, w samej jego idei.

Tak blisko, tak blisko, i po wszystkim.

Zdjęcie jakimś sposobem to potwierdziło.

Queen of Hearts zwyciężyła o chrapy.

– Jej chrapy, jej pierdolone chrapy! – zawołał później Petey, w ciasnym boksie, ale tym razem McAndrew się uśmiechał.

Kiedy zobaczył Carey tak zbolałą i przybitą, podszedł i popatrzył na nią. Niemal jakby ją oceniał. Pomyślała, że zaraz sprawdzi jej stopy.

– A ciebie co ugryzło, do diabła? Koń żyje, nie?

– Powinien zwyciężyć.

– Nie powinien niczego... nigdy nie widzieliśmy czegoś podobnego, takiego wyścigu. – Teraz sprawił, że spojrzała na niego, w twarde niebieskie oczy stracha na wróble. – A poza tym pewnego dnia zdobędziesz dla niego tę grupę pierwszą, w porządku?

Zapowiedź szczęścia.

– W porządku, panie McAndrew.

Od tego czasu Carey Novac, dziewczyna z Gallery Road, miała na poważnie zacząć naukę. Zaczynała 1 stycznia.

Miała teraz pracować właściwie całą dobę.

Nie miała czasu na nic ani nikogo innego.

Zaczął się jeżdżenie, więcej ćwiczeń na torze i sprawdzania przeszkód – i błaganie, w głębi duszy, o gonitwy. Od samego początku słyszała od McAndrew:

– Jeśli będziesz mnie zadręczać, nigdy niczego nie dostaniesz.

Grzecznie opuściła głowę, zamknęła usta i pracowała.

Jeśli chodzi o Claya, był zdeterminowany.

Wiedział, że musiała go zostawić.

Mógł ją zmusić, żeby trzymała się z dala.

Już planował znów rozpocząć treningi, najcięższe, jak się da, a Henry też był gotów. Jednego wieczora siedzieli na dachu, a miss

stycznia była wtajemniczona we wszystko. Zamierzali zdobyć klucz do bloku Pierdoły i wrócić na Bernborough Park. Będą pieniądze i mnóstwo hazardu.

– Umowa stoi? – spytał Henry.

– Stoi.

Uścisnęli sobie dłonie i było to stosowne, bo Henry też zrezygnował – z tej kobiety o wspaniałej anatomii. Z jakiegoś powodu podjął decyzję: Zamknął ją i położył na skośnych dachówkach.

Wieczorem 31 grudnia Carey i Clay poszli na Bernborough.

Przebiegli jedno okrążenie.

W blasku zachodzącego słońca trybuna zstąpiła do piekła – ale było to piekło, do którego chciało się wejść.

Stali, a on ścisnął klamerkę.

Wyciągnął ją powoli.

Odezwał się:

– Teraz muszę ci opowiedzieć.

I wyznał jej wszystko, o tych wodach, które zawsze muszą napłynąć. Byli dziesięć metrów przed metą, a Carey słuchała w milczeniu, ścisnęła klamerkę przez jego dłoń.

Kiedy opowiedział jej całą historię, spytał:

– Rozumiesz teraz? Rozumiesz? Dostałem rok, a wcale na niego nie zasłużyłem. Rok z TOBĄ. Nigdy, przenigdy nie możesz ze mną zostać.

Popatrzył na pole wewnętrzne, dżunglę, i myślał, że to niepodważalne, ale Carey Novac nie dało się pokonać. Nie, konie mogły przegrywać, ale nie Carey, i niech będzie przeklęta z tego powodu, ale możemy ją kochać, ponieważ oto, co zrobiła później.

Odwróciła jego twarz i uniosła ją.

Wzięła i trzymała klamerkę.

Powoli podniosła ją do warg.

Powiedziała:

– Boże, Clay, ty biedny dzieciaku, ty biedny chłopcze, ty biedny dzieciaku... – Trybuna podświetlała jej włosy. – Wiesz, ona miała rację, Abbey Hanley... powiedziała „piękny”... nie widzisz tego? – Z bliska była świetlista, ale mięsista, mogła podtrzymać człowieka przy życiu swoim błaganiem. Ból w jej zielonych oczach. – Nie rozumiesz, że nigdy cię nie zostawię, Clay? Nie rozumiesz, że nigdy nie odejdę?

Clay wyglądał wtedy, jakby miał upaść.

Carey objęła go mocno.

Trzymała go, przytulała, szeptała do niego, a on czuł wszystkie jej kości. Uśmiechała się, płakała i uśmiechała.

Powiedziała:

– Przyjdź na Surrounds. Przyjdź w sobotni wieczór. – Pocałowała go w szyję i słowa popłynęły w dół. – Nigdy cię nie zostawię, przenigdy...

I takich lubię ich pamiętać.

Widzę, jak ona go obejmuje, mocno, w Bernborough.

Są chłopcem, dziewczyną i klamerką.

Widzę bieżnię i ten ogień za nimi.

## płonące łóżko

NA ARCHER STREET 18 czułem szczęście, ale powściągane przez smutek.

Clay pakował torbę.

Przez chwilę staliśmy razem na starej werandzie na tyłach, a Eos leżała na kanapie. Spała na zużyтым siedzisku pozbawionym wypełnienia, które rzuciliśmy na wierzch.

Achilles był pod suszarką na pranie.

Wygryzał sobie drogę do żałoby.

Staliśmy, aż niebo pobladło. Doskonali bracia, którzy nic nie mówili, ale wiedzieli, dokąd on idzie.

Widzicie, kiedy Clay powiedział nam, że trzeba zrobić jeszcze jedno i że Tommy ma wziąć terpentynę, ale zapalek nie musi, wszyscy wyszliśmy w milczeniu. Poszliśmy na Surrounds.

Staliśmy pośród domowych pomników:

Odległych i sponiewieranych.

Podeszliśmy do materaca i zostaliśmy z nim, i nie powiedzieliśmy ani słowa o grubej folii – nie, jedynie staliśmy, kiedy zapalniczka wyłoniła się z jego kieszeni. W drugiej wciąż trzymał klamerkę.

Staliśmy, aż Tommy zalał materac, a płomień był pionowy. Clay kucnął z zapalniczką, a łóżko z początku się opierało, ale wkrótce zapłonęło z rykiem. Ten dźwięk, dźwięk przyboju.

Pole się rozświetliło.

Nasza piątka stała.



Pięciu chłopców i płonący materac.

Kiedy wróciliśmy do środka, Surrounds pozostało.

Tego dnia nie było nawet śladu zachodniego wiatru.

Zamierzał pójść sam na dworzec główny.

Uścisnął każdego z nas ciepło i z osobna.

Po Tommym skończył ze mną – każdy z nas kazał mu w pewnym momencie zaczekać – a ja uniosłem klapę pianina i sięgnąłem przez sukienkę po guzik. Książki, jak widziałem, powinny zaczekać.

Uniósł go, guzik z Wiednia.

Znów była w szponach zdecydowania.

Leżał zużyty, ale nieskazitelny w jego dłoni.

Co się tyczy Tommy'ego, prawie dziesięć minut później reszta z nas stała na werandzie i odprowadzała Claya wzrokiem, a on zrobił coś absolutnie szalonego:

Powierzył Rory'emu Hektora.

– Masz – powiedział szybko – potrzyмай go.

Dla Rory'ego i Hektora był to wstrząs, któremu towarzyszyło sporo nieufności. Kiedy patrzyli na siebie uważnie, Tommy przebiegł przez dom i wkrótce wrócił, tym razem obszedł budynek dookoła.

Staliśmy i patrzyliśmy na Claya.

A Tommy biegł za nim.

– Clay! – zawołał. – Hej, Clay!

I oczywiście zabierał Achilleasa – a muł, co zadziwiające, biegł. Biegł! Słyszeliśmy tętent kopyt, kiedy chłopiec pędził go ulicą, a Clay odwrócił się im na spotkanie, spojrział na chłopca i zwierzę.

Nie było nawet chwili.

Ani sekundy wahania.

Tak właśnie miało być i jego ręka wyciągnęła się po wodze.

– Dzięki, Tommy.

Mówił cicho, ale usłyszeliśmy, a on odwrócił się, ruszył i zabrał go w chwili, gdy nad Archer Street wstał ranek – a my wszyscy poszliśmy do Tommy’ego. Patrzyliśmy, jak pozostawiają nas za sobą.

Tam, w świetle przedmieść, chłopiec prowadził muła ulicami. Wyruszyli w stronę mostu w Silver i zabrali ze sobą najciemniejsze wody.

część ósma

miasta + wody + zbrodniarze + łuki +  
opowieści + ocalali + mosty

+

OGIEN

## żartowniś w przedpokoju

NIEGDYŚ – w ostatnich kilku przypadkach przynajmniej PRAWIE tak napisałem – w odmętach przeszłości Dunbarów była kobieta, która powiedziała nam, że umrze, a świat skończył się tamtego wieczora w kuchni. Byli chłopcy na podłodze, płonęli, a następnego ranka wzeszło słońce.

Wszyscy obudziliśmy się wcześnie.

Nasze sny stały się jak lot, jak turbulencje.

O szóstej rano nawet Henry i Rory byli właściwie przytomni – a oni notorycznie mieli problemy ze wstawaniem.

Przyszedł marzec, pełen pozostałości po lecie, a my staliśmy razem w przedpokoju – chude ręce i zakotwiczone ramiona. Staliśmy, ale utknęliśmy. Zastanawialiśmy się, co robić.

Nasz tato wyszedł i próbował, położył każdemu rękę na karku.

Usiłował nas pocieszyć.

Problem polegał na tym, że kiedy wyszedł, widzieliśmy, jak chwyta za zasłony, a jedną rękę kładzie na pianinie. Trzymał się tak, a jego ciało drżało. Słońce było ciepłe i falujące, a my staliśmy cicho w przedpokoju, za nim.

Zapewnił, że nic mu nie jest.

Ale kiedy odwrócił się twarzą do nas, w jego niebieskozielonych oczach nie było życia.

Jeśli chodzi o nas:

Henry, Clay i ja mieliśmy na sobie koszulki bez rękawów i stare szorty.

Rory i Tommy jedynie bieliznę.

W tym się położyliśmy.

Wszyscy zacisnęliśmy zęby.

Przedpokój był pełen zmęczenia, chłopców nóg i goleni. Wszyscy przed ich pokojem – rozciągnięci w stronę kuchni.

Kiedy wyszła, miała ubranie do pracy, dzinsy i ciemnoniebieską bluzkę. Guziki były pęknięciami metalu. Włosy zaplotła w warkocz opadający na plecy, wyglądała, jakby zamierzała wybrać się na przejażdżkę albo coś w tym rodzaju. Przyglądaliśmy się ostrożnie – a Penelopa nie umiała się powstrzymać.

Była blond i z warkoczem, promienna.

– Co w was wstąpiło? – spytała. – Nikt nie umarł, prawda?

I to był koniec.

Roześmiała się, ale Tommy zaczął płakać, a ona kucnęła i przytuliła go – i wtedy przybyła reszta z nas, w koszulkach, szortach, i upadła.

– Za dużo? – spytała i wiedziała, że tak jest, kiedy została przygnieciona przez te wszystkie ciała.

Czuła uścisk chłopięcych ramion.

Nasz tato przyglądał się bezradnie.

## srebrny muł

BYŁA TAM.

Nasza matka.

Te wszystkie lata temu:

W przedpokoju o poranku.

A Clay był tu, po południu, we własnym przedpokoju lub też, jak sam wolał, w korytarzu.

Korytarzu bujnych eukaliptusów.

To Ennis McAndrew go tam zawiózł, w połączeniu ciężarówki z przyczepą do przewozu koni. Minęły co najmniej trzy miesiące od czasu, gdy Clay przyszedł stawić mu czoło.

Wspaniałą rzeczą było to, że McAndrew znów trenował, a kiedy zobaczył go z Achillesem na Hennessey, pokręcił głową i podszedł, i rzucił wszystko.

Powiedział:

– Popatrzcie tylko, co ten cholerny kot przyniósł.

Przez większość drogi jechali w milczeniu, a kiedy się odzywali, mówili na zewnątrz, do świata za przednią szybą.

Clay spytał go o Spaniarda.

I śpiewaka operowego, Pavarottiego.

– Pava-KOGO?

Jego kostki pobielały na kierownicy.

– Kiedyś nazwał pan tak Torowego Teda, kiedy spotkał go pan przy Gallery Road. Zabrał pan dwóch młodych dżokejów, żeby go zobaczyli, pamięta pan? Żeby na niego popatrzeli i nauczyli się jeździć. – Clay oderwał wzrok od przedniej szyby i wyjrzał przez okno. Te połączenie pustej przestrzeni. – Kiedyś opowiedziała mi tę historię.

– A, tak – rzucił McAndrew i jechał dalej w zamyśleniu. – Ci dżokeje byli skurkowanymi nieudacznikami.

– Skurkowanymi?

– Nieudacznikami.

Ale później wrócili znów do cierpienia.

Mieli poczucie winy, gdy cieszyli się czymkolwiek.

Szczególnie radością zapomnienia.

Kiedy dotarli do zjazdu, Clay powiedział, że dalej może pójść pieszo, ale Ennis nie chciał o tym słyszeć.

– Chcę poznać twojego ojca. Chcę zobaczyć ten most. Skoro już tu jestem... Za długo jechaliśmy, żebym tego nie zrobił.

Przejechali przez otwarte wzgórze, później skręcili w korytarz, a eukaliptusy były zawsze takie same. Zebrały się i czekały tam, jak muskularne uda w cieniu. Drużyna futbolowa drzew.

Kiedy McAndrew je zobaczył, zauważył.

– Jezu – powiedział – popatrz tylko na nie.

Po drugiej stronie, w świetle, zobaczyli go w korycie rzeki, a most pozostał ten sam. Przez kilka miesięcy, od kiedy padłem na kolana w ziemi, nic nie zostało zrobione:

Wyגיעie, drewno i kamień.

Fragmenty stały i czekały.

Wysiedli z ciężarówki.

Kiedy stanęli przy korycie i patrzyli, to Ennis odezwał się jako pierwszy.

– Kiedy zostanie ukończony, będzie wspaniały, prawda?

Clay był rzeczowy.

Odpowiedział jedynie:

– Tak.

Kiedy otworzyli przyczepę i wyprowadzili zwierzę, zeszli z nim do podłoża skalnego, a muł rozejrzał się posłusznie dookoła. Wpatrywał się w suchą rzekę. Clay zadał mu parę pytań.

– Co? – spytał zwierzę.

– Co jest w tym takiego niezwykłego?

Cóż, gdzie jest ta cholerna woda?

Ale Clay wiedział, że się pojawi, i w pewnym momencie miał się tego dowiedzieć też muł.

Tymczasem Ennis uścisnął rękę Michaela.

Rozmawiali oschle, jak przyjaciele, jak równi sobie.

McAndrew zacytował Henry'ego.

Wskazał na uzdy i siano.

Powiedział:

– Z tymi rzeczami możecie pewnie coś zrobić... ale zwierzę jest całkowicie bezużyteczne.

Michael Dunbar wiedział jednak, jak odpowiedzieć i niemal z roztargnieniem spojrzął na Claya i ucieleśnioną w mule rozumność.

Powiedział:

– Wie pan, nie byłbym taki pewien... dobrze sobie radzi z włamaniami.

I znów to poczucie winy i zażenowanie, a jeśli McAndrew i Clay wiedzieli, że powinni je stłumić, Morderca wiedział, że on też.



Przez jakiś czas przyglądali się mułowi – powolnemu i meandrującemu Achillesowi – który spokojnie wspiął się na brzeg rzeki i zaczął pracę w polu, pochylił się i przeżuwał.

McAndrew odezwał się bez namysłu, wskazał lekko, ale pewnie na chłopca.

– Panie Dunbar, niech pan go nie przemęcza, dobrze... – I tym razem w końcu to powiedział. – Ma serce wielkie jak cholerny Phar Lap.

Michael Dunbar się zgodził.

– Nie wie pan nawet połowy.

Dziesięć minut później, gdy kawa i herbata zostały zaproponowane i spotkały się z odmową, McAndrew ruszył w stronę domu. Znów uścisnął dłonie chłopca i jego ojca, i ruszył z powrotem między drzewami. Clay pobiegł za nim.

– Panie McAndrew!

Ciężarówka zatrzymała się w cieniu, a patykowaty trener wysiadł. Wyszedł z ciemności do światła. Odetchnął.

– Mów mi Ennis, na litość boską.

– Dobrze, Ennis. – Clay odwrócił wzrok. Gotowali się na słońcu, jak podpałka z chłopca i starego mężczyzny. Powiedział: – Pamiętasz... pamiętasz Carey... – samo wypowiedzenie jej imienia bolało – pamiętasz jej rower? – Ennis pokiwał głową i podszedł bliżej. – Znam kod do zamka, to trzydzieści pięć, dwadzieścia siedem.

Ennis od razu rozpoznał kod.

Te liczby, ten koń.

Wrócił do ciężarówki w cieniu.

– Powiem Tedowi, powiem Catherine, dobrze? Ale wątpię, by go zabrali. Będzie twój, kiedy wrócisz i go odepniesz.

I tak odjechał:

Znów wsiadł do ciężarówki.

Uniósł na chwilę patykowatą rękę.

Pomachał przez okno do chłopca, a chłopiec powoli odszedł.

## zanim pierwsze promienie uderzyły w dom

DALI JEJ SZEŚĆ MIESIĘCY – i może tyle byłoby lepsze. Z pewnością bolałoby mniej, a przynajmniej krócej niż jej epicka hartnellowska robota, śmierci, ale nigdy umierania.

Były wszystkie obrzydliwe szczegóły.

Nie zwracałem na nie większej uwagi:

Leki w ostatecznym rozliczeniu wszystkie brzmiały tak samo – indeks wariacji. Kiedy patrzy się, jak ktoś umiera, pewnie przypomina to naukę obcego języka – całkiem nowy rodzaj treningu. Buduje się wieże z pudełek leków na receptę, odlicza tabletki i trujące płyny. Później minuty i godziny na oddziałach szpitalnych i jak długa jest najdłuższa noc.

Dla Penelopy w większości złożyło się to w język, tak myślę.

Była śmierć i jej własne narzecze:

Jej pigułki nazywały się Sklepem Aptekarza.

Każdy lek był „oksymoronem”.

Po raz pierwszy powiedziała to w kuchni, przyglądała im się niemal z zadowoleniem, tym wszystkim pudełkom oblepionym naklejkami. Czytała na głos nazwy, od Cyclotassiny poprzez Exentium do Dystrepsii 409.

– Hej – powiedziała i rozłożyła opakowania, jej pierwsza próba ogarnięcia aptecznego stosu. Zupełnie jakby została oszukana (i bądźmy szczerzy, tak było). – Wszystkie brzmią tak samo.

Znalazła doskonałą nazwę na nie wszystkie, bo rzeczywiście brzmiały jak anagramy, jak „oksy” połączone z „moron”<sup>[\*]</sup>. Z dodatkiem

elementu absurdu, kretynizmu walki, zabijania się, by przeżyć. Naprawdę powinny towarzyszyć im ostrzeżenia, jak na paczkach papierosów. „Jeśli to weźmiesz, będziesz powoli umierać”.

Choć nie miało to sensu, nastąpiła jeszcze jedna operacja ze smakiem podgrzanego szpitala.

Zrozumcie, nie pozwólcie, żeby was oszukano, gdy ludzie mówią o zapachu szpitala. Nadchodzi moment, kiedy sięga się dalej, kiedy czuje się go na swoich ubraniach. Wiele tygodni później, po powrocie do domu, coś go po prostu przypomina.

Raz, jednego ranka, przy stole, Rory dostał gęziej skórki. Kiedy włoski podniosły się na jego ramionach i opadły, Penelopa wskazała na niego.

– Wiesz, co to jest? – spytała. Wpatrywała się w miskę płatków kukurydzianych, próba ich zjedzenia była dla niej wyzwaniem. – To znaczy, że lekarz właśnie przewrócił się z boku na bok we śnie.

– Albo co gorsza – powiedział tato – anestezjolog.

– Aha. – Rory, jakże skwapliwie, sięgnął po śniadanie naszej matki.  
– TYCH paskudnych skurczybyków nienawidzę najbardziej!

– Hej, zjadasz moje cholerne płatki, dzieciaku.

Popchnęła miskę w jego stronę i mrugnęła do niego.

Później znów nadeszły fale terapii, pierwsze były szalone i przypominały bicz, jak ciało, które upadło podczas zamieszek. Następnie powoli, bardziej profesjonalne – niedbały rozpad.

W swoim czasie nadeszły jak terroryzm.

Zaplanowany chaos.

Nasza matka płonąca, upadająca.

Ludzki jedenasty września.

Albo kobieta staje się krajem i widzicie, jak opuszcza samą siebie. Jak zimy dawnego bloku wschodniego, zagrożenia nadchodziły coraz szybciej.

Czyraki wznosiły się jak pola bitwy.

Prowadziły blitzkrieg na jej plecach.

Leki rozwaliły jej wewnętrzny termostat – paliły ją, a później zamrażały, paraliżowały, a kiedy wstawała z łóżka, padała – jej włosy jak gniazdo na poduszce albo pióra na trawniku, pozostawione przez kota.

Penny uznała to za zdradę. Mówiły to jej zielone oczy, a najgorsze było czyste ROZCZAROWANIE. Jak świat i własne ciało mogły ją tak zawieść?

Podobnie jak w *Odysei* i *Iliadzie*, gdzie bogowie wtrącali się, aż coś zaczynało sunąć w stronę katastrofy – tak było i TUTAJ. Próbowwała znów się zebrać, przypominać samą siebie i czasami nawet w to wierzyła. Wkrótce byliśmy co najwyżej zblazowani:

Głupie światła oddziałów szpitalnych.

Dusze ślicznych pielęgniarek.

Jak nienawidziłem sposobu, w jaki chodziły:

Okryte pończochami nogi oddziałowych!

Ale czasem pielęgniarki trzeba było podziwiać – jakże nie znosiliśmy kochać tych wyjątkowych. Nawet teraz, kiedy wystukuję na klawiszach przeszłe wydarzenia, jestem wdzięczny im wszystkim – za unoszenie matki na poduszkach, jakby była krucha. Za trzymanie jej za rękę i to, jak mówiły do niej, w obliczu całej naszej nienawiści. Ogrzewały ją, gasiły pożary, i podobnie jak my, żyły i czekały.

Pewnego ranka, kiedy obciążenie było już bliskie granicy wytrzymałości, Rory ukradł stetoskop – pewnie chciał coś odebrać – gdy nasza matka stała się oszustką. W tym czasie jej ciało nabrało

odcienia żółtaczki i już nigdy nie odzyskała swojego koloru. Wtedy widzieliśmy już różnicę między żółcią a blondem.

Trzymała się naszych przedramion albo ciała dłoni i nadgarstków. Ponownie, nauka – jak łatwo policzyć knykcie i kostki obu jej dłoni. Wyglądała przez okno, na świat tak jasny i beztroski.

To również widowisko, jak zmienia się ojciec.

Patrzy się, jak składa się w różnych miejscach.

Widzi się, jak śpi w inny sposób:

Pochyla się do przodu nad szpitalnym łóżkiem.

Nabiera powietrza, ale nie oddycha nim.

Powstaje ciśnienie w jego wnętrzu.

Jest zmęczony i przydeptany z wyglądu, jego ubrania wzdychają w szwach. Podobnie jak Penny nigdy nie miała odzyskać blondu, tak nasz ojciec stracił sylwetkę. Umierały ich kolory i kształty. Kiedy patrzy się na umieranie człowieka, widzi się nie tylko JEGO śmierć.

Ale później – wydostawała się.

Jakimś sposobem wygrzebywaliśmy się z tego wszystkiego i przekraczaliśmy drzwi szpitala. Wracała od razu do pracy, oczywiście, choć za plecami miała śmierć.

Staruszka nie wisiała już na liniach energetycznych.

Ani nie przytulała się do lodówki.

Ale zawsze gdzieś tam była:

W pociągu albo w autobusie, albo na ścieżce.

W drodze powrotnej z domu tutaj.

W listopadzie była cudem.

Osiem miesięcy, a ona wciąż żyła.

Kolejne dwa tygodnie w szpitalu, a lekarze unikali deklaracji, ale czasem przystawali i mówili nam:

– Nie mam pojęcia, jak ona to zrobiła. Nigdy nie widziałem nic tak...

– Jeśli powie pan „agresywnego” – zaczął nasz tato i spokojnie wskazał na Rory’ego. – Zamierzam... widzi pan tego dzieciaka?

– Tak.

– Cóż, powiem mu, żeby pana pobił.

– Przepraszam, CO?

Lekarz był dość zaniepokojony, a Rory nagle się obudził – to zdanie było lepsze od soli trzeźwiących.

– Naprawdę? – Prawie zacierał ręce. – Mogę?

– Oczywiście, że nie, żartowałem.

Ale Rory próbował to sprzedać.

– Niech pan da spokój, doktorku, po jakimś czasie nic już pan nie będzie czuł.

– Wy naprawdę oszaleliście – powiedział ten lekarz.

Po jego lewej rozległ się śmiech Penny.

Zaśmiała się, a później stłumiła ból.

– Może to – powiedziała do doktora – sprawiło, że mi się udało.

Była szczęśliwo-smutną istotą wśród koców.

Przy tej okazji, kiedy wróciła do domu, ozdobiliśmy go w całości.

Serpentyny, baloniki, Tommy przygotował napis.

– Źle napisałeś „powrót” – powiedział Henry.

– Co?

– Pisz się przez ó kreskowane.

Penelopie to nie przeszkadzało.

Nasz ojciec wyniósł ją z samochodu i po raz pierwszy mu pozwoliła – a następnego ranka to usłyszeliśmy, zanim pierwsze promienie uderzyły w dom:

Penny grała na pianinie.

Grała przez wschód słońca, grała przez nasze kłótnie. Grała przez śniadanie i długo po nim, a nikt z nas nie znał muzyki. Może to było bezużyteczne założenie, że kiedy grała, nie umierała – bo wiedzieliśmy, że śmierć wkrótce wróci, przeskoczywszy z drutu na drut.

Nie było sensu zaciągać zasłon ani zamykać drzwi na klucz.

Była tu, tam, czekała.

Mieszkała na naszej werandzie.

---

[\*] Moron (ang.) kretyn (przyp. tłum.).



## pakt z diabłem

KIEDY CLAY WRÓCIŁ od McAndrew, nasz ojciec stał z Achillesem.

Spytał Claya, czy wszystko w porządku.

Powiedział mu, że naprawdę za nim tęsknił.

– Nie budowałeś, kiedy mnie nie było?

– Nie. – Pogłaskał muła, ale ostrożnie. – Tysiące ludzi mogłyby pracować nad tym mostem i świat przybyłby, by go zobaczyć... ale wszyscy wiedzieliby, do kogo należał. – Podał mu wodze zwierzęcia. – Jesteś jedynym, który może go ukończyć.

Przez długi czas Clay stał na zewnątrz.

Patrzył, jak Achilles je.

Wkrótce miał nadejść wieczór.

Przytłaczała go jedna myśl i z początku nie wiedział dlaczego.

Chyba chciał po prostu z nim porozmawiać.

Chodziło o legendę Pont du Gard:

*Kiedyś we Francji, która nie była jeszcze nawet Francją – działo się to w czasach starożytnych – była sobie rzeka, która okazała się niepokonana. Dziś ta rzeka nosi nazwę Gard.*

*Przez stulecia ludzie, którzy tam mieszkali, nie mogli ukończyć mostu, a jeśli to zrobili, rzeka go niszczyła.*

*Pewnego dnia do miasteczka wkroczył diabeł i złożył wieśniakom propozycję. Powiedział:*

*– Bez trudu zbuduję dla was most! Zbuduję go w jedną noc!*

*A wieśniacy prawie się rozplakali.*

*– Ale! – Diabeł nie posiadał się z radości. – Pierwszy, który następnego dnia przejdzie po moście, będzie należał do mnie, a ja zrobię z nim, co zechcę.*

*W wiosce zorganizowano zgromadzenie.*

*Omówili sprawę i w końcu doszli do porozumienia.*

*Przyjęli ofertę diabła i patrzyli w absolutnym uniesieniu, w nocy, gdy wyrwał głazy ze szczytów gór i wszystko inne, na co natrafił. Rzucił odłamki i żonglował nimi, tworzył łuki parami i trójkami. Stworzył most i akwedukt, a o poranku czekał na zapłatę.*

*Dotrzymał swojej części umowy, wypełnił ją.*

*Ale wieśniakom udało się go przechytrzyć – na krańcu mostu wypuścili zająca, jako pierwszego, który miał przebyć rzekę – a diabeł był wściekły:*

*Złapał zająca i zmiażdżył go.*

*Rzucił nim o łuk, a jego zarys wciąż tam jest.*

Clay stał na polu przy Achillesie i rzece z Michaeliem Dunbarem, przyglądał się i odezwał do niego.

– Tato?

Niemal wszystkie owady milczały.

Zawsze widywali tam owe krwawe zachody słońca, ale dla Achillesa ten był pierwszy. Muł jednak oczywiście go zignorował i nie przerywał tego, do czego się urodził – bo to pole stworzono do zjedzenia.

Ale Michael podszedł bliżej i czekał.

Nie był pewien jeszcze, jak zbliżyć się do Claya, bo chłopiec widział tak wiele – i wtedy zdarzyło się coś dziwnego:

– Pamiętasz, jak pytałeś, czy ją znam? Legendę o Pont du Gard?

Michael przerwał w połowie odpowiedzi.

– Oczywiście, ale...

– Ja bym tego nie zrobił.

– Nie zrobiłbyś... czego?

Achilles teraz też słuchał, podniósł wzrok znad trawy.

– Nie umówiłbym się... na wybudowanie mostu w ciągu jednej nocy.

Było już ciemno, porządnie ciemno, a Clay mówił dalej.

– Ale wymieniłbym się za NIE. – Zacisnął wargi i znów je otworzył. – Poszedłbym do piekła, żeby tylko mogły znów żyć, moglibyśmy pójść obaj, ty mógłbyś pójść ze mną, jeden z nas za jedną z nich. Wiem, że nie są w piekle, wiem, wiem, ale... – Zatrzymał się i zgiął wpół, znów się odezwał. – Tato, musisz mi pomóc.

Ciemność przecięła go na pół. Umarłby, by przywrócić je do życia. Penelopę, pomyślał, i Carey. A był im winien przynajmniej tyle.

– Musimy sprawić, by był doskonały – powiedział. – Musimy sprawić, by był wielki.

Odwrócił się twarzą do koryta rzeki.

Cud, nic mniej.

siedem piw penny dunbar

JAKOŚ ZSZYWAŁA RAZEM DNI.

Tworzyła z nich tygodnie.

Czasami mogliśmy jedynie się zastanawiać:

Zawarła pakt ze śmiercią?

Jeśli nie, było to oszustwo stulecia – śmierć, która nie chciała się trzymać.

Najlepiej było, kiedy minął rok.

Miesiące doszły do szczęśliwej trzynastki.

Penny Dunbar nie była w szpitalu i przy tej okazji powiedziała, że chce jej się pić. Powiedziała, że ma ochotę na piwo. Pomogliśmy jej wyjść na werandę, kiedy usłyszeliśmy, że mamy sobie nie robić kłopotu. Zwykle nie piła alkoholu.

Michael trzymał ją za ramiona.

Spojrzał na nią i spytał.

– O co chodzi? Musisz odpocząć?

Kobieta odpowiedziała natychmiast, z naciskiem.

– Chodźmy do Naked Arms.

Noc zapadła nad ulicą, a Michael przyciągnął ją bliżej.

– Przepraszam? Co mówiłaś?

– Powiedziałam, żebyśmy poszli do pubu.

Miała na sobie sukienkę, którą kupiliśmy dla dwunastolatki, dziewczynki, która nigdy nie istniała.

Uśmiechała się w ciemności Archer.

Przez bardzo długą chwilę jej blask rozświetlał ulicę. Wiem, że brzmi to dość dziwnie, ale tak to opisał Clay. Powiedział, że była wtedy taka blada, a jej skóra cienka jak papier. Jej oczy żółkły coraz bardziej.

Jej zęby zmieniły się w stary szkielet konstrukcyjny.

Jej ramiona były ściśnięte w łokciach.

Jej usta były wyjątkiem – a przynajmniej ich zarys.

Szczególnie w takich chwilach.

– No chodź – powiedziała, pociągnęła go. Popękane i przesuszone, ale żywe. – Chodźmy na drinka... w końcu jesteś Mikey Dunbar!

My, chłopcy, natychmiast musieliśmy dokazywać.

– Tak, chodź, Mikey, hej, Mikey!

– Ej – powiedział. – Mikey wciąż może was zmusić do posprzątania domu i skoszenia trawnika. – Został przy werandzie, ale zrozumiał, że odwołanie się do rozsądku było bezcelowe, bo ona ruszyła ścieżką. Mimo to musiał spróbować. – Penny... PENNY!

I to chyba jedna z tych chwil, wicie?

Widać było, jak mocno ją kochał.

Jego serce zostało unicestwione, ale znalazł wolę, by je poruszyć.

Był zmęczony, tak bardzo zmęczony, w świetle na werandzie.

Mężczyzna z kawałków i fragmentów.

Co się tyczy nas, byliśmy chłopcami, powinni zrobić o nas sitcom.

Byliśmy młodzi, głupi i niecierpliwi.

Nawet ja, w przyszłości ten odpowiedzialny, odwróciłem się, kiedy ruszył w naszą stronę.

– Nie wiem, tato. Może ona po prostu musi.

– Może NIC...

Ale przerwała mu.

Pusta, zakażona ręka.

Jej dłoń wyciągnięta jak ptasia łapa.

– Michaelu – powiedziała. – Proszę. Jeden drink nas nie zabije.

A Mikey Dunbar złagodniał.

Przeczesał palcami falujące włosy.

Jak chłopiec ucałował ją w policzek.

– W porządku – powiedział.

– Dobrze – powiedziała.

– W porządku – powtórzył.

– Już to mówiłeś. – I uścisnęła go. Szepnęła: – Kocham cię, czy kiedyś ci to mówiłam?

A on zanurkował prosto w nią.

Małe czarne morze jej warg.

Kiedy poprowadził ją w stronę samochodu, jego ubranie wydawało się wilgotne i ciemne, a ona znów się nie cofnęła.

– Nie – powiedziała – idziemy pieszo. – A jego uderzyła wyraźna myśl. Cholerne umieranie tej kobiety... i upewnianie się, że zabierze mnie ze sobą. – Dziś wieczorem pójdziemy razem.

Gromadą pięciu chłopców wraz z matką przekroczyliśmy przestwór drogi. Pamiętam nasze szorty i koszulki, pamiętam jej dziewczęce nogi. Była ciemność, później latarnie uliczne i wciąż ciepłe jesienne powietrze. Powoli w mojej głowie tworzy się obraz, ale zaraz się kończy:

Nasz ojciec pozostał na trawniku.

Częściowo legł w gruzach, a reszta z nas odwróciła się, żeby popatrzeć. Wyglądał tak cholernie samotnie.

– Tato?

– Chodź, tato!

Ale nasz ojciec usiadł z głową w dłoniach i oczywiście mógł to być tylko Clay:

Wrócił na nasz trawnik przy Archer Street i podszedł do tego cienia taty. Wkrótce stał obok niego, a później powoli opadł i przykucnął – a w chwili, kiedy pomyślałem, że zostanie z nim, znów się podniósł, był za nim. Położył ręce w tej okolicy, którą ma każdy mężczyzna na świecie:

Ekosystem każdej z pach.

Pociągnął naszego ojca do góry.

Wstali, zakołysali się i wyprostowali.

Kiedy szliśmy, szliśmy w tempie Penelopy, tak bladej w każdym ruchu. Dotarliśmy, za kilka kolejnych rogów, na Gloaming Road, gdzie rozsiadł się pub, spokojny i błyszczący. Płytki były kremowe i bordowe.

W środku, kiedy reszta z nas szukała wolnego stołka, ojciec podszedł bo baru. Powiedział:

– Dwa piwa i pięć napojów imbirowych.

Ale Penny stanęła za nim, sam pot i wystające kości.

Położyła dłonie na podkładce.

Zaczerpnęła głęboko, przez jałowe płuca.

Wydawało się, że sięga w dół, szukając czegoś, co zna i kocha.

– A może – przywołała pytanie, kawałek po kawałku – niech będzie siedem piw?

Był młodym barmanem i już sięgał po napoje gazowane. Na identyfikatorze miał imię „Scott”. Wołali na niego Scotty Bills.

– Przepraszam?

– Powiedziałam. – Spojrzała mu prosto w twarz. Zaczynał tracić włosy, ale nosa mu nie brakowało. – Niech będzie siedem piw.

Wtedy właśnie podszedł Ian Bills, puls Naked Arms.

– Wszystko w porządku, Scotty?

– Ta pani – powiedział Scotty Bills – zamówiła siedem piw. – Jego dłoń w grzywce jak ekipa poszukiwawcza. – Tamci chłopcy...

A Ian Bils – on nawet nie spojrzał.

Wpatrywał się w ciągle zmienną kobietę, która opierała się o bar.

– Może być Tooheys Light?

Penny Dunbar spotkała się z nim w połowie drogi.

– Doskonale.

Stary właściciel poważnie pokiwał głową.

Miał czapkę z galopującym mustangiem.

– Niech będą na koszt firmy.

Są zwycięstwa i zwycięstwa, tak sędzę, a to nie przyszło łatwo. Myśleliśmy, że tej nocy może odejść, kiedy w końcu dostarczyliśmy ją do domu.

Następnego dnia wszyscy z nią zostaliśmy.

Patrzyliśmy na nią i sprawdzaliśmy oddech:

Jej nagie ramiona i Naked Arms.

Śmierdziała piwem i chorobą.

Wieczorem pisałem usprawiedliwienia.

Najlepiej, jak umiałem, naśladowałem bazgroły taty:

*Jak Pani wie, moja żona jest poważnie chora...*

Ale powinienem napisać tak:

„Szanowna Pani Cooper,

proszę usprawiedliwić Tommy’emu wczorajszą nieobecność. Myślał, że jego mama może umrzeć, ale tak się nie stało, a jeśli mam być szczerzy, miał po prostu lekkiego kaca...”.

Co formalnie rzecz biorąc, nie było prawdą.



Jako najstarszy, jako jedyny wypilem swoje piwo do końca i był to niezły wysiłek, mówię wam. Rory i Henry wypili po połowie. Clay i Tommy poradzili sobie z pianą – a mimo wszystko nic z tego nie miało znaczenia, ani trochę, bo patrzyliśmy, jak Penny Dunbar uśmiecha się do siebie – biała dziewczęca sukienka i kości. Myślała, że może zrobi z nas mężczyzn, ale każda sobie rzepkę skrobie.

Błędna Dziewczyna nie popełniła błędu.

Została, aż skończyła je wszystkie.

## wycieczka piesza po featherton

KIEDY ZNÓW POROZMAWIALI o Pont du Gard, była to zapowiedź początku końca.

Poszli i znów zaczęli pracę.

Pracowali, a Clay nie chciał przestać.

I tak Michael Dunbar odliczył sto dwadzieścia kolejnych dni, kiedy Clay pracował na moście, bardzo mało spał, bardzo mało jadł – był tylko chłopcem, który obsługiwał bloczek i dźwigał kamienie, których nie miał prawa unieść.

– Tam – mówił do ojca. – Nie, nie tam, TAM.

Przerywał jedynie, żeby przez chwilę postać z mułem – Clay i wierny Achilles.

Często spał na ziemi.

Przykrywały go koce i krążyny.

Jego włosy przylepiły się do głowy.

Spytał, czy Michael mógłby je obciąć.

Spadały kępkami do jego stóp.

Zrobili to przy moście, w górującym cieniu łuków.

Podziękował i wrócił do pracy.

Kiedy Michael wyjeżdżał do kopalni, kazał Clayowi obiecać, że będzie jadł.

Nawet dzwonił do nas tutaj, żeby się upewnić, że zadzwonimy i sprawdzimy, jak się czuł, a ja robiłem to z religijną wręcz gorliwością.

Dzwoniłem trzy razy w tygodniu i odliczałem dwadzieścia cztery sygnały – długość biegu do domu.

Mówił jedynie o moście i budowaniu go.

Nie powinniśmy przyjeżdżać, mówił, dopóki nie skończył.

Pewnie jedną z najlepszych rzeczy, jakie kiedykolwiek zrobił Michael, było zmuszenie go do zrobienia sobie przerwy.

Weekend.

Cały weekend.

Clay, oczywiście, nie chciał się zgodzić. Powiedział, że idzie do szopy, potrzebował znów tej męczeńskiej łopaty.

– Nie.

Morderca, nasz tato, był stanowczy.

– Dlaczego nie?

– Jedziesz ze mną.

Nie było zaskoczeniem, że Clay przespał całą drogę do Featherton w samochodzie. Obudził go, kiedy zaparkował na Miller Street.

Clay przetarł oczy i zapalił się.

– To tu je pochowałeś?

Michael pokiwał głową i podał mu kubek z kawą.

Okolica zaczęła wirować.

W ciasnym wnętrzu samochodu, kiedy Clay pił, nasz ojciec wyjaśniał łagodnym głosem. Nie wiedział, czy nadal tu mieszkali, ale dom kupiła para o nazwisku Merchison, choć wydawało się, że nikogo nie ma w domu – poza tą trójką na tyłach.

Przez długi czas ich kusiło – przejść przez wypalony trawnik – ale wkrótce ruszyli dalej i zaparkowali w pobliżu banku. Przeszli przez stare miasteczko i jego ulicami.

Powiedział:

– Ten pub tutaj to miejsce, gdzie rzucałem do góry cegły... rzucałem cegły do góry do innego gościa, który rzucał je do góry...

A Clay powiedział:

– Abbey tu była.

„Ej, Dunbar, ty fujaro! Gdzie są moje cholerne cegły?!”

Michael Dunbar powiedział po prostu:

– Poezja.

Później chodzili do zmroku, aż wyszli na szosę, a Clay widział początek rzeczy, jak Abbey jedzącą loda na patyku, i ojca, i psa imieniem Luna.

W miasteczku zobaczył gabinet lekarski:

Niesławny topór doktora Weinraucha.

Później kobieta, miejscowy bokser, która waliła w biurze w klawisze.

– Wygląda trochę inaczej, niż się spodziewałem – powiedział – ale pewnie zawsze tak jest.

– Nigdy nie wyobrażamy sobie niczego doskonale – odparł Michael – ale zawsze odrobinę na prawo albo na lewo... Nawet ja, a ja tu mieszkałem.

Kiedy zapadła noc, pod koniec, zwlekali.

Musieli podjąć decyzję.

– Chcesz tam pójść i ją wydobyć? – spytał Michael. – Chcesz pójść i wykopać maszynę do pisania? Jestem pewien, że ci ludzie nie będą mieli nic przeciwko.

Ale teraz to Clay podjął decyzję. To Clay był zdecydowany i stanowczy. Myślę, że właśnie wtedy sobie uświadomił:

Po pierwsze, ta historia jeszcze się nie skończyła.

A nawet wtedy to nie byłby on.

Opowieść była jego, ale nie pisanie.

Wystarczająco trudne było życie i bycie nią.

## handlarze i oszuści

SIEDEM PIW było kolejnym początkiem:

Oś czasu śmierci i wydarzeń.

Z perspektywy czasu widzę, jak niegrzeczni byliśmy, a sama Penny – czysta bezczelność.

My, chłopcy, walczyliśmy i kłóciliśmy się.

Bolało nas tak wiele umierania.

Ale czasami próbowaliśmy je przegonić albo śmiać się i pluć w jego stronę – przez cały czas zachowując dystans.

W najlepszym przypadku przeszkadzaliśmy.

Biorąc pod uwagę, że śmierć jednak po nią przyszła, mogliśmy przynajmniej utrudniać jej wygraną.

Zimą tamtego roku podjąłem wakacyjną pracę w miejscowej firmie zajmującej się układaniem podłóg i wykładzin. Zaproponowali mi pracę na pełen etat.

W szkole, w wieku lat szesnastu, byłem równocześnie dobry i niedobry z różnych przedmiotów, a najbardziej lubiłem angielski. Pisanie mi się podobało, uwielbiałem czytać. Kiedyś nasza nauczycielka wspomniała o Homerze, a reszta robiła sobie żarty i się śmiała. Cytowali lubianą postać z lubianej amerykańskiej kreskówki, a ja się nie odzywałem. Tamtego dnia żartowali sobie z nazwiska nauczycielki, a ja pod koniec lekcji powiedziałem jej:

– Moim ulubieńcem był zawsze Odyseusz.

Pani Simpson była nieco zmieszana.

Podobały mi się jej zwariowane loczki i chude, poplamione tuszem ręce.

– Znasz Odyseusza i nie wspomniałeś o tym?

Byłem zawstydzony, ale nie umiałem tego powstrzymać.

Powiedziałem:

– Odyseusz przemyślny, Agamemnon król mężów i – szybko, na jednym oddechu – Achilles szybkonogi...

Widziałem, jak ona myśli „Cholera!”.

Kiedy odszedłem ze szkoły, nie prosiłem ich o pozwolenie:

Powiedziałem matce na łóżu boleści, a Michaelowi Dunbarowi w kuchni. Oboje stwierdzili, że powinienem zostać, ale ja podjąłem już decyzję. Skoro mowa o przemyślności, rachunki spływały szeroką rzeką – rzucanie wyzwania śmierci nigdy nie było tanie – ale mimo wszystko nie dlatego to zrobiłem. Nie, po prostu uważałem to za właściwe, tyle mogę powiedzieć, a nawet kiedy Penny popatrzyła na mnie i powiedziała, żebym usiadł obok niej, czułem się całkowicie pewien i usprawiedliwiony.

Z trudem dźwignęła rękę.

Podniosła ją do mojej twarzy.

Czułem, że jest jak gorący blaszany dach, kiedy płonęła w pościeli – był to znów jeden z tych „oksymoronów”, gotował ją od środka.

Powiedziała:

– Obiecuj mi, że nie przestaniesz czytać. – Przełknęła ślinę, jak ciężka maszyna. – Obiecuj mi, obiecuj, dobrze, dzieciaku?

– Oczywiście – powiedziałem i szkoda, że jej nie widzieliście.

Stała w ogniu, obok mnie, na łóżku.

Jej papierowa twarz była rozświetlona.

Jeśli chodzi o Michaela Dunbara, w kuchni, nasz tato zrobił coś dziwnego.

Popatrzył na rachunki, a później na mnie.

Potem wyszedł na zewnątrz z kubkiem kawy i rzucił nim w stronę płotu – ale jakimś sposobem zrobił to pod złym kątem i kubek wylądował na trawniku.

Po minucie poszedł po niego, a kubek pozostał nietknięty.

Od tego momentu drzwi zostały szeroko otwarte, a śmierć nadchodziła zewsząd. Rabowała wszystko, co do niej należało.

Ale ona mimo wszystko nie chciała na to pozwolić.

Jeden z najlepszych wieczorów był w lutym (w sumie prawie dwadzieścia cztery miesiące), kiedy w kuchni pojawił się głos. Było gorąco i bardzo parno. Nawet naczynia na suszarce się pociły, co oznaczało doskonały wieczór na Monopoly. Rodzice siedzieli w salonie i oglądali telewizję.

Ja byłem cylindrem, Henry samochodem, Tommy pieskiem, Clay naparstkiem. Rory, jak zawsze, był żelazkiem (jedyna okazja, kiedy z niego korzystał), wygrywał i ciągle to podkreślał.

Rory wiedział, że nienawidzę oszustów, a chwalił się bardziej niż czegokolwiek – więc robił OBIE te rzeczy, daleko na przedzie, mierzwił nam włosy za każdym razem, kiedy musieliśmy mu zapłacić... aż po paru godzinach się zaczęło.

– Ej.

To ja.

– Co?

To Rory.

– Wyrzuciłeś dziewięć, ale przesunąłeś się o dziesięć.

Henry zatarł ręce – zapowiadało się wspaniale.

– DZIESIĘĆ? O czym ty, do diabła, mówisz?



– Popatrz. Byłeś tam, prawda? Leicester Square. Więc zabieraj swój żelazkowy tyłek o jedno pole do tyłu na moją kolej i dawaj dwadzieścia pięć.

Rory był pełen niedowierzania.

– Było dziesięć, wyrzuciłem DZIESIĘĆ!

– Jeśli się nie cofniesz, zabieram żelazko i wyrzucam cię z gry.

– WYRZUCASZ mnie?

Pociliśmy się jak handlarze i oszuści, a Rory dla odmiany zaatakował sam siebie – dłoń w drutach jego włosów. Jego dłonie były już takie twarde. Te oczy stały się jeszcze twardsze.

Uśmiechnął się teraz, jak niebezpieczeństwo, w moją stronę.

– Żartujesz – powiedział – jaja sobie robisz.

Ale ja musiałem doprowadzić to do końca.

– Czy wyglądam, jakbym żartował, Rory?

– To jakieś bzdury.

– Dobra, to koniec.

Sięgnąłem po żelazko, ale Rory zdążył już położyć na nim swoje zatłuszczone, spocone palce, i walczyliśmy o nie – nie, SZCZYPALIŚMY się o nie, aż z salonu dobiegł nas kaszel.

Przerwaliśmy.

Rory puścił.

Henry poszedł sprawdzić, a kiedy wrócił i skinął głową na znak, że w porządku, powiedział:

– Dobra, gdzie właściwie byliśmy?

Tommy:

– Żelazko.

Henry:

– Ach tak... doskonale, gdzie ono jest?

Miałem kamienną twarz.

– Nie ma go.

Rory gorączkowo rozglądał się po planszy.

– GDZIE?

Z jeszcze bardziej kamienną miną.

– Zjadłem je.

– Nie ma mowy. – Niedowierzenie. Krzyknął: – Chyba sobie żartujesz!

Zaczął wstawać, ale Clay, w rogu, uciszył go.

– Zrobił to. Widziałem.

Henry był podekscytowany.

– Co? NAPRAWDĘ?

Clay pokiwał głową.

– Jak tabletkę od bólu głowy.

– Że co? W dół przez klapę?

Wybuchnął głośnym śmiechem – blond w biało-blond kuchni – a Rory odwrócił się szybko w jego stronę.

– Na twoim miejscu bym się zamknął, Henry!

Zatrzymał się na chwilę, po czym poszedł za dom i wrócił z zardzewiałym gwoździem. Położył go na właściwym polu, zapłacił i popatrzył na mnie ze złością.

– Masz, ty wredny skurczybyku. Spróbuj połknąć TO.

Ale oczywiście nie musiałem – bo kiedy gra znów się zaczęła i Tommy rzucił kostką, usłyszeliśmy głos z sąsiedniego pokoju. Była to Penny, na wpół martwa, na wpół żywa.

– Hej, Rory?

Cisza.

Wszyscy przerwaliśmy.

– Tak?

I, z perspektywy czasu, kocham sposób, w jaki odkrzyknął – jak wstał i był gotów pójść do niej, zanieść ją albo umrzeć dla niej, gdyby musiał, jak Grecy wezwani do bitwy.

A reszta z nas siedziała, nieruchomi jak rzeźby.

Zostaliśmy uciszeni i pozostawaliśmy czujni.

Boże, ta kuchnia i jej upał, i naczynia, które wyglądały na zdenerwowane. Głos zatoczył się do przodu, był na planszy między nami.

– Sprawdź jego koszulę... – Poczuliśmy jej uśmiech. – Lewa kieszeń.

A ja musiałem mu pozwolić. Pozwoliłem, by wyciągnął rękę i włożył ją do środka.

– Kurwa, powinienem jeszcze zmiążdżyć ci sutki, skoro już przy tym jesteśmy, skurczybyku.

Ale wkrótce je znalazł.

Wsunął rękę, wyciągnął żelazko, pokręcił głową i pocałował je – twarde wargi na srebrnym pionku.

Później wziął je i stanął w drzwiach, i był Rorym, przez chwilę młodym i niezahartowanym, metal w jednej chwili zmiękł. Uśmiechnął się i wykrzyczał swoją niewinność, jego głos uniósł się do sufitu.

– Matthew znów cholernie oszukuje, Penny!

Dom wokół nas się trząsał, a Rory trząsał się z nim – ale wkrótce wrócił do stołu, umieścił żelazko na mojej kolei i posłał mi spojrzenie, które spadło na mnie, później na Tommy’ego, Henry’ego i Claya.

Był chłopcem o oczach ze złomu.

Ani trochę nie przejmował się niczym, zupełnie.

Ale to spojrzenie, tak przerażone, tak zdesperowane, i słowa chłopca w kawałkach.

– Co my bez niej zrobimy, Matthew? Do diabła, co my mamy zrobić?

## futbol w korycie rzeki

ZROBILIŚMY TO na początku grudnia.

Po prostu wszyscy wsiedliśmy do mojego samochodu.

Clay mógł mówić, co chciał, o czekaniu, aż skończy. My wszyscy mieliśmy już dosyć, ja wyjąłem narzędzia i ciuchy robocze, sięgnęliśmy i wyprostowaliśmy fotele. Eos też z nami pojechała. Tommy próbował zabrać również Hektora, ale powiedzieliśmy mu, żeby nie przeciągał struny – i Boże, jak jechaliśmy i myśleliśmy o nim.

Te połączenie pustej przestrzeni.

Jechaliśmy, ale prawie się nie odzywaliśmy.

Tymczasem zbierały się chmury, co oznaczało jedną z dwóch możliwości.

Burze przejdą obok bez deszczu, a oni całe lata będą czekać na próbę. Albo powódź nadejdzie za wcześnie, kiedy rozpaczliwie próbowali doprowadzić wszystko do końca.

Pewnie największa chwila nadeszła, kiedy wyciągnęli formy – krążyny – by łuki stały samodzielnie. Wtedy posługiwali się innymi terminami – budowy mostów, w przeciwieństwie do umierania – i dlatego mówili o sile pach łuków i nadziei, jaką mieli wobec każdego zwornika.

Ale później prostota zwyciężyła, przynajmniej u Michaela, na dnie rzeki.

– Miejmy nadzieję, że skurczybyki wytrzymają.

To jak płetwy wypatrzone na oceanie – człowiek jest pewien, że to tylko delfiny, ale tak naprawdę, czy NAPRAWDĘ może wiedzieć? Dopiero kiedy zobaczy je z bliska.

W sercach wiedzieli, że zrobili wszystko.

Zrobili wszystko, by uczynić go doskonałym.

Piaskowiec błyszczał o poranku.

– Jesteś gotów? – spytał Michael, a Clay pokiwał głową.

Najprawdziwsza z prób, sam zszedł na dół.

– Clay, ty stój tutaj, zostań w świetle. – I wyjął ostatnie elementy, a łuki były prawidłowe, wciąż stały.

I wtedy pojawił się jego uśmiech i śmiech.

– Chodź tutaj – powiedział – tutaj, Clay, chodź POD SPÓD!

Objęli się jak chłopcy pod łukiem.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, pamiętam, jak go zobaczyliśmy.

Most wyglądał na całkowicie ukończony, a powierzchnia z piaskowca była gładka.

– Chryste – powiedział Rory – popatrzcie na to.

– Hej – krzyknął Henry – tam jest!

Wyskoczył z jadącego samochodu:

Potknął się i roześmiał, a później pobiegł, podniósł go i rzucił na ziemię.

Znów kolejna historia.

Jak chłopcy i bracia kochają.

Wieczorem graliśmy w futbol w korycie rzeki.

To właśnie należało zrobić.

Moskity ledwie dotrzymywały nam kroku.

Ziemia była brutalnie twarda, więc wpadaliśmy na siebie, ale podtrzymywaliśmy się nawzajem.

Były też jednak chwile, kiedy przerywaliśmy i po prostu patrzyliśmy w zadziwieniu na most – na jego monumentalne pokrycie i bliźniacze łuki przed nami. Rzeczywiście stał jak coś religijnego, jak katedra syna i ojca – ja stałem przy łuku po lewej.

I wiedziałem, że powstał z niego:

Z kamienia, ale również z Claya.

Do czego jeszcze mogłem się zmusić?

Było wiele rzeczy, których wciąż nie wiedziałem, a gdyby tak było, mógłbym podejść wcześniej – do miejsca, gdzie stał między Eos a Achillesem.

– Hej!

I znowu.

– Hej! – zawołałem i prawie dodałem „tato”, ale zamiast tego powiedziałem „Michael”, a on patrzył na mnie, w korycie rzeki. – Potrzebujemy cię, żeby drużyny były wyrównane.

Co dziwne, on spojrzał na Claya.

To było koryto rzeki Claya, most Claya, a więc było to również jego boisko futbolowe. On pokiwał głową i Michael wkrótce zszedł.

Czy wtedy sobie szczerze porozmawialiśmy, o jedności silniejszej niż kiedykolwiek, szczególnie w takich chwilach?

Oczywiście, że nie, byliśmy chłopakami Dunbarów.

To Henry się do niego odezwał.

Dał mu listę instrukcji:

– Możesz przebiegać pod łukami, jasne? I kopać piłkę nad nimi. Łapiesz?

– Łapię. – I Morderca uśmiechnął się jak przed wielu laty, nawet jeśli tylko na ułamek sekundy.

– I – powiedział Henry na zakończenie – powiedz Rory’emu, żeby przestał oszukiwać.

– Ja NIE oszukuję!  
Graliśmy we krwi słońca.

## puchar świata w umieraniu

ZEGAR WYBIŁ z wdziękiem dwa lata.

Później, koszmarne, dwa i pół.

Wróciła do pracy na zastępstwo.

Powiedziała:

– To cholerne umieranie jest proste.

(Właśnie zwymiotowała do zlewu).

Kiedy docierała do pracy, czasami nie wracała, a my znajdowaliśmy ją w połowie drogi do domu albo ostatnią w swoim samochodzie na parkingu. Kiedyś była przy linii kolejowej, wyciągnięta na swoim siedzeniu w pobliżu dworca, pociągi mijały ją po jednej stronie, a ruch uliczny po drugiej. Zapukaliśmy w okno, żeby ją obudzić.

– Och – powiedziała – wciąż żyję, co?

Rankami czasem robiła nam wykłady.

– Jeśli ktoś z was, chłopcy, zobaczy dziś śmierć, przyślijcie ją do mnie.

Wiedzieliśmy, że popisywała się swoją odwagą.

W dni, kiedy była zbyt chora, by wyjść, przywoływała nas do pianina.

– Dalej, chłopcy, buziaka.

Stawaliśmy w kolejce, żeby ucałować ją w policzek.

Każdy raz mógł być ostatnim.

Kiedy pojawiała się lekkość albo rozluźnienie, wiadomo było, że utonięcie nie jest daleko.

Jak się okazało, trzecie Boże Narodzenie BYŁO jej ostatnim.



Siedzieliśmy przy stole w kuchni.

Wszyscy zadaliśmy sobie mnóstwo cholernego trudu, zrobiliśmy *pierogi* i niewymawialny *barszcz*.

Wtedy była w końcu gotowa zaśpiewać *Sto lat*, a my śpiewaliśmy z miłości do Penelopy i dla Waldka, pomnika, i żadnych krajów. Śpiewaliśmy tylko dla kobiety przed nami. Śpiewaliśmy tylko dla jej wszystkich opowieści.

Ale wkrótce musiało do tego dojść.

Dostała ostateczny wybór.

Mogła umrzeć w szpitalu albo w domu.

Na oddziale szpitalnym popatrzyła na Rory'ego, później na mnie i resztę z nas, i zastanawiała się, kto powinien się odezwać.

Gdyby to był Rory, rzuciłby „Hej, ty, pielęgniarco! Tak, TY, o ciebie chodzi, odepnij ją od całego tego gówna”. Gdybym to był ja, byłbym mniej niegrzeczny, ale bezpośredni. Henry byłby zbyt pewny siebie, a Tommy by się nie odezwał – zbyt młody.

Po chwili zastanowienia zdecydowała się na Claya, przywołała go do siebie i szepnęła, a on odwrócił się do pielęgniarki i lekarki – obu życzliwych ponad wszelką miarę.

– Mówi, że będzie jej brakowało tutejszej kuchni, ale chce być w domu dla nas. – Ona wtedy mrugnęła żółtym okiem. – I musi wciąż grać na pianinie... i mieć oko na NIEGO.

Ale to nie na Rory'ego wskazała, lecz na mężczyznę trzymającego dłoń na ramieniu Tommy'ego.

Z łóżka odezwała się na zewnątrz.

Powiedziała:

– Dziękuję wam obu za wszystko.

Clay skończył wtedy trzynaście lat, był w drugiej klasie szkoły średniej.

Został wezwany do gabinetu pedagoga szkolnego, tuż po tym, jak wyszedł z niego Henry, i został zapytany, czy chciałby porozmawiać. Mroczne dni przed nastaniem Claudii Kirkby.

Nazywał się pan Fuller.

Podobnie jak ona nie był psychologiem, lecz nauczycielem, któremu powierzono to zadanie, i dobrym człowiekiem, ale dlaczego Clay miałby z nim rozmawiać? Nie widział sensu.

– Wiesz – powiedział nauczyciel. Był całkiem młody, w jasnoniebieskiej koszuli. Krawat w żaby, i Clay pomyślał: ŻABY? – Czasami łatwiej porozmawiać z kimś, kto nie jest rodziną.

– Nic mi nie jest.

– Dobrze, w porządku, no wiesz. Jestem tutaj.

– Dziękuję. Mam teraz wrócić na matematykę?

Były trudne chwile, oczywiście, były koszmarne chwile, jak wtedy, kiedy znaleźliśmy ją na podłodze w łazience, jak rybitwę, która nie ukończyła wędrówki.

Była Penny i nasz tato w korytarzu, i sposób, w jaki jej pomagał. Był takim właśnie idiotą, nasz ojciec, bo patrzył wtedy na nas i mówił samym ruchem warg – „Popatrzcie na tę cudowną dziewczynę!” – ale ostrożnie, żeby jej nie posiniaczyć.

Sińce, zadrapania. Rany.

Nie można ryzykować.

Powinni zatrzymać się przy pianinie, zrobić sobie przerwę na papierosa.

Ale w umieraniu nie ma przerw, tak myślę, jest niepowstrzymane i nieubłagane. Głupio, wiem, ujmować to w taki sposób, ale wtedy człowieka już to nie obchodzi. Umieranie jest dwa razy szybsze.

Bywało, że zmuszała się do zjedzenia śniadania, siedzenia przy stole w kuchni, nigdy nie opanowała płatków kukurydzianych.

Był raz Henry, w garażu:

Walił pięściami jak diabli w zwinięty dywan, później zobaczył mnie i padł na ziemię.

Stałem tam, bezradny i bezwładny.

Później podszedłem i wyciągnąłem rękę.

Minęła minuta, nim ją przyjął, i razem wyszliśmy na podwórko.

Czasami wszyscy siedzieliśmy w jej pokoju.

Na łóżku albo rozciągnięci na dywanie.

Byliśmy chłopcami i ciałami, wyłożonymi dla niej.

Leżeliśmy jak jeńcy wojenni.

I oczywiście – to SAMYCH SIEBIE naśladowaliśmy później, w dzień rocznicy, kiedy przeczytałem fragment *Odysei*.

Tyle tylko że to Michael nam czytał:

Dźwięki morza i Itaki.

Stał przy oknie sypialni.

Regularnie przychodziła pielęgniarka i sprawdzała jej stan. Poddawała ją morfinie i pracownicy sprawdzała puls.

A może skupiała się tak, żeby zapomnieć?

Albo zignorować cel, dla którego przyszła, to kim i czym była ona?

Głosem zapomnienia.

Nasza matka była wtedy z całą pewnością zjawiskiem, ale cudem smutnego zepsucia.

Była pustynią wspartą na poduszkach.

Jej wargi tak suche i jałowe.

Jej ciało zagrzebane pod kocami.

Jej włosy się nie poddawały.

Nasz ojciec czytał o Achajach i okrętach gotowych do wyjścia w morze.

Ale nie było już mokrego pustkowia.

Ani morza ciemnego jak wino.

Tylko jedna łódka, zbutwiała, ale niezdolna całkowicie zatonać.

Ale tak.

Tak, do diabła!

Czasem były dobre chwile, wspaniałe chwile.

Byli Rory i Henry, czekający przed salą, w której Clay miał matematykę albo fizykę, po prostu opierali się swobodnie:

Ciemnordzawe włosy.

Skrzywiony uśmiech.

– Chodź, Clay, spadajmy.

Wszyscy biegli do domu i siedzieli z nią, Clay czytał, a Rory się odzywał:

– Po prostu nie rozumiem, czemu Achilles jest takim mięczakiem.

Najłżejsze kołysanie jej warg.

Wciąż miała dary do oddania.

– Agamemnon ukradł mu dziewczynę.

Nasz tato wiózł ich z powrotem i robił im wykład na tle przedniej szyby, ale widzieli, że nie wkłada w to serca.

Były noce, kiedy siedzieliśmy do późna, na kanapie, oglądając stare filmy, od *Ptaków* przez *Na nabrzeżach*, po rzeczy, których nikt by się po niej nie spodziewał, jak *Mad Max 1* i *2*. Jej ulubione wciąż pochodziły z lat osiemdziesiątych. Prawdę mówiąc, te dwa ostatnie były jedynymi, które znosili Rory i Henry, reszta wydawała się zbyt powolna. Uśmiechała się, kiedy jęczeli i narzekali.

– Nudne jak cholerne gówno nietoperza! – skrzeczeli, i było to bezpieczne, rutynowe.

Metronom.

A wreszcie wtedy, ten ranek, którego szukam, a ona musiała wiedzieć, że było blisko – przyszła po niego o trzeciej.

Wniosła kroplówkę przez drzwi naszego pokoju i na początku siedzieli na kanapie.

Jej uśmiech był wtedy wymuszony.

Twarz w rozsypce.

Powiedziała:

– Clay, nadszedł czas, w porządku? – I opowiedziała mu wycięte fragmenty wszystkiego. Miał zaledwie trzynaście lat, wciąż był za młody, ale powiedziała, że nadszedł czas. Opowiedziała mu o chwilach sięgających Pepper Street i tajemnicach seksu i malarstwa. Powiedziała: – Któregoś dnia powinienes poprosić swojego ojca, żeby coś narysował. – Znów się uniosła i opadła. – Ale zignoruj jego minę.

Po jakimś czasie powiedziała jednak, że jest jej gorąco.

– Możemy wyjść na werandę?

Padało, a deszcz emanował blaskiem – tak drobny, że prześwietlał latarnie uliczne – i usiedli z wyprostowanymi nogami. Oparli się o ścianę. Powoli przyciągnęła go do siebie.

Wymieniała życie na opowieści:

Od Europy do miasteczka Featherton.

Dziewczyna zwana Abbey Hanley.

Książka pod tytułem *Kamieniarz*.

Zabrała ją, kiedy go zostawiła.

Powiedziała:

– Twój ojciec pogrzebał kiedyś maszynę do pisania, wiedziałeś?

W doskonałych, bliskich śmierci szczegółach. Adelle i jej wykrochmalony kołnierzyk – nazywała ją starą dobrą MP – i był czas, kiedy oboje tam powrócili, do zapomnianego miasteczka, i zakopali wspaniałego starego remingtona – i to było życie, powiedziała, to było wszystko.

– Tym naprawdę jesteśmy.

Pod koniec deszcz stał się jeszcze delikatniejszy.

Jej kroplówka prawie się skończyła.

Czwarty chłopak Dunbarów był oszołomiony.

Bo jak niespełna trzynastolatek może siedzieć obok i pojąć coś takiego? I to wszystko spadające jednocześnie?

Ale oczywiście, że zrozumiał.

Był senny, ale też przebudzony.

Każde z nich było tego ranka jak kości w piżamach, a on był jedynym z nas, który kochał ich opowieści i kochał je z całego serca. To jemu w pełni ufała. Wyobrażała sobie, że to on pewnego dnia pojedzie i wykopie starą MP. Jakże okrutne są te kaprysy losu.

Zastanawiam się, kiedy zrozumiał:

Przekaze te wskazówki mnie.

Od wschodu słońca wciąż dzieliło ich pół godziny i czasem szczęście jest prawdziwe, bo wiatr zaczął się zmieniać. Podkradł się do nich z boku i owinał wokół.

– Hej – powiedziała – hej, Clay. – A Clay nachylił się odrobinę bliżej, w stronę jej blond kruchej twarzy. Jej oczy były zapadnięte i zamknięte. – A teraz ty opowiedz historie mnie.

A chłopiec mógłby wtedy upaść i rozryczeć się gwałtownie na jej kolanach. Ale on jedynie spytał:

– Od czego mam zacząć?

– Od czegokolwiek – przełknęła ślinę – zechcesz.

A Clay zwlekał, a później pozwolił, by to przez niego przeszło.

– Kiedyś – powiedział – była kobieta, a miała ona wiele imion.

Uśmiechnęła się, ale nie otwierała oczu.

Uśmiechnęła się i poprawiła go powoli.

– Nie... – powiedziała, a jej głos był głosem umierania.

– W taki sposób... – i był to głos przetrwania.

Olbrzymi wysiłek, by pozostać z nim.

Odmówiła ponownego otwarcia oczu, ale odwróciła głowę, by powiedzieć: „Niegdyś, w odmętach przeszłości Dunbarów, była sobie kobieta o wielu imionach”. Słowa te przebyły wielką odległość z miejsca obok niego i Clay zawołał teraz w ich stronę, miał coś własnego do dodania.

– A cóż z niej była za kobieta.

Po trzech kolejnych tygodniach umarła.

## portret ojca z czasów starości

WKRÓTCE nie pozostało już nic.

Skończyli, ale nie zakończyli – bo wiedzieli, że coś jeszcze nadejdzie.

Jeśli jednak chodzi o postawienie mostu, budowę i sprzątnięcie mieli już za sobą, oglądali go z każdej strony. Wieczorem wydawał się świecić dłużej, jakby naładowany gorącym dniami. Był podświetlony, później przygasał i znikał.

Pierwszym, który przeszedł na drugą stronę, był Achilles.

Wydawał się gotów zaryczeć, ale tego nie zrobił.

Całe szczęście dla nas nie zawarto żadnych paktów ze złymi czy sprowadzającymi na złą drogę duchami – z początku szedł ostrożnie, sprawdzając go, ale w połowie wziął go w posiadanie.

Podwórka, podmiejskie kuchnie.

Pola i amatorskie mosty.

Dla Achillesa wszystkie były takie same.

Przez chwilę nie wiedzieli, co ze sobą zrobić.

– Pewnie powinieneś wrócić do szkoły.

Ale ten czas z całą pewnością minął. Od śmierci Carey Novac Clay utracił wolę liczenia. Teraz był po prostu budowniczym, bez choćby jednego świadectwa. Dowód miał w rękach.

Przed upływem miesiąca Clay wrócił do miasta, ale najpierw Michael mu pokazał.



Byli w kuchni, z piekarnikiem – a to nie był zwyczajny chłopiec. Ludzie nie budują mostów tak szybko, a z pewnością nie takich rozmiarów. Chłopcy nie proszą, by budować łęki, ale też chłopcy nie robią tak wielu rzeczy – a Michael myślał o ranku, który ich zalał, w ostatnich wodach, które miały nadpłynąć.

– Wracam do domu, żeby pracować z Matthew – powiedział Clay.

A Michael powiedział:

– Chodź ze mną.

Najpierw weszli pod most, jego dłoń na wygięciu łuku. Pili kawę w chłodzie poranka. Nad nimi stał Achilles.

– Hej, Clay – powiedział cicho Michael. – Jeszcze nie jest ukończony, prawda?

Chłopiec przy kamieniu odpowiedział:

– Nie.

W sposobie, w jaki odpowiedział, dostrzegł, że kiedy do tego dojdzie, zostawi nas na dobre – i to nie dlatego, że chciał, ale musiał, i tyle.

Teraz było coś, na co długo czekał, od czasu Penelopy, werandy i opowieści.

Powinieneś poprosić swojego ojca, żeby coś narysował.

Byli mali obok mostu, w korycie rzeki.

– Chodź – powiedział Michael – tutaj.

Zabrał go z powrotem do szopy i Clay zobaczył teraz, dlaczego go powstrzymał – kiedy poszedł po męczeńską łopatę tamtego dnia, kiedy zabrał go do Featherston – bo tam, na amatorskich sztalugach, nieco pochylonych, spoczywał szkic chłopca w kuchni, który wyciągał w naszą stronę COŚ.

Dłoń otwarta, ale zwinięta.

Jeśli ktoś przyjrzał się uważnie, mógł zobaczyć, co to jest:

Odłamki połamanej klamerki.

To było w kuchni, w której teraz siedzę.

Jedno z naszych „na początku”.

– Wiesz – powiedział Clay – kazała mi. Kazała mi poprosić cię, żebyś mi pokazał.

Przełknął ślinę, pomyślał, przeprowadził próbę:

Jest dobry, tato, naprawdę dobry.

Ale Michael był szybszy.

– Wiem. Powinienem namalować ją.

Nie zrobił tego, ale teraz miał jego.

Miał rysować chłopca.

Miał malować chłopca.

Miał to robić przez lata.

Ale przed tym początkiem było to:

## jasne tylne podwórko

W CIĄGU OSTATNICH KILKU TYGODNI przez większość czasu pozostawała z nami ledwie jej skorupa. Reszta niej poza naszym zasięgiem. To było cierpienie, pielęgniarstwo i jej odwiedziny – łapaliśmy się na czytaniu jej w myślach. A może to były myśli od dawna zapisane w NAS:

Jakim cudem, u diabła, ona wciąż ma puls?

Był czas, kiedy śmierć kręciła się w okolicy albo kołysała na liniach energetycznych. Albo wisiała, z opuszczonymi ramionami, wokół lodówki.

Zawsze była tutaj, by nam odbierać.

Ale teraz, tak wiele do dania.

Były ciche rozmowy, musiały być.

Siedzieliśmy w kuchni z naszym tatą.

Powiedział, że zostało jeszcze kilka dni.

Lekarz wyjaśniał to wczoraj, i dzień wcześniej też.

Te dni wcześniej były nieskończone.

Już wtedy powinniśmy mieć stoper i kredę do zapisywania zakładów, ale Penny po prostu wciąż żyła. Nikt by nie wygrał wygranej.

Wszyscy spuszczaaliśmy wzrok na stół.

Czy my kiedyś w ogóle mieliśmy solniczkę i pieprzniczkę od kompletu?

I tak, zastanawiam się nad naszym ojcem i jak to było – każdego ranka wyprawiać nas w drogę – bo jedno z jej ostatnich życzeń brzmiało, byśmy wszyscy wstawali i wychodzili. Wychodzili i żyli.

Każdego ranka całowaliśmy ją w policzek.

Zachowała go najwyraźniej tylko w tym celu.

– Idź, słodki chłopcze... wyjdź tam.

To nie był głos Penelopy.

Nie była to również jej twarz – ta obracająca się rzecz, która płakała.

Para żółtych oczu.

Nie zobaczy, jak dorastamy.

Jedynie płacz i bezgłośny płacz.

Nie zobaczy, jak moi bracia kończą szkołę średnią, i innych absurdalnych kamieni milowych, nie zobaczy, jak szarpiemy się i męczymy, po raz pierwszy zakładając krawat. Nie będzie jej, by przepytać nasze pierwsze dziewczyny. Czy ta dziewczyna w ogóle słyszała o Chopinie? Czy znała wielkiego Achillesa? Wszystkie te głupie rzeczy, pełne pięknego znaczenia. Miała siłę jedynie, by tworzyć fikcje, wymyślać nasze życia przed nami:

Byliśmy czystymi i niezapisanymi iliadami.

Odysejami do wzięcia.

Unosiła się w tych obrazach i wypływała z nich.

A ja wiem teraz, co się działo.

Każdego ranka błagała go o pomoc.

Najgorsza była zawsze chwila po naszym wyjściu.

– Sześć miesięcy – mówiła. – Michaelu... MICHAELU. Sześć miesięcy. Umieram od stu lat. Pomóż mi, proszę, pomóż mi.

Poza tym było teraz rzadkością – nie wydarzyło się od wielu tygodni – by Rory, Henry i Clay zrywali się z lekcji i przychodzili do domu

w odwiedzin. A przynajmniej my głupio w to wierzyliśmy, bo jeden z nich rzeczywiście często wracał, ale umiał pozostać niewidzialny. Wychodził o różnych porach i przyglądał się zza skraju ramy okiennej – aż raz już jej nie zobaczył. Wyszedł ze szkoły tuż po tym, jak do niej dotarł.

W domu przeszedł przez trawnik.

Podszedł do okna ich sypialni.

Łóżko było niepościelone i puste.

Bez zastanowienia zrobił krok do tyłu.

Czuł krew i pośpiech...

Coś było nie w porządku.

Coś jest nie w porządku.

Wiedział, że musi tam pójść, powinien wejść prosto do domu, a kiedy to zrobił, uderzyło go światło, wpadało przez korytarz. Walnęło go w oczy.

Ale on szedł dalej – przez otwarte tylne drzwi.

Na werandzie zatrzymał się, kiedy ją zobaczył.

Z lewej słyszał samochód – pojedyncza, ale fałszywa nuta – i w głębi serca znał prawdę. Ten samochód nie wyjeżdżał z garażu.

Widział ojca stojącego, w oślepiającym blasku podwórka, a kobieta była w jego ramionach – kobieta od dawno zaginionego pianina, która umierała, ale nie mogła umrzeć, albo gorzej, żyła, ale nie mogła żyć. Leżała w jego ramionach jak łuk, a nasz ojciec padł na kolana.

– Nie mogę tego zrobić – powiedział Michael Dunbar i położył ją delikatnie na ziemi. Spojrzał na boczne drzwi garażu, a później odezwał się do kobiety poniżej, trzymał dłonie na jej piersi i przedramieniu. – Tak cholernie się starałem, Penny, ale nie mogę, po prostu nie mogę.

Mężczyzna klęczący, drżący lekko.

Kobieta na trawie się rozpuszczała.

A on stał i płakał, czwarty chłopak Dunbarów.

Z jakiegoś powodu przypomniał sobie jedną historię.

Widział ją z powrotem w Warszawie.

Dziewczyna na mokrym pustkowiu.

Siedziała i grała na pianinie, a pomnik Stalina był obok niej. Uderzał w jej knykcie oszczędnym gestem za każdym razem, kiedy opadły jej ręce albo popełniła inny błąd. Było w nim tak wiele milczącej miłości, a ona wciąż była jedynie bladym dzieckiem. Dwadzieścia siedem razy za dwadzieścia siedem muzycznych grzechów. A ojciec nadał jej przydomek.

Powiedział to pod koniec lekcji, ze śniegiem padającym na zewnątrz.

Wtedy miała osiem lat.

Kiedy miała lat osiemnaście, podjął decyzję.

Postanowił ją wydostać.

Ale najpierw w końcu jej przerwał.

Przerwał jej granie i wziął ją za ręce, które były wysmagane, małe i ciepłe. Ścisnął je, ale łagodnie, w swoich monumentalnych palcach.

Przerwał i w końcu powiedział jej.

I chłopcu.

Naszemu chłopcu.

Ten nasz młody, ale utwardzony opowieściami chłopiec, zrobił krok do przodu i uwierzył we wszystko.

Zrobił krok do przodu i powoli ukląkł.

Powoli odezwał się do naszego taty.

Michael Dunbar nie słyszał jego nadejścia, a jeśli był zaskoczony, nie okazał tego po sobie – był odrętwiały na twarzy, nieruchomy.

Chłopiec powiedział:

– Tato, już dobrze, tato.

Wsunął pod nią rękę, wstał i zabrał ją ze sobą. Nie było oglądania się za siebie, nasz ojciec nie zareagował, a jej oczy tego dnia nie wydawały się żółte. Były jej i takie miały pozostać. Włosy znów opadały na plecy, dłonie były gładkie i czyste. Zupełnie nie wyglądała jak uchodźczyni. Odprowadził ją łagodnie.

– Już dobrze – powiedział, tym razem do niej – już dobrze.

I był pewien, że widzi jej uśmiech, kiedy zrobił to, co tylko on mógł zrobić i tylko na swój sposób.

– *Już wystarczy* – szepnął cicho i przeniósł ją przez tłumaczenie. – *Wystarczy, Błędna Dziewczyno.*

Stanął z nią pod suszarką na pranie, a ona wtedy właśnie zamknęła oczy, wciąż oddychała, ale była gotowa, by umrzeć. Kiedy prowadził ją w stronę tej nuty, którą słyszał, ze światła w dym w drzwiach, Clay miał całkowitą pewność – ostatnią rzeczą, którą Penelopa widziała na świecie, był ten sznurek i jego kolory – klamerki na suszarce nad nimi:

Nieważkie jak wróble i jasne w świetle.

Na chwilę zaćmiły miasto.

Zaatakowały słońce i zwyciężyły.

## godzina największej wody

I TAK TO BYŁO.

Wszystko prowadziło do mostu:

Penelopa w końcu miała dosyć, ale dla Claya był to kolejny początek. Od chwili, kiedy ją zaniósł, nastąpiło życie, jakiego wcześniej nie znał. Kiedy wyszedł z powrotem do suszarki na pranie, wyciągnął rękę po pierwszą z klamerki.

Ojciec nie mógł na niego patrzeć.

Zmienili się na zawsze.

To, co zrobił i kim się stał w tamtej chwili, tak szybko miało zmienić się w żal.

Nie pamiętał drogi powrotnej do szkoły.

Jedynie lekkość klamerki.

Siedział zagubiony na boisku, kiedy Rory i Henry go znaleźli, podnieśli i na wpół zaciągnęli.

– Wiozą nas wszystkich z powrotem do domu – powiedzieli. Ich głosy jak połamane ptaki. – Chodzi o Penny, Penny, ona...

Ale zdanie nie doczekało się ukończenia.

W domu policja, a później karetka.

Sposób, w jaki wszystko płynęło w dół ulicy.

Było już popołudnie, a nasz ojciec kłamał – tak brzmiał od początku jej plan. Michael miał jej pomóc, a później powiedzieć, że na chwilę wyszedł. To sama Penny, tak zdesperowana...

Ale chłopiec wrócił do domu i to zepsuł.

Wrócił i uratował sytuację.



Nazywaliśmy naszego ojca Mordercą.

Ale morderczym zbawcą był on.

Na końcu zawsze był most.

Został wybudowany, a teraz powódź.

Burza nigdy nie przychodzi wtedy, kiedy powinna.

W naszym przypadku zdarzyło się to zimą.

Cały stan wkrótce znalazł się pod wodą.

Pamiętam niekończącą się pogodę, gdy deszcz smagał miasto.

Było to niczym w porównaniu z Amahnu.

Clay wciąż pracował ze mną.

Biegał po ulicach dzielnicy wyścigów, gdzie, co zaskakujące, wciąż pozostał jej rower. Nikt nie sięgnął po cęgi ani nie złamał szyfru. A może po prostu nie chcieli.

Kiedy dotarły wieści o pogodzie, deszcz zaczął padać wcześniej – Clay stał w pierwszych kroplach wody. Pobiegnął do stajni przy Hennessey.

Wybrał właściwe cyfry na zamku i ostrożnie odprowadził rower. Przyniósł nawet niewielką pompkę i napompował sflaczałe opony. Cootamundra, The Spaniard i Matador. Odwaga Kingston Towna. Pompował mocno z imionami wewnątrz.

Kiedy jechał przez dzielnicę wyścigów, zobaczył dziewczynę na Poseidon Road. Było to na północnym krańcu, niedaleko siłowni Tri-Colors i fryzjera. Grzywa Dzielnicy Wyścigów. Była jasnowłosa na tle ciemniejącego nieba.

– Hej! – zawołał.

– Niezła pogoda! – odpowiedziała, a Clay zeskoczył ze starego roweru.

– Chcesz go wziąć, żeby dojechać do domu?

– Nie miałabym aż TAKIEGO szczęścia.

– Dziś masz. Weź go, proszę.

Wystawił podpórkę i odszedł. Kiedy na niebie pojawiły się pierwsze błyskawice, patrzył, jak dziewczyna podchodzi i go bierze.

Krzyknął:

– Słyszałaś o Carey Novac?

– Co? – odkrzyknęła. – O kim?

Ból wykrzyczenia jej imienia, ale poczuł się lepiej.

– Szyfr! – zawołał przez wodę. – Trzydzieści pięć, dwadzieścia siedem. – Pomyślał przez chwilę i przełknął igły deszczu. – Jeśli zapomnisz, sprawdź Spaniarda.

– ŻE CO?

Ale była już sama.

Patrzył na nią przez chwilę i odszedł.

Od tej pory był już tylko deszcz.

Nie czterdzieści dni i nocy.

Ale przez jakiś czas wydawało się to prawdopodobne.

Pierwszego z nich Clay wyszedł na najbliższy pociąg do Silver, ale reszta z nas nie zamierzała na to pozwolić. Wszyscy wpakowaliśmy się do mojego kombi, a Eos oczywiście na tyłach.

Pani Chilman zajmowała się resztą.

Do Silver przybyliśmy w ostatniej chwili.

Kiedy przejeżdżaliśmy przez most, patrzyliśmy w dół.

Woda podgryzała łuki.

Na werandzie, w deszczu, Clay myślał o nich. Przypomniwał sobie górę rzeki i te twarde drzewa, skały i ogromne eukaliptusy kamaldulskie. W tej chwili wszystkie były szarpane. Nurt unosił szczątki.

Wkrótce wydawało się, że cały świat został zalany, a most zniknął pod wodą. Przez wiele dni woda się podnosiła. Jej gwałtowność była czymś magnetycznym, przerażała do szpiku kości, ale trudno było nie patrzeć, uwierzyć.

Aż pewnej nocy deszcz przestał padać.

Rzeka wciąż ryczała, ale w swoim czasie zaczęła opadać.

Nie dało się jeszcze ocenić, czy most przetrwał – albo czy Clay mógł doprowadzić do jego prawdziwego zakończenia:

Przejsć przez tę wodę.

Przez te wszystkie dni Amahnu była brązowa i burzyła się, jakby ktoś robił czekoladę. Ale o wschodzie i zachodzie słońca powstawały barwy i światło – blask i dogasanie ognia. Świt był złoty i woda płonęła, a przed nocą krwawiła w ciemność.

Czekaliśmy jeszcze trzy dni.

Staliśmy i patrzyliśmy na rzekę.

Graliśmy w kuchni w karty z naszym ojcem.

Patrzyliśmy, jak Eos zwija się w kłębek przy piekarniku.

Nie było miejsca dla nas wszystkich, więc rozłożyliśmy siedzenia w kombi, spałem tam z Rorym.

Clay kilka razy wyszedł na tyły, do szopy, której strzegł Achilles, i widział więcej powstających dzieł sztuki. Najbardziej lubił luźny szkic chłopca między nogami eukaliptusów – aż stało się, nadeszło, w niedzielę.

Jak zawsze obudził się w ciemności.

Niedługo przed świtem usłyszałem kroki – biegły, chlapały – a później otworzyły się drzwi i poczułem siłę jego ręki.

– Matthew – szepnął. – Matthew!

Później:

– Rory, RORY!

A ja szybko się zorientowałem.

Było w głosie Claya.

Trząśł się.

W domu zapaliły się światła i Michael wyszedł z latarką, a kiedy poszedł nad wodę, zaraz wrócił. Próbowałem wydostać się z samochodu, a on się zataczał, ale odezwał się do mnie wyraźnie, jego twarz wyrażała wstrząs i niedowierzanie.

– Matthew, musisz przyjść.

Czy most zniknął?

Czy powinniśmy próbować go ocalić?

Ale zanim zrobiłem choć krok, w pole uderzył pierwszy blask. Spojrzałem przed siebie i zobaczyłem go.

– Boże – powiedziałem. – Je-zu CHRYSSTE. – A później. – Hej, hej, Rory?

Nim zebraliśmy się wszyscy, na betonowych schodkach werandy, Clay stał na pierwszym z nich i słyszał siebie samego, z przeszłości.

„Nie przybyłem tu dla ciebie” powiedział do niego – do Mordercy, Michaela Dunbara – ale stojąc tu wiedział, że było inaczej. Przybył dla nas wszystkich. Po prostu nie mógł przewidzieć, że będzie tak bolało, w obliczu czegoś cudownego.

Przez chwilę przyglądał się border collie, która siedziała i oblizywała wargi – ale nagle odwrócił się do Rory’ego. Wszystko zbierało się już od lat, ale nagle uderzył go mocno prosto w oczy:

– Cholera, Tommy, czy ten pies musi tak cholernie głośno dyszeć?

A Rory w odpowiedzi się uśmiechnął.

– Chodź – powiedział teraz do Claya. Najłagodniej w życiu. – Chodźmy i zobaczmy go razem.

Chodźmy nad rzekę i zobaczmy go.

Kiedy wszyscy tam dotarliśmy, wschód słońca odbijał się w wodzie. Rozrośnięta rzeka płonęła, rozświetlały ją pióropusze świtu, a most wciąż był zatopiony – ale nietknięty i stworzony z niego. Most był stworzony z Claya, a wiecie, co mówią o glinie, prawda?

Czy mógł przejść przez Amahnu?

Czy mógł być przez chwilę lepszy od człowieka?

Odpowiedź, oczywiście, brzmiała „nie”, przynajmniej na ostatnie pytanie, a teraz zobaczyliśmy to z bliska.

W ostatnich z naszych kroków usłyszał je:

Kolejne słowa, które wypowiedzieli w Silver.

„Oddałbym życie, by któregoś dnia odnaleźć wielkość, jak Dawid...”

„Ale żyjemy życiem Jeńców”.

Sen się skończył i dostał odpowiedź.

Nigdy nie przejdzie po tej wodzie – cud mostu – ani żaden z nas, bo w ogniu, który napełnił łuki, w miejscu, gdzie rzeka i kamienie go podtrzymywały, stał ktoś tak prawdziwy i cudowny, i coś, czego nigdy nie zapomnę.

Oczywiście, to mógł być tylko on.

Tak, on, stał jak rzeźba, tak samo pewny siebie, jak w kuchni. Patrzył i przeżuwał, i był nonszalancki – z tą zwyczajową miną i strzechą na pysku – rozdęte chrapy, opanowany aż do samego końca.

Wszędzie wokół siebie miał wodę i świt, wznosiła się na wysokość cała wokół jego nóg – jego kopyta na rzece i moście. Aż wkrótce poczuł pragnienie, by się odezwać. Jego zwyczajowe dwa pytania, bez przerywania żucia, i muli uśmiech:

„Co?” – spytał pośród blasku ognia.

„Co w tym takiego niezwykłego?”.

Jeśli był tutaj, by sprawdzić most Claya w jego imieniu – jeśli dlatego przybył – możemy się jedynie zgodzić i przyznać, że robił to cholernie dobrze.

## po zakończeniu stara mp nowe spojrzenie

NA KOŃCU BYŁA JEDNA RZEKA, jeden most i jeden muł, ale to nie koniec, jest po nim, jestem ja, oto siedzę w kuchni, rankiem, za sobą mam jasne tylne podwórko. Słońce wschodzi powoli.

Tak się składa, że naprawdę nie umiem już ocenić:

Ile to trwało.

Ile nocy przesiedziałem tutaj, w tej kuchni, która widziała nasze życia? Była kobieta mówiąca nam, że umrze, i ojciec, który przybył do domu, żeby stawić nam czoło. Tu właśnie ryk sprawił, że w oczach Claya zapłonął ogień, a to tylko kilka z wielu rzeczy. Ostatnio była nasza czwórka, czterech chłopaków Dunbarów i nasz ojciec, wszyscy stojący i czekający, razem...

Ale pozostało tylko to: siedzę, walę w klawisze. Po powrocie do domu z Featherton, z maszyną do pisania, psem i węzem, siedziałem tu co noc, kiedy wszyscy inni spali, by napisać historię Claya.

A jak mogę zacząć?

Jak mam opowiedzieć wam to, co wydarzyło się później, w naszym życiu po ukończeniu mostu?

Niegdyś, w odmętach przeszłości Dunbarów, wrócił do nas do domu na Archer Street, a później zostawił nas, byliśmy pewni, na zawsze, a lata przyniosły ze sobą wiele rzeczy.

Na początku, kiedy opuściliśmy rzekę, Clay uścisnął naszego ojca i ucałował Achillesa w policzek. (Ten łotr pławił się w swojej chwili sławy – niechętnie do nas wrócił). Dla Claya był to niezbadany triumf,

takie zadziwienie tym, co widział. A później nieuleczalny, bezdenny smutek. Dokąd miał się stąd udać?

Nawet kiedy zbierał swoje rzeczy – starą drewnianą skrzyneczkę wspomnień i książki, w tym *Kamieniarza* – spoglądał przez okno na most. Jaką wartość miał ten symbol mistrzostwa? Wytrzymał, potwierdzając wszystko, co próbował osiągnąć, ale nie ocalił absolutnie niczego.

Zanim odjechaliśmy, wyciągnął ją w stronę naszego ojca.

Książkę w brązowej i bladej okładce.

– Czas, żebym ci ją oddał.

Kiedy szedł w stronę mojego kombi, ojciec westchnął po raz ostatni i szybko pobiegł za nim. Powiedział:

– Clay... Clay!

A Clay wiedział, co chciał mu powiedzieć.

Ale wiedział, że zostawia nas wszystkich.

– Clay... tylne podwórko...

A Clay przerwał mu gestem. Powiedział mu to samo, co przed laty, jako dziecko i jeszcze nie most.

– Już dobrze, tato. Już dobrze. – Ale wkrótce dodał coś jeszcze. – Ona naprawdę była kimś, prawda?

A nasz ojciec mógł się tylko zgodzić.

– Tak, była.

Kiedy Clay wsiadł do samochodu, patrzył na nas.

Wszyscy uścisnęliśmy rękę ojca.

Były rozmowy i Tommy wołający Eos, a Clay usnął w kombi, oparł twarz o szybę.

Przespał drogę przez most.

W domu przez większość dnia i całą noc on i ja siedzieliśmy w kuchni. Brat opowiedział mi historię – o Penelopie i Michaelu, i nas



wszystkich – i o wszystkim, czym był z Carey. Dwa razy prawie się załamalem, a raz zrobiło mi się niedobrze, ale on nawet wtedy mówił dalej, uratował mnie. Powiedział:

– Matthew, ale posłuchaj tego.

Mówił, że kiedy ją niósł, była znów tą bladą dziewczyną o długich blond włosach, a ostatnim, co widziała, były klamerki. Powiedział do mnie:

– Teraz ty, Matthew. Musisz wyjść i mu powiedzieć. Musisz wyjść i powiedzieć tacie. On nie wie, że taką ją widziałem. Nie wie, że taka była.

Kiedy skończył, myślałem o Penelopie i materacu, Surrounds. Gdybyśmy tylko go spalili, kiedy należało! Boże, myślałem o tak wielu rzeczach. Nic dziwnego, nic dziwnego. Nie był już tym chłopcem, co wcześniej, miał odejść i nie powrócić. Po prostu zbyt wiele z niego pozostało tutaj – ciężar zbyt wielu wspomnień. Myślałem o Abbey Hanley, a później Carey – i o tym, jak go nazwała w Bernborough Park.

Utraciliśmy naszego pięknego chłopca.

Kiedy następnego dnia wyjeżdżał, niewiele mówiliśmy, już wiecie, jacy jesteśmy. Głównie mówił Clay, tak myślę, bo był przygotowany.

Do Rory'ego powiedział:

– Będzie mi brakować naszych SERDESZNYCH rozmów. – A wokół niego była rdza i drut. Śmiali się, by złagodzić ból.

Z Henrym było prosto.

Powiedział:

– Powodzenia z numerami lotto... wiem, że kiedyś wygrasz.

A Henry, oczywiście, prawie go przewrócił.

Odpowiedział mu:

– Od jednego do sześciu.

Kiedy próbował dać Clayowi trochę pieniędzy, po raz ostatni, ten jedynie potrząsnął głową.

– W porządku, Henry, zatrzymaj je.

A Tommy, młody Tommy.

Clay położył dłonie na jego ramionach.

– Spotka się z tobą przy wilkoworze.

I to nas prawie wykończyło – aż pozostałem już tylko ja.

Wkrótce wszedł między nas, jak to często robią chłopcy. Nie mamy nic przeciwko dotykowi – barki, łokcie, knykcie, ramiona – a teraz odwrócił się w moją stronę.

Przez chwilę nic nie mówił, po prostu podszedł do pianina i cicho uniósł klapę. Wewnątrz pozostała jej sukienka, *Iliada* i *Odyseja*.

Powoli sięgnął do środka i podał mi książki.

– Dalej – powiedział – otwórz tę na górze.

Wewnątrz były dwie wiadomości.

Pierwsza – list od Waldka.

Druga, odrobinę nowsza:

*W nagłych wypadkach*

*(na przykład gdyby zabrakło Ci książek)*

Był numer i podpis: *ck*.

Miałem na końcu języka, że powinien dać spokój, ale on bez trudu mnie wyprzedził.

– Czytaj wszystko, co ci da, ale zawsze wracaj do tych tutaj. – Jego oczy były zacięte i płonące. – A później pewnego dnia będziesz wiedział. Będziesz wiedział, że masz pojechać do Featherton, żeby wykopać starą MP, ale musisz wszystko dobrze wymierzyć, żeby nie wykopać Luny albo węża... – Jego głos zmienił się w szept. – Obiecuj mi, Matthew, obiecuj.

I tak to było.

Tego wieczora nas opuścił.

Patrzyliśmy, jak idzie, przez werandę i trawnik na Archer Street, a nasze życia pozostały bez niego. Czasami dostrzegaliśmy cień albo widzieliśmy, jak chodzi ulicami dzielnicy wyścigów – ale wiedzieliśmy, że to nie Clay.

W miarę jak pięły się lata, mogę powiedzieć wam tyle:

Każdy z nas miał swoje życie.

Od czasu do czasu przychodziła kartka, z miejsca, w którym najpewniej pracował – jak Avignon i Praga, a później miasto o nazwie Isfahan – i oczywiście były tam mosty. Moim ulubionym był Pont du Gard.

Tutaj tęskniliśmy za nim w każdej minucie, ale nic nie mogliśmy poradzić na to, że byliśmy sobą – lata sięgnęły jedenastu od dnia, kiedy nasz ojciec przybył i spytał, czy moglibyśmy wybudować most.

Tommy w tym czasie dorósł.

Poszedł na studia i nie, nie został weterynarzem.

Jest pracownikiem socjalnym.

Zabiera ze sobą do pracy psa o imieniu O (powinniście się już domyślać, jak się wabi) i ma dwadzieścia cztery lata. Pracuje z twardymi, trudnymi dzieciakami, ale wiele z nich kocha psa. Wszystkie jego zwierzaki żyły wiecznie, oczywiście, a przynajmniej wiecznie do chwili, gdy odeszły. Najpierw złota rybka, Agamemnon, później T., spacerujący gołąb, później Hektor, a na koniec Eos.

Eos miała szesnaście lat, kiedy nie mogła już chodzić i wszyscy ją odprowadziliśmy. Wierzcie lub nie, ale u weterynarza to Rory powiedział:

– Myślę, że ona się opierała... czekała, wiecie? – Spojrzał na ścianę i przełknął ślinę. Dostała imię na cześć nieba i Penelopy, ta suczka. – Myślę, że czekała na Claya.

Tylko Achilles, w Silver, wciąż żyje.  
Tego muła pewnie nie da się zabić.  
Tommy mieszka niedaleko muzeum.

Później Henry.

Co pomyśleliście o Henrym, zastanawiam się.

Czego się spodziewaliście po bracie numer trzy?

Jako pierwszy się ożenił i zawsze przybywa z uśmiechem. Oczywiście, poszedł w nieruchomości, ale wcześniej zarobił kupę kasy – na zakładach i wszystkim, co zebrał.

Podczas jednej z jego Epickich Wyprzedaży Książek i Muzyki Archer Street szła dziewczyna z psem. Nazywała się Cleo Fitzpatrick. Niektórym ludziom życie układa się samo, a Henry jest jednym z takich przypadków.

– Ej! – zawołał, a ona z początku go zignorowała, w obciętych spodenkach i koszulce. – Ej, dziewczyno z mieszańcem corgi z shih tzu, czy co to w ogóle jest!

Włożyła do ust nową gumę.

– To kelpie, tępaku...

Ale ja tam byłem, bez trudu to dostrzegłem. Pojawiło się w jej czarnych, trzeźwych oczach. Kupiła egzemplarz *Idioty* Dostojewskiego, co było stosowne, i wróciła tydzień później. W następnym roku wzięli ślub.

Jeśli chodzi o Rory'ego, choć może wydawać się to dziwne, jest teraz znów najbliżej z naszym ojcem i często jeździ na most. Wciąż jest szorstki jak cholera – albo szorstki jak papier ścierny, jak powiedzieliby ludzie w rodzaju pani Chilman – ale upływ lat go wygładził, a ja wiem, że zawsze tęsknił za Clayem.

Właściwie to niedługo po śmierci starej pani Chilman przeprowadził się na pobliskie przedmieście – Somerville, dziesięć minut jazdy na północ. Ale lubi wracać i siedzieć tutaj, popijając piwo i śmiejąc się. Lubi też Claudię i rozmawia z nią, jednak przeważnie jesteście on i ja. Rozmawiamy o Clayu, rozmawiamy o Penny i opowieść przechodzi między nami.

– Dali jej sześć miesięcy, sto osiemdziesiąt dni z kawałkiem. Czy oni mieli pojęcie, z kim mają do czynienia?

Jak wszyscy pozostali, wie już, co się wydarzyło, na tylnym podwórku tamtego jasnego ranka, że nasz ojciec nie mógł tego zrobić, ale Clay jakimś sposobem sobie poradził. Wie, co się wydarzyło później, z Carey i Surrounds, jednak w sposób nieunikniony zawsze wracamy do tego – kiedy nam powiedziała, tutaj, w kuchni.

– Co Clay mówił o tamtej nocy? – pyta i czeka kilka uderzeń serca na odpowiedź.

– Powiedział, że rykiem rozpałiłeś ogień w jego oczach.

A Rory się uśmiecha, za każdym razem.

– Wyciągnąłem go z tego krzesła, na którym teraz siedzisz.

– Wiem – mówię – pamiętam.

A ja?

Cóż, zrobiłem to.

Zajął mi to jedynie kilka miesięcy, ale czytałem książki Penelopy – jej emigranckie Everesty – i otwierałem list Waldka. Zapamiętałem numer Claudii.

Później, we wtorek, wcale nie zadzwoniłem, ale wkroczyłem prosto do szkoły. Była w tej samej sali, oceniała klasówki, a kiedy zapukałem, spojrzała na wejście.

Uśmiechnęła się wspaniałym uśmiechem żyjących.

– Matthew Dunbar. – Podniosła na mnie wzrok. Stała przy biurku i powiedziała: – W końcu.

Jak prosił mnie Clay, pojechałem do Silver.

Jeździłem tam wiele razy, często z Claudią Kirkby.

Z początku ostrożnie, wymienialiśmy się z ojcem opowieściami – o Clayu jako synu i bracie. A ja powiedziałem mu to, o co poprosił mnie Clay, o tym, jak widział Penelopę po raz ostatni – jako dziewczynę, którą kiedyś była. Nasz ojciec się zdziwił.

W pewnej chwili prawie mu powiedziałem, prawie wypowiedziałem to na głos, ale powstrzymałem się:

„Wiem teraz, dlaczego odszedłeś”.

Ale jak tak wiele innych rzeczy, możemy wiedzieć, ale słowa pozostawiamy niewypowiedziane.

Kiedy zburzyli trybunę na Bernborough Park i wymienili starą czerwoną bieżnię, jakimś cudem pomyliliśmy datę i przegapiliśmy niesławny moment.

– Wszystkie te piękne wspomnienia – powiedział Henry, kiedy poszliśmy tam, żeby zobaczyć resztki. – Wszystkie te cudowne zakłady!

Te przezwiska i chłopcy przy barierce – woń nigdy do końca mężczyzn.

Przypomniałem sobie czas, który spędzałem tam z Clayem, a później Rory’ego, zatrzymanie go i karę.

Ale oczywiście, są tam Clay i Carey.

To ich wyobrażam sobie najlepiej.

Kucają razem w pobliżu mety.

Było to jeszcze jedno z jego uświęconych miejsc, które bez niego pozostało puste.

Skoro mowa o uświęconych miejscach, Surrounds pozostało.

Państwo Novac już dawno wyprowadzili się z Archer Street, powrócili na wieś. Ale jeśli chodzi o miasto i prace budowlane, Surrounds nie zostało jeszcze zabudowane, więc to miejsce wciąż należy do Carey i Claya, przynajmniej moim zdaniem.

Szczerze, kocham to pole, najczęściej kiedy najbardziej mi go brakuje. Wychodzę za dom, zwykle późnym wieczorem, a Claudia po mnie przychodzi. Trzyma mnie za rękę i tam idziemy.

Mamy dwie córki, są piękne – są pozbawione żalu, są dźwiękiem i barwą bycia tutaj. Uwierzyście, że czytamy im *Iliadę* i *Odyseję*, i że obie uczą się gry na pianinie? To ja zabieram je na lekcje i ćwiczymy w domu. Siedzimy razem przy klawiszach WYJDŹ-ZA-MNIE, i to ja pilnuję ich, metodycznie. Siedzę z gałązką eukaliptusa i zwlekam, kiedy przerywają i proszą mnie:

– Możesz nam opowiedzieć o Błędnej Dziewczynie, tato? –  
I oczywiście: – Możesz nam opowiedzieć o Clayu?

Co innego mógłbym zrobić?

Co mógłbym zrobić, jeśli nie zamknąć klapę pianina i ruszyć w stronę naczyń?

Wszystko zaczyna się tak samo.

– Niegdyś, w odmętach przeszłości Dunbarów...

Pierwsza to Melissa Penelopa.

Druga to Kristin Carey.

I tak oto dochodzimy do tego:

Jest jeszcze jedna historia, którą opowiem wam teraz, zanim będę mógł zostawić was w spokoju. Jeśli mam być szczery, to również moja ulubiona historia, o Claudii Kirkby o ciepłych ramionach.

Ale to również opowieść o moim ojcu.

I bracie.

I reszcie braci, i mnie.

Widzicie, niegdyś... niegdyś w odmętach przeszłości Dunbarów poprosiłem Claudię Kirkby, żeby za mnie wyszła, poprosiłem z kolczykami, a nie pierścionkiem. Były to małe srebrne półksiężycy, ale jej się spodobały, powiedziała, że są czymś. Napisałem też długi list, o wszystkim, co pamiętałem z naszych spotkań; i o jej książkach, i jak dobra była dla nas, Dunbarów. Napisałem o jej łydkach i tym przebarwieniu na środku policzka. Przeczytałem go na jej progu, a ona rozplakała się i powiedziała mi „tak” – ale już po chwili wiedziała.

Wiedziała, że będą również problemy.

Widziała to na mojej twarzy.

Kiedy powiedziałem jej, że powinniśmy poczekać na Claya, ścisnęła moją rękę i przyznała mi rację – i tak pięły się lata. Pięły się, a nam urodziły się córki. Patrzyliśmy, jak wszystko tworzy się i zmienia, i choć baliśmy się, że on nigdy tu nie wróci, myśleliśmy, że czekanie może go do nas sprowadzić. Kiedy się czeka, człowiek zaczyna czuć, że zasłużył.

Jednak po upływie pięciu lat zastanawialiśmy się.

Rozmawialiśmy nocami, w naszej sypialni, która należała kiedyś do Penny i Michaela.

Wreszcie podjęliśmy decyzję, po tym, jak Claudia w końcu mnie spytała:

– A może kiedy skończysz trzydzieści lat?

Zgodziłem się i znów mijały lata, a ona nawet dała mi jeszcze rok ekstra, ale trzydzieści jeden, tak się wydawało, stało się granicą. Od długiego czasu nie dostawaliśmy pocztówek i Clay Dunbar mógł być wszędzie – i wtedy właśnie w końcu o tym pomyślałem:

Wsiadłem do samochodu i pojechałem tam.

W nocy dotarłem do Silver.



Siedziałem z naszym tatą w kuchni.

Jak to często robił z Clayem, piliśmy kawę, a ja patrzyłem na ten piekarnik i jego cyfry i zostałem, i na wpół się rozryczałem i błagałem go. Spojrzałem ponad stołem:

– Musisz pojechać i go odnaleźć.

Najszybciej jak mógł, Michael wyjechał z kraju.

Poleciał samolotem do miasta i czekał.

Każdego ranka wychodził o świcie.

Docierał tam przed otwarciem i wychodził po zmroku, kiedy zamykali.

Padał tam śnieg, było lodowato, a on radził sobie, choć znał tylko parę włoskich zwrotów. Patrzył z miłością na *Dawida*, a *Jeńcy* byli wszystkim, o czym śnił. Walczyli, szarpali się i łapali powietrze, gdy próbowali wydobyć się z marmuru. Personel Accademii go poznał i zastanawiali się, czy oszalał. Ponieważ była zima, turystów nie kręciło się wielu, więc po tygodniu zaczęli go zauważać. Czasami częstowali go obiadem. Pewnego wieczora musieli spytać...

– Och – powiedział. – Ja tylko czekam... jeśli będę miał szczęście, on może się pojawi.

I tak to było.

Codziennie przez trzydzieści dziewięć dni Michael Dunbar był we Florencji, w galerii. Czuł się niewiarygodnie, spędzając tyle czasu z nimi – bo *Dawid*, ci *Jeńcy*, oni byli oszalamiający. Czasami też przysypiał, oparty o ścianę, gdy siedział przy kamieniu. Często budziła go ochrona.

Ale wtedy, trzydziestego dziewiątego dnia, poczuł dotknięcie na ramieniu – nad nim pochylał się mężczyzna. Obok padał cień Jeńca, ale ręka na ubraniu była ciepła. Jego twarz wyglądała na bledszą

i wysuszoną, ale chłopca nie dało się pomylić z nikim. Miał dwadzieścia siedem lat, ale przypominało to tamtą chwilę, przed tak wielu laty – Clay i Penelopa, jasne tylne podwórko – bo zobaczył go takim, jakim był kiedyś. Jesteś tym, który kochał opowieści, pomyślał i nagle zrobiło się zupełnie jak w kuchni, gdy Clay go przywołał, głosem tak cichym, z ciemności w stronę światła.

Ukląkł na podłodze i powiedział:

– Cześć, tato.

W dniu ślubu nie mogliśmy być pewni.

Michael Dunbar dał z siebie wszystko, ale nasza nadzieja wynikała raczej z czystej desperacji niż realnych podstaw.

Rory miał być świadkiem.

Wszyscy kupiliśmy garnitury i porządne buty.

Ojciec też był z nami.

Most wciąż stał.

Ceremonia miała się odbyć wieczorem, a Claudia wzięła dziewczynki.

Późnym popołudniem zebraliśmy się – od najstarszego do najmłodszego: ja, Rory, Henry, Tommy. Michael przybył niedługo potem. Byliśmy wszyscy na Archer Street, w garniturach, ale z poluzowanymi krawatami. Czekaliśmy, jak musieliśmy, w kuchni.

Były chwile, oczywiście, kiedy coś słyszeliśmy.

Ktokolwiek wyszedł, wracał.

Za każdym razem kończyło się na „nic”, ale wtedy Rory, ostatnia nadzieja, powiedział:

– TO.

Powiedział:

– Co TO było, do diabła?

Przez chwilę zastanawiał się nad pójściem pieszo, ale w końcu wsiadł w pociąg i autobus. Na Poseidon Road wysiadł przystanek wcześniej niż zwykle, a słońce zdawało się ciepłe i przyjazne.

Szedł i zatrzymał się, wsparł się na powietrzu – i szybciej niż miał nadzieję czy sobie wyobrażał, stał przy końcu Archer Street, bez ulgi czy przerażenia.

Była świadomość, że jest tutaj, że mu się udało.

Jak zawsze, musiały być gołębie.

Siedziały wysoko na liniach energetycznych, kiedy dotarł na nasze podwórko. Co jeszcze mógł zrobić poza tym, że szedł dalej?

Zrobił to i wkrótce się zatrzymał.

Na naszym trawniku, a za nim, po skosie, był dom Carey, gdzie kiedyś stała z kablem toster. Prawie się roześmiał, kiedy pomyślał o naszych walkach – przemoc chłopców i braci. Widział Henry'ego i siebie na dachu, jak dzieciaki, które kiedyś znał i z którymi rozmawiał.

Zanim się zorientował, powiedział:

– Matthew.

Jedynie moje imię i tyle.

Tak spokojnie i cicho – ale Rory usłyszał – i wstaliśmy, razem, w kuchni.

Nie jestem pewien, czy umiem to wyjaśnić, mieć nadzieję albo Je-zu Chryste.

Boże, jak mógłbym zrobić to właściwie?

Mogę jedynie mocniej walić w klawisze, opisać wam to wszystko tak, jak było:

Widzicie, po pierwsze wybiegliśmy do przedpokoju i wyrwaliśmy moskitierę z zawiasów – a tam, na werandzie, zobaczyliśmy jego. Był

na trawniku, w ubraniu odpowiednim na ślub, ze łzami w oczach, ale uśmiechnięty. Tak, Clay, ten uśmiechnięty, uśmiechał się.

Co zadziwiająco, nikt się nie zbliżył.

My wszyscy całkowicie nieruchomi.

Ale już po chwili to zrobiliśmy.

Zrobiłem krok do przodu i nagle było już łatwo. Powiedziałem: „Clay i Clay, i chłopiec Clay” i poczułem tylko ruch powietrza moich braci. Zbiegli po schodkach, rzucili go na trawnik. Byli młynem ciał i śmiechu.

A ja zastanawiam się, jak to musiało wtedy wyglądać, dla naszego ojca, to zamieszanie przy balustradzie. Zastanawiam się, jak to widział, kiedy Henry i Tommy, a później Rory, wszyscy w końcu zeszli z mojego brata. Zastanawiam się, jakie to było uczucie patrzeć, gdy wkrótce pomogli mu się podnieść, on wstał i się otrzepał, a ja przeszedłem ostatnie metry, by się z nim spotkać.

– Clay – zacząłem. – Hej, Clay...

Ale nie było niczego innego, co mógłbym mu powiedzieć – gdyż chłopiec, który był również panem tego domu, pozwolił sobie w końcu upaść – i trzymałem go, jak miłość, w ramionach.

– Przyszedłeś – powtarzałem – przyszedłeś.

I trzymałem go tak mocno, i wtedy my wszyscy, sami mężczyźni, uśmiechaliśmy się i płakaliśmy, płakaliśmy i uśmiechaliśmy, i jedna rzecz zawsze była wiadoma, a przynajmniej wiadoma dla niego:

Chłopak Dunbarów mógł robić wiele rzeczy, ale powinien zawsze dopilnować, by wrócić do domu.

## podziękowania

NIE BYŁOBY CHŁOPAKÓW DUNBARÓW, mostu ani Claya bez surowości, śmiechu i zbiorowego serca Cate Paterson, Erin Clarke i Jane Lawson – wszystkie czystooskie i prawdomówiące. Wszystkie same są chłopakami Dunbarów. Dziękuję za wszystko.

Przyjaciółki i współpracowniczki: Catherine (Wielka) Drayton, Fiona (Riverina) Inglis i Grace (PP) Heifetz – dziękuję, że wytrzymałyście. Dziękuję za gotowość, by postarzyć się o dziesięciolecie i więcej w tych spartańskich dniach czytania.

Tracey Cheetham: Jeśli rok 2016 mógł się wydarzyć, to również. Najpiękniejsze z drugiej strony tych mostów.

Judith Haut: Niewielu ludzi znosiło mój idiotyzm lepiej niż ty. To przez Arkansas w Twojej krwi. Dziękuję za miłość i przyjaźń, niezależnie od rzeki i miasta.

William Callahan: Być może nigdy się nie dowiesz, czym jesteś dla tej książki. Byłeś tam, by mnie podźwignąć. Wykupiłeś mnie z Hadesu.

Georgia (GBAD) Douglas: Ostatnia przedostatnia. Brakuje mi naszych „serdesznych rozmów”. Irytująco nieomylna. Może jeszcze powstaną koszulki.

Bri Collins i Alison Kolani: Obie wieczne wybawicielki, obie mistrzyni. Niezastąpione.

Dla tych niezłomnych (prawdziwie wielkie słowo) podziękowania za pomoc w ostatnim dziesięcioleciu, a w niektórych przypadkach bardziej niedawno:

Richard Pine, Jenny Brown (Najzyczliwsza Wszech Czasów), Kate Cooper, Clair Roberts, Larry Finlay, Praveen Naidoo, Katie Crawford, Kathy (zdolna naprawić WSZYSTKO) Dunn, Adrienne Waintraub, Dominique Cimina, Noreen Herits, Christine Labov, John Adamo, Becky Green, Felicia Frazier, Kelly Delaney, Barbara Marcus, Cat Hillerton, Sophie Christopher, Alice Murphy-Pyle i (geniusze) Sandy Cull, Jo Thomson i Isabel Warren-Lynch.

Dla tych ludzi – nigdy nie przypisujcie zbyt małej wartości przyjaźni i koleżeństwu, które daliście mnie i tej książce:

Joan DeMayo, Nancy Siscoe, Mandy Hurley, Nancy Hinkel, Amanda Zhorne, Dana Reinhardt, Tom i Laura McNeal, Andy, Sally, Inge, Bernd, Leena, Raff, Gus, Twain, Johnny i TW.

Specjalne wyróżnienia:

Blockie: Za spacerzy z Floydem, słuchanie. *Picasso*. Wszystkie drogi prowadzą do Huddart.

Angus i Masami Hussey: Przełomowi, odmieniający życie, najlepsi z różnych kontynentów.

Jorge Oakim: Wspiałbym się na każdy mur, gdziekolwiek. Dzięki za wszystko.

Vic Morrison: Nie tylko za rady dotyczące muzyki i transportu (i strojenia) pianin, ale za całe życie sztuki i ryzyka, i opowieść, która doprowadziła do Jeńców.

Halina i Jacek Drwecki: Za miłość i kłótnie na temat niuansów polskiego i za historie o obozach i karaluchach: „Takie wielkie”!

Maria i Kiros Alexandratos: Za pierwsze rozmowy o budowie mostów.

Tim Lloyd: Za pomoc i rady we wszystkim, co końskie, zwłaszcza za przejażdżkę wokół Otford i znalezienie czegoś podobnego do muła.

HZ: Za typowo kpiące rady na temat poturbowania języka niemieckiego.

Zdenka Dolejská: Za to jedno zdanie po czesku... Każdy drobiazg się liczy. Dziękuję.

Jules Kelly: Niezwykły powiernik tajemnic.

Tajemnicza Frau H.

I Tim Smith: Za całą inspirację i czekanie w wodzie.

Dla drugiego mz: Dziesięciolecia nie znikają tak po prostu. Znikają w ten sposób. Dzięki za sprawienie, że zobaczyłem, jak wyglądałoby życie, gdybym NIE skończył. Jak zawsze, dzięki Tobie wszystko się zmieniło.

Na koniec, wszyscy czytelnicy wszędzie: To bez was jest niczym. Dzięki za absolutnie wszystko.

mz



Fot. © Hugh Stewart

**MARKUS ZUSAK**, urodzony w 1975 roku, jest autorem sześciu książek, w tym światowego bestsellera *Złodziejka książek*, przetłumaczonego na ponad czterdzieści języków. Od pierwszego wydania w 2005 roku powieść znajduje się na liście bestsellerów „New York Timesa” (czyli już ponad dekadę!), co czyni autora jednym z najbardziej znanych pisarzy australijskich. Zusak do dziś zajmuje pierwsze miejsca na listach bestsellerów Amazon.com, Amazon.co.uk, „New York Timesa” oraz w wielu krajach Ameryki Południowej, Europy i Azji.

Jego pierwsze trzy powieści (*Moje tak zwane życie*, *Walczący Ruben Wolfe* i nietłumaczona na język polski *When Dogs Cry*, wydana też jako *Getting the Girl*), ukazały się w latach 1999–2001, zdobywając nagrody w Australii i USA.

*Posłaniec* oraz *Złodziejka książek* otrzymały wiele nagród literackich, wielokrotnie były nagradzane przez czytelników oraz zajmowały wysokie miejsca na listach bestsellerów.

W 2013 roku powieść została sfilmowana. Adaptację wyprodukowała wytwórnia Twentieth Century Fox. W filmie wyreżyserowanym przez



zdoływcę nagrody Emmy, Briana Percivala (*Downton Abbey*), zagrali m.in.: Geoffrey Rush, Emily Watson oraz Sophie Nelisse jako Liesel Meminger, tytułowa złodziejka książek.

W roku 2014 Zusak otrzymał nagrodę American Library Association's Margaret Edwards za istotny wkład w literaturę *young adult* za całokształt twórczości od powieści *Moje tak zwane życie po Złodziejkę książek*.

Najnowsza, długo wyczekiwana książka Zusaka – *Gliniany most* – w USA, Wielkiej Brytanii i Australii ukazała się w październiku 2018 roku, w Polsce w maju 2019 roku.

Tak mówi o niej autor: „Clay Dunbar buduje most z wielu powodów: dla braci, dla uhonorowania rodziców, ale również po to, by ocalić siebie. By stał się cud.”

Markus Zusak dorastał w Sydney, gdzie wciąż mieszka z żoną i dwójką dzieci.

Tytuł oryginału  
*Bridge of Clay*

Copyright © Markus Zusak, 2018  
Jacket design by Isabel Warren-Lynch and Ericka O'Rourke  
© Copyright for the Polish edition  
by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2019

Tłumaczenie *Anna Studniarek*  
Adaptacja okładki *Monika Pietras*

Redaktor prowadzący *Anna Garbal*  
Opieka redakcyjna *Joanna Kończak*  
Redakcja *Magdalena Adamska*  
Korekta *Magdalena Szroeder, Roma Sachnowska*  
Korekta plików po konwersji *Irmina Garlej*

ISBN 978-83-10-13482-0

Plik wyprodukowany na podstawie *Gliniany most*, Warszawa 2019

 Wydawnictwo  
NASZA KSIĘGARNIA

[www.naszaksiegarnia.pl](http://www.naszaksiegarnia.pl)

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.  
02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c  
tel. 22 643 93 89, 22 331 91 49,  
faks 22 643 70 28  
e-mail: [naszaksiegarnia@nk.com.pl](mailto:naszaksiegarnia@nk.com.pl)



Plik mobi przygotowała firma eLib.pl  
al. Szucha 8, 00-582 Warszawa  
e-mail: [konwersja@elib.pl](mailto:konwersja@elib.pl)  
[www.eLib.pl](http://www.eLib.pl)